WIENIEC,

PISMO ZBIOROWE

OFIAROWANE

STANISŁAWOWI JACHOWICZOWI

PRZEZ PIERWSZYCH KRAJU AUTORÓW ORAZ LICZNYCH INNYCH JEGO PRZYJACIÓŁ I WIELBICIELI.

Tom II.

WARSZAWA,
W DRUKARNI ALEXANDRA GINS.
Ulica Elektoralna, Nr. 755.

1858.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby exemplarzy.

w Warszawie, dnia 16 (28 Kwietnia) 1858 r.

Starszy Cenzor, *F. Sobieszczański.*

OD WYDAWCY WIEŃCA.

Polecam się łaskawym względom Szanownych Czytelników tego dzieła, gdy będą potrzebowali jakichkolwiek dzieł znajdujących się w księgarniach warszawskich, czy-to mego nakładu, czy też innych księgarzy. Utrzymując bowiem stosunki księgarskie, z powodu własnych nakładów, ze wszystkimi znaczniejszymi księgarzami, jestem w możności dostarczyć wszelkich dzieł po tych samych cenach i z wszelkiemi możliwemi dogodnościami. Przy żądaniu książek za kilkadziesiąt złotych, mogę koszta przesyłki pocztą przyjąć na siebie lub pewien rabat odstąpić; na jedném nie drogiém dziele podejmuję się tylko opakowania i expedycyi na pocztę. W wypłacie większéj summy ułatwienia robię przez rozkład na raty, gdzie tego możność i potrzeba dozwala. Usilném mojém staraniem będzie, ażeby zaszczycający mnie swojém zaufaniem byli zadowoleni.

Niektóre dzieła nakładowe lub zakupione:

	Rśr.	Kop.
FABIOLA, przez kardynała Wisemana, przekład z oryginału angielskiego. Wydanie bardzo piękne w Wiédniu — — —	2	—
RODRIGUEZA, O Doskonałości Chrześcijańskiéj, przekład z dzieła po francuzku dla osób w świecie żyjących, przez X. Cruice przerobionego. Co do polszczyzny starannie przejrzane i poprawione przez T. Sierocińskiego — — — —	—	75
POCZĄTKOWE wiadomości z chemii przez A. R. nauczyciela nauk przyrodzonych —	—	50
PEDAGOGIKA, przez T. Sierocińskiego z wypisami codosłownemi (w większéj połowie) z Cho-		

	Rśr.	Kop.
wanny B. Trentowskiego. Cena zniżona z Rs. 1 kop. 80 na — — —	1	—
GRAMMATYKA polska, skrócona,— obszerniejsza — i «O Składni» przez T. Sierocińskiego, razem	—	40
NAUKA o Postaciach retorycznych i o Stylu, przez tegoż — — — —	—	25
BOCQUEL, Rozmowy francuzko-polskie —	1	20
KUSZLA Rozmowy angielsko-polskie dla osób nie umiejących nawet czytać po angielsku	—	45
S. OLESZCZYŃSKIEGO Wybór najpiękniejszego pisma i ozdób kaligraficznych — —	1	—
Dra MALCZA, O tyfusie; cały przebieg téj choroby i sposób leczenia — —	—	75
TEGOŻ, Rady dla Matek, mianowicie młodych, obejmujące sposób zachowania się przed i po narodzeniu się dziecięcia, tudzież obchodzenie się z małemi dziećmi —	—	52½
JUTRZENKA. Noworocznik obejmujący artykuły K. Brodzińskiego, E. z G. Ziemięckiéj, S. Jachowicza, L. Pietrusińskiego, A. Szabrańskiego, itd. 1834 (z ryciną A. Oleszczyńskiego) Cena zniżona z kop. 75, na — —	—	30

Wkrótce wyjdzie:

ELEMENTARZ ułożony z przygotowanych materyałów przez Stanisława Jachowicza, ozdobiony drzeworytami.

Drukuje się także bardzo ważne dzieło:

X. MARET. O godności rozumu ludzkiego i potrzebie Boskiego objawienia. Przekład z francuzkiego przez Eleonorę Ziemięcką. — Autor za to dzieło zaszczycony został listem Ojca ś. Piusa IX.

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr. 395,
w kamienicy szpitala S. Rocha.

Józef Błaszkowski.

WYJĄTEK
Z MAJĄCEGO WYJŚĆ NA WIDOK PUBLICZNY DZIEŁA
Józefa Gołuchowskiego:
DUMANIA
NAD
NAJWYŻSZEMI ZAGADNIENIAMI CZŁOWIEKA,
POPRZEDZONE: ROZWINIĘCIEM GŁÓWNYCH SYSTEMATÓW FILOZOFICZNYCH OD KANTA DO NAJNOWSZYCH CZASÓW.

(Z tomu IIgo).

DUMANIE 67.
Miłość jako absolutny, cel stworzenia świata duchowego rozwięzuje dopiéro wszystkie najwyższe zagadnienia człowieka. — Ona absolutną Prawdą.

Słowo, najwyższe zagadnienia, wszystkie wątpliwości rozwięzujące jest: *Miłość!* — *Miłość Boga względem człowieka, Miłość człowieka względem Boga i bliźniego.* W miłości ujrzał Bóg absolutny cel stworzenia, w miłości widział Bóg absolutną prawdę, i tę chce mieć urzeczywistnioną. W miłości jest dopiéro klucz do największych tajemnic, podpora, osłoda,

ochota, nawet siła w życiu teraźniejszém, i rękojmia przyszłości. Wynieście miłość ze świata duchowego a zamienicie go w chaos, odbierzecie mu wszelkie znaczenie. Miłość dopiéro jest owym z nieba zesłanym cementem, już na tym świecie królestwo Boże zawiązującym, zadatkiem wieczności, poręczycielką nieśmiertelności. Miłość dopiéro rozwięzuje wszelkie zagadki bytu, życia, myśli; koi tęsknotę i pragnienie serca; miłość jedynie zdolna jest wypełnić próżnią uczucia, w którą egoizm tak często zapada, i której niczém zasypać nie jest w stanie. Bez miłości świat jest puszczą, albo pobojowiskiem dzikich namiętności, życie jest wygnaniem, myśl jest labiryntem, a serce narzędziem katuszy. Miłość łączy Boga z człowiekiem, i człowieka z Bogiem, łączy ludzi między sobą. Kiedy natura nie zna innego związku, tylko żelazne jarzmo konieczności, a myślenie tylko zimną konsekwencyą prawidłości, miłość zaprowadza dobrowolne zrastanie się duchów w jedną całość, szanując zarazem wzajemną niepodległość. Miłość jest zlanie się duchowe jestestw w jedność; pomimo to, wymaga jako nieodzowny warunek do istnienia swego, iżby osobowości trwały naprzeciwko siebie; inaczéj niemiałaby się komu udzielać. Miłość pokłada swoje szczęście w cudzém szczęściu; powiedziałbyś, że to jest zamiana serc, wyjście z siebie, aby mieszkać w ukochanym przedmiocie; pomimo to nie tonie ona w cudzém istnieniu, i zachowuje swoją samoistną osobowość, swoją egoiczność. Oczyszcza ją tylko z przywar żarłocznego egoizmu, wszystko w siebie chłonącego, nikomu nic nie udzielającego; rozszerza ją tylko do tego stopnia, iż cudze szczęście stanowi jéj szczęście, iż własne szczęście niema dla niéj powabów, jeżeli go z innemi nie dzieli. Miłość na wszystkie stosunki doczesnego życia rozlewa urok nieba, nie zazdrości nikomu, cudzém powodzeniem się cieszy, chętnie pomaga, ratuje, nieudolności rękę podaje, z życzliwością do

każdego się zbliża, w wyszukiwaniu cudzych wad niéma upodobania, do potępiania nie skora, obmowy nie lubi, próżnością się nie chełpi, pychą się nie nadyma, gniéwu nie zna, uraz nie pamięta, do pobłażania skłonna. Miłość rozchodzi się, jak światło, na wszystkie strony, ogarnuje wszystkie stworzenia, nawet martwą naturę, pieści się ze źwierzęciem, lituje się nad jego cierpieniem, i gdzie może ulgę mu niesie. Miłość wnika we wszystkie zawody i dodaje nadzwyczajnéj siły. Jako zamiłowanie, czyni mozolną i ciężką pracę lekką; w mozołach i trudach dodaje ochoty, a przez to wytrwałości; w znużeniu pokrzepia, w osłabieniu podpiéra. Miłość nie jest chciwa, nie wiele jéj potrzeba; bo sama jest bogactwem, sama sobie wystarcza, lada czém się raduje. Na świat nie patrzy się pożądliwém tylko okiem; dla tego interes nie zasłania jéj piękności natury, chętnie na jéj wrażenia duszę otwiéra, rozczula się, w zachwycenie wpada, wszędzie Boga przeczuwa, i w miłości jego się zanurza. Miłość skoro się do Boga podniesie i bliźniego i świat cały sobą ogarnie, czuje absolutne zaspokojenie, żaden żar żądzy nie piecze jéj, po za ten zakres niéma nic do żądania, tylko aby się w téj szczytnéj miłości utrzymać; bo tu absolutny cel duchowego życia: nic wyższego wymyśléć niepodobna. Tu serce znajduje absolutne zaspokojenie swego pragnienia, swojéj tęskoty, którego gdzieindziéj nadaremnie szukało. Ale miłość nie tylko serce zaspokaja. I myśl badawcza kusząca się o zgłębienie tajemnic stworzenia, tu dopiero znajduje zadowalniające rozwiązanie wszystkich zagadnień, którego gdzieindziej znaleść nie mogła, a jeżeliby jéj jeszcze jakie trudności pozostały, to złączywszy się przez miłość z Bogiem, wszedłszy tym sposobem w bezpośredni z nim stosunek, zdaje rozwiązanie reszty na Opatrzność; bo miłość nie jest kłótliwa, nie robi Bogu zarzutów, nie żąda usprawiedliwień, tylko zamienia się w Wiarę; nie żąda dal-

szych dowodów, bo poprzestaje na nadziei, która dla miłości innym tylko wyrazem jest pewności. Myśl uznaje, że gdy po długiém błąkaniu się po oceanie rozumowań dostała się szczęśliwie do portu miłości, łączącéj człowieka z bliźnim i z Bogiem, że, mówię, tém samém dotarła do absolutnego celu, po za który nawet już niéma po co sięgać, tak on zupełnie pod wszelkim względem przedstawia zaspokojenie. Reszta, mianowicie rozwinięcie szczegółów przyszłości, może tylko drażnić ciekawość, ale nie jest potrzebą miłości. Dla miłości wystarczają owe słowa S. Pawła: «Ani oko widziało, ani ucho słyszało, co Bóg zgotował dla sprawiedliwych.» Co nam się o więcéj pytać, kiedy każdy, co się podniesie do szczeréj miłości Boga i bliźniego, sam na sobie przekonać się może, że ta miłość jest rajem, jest balsamem wszystkie dolegliwości życia, wszystkie rany serca łagodzącym. Tak miłość Boska woła: «Chodźcie do mnie, wy wszyscy uciśnieni, a pocieszę Was!» — Pełno jest w tém życiu doczesném cierpienia, męki, boleści, z których sobie sprawy zdać trudno. Zuchwałość kłótliwa człowieka robi z nich zarzut Bogu, ale rozumowanie już nam wyżéj pokazało, że wiele z téj niedoli z własnéj winy na nas spada i jest tylko skutkiem nadużycia naszéj wolności. Co zaś z naszéj winy nie pochodzi, przez to samo, że w sprzeczności z miłością Boską zostaje, jest owszem najdobitniejszym dowodem, że musi być jeszcze wyższe przeznaczenie człowieka, jak doczesne jego życie, i że przeciwnie, gdyby téj sprzeczności nie było, toby to było oznaką, że jedynie to fizyczne życie byłoby ostatecznym celem. Miłość zaś w żadne swary z Bogiem się nie wdaje; i tak boleść i rozkosz tego świata, jak senna mara mija, że się niéma o co upiérać. Z dolegliwości zaś tego świata ciągnie ten wielki pożytek, że niemi gasi zbytni żar zmysłowości i oczyszcza się za ich pomocą z różnych przywar, aby na lepszą przyszłość zasłużyć.

Na polu miłości spotykają się rozum i wiara, filozofia i religia, i podają sobie ręce. Długi czas miłość przez spekulacyą lekko była ważona, jako rzecz uczucia, niemająca żadnego znaczenia w krainie myśli, a ile razy do systematów filozoficznych była wprowadzana, zawsze na téj zasadzie została odprawiona. Wprawdzie ci, co ją wprowadzali, niemając świadomości wyraźnéj o skarbach, jakie w niéj leżą, nie umieli jéj przeciwko zarzutom czynionym bronić, ani się też podnieśli do téj wysokości, iżby mogli byli przeciwnikom zaimponować. Lecz głębsze badania, niemogąc na żadném inném stanowisku znaleść zupełnego zaspokojenia, doprowadziły nareszcie do tego odkrycia, że w miłości dopiéro utajone jest ostatnie słowo stworzenia, i że tu dopiéro leży rozwiązanie najwyższych zagadnień dla człowieka. Widzieliśmy już poprzednio, że nic niéma tak godnego, aby stanowiło ostateczny cel stworzenia, jak miłość; bo ona zaspokaja równie intellektualne potrzeby rozumu, jak i pragnienia serca, czego żadna inna zasada uczynić nie była zdolna. W miłości mieści się istota absolutnéj prawdy, którą Bóg chciał urzeczywistnić jako ostateczny zamierzony przez niego cel, gdy świat stwarzał. Ze zjawieniem się miłości zamknięte są rachunki fizycznego świata, i zaczyna się wyższego rodzaju porządek duchowego świata, zaczynają się dzieje wieczności. Bo w miłości są wszystkie elementa nieskończonego rozwoju. Naprzód jest absolutna osobowość Boga, od świata i od ludzi odrębna, a jednak w stosunki z niemi wchodząca; następnie oddzielna osobowość człowieka, świadomością myśli, wolą i wolnością obdarzona. Na zasadzie wolności każdy jest panem swych czynów, ma źródło działania sam w sobie i na podobieństwo Boga, chociaż ograniczony, może sobie stworzyć świat własny w myśli, a nawet w części jakiejś urzeczywistnić go w naturze. Skoro jest wolność, skoro Bóg rozwiązał duchom pęta konieczno-

ści, jeżeli świat duchowy niéma się rozsypać na nowego choć wyższego rodzaju atomy, i pozbawionym być wszelkiego związku, to w całym obszarze możebnych środków niéma na to innego środka tylko miłość, to dobrowolne grawitowanie duchów do siebie i do Boga, to duchowe zrastanie się istot rozumnych w jedną absolutną całość, to zanurzenie się w Bogu. Z téj strony miłość uważana zdaje się być abdykacyą własnéj osobowości. Ale gdybyśmy osobowości dali upaść, dali jéj zniknąć, tobyśmy znowu zakończyli wszystko panteizmem: niezostałby nikt, tylko Bóg sam jeden, a wiémy już z poprzedniego, jakieby to sprzeczności za sobą pociągnęło. Gdyby osobowości zginęły, toby razem z niemi i miłość zniknęła i cały świat duchowy. Zostałby tylko cały świat zewnętrzny naprzeciwko Boga. Ale wówczas spadlibyśmy na stanowisko Idei Piękności i Bóg zająłby tylko stosunek artysty, przed swojém arcydziełem stojącego: co uwłacza, jakeśmy widzieli, godności Boga, bo go ogranicza. Jeżelibyśmy zaś chcieli przypuścić, że Bóg po utonięciu w nim w skutku miłości dotychczasowych duchów, będzie, powodowany miłością, wiecznie tworzył nowych duchów, aby miłość nigdy nie wygasła, która się dla każdéj pojedynczéj osobowości znowu utonięciem w Bogu ma zakończyć: toby z tąd wynikło, że w takim procesie miłości Bóg-by tylko dla własnéj satysfakcyi, dla własnéj potrzeby, duchów do istnienia powoływał; coby znowu w Ideę Boga wprowadziło przywarę egoizmu. Nareszcie mógłby ktoś twierdzić, że duchom, gorącą miłością pałającym żadna krzywda-by się nie działa, gdyby w tém rozkosz swoją upatrywały: wyzuć się ze swojéj osobowości i utonąć w Bogu. Wprawdzie trudno pojąć takiego samobójstwa nowego rodzaju, na rozkoszy opartego, i jeżeli komu kiedykolwiek coś podobnego przez głowę przeszło, to to raczéj, ze zamieszania wyobrażeń, z brania zmysłowéj części naszéj osobowości

za absolutną wynikło. Lecz gdyby nawet przy takim zdaniu obstawano, i taki cel ostateczny miłości naznaczano, toby przepomniano, że tego rodzaju ofiara, jeżeliby przez Boga mogła być przyjęta, w bardzo niekorzystném świetle Boga-by postawiła, gdyżby to była miłość jednostronna, po chwilowym jakimsić współudziale obustronnym, w końcu sama z sobą się tylko bawiąca. To z jednéj strony wychodziłoby na egoizm, z drugiéj strony Bóg zmuszony byłby dla swojéj satysfakcyi wiecznie duchów tworzyć, któreby w nim gasły, bo-by sobie sam nie wystarczał, coby było wielkiém ograniczeniem z Ideą Boga pogodzić się nie dającém. Byłby to rodzaj gry panteistycznéj siebie samego z sobą samym, i nic więcéj. Miłość wprawdzie ma jedną stronę, która może dać powód do tego rodzaju fałszywych stosowań. Bo charakterystyczną cechą miłości jest to, iż siebie niéma na piérwszym względzie, tylko że szczęście swoje upatruje w cudzém szczęściu. Ztąd zdaje się, że o siebie wcale nie dba. Miłość żyje poświęceniem. Najszczytniejsza dla niéj rozkosz nie jest własny interes, ale ofiara z niego, dla dobra cudzego niesiona. Podług tego, gdy dwie osoby wzajemną miłością ku sobie pałają, ponieważ każda z nich szczęścia swojego szuka w drugiéj, zdawałoby się, iż istnienie swoje zamieniają, i nie dbając o własne mieszkanie, porzucając własną swą osobowość każda z nich nie u siebie, ale u drugiéj mieszka. To daje pozór, że osobowość w miłości ginie, zwłaszcza kiedy egoizm, który wszystko do siebie odnosi, tak jéj jest przeciwny, i żadną miarą z nią pogodzić się nie da. Podług tego, miłość byłaby wyzuwaniem się z własnéj osobowości, a życiem dla cudzéj osobowości.

Udajmy się z takiém pojęciem miłości na stronę Boga, i zobaczmy jaką postać w skutku tego rzeczy wezmą. W takim razie stworzenie świata duchowego nie mogłoby niczém innném być tylko ciągłém zamienianiem się Boga w cudzą

exystencyą, rodzajem emanacyi, rodzajem wylewania się w cudzy byt, i niewracaniem w siebie, niezostawaniem w sobie, czyli innemi słowy, gubieniem siebie, ronieniem swojéj exystencyi, aby inne istoty były szczęśliwe; co o Bogu przypuszczać byłoby wielką niedorzecznością. Na stronie człowieka, jakeśmy widzieli, skutkiem miłości byłoby jego zniknięcie, utonięcie w Bogu, któregoby jednak, podług powyższego, w domu niebyło, albo któryby, jeżeli się godzi tego porównania użyć, ciągle był na wyjezdnem w cudzą exystencyą. Jeżeliby zaś taki miał być rezultat miłości obustronnej, który ze strony Boga kończyłby się ciągłem uronieniem, ubożeniem, ze strony człowieka zaś kończyłby się rodzajem śmierci, tylko z przyjemniejszém przejściem: pytam się, coby to za miłość była, któraby taką ofiarę drugiéj strony przyjąć mogła. Musiałaby chyba przestać być miłością; zgoła zniszczyłaby sama siebie.

Z tego rozbioru okazuje się, że miłość o tyle tylko może mieć miejsce, o ile osobowości naprzeciwko siebie istnieć będą. Osobowość zaś stoi na odrębnym bycie, wyłączającym się ze wszystkiego, a co się w tym akcie dzieje, kiedy się ustanawia jako „Ja.“ Lecz to zdaje się zakrawać na egoizm, któryśmy wyżéj słusznie potępili jako absolutnie miłości przeciwny i jako źródło złego moralnego w sobie mieszczący, gdyż miłość właśnie zapomina o sobie. Aby z téj sprzeczności wyjść, należy tę uwagę zrobić, iż każde „Ja“ w zawodzie praktycznym pod dwoma względami bardzo od siebie odmiennemi może być uważane. Zawsze ono będzie podstawą osobowości, ale od tych względów moralność lub niemoralność zależeć będzie. Jeżeli nasze „Ja“ i interes jego własny stawiamy jako absolutny cel przed sobą, któremu wszystko ma być poświęcone, wówczas będzie to brudny egoizm prowadzący do wszelkiego złego, istne zwichnięcie przeznaczenia naszej osobowości nietylko potępienia godne,

ale zaród potępienia samo w sobie noszące, bo niczém nienasycone i wiecznem pragnieniem dręczone, jako szukające zaspokojenia tam, gdzie go nigdy być nie może; bo nie w miłości Boga i bliźniego. Jeżeli zaś naszego szczęścia szukamy w szczęściu drugiego, i wymagania naszego własnego interesu ograniczamy szczęściem ukochanego przedmiotu do tego stopnia, iż nawet ofiary gotowi jesteśmy ponieść, co inaczéj nazywa się poświęceniem, jak to w rzeczy saméj ma miejsce w miłości: wówczas nasze „Ja“ nie będzie absolutnym i wyłącznym celem, ale tylko warunkiem nieodzownym, bez którego szczęście ukochanéj osoby, a przynajmniéj bez którego miłość miejsca mieć nie może. Taki warunek, bez którego się obejść niemożna, nazywa się warunkiem negacyjnym. A że bez naszego „Ja,“ bez naszéj osobowości miłość do skutku-by przyjść nie mogła, więc ta część miłości, któréj nasza osobowość nie tak celem, jak środkiem, jak warunkiem niezbędnym jest, nazwaćby można negacyjną stroną miłości, negacyjną miłością, ograniczającą się miłością; gdy tymczasem druga strona, w ukochanym przedmiocie cel swój mająca, jest czynną stroną miłości. Zawsze rzeczą jest oczywistą, że aby z cudzego uszczęśliwienia zrobić cel własny, aby się cudzém szczęściem cieszyć, trzeba się koniecznie wrócić do siebie i oprzéć się na swojém „Ja,“ tylko z tą różnicą, że to nasze „Ja“ nie będzie na *piérwszym,* tylko na *drugim* planie. Kiedy zostając na piérwszym planie i mając siebie za wyłączny cel nazywało się brudnym egoizmem, to przeciwnie tutaj, gdzie tylko negacyjne stanowisko zajmuje, to jest: gdzie się ze swojéj osobowości tylko nie wyzuwa, możnaby go dla rozróżnienia nazwać „egoicznością,“ na co polski wyraz „Jaźń“ (od „Ja“) jest proponowany. Przez to nie chcemy nic innego wyrazić, tylko, że nasze „Ja“ trwa zawsze i nie zginęło. Tak więc miłość o tyle tylko może mieć miejsce, o ile osobowości naprzeciwko

siebie zostają. Jest to nader ważna uwaga, którą dobrze w pamięć wbić należy, bo jedynie na tej podstawie mogą się rozwinąć dalsze dzieje świata duchowego. Nie jest tu mowa o miłości patologicznéj, o namiętności miłości, która tylko jest odbiciem stosunku duchowego głęboko w fizyczny porządek natury sięgającém, lecz o owym stosunku duchowym, który ma przetrwać świat zmysłowy i ma stanowić urok wieczności, świętych obcowanie.

Taka miłość, jako absolutny cel stworzenia, może się tylko zjawić na łonie wolności. Bez wolności miłości niéma. Tylko dobrowolne łączenie się istot duchowych, wolnością obdarzonych, między sobą i z Bogiem, zrodzić może miłość. Ale samo tylko połączenie jako całość, jako zjednoczenie, dopiéro rozum do jedności dążący zaspokaja; lecz urok, jaki w tém złączeniu jest przy zachowaniu osobowości, to co istotę miłości stanowi, — to dopiéro zdolne jest uczynić zadosyć nie tylko wymaganiom rozumu, ale i pragnieniom serca. Dla tego miłość tylko jako najwyższa, jako absolutna prawda może być postawiona na czele spraw świata, stanowiąc główny powód stworzenia go ze strony Boga. Miłość też łącząca dobrowolnie istoty duchowe między sobą i z Bogiem jest ostatecznem ich przeznaczeniem i zaspokojeniem. Bez niéj zaspokojenia niéma, bo człowiek więcéj jeszcze jest pragnieniem, jak myśleniem i rozumowaniem. A chociaż fizyczny mając początek nie jest on jeszcze zaraz na tém stanowisku, na którémby te wielkie prawdy jasne były, to jednak pragnienie już z sobą na świat przynosi, które niczém innem nie jest, jak ślepém szukaniem téj nadziemskiéj miłości, bo w niczém innem zaspokojenia znaleść nie jest w stanie.

DUMANIE 68.

Miłość nie tylko jest sprawą serca, ale zarazem najważniejszą sprawą spekulacyi. Bez osobowości i bezwolności jéj niéma.

Miłość zwykle tylko jako sprawa serca jest uważana, jako obfity temat ku zbudowaniu i pokrzepieniu uczucia religijnégo; ale dość upowszechnione jest zdanie, że pod względem ściśle naukowym nie przedstawia dość ważnych materyałów, by na niéj jakikolwiek systemat oprzeć. Tymczasem głębszy rozbiór przekonywa, że kategorya miłości jest najbogatsza, że wszystkie najwyższe idey w niéj się mieszczą, i że tylko za pomocą jéj rozwiązać można te nieprzebyte trudności, których na innych stanowiskach przezwyciężyć niemożna było. I tak stworzenia nie można było inaczéj pojąć tylko jako urzeczywistnienie idealnego świata odwiecznie w myśli Boskiéj będącego, czyli inaczéj mówiąc, jako zamienienie w prawdę rzeczywistą, co tylko było li idealne, ponieważ prawdą nazywamy zgodność tego, co idealne, z rzeczywistością. Idea więc absolutnéj prawdy była celem stworzenia. W czémże ta absolutna czyli najwyższa prawda mogła się mieścić? co nią było? — Nic innego tylko miłość. Bóg nie mógł poprzestać na stworzeniu świata fizycznego, o sobie niewiedzącego, jakkolwiek pięknego. Powodując się miłością chciał, aby były istoty własny byt w wolności mające, nim się cieszące, o sobie i o świecie wiedzące, i Stwórcę swego nie tylko uznające i chwalące, ale i miłością się z nim i między sobą łączące. Jeżeli świat fizyczny był aktem Jego wszechmocnéj woli i mądrości, to stworzenie człowieka, stworzenie istoty duchowéj, jako własne cele sobie stawiać, własny świat sobie stworzyć i nim się cieszyć zdolnéj, nie mogło być, jak tylko aktem Jego miłości. Jeżeli

Bóg, stwarzając świat, jako cel ostateczny miał urzeczywistnienie absolutnéj prawdy, a jeżeli ta absolutna prawda w najwyższéj swojéj potędze na stronie Boga okazuje się być miłością, tak, iż nic wyższego nad nią wynaleść się nie da: to téż i dla człowieka, jako istoty duchowéj, mającego w wolności moc nadaną stworzyć sobie własny świat, nie może być innego absolutnego celu, jak urzeczywistnienie absolutnéj prawdy. A że ta absolutna prawda na stronie Boga okazała się miłością, więc téż tém bardziéj na stronie człowieka nie tylko na zasadzie wdzięczności, ale i na zasadzie ostatecznego zaspokojenia, którego każdy pragnie, urzeczywistnienie miłości przez dobrowolne łączenie się z Bogiem i z bliźniemi musi być ostatecznym jego celem; bo po za obrębem miłości Boga, ku wam idącej i od nas ku niemu ręce wyciągającéj, nie może być nic innego tylko piekło żądzy, nieugaszoném pragnieniem swojém dręczącéj, a nigdy zaspokojenia znaleść nie mogącéj. Bierzcie miarę z doczesnego bytu waszego, chociaż tylu zmartwieniami przeplatanego, tylu słabościami i ułomnościami moralnemi zanieczyszczonego, co Wam życie najwięcéj osłodziło, jeżeli nie miłość? Nie mówię tu o owéj miłości namiętnéj, która wprawdzie ma swoje roskosze przemijające, ale ma téż swoje katusze, lecz o owéj spokojnéj, cichéj, szlachetnéj miłości, która człowieka od zwierzęcia rozróżnia, która się nad zmysłowość podnosi. Wszakże to ona próżnią serca wypełnia, ciepłem swojem w zimnych chwilach obojętności lub bezczynności grzeje, familią w raj zamienia, ludzi do siebie zbliża, kojarzy, rodzi przyjaźń, wszystkie stosunki ułatwia, uzacnia, uszlachetnia, na wszystkich błogi byt sprowadza, narodom daje spojność w miłości ojczyzny, któréj nic rozerwać nie jest w stanie; panującego z ludem, lud z panującym jednoczy, życzliwością wszystkich ogarnuje i najwyższy powab życiu nadaje, a nawet w ciężkich chwilach, kiedy

upadacie pod srogiemi ciosami, od których was świat doczesny zasłonić nie jest w stanie, odpędza jeszcze od Was rozpacz, wiedzie was do stóp ołtarza, i odsłania wam tę wielką prawdę, że miłość nie na to tu zesłana, aby u grobu swój kres znalazła, lecz że sięga przez całą wieczność i że nad śmiercią panuje. Wynieście miłość z życia, a w téj chwili ziemia zamieni wam się na istne piekło. Wszakże wszędzie, gdzie potęga piekła otchłań swoją otwiéra i między ludźmi się zjawia, jedynie brakowi miłości przypisać to należy. Wszystkie dolegliwości życia, jakie na ród ludzki z nadużycia wolności spadły, a których tak wielka jest massa, w braku miłości mają sweź ródło, i nie mają innego znaczenia, jak tylko, aby były najdobitniejszém ostrzeżeniem dla wszystkich, coby jeszcze wątpić chcieli, że to miłość jest najwyższą prawdą, najwyższym celem człowieka, i przez to samo jego zbawieniem. Chce kto wiedzieć, gdzie jest najwyższe jego szczęście? — W miłości Boga i bliźniego. Gdzie jest źródło moralnie złego, gdzie źródło moralnie dobrego? — Miłość Boga i bliźniego, lub brak jéj. Jeżeli absolutnym celem stworzenia, a mianowicie też człowieka jest łączenie się dobrowolne w miłości z Bogiem i z bliźniemi, i jeżeli w tym kierunku leży wszystko, co jest moralnie dobrém, wówczas jest rzeczą jasną, że jeżeli w przeciwnym kierunku absolutnego celu szukać będziemy, jeżeli z czego innego absolutny cel życia naszego zrobimy, w moralnie złe wpadniemy. Żeby w niczém nie przesadzić, kładziemy tu główny akcent czyli nacisk na absolutność celu. Jeżeli miłość Boga jest absolutnym celem człowieka, to to nie pociąga za sobą, iżby wszelkie inne cele, jakie człowiek sobie zamierzyć może, miały być zaniechane. Bo skoro Bóg nadał człowiekowi wolną wolę, a przez to samo zdolność stworzenia sobie własnego świata, to też pozwolił mu cieszyć się nim. Tylko ten własny jego świat niepowinien być w ni-

czém w sprzeczności z absolutnym celem miłości. Byłby zaś w każdym razie w sprzeczności, gdybyśmy cokolwiek innego do godności celu absolutnego podnieśli, bo dwa absolutne cele, zwłaszcza sobie przeciwne, obok siebie istnieć nie mogą, a jeżeli nie są sobie przeciwne, to w jeden się zleją; np. niemożna Boga miłować nad wszystko, a bliźniego jak siebie samego, i mamonę tak samo. Lecz jeżeli majątek nie będzie ostatecznym celem i zabiegi około niego będą zawsze miarkowane poglądem na prawdziwy absolutny cel, wówczas, coby było w nich niemoralnego, niewątpliwie jako zuzel od dobrego metalu, wyłączone zostanie, i nie będzie odwodzić od absolutnego celu.

Skoro miłość Boga i bliźniego jest absolutnym celem, więc też przez to samo jest obowiązkiem. Lecz jak można miłość komu nakazywać, kiedy wymuszona miłość przez to samo przestaje być miłością, kiedy miłość musi iść z serca, sama z siebie, musi być dobrowolném wylaniem uczucia, a wszelki przymus ją zabija? — Na to odpowiemy, że nakaz, obowiązek niczém innem tu nie jest, tylko wyrzeczeniem, w czém ostateczne przeznaczenie, a zatém i najwyższe szczęście człowieka leży. Wprawdzie nie jest mu odjęta wolność szukania go gdzieindziéj, ale ostrzega go się zawczasu, że go w niczém innem nie znajdzie, i że się tylko na zgubę naraża. Na to wreszcie samo doświadczenie człowieka coraz więcej naprowadza. Jeżeli zaś zepsucie moralne coraz bardziéj od absolutnego celu go oddala, i zamiłowanie w złém go owładnie, wówczas nie pozostaje, jak usilna praca nad sobą, aby oczyścić wolę swoją, uprzątnąć zawady do dobrego, uwalniać duszę od roskoszy grzesznych, a w miarę postępu téj pracy pociąg do złego będzie coraz słabszy, wola do dobrego stanie się coraz silniejsza, duch odzyska coraz więcej przyrodzony mu polot do téj prawdziwéj miłości, która jest ostatecznem jego przeznaczeniem, a tém

samém i największém jego uszczęśliwieniem. Ponieważ człowiek jest stworzeniem wolnością obdarzoném, pamietać należy, iż istota wolności na tém się opiera, ażeby on był własnym swym czynem. Może mu być pomoc podawana, łaska ofiarowana, pomimo to skutku to nie przyniesie, jeżeli jego wola na zasadzie wolności jéj służącéj z tego użytku nie zrobi. Taka jest natura moralnych stosunków, bo świat duchowy jedynie na wolności stoi, bez niéj nie byłoby go wcale..

DUMANIE 69.

Kategorya miłości jest najwyższą kategoryą i rozwiązuje najwyższe zagadnienia spekulacyi.

Kategorya więc miłości jest najwyższą kategoryą i zarazem najobfitszą. Mieści ona w sobie nietylko nieocenione skarby serca, ale zarazem najgłębsze prawdy rozumu i rozwiązuje najwyższe zagadnienia spekulacyi, których wszystkie inne kategorye, jakeśmy widzieli, rozwiązać nie były w stanie. Wcale zatém niewłaściwie filozofia dotychczas tę kategoryę lekce sobie ważyła, i raczéj za rzecz uczucia, z którą myśl nie miałaby co począć, ją uważała. Tymczasem mieści ona właśnie wszystko to w sobie, o co spekulacya najbardziéj się kusi, i do czego na innéj drodze dojść niepodobna. — Naprzód jest ona najoczywistszym dowodem osobowości Boga i osobowości człowieka, gdyż miłość nie może mieć miejsca, tylko między osobowościami naprzeciwko siebie stojącemi i jako takie trwającemi. Pomimo to te osobowości jednoczą się w absolutném połączeniu uszczęśliwienia, nie tracąc nic ze swojego odrębnego bytu., Na stronie Boga miłość jedynie zdolna jest wytłómaczyć absolutny cel stworzenia. Miłość dopiéro dla nas uzupełnia wyobrażenie Boga, gdyż bez niéj pojąć go nie-

podobna. Wszystkie doskonałości, jakie sobie wyobrazić możemy, braku miłości w wyobrażeniu Boga zastąpićby nie zdołały. W skutek miłości, jaką Bóg do kreatury powziął, mógł się dopiero świat duchowy zjawić, bo bez niéj niemógłby istnieć, a przynajmniéj byłby największą anomalią. Na stronie człowieka miłość łączy go z Bogiem, i z równymi sobie, a nawet ze światem, nie przynosząc jego odrębnemu bytowi najmniejszego uszczerbku, owszem rozprzestrzeniając go do najwyższego stopnia, bo miłość wszystko ogarnuje. Miłość stawia mu najwyższy cel życia i zarazem jest źródłem nietylko cnoty, ale i uszczęśliwienia jego tak doczesnego jak wiecznego. Miłość zaspokaja rozum, ale też i pragnienia serca. Za miłością idzie wolność, bo miłości bez wolności pojąć niepodobna, gdyż miłość jest dobrowolne lgnienie serc do siebie. Wolność zaś sama, gdyby była, a miłościby nie było, któraby istoty wolą obdarzone jednoczyła, podobnaby raczéj była do miny przez kogoś niebacznie założonéj do rozsadzenia jedności świata duchowego. Wola, wolność znowu niemoże być bez myśli, bez świadomości o sobie, bez świadomości o świecie, i bez świadomości o Bogu. Za myślą idzie cały świat idealny w głowie człowieka się mieszczący. Za myślą i wolą idzie cały świat praktyczny, którego człowiek jest twórcą. Myśl i wola mają nareszcie za podstawę byt subjektowy i objektowy, bo-by bez téj podstawy nic urzeczywistnić nie były w stanie. Tak więc wszystkie kategorye poprzednie, tak kategorye ontologiczne bytu, jako też kategorye logiczne myśli, mieszczą się w kategoryi miłości, która zawierając w sobie absolutny cel i stanowiąc prawdę podrzędnéj sobie kategoryi wolności, jest punktem kulminacyjnym najgłębszéj spekulacyi a zarazem przystępnym zdrojem każdemu sercu pragnieniem dręczonemu choćby do głębszych badań podnieść się niezdolnemu. W kategoryi miłości łączy się teorya z praktycz-

nością, nauka z życiem, wiara z rozumem, filozofia z religią, doczesność z wiecznością, człowiek z Bogiem i z sobie równymi, prywatne z publiczném życiem, familia, naród, ludzkość cała zyskuje spojność, a indywidualny człowiek rękojmią wiecznego bytu. Kategorya miłości rozwiązuje wszystkie wielkie kwestye: osobowości Boga i człowieka, kwestyą stworzenia i celu jego, kwestyą woli, wolności i ostatecznego przeznaczenia człowiek, kwestyą upadku i odkupienia jego, kwestyą objawienia, kwestyą doczesnego i przyszłego bytu, i rzuca światło na wiele innych kwestyj, które bez niéj zostały-by zagadką, jak to później zobaczemy. Doszliśmy zaś do kategoryi miłości, za pośrednictwem kategoryi wolności, którąśmy w człowieku jako fakt niezaprzeczony znaleźli, a któraby bez miłości największą sprzecznością w duchowym świecie była, jakeśmy to widzieli. Stwierdza ona się wreszcie dobroczynnemi skutkami swojemi, gdziekolwiek w życie przejdzie, i przez to najlepiéj się legitymuje jako posłannica z wyższego świata, w ten padół jak go nazywają płaczu, zesłana.

Wolność, jakeśmy wyżéj widzieli, ma negacyjną stronę. Ta jest nieodzownym warunkiem, bez którego istnieć nie może. Tę wolność z negacyjnéj strony uważaną nazwaliśmy dowolnością *(liberum arbitrium)*. Nie jest to cała wolność, ale tylko wolność wyboru. Skoro człowiek postawiony jest w tém położeniu, iż ma wybierać, całe jego działanie musi się decydować między dwoma przeciwnemi sobie kierunkami. W najogólniejszém znaczeniu te dwa przeciwne sobie kierunki rozpadają się na złe moralne i na dobre moralne. Wolność więc oznacza się bliżéj, jako możność wyboru między złém moralném a dobrem moralném. Pomijamy tu wybór między rzeczami moralnie (czyli względnie ostatecznego przeznaczenia człowieka) obojętnemi, i bierzemy od razu dwie najbardziéj ze sobą sprzeczne, a przez to naj-

bardziéj nam zawadzające ostateczności. Lecz to nie wyczerpuje jeszcze pojęcia wolności. Skoro wybór ma być jéj dziełem, nie może być obojętném, na którą stronę jéj wybór padnie, czyli wybierze złe, czy dobre. Złe moralne ogólnie biorąc jest to, co być nie powinno. A zatém wolność tém samém obierać go nie powinna, chociaż uczynić to może; więc raczéj dobre ma być przedmiotem jéj wyboru. Na to potrzebaby wiedzieć, co stanowi złe moralnie, a co dobre moralnie? — W najogólniejszém znaczeniu moralnie złe jest to, co odprowadza człowieka od ostatecznego jego przeznaczenia, przeciwnie moralnie dobre jest to wszystko, co jest na drodze do ostatecznego jego przeznaczenia. Cóż więc jest tém ostateczném przeznaczeniem? — Widzieliśmy, że nim nic innego być nie może, tylko połączenie się istot duchowych dobrowolnie w miłości z Bogiem i między sobą, któremu to połączeniu, aby nie było przymusem, musi służyć i możność niełączenia się, a co właśnie stanowi złe moralne. Tak więc wolność uważana ze strony ujemnéj, negacyjnéj, jest tylko wolnością wyboru, mającą się decydować między złém a dobrém, a zatém na żadnych cuglach się jeszcze nie trzymającą. Ale wolność ze strony czynnéj, pozycyjnéj, nie jest to ta wolność rozkielzana, samopas bez celu chodząca, albo za zgubnemi celami się ubiegająca; lecz owszem jest to ta wolność sama siebie na wodzy trzymająca ciągle ostateczne przeznaczenie przed oczyma mająca i na drodze ku niemu prowadzającéj się posuwająca, czyli innemi słowy: wolność w znaczeniu pozycyjném uważana nie jest niczém inném, tylko dążeniem do owéj miłości, która ma się stać własnym czynem człowieka i doprowadzić go do absolutnego celu jego stworzenia.

DO CZCIGODNEGO
STANISŁAWA JACHOWICZA.

Do wieńca, co w swe garnie ramiona
Wawrzyn i niezapominki,
Oto jest mrozem troche spóźniona
Trawka, z ogródka Litwinki.

To opóźnienie czém wynagrodzę?
Przybywam na sam ostatek!
Mój dar tak mały!... ale przychodzę
W imieniu *Litewskich* dziatek.

Tyleś prawd zasiał pomiędzy nami,
Wszystko się krzewi i kwieci:
Dziatki z kolei już są matkami,
I prawd tych uczą swe dzieci.

Z drzewa jest owoc, z owocu drzewa,
Tak się też krzewią nauki.
Zacny śpiewaku! wszak Cię nie gniewa,
Że w Litwie masz swoje wnuki?

Modlitwa Twoja za polskie dzieci
Musi być Bogu przyjemna:
Niech więc Twój krzyżyk Jemu poleci
Dziatki z nad Wilii, z nad Niemna!

Horodziłłów, na Litwie.

Gabryela z Hr. Güntherów **Księżna Puzynina.**

ZIELONA SUKIENKA.

Wspomnienie z życia Starego Majora.

Choć życie krótkie, są chwile w życiu,
Których czas nigdy nie strwoni:
To kwiat, co pachnie i po przekwiciu,
Godzina, co zawsze dzwoni!!

G. G.

Już sprzątywano przybór herbatni ze stolika, około którego siedziało kilkanaście osób różnego wieku, gdy z całego grona najładniejsza i najmłodsza panienka powstała i wyszła, mówiąc, że idzie po swoją robotę. W chwilkę potem zerwał się młodzieniec, który zajmował miejsce koło panienki, i wyszedł także; ale innemi drzwiami, jak ona.

«Ouf!» ozwała się jedna z Dam, jeszcze młoda; ale ułożenia bardziéj męskiego, niż niewieściego. «Ouf!» powtórzyła, jakby zdjęto ciężar z jéj piersi.

—«Cóż to?» spytała uprzejmie gospodyni domu. «Może Pannie Weronice gorąco od samowaru? może okno otworzyć?»

«Ale nie!» rzekła śmiejąc się P. Weronika. «Moje ouf! pochodzi z radości, żeśmy się pozbyli owéj wzdychającéj i szepczącéj pary, która nam całe towarzystwo paraliżuje.»

—«Nie sądziłem aby widok szczęśliwych (to rzadkie zjawisko na ziemi!) mógł tak być przykry dla Pani?» ozwał się poważnie jegomość z bielejącym już włosem i wąsem. «Jeżeli szczęśliwi, życzę im szczęśliwéj drogi!» odrzekła niestropiona wymówką P. Weronika. «Doprawdy, pojąć nie mogę,» dodała, «dla czego to zawołane uczucie *miłość*, nie natchnie zakochanych większą rozmaitością? Ale zawsze jedno i to samo, aż ckliwo słuchać ich rozmowy.»

—«To nie słuchaj» rzekła gospodyni. «Tegoż właśnie i jedynie, wymagają zakochani od ogółu. Pamiętam, kiedy byłam zaręczoną, pragnęłam mieć aniołów za świadków mojéj rozmowy z narzeczonym. Nie stroniłam nawet od oka ludzkiego; ale co ucha, to lękałam się szczérze; bo wiadomo, że za uchem idzie języczek...."

«Jeżeli to ma być coś tak świętego i budującego, to po cóż tajemnice?» przerwała znowu nieprzekonana P. Weronika. «Gdybym ja była zaręczona, chciałabym owszem, aby mój przyszły głośno ze wszystkiemi i przy wszystkich rozmawiał; bo w odpiéraniu zdania cudzego, dałby się poznać lepiéj, niż w téj cichéj sam na sam rozmowie z narzeczoną. gdy prawi, co chce, i chwali się, jak chce, pewny, że go nikt nie zbije, nie zaprzeczy, a zakochana od razu uwierzy.»

—«W taki sposób, jak chcesz mieć narzeczonego, my wybiéramy męża,» rzekła gospodyni; a i tak nawet omylić się można. Czy raz ten co najpiękniéj dowodzi przy ludziach, najgorzéj działa? bo pod kwiecistą wymową kryje się często ubóstwo serca, jak pod bujną trawą bagnisko....

«Zgoda na to,» rzekła P. Weronika. «Ale powiedźcie, czy warto po całych godzinach siedzieć ręka w ręku, oko w oku, aby słyszeć i powtarzać wyrazy tysiąc razy słyszane i mówione?»

—«Przepraszam,» przerwała gospodyni domu. «Oprócz, że rozmowy narzeczonych mają na celu układanie planów

na przyszłość, słowa na pozór *też same*, służą na wykrycie nie jednego odcienia serca i myśli; bo te słowa choć powiedziane i słyszane sto razy, ale za każdym razem *inaczéj wymówione* (gdy się ich sercem słucha i sercem na nie odpowiada), tworzą harmonią tak piękną, tak wielką, że się ją przez całe życie pamięta!»

—«Ach to prawda!» ozwała się dziwnym tonem najpoważniejsza z towarzystwa, więcej jak sześćdziesięcioletnia staruszka. «Pamięć moja, tak dawniéj wierna, już z każdym dniem się osłabia, zapominam się co słowo, mylę się w datach, w nazwiskach, nie potrafię zagrać na fortepianie, ani wyszeptać głosem owych trudnych aryj z oper, które na pamięć bywało wykonywałam. Ale nutę piosenki o Zosi, co to: „*Jak koza dzika, od Stacha zmyka*“ i t. d., którą mi śpiewały towarzyszki w czasie, gdy się starał o mnie mój jegomość; ale słówka mojéj z nim rozmowy na żelaznym ganeczku w mieszkaniu mojéj siostry, gdzie przebyłam czas moich zaręczyn, — te najmniejsze drobnostki niedostrzeżone, niedosłyszane dla obojętnych, — o! te mi stoją ciągle w pamięci, bo je czuję, jak gdyby dziś się stały, — i chyba tylko w godzinę śmierci pójdą na bok dla ważniejszych myśli!»

Panna Weronika milczała, może nie zupełnie przekonana; ale przynajmniéj przegadana.

Słuchał téj rozmowy Major Osowski, i od czasu do czasu pokręcał siwego wąsa.

«Śmiejesz się z nas, Panie Majorze,» rzekła gospodyni domu, «a jako kawaler, podzielasz zapewne zdanie P. Weroniki, i uważasz za niepotrzebne i nudne te czułe rozmowy między narzeczonemi?»

—«I owszem» odrzekł poważnie P. Major. «Ja zdania P. Weroniki nie podzielam, a jeśli się uśmiecham, to nie z szyderstwa; ale z przypomnienia właśnie jednéj z tych

drobnostek, o których słusznie Panie przed chwilą mówiły, że one najważniejsze wspomnienia przeżyją.»

«Jak to? P. Major ocenia drobnostki? To rzecz bardzo ciekawa!» zawołała P. Weronika.

—«Zapewne coś z czasów wojennych, jakiś wypadek obozowy?» dodała gospodyni domu.

—«O nie!» odpowiedział P. Major. «Jest-to wspomnienie z czasów pokoju a nie wojny. Rzecz tu idzie o *zieloną sukienkę.*»

«Opowiédz nam to, Panie Majorze» ozwała się matrona, a całe towarzystwo podwoiło uwagi.

—«Nie bronię się,» rzekł Major «i gdybyście Panie o to mię nie prosiły, to-bym się może sam dopomniał o trochę uwagi; bo takie rzeczy są miłe do odnowienia, i człowiek w ich wspomnieniu się odmładza.»

«Słuchamy zatém, słuchamy!»

Pan Major poprawił się na krześle, zamyślił się głęboko, podobno westchnął, i tak mówić zaczął:

«Nie o młodości mojéj mówić Wam będę; bo młodym nie byłem nigdy, — może dla tego, że wcześnie żyć zacząłem — a żyć nie dla roskoszy, ale dla cierpienia, — bo piérwszym celem mojéj miłości nie była kobiéta; ale kraj. W jakim-to było roku? w jakiéj sprawie? czym co zdziałał? to do mego dzisiejszego opowiadania nie należy. Wszak obiecałem Wam coś *drobnego*, a tam to *inne* były rzeczy! Dosyć, że siadłszy na konia pacholęciem, nie dla żartu ani dla popisu, ale z potrzeby i z zapału, znalazłem się nagle daleko, daleko od mojéj strzechy... w obec twardéj skały, która mi świat cały zasłaniała! Kując tę skałę dniem całym, chyba nocą i to we śnie czułem się swobodny. Takie życie trwało lat cztéry.... Z dziecka stałem się człowiekiem, nawet starym człowiekiem, — z doświadczenia i rozczarowania, — a jednak młodym i silnym nadzieją; bo *nadzieja*

ostatnia w sercu człowieka umiéra; bo *nadzieja* jedna towarzyszy do grobu; bo *nadzieja* nawet na twardéj skale wyrasta! A że poeci nadali jéj kolor zielony, jakby wiecznéj wiosny, zawsze się w téj barwie ukazywała, jakby widzenie, oczom duszy mojéj. Ona mi umaiła nie jedną zimę; ona mi była majem w Maju; nazywałem ją moją *wiosną*, moją *topolką*, moją *panną w zieleni*; w końcu nawet *moją narzeczoną*. Z nią ciągle, z nią zawsze, i skała była dla mnie mniéj twardą! A kując ciągle i szczérze; bo *nadzieja* mi dopomagała w pracy, wybiłem się w końcu na swobodę, na wolność, — i ujrzałem się znowu w moim kraju, śród moich braci, śród ludzi mówiących moim językiem, rozumiejących myśli moje. Jednak nie od razu, ale stopniowo przyszło mi wracać do dawnego życia. Długo jeszcze choć na swojéj ziemi, choć śród swoich braci, trzeba mi było nie po moich ścieżkach chodzić. Ale moja *wiosenka*, moja *topolka*, moja najmilsza *narzeczona*, *nadzieja*, co i gorsze chwile potrafiła umilić i doprowadziła zdrowo nad rodzinną mą rzekę, — ona mię i wówczas podtrzymywała, cieszyła, nie opuszczała na chwilę. Widziałem ją nawet w barwie mundurów moich naczelników, i w suknie mojego inżynierskiego stolika! A kreśląc mappy, gdy przychodziło mi używać zielonego koloru dla odznaczenia lasów i zarośli, to i tam ona się do mnie uśmiéchała, jakby szepcząc: „Cierpliwości! będzie lepiéj...“ I minęło tak lat 12. A po latach dwunastu, wierna mi moja *nadzieja* wyprowadziła mię z labiryntu na szérszy, swobodniejszy gościniec, — aż pod dach człowieka, który mnie w złych chwilach odwiedzał, i mimo grubego odzienia do serca nie raz przycisnął. W domu jego znalazłem odpoczynek a razem i zajęcie, które wdzięczność uczyniła mi lekkiém. Było-to wiosną, a *nadzieja* moja, która już po raz drugi dotrzymywała słowa, — jak ptaszek długo chowany w klatce, chociaż klatka stała otworem, nie odlatywała daleko, — tylko w gaje i la-

sy otaczające dom, — i z tamtąd głosem kukułki lub słowika odzywała się niekiedy do mnie, i znowu wracała do klatki, to jest do mego serca, aby mi nową radość przepowiadać.... Wieś mojego przyjaciela nazywała się *Otulną*. Za ogródkiem był kościołek parafialny, a daléj trochę w schludnéj plebanii mieszkał zacny proboszcz. Był on przez czas długi jedynym moim sąsiadem i rozrywką na długie jesienne wieczory. Zbierali się do niego w niedzielę parafianie i parafianki, między niemi były i młode i ładne; ale żadna z nich nie była podobną do mojéj *panny w zieleni*, któréj ideał nosiłem głęboko w sercu wyryty, jakbym go wraz ze skałą wykuł, i może dla tego obojętny, jak skała, unikałem kobiet. Tę moją stałość dla kochanéj *nadziei*, brano ogólnie za nieśmiałość kilko-letniego mieszkańca północnéj strefy, Znalazły się takie, co brały na siebie, aby mnie przyswoić; ale gdy usiłowania były nadaremne, dano mi w końcu pokój. Niedaleko plebanii i kościoła, w osobnym dworku, mieszkała samotna wdowa.— Lubiłem do niéj uczęszczać; bo choć niepodobna do *nadziei*, bardziéj chyba do *tęsknoty*, głęboki jéj smutek po odjeździe wszystkich dzieci, wzbudzał we mnie sympatyą, współczucie i uszanowanie. Mówiła mi często o swoim synie w korpusie kadetów, o swoich córkach kończących nauki w instytucie; ale mnie to wszystko przechodziło mimo uszu; zajęty własnemi myślami, nie zważałem na obce wyrazy, a jednak chodziłem tam codzień ciągniony jakiémś przeczuciem, którego prawdziwego powodu nawet *nadzieja* odgadnąć nie mogła.»

«Minęła zima niepostrzeżenie; bo bez odmian. Zaczął się drugi rok mego pobytu w Otulnie. Z końcem Czerwca najęwszy konie w miasteczku, wyjechała moja wdowa do miasta gubernskiego, dla zabrania jednéj ze swych córek na wakacye. W tydzień była z powrotem. Nazajutrz przypadała niedziela. Gdym szedł do kościoła mimo domku wdo-

wy, ujrzałem w okienku z po za bzów gęsto zarosłych do koła, parę niebieskich oczu, ciekawie, ale roztropnie patrzących. Te oczy nie były oczami wdowy, a więc jéj córki.... I niebawnie gdy już zaczęto zbiérać się do kościoła, a w ławkach zasiadły damy z sąsiedztwa, — ujrzałem obok wdowy i ową parę niebieskich oczu, należących do młodziutkiéj panienki, ubranéj (nie wierzyłem długo oczom moim) *w zieloną sukienkę!* — «O nadziejo moja!» zawołało serce zalane niewypowiedzianą radością, — zdawało mi się z razu, że biorę marzenie za rzeczywistość, a było to owszem sprawdzeniem moich marzeń! Córka mojéj wdowy miała imię Celina. — Pokochała ją od razu żona mojego przyjaciela, która przepędziwszy zimę w mieście, część lata miała zabawić w Otulnie. — Brała ona z sobą Pannę Celinę na przechadzki, czytały razem, zajmowały się robotami i muzyką. — Ja byłem coraz weselszy, ale razem i coraz mniéj śmiały, a przez to i nie wymagający. — Dosyć mi było błyśnienia *zielonéj sukienki* koło mojego okienka, przy którém zwykle pracowałem: — «Nadziejo moja!» wołałem za nią z cicha, i wystarczało mi tego widzenia na cały dzień. Wprawdzie rachunki moje musiałem po dwa razy rozpoczynać; bo po tym zjawisku zawsze się jakoś dwoiło i zieleniało w oczach. Mówiłem sobie: «To z upału,» — i wychodziłem na ganek w nadziei, że mnie powietrze orzeźwi. Chwytał mnie tam zwykle pisarz domowy z prośbą o posłańca lub co innego; ale jakoś od razu nigdy go zrozumieć nie mogłem. Twarz pana Boćki zawsze cokolwiek blada, wydawała mi się owiana jakąś mgłą majową... Może to sprawiał blask słońca, padający z pomiędzy gałązek wierzb zwieszonych nad stawem, lub może szum wody i młynu zagłuszał głos trochę słaby i płaczliwy pisarza.... Panna Celina nie zawsze chodziła w zieleni: był to jéj mundur klassowy, który donaszała na wsi na codzień i na rano. W uroczystości zaś, i gdy goście zje-

żdżali się do Otulna, — moja Panna Celina stroiła się w biały muślin i różowe wstęgi, i w tém tak jéj było prześlicznie!!“

— «Musiała być ładna,» zagadnęła gospodyni domu przerywając opowiadanie P. Majora.

«Wyznać muszę,» rzekł Major zakłopotany, iż tego zupełnie niewiem; bo nad tém się nigdy nie zastanawiałem.»

— «Czy to być może!» zawołała P. Weronika. «Chyba żartujesz, Panie Majorze. Sam mówisz, żeś kochał P. Celinę, a nie wiész, czy piękna była lub nie?»

«I dla tego właśnie nie wiém; bo kochałem. Gdybyśmy mieli rozpatrywać na zimno przedmiot kochania, możeby się nikt nigdy nie kochał; bo w każdéj osobie znalazłoby się jakieś *ale*. Wszak rzadko nasz gust potwierdzają drudzy, co sądzą na zimno? Dość, że dla mnie P. Celina była najpiękniejszą. A że odkąd ją poznałem, u wszystkich innych panien oczy| wydawały mi się za małe, wszyskie nosy za krótkie, a wszystkie twarze za długie, to mię naprowadza na myśl, że oczy P. Celiny musiały być duże, nos pociągły, a twarzyczka okrągła. Musiała też być blada, bo niecierpiałem zbyt rumianych. Przytém dobra, rozsądna, oddana matce; ciągle czynna, naturalna, wesolutka i pokorna. Jakże nie było jéj pokochać, gdyby nawet i nie była podobną do *mojéj nadziei?..* Minęło tak całe lato, a ja, ja podobno dwóch słów nie zamieniłem z P. Celiną. Zbliżała się jesień... Och! dla mnie było coś okropnego w żółknieniu i opadaniu liści; bo z barwą mojéj nadziei odleciała i P. Celina do swego pensyonu!! Jak tę resztę jesieni i zimę przeżyłem, nie bardzo pamiętam. Rachunki może na tém zyskały, pisarz odzyskał swą właściwą postać i głos, może dla tego, że słońce nie przez wierzby świeciło; — ale dla mnie odnowiły się czasy, kiedym kuł skałę samotny i daleki! Oprócz tęsknoty nie pamiętam nic a nic! A zima była długa i ostra, tak,

że nawet i *nadzieja moja* rażona białością śniegu, przytuliła się do mego serca, aby nie zamrzeć od zimna, — rzadko się odzywała, i tylko na odgłos skowronka odżyła... Ale to był jeszcze Marzec, długo trzeba było czekać do Ś. Piotra, którego klucz miał mi raj otworzyć!....»

«Przyszedł nareszcie ten czas pożądany. Pojechała znowu matka po córkę... O! jakże mi serce biło za każdym turkotem! Słyszałem go nawet w ciszy nocnéj i w słowach pisarza, który zauważał, że z powrotem wiosny, tracę znowu pamięć i uwagę!!...»

«Wróciła P. Celina starsza rokiem, śmielsza w rozmowie, i ja się czułem śmielszy. Nie dość mi już było jednego na dzień widzenia: — z gospodarki wypadało kilka razy nawet na dzień biegać do księdza proboszcza, — a na drodze był domek w bzach: jakże było nie zajść na *dzień-dobry?* Proboszcz miał nie zły sad owocowy; przyszło mi na myśl konkurować z burłakiem, który ów ogródek chciał najmować. Proboszcz dał mnie preferencyą. Musiałem więc często do ogródka zaglądać dla przekonania się, czy stróże dobrze go pilnują. Co tych zręczności, co tych powodów do zabiegania po drodze na odpoczynek do miłego domku! Ale P. Celina coraz to dłużéj przebywała we dworze Otulnéj, niż u matki. Żona mego przyjaciela nie mogła bez niéj się obejść, po całym dniu spędzonym razem nie puszczała jéj od siebie, aż po wieczerzy. Mój przyjaciel nie dawał nigdy powracać pieszo P. Celinie, zakładano dla niéj karyolkę. Kilka razy chciałem ofiarować się za straż przyboczną; ale nie śmiałem. Na moje szczęście jedna z koleżanek P. Celiny zamieszkała w sąsiedztwie, i na dni kilka przeniosła się do wdowy, aby dłużéj być z przyjaciółką. Już we dwie przychodziły do dworu, i we dwie także mogły wracać pieszo do domu. Przydawano im wprawdzie służącą lub służącego, i to właśnie ośmieliło mnie w moich zamiarach; bo czy raz odtąd ko-

rzystając z zamieszania i cieniów zmroku lub nocy, nim się P. Celina na ganku ze wszystkiemi pożegnała, wymykałem się chyłkiem po za dom, biegąc na przełaj ku drodze, kędy iść miały, — i czekałem przy mostku śledząc w dali jéj białéj sukienki, przysłuchując się głosowi. Gdy nadeszły, towarzyszyłem im aż do domu, nieproszony, ale wszakże nie bez podziękowania. Nie śmiejąc nawet podać ręki P. Celinie, odchodziłem od progu powiedziawszy: «Dobranoc,» i zabrawszy na powrót też same życzenie. O jakże byłem szczęśliwy! Jestem nim nawet i teraz, gdy wspomnę na te chwile błogie i niewinne. Trwało tak trzy miesiące, a przeszły one jeszcze prędzéj, jak w roku przeszłym. Już się zbliżała jesień okrutna, choć na pozór jaśniejąca tysiącem barw świetnych; ale pod tą błyszczącą zasłoną, była straszna rzeczywistość rozstania!... Na moje szczęście, a raczéj tylko na pociechę w smutnéj mojéj doli, wypadło mi wyjechać za interesem w téj saméj porze, co i P. Celinie, która też odjeżdżała, ale już nie do pensyonu; bo choć ledwie 17-letnia, chlubnie ukończyła nauki. Tym razem wzywano ją na mieszkanie do drugiéj gubernii; już jéj więcéj nie miałem ujrzeć! Pożegnanie nasze było na pozór obojętne... Panna Celina nie okazywała dla mnie nic więcéj nad życzliwość; ale moje serce pękało od żalu... Pojechałem i ułatwiłem interes. Wzięło mi to blisko miesiąca czasu. Wracam nareszcie późną jesienią do Otulna: — dzień był pogodny, słońce bliskie zachodu; lecz im bliżéj celu, tém smutniéj w duszy na myśl, że już jéj tam niéma! Już wieżyczki kościoła świecą, ledwie, że domku w bzach nie widać... serce bije ze zwyczaju... dawne chwile przypomina, a *nadzieja* zwodniczka stawi przed oczy dawne obrazki! Już wjeżdżam w przysadę wpół odartą z liści a wpół gorejącą od liści zżółkłych, — już widać ganek wpół nadwiędłemi powojami uwity. — Ach! a na ganku... czy to złudzenie? — pewnie

złudzenie! bo *Ona* już dawno z tąd daleko! O nadziejo! czemu mnie jeszcze łudzisz? Ale nie! na białéj ławeczce coś zielenieje, porusza się, powstaje, wita... Ach! **zielona sukienka...** Ach! to Panna Celina!! Ona!! Ona!!! Ona!!!! Na ten widok nie mogłem wysiąść z bryczki. «O nadziejo! i tymeś razem mnie nie zawiodła!» Tak w mojéj duszy cieszyłem się i radowałem. — Ale nie długo to trwało. Panna Celina odjechała w nieznane strony, a ja pozostałem jeden na zawsze...»

«Wprawdzie» dodał po chwili milczenia (którego nikt nie śmiał przerywać) «wprawdzie» powtórzył «wypadki, które nastąpiły zaraz po tém rozstaniu, były takiéj natury, że mogły zagłuszyć tęsknotę serca. Znalazłem się znowu na koniu, z którego gdy zsiadłem po wielu dniach i nocach, byłem już jak Państwo widzicie Majorem, z tym oto krzyżem na piersiach, i kresą na czole. Ale co państwo na to powiedzą, — chociaż mi się rana często na dészcz i słotę odzywa, częściéj, o! daleko częściéj, staje mi w oczach i w myśli *zielona sukienka!*"

—«A cóż się stało z P. Celiną?» spytała gospodyni domu żywo zajęta tém opowiadaniem.

«Panna Celina,» odpowiedział Major, — «w lat kilka po tych wypadkach wyszła za mąż. A ta panienka, co z tąd niedawno odeszła, i dała niechcący powód do tego opowiadania, jest córką owéj *zielonéj sukienki,* i z kolei zaręczona.»

—«Co? doprawdy? Jakie dziwne zdarzenie!» ozwały się różne głosy.

—«Jakże czas mija!» rzekła gospodyni domu.

«A jak wiele z sobą zabiéra!» dodał stary jegomość.

—«I co dziwniéj, że ten czas unosząc tyle ważnych rzeczy, mniejszych nie zaciéra» ozwała się P. Weronika.

«Bo one na sercu leżą!» rzekł z westchnieniem Major.

—«Ależ *nadzieja* w końcu zdradziła P. Majora?» spytała z przekąsem P. Weronika.

„Nadzieja“ rzekł Major uroczystym tonem «jest procentem od szczęścia. Ona długo wystarcza na utrzymanie człowieka przy życiu. A jeśli świat i ludzie tego kapitału nie wypłacą, BÓG to w dwójnasób wynagrodzi! Chyba — dodał po chwili, «że sam człowiek ten skarb niegodnie roztrwoni. Co do mnie,» — dodał bardziéj uroczyście *„nadzieja moja,* zdradzona na ziemi, patrzy w niebo!»

Gabryela z Hr. Güntherów **Księżna Puzynina.**

MODLITWA.

Patrz! jak ocean tocząc modre piany,
Olbrzymią piersią głosi hymn przedwieczny,
Pieśnią wtoruje młody świt różany,
Zbudzając *modły* natury odwiecznéj;
Już na kolana przypadł kwiat sperlony,
Usta z miłością do słońca otworzył;
Powrócił wietrzyk z jasnéj nieba strony,
I hymn poranku studźwięczny utworzył.
I zaszumiały listków miliony,
Symfonie szmerów, tajemnicze modły,
Piewców piérzastych ocknęły się tony,
I psalm pochwalny chóralnie zawiodły.
O! cudna, pełna *modlitwo* przyrody!
Stara wiekami, młoda, piękna szczytem!

Z tobą się brata, kojarzy duch młody,
Tyś jego treścią, snów jego zachwytem:
Czy wzniesion w górę promieniem owity,
Czy lecąc smutnie z nad świata kałuży,
Z wieńcem na czole lub bólem spowity,
Tyś wciąż mu słońcem wśród życia podróży.
Szczęśliw, kto klęczy u twojéj świątyni,
Komu jéj progu przestąpić pozwolisz,
Kto ci ofiary na ołtarzu czyni,
Lub czyje skronie twą palmą okolisz.

* *
*

Patrz! oto dziécię z kwiatkiem do cię bieży:
Czyste, niewinne jak anioł niebieski,
Białość ma w duszy i białość w odzieży,
Na ustach uśmiech, a w oczętach łezki.
Urok niezwykły z twarzyczki téj bije,
Zachwyt przedwczesny myśl zdradza zbudzoną;
Już młodą piersią w światach czarów żyje
I leci w górę z swą myślą ockniona.
Módl się aniołku! *Modląca* dziecina,
Cudny-to, święty obrazek niebiany!
Tobie widoma niebieska kraina,
Bo jeszcze nie wiész, co ziemi kajdany.

* *
*

Z *modlitwą* na ustach, na pługu oparty,
Pogodny ziemianin w świat rzucił spojrzenia,
Co leżał tuż przed nim, jak księga roztwarty;
Bóg w górze mu rozpiął niebieskie sklepienia,
Jak namost olbrzymi, i w swojéj świątyni
Kapłanem i ojcem swych dziatek go czyni.

I słońce wyjrzało z po za chmur obsłonki,
Wnet zamiast organów w hymn zlały skowronki
Poranne kantyczki, i kapłan ziemianin
Do czystéj ofiary przystąpił z swym pługiem,
I pot swój, i trud swoj domięszał do danin,
I pracy ofiarą połączył się z Bogiem,
Bo praca *modlitwą;* bo życie to praca,
Co serce ożywia i ducha wzbogaca.

* *
*

Ze łzą w oku, z piórem w dłoni,
Ciałem starzec, duchem młodzian,
Nieba myśli z duszy roni,
Bo świętością on przyodzian:
To znów kapłan świątobliwy,
Kapłan serca, kapłan czynu,
Co uzbierał plon szczęśliwy.
O! piękniejszy, jak wawrzynu,
Najświetniejszy wianek chwały:
Bo ten kapłan cichy, rzewny,
Stroi w cnoty światek mały,
To słowami pieśni śpiewnéj,
To obrazkiem cnoty świętéj,
Z swego serca wprost wyjętéj.
Przez bezdroża i rozłogi,
Tuląc dziatki skrzydłem swojém,
Dąży do świątyni błogiéj,
Gdzie wciąż piękno promienieje,
Prawda tryska jasnym zdrojem,
I zbawienia przedświt dnieje.
U świątyni klęka progu,
Wraz z dziatkami hymny śpiéwa,

Serce składa w dani Bogu,
I do czynów je zagrzéwa.
Wszystko oddał dziatkom ziemi:
Myśli, czyny, chwile życia;
Dzieliłby się sercem z niemi
Do ostatka jego bicia.
O! *modlitwa* taka święta,
W któréj treścią życie całe!
Cała ludzkość w niéj objęta,
Na dań ziemi, Bogu chwałę!

* *
*

I tony wybiegły w świat wielki, wspaniały,
I dziwnie z odgłosem natury się zlały,
I tłumy lirnika ciekawie obległy,
Bo lirnik był ślepy, ciemnocie uległy.
«Z kąd jemu te tony tak pełne, urocze,
«Z kąd jemu te pieśni radosne, ochocze?»
Wołała nań gawiedź. «On ciemny, nie widzi,
«A pieśnią tak cudną widzących zawstydzi.»
A lirnik wciąż śpiéwał swe pieśni na lirze,
I duszą żeglował po niebios szafirze;
I *duchem* się *modlił* i Bogu dziękował:
Że w łasce Swéj świętéj wźrok ducha zachował
Ślepemu, staremu, niememu poecie.
O! ślepi wy duchem! wy pewno nie wiecie,
Że prośba serdeczna świat szczęścia nam daje,
Harmonii poezyi otwiéra nam kraje.
Wy, biedni, jęczycie, choć słońce wam płonie,
Choć w kwiaty usłane promieni wam błonie,
Choć słowa rozgłośne Bóg w usta wam włożył,
I cały świat wielki, jak księgę, roztworzył.

A kiedy się lutni dotkniecie święconéj,
To zamiast pochwalne i jasne lać tony
Za iskrą najświętszą, płaczecie jak dzieci;
Bluźniercy! pieśń taka do Pana nie wzleci,
Przestańcie! — i lirnik ukląknął przy lirze,
I w duchu dziękczynne odmawiał paciérze.
O! piękna *modlitwo*, pokorą oblana,
Z łatwością ulecisz do wszech stworzeń PANA!

* *
*

W podziemnym lochu, z ponurém wejrzeniem,
Brzęcząc kajdany w zbrodniach posiwiały,
Jęczał złoczyńca, a przed nim: promieniem
W ciemni, cudownie z góry oświecony,
Stał poseł nieba, jakby anioł biały,
Trzymał krzyż święty, jak on spromieniony,
— «Synu!» zawołał «przychodzę w to imię,
Co daje pokój i win odpuszczenie;
Słuchaj go biedny, zgubiony Kainie,
A w serce spłynie święte pocieszenie.»
— «Precz! daj mi pokój!» — i odtrącił zbojca
Starca pociechę — «nie znam twego ojca.»
Łzami się zalał cichy poseł Pana,
I z krzyżem świętym upadł na kolana:
«Ojcze!» zawołał — «oto owca jedna
Z mojéj owczarni zbłąkana — umiera!
Zwróć ją ku sobie; bo zginie mi biedna!
Ojcze! Twa litość wszak zbłąkanych wspiera,
Zmiękcz serce w zbrodniach wielkich skamieniałe!
Oczyść i pokaż Twoją świętą chwałę:
W pyle pokory niech uniży czoła,
I «Ojcze! Ojcze!» na Ciebie zawoła!» —

I «*Ojcze!*» zbrodniarz wyjęknął skruszony,
I złożył dłonie łańcuchem przykute:
«Wtłocz na me skronie cierniową koronę;
«Lecz wybaw duszę przez łzy i pokutę!»
— «Wielkie twe grzechy;“ wyrzekł kapłan święty,
«Lecz większe nad nie miłosierdzie Boga!
Bo to nasz Ojciec dobry, niepojęty,
A przez *modlitwę* idzie k'niemu droga!»
— «O! to się *módlmy!*“ i padł na kolana
Skruszony zbrodniarz, i posłannik Pana.
A kiedy anioł z tą modlitwą skruchy,
Z świętém weselem w niebo ulatywał,
To chór aniołów radosną pieśń śpiewał,
I w niebie czyste cieszyły się duchy.

* *
*

W śród czterech ścian zczerniałych postać wiotka, biała,
Jakby cudem wykwitła oaza w pustyni,
Jakiś urok nie ziemski do koła rozlała,
Ciemne mury zmieniła w przybytek świątyni.
Ciemno, chłodno tu w koło, lecz kobiéty duszy,
Co zaledwo spojrzeniem w świat życia wybiegła,
Jasna pogoda nieba i cisza, zaległa,
A nic ciszy téj świętéj nie zmąci, nie wzruszy.
Tam *za murem* szeleszczą kwiatów miliony,
Mdleją na tle niebieskiém draperje przejrzyste,
I natura zagrała na lutni święconéj,
I zbudziła do koła hymny uroczyste...
A *ty*, wolą twą świętą do *czynu* przykuta,
Bez żalu i łzy jednéj, patrzysz w ciemne mury.
Jest-że to myśl święcona, za przeszłość pokuta,

Co ci *w niebo* zmieniła przybytek ponury?
Ty na pytanie moje uginasz kolana,
I w górę wźrok pogodny unosisz, jak święta,
A myśl twa młoda wiecznie, uczuciem wezbrana,
Już rozpływa się w pieśni, zrywa ziemskie pęta,
I omija precz kwiaty, po ziemi żegluje,
A gdzie krzyż tylko ujrzy, to w locie się wstrzyma,
Kornie głowę uchyla, podnóże całuje,
Bo kobieta w pokorze ma siłę olbrzyma.
Czemu, gdy tylu z cierniem stanęło w podróży,
Młodzi z głową zsiwiałą upadli na duchu;
Ona, choć grom się pali, choć niebo się chmurzy,
Choć wulkan pod jéj stopy gotów do wybuchu,
Słaba stoi spokojna? — Bo klęczy u krzyża;
Bo z *modlitwą* pokory czarę do ust zbliża.
Więc z *modlitwą* w cierpieniu na ustach i w duszy,
Przygarnia niebo w serce, jéj słońcem rozprószy
Czarne chmury i cienie; a tymczasem w górze
Nad kratą jéj okienka bluszcz rozpiął gałązki,
I lekko się rysując po niebios lazurze,
Zielone jéj nadziei pokazał zawiązki.

* * *

Najświętsza *modlitwo!* coś z krzyża spłynęła,
O! z krzyża, gdzie wisi Wybawca rozpięty!
Coś życia pięknością, jak słońcem, błysnęła,
I życie zmieniła w czyn ofiar, w czyn święty!
A *słowo* «przebaczam» za męki, okowy,
Za bóle, katusze i wianek cierniowy,
Znów z krzyża boleści aż w górę się wzniosło,
I ludzkość jęczącą ku Ojcu podniosło.
O cuda! pod krzyżem wszak Matkę widzicie,

Nie płacze, złorzeczy, tym, co śmierć jéj dali,
(Bo zabić jéj syna, to matce wziąść życie!)
I tylko boleści *modlitwą* się żali.
Bo wierzy *Bolesna*, że syn jéj powstanie,
Śmierć jego da życie, i dobru zaranie,
I tryśnie cud świata z téj wielkiéj boleści,
Więc *prośbę „przebaczam"* złożyła u krzyża:
„Przebaczam!" co ziemię ku niebu przybliża.

* *
*

Z łez bólu, z radości, z cierpienia, z uśmiechu,
Z chwil szczęścia, z poświęceń i z ofiar złożona
Modlitwo! w słodyczy, goryczy kielichu,
Jak piękno w cnym duchu na wieki wcielona!
Bądź w sercu, na ustach, na wieki, na wieki,
Gdy na świat otworzym lub przymkniem powieki!

Suwałki.

Józefa Żdżarska.

SŁÓWKO.

«Szukajcie a znajdziecie» mówi Zbawca świata,
«Szukajcie! szybkim pędem ubiegają lata!»
Lecz nie wszyscy pojęli wielkość myśli Jego:
Szukali i znaleźli — *marność* świata tego.
Blask *złota* ich omamił, uczucia wytępił,
Przestali widzieć w nędznym cierpiącego *brata;*
Lód *samolubstwa* serca objął i wyziębił,
I *sami* się znaleźli wśród obszaru świata.

I Tyś szukał i znalazł, czcigodny Nestorze!
Znalazłeś *siérot* wiele, którym brakło matki,
I rozwijając z chlubą święte myśli Boże
Przygarnąłeś do łona opuszczone dziatki!
Cześć Ci i chwała, mężu pokornego ducha!
Cześć pracy, wytrwałości, którąś cuda tworzył,
Słów Twoich dziécię, mędrzec i prostaczek słucha;
Boś je nam tak serdecznie, tak jasno wyłożył! —
Wieńcem z uczuć złożonych otoczylić skronie:
Przyjaźń, wdzięczność i miłość składa wonne kwiaty
Temu, co wypiastował na ojcowskiém łonie
Tysiące biédnych dziatek, choć sam nie bogaty.

I ja téż mój listeczek ubogi; lecz świeży
Przyłączam z nieśmiałością do świetnego wieńca:
Żyj w setne lata dla szczęścia młodzieży;
Bo Twa miłość gorąca, Twa wiara dziecięca
Więcéj zdziałać potrafi, niż skarby i złoto.
Ty nam się korzyć każesz przed mądrością Pana
I uczysz, że nad *piękność*, nad bogate *wiana*
Lepsza *mądrość*, *stateczność*, i *rozsądek* z *cnotą!*

Suwałki.

Anna Żdżarska.

TĘSKNOTA.

Tęsknisz wędrowcze! tęsknisz życie całe,
Płaczesz w kolebce i płaczesz przy grobie,
Mieścisz w swéj piersi nadzieję i chwałę, —
A jednak, jednak, zawsze tęskno tobie!...

Gdy Bóg udzieli *natchnienia* godziny,
A *myśl* i *czucie* swobodnie ulecą,
Nawet i tam, wysoko, wśród jasnej krainy,
Ciemno ci i tęskno, chociaż gwiazdy świécą!
Nawet gdy miłość pieści cię u łona,
Czemuż *westchnienie* twe serce porusza?
Czemuż fantazya, jak grób zasmucona,
Dźwięki miłości *tęsknotą* przygłusza?...
A gdy godzina wybije rozstania,
O! tęsknisz, starcze! jak w chwili zarania;
Bo tak, jak zorza, zawsze łzą oblana,
Płaczesz, dziecino, i tęsknisz od rana!

Henryk M.

WIÉRSZ
po teatrze amatorskim
NA WSI.

Kiedy nam tutaj, w przyjacielskiém kole
Chwila za chwilą swobodnie upływa,
Ileż-to na tym boleści padole
Głodu i nędzy, miłosierdzia wzywa?
Usłyszmyż głos ich! i jak kogo stanie,
Niechaj ubóstwu coś złoży w ofierze:
Będzie to miłe dla *tego* wiązanie,
Co nas dziś raczył tak hojnie, tak szczerze.

Z pism pozostałych po ś. p. **Ignacym Kajetanie Chrzanowskim.**

Słoń i Osioł.

Osioł, spotkawszy słonia wolno idącego,
Stanął i chciał téż sobie zażartować z niego,
Mówiąc, że zbyt leniwo i niezgrabnie chodzi,
Że go człowiek po świecie na łańcuchu wodzi,
Że nos ma do użycia wcale niesposobny,
Bo długi, gruby, krzywy, do trąby podobny:
Że osioł chociaż wprawdzie cokolwiek jest mniejszy;
Ale pod każdym względem od słonia piękniejszy.
«Nie przeczę ja,» odrzekł słoń «i owszem przyznaję,
Że się może zbyt grubym i ciężkim być zdaję;
Jednakże tylko ludzie, co mają *poznanie*,
Sami zdrowe o słoniach dawać mogą zdanie.
Ale zkądże-to osioł do tego przychodzi,
Który między głupcami najpierwszy rej wodzi?
Który szczególniéj winien być umiarkowany
Byle sam mógł uniknąć zbyt słusznéj nagany?
Wreszcie wszyscy na świecie bardzo dobrze znają,
Czém się *słonie*, a czém się *osły* odznaczają,
Z tąd mi téż nic nie szkodzi zarzut mojéj tuszy,
I wolę mieć *nos* długi, jak mieć długie *uszy!*

August Zaleszczyński.

TOAST.

FANTAZYA.

Przed starych sprzętów sklepem stał *biust Apollina*
W grubéj pół-masce z kurzu, a *stołowa noga*
Ramię mu ocierała, nie wiedząc, że boga; —
I było cicho... szara upiorów godzina,
Czas, w którym nieme rzeczy zamieniają słowa:
Miotła sznuruje kibić wstęgi brzozowemi,
Kij czeka jéj, acz łysy, jak gałka słoniowa,
Płaszcz się z rozpaczy wiesza nie tykając ziemi!...
Księgi co grubszym tomem naśladują smętarz.
Smutno jest i mistycznie, *komar* nucić wszczyna;
Lecz *świérszcz* z nienacka szepnął mu swoje: „*pamiętasz*?“
I znów milczenie... alić, sąsiad Apollina
Zwichnięty *daguerotyp*, z lornetą w źrenicy,
Tak pocznie do *lichtarza* starego bez świécy:
«Nudne jest towarzystwo bez ładu i składu,
«Jakkolwiek *mnie* pierwszeństwo da kupiec dzisiejszy.»
— «Wątpim» *stołowe nogi* parskną nie bez jadu,
A z niemi *garnek* «jam jest» gruchnie «potrzebniejszy.»
„Jak komu“ *miotła* doda, co *kij* poparł miną,
W kąt się chowając za jéj wielką krynoliną.
Sztylet drżał; ale czekał, aż krwawiéj się zadrą, —
Gdy sprzęty gminne to jest: *kocioł* osmalony
Buraków pełen; tudzież *wody czystéj wiadro*
Milczały w sieni, zdala rozprawy uczonéj.

Wszelako, rzeczy drobnéj, *zapałki chemicznéj*
Milczenie, kryło w sobie sens dyplomatyczny;
Szaréj godziny bowiem chwile są nie długie
I już już z świécą w ręku wyglądano sługę.
Gdy spór ów między sprzęty trwał o lepszość losu,
Komu człek da pierwszeństwo wśród tego chaosu,
Ku czemu ręka jego najprzód się przybliży
W stanie *rzeczy*, o których rzekło się powyżéj...

Nagle, stąpanie słychać. — Chwila!.. znów stąpanie
I gwar niezwykły, przy czém dymu kłąb z iskrami,
Jako machina skoro parowa ustanie
Dysząc, — a ludzie z szmerem wysiadają sami,
Ten i ów, niosąc przed się coś, wtedy wybiega.
Taki-to więc gwar powstał, acz z innéj przyczyny:
Kiedy, wśród dymu, który ciężko się rozlega,
Wśród skier, co jako złote wiją się gadziny,
Zabrzmiały krzyki „*Pożar!...*“ Wraz mąż jeden, drugi,
Z rozwianym włosem, ręką silną, mąż barczysty,
Przebiegli sklep, na sprzętów niebaczni zasługi,
W objęcia biorąc ciche *wiadro wody czystéj*...

I oto ciekawości nie jeden amator
Antykwaryusza sklep ów mijał, gdy z okrzyki
Na rzeszy barkach *wiadro*, jako tryumfator,
Poważnie milcząc, swoje sprawowało szyki.
Ludu duch, jak gdy dziejów świat przeczuwa erę,
Służył mu, na *wylanie* oczekiwał *szczere*...

O! wodo czysta, cóż z tąd, że poeci tacy
Dzisiejsi... co od głowy do stóp brną w *nadziei*,
(Ale ich *życiem* rzadko spotkasz w epopei)
Dzisiejsi, mówię, jako taki Pan Horacy...

Cóż z tąd, że oni, którym umywałaś nogi
O! *wodo czysta*... bardzo zapomnieli ciebie,
Służebnéj, cichéj, prostéj, szczególnie ubogiéj,
W któréj jest *błękit niebios* i która jest *w niebie.*
Azali bowiem przeto za tysiącem, za stem
Tysięcy mil, na morzu, wśród drogi zmylonéj,
Gdy *wody* szklankę żeglarz znajduje niesłonéj,
Jest mu ta *mniéj smakownym, pełnym mniéj toastem?* —
I który *Falern*, albo *Cypr*, swemi jagody
Z macicy-by na *wino* mienił się, bez *wody?...*

Paryż.

Cypryan Norwid.

POGRZEB DZIEWECZKI.

(WYJĄTEK.)

Otóż stanęli przy otwartym grobie,
I zapuścili Kasię w dół głęboki,
I przysypali ziemią martwe zwłoki...
Westchnęli ludzie... i odeszli sobie.
Lecz matka sama tylko pozostała,
Klęcząc z modlitwą przy córki kurhanie.
Już świtał ranek... już zorza jaśniała...
A matce ciężkiém było to rozstanie!

Z Kujaw.

W. K.

WYJĄTEK Z WIÉRSZA
LAMARTIN'A:
POETA UMIÉRAJĄCY.

Ach! niechaj ten *przeszłości* żałować zaczyna,
Kto się do niéj, jak bluszcze do drzewa, przypina,
I kto widzi w *przyszłości* stracone nadzieje!
Ja, który nieprzylgnąłem bynajmniéj do ziemi,
Ulecę, jako trawka z listkami wietkiemi,
Gdy wiatr zachodni zawieje!

Dzików, w Galicyi.

Leon Chomętowski.

CIERPLIWOŚĆ.
(Tłómaczenie.)

Świętą *cierpliwość*, największą cnotę,
Nabywa człowiek tylko *cierpieniem*,
I to *nie razem*, jak wszelkie dobra,
Jeno stopniowo, zwolna i w ciszy.
Miłość, wytrwałość, wiara, nadzieja
I przebaczenie — dają *cierpliwość!*
Tylko człek *dobry* bywa cierpliwym:
Cierpiąc w spokoju, *staje się* dobrym.

Chcesz być *cierpliwym*, to cierp powoli,
Kochaj, przebaczaj, i wierz potrosze,
I miej nadzieję nie nazbyt wielką.
A potém coraz *więcéj* i *więcéj*
Kochaj, przebaczaj, cierp jak najwięcéj,
Aż się ta czynność *najmilszą* stanie —
I będąc dobrym, będziesz cierpliwym,
I *jednym* skarbem *tysiąc* otrzymasz!

Mikołaj Akielewicz.

Dumka.

Jakiż to śpiéwak ten *wiatr* jesieni!..
Nibyto *dudarz*, dumami śpiéwa, —
Nibyto *żebrak*, zajęczał w sieni, —
Nibyto *lirnik*, w szyby przygrywa....
To znów, jak *tułacz*, wciąż się kołacze,
Bo czegóż jęczy, czegóż tam płacze?..
Ach! bo on pędzi losy tułacze...
Wtém zawył *groźnie*, — wstrząsnął oknami:
Czyż znalazł głazy pomiędzy nami?...
Lecz się ucisza... tajemnie niby
Szepcze u ściany zapadłe dzieje....
To znów, jak pielgrzym omdlały, w szyby
Drżąco zastukał... znów tęskno wieje!..

Śpiéwaku! przestań.... tam na padole
Wybrańcom szczęścia brzmi ton muzyki; —

Powiédz, czy oni głuszą *złą* dolę,
Czy tam są wtorem *szczęsne* okrzyki?..

Ach! wyj znów, wichrze! zgłusz marne tony!
Z śpiewem natury pędź, jak szalony!
I nuć wciąż tęskne dumy; — bo one
Dum mego *serca* siostry rodzone!...

Józef Grajnert.

POCZĄTEK SIEŁANKI

MIRTYL I CHLOE.

(TŁUMACZENIE.)

Mały Mirtylek, skoro weszło słońce
Zoczył najmłodszą siostrzyczkę na łące,
Jak zdjęta smutkiem kwiateczki zbiérała,
I w jeden wieniec zgrabnie je splatała.
Wiążąc je Chloe rosiła je łzami;
Te się mieszały z rosy kroplami,
Co je poranek na nadobne kwiatki
Tak hojnie rozlał troskliwością matki.
A gdy braciszka swojego ujrzała,
Dwa łez strumienie z oczu swych wylała.
„Niestety! Mirtylu, wnet ojca stracimy!
„Jakiż cios nam srogi! w cóż się obrócimy!

A G.

O GOSPODARCE.

Z listu do kolegi z czasów Marymonckich.

Nie dziw wcale, że z początku
Jest zarzucić to i owo;
Bom nie złapał jeszcze wątku
Praktycznego... A to *słowo*,
Ta *teorya* znaczy mało;
Bo tu *czynu*, *czynu* trzeba!
Choć się kursów wysłuchało,
Ej! to nie da jeszcze chleba:
Trzeba bracie, czy na słocie,
Lub też kiedy słońce pali,
Wraz *pracować* w czoła pocie,
Aby inni pracowali!
Nie powstydzić się roboty,
Orki, żniwa, prostéj, kmiecéj;
Ale niby-to z ochoty
Dźwignąć trochę *swemi plecy!*
Ludzi przez to się zachęci;
Sam zaś poznasz ogrom trudu,
A schowawszy to w pamięci,
Co wymagać, wiész, od ludu.

Julian Wągl.

Kto jest na czele gospodarstwa, czy sam pan czyli rządca, powinien starać się zjednać miłość i poważanie chłopków, unikać jednak wszelkiego spoufalenia; wszystkiego, coby uwłaczało jego godności. Chcąc być szanowanym i słuchanym, trzeba się wyżéj postawić. Nasz chłopek to *dziecko;* posłuszeństwo zatem piérwszą cnotą winno być, jak u dziecka; ale złączone z miłością. Miłość zaś zyskuje się nie przez pobłażanie złemu; ale przez *ścisłą* sprawiedliwość. Baczność na wszystko, dopilnowanie chłopka i ekonoma nieodzownie jest potrzebném. Nigdy oko gospodarza niepowinno spocząć; ale ciągle czuwać nad własném i swoich dobrem.

Zbytek, nieład i nierząd są największą plagą gospodarzy; niech się tych wad pozbędą, a zobaczą, że szczęście do każdéj najmniejszéj zagrody zawita.

Romuald Krupecki.

KRÓL JAN III SOBIESKI,

jako Geograf.

Lata młodzieńcze Jana III, pod czułym dozorem rodziców, przeszły w ciągłéj czynności, w nieustanném ćwiczeniu sił ciała i umysłu. Ojciec jego, Jakub Sobieski, kasztelan krakowski, jeden z najznamienitszych swego czasu obywa-

teli Rzeczypospolitéj, dzielny rycerz, biegły dyplomatyk i uczony dziejopis, chciał także, aby jego synowie wstępując w ślady rodzica, usposobili się na pożytecznych synów ojczyzny, która z natury swojego rządu politycznego wymagała od każdego, nietylko dzielnego ramienia do walki, ale też i oświeconego umysłu do rady. Równie mądry w domu, jak w sprawach publicznych, wychowanie synów nie Włochowi ani Francuzowi, ale rodakowi powierzył. Był nim szlachcic ziemi chełmskiéj Orchowski, herbu Nałęcz, mąż stateczny i światły. Przewodnik ten młodości Jana Sobieskiego i brata jego Marka, kształcił naprzód ich umysł i serce pod okiem rodziców w Żółkwi, dziedzicznem ich po matce siedlisku. Skończywszy zaś początkową ich edukakacyą w domu, udał się ze swoimi uczniami do Krakowa na Akademią. Troskliwy ojciec powierzając Orchowskiemu władzę rodzicielską i starszeństwo nad synami z pełną ufnością, dodał mu razem pamiętną ową *Instrukcyą z strony synów* (*), czyli przepisy obchodzenia się z nimi, którą czas zachował dla potomnych, jako wzór pieczołowitości staropolskiego ojca familii. W tém szacownem pismie Jakub Sobieski zwracając baczną uwagę, z wielką przezornością na wszelkie potrzeby młodocianego wieku swych dzieci, w artykule o nauce z takiém się zdaniem odezwał: — „O nauce nie trzeba wiele pisać, bo tam po to samo jadą, aby się uczyli, a głupiemi szlachcie starożytnéj w jakiejkolwiek u ojczyzny swéj expektacyi, szpetnie zgoła być. Nauka wszędzie człowieka zdobi, i na wojnie, i u dworu, i doma, i w Rptéj. Widziemy to, że ludzie więcéj sobie ważą chude-

(*) Instrukcya Jakuba Sobieskiego, kasztelana krakowskiego, ojca króla Jana III, dana panu Orchowskiemu z strony synów; — z manuskryptu przedrukowana, w Warszawie, w drukarni Nadwornéj J. K. Mci, roku 1784, in 8vo, stron 68.

go pachołka uczonego, aniżeli pana wielkiego, a błazna, co go sobie palcem więc ukazują.“ — Téj zasady trzymając się, najpilniéj zalecał po literaturze i wymowie uczyć się historyi, a zatém i umiejętności związek z nią mających. Zdaje się, że młodszy syn Jan, powołany później do wysokich przeznaczeń w narodzie, właśnie z tych przedmiotów wskazanych od ojca, najwięcéj korzystał. Znawca i miłośnik nauk, tak dobrze jak sztuki wojennéj, wszystkie niemal chwile trudnego zawodu swego, wolne od pracy, poświęcał czytaniu ksiąg i obcowaniu z uczonemi. Urozmaicał je niekiedy zamiłowaniem sztuk pięknych, lub ogrodnictwem. Prawdziwy syn Lechii, ukształcony cywilizacyą zachodu, po trudach obozowych przekładał swobodną wieś i wdzięki przyrody, nad krępujące formami swemi miasto i sztuczne jego powaby. Jan Sobieski po skończeniu nauk w Krakowie, wysłany z bratem starszym na zwiedzenie obcych krajów, najdłużéj zabawił w Paryżu, gdzie wśród rozrywek i ciągłego obcowania z najdostojniejszemi ludźmi ówczesnéj Francyi, nie zapominał nigdy doskonalić się w naukach, których główne elementa poznał w domu od ojca, i przewodnika swego Orchowskiego, a w Krakowie od najuczeńszych jacy tam być mogli wówczas professorów. Ani służba wojskowa, do któréj się był zaciągnął w czerwonéj kompanii Muskieterów, utworzonéj jeszcze od kardynała *Richelieu*, nie zobojętniła w nim zapału do nauk. Dzieje narodów, świetne czyny ich bohatérów, prawidła sztuki wojennéj, zatrudniały młody ten umysł chciwy wiadomości, a zajęty nieustannie nadzieją obrócenia tego wszystkiego w przyszłości na korzyść własnéj ojczyzny. Rozczytując się w kartach historyi, żywo obejmujący Jan zwracał także pilną uwagę na położenie krajów, na miejsca gdzie się walne rozprawy toczyły, stanowiące o losie całych plemion, lub gdzie rzeki i morza, gdzie główne szlaki lądowe łączyły najodleglejsze ludy, podróżami i han-

dlem. Jednem słowem przyszły król polski obeznał się z taką, jaka wówczas być mogła, nauką geografii. Przepatrywał mappy wydawane w Anglii, we Francyi i Belgii, chociaż bardzo wiełu błędami skażone. Jeszcze w roku 1644, kiedy się Jan Sobieski znajdował w Paryżu, głośne dzieło tego rodzaju Orteliusa: *Teatrum Orbis Terrarum*, naprzód w r. 1570 ogłoszone, jako pierwszy atlas powszechny od epoki odrodzenia się nauk, utrzymywało się w kredycie, w powtórzonych kilkakrotnie wydaniach, u geografów 17 wieku. Obok niego, prócz dość licznych kart pojedyńczych niewielkiéj wartości, stawiony był Gerard *Mercator*, autor atlasu r. 1598 ogłoszonego. Jeżeli zaś dodamy dzieło kosmograficzne jezuity piemonckiego Botero, pod tytułem: *Relazioni Universali*, tłumaczone nawet roku 1609 na język polski, potém Lexykon geograficzny przez Ferrari ułożony w r. 1627; i nakoniec pierwiastkowe wydanie r. 1624 w Amsterdamie słynnego Kluwera, Gdańszczanina: Wstępu do geografii starożytnéj i nowéj, — to będzie wszystko, co na polu ziemiopisarstwa mogło wtenczas zająć chciwego wiadomości tego rodzaju, Polaka.

Tak Jan Sobieski stawszy się mężem światłym i miłośnikiem nauk, kiedy po powrocie z wędrówek, w dojrzalszym wieku jął się oręża: nigdy gdziekolwiek los wojny postawił go, w pochodach i stanowiskach, nie zaniedbał korzystać z nauk, których nabył w młodości. Żądza poznania wszystkiego, powiada pisarz historyi tego króla, Ks. *Coyer*, tak w nim była wielka, że wszędzie i we wszystkiém szukał nauki. Między innemi krajami najbardziéj znane mu były Węgry i Siedmiogród; bo tamtędy podróżował do Carogrodu, i tam w r. 1657 pod wodzą Jérzego Lubomirskiego, hetmana polnego koronnego, wojował przeciw najezdnikowi Rakoczemu. Miło będzie zapewne czytelnikowi polskiemu poznać dowód wszechstronnych wiadomości króla Jana So-

„mappie, w którey osobliwe te znayduią się *obseruationes et* „*distinctiones* położył Author, że *cursus Tibisci* (*) nie za„czyna się tylko niby gdzieś od Tokaia: à Tybiscus jest *na*„*vigabilis*, aż ieszcze od Zygetu, który iest *in Comitatu Ma*„*ramorosiensi inter Poloniam et Transilvaniam*. Od Zygetu „tedy różne *mercimonia* do Tokaiu, y niżey *deuehuntur*. *Cur*„*sum* tegoż *Tybisci* dosyć dobrze w Mappie swey wyraził „*Clemens de Jungo*, pod tytułem *Totius Ungariae, Maximae*„*que Partis Dannubii nouissima delineatio*. W teyże Mappie „dobrze bardzo położył Sakmar, nad rzeką Samos; nad któ„rą po iedney stronie jest Forteca Sakmar (iuż rzeczona), po „drugim zaś brzegu od Polskiey iest miasteczko nazwane „Nemett. Tegośmy się wszystkiego oczyma dotknęli, kie„dyśmy podczas woyny z Rakocym w tamtych byli kraiach; „ale tesz póty tylko dobra iest Mappa *Clementis de Jungo*; „bo Mukacz (sic) położył niby *in recta Linea* przeciwko Kra„kowu: à Munkacz iest *in Linea recta* między Samborem y „Stryiem. Sambor zaś y Stryi *directe* położył *versus Siculos*, „ktorzy się tykaią Mołdawii. W czym także *grandis* znaj„duie się *error*. Tak tedy informowawszy W: T: naszę o„nemusz ofiarujemy Łaskę.

„W Jaworowie Dnia 4° 7bris 1682,
„Panowania Naszego Dziewiątego Roku.'

„Jan Krol."

Zapis listu: „Vnbłi Adamo Adamando Kochański So„ciet. Jesu Secretario et Matematico Nro'
„fideliter Nobis dilecto."

List ten arkuszowy, ośm zgięć mający, opatrzony jest wielką pieczęcią koronną przyciśnioną.

(*) *Tibiscus*, inaczéj *Pathissus* i *Tibesis* zwana u starożytnych, teraz Cissa, a u Niemców *Theiss* się zowie. Rzeka znaczna, uchodzi do Dunaju.

Wspomniony tu przez króla *Sanson* (a nie *Samson*, jak w liście) jest synem Mikołaja *Sanson*, który wydawszy roku 1651 w Paryżu mappę świata, zyskał sobie nader wielką wziętość między uczonemi Francyi i poczytany był za najlepszego geografa w owéj epoce. Jeszcze wówczas ziemiopisarstwo, a zatém i karty geograficzne, stały na niskim stopniu wiadomości ludzkich, nim sławny Wilhelm *Delisle*, wsparty obserwacyami astronoma *Cassini*, nie ogłosił pod stérem jego w r. 1699, słynnéj swojéj mappy kuli ziemskiéj, stając się tym sposobem niejako odnowicielem systematu téj pożytecznéj umiejętności (*). Tymczasem *Sanson*, syn piérwszego, już tytułem Królewskiego Geografa zaszczycony, korzystając z niebardzo zasłużonéj sławy ojca, powtarzał ciągle nowe wydania jego karty. Ale nie dbał wiele o jéj fundamentalną poprawę, zaniechawszy zasięgać pomocy astronomów, którzy się wówczas po całéj Europie czynnie bardzo trudnili postrzeżeniami mogącemi wielki wywrzeć wpływ na postępy geografii. Postrzegał to król Jan, szczególnie na mappach Polski i przyległych jéj krajów, które z orężem w ręku tylekroć przebiegając, lub bliższéj o nich zasięgając wiadomości, doskonale poznał na miejscu. Mappy, o których poprawném wydaniu przez *Sanson*'a pisze Sobieski, zdają się być tym atlasem, który w rok późniéj wyszedł w Paryżu, pod tytułem: *Europe en plusieurs cartes, imprimée à Paris chez l'auteur*, 1683 *in 4to*. Niewiémy, czy korzystał z poprawek królewskich niedbały *Sanson*; ale możemy być teraz mniéj więcéj pewni, że jeśli karta Polski i krain wymienionych od króla, wyszła w tém wydaniu znacznie spro-

---

(*) Tenże sam *Delisle*, Geograf Akademii nauk w Paryżu, wydał na początku 18 stulecia, kilka mapp szczegółowych ówczesnéj Polski, znacznie poprawionych i sprawdzonych podług obserwacyi Gdańskiego astronoma Heweliusza.

stowana i do prawdziwego położenia miejsc lepiéj zastósowana: należy to równie uczonemu, jak walecznemu Janowi III królowi polskiemu! Co się tycze mappy węgierskiéj, przypisanéj Delfinowi, któréj tak bijące błędy wytyka Sobieski: ta zapewne stanowić musi paralelną kartę podobnéj mappie Polski wydanéj bez daty, ale już po roku 1672, pod tytułem: *Estats de Pologne, subdivisés suivant l'estendüe des Palatinats, par le sieur Sanson, Géographe du Roi, présentés à Monseigneur le Dauphin par Hubert Jaillot à Paris.* Na tém przestajemy, odsyłając po obszerniejsze wiadomości ciekawego czytelnika do *Mappografii dawnéj Polski*, wydanéj w Warszawie roku 1846. przez Edwarda Barona Rastawieckiego, gdzie się szczegółowe znajduje wyliczenie wszystkich mapp Polski, wydanych przez *Sanson*'a od 49 do 72 Nru włącznie. Szacowne to pismo, pierwsze w literaturze naszéj, którym sie uczony i gorliwy o rozszerzenie nauk Autor przysłużył krajowi, oswaja pożytecznie czytającą publiczność ze stanem wiadomości geograficznych u nas od najdawniejszych czasów.

List ten pisany jest w Jaworowie, zamku i mieście ziemi Lwowskiéj, w Województwie Ruskiém, starostwie, które po ojcu swym Jakubie, kasztelanie krakowskim odzierżył Jan Sobieski, rychło wówczas Chorąży Wielki Koronny, i które zostawszy królem zatrzymał przy sobie. W tém ulubioném od dawna miejscu szukał Król nieraz spoczynku i rozrywki, po ciężkich pracach wojny i po owych burzliwych sejmach, które najczęściej zrywane, żadnych owoców nie przynosiły krajowi. Tak też było i w roku 1682, w dacie listu, który tu ogłaszamy. Polska sześcioletniego już niemal pokoju od zewnętrznych nieprzyjaciół używała; ale w łonie swojém chowała tylu wewnętrznych, ilu było możnowładców idących z sobą w zapasy o przewagę nad szlachtą; ilu było zwolenników królowéj, mieszającéj się uporczywie do rządów kra-

ju w widokach dynastyi lub polityki zagranicznéj, a nakoniec ilu było posłów burzących sejmy z poduszczenia obcego! Takiemi sprawami skołatany monarcha osładzał troski swe publiczne i domowe, ożywiał umysł nauką korrespondencyą i obcowaniem z uczonemi ludźmi. Tam rozmyślał już zapewne o tajemném, a niefortunném dla siebie i narodu przymierzu z dumnym Leopoldem: które uwieńczyło wkrótce niezwiędłym laurem skronie obrońcy Wiédnia; ale razem odkryło jawnie czarną niewdzięczność obronionego!

Wilno.

Michał Baliński.

DO OPATRZNOŚCI.

O! wszechwładna Opatrzności!
Tobie ja me dzięki składam;
Ty mnie wspiérasz od młodości,
Od Ciebie wszystko posiadam!
  Czy-to we śnie czy na jawie,
  Do Ciebie wznoszę me tchnienia,
  Czy pracuję, czy się bawię,
  Czuję moc Twego imienia!
Niegodna Twych łask, a przecie
Ty uprzedzasz myśli moje!
Ty mi przewodniczysz w świecie!
Pozwól śpiéwać chwałę Twoję!
  Narody, poznajcie Pana,
  Który ma pieczę nad nami!
  Zegnijcie przed Nim kolana,
  I dziękujcie mu ze łzami!

Za dary, które rozlewa
Na ziemię dla dobra ludzi,
Niechaj każdy chwałę śpiéwa
I wdzięczne pienia obudzi!...

Agnieszka z Palczewskich Maćkiewicz

Dziécię Boże.

Bóg wydał myśl; a owa myśl Boża
Wstąpiła w nicości niezmierne przestworza —
I stał się świat.

Piękną-to była ta ziemia młoda!...
Gaje zieleńsze, czyściejsza woda,
Cudniejszéj barwy kwiat;
Niebo jaśniejsze, jaśniejsze słońce,
Powietrze wonne — od pieśni drżące, —
Od pieśni rajskich nót.
A tchnienie Boże widne w źdźbła życiu,
I w pląsach źwierząt, i w burzy wyciu,
I w szumie morskich wód!
I Bóg się cieszył świata widokiem;
Z miłością patrzał słonecznem okiem
Na arcydzieło swe.
A ziemia mloda, śpiewna, kwitnąca,
Zawsze jednako uśmiechająca
Stwórcy wdzięczyła się.

Ale w tym świecie — dzieła nie stało,
Coby *miłością* Stwórcę sięgało,
W modłach Mu niosło cześć;
Brakło dziecięcia, coby się wzniosło
Myślą do Boga, i duchem wzrosło,
By u stóp *Ojca* sieść.
I zechciał Stwórca, a z ducha Swego
Zrodził *człowieka*, tchnął *swą myśl* w niego,
I myśli nadał lot.
A tak — *miłością* zrodzone dziecię
Zapanowało *miłością* w świecie...
I nią steruje do nieba wrot!

Zygmunt Rościszewski.

POD TWOJĄ OBRONĘ.

Najświętszy mój Boże! pod Twoją obronę
Oddaję me myśli, uczucia i czyny!
O! wejrzyj na czoło w pokorze schylone:
Wejrzeniem swém uświęć me ziemskie godziny!
Niech żadna nie minie daremnie dla duszy;
Od grzechu, od złego chroń, błagam Cię, Panie!
Gdy ciała cięż ąca powłoka się skruszy,
Niech biała i jasna przed Tobą wnet stanie
Ta cząstka, o! Boże! coś z nieba w obłoku
Tu zesłał, by wiarą i cnotą świeciła!
Niech w drodze téj ziemskiej nie stąpię ni kroku,
Przez który-bym czystość sumienia skaziła!
Pod Twoją obronę dzień każdy i chwile,
Oddaję, błagając o pomoc i wsparcie!

Niech wzrastam, mój Boże, w jedynéj téj sile,
Co przetrwa śmiertelnéj powieki zawarcie!...
Od złego chroń, Panie! niech smutki i troski
Nie cisną się na mnie w zbytecznym nawale,
Niech zawsze doznaję opieki Twéj Boskiéj,
Niech życie me spływa ku czci Twéj i chwale!
I za tych me modły w pokorze zanoszę,
Przez których ma droga miłością jaśnieje:
Błogosław, mój Boże, błogosław im, proszę,
Niech łaska Twa na nich w pełności się zleje!
Ten, z którym dni moje na zawsze złączone,
Niech w każdym swym kroku Twéj dozna opieki,
Tak prowadź nas, Panie, by życie spędzone
Do Twego królestwa nas wwiodło na wieki!

Bronisława K.

DWA SONETY.

I. Łza.

Krzyżu cierpienia! Krzyżu cierpienia!
Dźwigać już ciebie niémam dość siły;
O! gdyby Bóg dał moc do zniesienia,
A potém spokój na dnie mogiły!
Duch mój upada pod trosk brzemieniem,
A w myśli czarny obraz przyszłości....
Ni przesłać modłów szczérém westchnieniem,
Ni wyznać wiary niémam śmiałości....
Lecz oto Stwórca wejrzał z wysoka
I *łzę pociechy* do serca zsyła;

Przez jary, przez łomy
Ponuro, z daleka
Wiatr świszcze, brzmią gromy,
Co żyje, — ucieka.
Pośpieszmy, pobieżmy,
O! bracie sokole!
Tak cicho, tak błogo,
Tam w gęstwie *na dole!*

SOKÓŁ.

Mnie — strachać się gromu?
Mnie — lękać się burzy?
Mnie — zbiegać kryjomu,
Gdy niebo się chmurzy?
O! dalej w nawałę,
Trzask gromów, fal wycie!
To, siostro, da chwałę,
To siostro nam życie!
O! dalej w bój, dalej!
Sokoła pierś twarda
Jak pancerz ze stali:
Żelazna i harda!
Jej miękko nie zegnie
Grom fali burzliwej:
Brat sokół wprzód legnie,
Utoczy krwi żywej!
Wprzód *śmierci* dłoń sroga
Pierś zryje sokoła
Nim *hańba* lub *trwoga*,
Zaświeci mu z czoła!

Władysława Rogozińska.

BARD NARODOWY.

Lutnia dźwięczy — pieśń się składa,
W niebo idą — pieśni głosy!
A tą pieśnią starzec włada,
Bard narodu siwowłosy.

Przy śpiewaku — dzieci grono
Za harmonią duchem płynie!
Na starca się tuli łono,
Gdy ostatnia nuta ginie.

I rączęta doń podnoszą,
A o nową piosnkę proszą —
Tak do serca im przypada
Ten, co takie pieśni składa!

W nową nutę z lutni dzwoni —
Z tego dźwięku *myśl* się rodzi!
I rozlega tak po błoni
Nową pieśnią gdy zawodzi.

Pieśń za pieśnią nowa płynie,
Tak nią bawi i zajmuje.
Żadna nuta nie zaginie,
Bo On z pieśni *prawdę* snuje.

On ją z nieba czyta skrycie,
I tak pieśnią leje w życie, —
Tam, gdzie na życia początek
Potrzebny jest *prawdy* wątek!

Przewędrował życie całe,
Lutnię stroiąc *prawdy* słowem!
Pokolenia ucząc małe,
Stał się *bardem narodowym.*

W skromne bajki prawdę zniżył,
Aby się *nauką* stała!
Więc, że dziatwę do niéj zbliżył,
To go dziatwa pokochała.

A że tak się w świecie dzieje,
Że co młode, to starzeje, —
Przekazujem Mu wspomnienie
Z pokolenia w pokolenie!

Z dawnéj ziemi Dobrzyńskiéj.

W. Hr. E.

DO
przyjaciela dzieci
STANISŁAWA JACHOWICZA.

(WYJĄTEK.)

O! święty to jest okrzyk dla nas polskiéj młodzi,
Co ma stawić nas wieńcem przed naszego wodza,
I biada temu sercu!... w którym nie odrodzi
Wspomnień chwil tego wieku, którym *On* rozrządza!
I biada zimnéj duszy!... która nie wydała
Ni jednego kwiateczka z ziarn, co w nią zasiéwał,
I biada takiéj dłoni!... co mogąc — nie chciała
Zrobić mu zeń ofiary, gdy się jéj spodziewał!
O! bo gdyby co *setne* wschodziło z tych ziarnek,

Co ten wielki kmieć Boży rzucał w serca niwę,
Z jakich'ż-to wonnych kwiatów spleść-by można wianek,
I wdzięcznie dziś otoczyć to skronie sędziwe!
I gdyby *setne* tylko piękny owoc dało,
Z tych młodzieńczych drzewinek, co szczepił w mozole,
Jużby taki plon cnoty niebu się zebrało,
Że Mu Bóg palmę chwały złożyłby na czole!
O Ty! wodzu młodości!.. Jam z pod Twéj chorągwi,
Co mi wiała przed duszą wszech-piękna barwami!
Jam z tych, którym do walki z życia tego prądmi
Zbroiłeś pierś dziecinną, jak tarczą cnotami!
Jam wierna mym wspomnieniom i Twojéj pamięci,
Z łzą myślę o tych latach, co zbiegły niedawno;
W nich, jak gwiazdka promienna imię Twoje świeci,
I czuwa, by Twe słowa nie zginęły marno!

Kielce.

Józefa Kamocka.

DO TEGOŻ.

Wszak wiedzą wszyscy, ze jak świat stary,
Nie wyrówna słowikom nigdy wróbel szary;
Jednak, jak może, świergocze z drugiemi,
Więc i ja téż do Ciebie śpieszę ze wszystkiemi,
Podążam z moją nieudolną pracą:
Sztuką niech inni Tobie się wypłacą.
Ty mnie zrozumiész, jak rozumiész dzieci,
Jak rozumiész prostaczków mowę, co nie świeci;
Kto do ich serca, jak Ty, trafić umiał?
Kto tak do cnoty prosto doprowadzał,
Duszy nie zbłąkał, uczucia nie zdradzał?
Twoja myśl każda i każda litera

Życzliwą radę, pociechę zawiera;
Bo uczysz kochać i Boga i ludzi,
Twój głos do wzniosłych uczuć serca budzi;
Każde też dziecię Twe książeczki chwyta
Z czułą wdzięcznością i chciwie je czyta,
I zapytuje naiwnie i szczerze:
„Zkądże tu tyle powiastek się bierze
„Ślicznych, poczciwych? pewnie anieli
„Opowiadają Mu, co widzieli,
„Gdy czasem zejdą na naszą ziemię,
„By strzedz od złego człowieka plemię, —
„On to spisuje, każe drukować,
„Ażeby nas miał czém uradować.“

O! matki Polki! *wszystkież* Wy przecie,
Jak Wasze dzieci Go rozumiecie?
Jeśliby która znaleść się miała,
Coby wpiérw *obcą* książkę podała.
O! *biédna* ona! bo w dziecka duszy,
Piérwsze uczucie, zdrową myśl zagłuszy!

Eufrozyna Dobrska.

DO TEGOŻ.

I me nieudolne pióro
Hołd należny niech Ci złoży
Wraz z życzeniem: Byś zdrów, hoży,
Żył nam jeszcze sto lat z górą!

Barbara de Conti.

MOTYLEK.

Motylek z lekkości znany,
Choć nazbyt syty słodyczy,
Pieszcząc kwiatki na przemiany,
Nowéj zapragnął ofiary.
A że miał powabną postać,
Jak złoto skrzydełka lśniące,
Łatwo mógł zwycięzcą zostać
Na kwiecistéj żyjąc łące.
Już w tym celu błonia zwiedził,
Był na wzgórkach i w dolinie,
Coraz nowych wdzięków śledził,
Wreszcie spoczął w róż krzewinie.
I znów się wzbił nad ogrody,
Wszędzie bawił łudząc mile,
Wszędzie używał swobody,
Rozkoszne przepędzał chwile.
Wnet go nudzi wonność róży:
Opuszcza ją, i w przelocie
W ciągu swawolnéj podróży,
Spotkał pokrzywę przy płocie.
Rzecze; „Ach! jakżeś nadobna:
Wyrosłaś kształtnie, jak trzcina,
Do lilii jesteś podobna,
A powabna, jak malina.“
— „Wiém, żeś płochy, niestateczny,
Ale ja gróźb się nie boję,
Jesteś wprawdzie niebezpieczny;
Lecz mnie bronią kolce moje.

Jam jest w żądzach moich skromną,
Nie szukam z próżności chluby,
Nie umiém być wiarołomną;
Więc nie pragnij mojéj zguby.
Masz we mnie szczerze życzliwą;
Lecz chcę unikać pustoty,
Pomnij, żem tylko pokrzywą,
Zwróć do lilii swe zaloty.
Gdybym jednak różą była,
Kolce zmieniłabym w strzały,
I srodze-bym się pomściła
Na tobie, zuchwalcze mały...
Szlachetność nie zna oręża,
I do zemsty jest niezdolną,
Przebaczeniem się zwycięża:
Lataj więc, motylku, wolno!"
Motylek, jak zwykle, śmiały
Dotknął się listka pokrzywy,
I skrzydełka mu zadrżały,
Gdyż się *ukłuł* nieszczęśliwy!
Żałuje nieroztropności,
Gdy okupił doświadczeniem;
A złorzecząc niestałości
Chce pozyskać przebaczenie.

Teressa z Palczewskich Markowska.

POCZĄTEK FRASZKI:

„Litościwy leśniczy."

Łowczy.

Ho! ho! już słońce strzéla promieniami swemi,
I światło swe rozléwa széroko po ziemi,

Zmordowany kadućznie, zdrzémałem się trocha,
I mógłby mnie kto nadać dziś przydomek: śpiocha.
(wstaje)
Lecz nie byłoby sensu w téj mowie zuchwałéj;
Bo wzdłuż, w poprzek, i w koło przeszedłem las cały.
W służbie mojéj wyprzedzić niedam się nikomu;
A jak nadejdzie Michaś, powrócę do domu.
Walny chłopak, ten Michaś, już dość dawno służy..
Coraz lepszego strzelca na przyszłość nam wróży;
Nie jest to marnotrawny źwierzyny morderca,
I do tęgiéj odwagi łączy dobroć serca.
Szkoda, że już nie żyje nasz *panie kochanku*,
Nasz Xiążę! nasz Radziwiłł!... Tożby bez ustanku
Grzmiały naszym wystrzałem Nieśwież, Naliboki,
W stosy-byśmy składali z nim zajęcze skoki,
I sarny i borsuki w ciągłe-by szły tany,
A przy nich kuropatwa i bekas oblany!...
Dzisiaj!.. wszystko się jakoś ku biédzie zerwało,
I ochoty zabrakło i prochu nie stało.
Z kąd-że wreszcie źwiérzyna? gdy w obecnéj chwili
Żydkowie nieboraczki puszcze wytrzebili.
Wejdziesz w las, cienkie sosny, jak u szwaczki igła;
Radbyś wytropić rysia, a zobaczysz... szczygła!
Cóż robić?... Trzeba znosić zły los, gdy stanowczy:
Dziś jestem, prawdę mówiąc, malowany Łowczy.
Pomnąc na to, co było, smucę się i gniéwam...
Ot! lepiéj na pociechę piosenkę zaśpiéwam.
(śpiéwa pieśń myśliwską Adama Mickiewicza):
„Śród opok i jarów“ i t. d. —

Z nad brzegów Szczary, na Litwie.

* *

WYJĄTEK Z RĘKOPISMU

Katarzyny z Lipińskich Lewockiéj.

GŁOS UBOGIÉJ MATKI
DO CÓRKI, NA SŁUŻBĘ IDĄCÉJ.

ROZDZIAŁ VIII.

Uważałam, moja córko, że prawie wszyscy ludzie więcéj zważają na przykrości, niżeli na dogodności swego stanu, więcéj czują złą stronę, niżeli dobrą swego położenia na świecie. To właśnie sprawia, że mało kto rad ze swego losu. Pamiętam, iż stósowne do tego słyszałam kazanie u Ś. Krzyża w Warszawie, gdzie co niedziela o 6 rano XX. Missyonarze do ludu przemawiają. Otóż jeden z nich tak mówił: „Gdyby ludzie w jakiémkolwiek są położeniu pamiętali ciągle o tém, że odbywają tu na ziemi podróż do nieba, nie „sarkaliby na los swój, ale znosiliby cierpliwie wszystkie „dolegliwości. Kto z rozwagą przypatrzy się wszystkim „stanom, co są na świecie, ten przekona się łatwo: że każdy „ma swój ciężar do dźwigania. Ten co rękoma nie pracuje, „ma prace umysłowe, przy któréj nieraz srożéj przypłaca „zdrowiem i spokojnością. Ani rolnik w polu, ani bogacz „w mieście, ani sługa, ani pan, nie uniknie nieszczęścia, „czy-to z kalectwa, czy z utraty drogich osób, czy z choroby, czy z zawiedzionych nadziei, jakie Bóg na każdego „z ludzi, bez względu na ich stan, w wyrokach swoich, dla „nas niepojętych, zsyła. Więc nikt nikomu nietylko nie „powinien, ale niéma co zazdrościć; a w jakimkolwiek kto

„się znajduje stanie, niech pamięta, że Bóg losami ludzkie-„mi rozrządza; bo wie, gdzie kto na zbawienie zasłużyć „potrafi.“

Ty, moja Józiu, nie żałuj, nie narzekaj, że jesteś sługą; przekonam cię, iż sługi niesłusznie mówią: że stan ich jest pogardzany; a okażę ci, iż stan ten wiele ma dogodności, jakich inne stany nie mają.

A najprzód, któż-to stanem służebnym pogardza? Czy Jezus Chrystus, który przyszedł na świat w ubóstwie i nawet uczniom swoim usługiwał, umywając im nogi? Czy pogardza sługami kościół święty, który wszystkich sakramentów udziela zarówno sługom, jak panom; który na ołtarzach swoich umieszcza obrazy tak królów, jak i sług; bo oddaje równą cześć Ś. Elżbiecie, królowéj węgierskiéj, Ś. Kunegundzie, królowéj polskiéj, Ś. Helenie, cesarzowéj rzymskiéj, jak i Ś. Krystynie, Ś. Juliannie, Ś. Izydorze, ŚŚ. Perpetui i Felicyi, które w stanie służebnym i w ubóstwie błogosławionemi zostały. A pismo święte jakże pięknie o sługach mówi! z jakiém uszanowaniem opisuje Eleazara, wiernego sługę Jakuba! ŚŚ. Apostołowie Piotr i Paweł tak wysoko cenili stan sług domowych, iż przepisali prawidła, wedle których sługi postępować mają. Czy pogardzają służebnym stanem panowie, kiedy powierzają sługom swoje mienie, swój dobytek, i co mają najdroższego, bo dzieciątka swoje?

Ale ja ci tu, moja córko, wymienię, co sprawia, że nie *stanem służebnym*, ale *sługami* panowie pogardzają, i jakie to sługi zasługują na sprawiedliwą pogardę ludzką a karę Boską.

Oto takie młodsze, co jak wezmą zadatek, zamiast przybyć na służbę w terminie oznaczonym, bałamucą się, wałęsają po różnych złych miejscach, i aż w kilka dni późniéj przychodzą zaspane, rozczochrane zasępione. Dziwić-że się,

iż na taką słngę pani z pogardą spojrzy i nie da jéj dobrego słowa?

Oto takie kucharki, co podają większą cenę a mniejszą wagę. Na własne uszy słyszałam, jak jedna pani w Warszawie, zapytana przez znajomą swoją ze wsi, chcącą w mieście zamieszkać: wiele teżby ją życie kosztować mogło? Wyliczała wszystkie wydatki kuchenne i wymieniła jako nieunikniony koszt: 15 gr. lub 20 — mniéj więcéj, które kucharka codzień ukradnie. Aż na mnie wszystkie ognie uderzyły, gdym usłyszała tak pogardliwe powiedzenie; ale wnet pomyślałam sobie: cóż ta pani winna, iż takiém gadaniem krzywdzi wierne i poczciwe kucharki, kiedy to dowodzi, że liczba szachrujących musi być tak wielka, iż przy niéj o poczciwych zapominają!

Oto takie piastunki, co wysłane z dziećmi pańskiemi na przechadzkę do ogrodu, zostawiają powierzoną dziecinę piérwszéj lepszéj znajoméj, a same lecą na tańce albo na jakie schadzki. Takie, co aby jéj dziécię nad uszami nie płakało i nie przerywało pogadanki z kochankiem, zapychają nieraz słabéj dziecinie gębę niezdrowém ciastkiem, owocem, sérem, twardém jajkiem; a nieprzestaje biédne dziécię płakać, to je najgrubszemi wyrazami łają i biją! Czyż matki, co się sparzą na takiéj piastunce, mogą jéj zawierzać i nią nie pogardzać?

Oto takie garderobianki, co od swéj pani nie zniosą niegrzecznego słowa, zaraz pod nosem sobie mruczą, a potém obmawiają, plotki sieją; a same, jeżeli mają dziewczynę w garderobie do posługi, to za Boskie stworzenie jéj nie mają, łają, szturchają, popychają. Takie, co używają jakby swojéj, bielizny a nawet strojów swojéj pani, i idą na teatr albo na jaką zabawę, gdzie ich pani nie zobaczy, a tam pysznią się, jakby gęś, co się w pawie pióra przybrała.

Oto takie panny służące, co w podróży, broń Boże, ażeby

miały na bryczcze lnb na koźle jechać: trzeba dla nich miejsca w pojeździe; co za nic w świecie niechciałyby jeść z innemi domowemi sługami; ale romansować z dworskiemi pokątnie,-ale bałamucić syna, często nawet męża swéj pani, to nie myślą, aby sobie przez to ubliżały.

Słusznie tedy mówię, iż na wołowéj skórze nie spisałby wszystkich złych sprawek służących! Prawda, że u uas co rok trzy sług dostaje nagrodę z funduszu ś. p. Zacharkiewicza a kilkanaśoie podają kandydatek, co wielką jest chlubą dla stanu naszego; ależ, mój Boże! nie kilka, nie kilkanaście, ale kilkadziesiąt naliczyćby można sług, które podpadają karom policyjnym za kradzież, pijaństwo, zuchwałość i rozpustę! Na stu paniach może jedna znajdzie się, która dla dobréj sługi jest dumną, pogardliwą, złą; sługi same sobie są winne, gdy niemi dobre panie pogardzają. Posłuchajno, moja Józiu, co się to przytrafiło jednéj bardzo dobréj pani, znanéj mi w Warszawie. Była ona niezamożna, wdowa, i jedną tylko sługę mogła trzymać. Zachorowała ciężko nieboraczka: puszczono jéj krew, obłożono wizykatoryami, a doktór wychodząc polecił: ażeby przepisane lekarstwo regularnie co kwadrans zażywała. Biedna chora daje swéj słudze, Antosi, receptę i rubla, i prosi jéj bardzo, żeby prędko wracała. Antosia przyrzeka, że jak tylko w aptece się ułatwią, duchem przybiegnie, bo to tylko o kilka kroków; zamyka na klucz przedpokoik i wybiega. Pani czeka godzinę, która jéj się niezmiernie długą wydaje; ale myśli sobie: zapewne to w aptece tak długo lekarstwo robią; czeka dwie godzin, cztery, nakoniec już ich naliczyć nie może, a Antosi jak niéma, tak niéma! Proszę sobie wystawić mękę tej choréj osoby, jéj wszystkie obawy, przerażenia, gdy tak całą noc przetrwać musiała, zamknięta, a tak osłabiona, że ani się ruszyć, ani głosu wydobyć nie mogła, aby o pomoc zawołać. Tylko wierna jéj *Żolcia*, mała psinka, jakby na

zawstydzenie sług nieprzychylnych, i jakby zgadywała okropne położenie swéj pani, układła się przy drzwiach i warczeniem a szczekaniem uspakajała swoją panią. Nazajutrz o zwykłéj godzinie przybył doktór; dzwoni, stuka, puka, nikt nie otwiéra; czeka chwilkę sądząc, że sługa tylko co wyszła i zaraz wróci, albo że usługuje przy łóżku choréj i nie słyszy; więc przeczekawszy, zaczyna dzwonić coraz gwałtowniéj i wołać; ale nic nie pomaga. Tylko *Żolcia* poznawszy głos dobrze jéj znany doktora, zaczęła rwać się do drzwi, drapać łapkami, wyć, skomleć, latać jak szalona od łóżka swéj pani do przedpokoiku, jakby chciała ratunku wzywać. Nakoniec doktór zszedł na dół, posłał po ślusarza i drzwi kazał otworzyć. Wchodzi, zastaje chorą bez żadnéj przytomności w malignie! — Starania jego i znana ludzkość zapewniły jéj potrzebną usługę i dozór; a biegła jego lekarska nauka ledwie w kilka tygodni zdołała wyprowadzić z niebezpieczeństwa biédną chorę. Cóż się stało z Antosią? Może ją spotkał jaki przypadek na ulicy? może biegnąc spiesznie z lekarstwem upadła, może nogę zwichnęła, albo pojazd ją przejechał, pokaleczył, i może nieboraczkę odwieziono pół martwą do szpitala, gdzie przyszedłszy do przytomności, turbuje się o swoją biédną panią zamkniętą, czekającą na lekarstwo i usługę? Takie zapewne przypuszczenia robi sobie o Antosi każda poczciwa sługa; bo ani myśli, aby mogło być inaczéj. Ale uspokójmy się o nią, nic złego jéj się nie stało. Ona sobie, ubrawszy się w jedwabny kaftan swéj pani, poszła na plac Krasińskich, bo to było właśnie w drugie święto Wielkiéj-Nocy; kręciła się na karuzelach, przypatrywała się różnościom, co tam pokazują; zeszła się ze znajomym sobie lokajem, poszła z nim do szynkowni, i hulała, póki całego rubla, co miała na lekarstwo, nie strwoniła. Nazajutrz wynalazła ją policya, i rozczochraną w obszarpanym kaftanie swéj pani przyprowadziła do

mieszkania. Osoba dozorująca chorej wdowy odesłała Antosię na ratusz, gdzie, jak należy, była ukaraną, a służbę tę utraciła. Co się z nią potém stało, nie wiem tego wcale; bo nie chciałam nawet dopytywać się o takie ladaco; ale że Bóg prędzéj, czy później karze takie postępki, to więcéj niż pewno. Pytam się teraz, czy takie *Antosie*, a jest ich nie mało, nie zasługują na pogardę?

A teraz wymienię ci, moja córko, jakie-to są dogodności w stanie służebnym. Praca sługi jest wprawdzie ciągłą, ale umiarkowaną, sił jéj nie przechodzi, zdrowia nie nadweręża; bo jest pokrzepianą żywnością regularną i snem dostatecznym, a na tém często zbywa biednym pracownikom innego stanu! Służba to ma jeszcze dobrego, iż jest bez turbacyi względem potrzeb swoich. Sługi mają zapewniony chléb codzienny nie troszcząc się, czy urodzaj, czy drożyzna, czy handel źle idzie, czy dobrze w kraju, czy jaka robota popłaca, lub czy jéj brakuje? Rolnicy, kupcy, fabrykanci muszą o to wszystko przepytywać, mieć to na uwadze, stósować według tego swoje wydatki i zachody, więc niera z wielkiém strapieniem używają téj niezależności, któréj im nierozważne sługi zazdroszczą. Sługę głowa nie zaboli ani o komorne, ani o światło, ani o opał, ani o żywność; gdy tymczasem pracująca na swoją rękę czy szwaczka, czy haftarka, czy trudniąca się krawieczczyzną, czy handlem jakim, dobrze się nakłopotać musi, ciężko napracować, nim te piérwsze potrzeby życia opędzi, i Bogu dziękuje, jeżeli w końcu roku nie zadłuży się; bo ażeby mogła sobie co uzbiérać, to ani myśléć o tém! Chyba te tylko mogą miéć zyski, co są bardzo doskonale wyuczone w robotach, i mają jaki taki fundusz na założenie magazynu, czy sklepu. Ale ubogich a nieumiejętnych dziéwcząt daleko więcéj na świecie; więc byle tylko były dobre a wierne, pracowite a poczciwe, to prędzéj sobie mogą co na przyszłość uzbiérać, niżeli te, co na

swoją rękę pracują. Służba ochrania młodą dziewczynę od dwóch jéj wielkich nieprzyjaciół: od *próżniactwa* i od *własnéj woli.* Nie jedna, co narzeka na pracę i na niewolę w służbie, nie pamięta o tém, iż gdyby sama od siebie zależała, poszłaby na zepsucie, jak wiele innych, co służyć nie chcą i przekładają swoją wolność nad uległość. Służba uczy cierpliwości, posłuszeństwa i pokory, a pismo święte mówi, że każda z tych trzech cnót niebiosa przebija. Sługa, chociaż niéma rodziny, używa przecież przyjemności rodzinnego życia; bo obcuje z rodziną swoich państwa, bierze udział we wszystkiém, co się im wydarza, i nawzajem znajduje w nich użalenie w swoich dolegliwościaeh; a jeżeli długo u jednych państwa służy, ci nie opuszczą jéj w chorobie, w starości, w kalectwie. Służba tę jeszcze ma korzyść, że zbliża osoby ubogie do bogatych, i daje poznać że: *nie wszystko złoto, co się świeci;* bo ktokolwiek z bliska przypatrzy się osobom, które miał za szczęśliwe, którym może nieraz zazdrościł, przekona się patrząc na ich codzienne życie, że: *każdy ma swego móla, co go gryzie.* W pańskim stanie tyle jest trosk kłopotów, udręczeń, tyle ciężkich obowiązków do dopełniania, tyle przymusu a tyle nudów, iż nikt ze sług nie powinienby pragnąć swój los w ich zmienić. Uważałam też nieraz, że sługi mniéj sobie przykrzą, mniéj narzekają służąc w miernym domu, niżeli w pałacach; gdzie słyszałam, jak sługi do swych panów stósując, mówią: *miej ty sobie pałace, ja mój domek ciasny; prawda, że nie wspaniały, szczupły; ale własny.* Co to dowodzi? Oto, że patrząc z bliska na bogaczy, łatwo się przekonać, że szczęście prawdziwe nie w pieniądzach, nie w pałacach! Weźże na uwagę, moja Józiu, wszystkie te korzyści stanu służebnego, i nie żałuj, żeś sługą. Szanuj sama siebie, a będziesz i stan swój szanować. Sługa, która obowiązki swoje dobrze wypełnia, a uświęca je ofiarując Bogu przykrości stanu swego, nie tylko, iż zawsze i

wszędzie u poczciwych ludzi znajdzie uważanie, ale i w przyszłém życiu, według pisma świętego *w niebie tron jéj będzie tém więcéj wywyższony, im miejsce jéj na ziemi więcéj było poniżone.*

KARDYNALSKIE BÓTY.

POWIASTKA PRAWDZIWA, ROZPOWIADANA PRZEZ STAREGO WIARUSA.

Znacie, moi dobrzy ludziowie! przypowiastkę, jak świat starą: „Kto z Bogiem, to i Bóg z nim. Jak Kuba Bogu, tak i Bóg Kubie.“ Toć tak gada wszelaki człowiek, jak mu tam przyjdzie do kogo przystósować: jedno w tém biéda, że sam nie zawsze jest tak względnie Boga, jakby rad, żeby Bóg był względem niego! Jak mu tam co nie darzy się, w nieład, nie po ręce idzie; nie chce w tém uznać swojéj winy; a zaraz skomli, narzeka, klnie, i tém więcéj sobie szkodzi; bo kląć to obraza Boska. Wy te przypowiastki słyszeli nie raz, nie dwa, i od ojców i od xiędza proboszcza w kościele; ba i sami może drugich upominając, powtarzali; a snadniéj nam upominać, niż słuchać i wziąść przystósowanie do siebie. Jeno się tylko porachujmy szczérnie, jak na świętéj spowiedzi ze sobą, jak to się nam trafiało w uczynkach przed Bogiem, i jak to nam Bóg błogosławił na wszystkiém, a pewnikiem zobaczymy że powiastka wierutna prawda „jak my Bogu, tak Bóg nam“. Ba!! może i nawet więcéj nam Bóg daje, niż my sobie wysłużyli: „*Bo więk-*

sze jest miłosierdzie Boskie, niż złość ludzka.“ A no nam jakoś składniéj dobre dole drugich pamiętać, niż swoje; bo swoje tylko złe pamiętamy, żeby zaraz kląć. Otóż wam opowiem historyą o bótach, która się przytrafiła mojemu niegdyś porucznikowi, który potém został generałem. Jeno pamiętajcie na to, że wszelkie nasze przygody idą od Boga, czy one wielkiéj, czy małéj miary; to trzeba rozumieć: czy Bóg cały swój ludek, czy wszelakiego po osobności karce. Boć On jest względnie wszystkich sędzia sprawiedliwy, nagradza dobre, a karze złe uczynki. Głupi, kto tego niewié. Jeno mię uważnie posłuchajcie.

Jak się jedzie po szosie z Kielc do Buska; to się jedzie przez mieścinę istnie żydowską, Chmielnik; żydzisków tam, jak mrowia, a co dwie niedziele jarmark. Należą do tego dwa honeste folwarki, dwie wsie zarobne, stawy, młyny, bory, gdzie jest sporo pięknego budulcu na wszelaką potrzeb. Glebać, żeby miała bydź bardzo bogata, to nie; a no przy zabieżliwości, staraniu, pracy, a błogosławieństwie Bożém, jest chleba dostatnio, i na chwałę Boską i na swoją potrzébę i na sprzedaż. Bo téż świętéj pamięci nieboszczyk generał, a mój niegdyś porucznik, Pan Kazimiérz Tański, bo go tak zawsze oficerowie nazywali, dziedzic Chmielnika, zawsze wiele stojał o chwałę Bożą. Taki potém pan, a jednako pobożny, poczciwy, uczynny, dobroczynny; jak dawniéj o swoich wiarusów, tak potém o ludziskach, o czeladź, i o biednych dbały. To bywało, zawsze miał pełną kieszeń trojaków, piątek, dziesiątek, pozawijanych w papiérki, i jak mu tam zaszedł drogę stary, kaleka, niedołęga, co to już sam zarobić nie może, i trzeba przez miłosierdzie Boże do ludzi przypypytywać, to bywało z nim rozgada się, rozpytywa: a z kąd? a jak? a co robił za młodu? i wedle tego, wściubi mu tam jakie grosiwo do kalety. I zawsze płacę swoją roczną, jaką sobie u króla wysłużył, między takich

mizeraków rozdał. A znali oni go dobrze; bo zawsze chodził w granatowym szpencerku i w wielkich, aż za kolana bótach, co je Napoleońskiemi zwano; i jakby niechcący zachodzili mu drogę. Najukochańsze jego ubranie było koło domu: szpencer i te bóty. Jak tylko wstał, a zawsze rano wstawał, przeżegnał, umył, ubrał się; ubrany odmawiał pacierze klęczący, i już aż do nocy w takiém ubraniu, chyba w święta do kościoła, abo do sąsiadów przybierał się we frak, a w bótach Napoleońskich zawsze. On tego Chmielnika nie dostał dziedzictwem po ojcach; sam się po uczciwości przy chwale Bożéj dorobił. Za młodu bywało siak i tak; różnie się trafiało, toć na to patrzałem; boć się mu jako oficerowi nasługiwało. Na wojaczce bywało nam i głodno i chłodno, i we włóczędze po świecie obdarto. On, panie, zawsze jednaki: nie narzekał, nie skomlił, nie klął; uczciwości nie porzucił. Ja bywało czasem syknę. To on do mnie: „Słucháj! Kanty Stopień, trzeba wszystko na chwałę Bożą ofiarować; jakoś to będzie,“ i prawda, na stare lata dobił się i chwały Boskiéj, i łaski najjaśniejszego króla. A co wy myślicie, żeby ja znał A B C, toby i ja był oficerem.

Onego czasu, będzie już temu kilka dziesiątków lat, na wojnie we Włochach, służyli my pod Francuzami. Pan Kazimiérz Tański, jak go oficerowie zwali, był jeszcze porucznikiem w Legionach, a ja w jego plutonie żołnierzem. Wtedy Francuzi, z dopuszczenia Bożego, byli się jakoś rozwydrzyli przeciw Bogu, Jego świętemu kościołowi; i kupa gorącego sadła zalali za skórę samemu papieżowi. A przecież papiéż, to ojciec święty, troistą ukoronowany koroną: cesarską, królewską i xiążęcą. A to wtedy u Francuzów wszystko było nic! Otóż Francuzi jakiegoś kardynała wzięli pod areszt; jużcić nie na odwach, ale do jego pałacu przystawili wartę, i Tański porucznik z plutonem swoim, w któ-

rym i ja byłem, był komendantem téj warty, Eh! toć-to było smutno porucznikowi... On zawsze taki pobożny; tak cześcił wszystkie sługi kościoła; każdego księdza w rękę całował; a tu raptem, ni daj, ni pódź, kazali mu nad kardynałem wartować.. A wiécie wy, co to kardynał? to więcéj, jak jaki bądź biskup. To, jak nam porucznik na odwachu opowiadał, kardynały to święty senat kościoła, rada papiéża. A jak jeden papiéż umrze, to kardynały z kardynałów obiérają innego, wedle natchnienia świętego ducha. A kto to może wiedzieć, czy i ten, przy którym my trzymali wartę, nie będzie kiedy papiéżem. No, to darmo: kto służy, wolność traci; w wojsku, czy chcesz, czy nie chcesz, jak każą, musisz; tam krótka sprawa: *Ton tuj! cel, pal!* ot i dziewięć kul wpakowali w ciebie. Już ja się tego napatrzał. To ja raz porucznikowi powiadał: „Panie poruczniku! kiedy to nie po sumieniu, to dajmy uciec kardynałowi"... a on: „nasza rzecz słuchać starszych, bo starszyzna z woli Bożéj; ich sam Bóg ukarze, kiedy co nie po sumieniu rozkazali. Taka wola Pana Boga! Ale ja pójdę i będę prosił, żeby nam przebaczył". I jak powiedział, tak zrobił. Prosił o posłuchanie; kardynał zezwolił. To, jak nam potém rozpowiadał, jak tylko drzwi otworzył do pokoju, gdzie był, tak zaraz padł na kolana, i na kolanach szedł, aby ucałować nogi; kardynał porucznika przeżegnał, a porucznik: „Wasza Eminencya!" to jakby powiedział: „Jaśnie Oświecony" po świeckiemu; „daruj niegodnemu grzesznikowi, którego Bóg pokarał, i za grzechy na wartę mię postawił." A kardynał na to: „Synu w Chrystusie! ktoś rodem?" bo po mowie zauważał, że nie Francuz. A porucznik odpowiedział: „ja Polak." A kardynał znowu: „Synu nieszczęśliwéj krainy! i ty nieszczęśliwy błądzisz po świecie. Bóg sprawiedliwy; ale i miłosierny. Tyś nie winien; czyń Bożą wolą. Toć i ja musiał przed Bogiem zawinić, kiedy mię pokarał tą sromotą.

Cierpmy, ufajmy! jakoś to będzie.“ Porucznik jakoś to nam długo i pięknie gadał, i nam i przed oficerami; ale gdzie mi tam spamiętać!

Za kilka godzin kamerdyner kardynalski przyniósł bóty porucznikowi; bo zauważał, że porucznik był przy bótach, a nie w bótach. Palce przez podeszwy wyglądały. Bo trzeba wam wiedzieć, że na wojnie nieregularnie płacą; to z przyodziewkiem oficerom gorzéj, niż żołnierzom. Żołnierz, kiej mu co nie dostaje, to tam i sam porwie, jak mu się trafi; a oficerowi nie wypada. Otóż, jak kamerdyner przyniósł te bóty, to ja je nazwał *kardynalskie;* i bywało jak porucznik ubiera się i mówi do mnie: „Kanty Stopień! podaj mi bóty.“ to ja, „a jakie? panie poruczniku! kardynalskie?“ Jak to oficerowie pochwycili, to sprzeciwiali się: „A jakie masz dziś bóty? panie Kazimierzu, czy kardynalskie?“ a do mnie: „Wiarus! czy kardynalskie dałeś bóty porucznikowi?“ a porucznik Tański: „śmiejcie się sobie na zdrowie, a ja te bóty do śmierci chować będę, i proszę was, jeśli zginę, a uda się wam mnie pochować, żebyście mię w tych bótach pochowali.“

Nie długo po tém my pomaszerowali do Neapolu, i tam znaleźli stado koni króla neapolitańskiego. Zaraz tam formowali pułk kawaleryi, — i porucznik Tański od nas poszedł do tych hułanów. Już potém w jakie dziesiątek lat zobaczyłem go pod Dreznem półkownikiem, i spytał: „Wielmożny półkowniku, czy też W. półkownik ma te bóty?“ — „Gdzie tam, mój kamracie, pod Słonimem koń przepadł z jukami, gdzie były te bóty...“

Ot taka-to historya bezbótowego porucznika, który umarł generałem i panem. Bóg nagrodził jego poczciwość. Dobre to było panisko. Panie! świeć nad jego duszą!

Józef Paszkowski.

WIERSZ

NA ZGON
GENERAŁA WOJSK POLSKICH
Tanskiego.

Ubył mąż, — który zawsze rzadkim dziś szedł torem
Między cnotą i honorem;
Co umiał w każdym zawodzie
Zaszczytne imię pozyskać w narodzie.
Świadczy o tém należycie
Całe piękne jego życie.
Gdy walka za kraj pierwszą była cnotą,
W bratnich szeregach on z chlubą się liczył;
Zwyciężać trudy i wrogów z ochotą,
Dość łatwo było, gdzie on przewodniczył:
Bo gdy przeszkoda zjawiła się jaka,
On wskazał drogę sławy dla Polaka.
Znajdzie ślady jego stopy
W znacznéj części Europy.
W czterdziestu ośmiu bitwach, staczając bój krwawy,
Jaśniał on na polach sławy.
Nie każdego generała
Opromienia taka chwała.
A jednak, — gdy minęły okropności wojny,
Burze ucichły, zły los się ukorzył,
Okryty chwałą, lecz w duszy spokojny,
On — dla zatrudnień gospodarskich ożył,

I, zgodnie z nowych przeznaczeń swych celem
Świetny żołnierz wzorowym był obywatelem.
Takiém też zawsze było polskie plemię,
Tak żyli nasi Ojcowie, Naddziady,
Gdy oręż zgromił nieprzyjaciół zdrady,
Pługiem, ojczystą użyzniali ziemię.

To też syn ich nieodrodny
On — staropolską ożywiony cnotą,
Zawsze uprzejmy, i szacunku godny,
Był wzorem gościnności, przyjaciół pieszczotą;

Dobry sąsiad, Polak prawy,
On — i w zaciszu wiejskim drogiej nabył sławy; —
Ile zaś biednym, których zły los nęka,
Świadczyła jego dobroczynna ręka,

Niechaj pokryje milczenie:
Skromne, jak on był, są w tym jego cienie,

Dość, że wiedzą wspomożeni
A z resztą.... Bóg to oceni! —
Dziś — w słusznéj po nim żałobie
Świadczą smutkiem wszystkie stany,
Ileż serc on zjednał sobie,
Jak był od wszystkich kochany!
Dla swéj sławy i dla świata
Żył dosyć ten mąż jedyny;
Ale zawczesna to strata
Dla przyjaciół i rodziny!
Lecz nic już nie pomogą żale — łzy — rozpacze:
Śmierć nie zwraca swych zdobyczy;
Już go żal nasz nie wypłacze,
Ani dalszych dni użyczy —
Już się dlań wieczność rozpoczęła błoga;
Duszą — wróciła do Boga,

Grób szczątki cnotliwego pokryje śmiertelne,
Nie jeden łzę czułości nad niemi poświęci,
A imię nieskazitelne
Pozostanie w rodaków sercach i pamięci!

Kielce.

Feliks Homicki.

STANOWISKO
Jachowicza
JAKO GRAMMATYKA.

Przez poznanie rzeczy przechodzimy dopiéro do zrozumienia wyrazów. Słyszane słowa dają nam tylko wiadomość słów, aby zaś *zrozumieć*, musimy się radzić nie tego, który mówi, ani zewnętrznego dźwięku jego mowy; ale *prawdy wewnętrznéj*, która jest zawsze obecną umysłowi.

S. Augustyn, *de Magistro, cap. 11.*

Wszyscy oddają cześć Jachowiczowi, jako nauczycielowi dzieci, jako przyjacielowi i opiekunowi tych małych istotek równie pod strzechą rodzicielską przez swoje śliczne bajeczki, jak w salach ochrony, do których powstania u nas tak się przeważnie przyłożył. I słuszną jest zaprawdę ta chwała przyjaciela dzieci, słusznem uwielbienie, którego zaszczytnym dla składających go dowodem jest właśnie *Pismo*, w którém te słowa kreślimy. Ale Jachowicza zasługa nie

ogranicza się na téj miłości dzieci i na czynach miłosierdzia, którego najpiękniejszym wyrazem jest uorganizowana przez niego *szkoła chłopców w Dobroczynności*, prawdziwie wzorowa, a tak mało znana ogółowi; zasługa Jachowicza nie ogranicza się na darze niewinnéj a serdecznéj poezyi, jaką do duszy ukochanych swych dziatek przemawia. Nie, Jachowicz ma wyższe, osobne i jedyne w naszym kraju stanowisko, którego dotąd nikt dokładnie nie określił. On jest *filozofem mowy*, on jest głębokim badączem tego cudownego daru, który razem z rozumem wynosi człowieka po nad wszelkie ziemskie stworzenia i jest rękojmią jego nieśmiertelności.

Powiedzieliśmy «filozofem mowy» i nie bez ważnego powodu tak się wyrażamy; nie *języka* bowiem samego, lecz *mowy w ogóle* Jachowicz jest badaczem, i to mu właśnie nadaje oddzielne, szczególne stanowisko, którego jak powiedzieliśmy nikt dotąd u nas jeszcze nie zajął. Wszyscy nasi badacze filologiczni, *naśtępnie* dopiéro przechodzą do ogólnego rozważania mowy, niekiedy nawet nadciągają prawa téj ostatniéj do szczególnych cech języka. Jachowicz jeden idąc śladem swego ukochanego mistrza Kopczyńskiego, od razu dał *myśli przewagę nad głosem*, a przez to osobną utorował sobie drogę. Kto tego nie rozróżnia, nie zrozumié nigdy stanowiska Jachowicza jako grammatyka; szukając w nim ostatecznych wskazań do grammatyki polskiéj, zewnętrznego wyrobienia języka, metody wyłącznie praktycznéj i podręcznéj nie będzie zaspokojony; Jachowicz bowiem, powtarzam, jest badaczem mowy przedewszystkiém. On wykazaniu stosunku mowy ogólnéj do mowy polskiéj głównie się poświęcił. Jego nie zajmują szczegółowe skarby, a raczéj on nigdy od ich dostrzegania nie zaczyna; lecz przez odnoszenie się do ogólnych zasad, znachodzi niedostrzeżone dotąd piękności wyższego rzędu; bo będące wy-

razem nie przypadku, lecz tej potężnej i logicznej myśli, która żyła w ojcach naszych. *Myśl logiczna, przyrodzone prawa logiki, uwydatniające się w słowie wewnętrzném, to słowo samo, zanim się znakiem objawi i stosunek tego słowa do znaku*, oto są przedmioty, które zajmowały Jachowicza jako grammatyka, które on ukochał, jak mądrość, jak poezyą, jak natchnienie. I w istocie wielkie-to i głębokie przedmioty! może nawet zamiłowany w nich szczególnie, oddany im w głębokiém a cichém badaniu, z wyłącznym zwrotem uwagi na ulubioną sobie naukę, Jachowicz nie przeczuł, jaki stosunek one mają z najwyższémi dla człowieka zagadnieniami. Oby te kilka słów wykazujących właśnie *ten stosunek*, stały się nagrodą ukochanemu Mistrzowi mojemu za te głębokie a mało jeszcze pojęte prace.

Dowodzić, że myśl przedewszystkiém rozważać potrzeba w badaniu języka, — wznosić się do zasad grammatyki powszechnéj; w uwagach najbardziéj nawet szczegółowych nie opuszczać téj drogi, — rozjaśniać wszystkie rozwinięcia narodowego narzecza tym ogólnym poglądem; — prostować przy tém świetle różne błędne metody nauczania, oraz napływowe i niewyrozumowane zwyczaje, — budzić w uczniach *myśl*, przez wykład *myśli* w grammatyce, — czémże to inném jest, jeżeli nie wielkiém uznaniem duchowości duszy i nieśmiertelnéj jéj potęgi? — Czémże to inném jest, jeżeli nie upowszechnieniem uszanowania dla najwyższego człowieczeństwa przywileju, upowszechnieniem w dzieciach i przez dzieci, to jest w ko-lebce narodu.

Dowodzić i wykazywać, że *zapoczątkowanie* mowy idzie od myśli, że jest słowo wewnętrzne, zanim jest słowo zewnętrzne; że to słowo wewnętrzne jest powszechne, czyli że rozwija się podług praw wspólnych wszystkim ludziom, — nie jest-że to kłaść zasady spirytualnéj filozofii w kraju i sposobem pedagogicznym, w skromnym zakresie gramma-

tyka, pielęgnować źródło oświaty narodowéj we wszystkich jéj kierunkach, a zarazem usuwać na drodze elementarnéj wszystkie błędne systemata, które zacząwszy od owéj walki *nominalistów z realistami*, aż po dziś dzień stanowisko chrześcijańskie zaciemniają... Przeprowadzać myśl przez wszystkie pojawy języka, przez wszystkie prawidła grammatyczne, przez wszystkie odmiany wyrazów; szanować przedewszystkiém logikę, przygotowywać młode umysły do ćwiczeń oderwanych, do działań abstrakcyi, która jest piérwszém szczeblem myślenia filozoficznego, a bez któréj panowałaby tylko czcza empirya, granicząca z sensualizmem i materyalizmem — czémże to inném jest, jeżeli nie działaniem głębokiego myśliciela w narodzie? Tak, Jachowicz jest tym myślicielem, on spełniał ten zawód w naszym kraju przez lat kilkadziesiąt, nie zrozumiany i nie oceniony dostatecznie; on grammatykę uczynił środkiem wychowania młodych pokoleń, obierając drogę najżyźniejszą i najgruntowniejszą w swoim zawodzie; on uzupełnił, co zaledwie przeczuł Kopczyński, a uzupełnienie to jest znów podobném do całego jego działania, bo leży całkiem w metodzie. Dla tego téż pracę swoją nad grammatyką, którą wydać zamierza w krótce, nazwał skromnym mianem „*Pomysłów do grammatyki*,“ odznaczając tym sposobem swoje osobne i szczególne stanowisko. Ważne to będzie i znakomite dzieło; ale Jachowicza *w zupełności jako grammatyka* tam nie znajdziemy; bo pracy téj będzie zawsze brakować téj żywotności, tego stósowania się do każdego umysłu, téj potęgi pedagogicznéj, która w ustnym jego wykładzie tak zachwycała. Lecz czego nie dostawać będzie temu dziełu, to uzupełni *tradycya żyjąca w całém pokoleniu*, mianowicie kobiét, a rozszérzona tak już po naszym kraju, że stała się jakby nowym językiem dla języka. W połączeniu z tą tradycyą, dzieło jego jakkolwiek dorywczo i wśród znękania cierpieniami napisane, utworzy

całość, którą z religijném uszanowaniem przechowywać pośród nas powinniśmy. Było u nas wielu badaczów języka i jest ich wielu, zasługi ich ważne, prace znakomite: niech nikt nie mniema, żebyśmy kreśląc te słów kilka, chcieli uchybić tym zasługom; lecz patrząc od lat najmłodszych na prace grammatyczne Jachowicza, podziwiając wpływ cudowny jego wykładu, nie mogliśmy się wstrzymać od zwrócenia uwagi ziomków na to szczególne miejsce, jakie on w umysłowości naszéj zajmuje.

Nie trzeba jednak mniemać, aby on i w saméj uprawie języka nie położył wielkich zasług; owszem i pod tym względem rezultata jego metody są znakomite, a samo zamiłowanie ojczystéj mowy, które tak umiał obudzać przez swój dziwny urok nauczania, jest niezmiernym dla nas nabytkiem. Ale o tém mówiłam już w krótkim artykule zamieszczonym w Rozrywkach P. Pruszakowéj, do którego śmiem odesłać czytelników dla uzupełnienia ich sądu w tym względzie. (*)

(*) Rozrywki dla młodocianego wieku wydawane przez Sewerynę z Żochowskich Pruszakową. (Warszawa, 1856.) Tom II, str. 375:

SŁÓWKO O STANISŁAWIE JACHOWICZU,

przez Eleonorę Ziemięcką.

Ponieważ pismo to poświęcone jest głównie młodzieży, słuszną więc jest rzeczą, ażeby młodzież a mianowicie młode czytelniczki polskie, poznały cokolwiek człowieka, który w ukształceniu młodzieży największe położył zasługi. Jest to jeden z tych ludzi, których krytyka nie dotknie, nagana nie zasmuci, a pochwała nie zepsuje i o tyle tylko ucieszy, o ile jest dowodem poczciwych uczuć w tych, co ją wyrzekli. Możemy więc pisać o tym człowieku i otoczyć go za życia jeszcze miłością i czcią, jakie mu się słusznie należą. W chwili, kiedy autorka „Rozrywek“ rozpoczynała swój zawód, i silny odrazu zaczęła mieć wpływ na czytającą ją z zapałem publiczność, dał się również poznać u nas Stanisław Jachowicz, rodem z Galicyi, który pod skromną nazwą nauczyciela języka polskiego rozległe i ważne miał cele. Zyskał on szybko powszechny szacunek, nauczał prawie we wszystkich zakładach e-

Tu zaś jeszcze streszczając całą myśl naszą powiemy: że największa zasługa Jachowicza jest w użyciu mowy, jako środka rozwinięcia umysłu, jako klucza do wszystkich innych nauk, które w istocie w przyrodzonéj logice rozumu ludzkiego a zatém i słowa, jak w ziarnie są zawarte. Z tąd jego zatrzymywanie się na piérwszych częściach grammaty-

---

dukacyjnych i wielu prywatnych domach. A jak nauczał, o! czytelniczki moje! To właśnie chciałabym wam uprzytomnić, jeśli podobna, to opowiedzieć; bo lubo nie jedna z was zna go osobiście i pobierała od niego naukę polskiego języka, nie możecie sobie wystawić, czém był ten człowiek w sile wieku, z całym zapałem młodości, z zamiłowaniem namiętném swego przedmiotu i z cudownym darem wykładu!

Dziwne też skutki robiły te jego nauki w umysłach uczennic, słuchano, myślano, medytowano, myśl płynęła szerokiém korytem, a płynęła skromnie bez hałasu, bo się kryła pod osłonę głosek i spółgłosek, wyrazów odmiennych i nieodmiennych, o których pan Jachowicz takie cudne mówił rzeczy, nad któremi tak się rozszérzał, że nie jedna nieświadoma matka, o przesadę go posądziła. Było też to daleko więcéj, niż wykład języka, to była metoda pedagogiczna, żywa psychologia, to była metafizyka wcielona w wykład grammatyki, w któréj, jak dowodził pan Jachowicz za powagą mistrza swego Kopczyńskiego, „zawsze pierwéj o myśl, niż o głos chodzi.“ Ach myśl, myśl, to skarb, to ukochany przedmiot; on ją ścigał w locie, on ją śledził w najmniejszym wyrazie, w najmniejszéj głosce, ona nigdy nie uszła jego uwagi; w najdziwaczniejszéj osłonie, w najszczególniejszym zwrocie języka jéj dopatrzył, a jak się cieszył, kiedy mu w téj pracy dopomagały uczennice, jak się radował z ich postępów! Tu znów, młode czytelniczki, chciałabym wam powiedzieć, co to była radość, *radość* p. Jachowicza: ale to wy znacie już cokolwiek, wy, coście się w ostatnich czasach jeszcze uczyły od niego: bo *cieszyć* onsię zawsze umie zarówno, bo choć znękane zdrowie potłumiło energią nauczyciela, lecz serca gorącego, kochającego naukę i dobro, nic potłumić niezdoła. Wówczas jednak było coś w istocie twórczego w téj radości, a z tąd powstawała zamiana myśli między nim a słuchaczkami, któréj szybkości opisać niepodobna. Słów nie stało, głosu brakło w tym pośpiechu, w tych wyścigach, w tém szermierstwie umysłowém. Nietylko nauka grammatyki na tém zyskiwała, nie tylko upowszechniała się doskonała znajomość języka w młodém pokoleniu, płynęły z tąd jeszcze inne niezmierzone korzyści. Na-

ki, długie pracowite, na częściach przygotowawczych; z tąd większa stósowność téj metody do ustnego, niż do pisanego wykładu; z tąd nakoniec charakter przemian i ulepszeń, zaprowadzonych przez niego w grammatyce ojczystéj, zupełnie oryginalny, szczególny i filozoficzny; bo wszelkie powody tych przemian udowadniają się *logicznym względem myśli.*

---

przód to myślenie logiczne, prawie metafizyczne myślenie, to samodzielne odtwarzanie mowy, że tak powiemy, które stanowi istotę metody p. Jachowicza, uzdalniało niezmiernie do pojęcia innych przedmiotów, a mianowicie nauki obcych języków. Powtóre, zyskiwał sam język, bo ileż to odkryć, ile nowych pomysłów nastręczyły światłemu grammatykowi te zapasy młodych i świeżych główek, z których każda sercem dopomagała sobie pragnąc uszczęśliwić kochanego nauczyciela. Dziś jeszcze p. Jachowicz mógłby wymienić nazwisko uczennic, które mu tę lub ową myśl podały, ten lub inny odcień rozwinień wzbogaciły. On zapisał w sercu te dary, bo jak powiedzieliśmy „one w sercach i umysłach współcześnie brały początek.“ Ale nie na saméj wewnętrznéj wdzięczności ograniczał się mistrz szanowny. Kiedy tak kilkakrotnie ucieszyła go baczność, staranność a mianowicie gruntowna rozwaga jakiéj uczennicy, już on jéj nigdy z pamięci nie spuścił, już on odtąd śledził jéj postępy, zachęcał, podnosił odwagę, pielęgnował zdolności, jak ogrodnik pielęgnuje ulubioną roślinkę, i jak pod ręką ogrodnika, rozwijały się prawdziwe talenta pod jego opieką. Ileż takich można-by naliczyć, że wspomnimy tu tylko dwie pełne uczucia i natchnienia poetki, Józefę Prusiecką i Walentynę Trojanowską. Będziesz poetką, będziesz autorką, mówił proroczym duchem mistrz ukochany, a słowa te stawały się rozkazem, powinnością, zobowiązaniem do dalszéj i sumiennéj pracy, bo wiedziano, że lekko ich nie wyrzekł, że niebudziłby nadziei, którym nieodpowiedziałyby zdolności; bo znano, że jeżeli kochał literaturę ojczystą, to więcej jeszcze kochał prawdę, szczerość i prostotę. Kochał! czemuż ten wyraz w przeszłym czasie użyliśmy? on je kocha po dziś dzień, on żyje! jak niedawno wyrzekła młodziutka poetka w Ciechocinku, zapewne Bóg życie przedłużyć zechce, bo to piękne, potrzebne, bogate w zasługi życie! Wkrótce wyjdzie jego grammatyka, nad którą w ostatnich czasach gorliwie pracował, wyłożona w sposobie popularnym, z tą samą swobodą, z tym samym względem na myśl, i z tym charakterem pedagogicznego znaczenia, który mu przyznaliśmy; ale dla *tych,* którzy słuchali żywego wykładu mistrza, którzy znają ten umysł wrosły niejako w ojczystą

Ztąd prostota i jasność jego wykładu, odrzucenie wszelkich metod, które terminologią swoją utrudniają stosunek mowy naszéj z mową ogólną, i stają się jakby murem, przez który ten żywotny i ożywczy powiew, idący od słowa wewnętrznego, przeniknąć nie może.

Eleonora Ziemięcka.

---

mowę, kryjący w sobie skarby, których żadne pióro nieodda, dla tych mówię, wykład, jakkolwiek ważny i doskonały, będzie zaledwie cieniem téj żywéj grammatyki, którą z ust jego słyszeli. Tym-to więc uczniom i uczennicom poświęcamy to słówko, ten szkic pobieżny, który zarazem niech w sercach młodszego pokolenia obudzi należną wdzięczność i szacunek, i usposobi do pojęcia i ocenienia dzieła, które szanowny m'strz, pomimo zwątlonych sił swoich, dla dobra ziomków dokonał.

WYJĄTEK ZE WSTĘPU
DO

HISTORYI LITERATURY POLSKIÉJ
DLA UŻYTKU MŁODZIEŻY

PRZEZ

Sr. Henryka Lewestama.

Do młodych czytelników.

Nieraz zapewne słyszeliście, młodzi przyjaciele, kiedy zachęcano was do nauki *obcych* języków i przedstawiano je jako rzecz, każdemu człowiekowi wykształconemu niezbędnie potrzebną i konieczną, że te języki są kluczem, bez którego niesłychanie obfite skarby umysłowe na zawsze pozostaną dla was nieme i zamknięte. Onemi to skarbami są *Literatury* obcych narodów, zbiory wszystkich *pomników piśmiennych*,

od czasu wynalezienia lub zaprowadzenia liter aż do dnia dzisiejszego ludzkości przekazanych; znajomość tedy każdéj takiéj literatury, coraz bardziéj zbliży was do cnoty i mądrości minionych pokoleń, — czasów, które już nie istnieją, — ludów, które już dawno zaginęły. Jeśli więc ważny macie obowiązek, ile sił waszych starać się o coraz to głębsze wnikanie w *owe* skarby, jakże świętą jest powinność poznania całego obszaru *téj* literatury, do któréj klucz, bez wszelkiego prawie waszego przyłożenia się, macie sobie od Boga nadany: — boście się w *jéj* łonie zrodzili, a język *jéj* wyssali w mléku macierzyńskiém. Literatura *ojczysta*, jako skład tego wszystkiego, co odznaczeni bogobojnością, talentem i nauką wasi przodkowie i współcześni dla siebie i dla potomnych myśleli i pisali, *godnym* zaiste jest przedmiotem waszéj usilności; — z jéj bogactwa zbierać możecie rozliczne plony, już-to pod względem moralności, zapatrując się własném okiem na wzniosłe wzory prostoty w obyczajach, głębokości wiary i różnego poświęcenia, — już też pod względem nauki, gdy podziwiać będziecie wielokształtną drogę, którą Opatrzność przeprowadzała nasz naród do coraz większéj oświaty i poznania siebie. *Historya téj literatury* pracę waszą w téj mierze ułatwi i obznajmiając ze wszystkiemi pismiennictwa polskiego płodami, oszczędzi wam jednak trudności wyboru, albowiem wskaże dzieła, zasługujące przed innemi na waszą uwagę, a zarazem połączy między sobą pisarzy i ich utwory, ludzi i ich epoki. Historya literatury polskiéj waszym sercom młodocianym przedstawi obraz ojczystéj przeszłości w opisie najwłaściwszym, bo własnym. Duch każdego stulecia, treść każdego okresu wysnuje się przed wami w naturalném następstwie; wypadki zewnętrzne społeczności bowiem, względem téj Historyi wewnętrznéj, są-to poruszenia członków ciała, wolą duszy kierowane.

Wielkie były zalety, choć niemałe też i wady, jakie

w przedmiotach umysłowych naród polski od najdawniejszych czasów z pośrodka wszystkich innych narodów wyróżniały. Na czele piérwszych świeci głęboka i niezachwiana niczém wiara religijna, która się prawie nigdy nietolerancyą ni plamiła, przywiązanie do rzeczy swojskiéj, bystry dowcip i lotne pojęcie; — z drugich wymienim głównie nieszczęsny brak wytrwałości, zmienność wyobrażeń miłości lub nienawiści, w późniejszych już czasach uganianie się za obczyzną. Literatura polska jest wiernym obrazem tyle sprzecznego poniekąd charakteru. Czysto rodzima i religijna w samém źródle, przesiąkła formą następnie, rzadko kiedy treścią starożytnych, przedzierzgnięta w łacinę i łaciną wyłącznie dźwigana, — potém znowu otrząsająca się z tak szkodliwego wpływu, w kształtach polskich polskie obrabiająca przedmioty, — następstwem wypadków wkrótce do francuskich wzorów zbliżona, chwilowo nawet germańskiemu żywiołowi uległa, — nakoniec, a da Bóg! ostatecznie, zaszczytne w gronie sióstr europejskich zajmująca miejsce, równa im urodzeniem, równa zasługami: — oto w krótkich wyrazach cały przebieg téj Historyi, którą tu przed waszemi oczyma rozwinąć zamierzyłem.

Gdy przy układzie niniejszego dziełka głównie was miałem na myśli, młódź płci obiéj uczącą się i kształcącą, czy prywatnie, czy w zakładach publicznych, przeto sądziłem się upoważnionym do użycia języka już nie dziecinnego, ale zrozumiałego bez przesady; przekonany, że gdzie znajdzie się jaka wątpliwość, rodzice lub nauczyciele wasi, w miarę potrzeby, chętnie ją wyjaśnią. Staraniem wszakże było mojém, iżby podobne miejsca były jak najrzadsze: bo jakkolwiek mi wiadome są znakomite postępy, jakie dzięki dzisiejszéj stopie oświaty bez wątpienia czynicie w innych naukach, przecięż i to wiém, że stronę estetyczną zapewne najmniéj dotąd kształciliście, i że różne poddziały téj ważnéj gałęzi

wiedzy ze słuchu tylko są wam znajome. *Estetyka*, czyli *Nauka o sztukach pięknych*, uczy przedewszystkiém poznawać to, co jest *piękne* i dla czego twór artysty takie lub owe czyni na nas wrażenie? później, przebiegając różne rodzaje sztuki: Budownictwo, Rzeźbiarstwo, Malarstwo, Taniec, Muzykę i Poezyę, każdemu z nich właściwą naznacza cechę i naturalne dlań podaje prawidła. Historya literatury tedy, którą poniekąd nazwaćby można Nauką poezyi i prozy w praktyczném zastosowaniu, i która właśnie, opowiadając o dziełach pisarzy, przykłada do nich skalę reguł, ta Historya trudno, iżby obeszła się bez pewnych pojęć estetycznych, których wam może dotąd jeszcze nie udzielono, a które dla tego miałem sobie za powinność, gdzie wypadło połączyć z przedmiotem przezemnie traktowanym. I tak, trudno wspomnieć o lirykach czyli poetach lirycznych, jeśli nie jest wam wiadomo, że *Poezya liryczna* wyraża czucie osobiste poety, wywołane czy-to wewnętrznym popędem serca, czy zapatrywaniem się na najwyższe przedmioty wiary, czy na cuda przyrody; — trudno o epikach, wprzód nie wyjaśniwszy, że epos czyli epopeja, przedmiot *Poezyi epickiéj*, opiéwa czyny człowieka lub jego epoki, bohaterem obierając tego, czyja myśl z myślą czasu i z własną działalnością w największéj jest harmonii i zrośnięciu. *Poezyę drammatyczną* poznacie jako wyobrażającą w żywéj robocie charaktery ludzkie, a sprawiedliwość Boską nad ich czynami górującą. Bliższych więc wszystkich określeń tych rodzajów, oraz szczegółowych ich poddziałów: Ody, Elegii, Tragedyi i t. d. przy byle sposobności nie pominę.

Oby więc plon wyrósł obfity z tego ziarna, które w miłości dla was na polu téj pracy zasiałem, i oby Bóg dobrotliwy pobłogosławił skrzętnym jego zbiorom!

SPOMINKI
DZIEJÓW POLSKICH
ZA PANOWANIA ZYGMUNTA III.

Z DZIEŁA

Konrada Memmiusa.

Jeżeli znakomitéj wartości są rzeczywiście dla nas, wszelkie z dawniejszych epok Rzeczypospolitéj spółczesne pamiętniki, przez wtajemniczonych do jéj działań skreślone; nierównie szacowniejszemi stają się opisy takichże wypadków, przez cudzoziemców bezstronném piórem nam pozostawione. Stosunki rodzinne, majątkowe, urzędowe i t. p. częstokroć umiejętnemu nawet krajowcowi tamowały wyjawienie prawdy w odszkicowaniu osób, z któremi w jedném kółku przebywano. Inne zupełnie jest położenie pisarza zagranicznego, jeżeli tylko ten, z dziejami naszemi dokładnie był obznajmionym. Mnogie już posiadamy tego rodzaju drogocenne zabytki. Wieloliczne poszukiwania już nam na téj drodze obszerne pole uprawiły, do ogólnéj budowy dziejów ojczystych. Lecz w tym oceanie niezmierzonym, mnóstwo jeszcze pozostało do badań, wiele i bardzo wiele do życzenia. Tymczasem dziś nie dosyć jest wynaleść, rękopis lub księgę dziejów spółczesną; minęły już czasy dawnego pewnika *jurare in verba magistri;* dzięki także postępowi rozwoju krytycznego, gdy teraz nie każdemu spółczesnemu dowodowi

rozkazujemy wierzyć z katedry; wsparci bowiem coraz liczniejszemi owocami spólnych usiłowań, możemy obecnie na drodze oceny historycznéj, w prawdziwszém świetle przeszłość oglądać.

W całych dziejach Polski, panowanie Zygmunta III, może i powinno nas najwięcéj obchodzić z wielolicznych powodów. Czterdziestopięcioletnie rządy najobfitsze w czyny wodzów najwaleczniejszych, w najrozciąglejszych granicach Polski, aż nadto silnie przemawiają, abyśmy epokę tę, starali się najdokładniéj poznać, a przez to godnie ocenić wszystkich członków Rzeczpospolitę składających. Wprawdzie, posiadamy już przez Juliana Ursyna Niemcewicza skreślone te czasy; ale dosyć jeszcze po wydaniu ich pozostało nam do życzenia. Nie tu jest miejsce wykazywania, w czém? albo dla czego ten pisarz błądził? Napomkniemy tylko: iż najwięcéj razi nas czcigodny autor, przez małe w swoich badaniach zapatrywanie się na ocenę historyczną. Zbytecznie ufając dziejopisarzom spółczesnym, bez względu, czyli oni w duchu istotnych zdarzeń pisali, nie jeden powtórzył błąd, który tamci spełnili. Bogatsi od niego wykrywającemi się każdodziennie rękopisami i różnego rodzaju dowodami, mamy uprawione więcéj pole, jakie nam Julian Ursyn pierwszy zaorał; do nas więc należy, jego niektóre zboczenia sprostować.

Każdy znający dokładnie ten okres przyzna, iż między innemi dwa obszerne obrazy, najwięcéj odbijają w ciągu panowania Zygmunta Wazy: niesnaski wewnętrzne skutkiem nietolerancyi, i utrata rodzinnego kraju Szwecyi przez tegoż króla. Szczęśliwym trafem dostało nam się w ręce, szacowne pod tym względem dzieło, w języku niemieckim *Konrada Memmiusa,* z którego przekonaliśmy się, iż, przy innych nieznanych z kąd inąd zdarzeniach polskich, wyjaśnia nam spomniony autor, że obadwa powyższe drammata, z jednego

źródła pochodziły. Ważność samego dzieła, dla szczegółów dotąd nieznanych, jakie w sobie obejmuje, a nadewszystko powód, że żaden z dziejopisarzy naszych nie przytacza Konrada Memmiusa, jako opisującego zdarzenia naszego kraju; nakazują nam obszerniéj je opisać, dowodami krajowemi poprzeć, a nieogłoszone dotąd ustępy, podać w tłumaczeniu do wiadomości ogółu.

Konrad Memmius, kronikarz niemiecki przy końcu XVI stulecia żyjący, opisując spółczesne swego życia lub blizkie téj epoki zdarzenia europejskie, ogłaszał swoje prace pod zmyślonem nazwiskiem *Jakóba Franka.* O ile mogliśmy się przekonać z dykcyonarzy bibliograficznych, jakie pod ręką mieliśmy (1), pisarz ten cztery dzieła historyczne po sobie zostawił: 1). *Jehova vindicem seu de rebus gallicis anni 1588 et 1589*; 2). *Historicam relationem quinquennalem*; 3). *Continuationem relationis historicae semestralis* i wreszcie: *Commentio altera complectens ea, quae post Guisios fratres et post regem interfectum contigerunt.* Ostatnie dzieło wyszło w Bremie w 4ce; drugie zaś, które jest celem naszéj pracy, wydrukowano r. 1596 w Frankfurcie nad Menem, nakładem Pawła *Brachfeldt* w 4ce stron 540; oprócz przedmowy, spisu szczegółowego zdarzeń i 43 miedziorytów. Już z treści swoich pism, już téż z epoki, którą kreślił, łatwo odgadnąć, iż, opisując dzieje spółczesne w chwili, kiedy reformacya religijna wrzała w całéj Europie, kiedy potoki krwi przelewały się w różnych państwach, gdy bój naukowy obosiecznym orężem wspierał zapasy ustawiczne wyznań, był zmuszony Memmius utaić swoje nazwisko, aby utrzymać się na stanowisku bezstronnego pisarza. Mimo tego jednak, jak z przedmowy do naszego dzieła można rozpoznać, wiele i

(1) Patrz: *Allgemeines Gelehrten - Lexicon Jöcher*'a w części III, str. 406 i *Oettinger*'a słownik pod tém nazwiskiem.

bardzo wiele pocisków był zmuszonym wytrzymać. Przetrwał wszystko, a żelazna jego wola tém piękniejszy wydała owoc dla przyszłości; bo najcenniejszy przydomek *bezstronnego kronikarza* potomność przyznać mu musi. Co do szczegółów jego życia, mogliśmy to tylko zebrać z jego przedmowy, iż był urzędnikiem austryackim, religii ewangelickiéj i przebywał w mieście *Wahlstadt* na Szlązku. Tam napisał dzieło dziś przez nas przytaczane, którego tytuł jest następujący: *Jacobi Franci Relatio historica quinquennalis. Warhaftige Beschreibung aller fürnemmen unnd gedenckwürdigen Geschicht, so sich innerhalb fünff Jahren, nemlich von Anno 1590 bis 1595 in hoch und nieder Teutschland, Brabant, Holland, Seeland, Dennemark, Schweden, Polen, Behem, Lifftand, Frankreich, Engelland, Schottland, Saphoy, Italia, Hispania, Persia, Hungern, Crabaten, Siebenbürgen, Walachey, Moldau, Podolia und Türckey verlauffen und zugetragen haben; alles auff guthertziger Leuth zeitige erjnnerung und bessere erkündigung der Sachen*, i t. d. i t. d. Tytuł ten przyozdobiony ryciną w czworokątnych ramach, przedstawia u góry na krańcach dwa globy, we środku orła austryackiego, a pomiędzy niemi w małym rozmiarze szczegóły bitew. Po prawym i lewym boku, umieszczono 14 herbów państw, których dzieje przytacza; orzeł polski jaśnieje tu między innemi. Dolna rama przedstawia dwóch rycerzy (austryackiego z tureckim) potykających się, którzy swemi mieczami pokrywają rolnika uprawiającego ziemię, z godłem: *spes alit agricolas* (nadzieja żywi rolników), dla oznaczenia, jak się zdaje, iż praca jego w takim celu była przedsięwziętą i rzeczywiście dokonaną. Z sposobu pisania można się przekonać, iż doznawał Memmius wiele trudności (czemu bardzo wierzymy), aby w prawdziwém świetle wypadki bieżące mógł objawić, zwłaszcza, gdy zdarzenia stwierdza dyplomatami i przywilejami. Otrzymanie tak ważnych a jeszcze spółczesnych dowodów, wy-

robienie wszelkich rycin z stoczonych bitew, zdejmowanie planów miast i innych godnych widzenia osobliwości, każdy przyzna, iż musiało mu wiele pracy, trudów i nakładów pomnażać. Przebywając zaś w Szląsku tak blisko stolicy Rzeczypospolitéj, mógł był o wielu zdarzeniach naszego kraju mieć i szczegóły i dokładną wiadomość.

Jeżeli praca Memmiusa pod względem dziejowym, szacowną dziś jest pamiątką, podwójnéj wartosci nabiéra przez spółczesne rozmaite widoki, jakiemi swoje dzieło przyozdobił. Czterdzieści trzy miedzioryty znacznego rozmiaru, bo niektóre dochodzą zwyczajnego arkusza, przedstawiają odpowiednie zdarzenia opisom historycznym w texcie zawartym. Szczegóły bitew stoczonych, widoki miast, gmachów, zamków, ratuszy w znakomitszych grodach, krajobrazy okolic, gdzie bój wrzał, położenie (w perspektywie, *à vol d'oiseau*) stolic: Paryża, części Krakowa, Wiédnia, Konstantynopola i wielu innych miast Węgier, Niemiec i Francyi, stają się dziś dla dziejopisarzy właściwych tych krajów, bardzo szacownym zabytkiem. Co do sztuki ich wyrobienia, nie tyle podziwiają samém wykończeniem, ile znakomitém grupowaniem osób i przedmiotów, jakie przedstawiają. Na żadnym pojedyńczym widoku, nie znaleźliśmy ani rysownika, ani rytującego artysty; w całém zaś dziele nasz autor nie wspomina, jakich rąk są płodem. Wśród bojów wrzących reformacyi i zapasów ustawicznych, taż sama bojaźń, jaka była przyczyną naszemu autorowi w ukrywaniu swego nazwiska, może stała się także powodem artyście rysującemu i rytującemu, do starannego ukrycia swojego miana. Ażeby jeszcze więcéj wartości nadać swoim widokom, Memmius przyozdobił je wizerunkami osób, główną rolę w zdarzeniach ówczesnych odgrywających. Oto ich szereg: Chrystyan Xiążę Saski Kurfirszt i Burgraf Magdeburgski, † d. 25 Września r. 1591; Mikołaj Krell, kanclerz Saxonii; Krzysztof

Gundermann professor w Lipsku; Jan Kazimierz Falcgraf Reński † d. 6 stycznia r. 1591 i pochowany w Hajdelbergu; Bajazet sułtan Turecki; Alexander Farnesius, Xiążę Parmy i Placencyi, zmarły d. 12 grudnia r. 1592; Graf Karol Maurycy Xiążę Nassauski; Jan Zamojski, nasz Hetman i Kanclerz W. Kor.; Zygmunt III, Król Polski i Szwedzki i kilka innych osób panujących lub sławniejszych dowódzców. Dla zwiększenia wartości rycin, przyłączył Memmius dwie mappy krajów sławiańskich to jest Kroacyi i Węgier. Szczególnie ta ostatnia jako na wielką podziałkę zrobiona, drogocennym stała się zabytkiem, do rozpoznania położenia wielu grodów już dziś nie istniejących, lub mających swą nazwę przekręconą i zmienioną. Z rycin dotyczących Polski, dwie nasz autor załączył: pierwsza przedstawia spotkanie się Zygmunta III z swą narzeczoną Anną, Arcy Xiężną Austryacką pod samym Krakowem; druga obejmuje wnętrze budowli i uroczystego posiedzenia, kiedy w pałacu Upsalskim Zygmunt III przysięgę składa na króla Szwedzkiego, będąc otoczonym senatorami szwedzkimi i polskimi. Szczególnym trafem taż ostatnia rycina (dokładniéj jednak od naszéj wyryta, z małemi waryantami co do ubocznych przedmiotów), jednocześnie prawie w Warszawie okazała się w dwóch egzemplarzach. Piérwszy w zbiorze znakomitego artysty P. Alexandra Lessera, który ją w swojéj podróży r. 1854 za granicą nabył, drugi w dziele przez nas przytoczoném. Opiszemy szczegółowo te ryciny przy artykułach, jakie w porządku przez nas oznaczonym, będziemy ogłaszali. Tu tylko dodać winniśmy, iż ze wszech miar są one godne, aby można je dla użytku ogółu podać w nowém odbiciu.

Czas, jaki opisuje Memmius, był epoką, w któréj Polska w najściślejszych i najliczniejszych stosunkach zostawała z Austryą. Wybór Arcy-Xięcia Maxymiliana po śmierci Batorego, liczni stronnicy jego w Polsce, usiłowania ich na

drodze polityki i oręża w utrzymaniu go na tronie, działania wojenne przeciw Austryi, zakończone porażką Maxymiliana pod Byczyną, wzięcie go do niewoli przez Zamojskiego, przebywanie w Krasnymstawie, układy i następne uwolnienie Arcy-Xięcia, wreszcie związki Zygmunta III z Arcy-Xiężniczką Anną, aż nadto usprawiedliwiają nasze twierdzenie. Tak mnogie polityczne stosunki każą wnioskować także, iż Memmius, jako urzędnik austryacki, mógł był jeszcze dokładniéj znać szczegóły wypadków w Polsce i gruntowniéj ocenić. Sposób wreszcie pisania całego jego dzieła, iż przytacza wypadki, bez wyrzeczenia swego właściwego sądu o nich, najwięcéj przemawia za jego bezstronnością. Zostawiając bowiem sąd o zdarzeniach potomnym, przekonywa, iż pisał w duchu wiarogodnego kronikarza.

Z licznych dziejów Polski lub krain jéj podległych, jakie opisuje, wybraliśmy pięć ciekawszych obrazów:

1). Szczegóły rozruchu protestantów w Krakowie r. 1591.

2). Związki małżeńskie Zygmunta III z Arcy-Xiężną Anną.

3). Opis chrztu pierwszéj córki Zygmunta III w Warszawie.

4). Podróż tego króla do Szwecyi w r. 1593 i bunt Gdańszczanów.

5). Opis koronacyi jego w Upsalu.

Wykończane te ustępy podawać stopniowo będziemy, w miarę możności i czasu; teraz zaś wzywamy miłośników dziejów ojczystych, aby nam do téj pracy, jeżeli posiadają jakie nieznane źródła, łaskawie za pośrednictwem Redakcyi «Biblioteki Warszawskiéj» nadesłać raczyli. Połączonemi bowiem siłami, łatwiéj do wskazanego celu trafić będzie można.

CZĘŚĆ I^szą.

SZCZEGÓŁY ROZRUCHU PROTESTANTÓW W KRAKOWIE W ROKU 1591.

Nader ogólne i krótkie wspomnienia, jakie o zamieszkach protestantów w Krakowie, podali nam dziejopisarze, zacząwszy od Hejdensztejna (1), Joachima Bielskiego i Piaseckiego, a skończywszy na Niemcewiczu; niezbadanie przyczyn i skutków tego zdarzenia, zmusza nas, iż wsparci pracami dzisiejszych wzorowych autorów i nieznanym dotąd rękopisem (2), przedstawiamy go w takiém świetle, w jakiém powinien być widziany.

Spółczesny Hejdensztein i Bielski tak go nam podają:

Podług Hejdenszteina (3).

Rok 1591 rozpoczął się wieloma zamieszkami z powodu protestantów, których kościoły tak w Krakowie, jako i w Wilnie zupełnie były zniszczone, z tąd wywiązy-

Podług Bielskiego (4).

W tym (jako czart nie śpi nigdy) nowe rozruchy między ludźmi się zaczęły, z strony zburzenia zborów tak w Krakowie, jako i w Wilnie, z kąd dalsze kłopoty im

---

(1) Zmarły przed parą laty zbyt wcześnie dla siebie i literatury krajowéj Seweryn Gołębiowski, w Nrze 276 Gazety Warszawskiej z r. 1853 niewątpliwie nas przekonał, że kommentarze przypisywane dotąd Rejnoldowi Hejdensztejnowi, wyszły z pod pióra Jana Zamojskiego, Hetmana i Kanclerza W. Kor.

(2) O sejmach rokoszowych pod przewodem Mikołaja Zebrzydowskiego.

(3) *Rerum polonicarum liber 9 f. 292.*

(4) Dalszy ciąg kroniki Polskiéj Joachima Bielskiego, odkrytéj przez p. F. M. Sobieszczańskiego, str. 145.

wały się każdodziennie liczne przygody, które króla wielce niepokoiły. Chociaż *bynajmniej nie był temu winien*, jednak wysłał marszałka swego litewskiego (1) do uśmierzenia rozruchu, nakazując sprawców pociągnąć do ostréj inkwizycyi. *Sami protestanci rzeczywiście głosili, że dali powód do tych rozruchów.* Szkoci bowiem licznie przybywający na jarmarki, w Krakowie zabili nielitościwie na rynku, kilku ludzi spór wiodących o religią, a za takie zuchwalstwo mszcząc się, następnego dnia uczniowie szkół i rozmaity lud, którego tam (w Krakowie) wielka liczba znajduje się, ich kościoły z ziemią zrównali. Z téj przyczyny mnóstwo szlachty tegoż wyznania przybywszy do Krakowa, udało się do króla z przedstawieniem swoich krzywd. Z odpowiedzi panującego nie będąc zadowoleni, gdy ani sprawców dalej tém więcéj rosły, które króla zatrudniały. Acz on tego nie tylko rozkazował: ale nawet marszałka swego słał Radziwiłła, aby tumultowi temu zabiegał. Także i do inszych urzędów wszystkich posłał i rozkazał, aby tego bronili. Nawet sprawiedliwość taką, jakaby najsłuszniejsza być mogła, czynić kazał i hultajstwo tamto karać. Acz i tamta strona zborowa wielką przyczynę do tego dała: abowiem Szotowie (jako jarmark był wtenczas w Krakowie) na rynku kilka ludzi dzień przedtém zabili, dla czego nazajutrz żaczy i ten motłoch (jako tego w Krakowie dosyć) na zbory ich uderzyli, i prawie do gruntu zburzyli, tak na ś. Jana ulicy, jako i na Szpitalskiéj. Najechało się zatym szlachty krakowskiéj do Krakowa barzo wiele skarżyć: wszakże niekontenci będąc z responsu królewskiego, pojechali precz, bo widzieli, że nie było szkody na kim ścigać: więc i na kogo

(*) Stanisław Radziwiłł, syn najmłodszy Mikołaja Czarnego.

dochodzić, ani zadosyćuczynienia za krzywdy otrzymać nie mogli, z rozjątrzonemi umysłami wydalili się. skarżyć słusznie nie wiedzieli. A *scrutinium* rozumieli być w tej mierze trudne.

Piasecki za źródło tych zamieszek podaje, wystawienie dwóch kościołów protestanckich w Krakowie, przy ulicach Ś. Jana i Ś. Ducha. Nasz autor tak nam to opisuje od str. 51. „W miesiącu maju 1591 r. w Krakowie w Polsce, ewangelicy, jak ich nazywają, przed ośmiu laty wystawiwszy sobie własny dom do kazań i nabożeństwa, takowe w niemieckim i polskim języku, przez pewien przeciąg czasu odbywali, dopóki im dom ten przez *papiezkich Jezuitów* i *ich uczni* spalony i zniszczony nie został. Przed pięciu laty za zezwoleniem króla, przy pomocy kilku możnych panów tego wyznania, znów w témże mieście ewangelicy dom swój modlitwy wspaniale odbudowali, wydawszy na to do 10,000 złotych ówczesnych (dziś około zł. 90,000). Kiedy zaś przed półrokiem kazania w nim miewali i nabożeństwa według swego wyznania odbywali, tenże po raz drugi ze szczętem został zniszczony z następującej przyczyny.“

„Katolicy w Krakowie i w innych miejscach mają zwyczaj, że corocznie w dzień Wniebowstąpienia ze szczególną uroczystością, wznoszą do samego sklepienia kościoła obraz lub żywego człowieka, i ztamtąd potém spuszczają z góry na dół straszydło przedstawiające szatana, dla okazania Wniebowstąpienia i tryumfu Jezusa Chrystusa nad potęgą złego ducha. Toż samo odbyło się i w tym roku (1591) w niedawno upłynionym dniu Wniebowstąpienia to jest d. 13 maja (1). Papiści w Krakowie w obszernym kościele na rynku (2) dopełniając tego obrządku wedle zwyczaju, wzno-

(1) Sposób ten pisania jasno okazuje, iż autor zbiérał te wiadomości z dat najświéższych.

(2) Autor, widać, znał mało Kraków, skoro wspaniałej budowli kościoła N. P. Maryi nie potrafił nazwać.

sili obraz Boski do góry i spuszczali drewniany potwór szatana na dół. Następnie, włócząc to straszydło po ziemi około zboru Ewangelików, po różnych dostępnych miejscach, zaczęli ciskać na sam przybytek i chcieli drzwi gwałtem otworzyć dla zrabowania go. Gdy jednakże budowla ta, była opatrzoną mocnemi żelaznemi podwojami i oknami, przez mocne kraty zabezpieczonemi, papiści nie mogli swego zamiaru tak prędko spełnić, jak się spodziewali. Ówczesny magistrat wysłał na miejsce rozruchu straż miejską, która będąc przywitaną kamieniami, musiała wkrótce uciekać. Poczém burmistrz wysłał niezwłocznie na zamek do króla, przebywającego wówczas w Krakowie z doniesieniem o nastąpioném rzeczywistém zaburzeniu. Monarcha wówczas grał w piłkę, nie chciał posłańcom dać szczegółowego posłuchania, poprzestając tylko na wysłaniu jednego z dworzan, z 10 lub 12 żołnierzami, dla przywrócenia spokojności. Posłaniec królewski przybywszy na miejsce rozruchu, chciał rozpędzić wzburzony tłum, przed zborem ewangelików; w téj chwili jednak, gdy dobył oręża z pochwy, tak silnie został od pospólstwa kamieniami przywitany, iż zaledwo z wielką trudnością potrafił schronić się do domu *Spiegler*'a w rynku. Burzyciele napadli i na ten dom, domagając się wydania dworzanina królewskiego; zwolna jednak od tego zamiaru odstąpili. Kiedy to zaburzenie srodze tak wzrastało, iż czyniący rozruchy na żadną już władzę nie zważali, Ponet (1), pan krakowski, najpiérwszy po królu, i Jan Sporocki (Zborowski) obadwaj ewangelicy, widząc grożącą burzę, z obawy większego niebezpieczeństwa, szybko dopadli koni i udali się na

(1) Może *Bonar*, z rodziny tyle słynnej z zamożności w Krakowie i jego okolicach. Rodzina Bonarów, jak wiadomo, przeszła około tego czasu z łona kościoła katolickiego na luterskie wyznanie. Mylne cytacye autora w nazwiskach tak naszych miast, jako i osób, tém więcej przemawiają za naszém domniemaniem co do téj zmiany nazwiska.

zamek do króla. Po opowiedzeniu szczegółów tego rozruchu, wielce użalali się na spełnione gwałty i tyle swojém przełożeniem wymogli, iż Zygmunt III kilku tam wysłał ze swoich dworzan. Ci przy pomocy Szkotów i Francuzów, mających na sprzedaż w rynku swoje składy towarów, tak dzielnie na burzycieli natarli ze wszystkich stron, iż nietylko pospólstwo, ale i studentów od domu kazań odpędzili. Wśród tego 5 lub 6 osób padło trupem, a 68 do 70 ze strony papistów było ciężko rannych. Tym sposobem dom modlitwy tego wieczora został ochroniony od gwałtu i rabunku. W nocy jednak, kiedy wojsko królewskie powróciło na zamek i tamże bramy zamknięto dla wzbronienia przystępu ludowi, studenci i stronnicy papistów znów się zebrali i uderzyli na zbór ewangelicki, pod który wielkiemi drągami podłożywszy ogień, wszystko w nim spalili; sklepienia rozwalili tak dalece, że nic nie pozostało, tylko kilka szczątków murów. Następnie Szkotów i Francuzów, którzy dnia poprzedniego przeciw nim występowali, pojmano i ich składy zrabowano, poczém burzyciele rzucili się na zbór Aryanów przy ulicy S. Szczepana, obdarli go i rozwalili ze szczętem. Chcieli go nawet pierwotnie spalić; ale gdy częścią był murowany a częścią drewniany, obawiano się zaś, aby pożar ztąd wynikły, nie pochłonął wszystkich budynków przyległych na całéj ulicy, sąsiedzi przeto odradzili pożaru, dozwalając go zniszczyć przez rozwalenie (1). Bezprawia te trwały przez dwa dni, bez żadnego zniskąd oporu. Na domiar wszystkiego, ciałom nawet pogrzebanym w ziemi nie przebaczono. Tłum bowiem burzycieli, wyszedłszy za miasto w następną niedzielę na smętarz ewangelicki, po-

---

(1) Prawdopodobnie, że i zbór Kalwinów uległ wśród tych zamieszek zniszczeniu, skoro, jak poświadcza Józef Łukaszewicz, przeniesiono go do wsi Aleksandrowic pod Krakowem, gdzie już od dnia 23 maja r. 1591 nabożeństwo odprawiano. (Dzieje kościołów wyzn. helwec. w d. Małéj Polsce, str. 309).

tłukł grobowce nawet wielkich panów, pomniki i napisy poniszczył, ciała jeszcze nie nadpsute powyrzucał z grobów, chcąc je zatopić lub spalić. Takiemu losowi uległa córka pewnego możnego pana, od 14 dni zmarła, którą wydobyto z grobu, zdarto jéj naszyjnik złoty, a pozbawiwszy spoczynku wiecznego, wyrzucono ciało na pastwę. Burzyciele mieli nawet zamiar, jak powszechnie mówiono, podobnych bezpraw dopuścić się, z przebywającemi w mieście ewangelikami, skoro z grobami ukończą. Łatwo sobie wyobrazić, jakie w takim razie byłoby ich postąpienie. Ale Wszechmocny i Łaskawy Bóg ochronił nas od tego i odwrócił tę klęskę. Król bowiem, gdy się dowiedział o tych gwałtach, wysłał swoję straż przyboczną na smętarz, dla zapobieżenia tym bezprawiom i dalszemu ich szerzeniu się. Królewscy uderzyli na burzycieli, i wszystkich, co nie uciekli, w pień wycięto. Przeszło 50 ich padło trupem a 30 złapanych odprowadzono na zamek, z któremi, jak sobie postąpiono, nie jest jeszcze wiadomém (1); rozeszła się tylko wieść, że ich wymienią za Szkotów i Francuzów uwięzionych. Drobna szlachta nadzwyczajnie zaczęła sarkać na króla, że milczeniem pokrywając takie bezprawia, nie ukarał bynajmniéj sprawców rzeczonych gwałtów. Dla zaradzenia temu, zebrało się rycerstwo w Chmiolińsku (Chmielniku), gdzie uchwalono zaradcze sposoby przeciw tym nadużyciom. W przełożeniu do króla usprawiedliwiało się przedewszystkiém rycerstwo: dla czego bez jego upoważnienia odbyto to zgromadzenie, gdzie rozprawiano tylko o tém, co było potrzebném do sławy i dobra majestatu królewskiego. Oświadczył następnie stan rycerski, że ma zamiar dnia 23 września t. r. łącznie z litewską szlachtą odbyć naradę w tymże samym celu. W końcu upraszano monarchę, żeby raczył

---

(1) A zatém do r. 1596 nie byli jeszcze ukarani.

ewangelikom miejsce wyznaczyć w Krakowie, do spokojnego i bezpiecznego odbywania religijnych obrządków, a wreszcie o zwołanie przy najbliższéj sposobności sejmu, na którymby ostatecznie ustalono pokój wyznań religijnych. Król w przykrych wyrazach odpowiedział: że wbrew prawu i ustawom rzeczypospolitéj poważają się sejmiki odbywać, pomimo, iż posłów sandomierskich i krakowskich już zapewnił o środkach i sposobach do utrzymania pokoju i jedności, oraz że sprawców tych zaburzeń pociągnie do kary. W tym celu rozkazał obradującym, dowiedzieć się troskliwie o dowódzcach tych gwałtów, których następnie mają przedstawić do ukarania. W końcu surowo zalecił rycerstwu wstrzymanie się od jakichkolwiek obrad. Gdy zaś przy swéj koronacyi przyrzekł stanom rzeczypospolitéj zapewnienie każdemu wolnego wyznania religii, dla tego więc, dozwoli ewangelikom albo spustoszony zbór odbudować, albo inny plac zakupić na budowlę nowego zboru.“

Na tém zakończył nasz autor swoje podanie, bez zaciekania się nad przyczynami, jakie mogły były skłonić do tych zaburzeń. Wyłuszczenie samych czynów tego zdarzenia, bez wydawania swego sądu, już tém samém nadaje temu pisarzowi wielką cechę wiarogodności. Kiedy zaś z dziejów naszych rozważymy *prawdziwe* pobudki tego rozruchu, kiedy przejrzymy *dalsze* ogniwa ich następstw, przekonamy się jeszcze więcéj, iż bezstronność Memmiusa, w połączeniu z przyczynami i skutkami tych zamieszek, nakaże nam powyższe jego podanie za *prawdę dziejową* uważać. Bielski, Hejdensztein aż do Niemcewicza obwiniają, że dowódzcami tego rozruchu byli *ewangelicy*. Jeden Memmius przedstawia szczegóły oskarżające *Jezuitów i ich uczni*. Półtrzecia wieku minęło od owego czasu, przeciąg aż nadto dostateczny, aby *prawda dziejowa* w tych sprzecznościach była wyjawiona.

Pozornie sądząc, możnaby ocenić powyższe zdarzenie za chwilowe i nie mające ani przyczyn, ani skutków w dziejach naszego kraju. Z takiego nawet stanowiska było uważane przez Memmiusa, który je tylko podał za fakt czysto obchodzący wyznanie ewangelickie. W takimże samym duchu podali nam szczegóły o tém Hejdensztein, Bielski i inni dziejopisarze dawniejsi. Czyli i my dziś mamy uważać je w takiém świetle, następne podania nasze wyjaśnią.

Wrzała Europa w XVI wieku od zaburzeń religijnych, krew strumieniami płynęła w innych narodach a szczególnie we Francyi i w Niemczech. Nic dziwnego, iż w stolicy Polskiéj gdy się objawiło, uważane zostało przez Memmiusa, za czyste prześladowanie różnowierców, z takich samych pobudek, jak w wspomnionych krajach. Że ogniwo tolerancyi religii więcéj jaśniało w Polsce, jak w innych krajach, że zdarzenie powyższe nie było skutkiem działań *Rządu* rzeczypospolitéj; ale *pojedynczych ludzi* jednego zakonu, że nakoniec mając tę *różną* cechę od zaburzeń krajów sąsiedzkich, przez niedołęztwo tylko i zaślepienie Zygmunta III rozrywało ten jedyny łańcuch, łączący wszystkie państwa, podległe Polsce, z matką Koroną, a rozżarzając niezgodę wewnętrzną kraju, stało się *jedną z głównych przyczyn jego upadku*; o tém należy nam przedstawić, i dowieść, dla przekazania potomności całej prawdy powyższych rozruchów.

Złoty wiek Zygmuntów dla nauk, był złotym wiekiem także dla tolerancyi w religii. Tolerancya łączyła w jedno ogniwo cały kraj polski, zacząwszy od Pruss i Inflant Luterskich, a skończywszy na ziemi Siedmiogrodzkiéj; z drugiéj strony od Rusi greckiéj do Czech hussyckich; tolerancya tylko ich władzców, wsparta oświatą kraju, jednoczyła ściśle ten łańcuch narodów pod berłem polskiém zostających. W obliczu całéj Europy oświecenie Polaków pierwszeństwo już im zapewniło na koncylium Trydenckiém, dnia 4 grudnia

r. 1563 zakończoném. Stanisław Hozyusz, kardynał, biskup warmiński, przewodnicząc wraz z innymi tyle słynnemu i tak stanowczemu dotąd zgromadzeniu, nie zawiódł bynajmniéj nadziei i ufności w nim położonych przez ówczesny kościół. Chcąc oświecenie, jako źródło do coraz większego rozwijania się chrystyanizmu, w Polsce jeszcze zwiększyć, a nadto za pomocą rozpowszechnionego światła nauk, przywrócić jedność w zwaśnionych wyznaniach religii Chrystusa; zachęcany w tém szlachetném dążeniu dla dobra kraju, przez innych panów, zwłaszcza litewskich, gdzie dotąd prawie szkół nie było, sprowadził roku 1565 Jezuitów do Polski. Obaczemy, czy dobre zamiary, jakie ten kardynał miał na celu, przyzwoite owoce wydały.

O ile Jezuici od zasad swego ustawodawcy, Lojoli, za granicą już odstąpili, i o ile tém zboczeniem od reguły przez niego wskazanéj, przyczynili się do okrucieństw fanatyzmu i ciemnoty w innych krajach europejskich, o tém doskonale i wzorowo już obznajmił nas czcigodnéj pamięci autor „*Dawnéj Polski*" Adryan Krzyżanowski (1). Do nas należy tylko ogółowo tu przytoczyć, jakiemi w ogóle pokazali się w Polsce wyznawcy Lojoli, kiedy do kraju naszego zostali wprowadzeni. „Jezuici (mówi autor dziejów Rzeczypospolitéj), „tak dalece przez Rzym, Hiszpanią, Portugalią, Austryą i inne państwa katolickie, mieli wygórowane już i zapewnione swobody, iż w czasie, kiedy noga ich pierwszy raz dotknęła się naszéj ziemi, używali już wszelkich praw duchownych, czy zakonom żebrzącym, czy duchowieństwu świeckiemu, a nawet wyższemu służących. Jezuita nie uważał żadnego kraju za ojczyznę, żadnego braterstwa we krwi. *Zakon* był jego narodem, *bracia zakonni* byli jego krwią. Wolno im było w każdéj dyecezyi i parochii wypełniać wszelkie obo-

(1) Dawna Polska ze stanowiska jéj udziału w dziejach postępującéj ludzkosci. (Warszawa, 1844; drugie wydanie 1857.

wiązki religijne i kościelne, bez pozwolenia plebana i biskupa miejscrwego. Nie potrzebowali się oglądać i na klątwę kościelną *(interdictum)* ciążącą na miejscu, skoro uznali tego potrzebę. Wyłączeni byli od sądów biskupich, a tém bardziéj świeckich; i od nikogo po za swoją zakonną zwierzchnością nie mieli obowiązku przyjmowania rozkazów. Tak ogromną władzą przychodzili do znaczenia, kredytu, wielkich wpływów, i odnosili pod wszelkim względem znaczne zyski materyalne, choć nie na korzyść ogólną zakonu. Za co przewodniczący niemi, swym gorliwym członkom, wszelkim pomocnikom, nie tylko królestwo niebieskie obiecywali; ale nadto napędzali wszelkie korzyści i przyjemności, a w Polsce dochodne starostwa i urzędy. Jezuici byli zakonem kościelno-politycznym i tylko téż w zabiegach politycznych czuli, że są w swoim żywiole, jak ryby w wodzie. Po Hiszpanii zaraz okazywała się bardzo wielka miłość Jezuitów dla domu austryackiego; bo był-to kraj wielki środkowéj Europy, z którego łatwo do wszystkich państw europejskich mogli zawięzywać stosunki. Wszyscy Jezuici, nawet rodowici Polacy, radzili i służyli wierniéj Austryi, jak Polsce. *Oddać Polskę domowi Rakuzkiemu, zrównać ją zupełnie z podbitemi Czechami:* to było jezuickiém główném zadaniem.“ W przeciągu 41 lat od r. 1565 do 1606 założono 20 kollegiów jezuickich! wzrost, jakiego żaden zakon w Polsce nie doznawał i nie doznał. Z tych wszystkich krakowskie, gdzie najbardziéj Jezuici, jako na stolicę chcieli działać, najsowiciéj i najobszerniéj było uposażone, jak to z następnych szczegółów możemy się przekonać. Piotr Myszkowski, biskup krakowski, usadowiwszy Jezuitów w Krakowie, oddał im kościoł S. Macieja apostoła, i obok wystawił dom na nowicyat. Następnie r. 1583 Stefan Batory nadał im kościoł S. Barbary. W r. 1584 Dorota Barżowa, wojewodzina krakowska, kazała dla nich wybudować dom, który

wnet chcieli zmienić na kollegium szkolne, nie zważając na prawa, Akademii krakowskiéj służące. W roku 1597 Jérzy Radziwiłł biskup krakowski, cały wylany dla Jezuitów, założył kamień węgielny do odbudowy kościoła Ś. Piotra i Pawła, który następnie wraz z nowém kollegium wystawił Zygmunt III dla wyznawców Lojoli. Opatrzeni w Krakowie nowicyatem, wykształcali pod tą strzechą po 75 osób każdorocznie.

Starodawna siedziba nauk i główne ich źródło, na cały kraj się rozlewające, musiało też szczególnie zaostrzyć chęci Jezuitów, do opanowania przywilei i swobód Akademii Jagiellońskiéj. Gdy prowadzić otwarty bój i jawne poswarki nigdy nie było ich zwyczajem, wzięli się więc i tym razem do środków pośrednich, to jest do samych młodych latorośli, ażeby je po cichu przynęcać i naginać w Krakowie, podług swoich widoków. Ponieważ jednak wszelkie ich zabiegi, dla poniżenia Akademii, przez czujność jéj przełożonych roztrącały się, wymyślili prawdziwie godny ich pomysł, działania za pomocą religii na młodzież uczącą się. W tym celu, dawniéj ledwo z posłuchu znane, wznowili biczowania się, noszenie kolczatych pasków i włosiennic, ubierali się w kapy czyli wory podczas processyi. Nowość obrządków mnóstwo młodzieży, a nawet ludzi dojrzalszych, ma się rozumieć zamożniejszych, przyciągnęła pod sztandary jezuickie. Ażeby jeszcze skuteczniéj przynęcić młodzież na swoję stronę za pośrednictwem religii, wymyślili przez zaprowadzenie bractw, ściągać do siebie jeszcze więcéj zwolenników. Z 36 konfraternij pobożnych w Krakowie od XIII wieku dotąd istniejących, w saméj drugiéj połowie XVI wieku założono aż 32, jak gruntownie poświadcza Józef Muczkowski (1). Wszystkie te bractwa, po większéj części pod sterem Jezuitów, silnie wpływały na rozszerzenie potęgi zakonu.

(1) W „Rozmaitościach historycznych i bibliograficznych" str. 120.

Obaczmy teraz, jakiemi prawami kardynalnemi tolerancya religii była zapewniona w Polsce przed r. 1591.

W epoce, w któréj Ferdynand I, cesarz rzymski (od 1556 do 1564), wypędził z Czech zwolenników nauki Hussa, tak zwanych *Braci czeskich*, ci znaleźli przytułek w Wielkopolsce, pod zasłoną Górków i Ostrorogów. Połączywszy się zaś z Lutrami i Kalwinami, utworzyli zjazd w Sandomierzu r. 1570, trwający od 9 do 15 kwietnia. Ugodę na téj konwokacyi zapadłą, ponowili w miesiącu maju t. r. na zjeździe w Poznaniu, a d. 10 lipca t. r. na sejmie warszawskim ogłosił Zygmunt August, iż żadnego pozwu *pro haeresi* albo *de religione* znać i przyjmować nie chce. Tenże monarcha r. 1563 nadał Litwie przywiléj, na mocy którego, *wszystkim* wyznającym wiarę *chrześcijańską*, służyło prawo do urzędów krajowych. Przywilej ten ponowił Zygmunt August w roku 1565 i 1568.

Kiedy tak pod zasłonę oświeconéj Polski garnęły się różne wyznania, za granicami jéj prześladowane, gromem piorunu uderzoną została Europa, przez krwawą rzeź Hugonotów, we Francyi roku 1572 dokonaną pod przewodem Katarzyny *de Médicis* i jéj dwóch synów Karola IX i Henryka Xcia *d'Anjou*. Strumienie krwi przelane w wyznaniu swego sumienia, wołały o pomstę do nieba i zabezpieczenie się nadal od tych okrucieństw. Spokojna na łonie tolerancyi Polska, z tém silniejszém oburzeniem i zgrozą, odebrała wiadomość o spomnionéj rzezi. Wyroki niebios wkrótce przed tém, bo 7 lipca t. r. powołały do siebie ukochanego króla Zygmunta Augusta. Bezpotomny zgon ostatniego po mieczu z Jagiellonów, podwójnie ciężar smutku Polsce zwiększył, raz co do okropnych rzezi doświadczonych za granicą, drugi raz przez niepewność formy swego rządu. Oświecenie kieruje narodem w wyborze wolną elekcyę swych władzców, na konfederacyi warszawskiéj roku 1573 odbytéj;

oświecenie także w zasadach religii Chrystusa podyktowało mu następujący akt godny potomności i powtórzenia:

«A iż Rzeczypospolitéj naszéj jest *dissidium* (1) nie małe «*in causa religionis christianae* (2), zabiegając temu, aby się «z téj przyczyny między ludźmi sedycya (3) jaka szkodliwa «nie wszczęła, którą po inszych królestwach jaśnie widzimy, «obiecujemy to sobie spólnie *pro nobis et successoribus no-«stris, in perpetuum, sub vinculo juramenti, fide, honore et con-«scientiis nostris* (4), iż, którzy jesteśmy *dissidentes de religione* (5), pokój między sobą zachować, a dla różnéj wiary i odmiany «w kościelech, krwi nie przelewać, ani się penować *confis-«catione bonorum*, poczciwością, *carceribus et exilio* (6), i zwierz-«chności żadnéj, ani urzędowi, do takowego progressu ża-«dnym sposobem nie pomagać: i owszem, gdzieby ją kto «przelewać chciał *ex ista causa* (7), zastawiać się o to wszy-«scy będziem powinni, choćby też za pretextem dekretu (8) «albo za postępkiem jakim sądowym kto to czynić chciał" (9).

Akt ten konfederacyi, zamieniony w prawo kardynalne i włożony w *pacta conventa* zaprzysięgli przy wyborach swych Henryk Walezyusz, Stefan Batory i Zygmunt III. Nadto w bezkrólewiu po śmierci Stefana Batorego r. 1587 naród, na zjeździe w Pokrzywnicy pod Sandomierzem, pomnożył i poprzysiągł powyższą konfederacyę z r. 1573 w następujących wyrazach:

«A mając to przed oczyma swemi, jako różność w reli-«gii uczyniła wiele niebezpieczeństw w inszych monarchiach, »przestrzegając tedy, aby w miłéj ojczyznie naszéj do tegoż

(1) rozróżnienie umysłów. (2) w przedmiocie religii chrześcijańskiéj. (3) rokosz. (4) w imieniu własném oraz następców naszych, na wieki, pod przysięgą, wiarą, czcią i sumieniem naszém. (5) różnimy się pod względem religii. (6) karać konfiskatą majątku, odjęciem sławy, więzieniem i wygnaniem. (7) z téj przyczyny. (8) choćby kto występował z jakim w téj mierze wyrokiem. (9) *Volumina legum*, tom II, str. 841.

«nie przyszło, obiecujemy statecznie trzymać między sobą «ten środek, który sam Pan Bóg podać raczył, to jest kon«federacyę *in causa religionis* (1), przez króle Pany nasze, «tak Henryka, jako i zmarłego teraz Pana naszego poprzy«siężoną i na przyszłéj elekcyi, za wezwaniem imienia mi«łego Pana Boga, z Ichmość Pany Radami wszystkiemi i «innemi Stany o to się starać, żeby co najgruntowniejsze «tego opatrzenie było: jakoby ta święta zgoda, cale a nie«naruszenie wiecznemi czasy, zachowana była. Na co i pie«częci swe przykładamy, i rękoma się swemi podpisujemy (2).»

Kiedy więc Polska najświętszemi dla siebie ustawami i prawami wyznanie wiary *wszystkim* różnowiercom chrześcijańskim zabezpieczyła: kiedy królowie polscy Henryk Walezyusz, Stefan Batory i Zygmunt III, przysięgą wykonaną utwierdzali to zabezpieczenie; kiedy dwaj pierwsi królowie, wolnoobrani, święcie wykonywając tę przysięgę, nie dopuścili się nigdy złamania lub lekceważenia wiary narodowi: jeden tylko Zygmunt III, wychowaniec Jezuitów, nie tylko przysięgę łamał, nie tylko *pact*'ów *convent*'ów zaprzysiężonych niedotrzymywał, ale zaślepiony i kierowany przez Jezuitów, wprowadził naród na drogę ciągłéj niezgody, przez którą wstrząsana Polska przez lat przeszło 200 w bezdenną przepaść wpadła.

Przy zapewnieniu tak świętém praw tolerancyi, *słusznie* upominali się ewangelicy u króla, o ukaranie powyższego rozruchu przewodzców, tak widocznie gwałcących nabyte swobody. Należało natychmiast surowo ukarać zbrodniarzy. Tymczasem Zygmunt, koadjutor ukoronowany Jezuitów, otoczony Skargą i Bobolą, ich rad tylko we wszystkiem słuchający, płazem puszczał i bezkarnie tak wielkie nadużycia.

Iskra niezgody wewnętrznéj, zapalona w Krakowie powyższym rozruchem, przechodziła prądem elektrycznym po

---

(1) w przedmiocie religii. (2) *Volumina legum* tom II, str. 1073.

różnych częściach Polski. Jezuici, mając króla po sobie i senat złożony z kreatur, po większéj części przez siebie osadzonych, z łatwością swojemi zabiegami gasili jéj pożar, gdzie gwałtownie wybuchał. Zygmunt ciągle *obiecywał* karać prawdziwych a przez Jezuitów podstawianych pogromców swobód, samowolnie odbierał akatolikom kościoły i dobra; zastawiając się zaś prawem sobie służącém wyznaczania sejmów, gromił zwołujących odrębne zjazdy, mające na celu upominanie się o nadane i zaprzysiężone przez stany swobody (1). Zygmunt, Skarga i Bobola stanowili tryumwirat nierozdzielny, który wymową, powagą i pokrywką religii, wszystko pokonywał ciągle przyobiecując królestwo niebieskie swoim zwolennikom.

Skutki dla narodu musiały być najgorsze. Zjazdy coraz silniejsze i liczniejsze następowały po sobie, a mianowicie: dnia 25 lipca 1591 r. w Chmielniku, dnia 23 września 1591 w Radomiu, dnia 2 lutego 1592 w témże mieście, dnia 9 kwietnia 1592 w Lublinie, dnia 1 czerwca 1592 w Jędrzejowie (2), dnia 7 września 1592, w Warszawie sejm tak zwany Inkwizycyjny, dnia 4 lutego 1594 w Radomiu, roku 1595 w Toruniu, roku 1599 w Wilnie, a następnie wszystkie sejmy rokoszowe, znane pod przewodem Mikołaja Zebrzydowskiego w latach 1606 i 1607 (3). Jeżeli zaś wygraną pod Guzowem przytłumiony został na chwilę ogień wulka-

(1) Szczegóły wszelkie nietolerancyi Zygmunta i zabiegów Towarzystwa Jezusowego, znajdą czytelnicy dokładnie wyświecone w „*Dawnéj Polsce*“ i w dziełach P. Józefa Łukaszewicza, opisujących dzieje wyznań akatolickich, jako to: Wiadomość historyczna o Dyssydentach w mieście Poznaniu w XVI i XVII wieku. Poznań, 1832. — O kościołach braci Czeskich w dawnéj Wielkiéj Polsce. Poznań, 1835. — Dzieje kościołów wyznania helweckiego w Litwie. 2 tomy. Poznań, 1842. — Dzieje kościołów wyzn. helweckiego w dawnéj Małéj Polsce. Poznań, 1853.

(2) Opisy szczegółowe tych zjazdów znaleść można w Dalszym ciągu kroniki Joachima Bielskiego, wydanym przez P. F. Sobieszczańskiego.

(3) Ukończony rękopis tych sejmów rokoszowych, opiérający się na nieznanych dowodach spółczesnych, mam już przygotowany do druku.

niczny, tlał on i pożerał siły całego kraju, wybuchał, gdzie go wcześnie nie ugaszono, dopóki znurtowawszy niezgodą domową kraj cały, w bezdenną go otchłań nie pogrążył.

Nie możemy lepiéj zakończyć naszego obrazku, jak tém doniesieniem, iż gwałty wyrządzane przez Jezuitów wywoływały już w XVI wieku pisma, drukiem nawet ogłaszane i potępiające ich sprawki. Słynny nasz poeta, Sebastyan Klonowicz, w dziełku bezimiennie wydaném r. 1590 pod tytułem „*Equitis Poloni in Jesuitas actio prima,*" następujące zdarzenie przytacza: Piotr Myszkowski, biskup krakowski (1), ten sam, który Jezuitów sprowadził do Krakowa w r. 1579 w celu rozszerzania oświaty, i który już poprzednio, będąc biskupem płockim, pułtuskie kollegium jezuickie zasilał i wspiérał, ów tak silny ich protektor, niewiadomo o co, został przez nich oskarżony do Rzymu. Odtąd przekonawszy się o ich przewrotném postępowaniu, takie dawał o nich zdanie: iż ta imieniem Jezusa Zbawiciela ozdobiona mnichów tłuszcza, dla obalenia zasad kościoła rzymskiego, *dla wzniecania rokoszów* i dla wypaczenia dobrych i powszechném uznaniem postanowionych obyczajów przodków naszych wprowadzoną została.» Tenże Klonowicz w dziełku wspomnioném (str. 197 — 202) w te się słowa do senatu polskiego odzywa: *nonne soletis interesse concionibus, in quibus affirmare solent constanter et graviter ea voce et motu corporis, ea gravitate et constantia, viri doctissimi nostri theologi: Jesuitas eam pestem esse, quae animadverti non possit, antequam totum reipublicae corpus inflammet: eorum mores, gestus, habitum, oculorum conformationem, oris et vultus moderationem ad res a majoribus nostris bene inventas atque institutas, ad illas, inquam, reś omnes per manus nobis traditas debilitandas atque evertendas hunc monachorum ordinem comparatum esse* (2).

(1) Zmarł zaraz następnego roku po wydaniu tego dziełka.

(2) Czy nie zwykliście być przytomnymi obradom, na których najuczeńsi

Tenże pisarz w innym obszernym liście do senatorów polskich tak się odzywa (2): «Piotr Myszkowski, biskup krakowski, Jan Zamojski, kanclerz i hetman wielki koronny, Pikus, mieszczanin i rajca krakowski, z cnót i nauk powszechnie szanowany, już się poznali na Jezuitach i jawnie się oświadczyli ich przeciwnikami;» dowodzi następnie, że Jezuici w Polsce są narzędziami polityki hiszpańskiéj, że więcéj wierzą w Madryt, jak w Rzym; w końcu wykrzykuje: «Spomnicie, możni senatorowie, że nasza ojczyzna z Jezuitami i dla Jezuitów długo trwać nie może!» W roku 1609 nieznany autor odpierając obronę Jezuitów w roku 1607 przez Skargę wydaną, taki dał tytuł swojéj pracy: *Jedyny sposób przywrócenia Polsce stałego pokoju jest wypędzić z niéj Jezuitów.*

Zakończamy wreszcie nasz zarys głosem autora «Dawnéj Polski,» jaki po gruntownem zbadaniu dziejów wyznawców Lojoli wyrzekł w pytaniu następującém: «Kto naród kiedyś najlepszy i najoświeceńszy w Europie, wyzuł z cnoty i rozumu, i pod tak wyzutym, wykopał przepaść mającą go pochłonąć? — Oto wyrodni synowie Lojoli i tych synów koadjutorowie: świeccy, duchowni i ukoronowani.» (Wstępu str. XIX w. 12.)

---

nasi teologowie, nawykli ciągle i poważnie przekonywać swym głosem i gestami, swą powagą i stałością, że Jezuici są tą zarazą, która nie może być dostrzeżoną, dopóki całe ciało Rzeczypospolitéj nie zgorzeje, i że ich zwyczaje, poruszenia, ubiór, zwrot spojrzenia, układ ust i twarzy do spraw, przez przodków nam trafnie przekazanych i ustanowionych, że, (mówię) ów zakon mnichów dąży do osłabienia i zniszczenia tego, co nam przodkowie rękodajnie w puściźnie pozostawili.

(2) W dziełku pod tytułem „*Philopolites Prawdzic z Jasnéj Góry*“ wydaném około r. 1603.

W Warszawie.

Alexander Wejnert.

ŻNIWIARZE.

Troskliwy oracz w jesiennéj porze,
Zasiéwał ziarno na roli;
A kiedy wiosną zabłysły zorze,
Wzrastała trawka powoli.
Pieściła oko niwa zielona
Ścieląc swe miękkie kobierce,
Perłami rosy rannéj omglona
Cieszyła duszę i serce.
Cieszył się oracz, w modlitwie cichéj,
Słodką nadzieją bogaty,
Aż się rozwiły w jasne kielichy,
Złociste kłosy i kwiaty.
Słońce od wschodu świeciło w dali
W pogodnym niebios błękicie,
Siejąc promieńmi po modréj fali
Pieściło kłosy w rozkwicie.
A wietrzyk dmuchał w cichéj swawoli,
Jak dziécię w błogiéj swobodzie,
Chyląc ku ziemi kłosy na roli
I pieszcząc kwiaty w ogrodzie.
Gięły się kłosy z wiatru powiewem,
Kwiaty wznosiły kielichy,
I oracz z pola wracał ze śpiewem
I wieczór nadchodził cichy.
Minęło lato i przyszli żeńce,
Błyszczące sierpy ujęli,

I w jasny dzionek raźni młodzieńce
Złotą pszenicę użęli.
Legło pod sierpem żyto śrebrzyste,
Wesołą pieśnią zabrzmiało pole,
I wśród żniwiarzy wieńce kwieciste
W ojcowską chatę niosło pacholę.
Tam na podwórku skrzypek przygrywa;
Już zastawione wieczerzą stoły
I już zasiadła para sędziwa:
Z miłą swą matką oracz wesoły.
Wdzięcznym uśmiechem swych gości wita,
Aż przed nim staje hoże pacholę,
Wieniec pszenicy i wieniec żyta
Ubrane w kwiaty składa na stole.
«Przyjmcie dar Boży;» rzecze «w tej chwili
Pobłogosławcie wdzięcznej rodzinie;
Wyście swą pracą nas wykarmili...»
Zamilkł i łezka z oczu popłynie.
I wieniec złoty z kraśnemi kwiatki
Wkłada z miłością na czoło matki,
A skroń ojcowską w również kwiecisty
Ozdobił żyta wieniec śrebrzysty.
Potém usiedli wszyscy za stołem
I dary Boże wdzięcznie spożyli;
Radzi, szczęśliwi, że znowu społem
Dał Bóg doczekać tej błogiej chwili.
Wesoło mija wieczór pogodny,
Bawią się, cieszą szczérze wieśniacy;
Bo miły sercu ten byt swobodny,
Błogi spoczynek po pracy. —
Równie się cieszą zacni młodzieńce,
Gdy zbiorą nauki żniwo,
I kwiatem zdobiąc wdzięczności wieńce

Zwieńczą skroń Mistrza sędziwą.
I dla swéj ziemi ten wieniec złoty
Ozdobią w miłości kwiatki,
Świętą zasługą pracy i cnoty
Uwieńczą skronie swéj matki.

Karolina Proniewska.

KWIATEK
STANISŁAWOWI JACHOWICZOWI.

Drogi poeto, który kochasz dziatki,
Twe pieśni u nas wonieją, jak kwiatki;
One milutko serca młode grzeją,
Jak wietrzyk rajski od wschodu nam wieją;
Jak mlékiem matki karmią drobne dzieci,
Tchnieniem wyższości płyną aż do kmieci.
Mężu dostojny! dziatek przyjacielu,
Co słowy swemi rozweselasz wielu,
Cóż dzieci ślązkie, co Cię w duchu znają,
Tobie z wdzięczności za dary nieść mają? —
Ot! gdyby mogły, to-by *żelaznicą*
Rzędem do Ciebie wszystkie pojechały,
I Twych urodzin ciesząc się rocznicą,
Chórem Ci pieśni *Twoje* zaśpiéwały!

W imieniu szkółki w Mistrzowicach, pod Cieszynem, na Ślązku austryackim.

A. Wałach.

WARSZAWIANKI.

Czy znasz dziewicę, co w jedném słowie
Całą Ci duszę, serce wypowie,
Troską powlecze Twe czoło;
A kiedy ujrzy, że Ci nieznacznie
Miłość pierś młodą czarować zacznie,
Porzuci Ciebie wesoło?
O! to nie naszéj ziemi kochanki!
To lilie Francyi, — to *Paryżanki!*

Czy znasz dziewicę, która w rozmowie
Tysiąc Ci myśli obudzi w głowie,
Słów Cię zaleje strumieniem,
Pragnąc rozmową swą fantastyczną
Rozniecić w sercu skrę elektryczną,
Rozżarzyć duszę marzeniem?
I te dziewice nie z naszéj są ziemi:
Schiller i *Göthe* chełpili się niemi!

Czy znasz dziewicę, co w życia kwiecie
Już się dojrzałéj równa kobiecie,
Co błyska okiem namiętnie?
Co Cię przekona jedném spojrzeniem,
Jedném gorętszém ręki ściśnieniem,
I duszę oddasz jéj chętnie?
O! to z gorących stref są kochanki:
Namiętne *Włoszki*, zdradne *Hiszpanki!*

Ale jest dziéwczę, z godłem: „anioła,“
Co w Tobie święte czucie wywoła,
W kraj wieszczów wzniesie Cię błogo!
Które wzniosłemi, szczéremi słowy
Nie sprawi Tobie zawrotu głowy,
Lecz *przyszłość* wskaże Ci drogą!
O! to już naszéj ziemi bogdanki:
Lecz któż ich nie zna? — To *Warszawianki!*

Zenon Rappaport.

PAPUGA I SROKA.

Obwiesiwszy się za nogę,
Tak wrzeszczała gdzieś papuga:
«Śmiało sobie przyznać mogę,
«Żem tu *piérwsza*, a nie *druga!*»
Na to blisko siedząc sroka
Nieunosząc się, powtarza:
«Że tu tylko cię *dla oka*
«Me *pospólstwo* tak poważa!»

Jozefas.

RUINY.

Ja u stóp wzgórza, a tam nademną
W górze czernią się ruiny...
Stoją i milczą, i milcząc drzemią,
Pamiątki smutne ojców dziedziny.

I stoją one — zwaliska stare,
Wielkie w swéj nawet ruinie...
Dwa złamy murów, — trzy baszty szare, —
Ot! wszystko w całéj dziedzinie.
Lecz stoją dumne patrząc z wysoka
Tutaj na karłów znikome piemię;
Co ku nim nawet nieśmié podnieść oka,
Aby nie upaść na ziemię.

Antoni Bulewski.

ROZMYŚLANIA.

(UŁAMEK.)

Dziś mamon chciwości, cielec złoto-rogi,
Przed którym-to gawiedź ugina kolana,
Jednako owłada łazarza i pana,
Czasowości pobyt obiecując błogi.
Dla tego-to *złoto*: ich pacierz poranny,
Dumania ich myśli, zabiegów ogniska,
A do *wielkich* człowiek celów powołany,
Bez *złota* wart ledwie człowieka nazwiska:
Bez trzosa *prostota* ciemnoty wynikiem,
Bez złota *rodziwość* ponęty swe traci,
Bez złota *Platony*, to mdli literaci;
Natchnienie *poety*: mózgowym wybrykiem.
Z tąd-to Argonautów, wszystkich wabi droga:
Przylądkiem Nadziei w kraje dążą złota;
A jeźli fortuna nie sprzyja im błoga,
Szatańskie nastręcza sposoby ochota.

Lecz krótko zostajem w tym marnym obłędzie,
Rozjaśnia się oko, gdy anioł nas wzywa:
Kmiecina i magnat do mogił przybywa,
I śmierć tutaj wszystkich w jednym ściele rzędzie:
Czaszka czaszce równa, kości się bratają;
Tam, w kraju swobody pod garścią popiołu,
Póki Boskie sądy nas nie zawołają,
W spokoju, bez potrzeb, leżymy pospołu!

Szymon Goldfluss.

TRZY GWIAZDKI.

Trzy są gwiazdki na błękicie,
Które duch śledzi oczyma,
I które przez całe życie
Świécą na drodze pielgrzyma.
Piérwsza *Wiarą* gorejąca,
Rzuca nam światło promienne;
Druga, *Nadzieją* rzeźwiąca,
Koi cierpienia codzienne.
Z trzecią od piérwszego tchnienia
Pędzim w zdradliwe zawody;
W łonie swojego istnienia
Ma ona szczęścia zarody;
Zowią ją *Miłością* świętą.
Jam ją śledził nie raz okiem,
I już oślepionym wzrokiem
Jeszczem badał niepojętą!....
Tak *miliony* w błękicie
Niepoznane ziemi świecą;

Tym trzem tylko Bóg dał życie:
Chyże, lśniące, — bystro lecą,
I na drodze przeznaczenia,
Jakby pochodni tysiące,
Świętym ogniem pałające,
Rzucają światło *zbawienia!*

Lipowo, w Grodzieńskiém.

Ziemisław Szczery.

DO JEDNÉJ Z POETEK.

O jedną łaskę prosić Panią trzeba:
Abyś na ziemię zstąpiła nam z nieba,
A porzuciwszy swą lirę bogatą,
Raczyła zająć się mężowską chatą.
Błogo żyć w niebie pomiędzy świętemi;
Ale *kobiétą* trzeba być *na ziemi.*
I *tu poezya życia* w każdym kątku
Zostanie niebios dla Ciebie pamiątką.
Dziewica wiankiem cnoty przystrojona,
Matka, co pieści dziécię swe u łona,
I *przyjaciółka,* co dni życia słodzi,
Jedném uśmiéchem trud męża nagrodzi, —
Są-to *poezye* ziemskie; ale święte,
Łącznie, przez Boga i ludzi, pojęte!

Kmiotek ubogi, choć czytać nieumie,
Ale pracować dla bliźnich rozumie,
Pracą, nad którą świat się nie podziwi,
Siebie, czeladkę i kraj cały żywi:

Szczytne *poezye* (bo świat przez nie żyje),
Codziennie Bogu — pługiem swoim ryje.
Bohatér, znosząc i trudy i blizny
Dla szczęścia króla i własnéj ojczyzny,
Mężnie pierś swoją na grad kul wystawia,
I wszędzie krwawą *poezyą* objawia!
Kapłan, prawdziwie poświęcony Bogu,
Każąc w świątyni, a w lepianek progu
Gdy swą naukę w rzeczywistość zmienia,
Boskim się laurem *poezyi* ocienia.
Urzędnik służąc krajowi gorliwie,
Sędzia swą władzę piastując poczciwie,
I *nauczyciel* w cierpliwości trwały,
Rzemieślnik prawy, o czeladkę dbały;
Ci, co swe dziatki dobrze wychowują,
I dzielnych mężów krajowi gotują,
Wszyscy powinność gdy swoją spełniamy,
Wszyscy jesteśmy... ziemi *poetami!*
A blask *piękniejszy* naszego wawrzynu;
Bo ta poezya jest poezyą *czynu.*
Bóg nas nie uczył *zwrotnemi wierszami;*
Ale pełnemi poezyi *czynami!*

Górzno.

Franciszek Odrowąż Wilkoński.

PIEŚŃ MINIONY.

(z Göthe'go).

Czy znasz tę ziemię, gdzie kwitnie cytryna,
Ciemne gałęzie pomarańcza zgina,
Wiatr wonny chłodzi, niebo lśni błękitno,
Mirt się zieleni, i wawrzyny kwitną,

Czy znasz tę ziemię? — «Radabym w te strony,
«Z tobą się udać, o! mój ulubiony!»

Czy znasz gmach biały, lekko dłutowany,
Gdzie w koło słupy połyskują ściany,
Posągi zimne dziwią się niejedne:
Cóż ci to, powiedz, powiedz dziécię biedne,
Czy znasz tę ziemię? — «O! mój ulubiony,
«Tyś mój obrońca! radabym w te strony!»

Czy znasz te góry, gdzie szlak pod obłoki,
Muł we mgle pnie się niepewnemi kroki,
Czarna jaskinia wylęga ród smoczy,
Zwiesza się skała, grzmiąc fala się toczy;
Czy znasz tę ziemię? — «Nam *droga* w te strony,
«Pójdź, o! mój ojcze! w ten kraj ulubiony!

SONET.

(z Filikai).

O Italio, Italio, co losów zrządzeniem
Posiadasz wdzięk urody, i z tąd nieszczęśliwa!
Bez przerwy ciebie gruba żałoba okrywa,
Wyryta na twém czole głębokiém cierpieniem.

Obyś była silniejsza, lub mniej urodziwa!
Oby mniéj cię pożądał, lub mijał ze drzeniem
Ten, co chociaż przejęty twych wdzięków promieniem;
Przecież ciebie na walkę śmiertelną wyzywa.

Nie widziałbym natenczas z Alp szczytu, bez końca
Najezdnicze zastępy, czarną nawalnicą
Idące krew przelewać, która Pad zamąca.

Ani ty-byś walczyła nie swoją szablicą
Śród szyków cudzoziemczych, wieczna służebnico,
Bądź zwyciężona, bądź zwyciężająca.

Lwów.

Wiktor z Baworowa.

ŚLIMAK.

(z francuskiego).

I bez przyjaciół i bez rodziny,
Jak cudzoziemiec żyć na tym świecie; —
W razie najmniejszej obaw przyczyny
Kryć się w skorupę, ciągle na grzbiecie, —
Kochać siebie miłością bez miary i końca,
Sobą samym zapełniać cały dom swój błogi; —
Wyleść z niego, stósownie do pory i słońca,
Żeby bliźniemu pokazywać rogi; —
Odznaczyć, gdzie przewłóczył wilgotne swe płaty,
Plugawéj cieczy śladami; —
Zelżéć najpiękniejsze kwiaty
Swemi całusy lub ukąszeniami; —
Wreście, w swym domu, jak w więzieniu jakiém,
Starzec, — codzień tęskniejsze popychając życie; —
Oto ślimak! Tym ślimakiem
I *samoluba* widzicie.

Władysław Minlewski.

MYŚLI.

1. Boże!... wytrwałości w przedsięwzięciach... pragnę... Pragnę natchnienia... nie tego, co daje twórczość myśli genialnych, nad któremi świat się dziwi; ale tego, co-to sercu powiada, jakim sposobem wypełniać proste, codzienne, święte obowiązki.

2. Dobre imię ojca, cnoty matki, są posagiem córek, chwałą synów.

3. Matki... nie *teoryi* wychowania potrzebują dziatki Wasze; ale przykładu. — *Słowo* nigdy nie zastąpi *czynu.* — Nie z *książek* uczcie dziatki Wasze moralności; ale z *przykładu.*

4. Któż więcej pracuje dla społeczności, jeśli nie *matka?*

Zofia Hr. Hauke.

Z PISM POZOSTAŁYCH
PO GENERALE
Ludwiku Kropinskim.

I. Smutek, żal i rozpacz.

Smutek, żal, rozpacz, są-to spokojności i szczęścia wieczni nieprzyjaciele. Snują się one nieustannie po drodze życia naszego. Traf ślepy lub przeznaczenie władają niemi, i wskazują serce, do którego wstąpić mają.

Smutek otoczony żałością, dolegliwością, troskami, boleścią, utrapieniem i smętnością, codziennie w koło nas krąży. One-to, jak drobne owady, nieustannie spędzane wesołością, radością a niekiedy i szczęściem, nieustannie odlatują i wracają.

Smutku postać jest tkliwą; wzrok łzą powleczony; westchnienia są jego odetchnieniem; lubi przyjaźń, i na jéj łonie łzy ociera.

Żal tworzy się przez wielkie straty, szczególniéj nam miłych osób. Uderzający w serce piorun nieszczęścia w piérwszym momencie zatrzymuje wszystkie władze człowieka. Panująca przez chwilę cisza zwykle jest okropnym poprzed-

nikiem strasznéj nawały. Chmura ta wrze najprzód wewnątrz nieszczęśliwego, jak płomień, co się z dna Etny wydobyć pragnie; potém sunie zię z głębi serca i na osłabiony rozum uderza. Wówczas dopiéro łkania i jęki w całéj wypadają mocy; wówczas głos przyjaźni jest niedołężnym, głos litości nieznośnym, a oba nawet pomnażają strumienie łez rzewnych. Sen odstępuje, *żal* się powiększa i chce ryć na pamięci wiernego smutku urazy, które (dzięki Opatrzności) czas niewidzialnie dla obłąkanéj rozwagi natychmiast zaciera.

Ale już obciążony płaczem przerzadza się obłok. Już tylko krople łez na białe Eminy spadają łono. Już słychać niekiedy ciężkie westchnienia; już się jéj wzrok ku przyjaciołom zwraca; i smutek na zmęczoną *żalem* wstępuje postać, jak krasna łuna, która na znikających obłokach w coraz świetniejsze stroi farby wychodzące z za chmur słońce. Lecz jakiż *smutek*, jaki *żal* równać się może z *rozpaczą?* Rozpaczą! która wchodzi do serca po ustąpieniu z niéj nadziei; zajmuje całą duszę; wygania z niéj tkliwość i rozczulenie; naléwa jad swój żółty na postać nieszczęśliwego; i oczy, których wzrok przyjemny nasze podbijał serca, z których nie raz łza się wykradała dla przyjaźni, litości i miłości, i których płomień naszą niegdyś pożérał spokojność, — te same niestety! oczy, obłąkaniem i ostrością pożérają nas i trwożą.

Rozpacz ta nieszczęśliwa rozciąga na całą naturę czarną zasłonę; nieznosi blasku słońca; z pogardą depce wonią i krasą przyjemne kwiaty; nienawidzi ludzi i samemu Bogu złorzeczy. Okropność nocy, głos puszczyka, niemieszkalne jaskinie, mogiły i wieczne milczenie są jéj rozkoszami.

Czy widzisz z jakim pośpiechem ręka *rozpaczy* chwyta napój trucizny? z jaką przyjemnością płytkiém żelazem przebiwszy serce, pogląda na strumień krwi, z którą jéj życie upływa? jak okropnym uśmiechem urąga się jeszcze mowom i łzom przyjaciół i krewnych.

Tak więc *smutek* z człowiekiem przychodzi na świat i do tkliwości go wzwyczaja, *żal* oswaja go z nieszczęściem, hartuje i zwykle osładza chęć do życia; *rozpacz* nieszczęśliwych wprowadza do grobu. Malwino! widziałem Cię w *smutku*; patrzę na ciebie w *żalu*, w żalu, który po stracie kochanego Alkara wyrył na twarzy Twojéj ślady nieszczęść. Nie postępuj daléj! bo o krok tylko jeden *rozpacz* od *żalu* mieszka. Pomnij raczéj na pamiętne Emroda słowa:

Że człek, co go natura wiąże z światem całym,
Żal winien znikającym, *życie* pozostałym;
Że kto zwycięża siebie dla innych, nie siebie,
Tracąc cześć człeka, Boże! cześć przybiera z Ciebie!
Niech więc, gdy los Twe życie nieszczęściami znaczy,
Cnota strzeże granicy *żalu* od *rozpaczy*!
I tylko *smutek* jeden z Alkara wspomnieniem
Niech lekkiém Twéj łzy spadek ogłasza westchnieniem!

II. Zadumanie, zamyślenie.

Zadumanie i *zamyślenie* są-to dwie farby małym na pozór, wielkim w istocie między sobą różniące się cieniem; które malują duszę, za okrąg zwyczajnych myśli wybiegłą.

Ten sam wyraz *zamyślenie* wskazuje nam przejście myśli z natężoną uwagą za myśl powszednią. *Zadumanie* zaś wystawia jakąś przyjemną melancholią, utworzoną z przypomnień równie nam miłych, jak bolesnych zdarzeń. Postać *zamyślonego* zwykle bywa poważną lub ostrą; *zadumanego* zawsze tkliwą i smutną. Dusza nasza może się *zamyślać* nad tém, co będzie; ale wpadać w *zadumanie* nie może, jak tylko nad tém, co już godziny lub lata nam porwały. Piérwsze więc karmi się przyszłością; drugie zaś rozkoszami zbiegłego szczęścia, a nawet wspomnieniem znikłych cierpień zasładza często napój obecnej goryczy. Patrz! jak mała Celinka, to dziécię wiosny, zaczynająca podróż życia, wesoło igra po

łące, lekkie ugania motylki, lub podobne sobie zrywa kwiaty. Nie *zaduma* się ona jeszcze, bo téż jeszcze i przeszłość żadnych na jéj pamięci nie wyryła urazów, *zamyśla* się tylko niekiedy, i to nad temi godzinami, które do niéj z brzoskwinią, winném gronem, lub nowemi zabawkami przylecieć mają.

Zadumanie więc przychodzi do nas z wiekiem, *zamyślenie* zaś w koło rozwijających się myśli dziecięcia już krążyć poczyna.

Kiedy *Newton*, puściwszy myśl w przestrzeń nieskończości, *zamyślał* się nad budową świata, i światom drogi wyznaczał porządkiem biegów planet, — niemożnością dosiągnienia początku i tą wieczną wszech rzeczy harmonią w głębokie wpadał *zadumanie*. Lecz po cóż w obcych uczuciach szukam znaczenia tych wyrazów? Ach niestety! pamiętam, gdy moja żyła Telimena, jak nieraz się zamyślałem nad tém, jakby jéj przyszłość przyjemną uczynić. Ale kiedy jéj życia ostatnia już wybiła godzina, ileż razy odtąd! promień księżyca w obłok ukryty, listek spadający z drzewa, i jedno nic, przypominając sercu mojemu lubą przyjaciółkę, wrzuca mnie w głębokie *zadumanie*, od którego z ciężkiém westchnieniem zawsze się odrywam. I ty, dobra Halino, nie raz może idąc nad brzegiem wspaniałej Wisły, wśród ciszy postępującego zwolna przed nocą wieczora, ciszy, podobnéj Twemu sumieniu, zwróceniem myśli w przeszłość, wpadasz w miłe *zadumanie*, i łzę uronioną męszasz z wodami, które Twój gaik podmywają; albo też, wśród stolicy Twych przodków, obudzona szczękiem oręży, upojona nadzieją, *zamyślasz się* nad szczęściem zwrotu ojczyzny, którą już zdajesz się widzieć w przyszłości.

MYŚLI I UWAGI
KLEMENTYNY Z TAŃSKICH
HOFMANOWÉJ.

Myśli te i uwagi są wyjęte z książeczki (niedrukowanéj) „*Pszczółka*," pisanéj własnoręcznie przez ś. p. Klementynę. Nadesłała je do „Wieńca" W. Teodozya z Hofmanów Szamowska, któréj brat, Karol Hoffmann, był mężem Klementyny.

1. Już doszłam do tego, że we własnych kłopotach i cierpieniach zupełnie na Boga się spuszczam, i słodkiéj ulgi, słodkiéj rozkoszy w samém nawet zmartwieniu doznaję; ale jeszcze na cierpienia tych, których kocham, niémam rezygnacyi, i stokroć mi są od własnych przykrzejsze.

2. Czułość jest życiem i młodością serca.

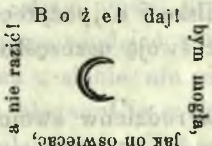
3. Jak ja lubię ten polski sposób mówienia: «dziecko *mi* słabe,» — «przyjaciel *mi* chory.» Ile w nim jest słodyczy! Ach! w saméj rzeczy, osoby ukochane więcéj nam do cierpienia zadają, kiedy słabe, niźli same cierpieć mogą. My wraz z niemi bolejemy!

4. Będąc w dniu jednym w ogrodzie, w lesie i w polu, i wszędzie jednegoż rodzaju drzewo uważając, dojrzałam, iż w każdém z tych trzech miejsc, odmienną miało postać, i pomyślałam sobie: To drzewo do człowieka przyrównać można. W domu rodzicielskim, kiedy go troskliwa ręka chodowje, często nawet inny od przyrodzonego kształt mu nadaje, — sądzić jeszcze trudno, jakim jest w istocie. Gdy między ludzi wejdzie i ciągle z niemi obcuje, najczęściéj stosuje się do tych, którzy go otaczają; tak czyni, jak widzi, że koło niego czynią, i jeszcze nie żyje sam przez siebie.

Lecz, gdy go los na odkrytém polu postawi, gdzie sam bez wzoru postępować musi, gdzie go nie poprawia niczyja ręka, ani go tłumi zbyt wielka towarzyszów zgraja, wtedy dopiéro poznać można, czém jest w istocie, i do czego zdolny.

5. Póki żyją osoby, które nas zdrobniałém naszém imieniem zowią, póki są domy, gdzie nas dziećmi widziano, póty nam się zdaje, żeśmy bardzo jeszcze młodzi.

6. Są osoby, które sobie obiérają godła; jabym wzięła następujące:



7. Pierwszy żal, jest jak potok z gór spadający: trzeba mu pozwolić, niech spłynie!

8. Sama religia powiedzieć tak może umysłowi człowieka, jak Bóg rzekł do morza: «Nie przejdziesz tych granic.»

9. Piękne ułożenie jest-to strój moralny.

10. Ci co się boją, blednieją; ci co się radują, rumieni bywają; bo z bojaźnią życie ucieka; — z radością go przybywa.

11. Wychowując syna pamiętaj, że ma ręce, żeby ludziom był użyteczny; duszę, żeby wielbił Boga. Wychowajże go tak, ażeby się wypłacił społeczeństwu i niebu.

12. Nie lubię ludzi za to, że, jak kto co złego zrobi, to zaraz wierzą, i potępiają go. Niechże co dobrego, to mówią, że udaje.

13. Zwyczajnie największe kokietki i elegantki na starość nabożnisiami się robią. Zupełnie podobny los ze swemi sukniami i strojami mają: gdy się na redutach, balach i assamblach podszarzają, oddają ich do kościoła.

14. Wolałabym być ładną, niż bogatą; zdrową, niż ładną; rozumną, niż zdrową; cnotliwą, niż rozumną.

15. Religia jest życiem duszy, przyjaźń życiem serca, dobre książki życiem umysłu, zdrowe jadło i świéże powietrze życiem ciała.

16. Badeni, zmarły 13 Listopada 1824 r., były Minister Sprawiedliwości, mawiał za pruskich czasów, gdy siedząc na wsi uporządkowaniem włości i szczęściem wieśniaków się trudnił: «Tu jest godny zawód prawego obywatela; tu urzędowanie najmilsze i najpożyteczniejsze dla ojczyzny; tu niech każdy włość swoją uszczęśliwi, a kraj szczęśliwym będzie.»

17. Kto nie kocha rodziców swoich, niech nie mówi, że kraj swój kocha: nikt mu nie wierzy.

18. Kto tylko w bogactwo bogaty, ten w towarzystwie najuboższy.

19. Niewiém, jak kogo; ale mnie sto razy mniéj męczy najsuchsze i najmędrsze czytać dzieło, słuchać rozmowy o prawie, rządzie, o rzeczy, któréj nierozumiém, byle rozsądne było i dzieło i rozmowa; jak nadstawiać ucha na opowiadanie głupiego, który sam siebie nie rozumié i plecie trzy po trzy. Chcę koniecznie dojść jakiegoś sensu, natężam mój umysł, a niemogę nic pojąć.

20. Kobietą będąc, nie potrafię nigdy wiele uczynić dla kraju mojego: ale radabym przynajmniéj żeby pisma moje dopomagały do narodowego dzieci wychowania. Bo teraz cóż człowiekowi honoru czynić pozostaje? Oto: żyć w domowém zaciszu,i tam dopełniając obowiązków, dziatki swoje dobrze chować.

Modlitwa przed rozpoczęciem czytania dzieła jakiego.

Panie! Otwieram księgę piórem ludzkiém nakreśloną, w chęci zbogacenia umysłu mojego; pozwól, niech jako

pszczoła z kwiatka czysty miód z niéj wycisnę. Niech skorzystam z światła; niech się nie zgorszę błędami.

Modlitwa przed zaczęciem pisania.

Boże! któryś powiedział: «Ukryję się przed mądremi, a malutkim się objawię!» Boże! któryś nędznych rybaków na Nauczycieli rodzaju ludzkiegoo brał! Boże! który wszystko możesz, racz się i mnie objawić, i mnie światłem swojém oświecić i mocą dopomódz! Bądź w umyśle moim, w sercu i w uściech, abym cuda, prawdę i słowa Twoje godnie pojąć, uczuć i opowiedzieć zdołała! W Tobie cała nadzieja moja; bo sama z siebie nic nie uczynię! Dodajże mi więc łaski Swojéj; błagam Cię o nią przez zasługi Chrystusa, Pana i Zbawiciela naszego! Amen.

WESTCHNIENIE.

DUMKA.

Tam się giętkie trawy chylą, gdzie je wiatr popycha:
Tam me myśli, tam me oczy; dokąd serce wzdycha!
Lat już dziesięć, jak to śpiewam: taż sama piosenka!
Też łzy w oczach! żal na sercu! i taż w duchu męka!
Zefir ciągle trawkę chyla, chyla po dolinie:
Patrzą jeszcze moje oczy, patrzą ku rodzinie!
Kiedyż, kiedy, mój wietrzyku, zakończysz swawolę?
Kiedyż, kiedy, miły Boże! skrócisz mą niedolę?
Wypłakałem bystrość wzroku, włos już zima pruszy:
Niech nie żyję! jeźli kiedy zgaśnie wiara w duszy.

Paryż.

Aleksander Rypiński.

POLOWANIA
W LASACH DAGESTANU,
NA KAUKAZIE.

(z listu.)

Donosiłem Wam, jak mi się zdaje, drodzy i kochani moi, że Kaukaz, między innemi, jakie mi dał naukami, nauczył mnie także polowania. Bardzo prostym stało się to sposobem; bo gdzie wszystko koło siebie czuje się tak obce i nieswoje, tak martwe i puste, tak w niczém nie przylegające do potrzeb, jakich zaspokojenia dusza pragnie na ziemi, tam szukanie jedynéj i najmilszéj ucieczki w przyrodzie, staje się więcéj może jak potrzebą, może zadaniem życia. Różnie tu używam życia z przyrodą: to kiedy nadejdą wyprawy w góry, których bywam czasem uczestnikiem, to w bliższych i dalszych wycieczkach, jakie mi nastręczają okolice; ale może za największą służą mi do tego sposobność, polowania. Z początku z natchnienia, czy z uczucia jakiéjś niewytłomaczonéj jeszcze w sobie potrzeby, zacząłem oddawać się téj rozrywce; gdy dziś wolna nią już wola kieruje. Życie duchowe czerpiąc tu jedynie w samotności i książkach, to jest pracując w kopalni własnego ducha i tych, którzy prawdziwemi ludźmi stali się na ziemi, a z któremi jestem w najlepszém towarzystwie, bo nawet innego tu niémam, drugiej połowy tego życia, jakby dopełnienia tamtego, szukam i znajduję w przyrodzie, a najwięcéj właśnie w polowaniach. One nadto zastępują mi wszelkie inne rozrywki i zabawki, do jakich świat, śród którego tam żyłem kiedyś, tak jest przyzwyczajony, że mu się wydaje, iż bez nich ist-

nieć-by nie był w stanie; bo one są dla mnie przechadzką i najwspanialszym balem, teatrem i najliczniejszém towarzystwem, koncertem i przyjemném czytaniem, a nawet i tém życiem bez celu, a jednak używaniem życia.

Kiedy więc piękna, jesienna zabłyśnie pogoda, ach! bo tu jesień jest czarującą; kiedy brzask świtu zrumieni pola, albo ukośne promienie chylącego się do zachodu słońca, zaczynają długie po polach i górach malować cienie, a powietrze jest pachnące świeżością, ciche i upajające pokojem, a zwierzęta wychodzą na żer przyjemny; kiedy zbierają się obławy przy ostrzejszéj już ku zimie zbliżającéj się porze, lub wypadnie ponowa, odziewając tu ziemię w rzadko zdarzającą się dosyć, lecz tém ponętniejszą dla północnego zbłąkańca śniegową szatą; albo kiedy dzień jest zamroczony chmurami, mający także dla myśliwego, a dla mnie może więcéj jeszcze osobliwy swój urok; słowem, kiedy sposobność, natchnienie, czy ochota, wyruszam na polowanie.

Diszlagar, o kilkanaście wiorst oddalony od morza kaspijskiego, mając o 70 kilka wiorst od siebie ku północy Temir-Chan-Szurę, a o tyleż ku południowy Derbent, położony na granicy Szamchalstwa Tarkowskiego i Kajtachu, dotyka swemi okolicami i wzgórzami pasma gór porosłych lasem, które są początkiem lesistych stron do północnego Dagestanu należących. Od głównego grzbietu Gubdenia, nazwanego od wsi pod jego stopami leżącéj, a o 10 do 12 wiorst od Diszlagaru odległéj, zaczynają rozciągać się te pasma, zasłaniając okolice Diszlagaru od zachodo-południa, i ciągnąc się nieprzerwanie, aż do lesistych stron południowego Dagestanu. Rozliczne ich odnogi zapełniają lasem wszystkie okolice podnoszące się ku górom głównego grzbietu, a obniżając się ku równinie nadmorskiej, którą zwężają to rozszérzają rozmaicie, łączą się swemi lasami z lasami na znacznych jéj obszarach rozrosłemi. Lasów więc jest podostat-

kiem; a we wszystkich prawie bliższych i dalszych, to przechadzałem się, to polowałem, a więc poznałem je bliżéj.

Wszystkie bez wyjątku, jak i na całym (o ile wiém) Kaukazie, są wyłącznie liściaste. Wszystkie u nas znane: buki, dęby, graby, wiązy, jesiony i klony, wyjąwszy tylko naszéj kochanéj brzozy, przytém kasztany i orzechy, rozrastają się w nich jak najobficiéj. Ale te wymienione rodzaje, z przemagającym głównie buków, które do zdumiewającéj dochodzą wysokości i najwspanialszéj rozłożystości, właściwsze są jedynie górom, po których sterczą w gęstwinie, oddzielonemi jednak od siebie, jakby samotnemi pniami, nie obrosłe, ani otulone żadnemi innemi drobniejszemi rodzajami i krzewami, konarami tylko swemi łącząc się i splatając wzajemnie. Zapuszczając się w te lasy, gdzie idzie się to głębokim, cienistym wąwozem, po ścieżce lub dróżynie, po któréj się tylko konni, albo dwókołowe wozy góralskie przesuwają; to nad urwiskami lub po spadzistościach, po których utrzymać się trudno; śród ogromnych, po głowę nieraz sięgających traw, łopianów i najrozliczniejszych roślin; po mchu i kamieniach, po zwalonych, upadłych ze szczytów, próchniejących kłodach i gałęziach; a mając w koło siebie ściany coraz wyżéj piętrzącego się lasu, którego wierzchołki zdają się wyraźnie dotykać nieba, a czasem bywają ubrane chmurami; to podnosząc się znowu na góry, gdzie piersi oddychają takiém lekkiém powietrzem, że go się dosyć napić nie mogą; zkąd znowu pod stopami twemi roztwierają się szerokie, to urwiste wąwozy, których zarośniętego i głębokiego dna, jakby śród zaklętych ciemności, oko doścignąć nie może, ale tylko zabłyskocze czasem, albo zaszemrze odwiecznie gadający z temi ciemnościami potok, a odwieczny chłód wychodzący ztamtąd owiewa twoje zapocone czoło, jakież niedające się wyrazić żadnem słowem zachwycenie porywa twoją duszę! — Te góry i wąwozy, porosłe tym

olbrzymim lasem, wydają się, jak miryadami kolumn podparte nawy i kopuły jakiejś niepojętej wielkości świątyni, którą zbudowała przyroda dla wykazania całej wielkości swojéj tajemniczéj chwały; to zdaje ci się widzieć tłum jakby zaklętych i wcielonych w te pnie samotne duchów, które trzymając rząd przyrody, zebrały się tutaj na swą sędziwą radę; to jak stojących, mąż przy mężu, ściśniętych w gęstym szyku do boju, gotowych zsunąć się z tych spadzistości, na zniszczenie tłumów ścielących się u dołu i tamujących im drogę, jak to jest w staréj pieśni słowiańskiéj; że nie sądzę, aby którykolwiek duch, porwany wrażeniami takiéj przyrody, nie uczuł najwyższego natchnienia wielkości, potęgi i siły, a nie ukorzył się przed sprawcą wszystkich wielkości na ziemi, swym Stwórcą.

Różne od nich widokami i przyrodą, są lasy na równinach. Oprócz wyżéj wymienionych rodzajów, między któremi przemagają tu najwięcéj dęby, tylko więcéj karłowate, sękate i grube, mieszają się jeszcze z niemi inne drzewa i krzewy, właściwe tylko równinom i niższym między górami położonym miejscom, gdzie przeciekają rzeki i strumienie, gdzie większa i dłuższa zachowuje się wilgoć z deszczów, to z topniejących na górach śniegów, a dobroczynne słońce mocniejsze rozwija ciepło. Rozrastają się więc w nich lipy, topole, wierzby, grusze i jabłonie dosyć słodkie i przyjemne wydające owoce; czereśnie, wiśnie i śliwy, z drobnemi jednak i cierpkiemi owocami; ogromnéj wielkości derenie, których owoc najsłodszy, kiedy opadły i dojrzały na ziemi; rozliczne gatunki głogów, wysokich i rozłożystych, jak inne drzewa; a przytem krzewy leszczyny, bzów, berberysu, dzikich róż, kaliny, jarzębiny, tarniny, jerzyny i innych, którychbym i wyliczyć nie umiał. Lasy te jeszcze zarośnięte są i poprzeplatane tylu rozmaitemi pnącemi się i wijącemi roślinami, jak winogronami, powojami i chmielem, że w po-

rze, kiedy gałęzie okryte są liśćmi, a te rośliny w całéj się rozwijają bujności, tworzą jeden gąszcz nieprzebyty, a przytém widoki najrozmaitszéj i najczarowniejszéj malowniczości. Czasem winogrona z zielonemi albo fioletowemi gronkami, chmiel w swoje seledynowe ubrany szyszki, powoje z białemi, cztery razy większemi jak nasze ogrodowe dzwonkami, pnąc się po największych wierzchołkach drzew sąsiednich, to spuszczając się z nich, to przerzucając się z jednego na drugi, to się zwieszając, tworzą tak rozmaitéj malowniczości altany, kryte i kręte drogi, zadziwiającéj wysokości i nieopisanych łuków sklepienia, owieszane zielonością ściany, piramidy i kolumny, między któremi wiszą najfantastyczniéj zarzucone festony, to jakby kwieciste kaskady z wysokich spadające urwisk; że tego żadna, najbardziéj nawet twórcza wyobraźnia wystawić sobie nie zdoła.

Jakże śród tego gąszczu zieloności, cieni, zapachu i kwiecia, oddycha się z nieopisaną roskoszą! — a jak mocno, czysto i pełno! jak ta zieloność i to powietrze, które pośród niéj tyle ma w sobie zapachu, upajają wszystkie zmysły! jak nęcą cię znużonego i pragnącego spoczynku w swoje zaczarowane pięknością objęcia, te pachnące i prawie lodowe cienie! — Zdajesz się błądzić po najbogatszych i najwspanialszych pałacach wschodu, jakie tylko najwięcéj rozmarzona rozkoszami raju wymyślić zdołała wyobraźnia; albo przez jakieś niepojęte zaklęcie, oglądasz niebo obiecane wyznawcom Koranu, a przynajmniéj przeczuwasz jego rozkosze; bo zda ci się, że pod temi cieniami brakuje tylko huryski oczekującéj na wiernego, żeby w swych wiecznie czystych objęciach, napoić duszę jego najwyższą słodyczą, dopełniając reszty upojenia. Ale myśl chrześcijanina unosi duszę modlitwą najwyższego uwielbienia i miłości ku Stwórcy, który tyle piękności i darów rozkoszy dał na użycie człowiekowi; a przypominając mu raj pierwszych rodziców na ziemi, ma-

jących używać tych darów nieśmiertelnie, tylko za zachowanie czystéj i niewinnéj duszy, jaką była stworzona, jakże niéma zapragnąć tego raju i téj niewinności i czystości, za których cenę ma go także osiągnąć na ziemi; a zapragnąwszy, jakże nie ma się uczuć daleko wznioslejszym i czystszym? — A te dęby i buki mchem pokryte, świadczące o starości wieków nieodgadnionych; te wyniosłe i również się zdające odwiecznemi graby i klony, a między niemi ta zieloność tak kwiecista, rozmaita i silna; te pruchniejące, zwalone kłody i suche gałęzie, a między nie wplatające się i otaczające je bujne, kwieciste i pachnące zioła i trawy; ta odwieczna starość i odwieczna młodość przyrody i wszelkiego stworzenia; jakże cię nie mają ożywić nową także siłą życia, nie kazać ci żyć i walczyć, ścierając się z zniszczeniem i śmiercią, a czyniąc swe życie wiecznie płodne i młode? — Powiedzcie więc, czy nie miałem za co pokochać tych lasów?

Po nich to poluję; po ich to murawach widzę nieraz rozlaną, ciepłą krew źwierzęcia, co mi sprawia znowu jakąś dziką rozkosz, czując człowieka panem przyrodzenia; a ileż razy doznaję podobnéj rozkoszy, tylko daleko wyższéj, gdy widzę u nóg swoich rozciągnięte źwierzę, które poległo od mego strzału! Dziki, jelenie, sarny, zające, niedźwiedzie szakale, lisy, wilki, dzikie koty, a napotykają się rysie i hieny, ukrywają się po kniejach tych lasów. W największéj jednak ilości zamieszkują po nich dziki, na które też najgłówniejsze robią się polowania; a między drapieżnemi, szakale. Hieny i rysie żyją więcéj w górzystych położeniach, nad skalistemi urwiskami; niedźwiedzie zaś zawsze w górach. Inne wymienione źwierzęta lubią więcéj równiny, a zwłaszcza dziki, których największa ilość nagromadza się w ich lasach w porach jesiennych i zimowych, kiedy nieraz

głębokie już śniegi leżą w górach, a zielenieje murawa między opadłemi liśćmi w lasach równin.

Opisuję Wam polowania, jakie odbywają wojska rozstawione tu po stanowiskach i fortecach, gdyż tych bywam uczestnikiem. Mieszkańcy tutejsi, z pomiędzy prostego ludu, polują na grubą źwierzynę, czatując po zasadzkach. Nie używają ulepszonéj broni europejskiéj, ale tylko wierząc w swoje gwintówki, które choć rzeczywiście celnie strzelają i daleko niosą, ale potrzebując podpórek do celowania, krótką i wąską opatrzone kolbą, co czyni ich ciężkiemi w przykładaniu się, a przytém długiego dosyć do nabijania wymagające czasu; niezręcznemi są w polowaniach do biegącego źwierza przed gończemi lub w obławach. Po całych nocach oświeconych księżycem, lub po kilka godzin przed świtem, czatuje taki myśliwy z swą podpartą gwintówką, to na odyńca lub maciorę, których poznał już leże, to na niedźwiedzia wychodzącego z barłogu, to na jelenia lub sarnę przy znanym zdroju lub potoku, dokąd przychodzą po napój. Wyższego stanu mieszkańcy, jako najprzyjemniejszą rozrywkę, używają polowania konno. Na wiatronogich swoich ogierach, dościgają źwierze wypędzone z kniei chartami lub gończemi i zabijają je z pistoletu. Polowania takie, wymagające szczególnéj zręczności, a przytém połączone z niebezpieczeństwami, zwłaszcza w dościganiu dzików, bo nieraz koń odcięte ma obie nogi albo brzuch rozpruty, są razem wprawą i ćwiczeniem się w jeździe i strzelaniu z konia, a odpowiadają zupełnie zwyczajom i upodobaniom tego ludu. Na zające polują wyłącznie z chartami; na wszelkie zaś ptastwo, z pomiędzy którego najulubieńszém, jakby królewskiém, jest dla nich polowanie na bażanty, których ogromna tu przemieszkuje ilość po różnych zaroślach i gęstwinach niższych lasów, z jastrzębiami. Wojsko, jako dostarczające sobą najwięcéj do tego sposobów, używa po naj-

większéj części obławy. Chociaż także robią się tu polowania z gończemi, i nieraz już słyszałem rozlegającą się po tych lasach muzykę goniących psów i zwołujących je głosów dojeżdżaczy i trąbek, która równie unosiła mnie swą melodyą, jak niegdyś najwznioślejsze arye na operach i koncertach; ale najczęściéj bywam uczestnikiem obław. Koło dwustu żołnierzy, między któremi kilku z bębnami i sygnalnemi trąbkami, zakłada knieje; a takaż sama prawie ilość zajmuje stanowiska na przeciwległéj stronie. Skoro odezwie się trąbka na linii myśliwych, na znak, że już wszystkie stanowiska zajętemi zostały, odpowiada jéj takaż, przeciągłym, zaledwie nieraz dosłyszanym głosem, z drugiego końca kniei i rozpoczyna się gonienie. Naprzód, skoro tylko hałas i krzyki obławy dają się cokolwiek wyraźniéj słyszeć na linii myśliwych, pokazują się przed nią najczujniejsze i najostrożniejsze, między największą gęstwiną przemykające się szakale; pierwsze zatém wystrzały, rozlegające się w głuchéj ciszy lasu, są do nich. Zaraz za niemi, albo nawet jednoczesnie, pokazują się lisy, daléj jelenie, sarny i inne źwierze, a na samym końcu, kiedy bębny, trąbki i krzyki ludzi, jak jeden gwar i hałas zbliżającego się do szturmu wojska, słychać już wyraźnie, z niewiększéj odległości jak na jeden daleki wystzał; kiedy słychać już nawet trzeszczenie łamanych przez przedzierających się ludzi gałęzi; a czasem kiedy obława spotyka się już prawie z myśliwemi; wypadają dopiéro dziki. Podejmują się ze swoich legowisk tak ciężko, że je prawie stopa ludzka potrącić musi. Nie lękając się żadnego niebezpieczeństwa, bo same królują w tych lasach, zdają się być nieustraszone i dumne. Podnoszą się jednak czasem daleko czujniéj i zjawiają się nieraz daleko wcześniéj na bojowéj, że tak powiém, linii. Idąc, zatrzymują się co kilka i kilkanaście kroków i przysłuchują się gwarowi. Kiedy się już zbliżają, chociaż oko dośledzić ich nie może w gę-

stwinie, słychać ich po głuchém trzeszczeniu grubych gałęzi, które łamią w swoim przechodzie; a ukazując się nagle, spotkąwszy się prawie oko w oko z myśliwym, który dech w sobie zatrzymywał, żeby oszukać czujność swojéj ofiary, jednym jak błyskawica skokiem, gdy najéża się ich grzbiet grzywiasty, a z zaciśniętej paszczy widniejącéj kłami wychodzi jakieś chrapliwe parskanie, rzucają się na przebój. Myśliwy tylko zrozumié, jaką jest rozkoszą wtenczas, to przelęknione, ale gotowe na wszelkie niebezpieczeństwo, a groźne swemi kłami źwierze powalić u nóg swoich. Taka nieraz ogromna jest ich ilość, że w jednéj kniei przedziéra się do kilkunastu stad z maciorami i tyleż odyńców. Kiedy one przechodzą przez linię, tak rzęsiście jedne po drugich, to kilka lub kilkanaście razem wypada wystrzałów, jakby śród tego głuchego lasu, między dwoma ścierającemi się wojskami, zaczęła się najzaciętsza na karabinowy ogień potyczka. Porównania moje bierzcie dosłownie, bo nic nie jest w nich dodanego. Są wypadki i dosyć nawet częste, że jeden myśliwy na swojém stanowisku, w czasie jednéj obławy, zabije dwóch, trzech, czterech, pięciu, a czasem więcéj dzików; ale do czego służyć mu musi przynajmniej dwie dubeltówki, bo inaczéj, choćby nawet ani razu nie chybił, nie zdążyłby nabijać. Na takich obławach, dwa, trzy, a czasem cztery i więcéj dni trwających, zabijają trzydziestu do czterdziestu i pięćdziesięciu dzików, kilka jeleni i sarn, nie licząc już innych źwierząt, tak że ogólna liczba wynosi czasem do sztuk ośmdziesięciu. Taką jednak liczbę odnieść tylko można do początków robionych obław w tych lasach, to jest do pierwszych lat zajmowania tych stron przez wojska, stałe już mające siedliska; bo dziś, po kilku już latach takich morderczych polowań, liczba ta zmniejsza się czasem do połowy. Najwięcéj jednak ze wszystkich innych zwierząt ucierpiały dziki; bo nietylko są miejscowemi mieszkańcami kniei

i nie napływają tak często z innych lasów, ale nadto prócz wojska mają równie zaciętych nieprzyjaciół w mieszkańcach, którzy choć nie tyle i nie dla mięsa, uważanego przez nich jako przez wyznawców koranu, za największe plugastwo, ale wytępiają je za szkody, które w ogromnych rozmiarach ponoszą od nich w uprawianych pod zboża polach.

Polowania te jednak nie obywają się także bez nieszczęśliwych wypadków, których ofiarami są ludzie; bo wiadomemi są niebezpieczeństwa polowań na dziki. W lasach, gdzie pień drzewa, około którego obrać sobie powinien stanowisko myśliwy, albo leżąca kłoda, za którą się ukrywa, jeżeli nie zupełnie ufa swemu strzałowi, mogą służyć za pewną i dosyć bezpieczną ucieczkę, niebezpieczeństwo jest mniejsze; ale są tu jeszcze miejsca w bliskości lasów, to oddzielnie od nich ponad brzegami morskiemi rozciągające się, a całe zarośnięte trzcinami, w których w równej także obfitości przemieszkują dziki, a nawet w porze zimowej daleko ich tam większa znajduje się ilość, dla znajdowanego pożywienia w różnych korzeniach roślin między temi trzcinami rosnących i dla większego ciepła; a w których niebezpieczeństwa polowań bardziej się powiększają. W tych gęstych trzcinach, mających wysokość prawie dwa razy ludzkiego wzrostu, a poprzeplatanych także najrozliczniejszemi roślinami, najczęściej spotyka się myśliwy z wypadającym na niego źwierzem o parę tylko kroków, albo prawie otarłszy się o niego; a zawsze, choćby nawet na rozjaśnionem stał miejscu, lub na krańcu wychodzącym na pole, żadnego nie znajduje ukrycia. Kilka już było zdarzeń, że raniony dzik rzucał się na myśliwego; ale upadnięcie twarzą na ziemię okazało się zawsze najskuteczniejszą obroną; bo rozjuszone źwierzę nie jest w stanie tak nisko leżącego przedmiotu rozerwać swemi kłami, a tylko pastwi się zębami, któremi zadaje tylko mniej znaczące rany.

Ale zdarzają się wypadki, a osobliwie w lasach daléj posuniętych ku granicom niezawojowanych ludów, które jedynie z okoliczności tutejszéj wojny wynikają. Uniesienie religijne i nienawiść dla niewiernych, doprowadzają często kaukazkiego mieszkańca, do zemsty niczém nieukróconéj i do szukania wszelkich środków dla jéj krwawego zaspokojenia. Zabezpieczywszy sobie łatwą ucieczkę, to w gęstwinie łączącéj się z jakiém tajemném jemu tylko wiadomém ujściem, to po jakiéj ścieżce śród skał lub po urwisku, po któréj on tylko biegać się nauczył, czatuje na swą ofiarę ze swą niechybną kulą, albo rzuca się na nią, jeżeli uważa, że przemódz ją może w otwartym boju. Każdy stojący na stanowisku, a szczególniéj oddzielony od drugich lub polujący osobno, naraża się na podobne niebezpieczeństwo utraty życia. Ale raz wydarzył się następujący wypadek. Kiedy tylko co założono obławę i zaledwie jéj piérwsze zaczęły dochodzić okrzyki, usłyszano na linii myśliwych wystrzał, który wyraźnie można było rozróżnić, że pochodził z gwintówki, po znanym swoim krótszym, albo raczéj zwięzlejszym odgłosie; a potém zaraz dwa czy więcéj, wyraźnie znowu pochodzące z karabinów żołnierskich. Następnie wbrew wszelkim na obławach przyjętym zwyczajom i zakazom, wszczął się w témże samém miejscu jakiś hałas z pomieszanemi wołaniami: *miurud* (*). Zaledwie podano znak trąbką do ogólnego zebrania się, podobneż znowu wystrzały dały się słyszeć na dalekiéj linii obławy, a razem dochodzić podobne hałasy i krzyki. Nie było już wątpliwości, że zdarzyło się coś niezwyczajnego, i rzeczywiście, jak się okazało, była to potyczka żołnierzy z trzema góralami, którzy ukrywali się w tych lasach. Trudno zgadnąć, — jak usły-

(*) Miurudem nazywają powszechnie żołnierze każdego nieprzyjaznego mieszkańca.

szawszy krzyki żołnierzy zrozumieli grożące im niebezpieczeństwo; ale to można sądzić z pewnością, że nie spodziewali się obławy, gdyż rzucili się, uchodząc wprost przed głosami, na linię myśliwych. Tam jeden z nich nagle spotkawszy się z żołnierzem strzelił, ale w téjże prawie chwili padł od wystrzałów wymierzonych do siebie; a dwaj drudzy cofnęli się, uciekając napowrót. Wtenczas dopiéro, widać, zrozumiawszy swoje położenie, puścili się w ukośnym kierunku kniei, mając nadzieję przedrzeć się przez pustą przestrzeń między dwiema liniami zostawioną; ale przez szczególniejsze tą razą zdarzenie, ta strona kniei, dla oddzielenia jéj od sąsiedniéj równie obstawioną została, tak, że prawe skrzydło obławy dotykało się prawie lewego myśliwych, spotkali się tam więc znów z żołnierzami. Wystrzeliwszy do nich, gdy także odpowiedziano im wystrzałami, z obnażonemi kindżałami, według własnych słów opowiadających, jak rozjuszone dziki rzucili się na linię i przedarli się bez szkody. Pomimo długiego ich ścigania, znikli. Widziałem na linii myśliwych pozostałego ich towarzysza, rozciągniętego na ziemi, zabitego dwoma kulami w piersi. Był w wieku nie więcéj jak lat trzydziestu; gęsta czarna broda okolala jego blade, śmiertelne oblicze; zamknięte już miał oczy, a posiniałe na pół otworzone usta; ogolona głowa obnażoną była z czapki, którą zapewne przywłaszczył sobie który z żołnierzy, co także musiało się stać z jégo kindżałem, bo tylko pusty, wyśrebrzany pasek obciskał jego biodra; a gwintówkę, z któréj wystrzeliwszy w biegu chybił, pokazywano nam jako zdobycz. Zapewne dusza jego wziętą została do raju; bo zginął od kuli niewiernego, w czasie zasadzki godnéj prawdziwego wyznawcy proroka.

Ale przy opisach tych smutnych wypadków, pióro wypada mi z ręki; bo jakież inne nadchodzą myśli. Czemuż człowiek mogący panować nad przyrodą, stworzony do pa-

nowania nad nią, jak zabija te dzikie koło siebie zwierzęta, nie może w sobie zabić tego samego źwierzęcia dzikości, unoszącej go do wzajemnego mordu? Czemuż rozpatrując się w téj saméj przyrodzie, nie zapragnie i nie uczyni z życia swego tegoż samego porządku, jednozgodności i pokoju, jakie wszędzie widzi w niéj panujące? Czemuż nie rozbudzi w sobie i podniesie duszy do tych przyrodzonych uczuć pojednania i miłości, które od swego Stwórcy otrzymał, a które są jedynemi podstawami szczęścia, jakie może osięgnąć na ziemi?....

Przebaczcie mi więc, że reszty drobniejszych opisów, jakie mi zostały jeszcze o polowaniach na zające, bażanty i inne tutejsze ptastwo, zresztą może mniéj zajmujące, zachowuję dla Was na później.

Dżislagar, nad morzem Kaspijskiém.

Julian Surzycki.

ZUZANNA WILCZYŃSKA.

W ubożuchnym kraju naszym, do rzędu znamienitych kobiet, które przyczyniły się do ukształcenia młodego pokolenia, należy niezaprzeczenie ś. p. Zuzanna z Redlów Wilczyńska; któréj pamięć, o ile jest szanowana powszechnie, o tyle dla mnie jako jéj uczennicy, droższą się stała. Wdzięczność najmilszym jest obowiązkiem, jakim wypłacić się możemy, a po rodzicach uczucie to zachowujemy dla tych, którzy się przyczynili do usposobienia i rozwinięcia umysłu i serca naszego. Wiele uczennic z pensyi ś. p. Wilczyńskiej wyszłych, zachowało tę samą cześć, wdzięczność i wspomnienie, które jest hołdem zasłudze zmarłéj należnym.

Zuzanna Wilczyńska, urodzona r. 1763 z Leopolda i Maryanny Redlów, odebrała przy rodzicach najstaranniejsze wychowanie; straciwszy matkę zbyt wcześnie, bo w 14ym roku życia, już tyle była usposobioną, iż mogła zająć się edukacyą panien Popiel, córek zamożnych obywateli w ziemi krakowskiéj. Dwadzieścia lat odtąd zostawała w tym domu kochana i szanowana, jakby do rodziny należała. Jéj przymioty i zdolności tak dalece ocenione zostały, iż bliżéj ją znający przyjaciele życzyli z serca, aby w obszerniejszym wystąpiła zawodzie, i aby zasoby swego umysłu i duszy poświęciła dla korzyści ogółu, przez założenie pensyi panien Piękny to i szlachetny zawód; ale trudny — i kto mu się sumiennie odda, jest to poświęcenie, które w późniejszym dopiéro wieku ocenić jesteśmy zdolni. Rzeczywiście, jakże to trudno poznać, zbadać, zmiarkować usposobienie powierzonéj swemu staraniu młodzieży. W samym rozwoju natury i skłonności, jak skierować na dobrą drogę wady i ułomności z jakiemi na ten świat przychodzimy, jak przełamać pustotę, upór, próżniactwo, co od urodzenia towarzyszyć nam się zdają, jak wzbudzić chęć do pracy i niepojętnemu udzielić władzy myślenia; z jakąż to cierpliwością, bacznością potrzeba naginać młode gałązki, aby w kwitnące szczepy podrosły. I dla tego-to wdzięczność, jaką nauczycielom winni jesteśmy, nigdy nie jest zbyteczną.

Wkrótce po przybyciu do Warszawy, ś. p. Zuzanna oddała rękę półkownikowi Wilczyńskiemu, z którym w r. 1810 wyjechawszy na wieś, miała los swój ustalić i w zaciszu wiejskiém oddać się domowemu szczęściu, i potrzebie swéj duszy, dobrze czynieniu poczciwéj włości swojéj. — Ale losy nasze od Boga zależą, nigdy nie możemy rachować na spełnienie naszych życzeń, ani na nadzieje, które snują się w myśli naszéj, i które w przyszłości uśmiechają się do nas. We dwa lata umarł półkownik Wilczyński, a smutna, prze-

śladowana różnemi klęskami wdowa, uległaby była dotkliwemu przeznaczeniu, gdyby Opatrzność nie uposażyła jéj skarbami droższemi nad inne, któremi nietylko sama sobie wystarczać mogła; ale drugim udzielić była w stanie, a te skarby czerpała z głowy i serca. Powtórnie założywszy pensyą w Warszawie znalazła pomoc i protekcyą ze strony zamożnych panów, a mianowicie od hrabiego P., który hojnie uposażył początkujący zakład, i córkę swą jedynaczkę oddał pod opiekę matrony. — Dwadzieścia pięć lat instytut Wilczyńskiéj utrzymał sławę jednego z najpiérwszych w kraju. I sprawiedliwie mu się to należało, bo nigdy żadne widoki, ani korzyści osobiste nie były przedmiotem prawego serca Wilczyńskiéj. Pobożna, światła, gruntownemi wiadomościami obdarzona, wiedziała, że bez religii nauki są niczém, i kobiéta bez téj podstawy jest jak trzcina wiatrem miotana; kiedy przeciwnie religia mieści w jéj duszy ten fundament silny, którego żadne przeciwności ani burze nie zachwieją. Na tym-to gruncie Wilczyńska rzuciła ziarno obfitych wiadomości swoich, i niebo pozwoliło jéj cieszyć się błogiém zadowoleniem, że jéj kilkonastoletnia praca i starania nie były daremne. Rodzice i opiekunowie umieli ocenić jéj poświęcenie, młode wychowanki uniosły z sobą wspomnienie pensyi, jakby domu rodzicielskiego. Nie można zapomnieć przy całéj surowości oblicza Wilczyńskiéj, tego uśmiechu lub łagodnego przemówienia nakazującego uszanowanie, téj troskliwości i opieki, z jaką umiała trafić do serca i ująć wychowanki swoje. Ona-to pojęła stanowisko kobiety mającéj przewodniczyć wychowaniu młodych panien: wiedziała, że jeżeli surowość karci usterki wiekowi właściwe, łagodna cierpliwość oświeca i skuteczniéj poprawia. — Zacna ochmistrzyni godnie oceniona i przez rząd była powołaną do przewodniczenia zakładowi instytutu rządowego płci żeńskiéj, który włącznie z jéj pensyą nazwaną odtąd *wzo-*

rową, miał stanowić całość. Jakkolwiek 70-letnia niewiasta, nie z chęcią przy schyłku życia nowe przybierała obowiązki, dla dobra jednak ogółu zrobiła to poświęcenie, chociażby zdrowiem, spokojem własnym potrzeba je było opłacić. Widoczna korzyść przyszłych obywatelek kraju, dodawała odwagi do postępowania daléj, coraz daléj, do zakończenia zawodu swego z zadowoleniem sumienia, do spełnienia posłannictwa na ziemi, naznaczonego od Boga dla korzyści przyszłych matek. A kiedy jéj wypadło uczęszczać na świetnych zgromadzeniach z kilku starszemi ze swoich wychowanek, i w tym względzie przykładem dla innych być powinna. Dowiodła poważna matrona jak można żyć na świecie w zgodzie z religią, sumieniem i ludźmi, jak można zastosować się do położenia i uczynić nawet ofiarę z własnych usposobień dla dobra ogółu i dokończenia godnie zaczętéj od tak dawna pielgrzymki życia. Od śmierci męża nie goniła za światowemi uciechami, w żałobie i smutku poczęła życie obowiązkowe; z trudnością przyszło ś.p. Wilczyńskiéj wybrać się na bal świetny; i w tém nam zostawiła wzór téj rezygnacyi, chrześcijańskiéj pokory i cierpliwości. Pamiętam zacną matronę w popielatéj sukni z ciężkiéj materyi w białych atłasowych trzewikach, przesuwającą się poważnie po salach balu; niskim staroświeckim ukłonem dygając w tę lub ową stronę, niechcąc ubliżyć nikomu, śledziła okiem każdy wyraz, każdy krok pupilek, które przywiozła z sobą na balowe sale! Ciężka to była dla niéj przeprawa! a dla młodych wychowanek wielka uciecha.

Strudzona matrona 40-letnią pracą, przeżywszy wiek swój więcéj dla drugich jak dla siebie, jak nasz poeta powiedział «syta wieku i uczciwéj sławy» usnęła w Bogu r. 1837, licząc lat 70 wieku. Pogrzéb jéj dowiódł najlepiéj, czém była za życia Wilczyńska: jest to zawsze sąd sprawiedliwy wartości człowieka, którego duch staje przed sądem Boga! —

Świadectwo to oddały zmarłéj biedne wdowy i sieroty, opłakujące stratę téj, która każdego pierwszego dnia miesiąca wydzielała im ze swego mienia stosowne do ich opłakanego położenia wsparcia. I dla tego-to żyjąc dla drugich, nie zostawiła po sobie majątku; ale czémże on jest w porównaniu z tak głośném i chlubném wspomnieniem!

Na licytacyi przy sprzedaży rzeczy po ś. p. Wilczyńskiéj ubiegały się jéj uczennice o zakupienie dla siebie miłych jakich pamiątek, któreby przypominając czas młodzieńczego wieku, razem przypominały rady i zdania téj cnotliwéj pani Mnie się dostał angielski mahoniowy stoliczek, zieloném suknem wybity, na którym codziennie zimowemi wieczorami Wilczyńska układała tak zwane *patience Napoleona*, a nieraz w dzień rozłożywszy kartę geograficzną na tymże samym stoliku, uczyła cierpliwie wychowanki, objaśniając lepiéj w przedmiotach trudniejszych od niejednego nauczyciela. Dziś na tymże samym ulubionym sprzęciku kreślę te słowa z wdzięcznego pochodzące serca; gdyby ten niemy towarzysz jéj myśli mógł nam odsłonić tajniki życia téj pani, skarby jéj serca anielskiego, miałybyśmy jako kobiety, niewyczerpane źródło umiejętności życia, wzory piękne do naśladowania cnoty, na których kształcąc młode serca, wyrównałybyśmy téj zacnéj matronie, odbiérałybyśmy te same zasłużone podzięki, pochwały, jakie odbiérała ś. p. Wilczyńska za życia, i odbiéra dziś jeszcze po śmierci. Pokój jéj cieniom!

Michalina Hlebicka Józefowicz.

PORÓWNANIE.

Ezop wielki serc znawcą; *Ignacy* mu sprostał;
Wesoła obu mądrość pokoleniom świeci!
Dla Ciebie, *Stanisławie! ten* zaszczyt pozostał:
W cnotliwych, w pracowitych, w mędrców, zmienić —*dzieci.*

Alexander Gumiński.

ROZUM I SERCE.

Gdy wodne pary ścielą się *z niska*,
Niezdrową wilgoć Ci sieją;
Gdy z *parowozu* buchną ogniska,
Żelazną ruszą koleją,
Wiozą w świat rozum i bogactw plony,
I w ptaków zmieniają ludzi!
Tak rozum ludzki, gdy wykształcony,
Szczęście w koło siebie budzi;
Niemiły sobie i drugim zawadza,
Kto go zostawi odłogiem;
Kto go nie kształci, społeczność zdradza,
Odpowie za to przed Bogiem!
Bóg nas opatrzył w rozum i w czucia:
Uczucia są serca *złotem*,
A do klejnotów z niego wykucia
Rozum powinien być *młotem*.
Gdy młot *za miękki*, tam złota bryle
Kształtu piękności nie wciśnie;
Gdzie *w spak* uderzy młot *w zbytniéj sile*,
Tam złoto strąci, sam pryśnie,
Lub *próżno* kuje w *próżne* kowadło,
Czas tylko trwoni złą pracą;
Bo tam, gdzie złoto *uczuć* przepadło,
Nauki wartość swą tracą!
Niech *rozum* z *pracą* serca nam kształci,
I klejnot *uczuć* okuwa cnotą!
Lecz niechaj rozum serca nie gwałci;
Bo cóż po *młocie*, gdy stracim *złoto?!*

Londyn, *Tottenham.*

Juliusz Przyjemski.

POEZYA.

DO MOJÉJ CÓRKI.

Jeźli masz ziarko *uczucia* w sobie,
Co Cię z pod ziemi w kwiat pędzi,
Czy w *tańcu* myśli, czy w jéj *żałobie*, —
O! niech Ci niebo rosy nie szczędzi!
Choćby z pod serca łez gorzkich rosy,
Byle się wykłół *kwiat* Twój nad ziemię,
W sercu, *poezyi* ozwały się głosy,
Myśl się ocknęła, co w duszy drzemie!
Nie dbaj o *słowa*, nie dbaj o *rymy:*
Będzie czas *potém* na ich zlepienie;
Lecz z kwiatem *myśli* śpiesz się, nim zimy
Przeszkodzą kwitnąć, i rość w korzenie.
Niech brak doniczek Ci nie przeszkodzi,
Bez nich *wiosenne* hodować *kwiaty!* —
I pieść *dziecinę*, co się urodzi! —
Z *chlebem* i z *solą* stań w progu chaty,
Nim *gość* nadejdzie, co idzie z dali! —
Uprzędziesz z czasem dziecięciu szaty,
Doniczkę późniéj garncarz wypali, —
Bog-daj: *gościnność, dzieci i kwiaty!*
Chléb z solą gości mnogich nasyci,
W dal szyb *gościnnych* światło się ściele;
Rzewnych *serc* światło w około świeci,
Modłów w niém pełno, jakby w kościele.
I głos *dzieciny* matkę przebudzi,
Kiedy snów brzydkich marami drzemie;
Choć obowiązków brzemię ją strudzi,
Dziécię pomoże nosić to brzemię.
Z niezdrowych woni głowy zawroty
Przejdą, gdy świeży zawoni *kwiatek!*

Kwiat wzniosłéj myśli przy różczce cnoty
Niechaj prowadzi Twój życia statek!
Córko ma! z młodu szukaj nasieni
Różczki i kwiatu w Twéj serca grzędzie!
Niech *gość*, Twych uczuć nie czeka w sieni;
Lecz niechaj pierwsze miejsce zasiędzie!
Niech w niewinności uroczém godle,
W śmiéchu *dzieciny* Twój uśmiech tleje;
O to do Boga codzień się modlę:
Niech Ci *poezyą* w sercu zadnieje!

Londyn, *Tottenham*.

Juliusz Przyjemski.

Szanuj pamiątki.

Jam greckich świątyń z czcią podziwiał szczątki,
Znudzony Grek przy mnie ziéwał,
Turek się z obu naśmiéwał:
Tak mało dzisiaj znaczą już pamiątki! —
Gdym nie chciał robić na Zielone Świątki,
Tańcem nie święcił niedzieli,
Spółrobotnicy ze mnie się śmieli:
Tak mało dzisiaj już znaczą pamiątki! —
Gdym kładł na listach herb mojéj pieczątki,
Koledzy z cicha mówili:
„To mało znaczy w dzisiejszéj chwili;“
Tak mało dzisiaj znaczą już pamiątki!...
O! mrozie serca, głuchoto duszy!
Dzisiejszych ludzi zbyt potworne garby!
Czyż już prócz złota nic was nie poruszy?
Pamiątki dla was nie skarby?!
I jam nie stary, i jam dzisiejszy;
Przecież barw duszym nie spławił;

Choć zwalczył serce me rozum silniejszy,
Życie mu przecie zostawił!
I rozum właśnie, gdy goni za mieniem,
Cnotą i sławą go złoci,
Rozum nie gardzi zaszczytném spomnieniem,
I w Boskiéj ufa dobroci!

Londyn, *Tottenham.*

Juliusz Przyjemski.

DO
STANISŁAWA JACHOWICZA.

Na płaszczyznie się uśmiécha
Ogród piękny i wspaniały,
A w nim wody szemrzą z cicha,
Szumią gaje, stérczą skały:
Hożych muszek dzwonią roje,
A na grzędach pełno kwiatów,
A kraśniejsze są ich stroje,
Niż rubinów i szkarłatów.

Lecz cóż się stało?.. z kąd niespodziana
W pięknym ogrodzie zaszła przemiana,
Że posmutniało wiosenne plemię?
Zniknął róż młodych wdzięk, co zachwyca:
Czemuż ich kraśne pobladły lica?
Czemu zwiesiły główki na ziemię?
Trawki, murawy, krzew i kwiat wszelki
Zżółkłe, zwiędniałe, listkiem nie ruszą:
Bóg cały ogród uderzył suszą,
Nie spuścił rosy ani kropelki!

I rozżarzone niebiosy
Palą płomieniem dokoła;
— „Boże nasz! kroplę daj rosy!“ —
Wołają kwiatki i zioła.
Bogu i stworzyć i zniszczyć tak łatwo!
Więc nad majową litując się dziatwą,
— „O! moje lube!“ rzekł kwiatkom i trawce,
„Żar was nie wyssie i słońce nie spali:
Zeszlę wam mego anioła, wybawcę,
Co was ożywi, od zguby ocali;
Co was pokarmi żyjącym posiłkiem,
I umiłuje jak własne swe dzieci,
Waszym sukienkom w burzliwéj zamieci
Nie da się zbrudzić ni plamką, ni pyłkiem.
On wam swe słowo i serce wyleje,
On swoich piersi ciepłem was ogrzeje;
I wy w najczystsze odziane sukienki,
Nieść mu będziecie i miłość i dzięki.“
I w promienistéj obsłonie,
Z czułością w anielskiém łonie,
Zesłaniec Boży wstąpił między kwiaty:
Rosą je z nieba ożywił,
W objęciach swych uszczęśliwił,
I ubrał w świeże szafiry, szkarłaty;
A kwiateczki ożywione,
Za posiłek, za ochronę,
Swego anioła całowały szaty.
Cóż-to za ogród, który dészcz zrasza?
— To ziemia nasza!
Cóż to za kwiatki?
— To nasze dziatki!
A w ich oczętach miłości łzy!
Któż to ich anioł? — Toś Ty!

Tak, zacny Mężu, toś Ty!
Jakiż pokarm dajesz dziatkom,
Tym wiosennym, młodym kwiatkom,
A w zamian bierzesz wdzięczności łzy?
Swoje pieśni, swoje słowa,
Któreś w serca dziatek wlał,
Które lud polski wiecznie przechowa, —
Bo Ci Bóg je dał!

Mężu! szczęście pokoleń Twoim jest żywiołem:
Powiedz, jaką się w duszy napawa rozkoszą
Człowiek, którego imię dziatki w sercach noszą,
Którego naród cały zwie *dziatek aniołem?*

W Tulczynie.

Franciszek Kowalski.

KASZA ZE SZWEDAMI.

GAWĘDA ŻOŁNIERSKA.

Dawno już temu, nie pamiętam kiedy,
Bo mnie starego często pamięć myli;
Kiedy łakome kraj zalały Szwedy,
Kiedy Polacy z Czarnieckim walczyli....
A ten Czarniecki, to był gracz, mospanie!
Zwijał się w wojnie, jak w obfitém żniwie,
Tam znikł, tam napadł, urwał niespodzianie,
Jak biegł, to żwawo — jak bił, to uczciwie.

I Szwed i Polak w nieustannym boju
I chwili jednéj nie mieli pokoju.
Ledwie gdzie szwadron stanął na noclegu,
Ledwie się żołnierz zabierał do kaszy,

Patrzaj, placówka bieży do szeregu,
Paf! paf! i raptem cały szwadron straszy,
Wnet: „na koń! na koń! nieprzyjaciel blizko!"
Przepadła kasza! zduszone ognisko.

Hej, hej, mospanie! ile razy wspomnę
Różne historye owych dawnych czasów,
Owe naddziadów męstwo nieprzełomne,
Ową chęć sławy i krwawych zapasów;
Krew we mnie kipi, zda mi się żem młody,
Żebym pokonał mróz, głód, niewygody;
Żebym dziś jeszcze wyskoczył na szkapę,
I porwał dzidę, albo szablę w łapę.
Jakże w tych znojach człowiek zdrów i krzepki!
Chyba przypadkiem kula go w łeb gwiźnie:
Ha! i cóż robić?... Człowiek od kolebki
Winien swe życie poświęcić ojczyźnie...
Słuchajcież. Ongi, kiedy Polska cała
Kipiała wojną, a Szwed dokazywał,
Gdy go Pan Stefan szarpał i urywał,
Taka się w wojsku historya stała.

Nie wiém, nad Wisłą, czy téż nad Pilicą,
Jeden nasz hufiec stanął na spoczynek;
A że Pan Stefan latał błyskawicą,
A kiedy huknął, to nie lubił drwinek.
Trudno więc było spać, albo się gapić:
Tu trzeba prędko najeść się i napić,
By na głos trąbki: „na koń! szable w górę!"
Tym szwedzkim drabom tatarować skórę.
Na prędce tedy ze swych koni zsiedli,
I nuż przy ogniu do jagieł, kociołków,
Gotować kaszę; zgotowali, jedli
Siedząc na ziemi, bo nie było stołków.

Lecz ledwie człowiek dwie łyżki zjeść zdołał,
Gdy: „na koń! na koń!“ towarzysz zawołał.
Tu niéma czasu, mospanie!... A kasza?...
Przepadła!... „na koń! dobywaj pałasza!“
Szwedzkie rajtary mignęły się z boku:
I kiedy wszyscy w téj gorącéj chwili
Z żalem na ziemię kaszę wyrzucili
I koniom dojeść nie dali obroku,
Jednemu z braci, co jak wszyscy djabli
Był zły, bo głodny, choć zajrzał do flaszy,
Żal było smacznéj, dymiącéj się kaszy.
W mig więc, nim na koń siadł i dobył szabli,
Gorącą kaszą swe sakwy natłoczył,
I za swém siodłem do konia przytroczył.

Zawrzała bitwa. Więcéj było Szweda,
A więc na naszych śmiało nacierali:
Ale nasz wojak z ramieniem ze stali,
Nikomu w męstwie wyprzedzić się nie da:
I leci naprzód, lata jak szalony,
Macha a macha, tnie na wszystkie strony;
Ale rajtarskie odbijając miecze,
Nie wstrzyma konia, bo go kasza piecze,
I wpada z kaszą w szyki nieprzyjaciół!
Cóż on ich nabił, narąbał, a naciął!
A wiara widząc, jak on dokazuje,
Jak wpadła w środek między szwedzką szuję,
Wszystkich, mospanie, wybiła, wysiekła;
A za to kasza dobrze konia spiekła.

I już po walce: — tak to nasi ćwiczą!
Każdy z wojenną powraca zdobyczą;
Szwedy rozbite, i w ręku junaków
Pełno pieniędzy, broni i rumaków.

Wszyscy się cieszą i zgodnemi głosy
Męstwo koleżki wznoszą pod niebiosy.
— „A to bohater! a to sztuka tęga!
To zuch, mospanie!“ — A zwał się Ordęga.
— „Wiwat Ordęga! a teraz po znoju,
Gdy Szwedy zbite i zwycięstwo nasze,
Siadajmy bracia znów gotować kaszę.“ —
— „Szanowni bracia! Mościwi Panowie!“ —
Odparł Ordęga, — „to mi cześci wiele,
Żem ja na Szwedy biegł na Waszém czele:
Ale to nie ja; tak mi Bóg daj zdrowie!
To moja kasza!“ — I tak, jak się stało,
Powiedział braciom historyą całą.
Więc nowy okrzyk: „Wiwat! wiwat kasza!
Kiedy nam przez nią takie laury rosną,
Mądraż to sztuka! nie chciała być postną,
I oto szwedzkiém sadłem się okrasza!
Dobra więc wróżba! Szwed nas już nie straszy;
Bo ani wątpić, że go zjemy w kaszy! —
Żwawoż do łyżek! jedzmy ją na zdrowie!
A niech się kaszą *ze Szwedami* zowie!“

I tak się stało: kasza ze skwarkami
Po dziś dzień zwie się kaszą ze Szwedami.
Tak już jéj przyszło; bo czyż tylko Szwedy
W gorącéj u nas kaszy się kąpały?
Szły w nią i inne różne specyały....
A dzisiaj jemy jedni drugich z biedy! —

Z Tulczyna, na Podolu.

Franciszek Kowalski.

WYPISY Z KSIĘGI 6téj

Eneidy Wirgiliusza,

PRZENICOWANÉJ (TRAWESTOWANÉJ)

PRZEZ

Dra Ferdynanda Dienheim Chotomskiego.

Sybilla kumejska.

Rozkochany Eneasz [1]) (i archandrya [2]) cała)
Przybił do ziemi, co się Eubeą [3]) zwała.
Tam kazał zwinąć żagle, zarzucić kotwicę,
I szedł witać Sybillę, sławną sekutnicę,
Kumę swoją [4]), rzemiosłem trudniącą się wróżki,
I paląc komplementa uściskał jéj nóżki.
Góra z górą się schodzi, a człowiek z człowiekiem [5]).
Sybilla była ładną; ale przed pół wiekiem:
Wtedy-to koperczaki do niéj Enéj smalił,
O co niegdyś na niego Apollo się żalił,
Że mu nos często wścibiał w różne tajemnice.
Ta Sybilla tam miała porządną piwnicę,
A w piwnicy Węgrzyna, Szampan i Maderę [6]),
Które w głowie sprawiały zaraz czeremere.
Te wina zwykła pijać z swemi wizytniki [7]).
Temu też i sensaci [8]) i młode fircyki,
Posły, generałowie, radcy, senatory, —
Wszystko to uczęszczało do niéj na wieczory,
Gdzie o północy kładła obecnym kabały.

Tym kabałom, jak w *credo*, tak wierzył świat cały,
A że kazała sobie hojnie za nie płacić,
Miał ją tak ten handełek przyszłością zbogacić,
Że jak ludzie mówili, przez latek niewiele,
Miała dusie [9]), folwarki, pałac i manele [10]).

Eneasz wysyła Achatesa do świątyni Apollina, w któréj rej wodziła Sybilla.

Gdy Achates oznajmił mój przyjazd Sybilli,
I wzajemnie się sobie grzecznie pokłonili,
Wróżka te słowa rzekła, stąpając z partesa [11]):
«Jeżeli się nie mylę, witam Achatesa.»
Zadziwiony Achates myślał sobie cicho:
Czy jéj moje nazwisko podszepnęło licho?
Czy jéj doszło przez jaką diabelską rachubę?
Albowiem po raz piérwszy widzę tę pałubę [12])!
Splunął więc kilkakrotnie i z zadartą głową
Nudzić począł Sybillę długą bardzo mową.
Gdy zaś odrecytował całą już perorę:
«Niestósowne obrałeś i miejsce i porę,»
(Odrzekła mu Sybilla): «pośle! do téj mowy!
«Przystojność doradzała i rozsądek zdrowy
«Dopełnić téj grzeczności w posłuchalnéj sali;
«Gdyż w kościele bogowie peror zakazali,
«I tylko dozwolono księżom mieć kazanie,
«Od czego jest Ci zasię, mój Mości profanie [13])!
«Tu, jak widzisz, się groszem ostatnim nie goni,
«I pleban, jak to mówią, sam na mszę nie dzwoni.
«Lecz ma ludzi od tego, którym hojnie płaci.
«Czas tu się na przeglądach świątyni nie traci;
«Lecz śpiesznie, za pieniądze ogląda jéj skarby,
«I bóstwa malowane jaskrawemi farby:
«Co masz dać, to daj zaraz, i włóż do karbony!»

Poseł w pełnomocnictwo wodza opatrzony,
Po zwykłych ceremoniach i niskim ukłonie
Złożyć dary nie zwlekał, w ogromnéj karbonie.

Eneasz przybywa do Sybilli.

Poczém Sybilla wodza na modły zaprasza,
Wodzi go do Anasza, to do Kaifasza [14]),
Po krużgankach, kaplicach, wsławionemi cudy,
Grzmi organ, organista gra we wszystkie dudy.
Poziéwając Dardanie [15]) słuchają kazania.
Sybilla Enejowi z powagą się kłania,
Kiwa na niego palcem; poczém wnet oboje
Przetłaczają się zwolna przez Dardanów roje,
I spuszczają do sklepów będących pod farą.
Tam raczą się Tokajem i Maderą starą.
W końcu podała wieszczka wodzowi naczynie
Z sydenhamowskiém opium [16]), rozpuszczoném w winie
A gdy wypił go duszkiem, po niedługiéj chwili
Wódz perorować własne pochwały się sili,
(Gdyż to, co trzeźwy myśli, po pijanu plecie,
Jak to Państwo z własnego doświadczenia wiecie).
Lecz mu się jakoś wszystko nie dobrze kleiło:
Język mu się poplątał, to znów w oczach ćmiło,
Plótł trzy po trzy, o dubach ze smolonych lasów,
Jak Piekarski na mękach za Zygmunta czasów [17]).
Zasnął wreszcie, i chrapać począł, jak organy,
A że był tak porządnie, jak Bela pijany,
Zdało mu się, że mara za włosy go wlekła,
Że z tą marą po drodze wstąpił aż do piekła.

Przepowiedzenie Eneaszowi przyszłości.

Zdało mu się, że widział u piekieł podwoi
Przepowiadania różne Kumejskiéj dziewoi [18]),
I o ile spamiętał miały być téj treści:

«Gdy pragnąłeś o przyszłych wypadkach mieć wieści,
«I hojnieś je opłacił, zacny Dardaninie [19])!
«Zadosyć Twojéj chęci natychmiast uczynię.»
Po tym wstępie tak daléj bajała Sybilla:
«Najwaleczniejszy z wodzów, potomku Troila [20])!
«Ty, coś na stałym lądzie, jak wśród mórz fałagi [21])
«Dawał niepospolitéj dowody odwagi,
«Wkrótce koniec nastąpi Twych zmartwień i trudów:
«Dobijesz się do lądu cnych Itala ludów.
«Lecz, gdy każdy ma móla, co go zwykle gryzie,
«Nie raz Ci berło włoskie aż bokiem wylizie.
«Będziesz musiał iść z Twemi rywalami w czuby,
«Oj, tak! tak! moja duszko, mój kumeczku luby!
«Simois, Xant, Doryckie gdy się zjawią miasta [22]),
«Zwali Ci się kłopotów na kark z półtorasta!
«*Latium* [23]) swego Achilla [24]) zrodzi na Twą szkodę,
«Co Ci nieraz ogoli i bez brzytwy brodę.
«Juno [25]) Cię na funduszu ciągle będzie miała,
„Co Ci już tyle razy we znaki się dała!
«Będziesz, jak kot z pęcherzem, latał bez ustanku
«Po rozmaitych miastach, Dydonin kochanku [26]),
«Aż obcą pojmiesz pannę w Latyna krainie [27]).
«Lecz nie troszcz się, złe potrwa i w krótce przeminie,
«Byleś prosto, jak strzelił, biegł do swego celu;
«Bo kto dotrwa, szczęśliwy jest z wybranych wielu!

Prośba Eneasza do Sybilli, aby go wprowadziła do świata pod-ziemnego. (Raju i piekła).

«Nieoceniony skarbie, moja Kumciu złota!
«Otwórz mi Ty do raju [28]) choć wytrychem wrota,
«Ażebym mógł się z ojcem [29]) widzieć chociaż chwilę:
«Mamy do pogadania z sobą rzeczy tyle,

«Żeby o tém napisać można i z pół tomu
«A niemogę ich przecię powierzać nikomu;
«O różnych interessach, o domu kłopotach,
«O projektach, przyszłości i innych przedmiotach.
«Wszakże wiész, że przez pisma wilk nie bywa syty.
«Wreszcie ojciec mnie zmusił do téj tu wizyty:
«Ty go znasz, on nie nawykł, wydając rozkazy,
«Aby je był zmuszony powtarzać dwa razy;
«I według przykazania winno każde dziecię
«Czcić rodzice, gdy długo chce pożyć na świecie.
«A że ja nadewszystko żywot umiém cenić,
«I jeszcze gdzie bogato chciałbym się ożenić;
«Więc rad nie rad do jego stosuję się chęci.
«Nadto, wszak już zwiedzali piekło wszyscy święci!
«Czemuż-by mi do niego wstęp był zabroniony?
«Orfej [30]) wgrał się do piekieł odszukując żony,
«Pollux tu wszystkie kąty z Kastorem wyciérał [31]),
«Herkules z Tezeuszem [32]) gwałtem się tu wdziérał,
«Czemuż-by mnie wizyta tu była wzbroniona?
«Wszakże ja nie wypadłem sroce z pod ogona,
«I co u ludzi wiele zaszczytu mi czyni,
«Pochodzę po kądzieli z krwi jednéj Bogini [33]).

Odpowiedź Sybilli.

Na to Kuma w te słowa mu odpowiedziała:
«Ja wiém, żeś nie gbur żaden, ani sowizdrzała,
«Tylkoś człowiek porządny, z rycerskiego rodu:
«Wstępu wzbraniać do piekieł niéma więc powodu
«I otwartą jest do nich brama w dzień i w nocy.
«Lecz wydobyć Cię *nazad* nie jest w mojéj mocy:
«Trudno tam drzwi odewrzéć, gdy klamka zapadnie,
«I łatwo wleść w to błoto; lecz wyleść nie snadnie.
«Sami tylko wyłącznie Zeusa [34]) faworyci

«Lub téż ten, kogo łaską swą jeszcze zaszczyci,
«Mieli *en règle* [35]) paszporta i tam i *z powrotem.*
«Do Erebu [36]) najłatwiej wstęp otworzysz *złotem;*
«W sekrecie Ci to mówię, krótko, węzłowato:
«Dostaniesz się do piekła za hojną zapłatą.
«Ta Ci drogę wskazaną różami uściele,
«Nie uważaj na żadne kwasy, ceregiele:
«Prozerpinie [37]) nasamprzód prezent wsuń do rączki,
«Plutonowi [38]) dukatów daj ze dwa tysiączki,
«Dla wyjaśnienia sprawy, prędszego jéj toku
«Daj łapowe ministrom nieznacznie na boku,
«Wreszcie masz nie przepomnieć także o Cerberze [39]),
«Który chociaż mantyczy, rad kubany bierze,
«A cała nam się podróż najlepiéj powiedzie;
«Bo kto swój wóz smaruje, ten i raźno jedzie!...»

Eneasz znajduje skarb.

Szukał po lesie skarbów ukrytych przed laty,
Których miał strzedz usilnie jakiś czart rogaty.
Ale gdzie skrzynia była z tym skarbem ukryta,
Tego się od nikogo i nikt nie dopyta,
Był to sęk do zgadnienia, zbyt trudną zagadką.
Eneasz z przezornością i rozwagą rzadką
I *na to* znalazł sposób: spostrzegłszy dwie sroki,
Patrzał, gdzie lecą obie, nasz wódz bystrooki...
I dopatrzył, jak sobie na jaworze siadły, —
Ciął w ten jawór toporem, miąża się rozpadły,
I pod pniem znalazł skrzynię złota ucieszony:
Były w niéj imperyały, dukaty, dublony [40]),
Słowem skarby Krezusa [41]). W posiadłość je bierze,
I radując z odkrycia swojego się szczerze,
Zaniósł z towarzyszami te skarby Sybilli;
I nim wszystkie do grosza oboje zliczyli,

Nim je na ciężki kamień zważono dowodnie.
Minęło może więcéj, jak cztery tygodnie.
Poczém stara Sybilla, po zachodzie słońca
Do piekła co tchu pchnęła umyślnego gońca.

Sybilla z Eneaszem wstępuje do świata podziemnego (Erebu).

„Precz z tąd!“ woła Sybilla... „Precz zaraz, profani!
„Z oblicza wielowładnéj wszystkich diabłów pani [42])!
„Bo już do piekieł brama otwartą została.“
Czém takiego mu *Piotra* Sybilla nagnała,
Że chętka odeszła zstępować do piekła.
Co spostrzegłszy Sybilla, do Eneja rzekła:
„Niech Cię widok tych potwór, wodzu, nie zastrasza;
„Czyliż nie masz u boku krzywego pałasza?
„Nie trać serca i męstwa w tak krytycznéj doli!“
I do piekła go z sobą wciągnęła powoli.
Eneasz obaczywszy tę bezdenną jamę,
Drżącą ręką pochwycił tę odważną damę,
I brnął z nią do Erebu przez bagna i błota;
A taka tam ich oczy pokryła ciemnota,
Że rozeznać nie mogli nawet samych siebie.
Nadto, przy téj ciemności tak tam było głucho,
Że nawet brzęk komarów dosłyszało ucho.
Był-to kraj, do Litewskich podobny pustkowi:
W nich się smutek, zgryzoty i rozpacz sadowi.
Starość, jakby pień głucha, rozliczne choroby,
Podagra, śledziennice, zwrzodzenia wątroby,
Z zapalnemi choroby choroby chroniczne,
I choroby zewnętrzne tak mnogie i liczne,
Żeby ich na wołowéj nikt nie spisał skórze.
Przy nich Śmierć suchożebra spała w jakiéjś dziurze.
Obok Sen, daléj różne i zbrodnie i wady,
Miały w téj okolicy zbyt liczne osady.

Daléj wojny, niezgody, kłótnie i zatargi,
I trzy Jędze [43]) gryzące z gniewu blade wargi.

Przybycie do Acherontu.

W tém też do Acherontu [44]) doszli już strumyka,
Ktory cuchnął jak dudek i pełen był błota.
Potém odwiedzić Kocyx [45]) wzięła ich ochota,
Którego brzegi strzeże Charon [46]), gdéra stary,
I dzierżawi tam przewóz za bite talary.
Ma on szczególną postać! długą siwą brodę;
Prom stary i spróchniały, sączący już wodę,
Długiém wiosłem popycha po nurtach téj rzeki,
Mruczy zawsze pod nosem, zachmurza powieki,
Odziewa się weretą [47]), kaftan nosi z dymki,
A na głowie podobną ma czapkę do krymki.
Gdy Eneasz się z wieszczką do téj zbliżył rzeki,
Spostrzegł, jak się do promu cisnęły kaleki;
Ludzie różnej płci, wieku i różnego stanu:
Z Europy, z Afryki, z Indyów, od Kubanu [48]).
Słowem z całego świata znanego przybysze,
Których postać i liczbę czart chyba opisze.
Każdy z nich grosz do ręki gdy wsunął sternika,
Smiałym krokiem do promu z lądu się pomyka...
I z kolei na kuczkach zasiadał w milczeniu,
Dumając, jak się zdaje, o swém przeznaczeniu.
Który zaś od przewozu nie złożył opłaty,
Odganiał go bosakiem precz, Charon brodaty,
Bo tak u nas na ziemi, jak na tamtym świecie
Nie daleko zajść można bez grosza w kalecie [49]).
Nic nikt darmo nie zrobi i jeszcze cię zfuka:
Nie zawsze więc otworzą, choć kto do drzwi puka.
„Powiédz mi, Sybileńko" Anchizowicz [50]) rzecze,
„Czemu tyle osiadło dusz tych wód porzecze?

„I dla czego przewozu im Charon zabrania?
— „Dziwne mi“ rzekła wróżka „czynisz zapytania.
„Z czegóż-by Charon roczną opłacał dzierżawę,
„Sprawiał wiosła, opędzał czém promu naprawę,
„Nie licząc w to fatygi *a parte* [51]) sternika,
„Gdyby od dusz przybyłych nie brał i fenika?
„Dla tego-to wędrując z ziemi do Erebu,
„Jeźli nie uzyskały zaszczytu pogrzebu,
„Choćby która Sułtana nawet była duszą,
„W przedpieklu się z kąta w kąt, przez wiek tułać muszą.“

Charon do Eneasza.

Charon wtedy w Eneja wpatrywał się z bliska
I od stóp go przemierzał aż do wierzchu głowy;
Poczém się pomrukując ozwał temi słowy:
„Powiedz mi, zkąd Ci przyszła taka śmiałość wielka?
„Co znaczy ten u boku kord, czy tam szabelka?
„Czy Ci sejmik tu zrywać chęć się wzięła może?
„Nie w porę się wybrałeś z tą myślą, nieboże!
„Siciński [52]) za tę sprawkę, okuty w kajdany,
„Codziennie bywa końmi dzikiemi szarpany.
„Jeźli chcesz wszczynać kłótnie i zabijatyki,
„Trybunalskie zabawy, uczty i lusztyki [53]),
„Zachciewa Ci się tarek [54]), jakby staréj babie;
„Ja Cię tu zaraz wiosłem od piekieł odwabię.
„I zapędzę w kąt jaki Waszego tam świata,
„Co już nieraz doświadczał nie jeden brat Łata [55]).
„Cóż Cię tu za interes do nas przyprowadza?
„Masz paszport?.. zkąd, i jaka wydała go władza?
„Czy jesteś wysokiego, czy niskiego rodu?
„Bo wiele już mieliśmy dawniej korowodu
„W samym naszym przybytku i siedlisku nocy,
„Gdy Alcyd [56]) niepośledniéj muszkularnéj mocy

„Wlazł tutaj nieproszony, robić brewerye;
„I Pirites z Tezejem [57]), dwie straszne bestye,
„Pierwszy chciał Plutonowi uwieść Prozerpinę,
„Drugi szarą do tego obrawszy godzinę
„Piekielnego buldoga [58]) skrępował łańcuchy,
„I osmagał porządnie batogiem złe duchy.
„Potém Orfeusz skrzypek wgrał się nam do piekła,
„Gdy mu nadobną żonę śmierć do nas przywlekła.
„Ja Cię za Styx [59]) przewozić nie głupim, Mospanie!
„Ruszaj ztąd, pókiś cały, na karku złamanie!“

Sybilla uspakaja Charona i Cerbera.

Na to szczwana Sybilla Charonowi rzekła:
„Żadna zła myśl Eneja nie wiedzie do piekła;
„Nie trwoż się jego szabli, kumie siwobrody,
„Ona nikomu dotąd nie zrządziła szkody.
„Eneasz chociaż minę ma tęgiego zucha,
„Z rąk jego nikt nie zginął, chyba tylko mucha,
„I to gdy drzémiącemu na nosie usiadła.
„On nikomu za skórę nie zaleje sadła.
„Znają go pod tym względem, jak zły szeląg ludzie.
„Może Cerber bezpiecznie szczekać w swojéj budzie,
„Pluton bezpiecznie z żoną zalegać swe bety:
„Enej zdolnym do zalot, jak wół do karety.
„Chybaby gąsce wiejskiéj mógł zawrócić głowę
„Przez nudne dykteryjki, koncepta jałowe.
„Nie zgadniesz, co go do Was ze świata przygnało:
„Oto mu się *tatusia* oglądać zachciało.
„Jeżeli Cię ten powód, kumie, nie poruszy,
„Pozwól sobie powiedzieć, żeś jest twardéj duszy!
„Bądź przynajmniéj tą prożbą nareszcie zmiękczony!“
To rzekłszy, wsunęła mu w rękę dwa dublony.
Uśmiechnął się staruszek, datek w kieszeń chowa,

I już więcéj nie pisnął nawet i pół słowa.
Skierował prom do brzegu, sadza w niego gości,
I na drugiéj ich stronie wysadził w całości.
Zaledwie zwietrzył Cerber przybyszy z daleka,
Rzuca się na łańcuchu, to wyje, to szczeka,
Jakby był za pieniądze od kogo najęty.
Enejowi on nagnał wtedy strachu w pięty,
I już się żądał ukryć pod wróżki spódnicą,
Gdy psu w paszczę wsunęła miód zmięszan z pszenicą.
Zrepetował je chciwie, oblizał trzykrotnie,
I tak, jak po kąpieli, spał w budzie ochotnie.
A Eneasz z Sybillą odtąd bez przeszkody
Szli przedpieklem do piekła od Styxowéj wody.

Mieszkańcy Erebu.

Najprzód tam napotkali dzieciątek bez liku.
O! co tam było wrzasku, kwilenia i krzyku,
To trudno już opisać!... Dalej ludzie byli,
Co ich jak najniesłuszniéj sędzie osądzili,
I skazali na różne i sztrofy i kary.
Wyroki te z uwagą czytał Minos stary [60].
I przerzucając licznych foliałów szeregi,
Śledził prawdy ućmionéj różnemi wybiegi,
A gdy znalazł niesłuszność, niczém nie zbłagany
Sędziów z adwokatami kuć kazał w kajdany.
Dalej widzieli bladych dusz szeregi liczne,
Chłopców ładnych, jak lalki, i damy prześliczne,
Które się dopuściły samobójstw z kochania:
Słyszeli ich żałosne jęki, narzekania;
Lecz była-to musztarda dana po obiedzie! —
Tu Fedra z Eryfilą [61]) pod boki się wiedzie,
Za nią Prokrys, Pazyfe, Lawdamia, Ewadne [62]),
I inne panieneczki i damulki ładne.

Tam Cenej [63]) obupłciowy wiódł piękną Dydonę [64]).
Gdy ją Eneja oko spostrzegło zdziwione
Stanął, jak gdyby wryty, potém się jéj kłania
I już się brał do ręki jéj ucałowania,
Gdy Dydo rozjuszona, a niegdyś dłań czuła
Niewiernego kochanka w dłoń szpilką ukłuła,
I tak był potrącony od zgniewanéj damy,
Że ledwie się nakrył własnemi nogami!
(Było-to wszystko we śnie; albowiem Dydona,
Jak widomo, królowi Jarbie zaślubiona,
Po weselu, jak ryba, żywot wiodła zdrowa;
O czém w poprzedniéj księdze była jeszcze mowa).
Lecz się zoryentowawszy, po niejakiéj porze,
Zawołał patetycznie [65]): «Pani! czyż być może,
«Żeś na dobre umarła, umarła na wieki?»
To rzekłszy, jakby dziecko, jął rozwodzić beki;
Ale Dydo, jak kamień była nie zmiękczona,
I uniosłszy długiego czarnego robrona,
Mimo żalu Eneja, rozpaczy i krzyku,
Z Sichejem [66]) poszła chodzić po bliskim gaiku.
Widząc Enej, z Dydoną że nie dojdzie ładu,
Udał się dla zwiedzenia rycerzy zakładu.
Było ich tam nie mało z różnego narodu.
Pamiętałem ich wszystkich nazwiska za młodu;
Lecz mi teraz, dalipan, wyszły już z pamięci!
Diofob mi się tylko po głowie dziś kręci,
Co go na rzeź wydała niegodziwa żona,
Kiedy Troja przez Greków została wzburzona;
Lecz długo o tém mówić, wspomnienie to smuci,
A co się raz już stało, to się już nie wróci!
Z tamtąd szli ku piaszczystéj jakowéj przestrzeni,
Gdzie różnych stanów ludzie byli zgromadzeni:
Przedajne filozofy, niemoralni księża,

Żony, co za pantofel uważały męża,
I na stroje, na zbytki, fioki i manele
Do bankructwa przywiodły małżonków tak wiele.
Inne, co raz z cnotliwéj wyboczywszy drogi,
Stroiły bezprzestannie swoich mężów w rogi;
Inne, co frymarczyły bezwzględnie swą cnotą;
Męże, co sprzedawali swe żony za złoto,
I rodzice wyrodne sprzedające córy.
Szulery, pijanice, którzy ojców zbiory
Marnowali na różne hultajstwa i zbytki.
Grzeczne niby z pozoru, swawolne kobietki,
Co skubały młodzieńców i darły z nich łyka.
Daléj niewiast bezczesnych roje napotyka,
Co psuły biednych dziewcząt, moralność i zdrowie
A których protegują zamożni panowie...
Przy nich siedzieli łotry, złodzieje i zboje,
Oszusty i lichwiarze, kostery [67]), opoje,
Kucharki i służący, co szwabili państwo,
Słowem z całego świata zebrane gałgaństwo.
Przy nich wiele dzierżawców, i dóbr właścicieli,
Którzy od poniędziałku do saméj niedzieli
Gnali lud na pańszczyznę, darmochy, szarwarki;
A pracą przeciążając swych poddanych barki
Rozpajali ich wódką i ze skóry darli,
Dopóki na pociechę zgubionych, nie zmarli.
Byli tam przemysłowce i antreprenery,
Faktorów szereg długi, bogate bankiery,
Kupcy, co oszwabiali na wadze i miarze,
A na końcu siedzieli z miast i wsiów karczmarze,
I wykwintnych hotelów możni oberżyści,
Którzy gości skubali dla własnéj korzyści,
Za najprzedniejsze wina sprzedawali lury,
Za sarny skopowinę, za bażanty kury.

Przegląd załogi piekła.

Dwunasta czyli północ biła o téj porze:
Wschód począł się rozjaśniać na niebios przestworze.
„Śpieszmy“ rzekła Sybilla „śpieszmy w dalszą drogę.‘,
Idą tedy oglądać piekielną załogę:
Prześliczne pułki czartów, rozmaitéj broni,
Jazda rzadkim doborem szczycąca się koni.
A co tam było armat, śmigownic [68]), moździerzy,
Nikt temu kto nie widział, pewno nie uwierzy.
Warta, co zamiast w bronie [69]), zbrojną była w działa,
Przed wodzem Eneaszem broń zprezentowała:
Dobosze biły pochód, fendrych [70]) schylił szpadę.
Potém Eneasz poszedł widzieć wachparadę [71]),
Twierdzę i jéj kurtyny, fosy i bastyony,
Pod któremi przepływał Flegeton spieniony [72]),
A gdy po moście przeszedł jedno jego ramię
Dyamentowéj długo przyglądał się bramie,
Tudzież ogromnéj wieży, któréj szczyt wysoki
Zdawało się, że same roztrąca obłoki.
Tę nadzwyczajnie mocną, czworograniastą wieżę
We własnéj swéj osobie Tyzyfone [73]) strzeże.
Słychać w niej brzęk łańcuchów, płacz, jęki i wrzaski,
Skrzyp tortur, smagających biczy ciągłe trzaski:
Jak w Świętéj Inkwizycyi [74]) dzieje się to gmachu.
Eneasz na to patrząc aż pobladł ze strachu,
Ażeby się téj jędzy nie dostać w pazury;
Lecz Sybilla ocuca w nim resztki brawury.

Kary winowajców.

Tu Radamant [75]) nad niemi zwierzchnią władzę trzyma,
W piekle Prokuratora mający posadę.
On-to z inkwirentami bada cienie blade,

I chłostą, i przez różne męki i katusze
Do wyśpiewania winy zmusza łotrów dusze.
Tu Tytanów [76]) pierwotne pokutuje plemię
Za to, że uciskało bezprzestannie ziemię,
I chciało ją przewrócić nogami do góry,
Póki im za to Jowisz nie wyłatał skóry,
I zakutych w kajdany nie zamknął na rygle.
Jeden [77]) za dokonane przed laty psie figle
Sępowi jest oddany, który go pożera;
Ixyon [78]) walcując wiecznie z tańca obumiera;
Pyritoj [79]) ztacza wiecznie beczki do piwnicy.
Tu Tantal [80]) wlepia oczy w dno próżnéj szklenicy
I na wspomnienie samo gorzałki lub wina
Idzie mu bezustannie do ust suchych, ślina,
A nie może uśmierzyć na chwilę pregnienia.
Jędze gotują duszom różne udręczenia:
A to za zbytnią chciwość nabycia bogactwa,
Z krzywdą ludzi przez podstęp i różne matactwa,
Że żartowali sobie z prawości i cnoty.
Innym czarty kroiły porządne kapoty
Za to, że w samolubstwie wiedli żywot cały.
Tu dręczą tych, co chcieli dojść wojennéj chwały
Gwałtem i rabunkami lub srogością w boju:
To téż im Jędze zamiast zwykłego napoju
Krwią gardło zalewają albo wrzącém złotem.
Innych, co swych poddanych tuczyli się potem,
Na zydlach [81]) biją w skórę piekielne pachołki.
Tu na głowach ciosają cudzołożcom kolki;
Tam do krwi chłoszczą rózgą dworzan, szambelanów,
Tu na rożnie przy ogniu pieką Jaśnie Panów,
A tam zdrajca, w dziurawéj, jak przetak kapocie,
Grzęznie po same uszy w zamarzniętém błocie!...

Eneasz dopytuje się o swego ojca.

To wszystko tak zdziwiło mocno Eneasza,
Że nie wierzył swym oczom, sądząc, że go mylą.
W tém napotkał na drodze swą wróżkę, Sybillą,
Z fajką w gębie Muzeja [82]. Za rekę go chwyta,
Pozdrawia, i w te słowa, skłoniwszy się, pyta:
„Bądź Pan łaskaw powiedzieć, kędy o téj porze
„Anchizes, rodem z Troi, znajdować się może?
„Lub też gdzie obrał sobie stałe tu mieszkanie?“
— „Zbyt trudną jest odpowiedź na to zapytanie“
Odpowiedział mu Muzej „gdyż mieszkańcy raju
„Stałych siedzib obierać nie mają zwyczaju;
„Lecz każdy tam przebywa, gdzie ma chęć i wolą.
„Ale jeżeli Państwo oboje pozwolą
„Za natchnieniem méj myśli iść, szczerze Wam radzę:
„Oto Was z tego wzgórza prosto zaprowadzę
„Do knajpy [83], gdzie na kawy zwykle filiżankę
„Schodzą się staruszkowie i tną pogadankę.
„I tam „baju i baju, a będziecie w raju,“
„Prawią o tém, co niegdyś bywało w ich kraju.“

Eneasz spotyka Anchizesa.

Idziem tedy aleą, obrzeżoną cisy...
W tém przy drodze.. na trawie.. siedział Anchiz stary,
I przyglądał się pilnie przez parkanu szpary,
Jak zasiane w ogrodzie dojrzewały dusze.
Badał przyszłość ich życia, zdolność, animusze [84];
Lecz gdy spostrzegł Eneja i Sybillę z dala,
Tak się mocno rozczulił widokiem synala,
Że począł rzewnie płakać, jak malenkie dziecię...
„Przypomniałeś też sobie“ rzekł „o ojcu przecie,
„I przychodzisz do piekieł zapadłéj krainy
„Z Sybillą dobrodziejką pewno w odwiedziny?!..“

„No, rybko moja droga, jak Ci się powodzi?
„Czyli czas na wędrówce przyjemnie Ci schodzi?
„Cóż tam słychać na waszym podsłonecznym świecie?
„Mów mi, mów mi o wszystkiém, ukochane dziecię!
„A najprzód mnie zawiadom, mój drogi kokocie [85]),
„Czyliś nie ugrząsł czasem w Kartagińskiém błocie?
„Czyli Dydo do Ciebie zachowuje ansę [86])?
„Wreszcie, na czém się Waszc skończyły romanse?
„Bo mi tu powiadano, niedziel temu parę,
„Że za Jarba pójść miało to babisko stare.“
Na to Eneasz ojcu w te słowa odpowie:
„Przecieć mi piątéj klepki nie brakuje w głowie!
„Z Dydoną porzuciłem Afryki nadbrzeża [87]);
„Teraz Twój syn *Italię* podbijać zamierza,
„I w tym celu gotuje strategiczne plany.
„Podaj mi swoją rączkę, Ojcze ukochany!
„Niechaj ją ucałuję, jako syn, serdecznie.“
Lecz na próżno ją chwyta; bo kto zasnął wiecznie,
Ten jest duchem i niéma odrobiny ciała.
Postać mu więc téj ręki w powietrzu znikała.

Parada dusz ludzi przyszłych.

Był to step, gdzie Eneasz Anchizesa zoczył,
Na tym stepie był ogród, i strumień się toczył.
Ten strumień była *Lethe*, rzéka zapomnienia;
Bo kto tylko skosztował wody z jéj strumienia,
Zaraz nawet o Bożém zapominał świecie.
„Z uwagą na ten ogród patrzaj, moje dziécię [88])!
„W nim kurczą się i wschodzą dusz zasiane ziarna,
„A że ziemia jest pulchna i gdyby kruk czarna,
„Rosną, jakby na drożdżach; a kiedy dojrzeją,
„Pluton ich na świat tamten wysyła koleją [89])...
„Uważaj teraz, synu, i pilnie i bacznie;

„Bo w paradzie dusz szereg wnet przeciągać zacznie."
Najprzód ciągnął saperów dusz szereg brodaty,
Po nich szedł *tambour-major*, przybran w strój bogaty,
Z kutasami miał gałkę ogromną u trzciny,
Na nogach wyszywane w floresy botyny [90].
Na bandolierze [91]) węże i smok był wyszyty,
Na bermicy [92]) piór mnóstwo chwiało się wśród kity,
Szlify miał generalskie, złote, z bulionami.
A za nim szli dobosze dwoma szeregami;
Z ogromnym tołumbasem janczarska muzyka
Poprzedzała dowódzcę półku, półkownika.
Za dowódzcą ciągnęły zaraz grenadyery:
Chłopy, gdyby olbrzymy! po nich fizyliery;
Strzelców celnych na końcu szła za półkiem rota,
A cały ten półk, prawie aż kapał od złota.
Broń zaś śliczna na słońcu takim blaskiem lśniła,
Jakby ukutą z samych dyamentów była.
Po pierwszym przeciągały inne bataliony
Mając na pierwszy pluton szyk w massie ściśniony;
I sztandar Eneasza pozdrowił półkowy.

Przepowiednia przyszłości.

Anchizes się do syna temi ozwał słowy:
„Patrz, synu! ten młodzieniec w czerwonéj tunice,
„Co mu wąsik ocienia, gdyby róże lice,
„Z półkownika szlifami, ryngrafem [93]) na szyi,
„Jest celniejszą figurą naszéj prozapii [94]);
„A będzie on mięszańcem krwi naszéj i Włoszek.
„Jak kogut wiejski łaską szczyci się kokoszek,
„Tak on kobietom wszystkim pozawraca głowy:
„Jest to Sylwiusz [95]); pan kiedyś będzie milionowy.
„Jak już się podtatusiasz, zsiwieją Ci włosy,
„Pomnij, że Cię obdarzą swą łaską niebiosy:

„W lesie Twoja małżonka, nadobna Lawinka,
„Porodzi Ci, Enejku, gdyby lalkę, synka.
„Z niego pójdzie ród grandów [96]) i Alby książęta [97]),
„Prokas [98]) a po Prokasie liczne Prokasięta,
„Jak gwiazdy się rozrodzą po Italskiéj ziemi.
„Kapis, po nim Numitor [99]) z potomkami swemi,
„Albę znowu odzyska; bo potomki nasze
„Nie dadzą lada komu napluć sobie w kaszę,
„Ani też grać na nosie-nie pozwolą sobie:
„Dobry koń nie da drugim odjeść się przy żłobie.
„Potém w stosownéj porze, wnuków Twych potomki'
„Pobudują pałace, gdzie dziś stoją domki.
„We Fidenie, w Nomentum, Gabii i Korze [100]),
„Do wielkiéj się potęgi ich rodzina wzmoże,
„ I dojdzie małym kosztem do bogactw, znaczenia.
„Bolę [101]) później zbuduje z cegieł i kamienia,
„A gdy żydom za bezcen wszystkie sprzeda lasy,
„Których dotknąć toporem dotąd się nie godzi,
„Romulus się z Remusem natenczas urodzi [102]).
„Ci dorosłszy, nad Tybrem wzniosą Rzym wspaniały;
„Lecz gdy wejdą w zaciętą dysputę o działy,
„I gdy proces wytoczą przed właściwe sądy,
„Komu z prawa należą dochody i rządy,
„Romulus jurydyczne przetnie mieczem spory,
„I uparty, jak Mazur, w dokonaniu skory,
„Nieboraka Remusa, rodzonego brata,
„Wyexpedyuje z tego do tamtego świata
„Po włosku, puginałem, albo też *aquetą* [103]).
„Po Romulu Rzym znajdzie powody *in petto* [104])
„Rabunkiem i mordami trapić swych sąsiadów;
„A będzie to litania bitew i napadów.
„Wreszcie, gdy się przebierze potęgi ich miara,
„Uledz będą zmuszeni przemocy Cezara [105]).

„Ten Gale i Germany, Hiszpanów i Bryty
„Będzie bił, a nie będzie w boju nigdy zbity.
„Nareszcie przyjdzie także kréska na Matyska:
„Gdy lud rzymski i senat dla siebie pozyska,
„I stanie na potęgi tudzież sławy szczycie,
„Brutus razem z Kassyuszem odbiorą mu życie.
„Po nim August [106]) nastąpi, co Włochom łby zmyje,
„I pod *Actium* [107]) Pompeja, w puch, wojska pobije,
„Delikatnym rozumem senat w ryzę zlapie,
„I najwyższéj się władzy powoli dochrapie.
„Antoniusza w Egipcie wystrychnie na fryca,
„Nie jednego plebeja przedziergnie w szlachcica;
„Z dowcipu słynącego Horacego Flakka [108]),
„Dworzanina swojego, biegłego śpiéwaka,
„Który na cześć Augusta bedzie pisał ody,
„Dobrami i znacznemi obdarzy dochody.
„Będzie to człowiek miły, dobrego humoru,
„Kochany od monarchy, ceniony u dworu,
„Liczący się do uczniów szkoły Epikura [109]);
„Lecz główną rolę *inna* grać będzie figura:
„W czasie rządów Augusta będąc ręką prawą,
„Włoch przewagę utwierdzi, pokryje je sławą,
„Wreszcie chcąc w całém państwie rozszerzyć oświatę,
„Mnóstwo szkół zaopatrzy w dochody bogate.
„Będzie-to ów Mecenas [110]) znany w całym Rzymie,
„Noszący Mecenasa rodu tylko *imię*,
„(Muszę tę okoliczność przytoczyć nawiasem;
„Bo w istocie nie będzie nigdy mecenasem,
„Ani też za kratkami stawał w jakim sądzie,
„Wszak dwóm niemożna służyć panom w żadnym rządzie).
„U dworu jego także będzie mianowanym
„*Virgilius Maro* [111]) wieszczem, tudzież szambelanem,
„Za to, że w Eneidzie Augusta pochwali.

„Na poetę Owida [112]) Cezar się rozżali
„Za niewczesne do córki swéj, Julii, zaloty;
„I weźmie Owidyusza w kaduczne obroty,
„Że się z nich, aż do zgonu swego nie wywinie
„I na wygnaniu w Dakii [113]) biédak marnie zginie.
„Za Augusta nastąpi wiele nowych rzeczy,
„Nie jeden za swawolę i gorzko przybeczy.
„Z Afryki sprowadzone zostaną girafy,
„Tytuły pozyskają barony i grafy,
„*Notabene* po stępla wysokiéj opłacie;
„Dużo bardzo we Włoszech namnoży się szlachty.
„Podrożeją dzierżawy, mieszkania i pachty.
„Rzymianie do uprawy wezmą się tabaki,
„Z tąd powstanie dla skarbu dochód wieloraki.
„W Egipcie wyszlamują główny kanał z mułu
„Dla spławiania łatwego zboża do Stambułu
„A szczególniéj egipskiéj wybornéj pszenicy.
„Zaprowadzone będą i cła przy granicy.
„Atlas ogromny każą sporządzić z kadastru [114]).
„Rzymianie się wzwyczają do palenia knastru [115]),
„Do cygar, papiérosów, do picia szampana,
„Przez co nie jeden kupiec przedziergnie się w pana,
„I z sklepu do wygodnéj przesiędzie karety.
„Łakocie, konfitury, cukier, różne wety
„Będą z Indyj do Rzymu sprowadzać na targi.
„Damy zaczną farbować lice, tudzież wargi;
„Szastać się w krynolinach, nosić czupiradła.
„Panowie niewolników zaprzęgą do radła,
„I na rząd kommissarzy zdadzą swoje włości;
„Sami zaś będą grali w billardy i kości,
„W loterye, faraona, lancknechty, diablika.
„W halbercwelwe, maryasza, sztosa, tudzież ćwika.
„Gra giełdowa wielkiego znaczenia nabędzie,

„I potrwa, aż Rzym w końcu na koszu osiędzie,
„I do bankructwa przyjdzie w wielkiéj zysków chęci:
„W grze zamiast *tuza* często *szóstka* się wyświęci!...“

Zakończenie dalszych przepowiedni.

„Te osoby grać będą główną rolę w Rzymie.
„Inni różne figurki będą lepić z gliny,
„Gwaszem [116]) malować Rzymu dawnego ruiny.
„Małpy będą po świecie tu i owdzie wodzić;
„Ci kwadratury koła skuszą się dochodzić,
„Owi improwizować rozpoczną androny [117]),
„Za fałsze dawnych monet pchać w kapzy [118]) dublony,
„Trudnić się astrologią, celować z wymowy.
„Ci znów odkryją Włochom dochód milionowy
„Za *mistyczne* książeczki i smalone duby [119]).
„Tinto [120]) zaś dojdzie z czasem z pomocą rachuby,
„Że loterya liczbowa, po zbadaniu ścisłém,
„Bardzo jest pożytecznym dla skarbu pomysłem.
„Ci odkryją, jak pięknie stół ubierać w wety;
„Owi będą handlować przyprawą *aquety* [121])!“...

Pożegnanie.

„Ot, wiesz co? na pociechę napijmy się wina“
Rzekł spłakany Anchizes półgębkiem do syna.
„Dobry, mówią, jest trunek na każdy frasunek!...
„Teraz obszerny wskażę Waszeci stosunek,
„Jaki pomiędzy niebem i ziemią zachodzi.
„Najpierwéj trzeba wiedzieć,.. że co się urodzi....“
— „Dosyć tego na dzisiaj!“ przerwie mu Sybilla:
„Kto w drodze, temu drogą każda prawie chwila!
„A Ty-byś rad nam prawił powiastki bez końca!
„Patrz-no! wschód bliski jutrznia zapowiada słońca,
„I jeźli się nie mylę, już świtać zaczyna!“ —
„Prawda“ rzecze Anchizes „już druga godzina...

„I lubo czas przyjemnie na gawędce schodzi,
„Gdy tu dłużéj śmiertelnym gościć się nie godzi,
„I tylko zmarłych w piekle mogą bawić dusze,
„Rad nie rad za drzwi wypchnąć was natychmiast muszę.
„Przepraszam za niegrzeczność: nie moja w tém wina."
Po czém wywiódł za wrota Sybillę i syna. —

Zniknął sen, co go tylu urokami łudził.
Wtém się Eneasz ze snu twardego obudził,
I gdy dobrze zaspane przetarł już źrenice,
Poznał zaraz Sybilli Kumejskiéj piwnicę,
W któréj tyle wyżłopał i wina i miodu;
I już poczęła jutrznia ćmić promienie wschodu,
Gdy ziewając był przyszedł z powrotem do flotty.
I chociaż wielkie jeszcze miał w drodze kłopoty,
I los go raz i drugi porządnie ochłostał,
Koniec końców... do Włoszech szczęśliwie się dostał.

OBJAŚNIENIA.

1) Eneasz, po zburzeniu Troi, postanowił udać się do Włoch, i założyć tam nowe osady. Po drodze zabawił niejaki czas w Kartaginie, gdzie pokochał królowę Dydonę. Z tamtąd, na Sycylią, przypłynął do stałego lądu Włoch. 2) Archandrya: zbiór celniejszych mężów. 3) Eubea. Osadnicy z greckiéj wyspy Eubei (teraz: Negroponte) założyli już byli dawniéj we Włoszech nad zatoką teraz Neapolitańską, miasto *Bajæ*. 4) Kumę swoją. *Cumarum allabitur orbis. Cumae,* pobliskie miasto, gdzie przy świątyni Apollina była wieszczka Sybilla. 5) I miasto *Cumæ* zbudowane było dawniéj przez osadników greckich z wyspy Eubei. Mógł więc Eneasz znać Sybillę jeszcze z Grecyi. 6) Madera, wino z wysp kanaryjskich; Medera, na Rusi: miód pity. 7) Z wizytniki: z gośćmi, którzy ją odwiedzali. 8) Sensaci: literaci, uczeni. 9) Dusie: dukaty. 10) Manele: bransoletki, naramienniki, drogiemi kamieniami wysadzane 11) Z partesa: poważnie. 12) Pałuba: nakrycie wozu. 13) *Profanus,* nie poświęcony. 14) Tam i owdzie. 15) Dardanus był praojcem Trojan. Dardanie znaczy tyle, co Trojanie. 16) *Sydenham,* sławny lekarz angielski, wynalazł opium płynne. 17) Piekarski za zamach na

Zygmunta III (roku 1620) badany, mówił różne rzeczy bez związku. 18) Kumejska dziewoja: Sybilla z *Cumæ*. 19) Darnaninie: potomku Dardanusa! 20) Potomku Troila. Troilus był królewiczm Troi. 21) Fałaga: nawalnica. 22) *Simois, Xanthus*. Jakich porażek Trojanie doznali nad rzeczkami swemi *Simois* i *Xanthus*, takich i tu doznają. I tu spotkają *Dorida castra*, grecki obóz. 23) *Latium*. Ziemia Latynów, przy ujściu Tybru. 24) Podobn e walecznym, jak pod Troją był grecki Achilles, będzie w *Latium* Turnus. 25) Juno, małżonka Jowisza, nważaną była za nieprzyjaźną Trojanom. Brać kogo na fundusz, psoty mu wyrządzać. 26) Dydonin kochanku: kochanku Dydony. 27) Eneasz zaślubił tu. *Lavini'ę*, córkę *Latinus*'a. 28) Według wyobrażenia pogańskich Rzymian, *niebo* zamieszkane było przez samych Bogów, *ziemia* przez ludzi, a dusze zmarłych zamieszkiwały świat *pod-ziemny*, *Erebus*, w którym dla sprawiedliwych były przybytki szczęśliwe, pola elizejskie, raj; a dla niesprawiedliwych *Tartarus*, piekło. Często cały świat pod-ziemski zwano *piekłami* albo *piekłem*. 29) Anchizes, ojciec Eneasza. 30) Orfeusz, sławny z śpiewu i gry na lirze. 31) Pollux i Kastor, bohaterowie dawnéj Grecyi. 32) Herkules i Tezeusz, podobnież. 33) Eneasz wywodził ród swój od bogini Wenery. 34) Jowisz po grecku zwał się Zeus. 35) W porządku. 36) Ereb, ob. wyżéj pod 28). 37) Małżonka Plutona. 38) Pluton, bożek piekła. 39) Cerber, olbrzymi pies strzegący bramy piekieł. 40) Dublony: podwójne dukaty. 41) Krezus, król Lidyi, uważany był za najbogatszego. 42) Prozerpiny. 43) Jędze, boginie zemsty, Furye. 44) Acheron, rzeka świata pod-ziemnego. 45) *Cocytus*, rzeka świata pod-ziemnego. 46) Charon, według mitologii greckiej, przewoził cienie zmarłych przez Acheron, Kocytus i Styx do Erebu. 47) Wereta: wór gruby, zgrzebły, długi i rozwlekły. 48) Kuban, rzeka w Kaukazyi. 49) Kaleta: woreczek skórzany na pieniądze. 50) Anchizowicz: syn Anchizesa, t. j. Eneasz. 51) *a parte*, na stronie, osobno. 52) Siciński, poseł powiatu Upitskiego, który za czasów Jana Kaziniérza, piérwszy swawolnie zerwał sejm swojém „nie pozwalam." 53) Lusztyk, z niemieckiego *lustig*, wesoło. 54) Tarki: jagody cierni. 55) Brat Łata: chudeusz. 56) Alcyd czyli Herkules. 57) Piritous i Tezeusz, bohaterowie dawnéj Grecyi. 58) Cerber. 59) Styx, rzeka świata pod-ziemnego. 60) Minos, jeden z trzech sędziów świata pod-ziemnego. 61) Fedra, małżonka Tezeusza. Eryfile, małżonka Amfiara. Obiedwie mężów swych zdradziły. 62) Prokrys, małżonka Cefala. Pazyfae, małżonka Minosa. Laodamia, żona Protezylausa. Ewadne, małżonka Kapaneusa. Piérwszą mąż przez omyłkę zastrzelił. Druga zdradziła męża. Trzecia i czwarta zginęły z miłości ku swym mężom. 63) *Caeneus*, panna, zamieniona przez Neptuna

w młodziana. 64) Królowę Kartaginy, o której już była mowa. 65) Z zapałem. 66) *Sichaeus*, piérwszy mąż Dydony. 67) Kostery: szulery w kostki. 68) Śmigownice: cienkie a długie armaty. 69) W bronie: w karabiny. 70) *Fähnrich* (po niem.), chorąży. 71) *Wachparade* (po niem.), parada straży. 72) Flegeton, rzeka świata pod-ziemnego. 73) Tizyfone, jedna z Jędz. 74) W wiekach średnich ustanowiony sąd na kacerzy. 75) Radamant, jeden z sędziów świata pod-ziemnego. 76) Tytani, według mitologii greckiéj, synowie Urana i Ziemi. 77) *Tityon*. Sęp mu dziubie wątrobę, która mu codzień odrasta. 78) *Ixion*, król w Tessalii, przywiązany do kręcącego się koła. 79) *Piritous*, podobnież król w Tessalii, który chciał wykraść Prozerpinę. 80) Tantalus, król w Frygii. 81) Zydle: stołki. 82) *Musaeus*, uczeń Orfeusza. 83) *Die Kneipe* (po niem.), karczma. 84) *Animus*, odwaga, męstwo. 85) Kokot: kogut. 86) *Ansa*, chęć zemsty. 87) Porzucił razem i Dydonę i Afrykę. 88) Rodzaj szkółki dusz, narodzić się mających. Rzymianie mniemali, że w świecie pod-ziemnym nie tylko są dusze umarłych; ale oraz dusze jeszcze nienarodzonych ludzi. 89) Mniemali, że Pluton dusz tych na ziemię codzień tyle wysyła, ile mu Jowisz rozkaże. 90) *Les bottines* (po franc.), bóciki. 91) *La bandoulière*, pas skórzany, przez ramię noszony. 92) *Die Bärmütze*, czapka niedźwiedzia grenadyerska. 93) Ryngraf: blaszka wypukła z przodu na szyi officera, na służbie będącego. 94) *Prosapia* (po łac.), plemię, rodzina. 95) *Silvius Aeneas*, syn Eneasza z Lawinii. 96) Grandami w Hiszpanii zowią Magnatów. 97) *Alba longa*, miasto niedaleko Rzymu. 98) *Procas*, król Latynów. 99) *Capis, Numitor*, królowie Latynów. Tego ostatniego ztrącił z tronu brat jego, *Amulius*; ale Numitor tron odzyskał. 100) *Fidenas, Nomentum, Gabii, Cora*, trzy pierwsze miasta Sabinów, czwarte Wolsków. 101) Bola, na granicy ziemi Latynów. 102) *Romulus* i *Remus*, założyciele Rzymu. 103) *Aqueta, aqua Tofana*, woda S. Mikołaja, trucizna wynaleziona w średnim wieku przez Tofanę, Neapolitankę. 104) *In petto* (po włosku), w piersi, skrycie, tajemnie. 105) Juliusza Cezara. 106) *Augustus Octavianus*. 107) *Actium*, przylądek w Grecyi zachodniéj. 108) *Quintus Horatius Flaccus*, poeta. 109) *Epikur*, filozof grecki. 110) *Maecenas*. 111) *Publius Virgilius Maro*, autor Eneidy. 112) *Publius Ovidius Naso*, poeta rzymski. 113) Nad Czarném morzem. 114) Atlas, zbiór mapp. *Kataster*, spis gruntów opodatkowanych. 115) Rodzaj tytuniu. 116) Farbami wodnemi. 117) Baśnie. 118) Worek. 119) Baśnie. 120) Wynalazca loteryi. 121) ob. pod 103).

DŹWIĘK-WDZIĘK,

ŚPIEW POLSKIEJ DZIEWICY;

z muzyką K. Tropiańskiego.

„Mieć abo nie mieć złota, nic przez się ku cnocie.
(Mik. Sęp Szarzyński).

«Gdybym miała dźwięku tyle,
Czém jest dla mnie duszy wdzięk,
Czułe brzękły-by motyle
Wnet koło mnie na ten dźwięk.

Wiosnę, szczęście-by mi niosły,
Nie zmarniła-bym mych lat,
Szli-by wdzięcznie ślubne posły,
Czując we mnie złoty świat.

Ale im nie brzęknę złotem,
Nie jest moje hasło to; —
Głuchym leci myśl ma lotem
Przez powszednie życia tło...

Wy nie biedźcie się nademną...
I ja dźwięki — wdzięki mam;
Muzę sercom nietajemną,
W tony serca sercu gram.

Harmonijnie zabrzmi echo
Naszych prawych, świętych czuć,
Zabrzmi błogą nam pociechą
Nie kruszcowych, podłych chuć, —

Lecz ukoić i utulić
Podsłuchany biedy jęk,
Zimnych słowem swém rozczulić:
To rodzinny, to mój dźwięk.

Staropolska gospodarność,
Praca, miłość, wdowi grosz,
Wiara w ziemskich rzeczy marność:
To me będzie wiano z róż.

W tym promiennym serc otoku
Gdy godowy wezwie dźwięk,
Miłość w sercu, niebo w oku,
Tak, młodzieńcze, — to mój wdzięk!“

Wnet wyskoczył młodzian dzielny
I pochwycił dziewczę w tan:
„Dalej mazur, hej! weselny!
Z taką żonką będę pan.“

Dźwięcznie, wdzięcznie gra muzyka
W mazowiecki, prosty dźwięk;
Złoto błoto z wstydem znika,
Święta miłość — świata wdzięk!

Suwałki. **Justyn W........l.**

DĄB.

Dąb na puszczy trwał *trzy wieki*,
Pokoleń ocienił wiele;
Tak szlą łaski w czas daleki
Cni ludzkości przyjaciele.

Stanimira.

Obrazek w Chacie.

I.

Matulu moja! dyć to u ściany,
Ten śliczny obraz nad waszem łożem,
Ta matka boska z dzieciątkiem bożem,
To szmatek płótna pomalowany.
Tać to nie żywe, jak powiadacie,
Jeno podobne do tych, co w niebie,
Trza je pobożnie zawiesić w chacie,
I prosić łaski w każdéj potrzebie.
A mnie czasami, mówcie co chcecie...
Wszystko się widzi... coś sobie roję,
Że matka boża i boskie dziecię,
Choć malowani, żywi oboje.

* * *

Ot! kiej tatulo niedawnéj nocy
Zaczęli jęczeć w silnéj chorobie,
Wyście pobiegli szukać pomocy
A ja przed obraz uklękłam sobie.
I tak zaczęłam modlić się szczerze,
Wzdychając rzewnie, płacząc boleśnie,
Że nim zmówiłam wszystkie pacierze,
Tatuś spokojnie odpoczął we śnie.
A jeszcze pomoc nie przyszła przecie...
Cóż mu pomogło?.. pacierze moje?..
Oj! matka boża i boskie dziecię
Choć malowani, żywi oboje! —

* * *

Świt już zawitał w nasze okienko,
Ojcu ustały bóle i dreszcze,
Choroba przeszła, jak odjął ręką.
Ja przed obrazkiem klęczałam jeszcze.
Aż kiedy słonko wyszło z za chmury,
Gdy cały obraz blaskiem otoczy,
Odchodząc spojrzę na nich do góry,
A oni za mną powiedli oczy!...
A w oczach... matlu! mówcie co chcecie,
W oczach łzy mieli takie, jak moje,
Oj! matka boża i boskie dziecię,
Choć malowani, żywi oboje!

* * *

Tatulo zdrowy, ot! myślę sobie,
Święci w obrazku tacy łaskawi,
To i ja dla nich podarek zrobię,
Kwiecisty wianek radość im sprawi.
I splotłam wianek z krasną wstążeczką,
I zawiesiłam nad niemi skromnie,
A oni! oni! droga mateczko!
Ledwie nie głośno śmieli się do mnie!
A kiej się śmieją, toć żyją przecie.
Odtąd ich codzień w wianeczki stroję;
Bo matka boża i boskie dziecię,
Choć malowani, żywi oboje!

II.

Matulu moja, dyć to u ściany,
Ten śliczny obraz nad waszem łożem,
Ta matka boska z dzieciątkiem bożem
To szmatek płótna pomalowany.
Tać to nie żywe, jak powiadacie,

Jeno podobne do tych, co w niebie,
Co błogosławią, jeżeli w chacie
Biédny, przytułek znajdzie w potrzebie.
A mnie czasami, mówcie co chcecie,
Wszystko się widzi... coś sobie roję...
Że matka boża i boskie dziecię,
Choć malowani, żywi oboje.

* * *

Ot! zaonegdaj, w zawieję, w błoto,
Bóg nam biedaków przysłał do chaty:
Jakaś staruszka z głodną sierotą,
Obie przywdziane w podarte szmaty.
Wyśta im, oprócz chleba kawałka,
Fartuch i suknię dali w ofierze,
A jam sukienki rzewnie płakała,
Bo mi jéj było markotno szczerze...
Lecz od téj chwili, nad wszystko w świecie,
W obrazek święty patrzeć się boję...
Bo matka boża i boskie dziecię,
Choć malowani, żywi oboje!

* * *

Kiej do pacierza klękłam przed niemi,
Moją sukienkę mając w pamięci,
Musiałam oczy spuścić ku ziemi,
Tak na mnie przykro spojrzeli święci.
Ciągle mi w sercu, tęskno, niebożo...
Bo gdzie się ruszę, gdzie stąpię krokiem,
Niby coś szepcą, niby mi grożą,
I wszędy chmurném ścigają okiem.
Spleśćby im wianek?... cóż?... to nie w lecie.
Czémże ich biedna, czém uspokoję?!..
Oj! matka boża i boskie dziecię,
Choć malowani, żywi oboje!

* * *

Już mi i nie żal sukienki w kwiatki,
Tatuś dał nową, przydał całusa,
Jeno uśmiechu najświętszej matki,
Jeno radości Pana Jezusa!
Ach! wiém co zrobię! nie łamcie głowy!
Ot, kiedy w zimie trudno o wianek,
To obrazkowi z sukienki nowéj,
Uszyję parę ślicznych firanek!
Patrzta, matulu! mówcie co chcecie:
Znowu się śmieją, że ich przystroję!
Oh! matka boża i boskie dziecię
Choć malowani, żywi oboje!

IIII.

Córeńko moja! w chacie u ściany,
Ten śliczny obraz nad mojém łożem,
Ta matka boska z dzieciątkiem bożem,
To szmatek płótna pomalowany.
Tać to nie żywe jako obrazki,
Jeno podobne do tych, co w niebie.
Lecz oni przez nie rozdają łaski,
Wspierają ludzi w smutku, w potrzebie.
I przez nie widzą, co jest na świecie,
I przez nie patrzą w serduszko twoje;
Bo matka boża i boskie dziecię
Choć malowani, żywi oboje.

* * *

Gdy spojrzysz w obraz, dzieweńko miła,
A święci uśmiech mają na twarzy,
Znać: nic-eś złego nie uczyniła,
Znać: dobrym czynom anioł stróż darzy.

Oh! wtedy na świat spoglądaj śmiało,
Choćbyś doznała ludzkiéj niechęci,
Prędzéj czy późniéj wybiegniesz z chwałą,
Bo cię z niedoli wybawią święci.
Moc ich cudowna, pokotem zmiecie
Szyderstw, pokusy, złych myśli roje;
Bo matka boża i boskie dziecię,
Choć malowani, żywi oboje!

* * *

Lecz gdy obrazek spogląda gniewnie,
Gdy twoją radość i spokój kruszy,
Zły duch przy tobie... bo wtedy pewnie
Czyn niegodziwy cięży na duszy...
Oh! żałuj, módl się, córeńko droga,
Choćbyś widziała ludzkie uśmiechy,
One nie schronią od kary Boga,
Nie wrócą sercu szczeréj pociechy!
Wzrok tych obrazków trwogą cię zgniecie,
Zbrzydzi bogactwa, mamidła, stroje;
Bo matka boża i boskie dziecię,
Choć malowani, żywi oboje!

* * *

Córeńko moja! zawsze, oh! zawsze
Patrz w ten obrazek matki Chrystusa,
A im spojrzenia świętych łaskawsze,
Daléj od ciebie grzech i pokusa.
Strój ich w kwiateczki, tak jak ty, świeże,
Oni się będą śmieli do ciebie;
Dbaj o ten uśmiech w pokorze, w wierze,
Bo to jest uśmiech tych, co są w niebie!..
A kiedy skończysz drogę po świecie,
Oni cię przyjmą w królestwo swoje;

Bo matka boża i boskie dziecię,
Choć malowani, żywi oboje!

Jan Chęciński.

CIERPIENIE.

Zły tylko biednym. — Znałem młodzieńca
Z zapałem w sercu, i z myślą w oku,
Lecz z marzeń jego jasnego wieńca
Czas wszystko zmiatał w swoim potoku;
Czego się dotknął swém dumném czołem,
Co go budziło do łez i życia,
Sypało mu się w ręku popiołem,
Jakoby gwiazda jego powicia
Miała być dzieckiem saméj boleści.
Czy nie napotka nigdy anioła,
Co rękę poda, co go popieści,
Odmłodzi sercem, pył zetrze z czoła,
I wskaże wyższą gwiazdę przyszłości?
Czyliż za tyle walk i miłości
Świat nie przebaczy? lub nie uwieńczy?
Sława i miłość gardzą nim teraz;
Lecz czy wstrzymają jego młodzieńczy
Polot?
Kto cierpi, ten nie umiéra;
Ale jak Chrystus, we własnej męce
Sieje owoce, które świat zbiera,
I lepszym czasom podaje ręce:
On *chciał* dobrego; lecz dobre *chęci*,
«Arcydzieł życia martwa połowa.»
Wszakże Chrystusa dla tego świat święci;
Bo *czynem* dowiódł wzniosłe swe *słowa*.

Płock. **Jan Niemiérowski.**

Piérwszy i czwarty akt
DRAMMATU CZTÉRO-AKTOWEGO:
GUSTAW WAZA,(*)

NAPISANEGO ORYGINALNIE

PRZEZ

Józefę Śmigielską.

Osoby.

GUSTAW ERYKSON WAZA.
PROBOSZCZ z *Suwerdsio.*
SUMMILA, jego siostrzenica.
AKSEL, jego wychowaniec.
PANI PETERSON.
ERYK, jéj sługa.
Wieśniacy z Dalekarlii. Panowie szwedzcy. Oficerowie. Straż.

Rzecz dzieje się w I i IV akcie na probostwie w *Suwerdsio*, w Dalekarlii, roku 1521 — 1524.

(Prawie wszystkie szczegóły tego drammatu są ściśle historyczne.)

Akt I.

Teatr przedstawia wnętrze ubogiéj chatki mieszkańców północy. W środku ognisko, kilka skór dzikich zwierząt rozrzuconych po ziemi.

(*) Gustaw Waza, król szwedzki, był dziadem naszego Zygmunta III, i jednym z najzacniejszych monarchów w świecie.

SCENA I.

PROBOSZCZ, AKSEL, SUMMILA.

Aksel *(kładąc broń, którą czyścił).* Co to jest?... słychać skrzypienie po śniegu... Jakieś kroki ostrożne... ktoś idzie... *(bierze łuk i naciąga go).*

Proboszcz *(przestając czytać biblią).* Bądź spokojny, synu, to nie mogą być żołnierze Chrystyana... w téj porze; a potém, my ani bogaci, ani możni. Zobacz, może nieszczęśliwi jacy błądzą.

(Summila powstaje od swéj roboty. Aksel idzie do małego, niskiego otworu, który drzwi wyobraża, i otwiéra. Wchodzą podróżni przychylając się).

SCENA II.

CI SAMI; GUSTAW i ERYK *(otuleni w obszerne futra).*

Aksel. A! to ty, Eryku!

Gustaw *(na którego mieszkańcy chatki z podziwieniem spoglądają).* Pokój wam.

Eryk *(zbliża się do ognia).* Strach, co się dzieje na świecie. Wicher dmie tumanami śniegu. A jak ciemno! Ja, co tu byłem tyle razy, trafić dziś nie mogłem.

Aksel *(dotyka się jego odzieży).* Cały mokry jesteś.

Eryk *(zrzuca płaszcz, dokłada drzewa na ogień, i mówi z uszanowaniem do towarzysza).* Racz zbliżyć się, Panie.

Summila *(cicho do proboszcza).* Patrzcie, u tego podróżnego jak piękny haftowany kołnierz wygląda z pod góralskiego płaszcza.

Eryk *(do proboszcza).* Szanowny ojcze! z rozkazu mojéj pani przyprowadziłem tu.....

Proboszcz *(odprowadzając go na stronę).* Kto to jest?

Eryk. Nie wiem. Jakiś wielki pan zapewne, bo przez kilka dni, co w naszym domu bawił, wielkie mu oddawano honory. Dzisiaj pan wyjechał, a w kilka godzin potém pa-

ni kazała mi przyprowadzić tu tego podróżnego i tajemnicę przykazała surowo, Teraz pozwólcie mi się osuszyć; natychmiat wracać muszę.

Gustaw, *(który do tego czasu stał nieruchomy przy ognisku oparty na swym kiju)*. Poczciwi ludzie, wiecież teraz, że Pani Peterson pieczy waszéj powierza tułacza?

Proboszcz. Trzykroć błogosławiona chata ubogiego, kiedy może dać przytułek nieszczęśliwemu.

Eryk *(z ociąganiem się)*. Wracać muszę, — muszę.

Aksel. Dla czego?

Eryk. Pani kazała, żeby pan wróciwszy, już w domu mnie zastał. *(Zabiera się do wyjścia spoglądając ku podróżnemu, czy nie usłyszy jego nazwiska)*. Pani sama tu będzie, jak tylko burza minie.

Gustaw. Żegnam cię, Eryku, i dziękuję, żeś mnie w to spokojne przyprowadził ustronie. *(Szuka przy sobie i nic nie znalazłszy ze smutkiem i godnością podaje mu rękę, którą Eryk z uszanowaniem całuje)*. Dziękuję ci. Może kiedyś w lepszych zobaczemy się okolicznościach.

SCENA III.

CI SAMI; oprócz ERYKA.

Proboszcz. Dostojny Panie, moja dobrodziéjka przysyła cię tutaj, i poleca opiece naszéj: twoja osoba świętą jest dla nas i włos z głowy twojéj nie spadnie. Nie pytamy nawet, kto jesteś.

Gustaw *(spoglądając do koła z ufnością)*. Jestem Gustaw Erykson Waza.

Proboszcz *(zdziwiony)*. Waza!!

Aksel. Syn tego senatora Eryka Wazy, którego ścięto piérwszego w Sztokholmie?

Gustaw. To był mój ojciec.

Proboszcz. Wiesz-że ty, Panie, jak cię na wszystkie

strony poszukują? jak wielkie summy przeznaczone temu, kto cię żywym lub umarłym dostawi?

Gustaw. Ach! wiém; bo już w całéj Szwecyi niéma dla mnie schronienia, jeżeli wy mi go odmówicie.

Summila (*do proboszcza*). Biédny, — biédny!

Gustaw. Uszedłem z okolic rodzinnego zamku, by nie narażać starego sługi, który mnie przechowywał z niebezpieczeństwem własnego życia. Schroniłem się w góry Dalekarlii. Pracowałem w kopalniach miedzi. Poznano mnie. Piotr Rankhita obiecywał mnie ukrywać; ale że lękał się choćby najdrobniejszym udziałem dopomódz do ocalenia Szwecyi, opuściłem go ze wzgardą; bo tchórz i zdrajca, to jedno prawie.

Summila. Lecz u pana Peterson dobrze ci, Panie, być musiało?

Gustaw (*z gorzkim uśmiéchem*). Ha! Pan Peterson przyjął mnie wprawdzie wspaniale i z wielkiemi honorami; tylko następnego dnia wyjechał, by sprowadzić po mnie Duńczyków.

Aksel i Summila (*razem*). Pan Peterson! czy podobna?

Proboszcz (*potrząsając głową*). Moje dzieci, wiele jeszcze rzeczy zobaczycie na świecie, którym szlachetne serca wasze dziwić się będą.

Summila. Ach! rozumiém teraz. Cnotliwa pani Peterson nie dopuściła tego; tu ciebie, Panie, dla ukrycia przysłała.

Aksel. Bądź spokojny, Panie, (*pokazuje na zawieszone łuki*). Ja i broń moja, nie damy cię Duńczykom.

Gustaw. Śmiały jesteś, młodzieńcze; to pięknie. Może téż w krótce będziesz miał obszerniejsze pole do popisania się z Twoją odwagą.

Proboszcz. Dzięki niech będą dobrodziéjce naszéj, że

nam powierza bezpieczeństwo potomka królów, jedyną Szwecyi nadzieję.

Summila. Mój Boże! Eryk.....

Aksel *(przerywając)*. Prawda, — gotów się wygadać że cię tu, Panie, przyprowadził.

Proboszcz. Nie bójcie się, dzieci. Już ja obmyśliłem schronienie. Wiécie: w pustéj kapliczce. Nie domyślą się nawet, żeby tam mógł człowiek się znajdować.

Aksel. A! tam najbezpieczniéj będzie.

Summila. Tak straszno i ciemno.

Gustaw. O! gdybyś wiedziała, śliczne dziécię, do jak różnéj ja już biédy nawykłem! *(do proboszcza)*. Lecz wy się narażacie... gdyby Peterson się domyślił i nasłał tu Duńczyków dla odszukania mnie....

Aksel. Nic nam nie zrobią.

Proboszcz. I cóżby ubogim zabrali? Życie nasze? — — a cóż im z niego?

Summila. Bylebyś tylko ty, Panie, był ocalony.

Gustaw *(z ufnością)*. Wam się oddaję zupełnie — pójdę teraz, gdzie każecie. Wkrótce wypadnie nam ruszyć daléj.

Summila *(z przerażeniem)*. Panie! jak z tąd wyjdziesz, schwytają cię i zabiją.

Gustaw. A cóż mi po życiu bezużytecznem i bezczynném?

Aksel *(z zapałem)*. Gustawie Wazo, powiedziesz nas przeciwko nieprzyjaciołom Szwecyi!

Gustaw. Ty mówisz, młodzieńcze!... o! gdyby słowa twoje rozległe znalazły echo. I myślisz, że w tych górach znajdę wiele serc twemu podobnych?

Aksel. Wszyscy Dalekarlijczycy z równym powstaną zapałem.

Gustaw. Zaprowadzisz mnie pomiędzy nich, — nieprawdaż?

PROBOSZCZ. Powściągnij twą niecierpliwość, Panie. Właśnie tu niedaleko w Mora licznie zbiérają się wieśniacy na święta Bożego Narodzenia. Znam dobrze proboszcza téj parafii — poślę tam Aksela, a może i sam pojadę. Trzeba przygotować umysły — rozszerzyć wieść o nowych podatkach, to najbardziéj rozjątrzy Dalekarlijczyków. Potém sam się pokażesz i przemówisz.

AKSEL. Jak burza minie, biegnę do Mora.

SUMMILA. A do Bożego Narodzenia pozostaniesz z nami, Panie.

PROBOSZCZ. Tymczasem podziel, dostojny Panie, ubogą wieczerzę naszą... kawałek ryby i chleb owsiany: to cały przepych Delakarlijczyka.

GUSTAW. Chléb, podany życzliwą ręką cnotliwego, zawsze mi smakuje.

SUMMILA *(podając mu wieczerzę)*. Panie, co to jest? ręce twoje pokaléczone.

GUSTAW. O! to już blizny tylko. Gdym zmuszony uciekać, jechał w wozie słomy ukryty, wśród szeregów nieprzyjaciół, oni mając cokolwiek podejrzenia, jęli próbować ostrą bronią, czy na wozie sama słoma tylko. I pokłuli mnie całego. — Nie jęknąłem, szło o życie! *(w uniesieniu)* i więcéj, niż o życie — o urzeczywistnienie téj myśli, która pali mi duszę, nie da zasiąść pod spokojną strzechą, pcha wśród niebezpieczeństw i nieprzyjaciół, siły mnoży, odwagę podwaja. Mnie naznaczono doprowadzić ją do celu *(kładąc rękę na piersiach)*; czuję to! sława ocalenia Szwecyi, to mój kres — tam dopiéro stanę i odetchnę.

SUMMILA *(patrząc na niego z zapałem)*. O! ty wielkim będziesz!!

PROBOSZCZ. Panie! zmokły jesteś i przeziębły, posil się i rozgrzéj przy naszém ognisku.

Gustaw *(przyjmuje chléb).* Szanowny księże, i długo już żyjesz w téj stronie?

Proboszcz. Zrachować trudno... młody jeszcze zostałem proboszczem i w téj chatce osiadłem. Pozostanę w niéj do śmierci, a ta niedaleka — patrzcie na włos mój biały, na głowę schyloną.

Gustaw. I nie potęskniłżeś nigdy za życiem innem, za światem obszernym?

Proboszcz. Nie... nie znałem nic więcéj, jak góry i bagna Dalekarlii i kilka nędznych mieścin naszych. Wiedziałem, że daléj, daléj, był świat szeroki i ludzi pełno, co się krzątali, trudzili, zabijali jedni drugich dla tego, co nazywali interesem własnym. Mało mnie to obchodziło... w naszych stronach nie błysła dotąd broń żołnierza i choć czasem z biédy kory sosnowéj w chléb się przymieszać musiało, cicho było i swobodnie.

Gustaw. Szczęśliwy księże!... czegoż jednym za mało tego, co wystarcza drugim?..... Gdym z rozkazu króla Chrystyana wraz z innemi zakładnikami zdradliwie uwieziony został do Danii, przebywałem tam u mego krewnego Bannera. Miałem dość swobody, jak na więźnia... mogłem wyjeżdżać w okolicę, ryby łowić, polować w obszernych kniejach; otoczono mnie czcią i zbytkiem; na zamku były kobiéty piękne i hulanki częste... nudziłem się każdéj chwili... duszno mi było! Raz w nocy, przebrany za handlarza wołów, uciekłem... wiedziałem, że w kraju rodzinnym cenę na moją głowę naznaczono, jednak z bijącém radością sercem podążyłem ku niemu.

Proboszcz. Losy twe, Panie, po innych wiodą cię drogach; mnie dość powietrza w tém kółku, dość szczęścia w małéj pomocy danéj cierpiącemu.

Gustaw *(spoglądając na Aksela i Summilę).* Te piękne dzieci krewni wam, księże?

Proboszcz. Summila, jedyne dziécię siostry mojéj zmarłéj niedawno. Aksel, siérota, którego małém chłopięciem znalazłem na śniegu na wpół umarłym; rozgrzałem na piersiach moich i nazwałem synem.

Aksel. Daj powiedzieć, ojcze, że ja byłem dziesiątym z kolei siérotą, któremu dałeś schronienie. Tamci już na swym chlebie; ja jeszcze tu, ale w krótce...

Proboszcz. Wiém, porzucisz starego. Cóż robić?..... Gustawie Eryksonl będziecie mieli z niego mężnego żołnierza — dzielnego to hartu dusza i serce szlachetne (*kładzie przyjaźnie rękę na ramieniu Aksela*).

Gustaw (*do Aksela*). Będziesz zawsze ze mną.

Summila. Kroki jakieś słychać po śniegu. Panie, ukryj się, może ciebie szukają.

Aksel (*przysłuchuje się*). Nie — zdało ci się, Summilo, to wiatr zaszumiał i drzwi skrzypnęły.

Proboszcz. Nie tracąc więcej czasu, chodź, Panie, do swego schronienia. — Kto wié — mogą cię tu szukać.

SCENA IV.

AKSEL, SUMMILA.

Aksel (*bierze łuk i naciąga go*). O! niech tylko tu przyjdą Duńczycy! (*zamyśla się*). Wszędzie z nim pójdę.

Summila (*trwożliwie*). Akselu, gdzie chcesz iść?

Aksel (*prędko*). Przecież całe życie nie będę czytywał biblii twemu wujowi... nie myślę zostać księdzem... (*łagodniéj zbliżając się*). Summilo, ty nie wiesz, co się dzieje po innych prowincyach. Duńczycy napadają, podpalają panów pałace, mordują, topią ich żony i dzieci.

Summila. Więc widzisz, że lepiej z nami pozostać, jak iść żyć wśród morderców. Oni się będą bali zapuszczać w nasze lasy i bagna; u nas zawsze będzie cicho i spokojnie. Zostań z nami, Akselu.

Aksel. I ty chcesz, żeby my spokojnie siedzieli, kiedy tam braci naszych zabijają! Mamyż czekać, żeby do nas przyszli i nałożyli podatki na lud biedny? O! ty nie słyszałaś opowiadających o rzezi Sztokholmskiéj, jak pięćset głów szlachty padło pod katowskim mieczem—jak rozjuszeni Chrystyana żołnierze mordowali po domach, po ulicach, kogo spotkali tylko. Ktoś patrząc na krew i trupy politował się — wydarto mu serce!

Summila. Ach! to okropne.... *(z przerażeniem)* Słyszysz, słyszysz stąpanie... teraz to nie przywidzenie — idą, idą po niego! Mój Boże!

Aksel *(przysłuchując się)*. Uspokój się; nie słychać, jak dwie osoby najwięcéj.

SCENA V.

CI SAMI; PANI PETERSON.

Summila *(zbliżając się naprzeciw Pani Peterson)*. Ach! Pani.

P. Peterson. Co ci jest? drżysz cała, moje dziécię.

Summila. Gdy słyszę kroki jakie, zdaje mi się, że duńscy żołnierze się zbliżają.

P. Peterson. Uspokój się... *(do Akśela)* Ukryty?

Aksel. Najbezpieczniéj. Dziękujemy ci, Pani, żeś go nam powierzyła. Nie lękaj się więcéj o niego.

P. Peterson. Alboż on-to długo z wami siedzieć będzie? Jemu tak mało chodzi o własne bezpieczeństwo! — on chce działać. Co za śmiały umysł!

Aksel. Właśnie też wszyscy działać będziemy — już dawno czas.

P. Peterson. Na szlachtę nic liczyć nie można. Zmniejszona w liczbie przez tyle zabójstw, wycieńczona na pieniądzach, zaciąga się po większéj części do duńskiego wojska, lub siedzi cicho w swoich zamkach.

Aksel. Ja też nie na panów rachuję, ale na lud nasz śmiały i niepodległy, na górali naszych.

P. Peterson. Panom nie zechce się wyprawić poddanych na wojnę; bo z nich największe mają dochody.

Aksel. Ja też do samego ludu się udam, to i posłuszeństwa zapomną i pójdą z nami. Dziś zaraz biegnę do sąsiednich parafij w dobrach rządowych.

P. Peterson. Idź! oto moje pieniądze, uczęstuj za nie poczciwych wieśniaków. Przy gawędce najlepiéj ci się powiedzie oburzyć ich przeciw Chrystyanowi.

SCENA VI.

SUMMILA, PANI PETERSON.

Summila. Nie domyślająż się niczego na zamku, w którą stronę schronił się Gustaw?

P. Peterson. Bynajmniéj. — Eryk doskonale dotrzymuje tajemnicy. Mój mąż niéma najmniejszego podejrzenia, że ja przebieglejsza od niego.

Summila. Czyż doprawdy pan Peterson — miał zamiar....

P. Peterson. Nic mi o tém nie mówił — zgadłam sama. Wyjechał pod zmyślonym pozorem; dziś dopiéro co przyjeżdża z oficerem duńskim i znacznym żołnierzy oddziałem. Pewni, że już mają w swém ręku Gustawa i cenę na krew jego, szukają — niéma! Duńczycy klęli straszliwie; mój mąż przysięga, że ukarałby śmiercią tego, co Gustawowi ułatwił ucieczkę.

Summila. Ach! Pani.....

P. Peterson. Nie bój się o mnie — bylebyście tylko dopomagali Gustawowi. Twój wuj jest tak kochany od ludu.

Summila. Mój wuj zrobi wszystko dla niego; któżby mu pomagać nie chciał? ktoby nie pokochał poznawszy go?

P. Peterson. Prawda — co za szlachetna postać, co za odwaga!... niczém są dla niego przeciwności.

SUMMILA. A jaki piękny i wspaniały! jemu 'królem być.

P. PETERSON. Przyszedł do nas okradziony ze wszystkiego, w wieśniaczéj odzieży, o'proszonym chlebie, on, jeden z pierwszych panów Szwecyj!... Powierzył się mężowi mojemu, a ten go chciał zdradzić.... a!....

SCENA VII.

TE SAME; PROBOSZCZ.

PROBOSZCZ. Bądź Pani spokojna — gość nasz już ukryty bezpiecznie.

P. PETERSON. Dzięki ci, szanowny Ojcze! — powiedz mi, co mogę więcéj zrobić dla niego? Pieniędzy — oddam je wszystkie, jakie mam. Święta to sprawa, w obronie któréj on występuje.

PROBOSZCZ. Pieniądze — przydadzą się. *(do Summili)* Gdzie Aksel?

SUMMILA. Poszedł do Mora.

PROBOSZCZ. Widzisz Pani, że 'i my działamy w téj saméj sprawie. Ufam w łaskę Najwyższego, że teraz lepiéj, niż odtąd powiedzie się Gustawowi.

P. PETERSON. O! tak, tak! kiedyś ty, świątobliwy Ojcze, wziął go w opiekę swoją.

W akcie II rzecz dzieje się w parafii Mora. Teatr przedstawia krajobraz północy. Góry śniegiem okryte, lasy sosnowe. W akcie III scena przedstawia ulice miasta *Westeras.*

Akt IV.

Teatr przedstawia okolicę probostwa *Suwerdsio.* W głębi widać kościółek i dzwonnicę. Kilku wieśniaków urządza sieci.

WIEŚNIAK pierwszy. Nie słyszeliście, czy prędko będziemy mieli nowego proboszcza?

Wieśniak drugi. A kto ich tam wié? — Mówią, że teraz będą w parafiach rozsyłać innych proboszczy, żonatych; a i ci, co na miejscu zostać zechcą, będą musieli się żenić (*).

Wieśniak trzeci. Co wy mówicie? — Jużby się był nasz stary proboszcz nie ożenił, a nikt-by go też wypędzić nie śmiał. — Sam nawet król Gustaw szanował go bardzo.

Wieśniak pierwszy. Bo on też dawał schronienie królowi, kiedy ten jeszcze, jako szlachcic szwedzki, tułał się po naszéj prowincyi.

Wieśniak drugi. Nasz kochany stary proboszcz! komuż on odmówił pomocy lub kawałka chleba? O! biada nam sierotom bez niego.

Wieśniak trzeci. Wiécie wy, że Aksel powrócił z wojska?

Wieśniak pierwszy. Pewnoć on tu nie zostanie. Słychać, że był w wielkich łaskach u króla Gustawa.

Wieśniak drugi. Kto tam wiedzieć może! — Aksel do nikogo nie zagada, siedzi w probostwie lub na smętarzu.

Wieśniak trzeci. Patrzcie, patrzcie!... oto idzie do nas... ale nie w mundurze... Ubrał się po naszemu, tak jak przed wojną chodził.

SCENA II.

CI SAMI; AKSEL.

Aksel. Jak się macie, bracia moi? Dawno już z wami nie zakładałem sieci na jeziorach naszych.

Wieśniak pierwszy. Prawda, — od czasu, gdyśmy wyruszyli na wojnę z Gustawem.

Aksel. O! piękne to były czasy! *(do siebie)* czasy wiary i zapału!

(*) Gustaw Waza zaprowadził w całej Szwecyi wyznanie ewangelicko-augsburskie, przy którém Szwecya cała do dziś dnia pozostała.

WIEŚNIAK drugi. Dla was dziś czasy jeszcze piękniejsze Panie oficerze. Nam to jedno... biédę zawsze klepać trzeba, ale wy teraz przy królu, na dworze, w wielkiém mieście.

AKSEL. Już tam nie powrócę... zostanę z wami.

WIEŚNIAK trzeci. A mówią ludzie, że król na was bardzo łaskaw?

AKSEL. Tak; bardzo łaskaw na nas wszystkich, którzyśmy mu wiernie służyli. Żeni z wdowami po ściętych senatorach, które posprowadzał z duńskich więzień... chce robić z nas biédnych żołnierzy, wielkich panów Szwecyi, lecz... dla mnie zanadto tego szczęścia... chcę zostać z wam.

WIEŚNIAK pierwszy. Coś bo, Panie oficerze, zmieniliście się bardzo od owego czasu, kiedyście młodym chłopcem polowali i ryby łowili z nami. Wszakże to jeszcze nie dawno, a wam jakby dwadzieścia lat przybyło.

AKSEL. Smutek, bracie, starzeje (*).

WIEŚNIAK drugi. A! mój Boże! kiedy wam smucić się, toby nam już trzeba oczy wypłakać. Biéda... głód dokucza; a przecież, byle człowiek czasem miał na kieliszek wódki, to i wesół.

AKSEL. Może i teraz napijecie się za moje zdrowie *(Aksel wyjmuje pieniądze; włościanie obstępują go i przyglądają się ciekawie)*

WIEŚNIAK pierwszy. Jaki Pan szczęśliwy, tyle mieć pieniędzy!

WIEŚNIAK drugi. My jeszcze takich nie widzieli.

AKSEL. No, to weźcie sobie ten pieniądz: będziecie mieli za co pić przez cały wieczór.

(*) Summila, którą Aksel kochał, uwielbiała Gustawa Wazę, i wspiérała przedsięwzięcia jego. Wróciwszy do *Suwerdsio*, Aksel nie zastał już Summili; lecz tylko jéj mogiłę.

WIEŚNIAK trzeci *(radośnie)*. Dziękujemy ci, Panie oficerze... Bóg ci zapłać!

WIEŚNIAK piérwszy. Ale wypijemy razem wszyscy... poweselimy się pospołu! zobaczycie, że i o smutku zapomnicie i do Sztokholmu wrócicie, do króla Gustawa, żeby wam dał więcéj takich pięknych pieniędzy.

WIEŚNIAK drugi. A nasz Gustaw dobry i wspaniały!

AKSEL *(z ironią)*. Tak więc wiele zyskaliście, że wasz król zamiast nazywać się Chrystyanem, Gustawem się nazywa?

WIEŚNIAK trzeci. Zawszeć to Szwed, krew nasza. Przypomnimy mu nasze przysługi... dostaniemy jakie przywileje

AKSEL. Potrafi on wam gębę zamknąć.

WIEŚNIAK pierwszy. Oho! zna on nas.

AKSEL. Właśnie téż, że zna, to nie zaniedba ukrócić niezależność waszą. Zresztą może się nie długo czegoś nowego dowiécie... Król tu ma sam zjechać.

WIEŚNIAK drugi. Król!.. kiedy? dla czego?

WIEŚNIAK trzeci. Może to względem téj nowéj wiary.. nie chcemy!

WIEŚNIAK. Ej! bracia!... pamiętacie, żeśmy nigdy źle nie wychodzili, kiedy królowie zjeżdżali do nas. Dawali nam zawsze zakładników, i jeszcze zboża lub soli w podarku przysłali!

WIEŚNIAK. Prawda, prawda!.. dostaniemy pewno podarki jakie. Wszakci to Gustaw nie byłby królem, gdyby nie my! *(do Aksela)* A wy nie wiécie, po co tu król przyjeżdża?

AKSEL. Niewiém... powiedział mi tylko, że będzie w północnych prowincyach i grób opiekuna mego odwiedzi.

WIEŚNIAK pierwszy. Kochany król! dobry król! jak on nas pamieta, jak on wdzięczny względem swych przyjaciół!

WIEŚNIAK czwarty *(wpada zadyszany)*. Wiecie wy! wiecie!.. sam król nadjeżdża i ma w naszéj parafii wypocząć!

WIEŚNIACY *(ciekawi biegną w głąb sceny)*. Co ty mówisz?.. czyżby już dziś miał przyjechać?

WIEŚNIAK czwarty. O tam! patrzcie w prawo! lśnią się ich zbroje, i konie na śniegu czernią! Mówią ludzie, że król sam był u Pani Peterson, aby jéj dziękować, że go od Duńczyków uratowała.

AKSEL. Jéj mąż już siedzi w więzieniach Sztokholmskich.

WIEŚNIACY. Jéj mąż był zdrajcą, a zdrajcom śmierć! *(biegną na drogę, kędy król ma przyjeżdżać)*.

SCENA III.

AKSEL SAM.

AKSEL. Kocham-że ja, czy nienawidzę tego człowieka?... Co za potęga działa przez niego? On całą Szwecyę przeistoczy i pokieruje według woli swéj. Z początku widział tylko naród i szczęście jego; dziś już widzi siebie i wywyższenie swoje. Czyż zawsze tak człowiek nie jest w stanie doprowadzić jednéj myśli do ostatecznego jéj rozwinięcia, aby osobistość niezaślepiła go przed kresem!... Ha!... Ci, co przyjdą po nas, może więcéj zrobić zdołają! *(słychać w dali okrzyki ludu, Aksel spogląda w głąb)*. Gustaw, król! — już nie ten-to Gustaw, co w naszéj parafii szukał schronienia. O! czemuż znaleźliśmy się na jego drodze!

SCENA IV.

GUSTAW ZE SWYM ORSZAKIEM, WIEŚNIACY.
AKSEL *(usuwa się na stronę)*.

GUSTAW *(do starego wieśniaka)*. I dawno już nie żyje wasz proboszcz szanowny?

WIEŚNIAK. Skończył tego samego dnia, jakeśmy się dowiedzieli, że nasi weszli do Sztokholmu.

Gustaw. A siostrzenica jego?

Wieśniak. Umarła nie długo po nim.

Gustaw (*smętnie*). Umarła!... Więc i starzec siwowłosy, i piękne dziecię, co mi tu przytułek i chleb podali, już nie żyją... A niéma temu, jak lat kilka!...

Wieśniak. Summila, od czasu, jak nasi wyszli na wojnę posmutniała bardzo... płakała ciągle, aż wypłakała oczy i duszę.

Gustaw (*rozglądając się*). Poznaję te miejsca... Ten kościołek z kapliczką... ta dzwonnica ciemna, pochylona nad białym śniegiem... ta niziutka strzecha, w któréj zamieszkalcnotliwi... Tu zawisło najmilsze wspomnienie z dni tułactwa mego... Dzielni to byli ludzie, którzy pierwsi wyruszyli z tych stron ze mną na trudy i niebezpieczeństwa wojny (*postrzega Aksela*). Już tu jesteś Akselu, w odzieży krajowéj, bez munduru wojska mego... nie poznałem cię.

Aksel. (*zbliżając się*). Już wypełniłem polecenia Waszéj Królewskiéj Mości. — Wszędzie lud się burzy przeciwko nowym opowiadaczom słowa Bożego, oni téż swojém postępowaniem...

Gustaw (*przerywa mu*). Zostaw na późniéj sprawy państwa: daj wytchnąć mi... dziś cały oddany jestem obowiązkom wdzięczności. Pokażesz mi groby opiekuna twego i narzeczonéj.

Aksel. Narzeczonéj?... (*z goryczą*) Prawda, prawda... była ona narzeczoną serca mego... Wzrastało nas dwoje pod czułem starca okiem; wierzyłem ślepo, że jéj przywiązanie należało mi się, tak, jak ona całe moje posiadała uczucie. Raz człowiek niepospolity zatrzymał się pod naszym dachem. Ona czcią przejęta, padła na kolana przed potęgą, która wyzierała z duszy człowieka tego... uwielbiała i ukochała, a z niskiego zakątka goniąc myślą i sercem za geniuszem, co

wzbijał swój lot na wielkości ziemskich szczyty.. znikła... (*z boleścią*) Jam został!

GUSTAW (*z godnością*). Akselu, wierz mi, niema w tém winy mojéj. Nazwałem ją siostrą; ale...

AKSEL. O! rozumiém, N. Panie. Wasza Królewska Mość nie miałeś nawet czasu obejrzeć się na nią w swym olbrzymim pochodzie. Lecz cóż mi z tego?.. życie jéj uwiędło, a z niém i szczęście moje!

GUSTAW. Akselu, długie żale nie przystoją silnéj duszy.

AKSEL. Jest jakaś nić u serca mego, co mnie wiąże z tą ziemią i z grobami temi... zostanę.

GUSTAW. Szkoda-by mi ciebie było, Akselu. Tyś wybiegł nad wiek, w którym żyjesz — rozwinąłeś się wśród szczęku oręża i ścierania się wielkich pojęć. Wśród lodów północy myśl twoja obudziła się silna i śmiała wprzód, nim zasłyszałeś, jak ludzie przed tobą myśleli. Akademie nie zapiszą w rocznikach swoich imienia twego: lecz znajdzie ono oddźwięk w łonie narodu, z którego wyszło. Powiadam ci, Akselu, tu nie powietrze dla twych zdolności.

AKSEL. N. Panie, od ludzi przyniosłem samą gorycz i boleść; spróbuję... może w téj chatce wrócą mi dawne dni moje.

GUSTAW. A potém powrócisz do mnie, Akselu. Ja nie zapomniałem, żeś ty pierwszy stanął przy mnie, jak ja w mój zawód się puszczałem... nie zapomniałem opiekuna twego, i na długie lata chcę zostawić pamiątkę cnót jego i wdzięczności mojéj. (*obracając się do zgromadzonego w głębi ludu*) Dzieci! pójdziemy wszyscy pomodlić się za waszego zmarłego proboszcza.

WIEŚNIACY. Modlimy się ciągle i płaczemy, N. Panie... on ojcem naszym był.

GUSTAW. Ta pochwała w ustach waszych jest jego najpiękniejszą mową pogrzebową. On i mnie był ojcem... jego

błogosławieństwo zaczęło powodzenie moje. Tam oto w téj kapliczce jadłem wasz gruby chléb, jego dobroczynną podany ręką. Dla wspomnienia tych chwil, które nigdy w pamięci mojéj nie wygasną, zawiesimy tu na dzwonnicy wieniec złocony. Wam poruczam pieczę nad tym pomnikiem wdzięczności mojéj i czci dla cnotliwego.

WIEŚNIACY. Trwalsza nad złote pomniki zostanie pamięć w sercach naszych.

GUSTAW. Obym tyle łez mógł oszczędzić poddanym moim, ile on ich otrzeć potrafił w swym szczupłym zakresie.

WIEŚNIACY. Niech żyje Gustaw król, który ojcem naszym będzie.

AKSEL. Chwała ci, królu, który umiész uczcić człowieka.

WIEŚNIACY (*chórem*). Niech żyje Gustaw I.!!

(*Król wraz z dworem i ludem udaje się ku kościołowi*).

(Zasłona spada).

OSTATNIA MYŚL.

Przy schyłku życia jedna myśl, jedno uczucie zajmuje człowieka: czy się co na tym świecie uczyniło takiego, z czém-by można przejść na inny po wieczną nagrodę?

Widziałam śmierć nędzarza, który życie pędził w występku, a nim zawarł powieki, z rozrzewnieniem i nadzieją błagał miłosierdzia boskiego, mówiąc słabym już głosem: „Bóg przebaczy mi zbrodnie moje, gdyż miałem szczęście „przed ostatnią chorobą moją, zwrócić dwie istoty z drogi „nędzy i poniżenia, opowiadając z pokorą i żalem życie moje. „Raz więc choć w życiu nie ominąłem sposobności być u„żytecznym bliźniemu, i kiedy wszystko z oczu i z serca „znika, ta jedna chwila świéci, jak gwiazdka, wśród głębo„kiéj nocy.“

Paulina Rościszewska.

STANISŁAWOWI JACHOWICZOWI.

Jeszcze jeden listeczek! listeczek ten mały,
Przyjm, ulubiony piewco, do wieńca Twéj chwały.
Prawda, listek ubogi, bez barwy, bez woni,
Ależ go tam nie jeden kwiat piękny osłoni.
Jam go też na swych piersiach tak troskliwie nosił,
Własném czuciem ożywiał, łzą przyjaźni rosił,
Abym Ci go wraz z sercem dziś złożył w ofierze:
Wszakże go weźmiesz mile, jak go daję szczerze.

Królikarnia.

Tymoteusz Rodziszewski

PTASZKI.

Z chciwości czyli igraszki
Ubiegały się dwa ptaszki:
Który z nich wprzódy doleci
Do pięknego ziarna w sieci?
Każdy z nich pędził zajadły....
I *oba* razem w sieć wpadły.

Tymoteusz Rodziszewski.

TEGOCZESNY KONKURRENT.

(WYJĄTEK),

Nie chce on znać *poświęcenia:*
Bez *majątku* nie ocenia;
I *znieść* nie rad *nic* dla ciebie;
Bo nad wszystko, kocha *siebie.*

Szczęście mu stanowią *włości*;
Duma, chciwości w sercu gości,
I więcéj ceni *szkatułę*,
Aniżeli *serce* czułe!

D. K.

TOPOLA.

„Lubię, ojcze, tę topolę,
Co wyniosło w niebo strzela:
Stoi, jak zręczne pacholę
Do rozkazu lub wesela.
Lubię w masztowe szpalery
Topol gdy sznurem stawiana:
To jak w rocie grenadyery,
Lub majowa twierdzy ściana.“ —

— „Synu! nie łudź się pozorem,
Zwierzchniéj ozdoby nie chwytaj:
Luba piękność; *mędrca* wzorem
O *wewnętrzną* wartość pytaj!
Niesie wieść, że dumna Bona
Włoską topol w Polskę wniosła;
Pamięć *ziemi*, gdzie zrodzona,
Z piętnem dumy wskroś się zrosła:
Topol, jak pan z wzniosłém czołem,
Hardém okiem w górę strzela;
Niższéj braci *gardzi* kołem,
A *skąpo* cienia udziela.
Pszczółek nie znęci bez kwiecia,

Owocu na niéj nie zoczy,
Drzewo liche do użycia;
Bo je liczny *robak* toczy,
Pan topolą drogi znaczy,
W parkach swoich z niéj korzysta;
U *chłopka* jéj nie zobaczy,
Bo mu *obca*, — nie *ojczysta*!

— **b** —

M y ś l i.

Kolébka i trumna, — dwie ostateczności, granice życia ludzkiego. Obie z jednego drzewa, przez jednego stolarza zrobione. A deski, z których on zrobił leże niemowlęctwa, mogły od jego upodobania zostać użyte na *ostatnie* schronienie. Kolébka i trumna — są przybytkiem pokoju i zapomnienia... Kolébka i trumna są w ścisłém ze sobą powinowactwie... Życie ludzkie upływa między kolébką a trumną, jak rzeka od swego źródła aż do ujścia. Jednych życie płynie zwolna, cicho, spokojnie; drugich szybko, z łoskotem, wzburzone. Jednych życie płynie dłużéj, drugich krócéj, a jednak i pierwsi i drudzy 'staną kiedyś u mety, którą im naznaczyła Opatrzność.

Jan z Dukli **L....r.**

Prawda.

Prawda jedna jest tylko pewna, niemylna: ta, która od Boga pochodzi, o któréj Chrystus dał nam świadectwo i pozostawił ją nam w świętéj ewangelii; wszystko inne na świecie, fałsz lub próżność, błyskotka równie trwała, jak bańka na wodzie.

Jan Sejdlitz.

OFIARA ZŁOTNIKA.

STANISŁAWOWI JACHOWICZOWI

ZE CZCIĄ SKŁADA

Adam Pług.

Żył gdzieś pobożny młodzieniec przed laty,
Co służąc ludziom rzemiosłem złotniczem,
W mienie ubogi, był wielce bogaty
Czystością serca przed Pańskiem obliczem.
Dni całe w znoju u swego warsztata
Z piosenką świętą, z jasną myślą w niebie,
Co jeno zdobył, w bliźnim znając brata
Wszystko z nim dzielił w dotkliwej potrzebie.
Nie skąpił grosza, i nie skąpił siły,
Ni dobrej rady, ni z serca otuchy;
A w biedzie, w trudzie, chléb swój jedząc suchy,
I Panu Bogu, i ludziom był miły.
Raz wojewoda jeden bogobojny
Ołtarzom Pańskim na serdeczne wota
Zlecił mu ukuć krzyż wielki ze złota,
W przecudne perły i klejnoty strojny.
Z modlitwą młodzian do dzieła się bierze,
Bo dziwna rzewność duszę mu przenika,
Bo rad tej pięknéj, wspaniałéj ofierze,
I błogosławi, kocha ofiarnika.

I szczérą pracą i piękną robotą.
Radby i dawcę uczcić i cel święty:
I biorąc w ręce ciężką bryłę złotą
Rzecze w swéj duszy, żałością przejęty:
„O! Chryste Panie! na Twoje ołtarze
„Dar taki świetny, taki cenny idzie!
„I ja Cię wielbię; ale w mojéj biedzie
„Czémże, prócz serca, hołd Ci mój okażę?
„*Wszystko*, co dała szczéra moja praca,
„Ledwie wystarczy na krzyżyk drewniany!
„Lecz i *tém* uczczę największe Twe rany!
„Od Ciebie wziąłem, niech do Ciebie wraca!
„Do *tego* krzyża cały skarb swój włożę,
„Zniknie bez śladu to w jego budowie;
„Lecz dar ten lichy Ty ujrzysz, o! Boże!
„Przyjmiesz, jak niegdyś dwa szelążki wdowie."
I tak uczynił, i swój zasób cały,
Złota bryłeczkę, jak grochowe ziarno,
Przydał, i chęcią poświęcił ofiarną
Ku pomnożeniu Chrystusowéj chwały.

A gdy z robotą szedł do wojewody,
Gdy ów starannie krzyż piękny przeważy;
Gniew mu zabłyśnie w źrenicy i twarzy,
Na jawne niby szalbierstwa dowody.
Bo widząc *więcéj*, niźli dał, na szali,
Mniema, że złoto w pokuszenie wwiodło,
I że je młodzian skaził miedzią podłą,
By w niém ubytku ludzie nie poznali.
I nuż go gromić i straszyć siepaczem
I na swe sługi wołać, sędzia srogi!...
A biedny młodzian padnie mu pod nogi,
Swéj niewinności broniąc rzewnym płaczem.

„O! Panie dobry! o! mój miłosierny!
„Czyste tam złoto, jak czyste me chęci!
„Lecz gdy pobożność Twoja Bogu święci
„Krzyż ten wspaniały, jam pragnął, mizerny,
„By z nim i moja cząstka szła w ofierze,
„Bym się zasłużył z Tobą Chrystusowi,
„I krzynkę złota przydałem w téj wierze,
„Iż Bóg ją przyjmie, jako szeląg wdowi." —
—„Prawdaż-to, synu?"—„Prawda, jak Bóg Bogiem!"—
Więc się pan dobry złagodzi, rozczuli;
Więc go podniesie, do serca przytuli,
I ucałuje w rozrzewnieniu błogiem,
I rzecze słodko: —„Też gdy w bożéj chwale
„Pragnąłeś udział mieć ze mną tam w niebie,
„Miejże me serce i mienie w udziale,
„Bądź *synem* moim!" — I wziął go do siebie.

O zacny Mężu! kiedy naród wszystek
Na Twoje skronie, którym długie lata
Zasług-koroną, świetny wieniec splata,
Gdy każdy śpieszy przydać doń swój listek, —
Kiedy przez Ciebie tak wszyscy w zawody
Niosą ofiarę czci na ołtarz cnoty, —
Ty mi się widzisz na kształt *wojewody*,
Co krzyż ów Bogu ofiarował złoty.
Patrzę nań w rzewnéj radości, a smętny,
Bo jego widok wabi mnie i nęci;
Bo gdy tak piękna ofiara się święci,
Mamże sam jeden zostać obojętny?
O! nie brak chęci, nie brak dobréj woli,
Lecz jam ubogi, jam złotnik w legendzie!
Co mam, niech z wielkim darem się zespoli,
Niechaj przed Bogiem wdowim groszem będzie!

I na Twéj szali ta drobna okrucha
Niech szczéro-złotém ziarenkiem zaważy!
Niech dar serdeczny Twe serce mi zdarzy
I Ty mię nazwij swoim *synem z ducha!*

Potok, pod Winnicą, na Podolu.

TOMASZOWA.

OBRAZKI Z ŻYCIA WIEJSKIÉJ PIASTUNKI.

(POCZĄTEK).

Czy zbiéram kłosy, czy ziarno sieję,
Czy grabię ziarno do stogu,
Czy słońce świeci, czy słota leje,
Pracą za wszystko dziękuję Bogu.

„Pacierz," legenda A. E. Odyńca.

Piękne-to było lato w 1845 roku, prześliczne dla wielu; lecz smutne i bolesnemi wypadki brzemienne dla licznych powiślańskich rodzin; wystawcie sobie bowiem, kochani czytelnicy, jeżeliście nie widzieli, ów z jednéj strony wspaniały dla oka, a z drugiéj boleścią przejmujący serce, widok wylewu Wisły, jakiego ówcześnie od dawnych lat nie pamiętano. Tu, gdzie przed chwilą widziałeś bujną trawą okryte łąki, gdzie zboża kłosiły się ponętnie, miłe dla rolnika zwiastując nadzieje, gdzie wreszcie obok starannie utrzymywanego domostwa niemieckiego kolonisty, drzewa i kwiaty pięknie przemawiały do ciebie, teraz nic więcéj nie ujrzysz, nad obszerne wody, w pośród których gdzieniegdzie zasterczy swym wierzchołkiem nadwiślańska topola, lub ukaże się z da-

leka nad powierzchnią wody obielony komin przez ludzi opuszczonéj siedziby. Wszędzie cicho, tylko niekiedy szum rozhukanych bałwanów zmięsza się z płaczem matki, która przez powódź utraciła swego jedynaka! O! jakże to boleśnie!.. Było-to, pamiętam, w piérwszéj połowie Lipca, kiedy szesnastoletni młodzieniec ze szkół do domu rodzicielskiego przybyłem na wakacye. Na pierwszy zaraz odgłos, że Wisła, dotąd spokojna, wystąpiwszy z koryta szeroko i coraz daléj zapuszcza swe niszcząco-wodne zagony, jako Powiślanin, jako człowiek, chciałem powiedzieć młodzieniec pełen zapału i pojęcia dobra ogólnego, wraz z starszymi braćmi i kilku współtowarzyszami młodości, udaliśmy się na miejsce zniszczenia; boleść matki uderzyła w dziecinne serca nasze, i my przed chwilą rozprawiający o prawach towarzyskich człowieka, popierający swe zdania zachodnich filozofów hipotezami, jednomyślnie jako dzieci poczciwéj północy, rzuciliśmy się do czółna i z opuszczonéj chałupy, szczęśliwie wydostawszy dziecię, ukoiliśmy rozpacz matki, tak niedawno zanoszącéj swe skargi w niebiosa... Szlachetną dumą niesienia pomocy nieszczęśliwym powodowani, idziemy daléj i nagle zastanawia uwagę naszą zebrana gromadka ludu, a pośród niéj kobiéta, prosta córa wioski, rozdaje za ostatnią, z potem czoła zebraną i zaoszczędzoną sumkę zakupione dla mieszkańców, powodzią dotkiętych, niezbędne piérwszych potrzeb życia przedmioty. To była znana w okolicy.... Tomaszowa, co przed chwilą również z narażeniem życia, na wątłéj łódce niosła pomoc ginącym: i ot! macie piérwszy obrazek z życia wiejskiéj piastunki.

Adam Mieczyński.

OJCU SIÉROT POLSKICH, PRZYJACIELOWI DZIECI.

Mężu! coś Polsce oddał przeważne usługi,
Pozyskał miłość, wdzięczność, sławę, uwielbienie,
Oby Bóg Twoje życie przedłużył w wiek długi:
A spełniając narodu powszechne życzenie,
Dozwolił Ci oglądać pracy Twojéj plony
W towarzystwie Twych dzieci i cnotliwéj żony.

Ferdynand *Dienheim* **Chotomski.**

CZWARTY AKT TRAGEDYI
Voltair'a
SIÉROTA CHIŃSKI.

Przekład Franciszka Odrowąż Wilkońskiego.

OSOBY.

Czyngis-Han, césarz Tartaryi.
Oktar, wojownik tatarski.
Zamti, mandaryn uczony.
Idama, jego żona.
Assela, poufała Idamy.

Rzecz dzieje się w pałacu mandarynów, położonym obok pałacu cesarskiego, w mieście Kambalu, dzisiejszym Pekinie.

(Temuczyn, Scyta, przybyły jako tułacz do Chin, pokochał Idamę, ale rodzice jéj odmówili mu jéj ręki. Wzgardzony, wraca do swoich, gromadzi hordy barbarzyńskie, i jako Czyngis-Han rozpoczyna olbrzymie podboje Zniszczywszy, spaliwszy, zrabowawszy Chiny, napada stolicę césarza chińskiego. Cała rodzina césarska ginie od miecza. Jedno tylko niemowlę ocalone. Jest-to

syn césarski, którego konający césarz powierza opiece mandaryna Zamtego. Zamti ukrywa sierotę chińskiego za miastem. Ale sam będąc otoczony przez zwycięzką hordę w swoim pałacu i zmuszony wydać im niemowlę, wydaje im własnego syna, również w niemowlęcym wieku będącego. To poświęcenie się ojca, przechodzi siły matki. Idama, małżonka Zamtego; przyznaje się do pojmanego dziécięcia. Mąż jej przeciwnie obstaje przy tém, że to syn césarza. W wątpliwości oboje stawieni są przed Czyngis-Hanem, który Idamę poznaje, i w którym dawna miłość obudza się z całą gwałtownością).

AKT IV.

Scena 1.

CZYNGIS, — ORSZAK WOJOWNIKÓW TATARSKICH.

Czyngis (do siebie).

Tak tedy wolność, pokój, co spoczynek goni,
Jedyny cel prac moich, na zawsze mię stroni?
Nie mogę przyjść do siebie. Od dzisiaj zaczynam
Czuć ciężar smutnéj władzy, pod którą się zginam.
Wyglądałem Idamy; nie widzę w około,
Jak natrętnych dowódzców, co dręczą me czoło.
(do orszaku).
Idźcie! gdzie u stóp murów waleczność was woła,
Niech zuchwały Korejczyk napaść nas nie zdoła.
Ogłosili césarzem nieszczęśliwe dziecię;
Lecz z głową jego w ręku, pójdę na nich przecię.
Po raz ostatni: Zamti, niech wyda ofiarę!
Nazbyt długo przewlokłem tego dziecka karę.
Idźcie!
(wychodzą; sam daléj).
Okrutne trudy z mym losem złączone,
Srogo dręczą me zmysły w inny cel zwrócone.
Ten lud trzymać na wodzy, zwycięzców prowadzić,
Przewidzieć, co mi grozi, tajne spiski gładzić,
Jakże tajemnie serce dręczone przygniata!
Ach! byłem zbyt szczęśliwy, nieznany od świata!

Scena 2.

CZYNGIS, OKTAR.

Czyngis.

Ha! w czémże mandaryna dzikiego trwa dusza?

Oktar.

Szacunku nie pojmuje, postrach go nie wzrusza.
Rumieniąc się, me serce twe słowa odkryło
Temu, którego lepiéj zabić trzeba było.
Zbyt obojętném okiem swe męki uważa,
Imiona, powinności wiary swéj powtarza;
Zbyt urąga zwycięstwu, i powstanie wrżawa,
Że on sam, nam tu jeden swe dyktuje prawa.
Zawstydź upartéj pary, myśl i chęć daremną,
Nie poniżaj się wcale, pogardź niewzajemną!
Odwróć oczy, zbrodniarze niech wyzioną ducha,
Co śmieją ci urągać, gdy ziemia cię słucha!

Czyngis.

Nie, me zmysły zdumienia stłumić nie zdołają.
Któż są ludzie, co szczęściem mojém tu władają?
Jakież-to są uczucia, które w naszéj ziemi
Oczom i duszy naszéj zostały obcemi?
Jeden gwałcąc naturę, za króla, już w grobie,
Własnego daje syna, tłumiąc boleść w sobie?
Druga za swego męża życie swoje złoży?
Nic ich ugiąć nie może i nic ich nie trwoży?
Co mówię? kiedy zwracam wzrok myślą ugięty,
Na ten naród zniszczony, w pęta me ujęty,
Mimowoli go wielbię, dając mu kajdany.
Widzę, że jego pracą świat jest wykształcany,
Widzę odwieczną ziemię przemysłem kwitnącą,

Władzę królów, w mądrości berło gruntującą.
Prawodawcy szczęśliwi, nad sąsiady swemi,
Bez podbojów, nauką swoją rządzą niemi.
Niebo nam tylko siłę w udziale dziś dało,
Sztuką naszą jest wojna, niszczyć naszą chwałą.
Ach! do czegóż mi służy ogrom szczęścia mego!
Jakiż owoc uzbiéram z łez świata całego?
Krwią znaczemy zwycięstwa i tryumfu prawa,
Być może? inna jeszcze znajduje się sława?
Serce z zazdrością cnót ich potajemnie łaknie,
I zwycięzca wyrównać zwyciężonym pragnie.

Oktar.

Możesz-że tego ludu podziwiać słabości?
Cóż znaczą słabe sztuki tych dzieci miękkości?
Los ich z kajdan i śmierci, jest-że ocalony?
Słaby jest mocniejszemu służyć przeznaczony.
Wszystko znika na świecie przed męztwa dziełami.
Dzisiaj zaś, ty sam nikniesz z wrogów obelgami.
Sam nadstawiasz swe dłonie, mimo krwi co płynie,
Kajdanom, jakie w naszéj nieznane krainie,
I sam siebie narażasz na skargę zuchwałą,
Tych, których męstwo, szczęście i sławę ci dało.
Towarzysze dzieł twoich, sławni walecznością,
Ujrząż tyle zaszczytów zgładzonych miłością?
To obraża ich serca, czoła wstyd okrywa,
Do ciebie przez me usta głos ich się odzywa;
I w imieniu ich, kraju, prawdę ci powierza.
Panie! wybacz Tatarom, wytłumacz żołnierza
Osiwiałego w zbroi pod twymi rozkazy,
Co nie może znieść dziwactw miłości, twéj skazy,
Co zaślepionym oczom twym sławę wskazuje.

Czyngis.

Niech szukają Idamy!

Oktar.

Ty chcesz...

Czyngis.

Rozkazuję!
Grubijańska gorliwość niech w tobie nie kwili,
Chcę, by moi poddani słabość moją czcili!

(Oktar wychodzi)

Scena 3.

Czyngis (sam).

Trudno mi walczyć z losem; nie oprę się. Nieba!
Wy-to mi ją dajecie, czyliż wątpić trzeba?
W méj najwyższéj wielkości, jakiż czyn znajduję?
Czyniłem nieszczęśliwych, sam się dziś nim czuję.
A w pośród tych śmiertelnych, złączonych z mym tronem,
Chciwych walk, szafujących i krwią swą i zgonem,
Czyliż kiedy choć jeden serce moje wzruszył? —
I udręczonéj duszy zgryzoty rozprószył?
Tyle krajów podbitych serceż me zajęło?
Serce tém zmordowane ułudy pragnęło,
Która noc ciemnych nudów swym blaskiem przygniata,
Jedna może pocieszyć mię na tronie świata.
Swemi nędznemi rady Oktar mię poduszcza,
Wojsko me w moich oczach, dziś, to krwawa tłuszcza,
Poczwary wymorzone i zabójcy wściekli,
Wyćwiczeni do zbrodni i w zniszczeniu biegli.
Los mi ich nie do dworu, lecz do wojny daje,
Ze zgrozą ich przyjmuję, gdy miłość poznaję.
Niechaj walczą podemną! niech giną w méj świcie!
Lecz się nie ośmielają śledzić moje życie!
Idama nie przychodzi.

(spostrzegając ją)

Ach! widzę ją, ona!

Scena 4.

CZYNGIS — IDAMA — ASSELA (opodal).

Idama.

Co! chcesz-że jeszcze ssączyć mojej trwogi grona?
Ach! Panie! racz oszczędzać kobiety i matki;
Nie rumieniż cię gnębić mych nieszczęść ostatki?

Czyngis.

Przestań. Niech cię nie ściga myśl przestrachów trwożna.
Twój mąż niech się ich lęka! przebaczyć mu można.
Już serce moje zemstę zawiesić kazało,
Dla ciebie jednéj tylko łaskawość poznało.
Być może, łaska niebios swój rozkaz jednoczy,
Z szczęściem mojém, co przed twe przywiodło mię oczy.
Być może, przeznaczenie dało ci się zrodzić,
Aby ujarzmić pana, srogość mą złagodzić,
Ugiąć zwycięzcę świata, zmiękczyć obyczaje,
Jakie los w moich krajach wraz z życiem nam daje.
Sądzę, że mię pojmujesz. Panuję, wzajemną
Podzielić możesz władzę nad światem, nademną!
Rozwodu, prawa moje ułatwią działanie,
Zwycięzca świata twoim poddanym zostanie.
Jeżeli doń twe serce czuje pociąg słaby,
Korona łzy osuszy, tron ma swe powaby.
Interes twéj ojczyzny, twych braci, ołtarzy,
Nagli nas, własném szczęściem związek ten kojarzy.
Mowa ta bez wątpienia zadziwia cię, pani,
Zniszczyciel królów twoich przynosi ci w dani
Na szczątkach tronów świata, zdeptanych w popiele,
Zapomniany od ciebie, — miłość i wesele!
Lecz, dowiedz się, Idamo, wiarę twą zwiedzioną,
Niegodny rywal ujął mocą przywłaszczoną.

Los, dla zwycięzcy rodu ludzkiego ją chroni.
Nie ja, ale z dwudziestu berłami dziś w dłoni,
Temuczyn w twe, Idamo, powraca objęcie,
I twojéj się miłości dopomina święcie.
Spuszczasz swoje spojrzenia, czegóż więc, o! nieba!
W twych pomięszanych oczach szukać mi potrzeba?
Zapomnij mojéj władzy, i dumy i sławy,
Zważ spokojnie swe myśli, i mów bez obawy.

Idama.

Nie taję, nie zamilczę, że w téj losu zmianie,
W téj kolei mych nieszczęść zdumiewasz mię, Panie.
Chcę, o ile być może, przyjść sama do siebie,
I jeżeli odpowiém, również zdziwię ciebie.
Pamiętasz czas nieznane życie twe kryjący,
I twój los tak wyniosły troskliwie milczący.
Daleki przekleństw świata, Temuczyn w ustroni,
Nie miał berła, korony, i świata w swéj dłoni,
Oddał mi swoją rękę; dowiedz się, Idama
Tę czystą wówczas rękę przyjęłaby sama.

Czyngis.

Nieba! i cóż wyrzekłaś? — Kochałaś mię! Nieba! —
Ty! Idamo? —

Idama.

Ponieważ wyznać ci to trzeba:
Me serce dosyć twoje życzenie ujęło,
I wówczas szczérze złączyć się z tobą pragnęło.
Ale mądrzy śmiertelni, co mi życie dali,
Inny bieg powinności mojéj nakazali.
Naszych rodziców miłość i władzę znasz razem,
Boga, którego wielbię, są oni obrazem,
Słuchamy w każdym czasie i wieku ich głosu.
To państwo, co zginęło z przeznaczenia losu,

Państwo, co nieśmiertelném być winno i miało,
Tak na prawie ojczystém gruntowane stało,
Jak na wierze małżeńskiéj, honoru, słuszności,
Świętém przysiąg spełnianiu i ich powinności.
Jeżeli los go rzucił twéj szczęśliwéj zbrodni,
Ducha, który go żywił, nie zgasił pochodni.
Twój los jest już zmieniony, mój nim być nie może.

Czyngis.

Co! i ty mię kochałaś? Ach! Idamo! Boże!

Idama.

Powinieneś więc poznać, że to powód nowy
Do przyjęcia odemnie dziś wiecznéj odmowy.
Małżeństwo moje niebios złączyło działanie,
Mąż mój jest dla mnie świętym; powiem więcéj, panie,
Kocham go! i przenoszę w téj smutnéj potrzebie
Nad tron i twoją wielkość, i samego ciebie!
Wybacz memu wyznaniu, szanuj nasze prawa,
Nie myśl, że mię zbyt próżna omamiła sława,
Odnieść tryumf nad tobą, urągać wielkości,
Własnéj przez to jedynie dogodzić próżności.
Spełniając mą powinność, bez żalu, frasunku,
Sobie saméj oddaję winną cześć szacunku.
Ja nie czuję wartości podobnéj ofiary,
Gdzieindziéj mi składane racz ponieść swe dary,
Racz odepchnąć to serce, co wzgardziło niemi,
Że cię trudzić Idama musi prośby swemi,
Błagam cię! nie racz wzgardzić świeżą prośbą w gniewie,
Niechaj o téj ofiarze małżonek mój nie wie.
Słaby tryumf mu bowiem byłby mniéj pochlebny,
Jak cios mojéj wierności zadany haniebny.

Czyngis.

On zna moje uczucia, do nich się stósować
Musi, jeżeli życie swe pragnie zachować.

Idama.

On do tego nie zdolny. — A gdyby zaś, Panie,
Szlachetnym czuciom boleść zniosła obłąkanie,
I dusza zwyciężona gdyby uledz miała,
Moja wiara, powinność wesprzéć-by umiała
Chwiejący krok, co sercu jego by zagrażał,
Wskazując mu małżeństwo, jakieby znieważał.

Czyngis.

Boże! temu co słyszę, ledwie wiarę daję!
Co! gdy sam przeciw tobie występnym się staje,
Wtedy gdy barbarzyńcy okrucieństwo snuje,
Wydzierając ci syna na śmierć go skazuje?

Idama.

Panie! szanuję cnotę jego do ostatka,
On działa jak bohatér, ja tylko jak matka.
I jeżeli niesłusznie żal mogłam zgromadzić,
Dosyć siebie szanuję, aby go nie zdradzić.

Czyngis.

Wszystko w tobie mię zdumia, znosi mi zniewagi,
I z niechęcią uwielbiam ten zbytek odwagi.
Oporem miłość moją stokrotnie podwajasz,
Zapalasz moje serce, podbijasz, upajasz,
Lękaj się mię! pamiętaj, że mimo słabości,
Wściekłość moja przejść może granice tkliwości!

Idama.

Wiém, że wszystko pod twemi ciosy tu drży, ginie:
Moc prawa jeszcze żyje, po nad tobą słynie!

Czyngis.

Prawa? niémasz go więcéj! — Jakiż błąd zuchwały
Śmie go nieść przeciw losom, co mię tu zesłały?
Tu wszystko prawo tylko serca mego chwyta,

Prawo waszego władcy, zwycięzcy i Scyta.
Prawa, które wspominasz fatalne mi były
Wówczas, gdy nasze serca uczucia łączyły
(Bo wierzyć temu muszę, mimo twéj srogości).
Gdy nas wszystko łączyło, tu, w chwilach równości,
Prawa te, potępione przez moje przekleństwo,
Nakazały mą hańbę a twoje małżeństwo.
Dziś je niszczę, nie będę ich ciężaru znosić,
Niémasz ich, mówię, Pani, ja tak chcę! to dosyć! —
A ty, zechciéj rozpoznać władzę moją słuszną,
I naśladuj świat cały, Pani, bądź posłuszną!
Zwyczaj, którym się chełpisz, obyczaje dziwne,
Są zbrodnią w moich oczach, gdy są mi przeciwne.
Wydałem już rozkazy, nie dam szydzić z siebie,
Twój mąż wydać mi musi cesarza i ciebie!
Pomyśl, co zemstę srogą rozbroi i zmieni,
Pana, który kochając, kochać się rumieni.

(odchodzi).

Scena 5.

IDAMA — ASSELA.

Idama.

Trzebaż więc wybrać hańbę albo śmierć dni waszych?
Życia mego półowo! i krwi królów naszych!
Drogi mężu! w twych rękach gdy los twój piastuję,
Głos mój dziś bez wahania na śmierć cię skazuję.

Assela.

Ach! raczéj najwyższego państwa dąż potrzebą,
Które z cnotą, z wdziękami, łączy same niebo.
Chwyć władzę zginającą okrutnego Scyta,
Pod te prawa rozumu, co w twych oczach czyta.
Z dawna głaskać gniew jego będąc przyuczoną,
Czegóż byś nie zdołała, gdy jesteś wielbioną?

Idama.

To w mojém położeniu są najsroższe ciosy.

Assela.

Ty sama słodziłabyś zwyciężonych losy.
Niebo, w srogiém nieszczęściu, które nas ugniata,
Przez ciebie się opiéra tyranowi świata.
Tyle razy widziałaś w nim wściekłe zwycięstwo,
W twych oczach swoją srogość topiące i męstwo.
Stokroć męża mógł zabić, rywalem się brzydzi,
A przecież Zamti żyje, łubo z niego szydzi.
Tobie on winien życie, tobie-to, kochanéj;
Z objęć twoich, przez ciebie, nie został porwany.
Ciebie-to w nim szanują. Zwycięzca w wawrzynach
Lęka się ciebie zranić na świata ruinach.
Nakoniec, w tych tu miejscach, wspomnij sobie, Pani,
Najpiérwszy uczuł, jak twe oko serce rani,
I czystą wasza miłość gorzała pochodnią.

Idama.

Przestań! niéma jéj więcéj; tak myśleć jest zbrodnią! —

Scena 6.

ZAMTI, — IDAMA, — ASSELA.

Idama.

Ach! udręczoną jeszcze rozpaczą daremną,
Możesz-że zwać mię żoną i widzieć się ze mną?

Zamti.

Tak. Chcą tego. Szaleństwo władcy, niszczyciela,
Téj chwili, droga żono, jeszcze mi udziela.

Idama.

Powiedzianoż ci cenę? kosztem jakiéj cnoty
Tyran raczy ocalić dni twe i siéroty?

Zamti.

Nie wspominaj o moich, nie mówmy o sobie,
Obywatel nic niéma, gdy ojczyzna w grobie.
Idamo, z swéj pamięci nie mogłaś oddalić,
Że naszą powinnością jest króla ocalić.
Jemu winniśmy życie, byt, co nasz los słodził,
Wszystko aż do krwi syna, który się dlań zrodził.
Honor zaś jest własnością każdego człowieka.
Jednakże tę królewską sierotę śmierć czeka:
Zabiegi me zamknęły go w pieczar schronienie,
Gdzie królowie swych przodków szanowali cienie;
Śmierć, jeżeli się spóźnię, pożre go tam z niemi.
Daremnie Korejczyków książe z hufcy swemi
Czeka, wspaniałomyślny, drogiego zakładu;
Etan, którego dłonie niezmazane zdradą
Strzegły go, — tak jak i ja, w pętach jęczy przecie.
Ty dziś jedna sierocie zostajesz na świecie!
Niech dłoń twoja sieroty wybawienie kończy,
Syn twój i sława z moim honorem się łączy.

Idama.

Rozkaż! co chcesz? cóż trzeba? Ach...

Zamti.

Zapomnieć o mnie:
Żyć dla kraju, wszystko mu poświęcić niezłomnie.
Śmierć, co zgasi małżeństwa naszego płomienie,
Z woli niebios ci daje świeże przeznaczenie.
Nie mamy innych starań, ni prawa innego;
Nawet honor być wierną cieniom męża twego
Nie przyniósłby ci sławy większéj, ni piękniejszéj.
Zostać wierną ojczyznie! chce twój los dzisiejszy,
Zostać wierną krajowi! Tém królów rozkazy
Spełnimy jak należy, bez plamy i skazy.

Dałem im mego syna. Niech *większa* ofiara:
Ty, żono! po niéj śmierci, okuje Tatara!
Przygaś na moim grobie grom jego ze szczętem.
Dając cię w jego dłonie, śmierć widzę ze wstrętem,
Serce moje, bezbożną drżąc ofiarę snuje, —
Honor mój ją oczyszcza, śmierć odpokutuje.
Potrzeba obowiązek ten straszny przytula:
Idamo! zostań matką nieszczęsnego króla!
Panuj! niech król twój żyje! mąż zginie w mogile!
Panuj! tym kosztem mówię, tak chcę!...
(chce odejść).

Idama (*zatrzymując go*).

Mężu! chwilę!
Znasz-że mię? — chcesz więc, aby wielkość wraz z swobodą
Méj hańby i krwi twojéj została nagrodą?
Sądzisz-że więc, że jestem mniej żoną, jak matką?
Okrutny! zwodzisz siebie. Twoją cnotą rzadką
Dwie zbrodnie na dniu jednym popełniasz ponure,
Obie dreszczem przejmują miłość i naturę!
Barbarzyńcze! nad synem i nademną samą!
Wiesz-że, że ciebie kocham? i kto jest Idamą?

Posłuchaj, w naszych troskach nadzieję piękniejszą,
I drogę do grobowca widzę szlachetniejszą:
Z pogardy, czy z miłości, co serce obraża,
Tyran na moje kroki zupełnie nie zważa.
W pośród dymiących ruin, co krwią są zlanemi,
Jestem wolną, i kroki moje są wolnemi...
Dowódzca Korejczyków stanie nieco zdala
Tych grobów, gdzie twa zręczność sierotę ocala.
Z tych świętych pieczar wszędzie znam ścieżek ukrycie,
Biegnę tam; ożywiwszy gasnące w niéj życie,
Sierotę w mych objęciach czujnemi zabiegi

W waleczne Korejczyków uniosę szeregi,
Jak dar Boga, co jego zajmuje się sprawą.
Potém, zginiemy wszyscy: znam to; lecz ze sławą.
Nieśmiertelność do swego przytuli nas łona,
Wielkiemi nasze światu przekaże imiona! —
Osądź więc teraz, mężu, z twéj małżonki ducha,
Czy jéj serce zna ciebie? czy twych nauk słucha?

Zamti.

Ty ją natchnąłeś, Boże! wspieraj jéj zamiary!
Idamo! twoja cnota, méj niszczy ofiary.
Zasłużyłaś, by nieba, gojąc nieszczęść bliznę,
Przez ciebie ocaliły króla i ojczyznę!

POŻEGNANIE WŁOCH.

(Z LAMARTIN'A).

Bądź mi zdrowa, Italio! Bądź zdrowa na długo!
Wczoraj królowo świata — dzisiaj świata sługo!
Ziemio przeszłości! żaden urok nie zatrzyma
Wśród modrych twych pagórków błędnego pielgrzyma.
Gdy przejrzał twoje groby, zmierzył twe zwaliska,
Z popiołów wpół zatarte odgrzebał nazwiska,
Daremnie się obraca do żyjących ludzi. —
Wszystko śpi — snem, z którego nawet jęk nie budzi...
Śpisz, Italio, gdy w potu krwawego purpurze
Świat czuwa, jako Chrystus na Oliwnéj górze; —

Śpisz, a Scyta i Breton, barbarzyńców syny,
Z pod chmurnego błękitu zimnéj swéj krainy
Biegną, imienia twego nęceni urokiem;
A zmierzywszy zdziwienia i pogardy wzrokiem
Twoje groby, pałace, świątynie, ruiny,
Błędnemi cię do koła szukają oczyma:
Niełatwo poznać w prochu śpiącego olbrzyma!...
Aż wreszcie z gorzkim śmiechem pyta się wędrowiec:
«Czyjego trupa kryje wielki ten grobowiec?
«Dla kogo te arkady, łuki i kolumny?
«Czy czekają tu jeszcze drugiego Cezara,
«Czy tylko umarłego dawno ludu mara
«Potrzebuje tak wiele miejsca dla swéj trumny?» —
Lecz ty milczysz, Italio, i z grzesznym uśmiechem
Przedajesz, o! niewierna kapłanko przeszłości!
Prochy twych bohatérów, męczenników kości,
I mury drżące jeszcze świętych wspomnień echem,
A przedałabyś nawet błękit na tém niebie,
Co cię oświéca jeszcze, a nie zna już ciebie!...

Świątynio! w której tylko echo jęk zawodzi,
Prochu przeszłości! którym duch wiatru porusza,
Ziemio! gdzie grunt zgrzybiały same starce rodzi,
A syny wielka ojców nie ożywia dusza!
Gdzie spodlone żelazo w cieniu tylko błyska,
A nagość kryje togi zbłoconéj purpura,
Gdzie dźwięk słów harmonijnych jest jak owa chmura,
Co jeszcze grzmi niekiedy; lecz gromów nie ciska.
Żegnam cię! brzęcz ogniwem twojego łańcucha,
I serdeczne twe rany rozkrwawiaj w milczeniu,
Ja *tam* dążę (o przebacz, wielki rzymski cieniu!)
Gdzie są *ludzie*, co żyją, a nie trup bez ducha!...

Marya Ilnicka.

ŁZA.

Modrookie dziéwczę moje!
Ty piosenki chcesz odemnie?...
Oh! daremnie!
Ja strón lutni tknąć się boję,
Bo nuż strony się rozpłaczą
W jęk siéroty, w pieśń tułaczą,
To zesmucim się oboje
I łez gorzkich trysną zdroje!...
A łza, dziécię, to nie woda:
Szafować nią marnie, szkoda!
Bo wnet oschnie, gdy upadnie.
Lepiéj, lepiéj w sercu na dnie
Niech łza w *djament* się skrysztali:
Djament w ogniu się nie spali,
Ni się skruszy cięciem stali,
I prób żadnych się nie lęka!
Jak to serce, w świętéj dumie,
Co wytrwale milczyć umie,
I bezsilną łzą nie stęka.

Marya Ilnicka.

ZABŁĄKANA.

(POCZĄTEK).

Oh! jak ciężkież jest to życie!
Mój Boże! —
Jak to w bajce biédne dziécię,
Zbłąkane w borze,
Próżno woła, próżno huka:
Mój Boże!
Próżno na świat drogi szuka
Znaleść niemoże!...

Lwów. **Roman Zmorski.**

KILKA SŁÓW

POŚWIĘCONYCH PAMIĘCI

JULII UNRUH.(*)

Ośm lat już dobiega, ósmy rok trawka zaczyna się zielenić na grobie Julii *Unruh*, a strata jéj tak świeża, jakby w tych dniach dopiéro lub przed miesiącem zasnęła w Bogu. Czas, co wszystko zmienia, wszystko stopniowo zaciéra, nie zmniejszył boleści pozostałych, tylko ją ulagodził. Dziś jeszcze mówiąc o zmarłéj Julii, łzy płyną z oczu; tak wielkie były jéj cnoty, wielkie zasługi, wspomnienie jéj święte w sercach rodziny i przyjaciół, których była zaszczytem i chlubą. Nic bardziéj zwyczajnego nad pośmiertne pochwały. Tak się upowszechniły. że dziś mało kto je czyta. Dawano je często takim, których życie przeszło pospolicie

---

(*) Kiedy (od roku 1567) hiszpańscy wielkorządcy Niderlandów mieczem wytępiali tameczną ludność protestancką, a we Francyi i Niemczech wrzały wojny religijne, liczni tameczni mieszkańcy znaleźli błogie schronienie w Polsce, która jedna niesplamiła się wówczas prześladowaniem religijném. Do tych nowych mieszkańców ziemi naszéj należała i rodzina *Unruh*, która przybywszy z nad Renu w okolice Malborga, nową swą ojczyznę serdecznie pokochała. Roku 1794 rodzina ta przeniosła się do Szamocina, za Pragą ($1\frac{1}{2}$ mili od Warszawy). Stryj Julii *Unruh*, Jan, zginął w kampanii roku 1812.

łatwo; którzy nic więcéj nie zrobili na świecie, prócz ścisłego wypełnienia obowiązku. Wprawdzie, gdyby choć to jedno można o każdym powiedzieć, królestwo niebieskie przyszłoby na ziemię; nic-by do życzenia nie zostało więcéj. Lecz próżne marzenie, — świat będzie zawsze światem, ludzie na nim rozmaici, źli i dobrzy. I naszéj Julii chwalić tu nie myślę. Za życia swego cicha i skromna pochwał nie lubiła. Mówiąc o niéj, dogadzam tylko potrzebie własnego serca, a krótki jéj życiorys posłużyć może młodemu pokoleniu dziewcząt za wzór do naśladowania; jak ona sama była przykładem współczesnym rówiennicom.

Julia *Unruh* urodziła się 14go Października 1824 roku, w kolonii Szamocin, w okolicach Warszawy. Rodzice jéj zacni, poczciwi, żyli w pracy, zgodzie i spokoju. Praca ich musiała być ciężką; utrzymanie licznéj rodziny zwiększało potrzeby. Matka Julii (*) umiała rozwinąć niezwykłą czynność w gospodarstwie kobiécém i pogodzić to zajęcie z ważniejszém jeszcze, staranném wychowaniem dzieci. Stała się też ideałem córki. Religijną cześć dla matki zachowała Julia do chwili śmierci swojéj; jéj zasługom przypisując cokolwiek dobrego doznała w życiu.

Spokój domowy rodziców Julii przerwany został nagle wypadkami 1831 roku. Okolice Warszawy, z niemi i Szamocin, uległy zupełnemu zniszczeniu. Po upływie chwil trwogi i niebezpieczeństwa, rodzice Julii wrócili do pustych ścian wiejskiego domku, i bardziéj jeszcze pustego pola. Jakiéjże boleści doznać musieli, widząc się naraz pozbawien. skromnego bytu i możności kierowania wychowaniem dzieci! Silna wiara w opatrzność Boga i własne usiłowania przyszły im w pomoc. Krewni starali się podać rękę podupadłym.

(*) Karolina z *Seemanów*, rodem zWarszawy, nader wykształconego serca i rozumu.

Siedmioletnią Julią wzięto do Warszawy, gdzie rok cały chowała się w domu Pani E., chodząc na pensyą Pani Szulke.

Wyjazd zupełny z kraju Pani E. przerwał rozpoczęte zaledwie nauki Julii; wróciła do domu. Siostra jéj młodsza znacznie podrosła; obie potrzebowały opieki, rodzice nie będąc w stanie oddać je na naukę do Warszawy, przyjęli do domu nauczycielkę, wdowę po urzędniku. Półtora roku bawiła u nich; lecz mała Julia nie mogła już dłużéj korzystać z jéj nauk. Jak sama mówiła «nigdy nienagrodzone nie«szczęście położyło koniec naukom moim i szczęśliwéj swo«bodzie lat dziecinnych!» Tém nieszczęściem była choroba a następnie śmierć matki. Zmartwienia i przeziębienia w roku 1831, śmierć dobréj babki, niewywczasy przy pielęgnowaniu jednéj z młodszych córek, która śród ogromnych cierpień życie zakończyła, podkopały zdrowie matki: gasła powoli. Życzliwy przyjaciel rodziny, Dr Malcz, zalecił spokojność, swobodę; przepisał kuracyą. Mąż nie pozwalał trudnić się dłużéj gospodarstwem. Mimo oporu matki, która nie chciała przerywać nauk małéj Julii, ojciec ją przeznaczył do pomocy choréj matce. We „*Wspomnieniach rodzinnych*,“ które nam jako pamiątka po zmarłéj Julii zostały, pisze ona o téj ważnéj dla siebie chwili w ten sposób: «Rozpoczęłam więc pod okiem ukochanéj matki zawód gospodarski, i dzień ten na zawsze będzie mi pamiętnym. W nim piérwszy raz uczułam się kobiétą, uczułam piękność powołania naszego na ziemi; lecz w nim także po raz ostatni i to na zawsze pożegnałam lube szczęście lat dziecinnych. Liczyłam wówczas rok 11ty.» — Serce małéj Julii głęboko uczuło stratę matki, która w dniu 11 Września 1836 r. w Szamocinie dni doczesne zakończyła. Ileż rzewności w tych słowach, któremi późniéj boleść swoję wyraziła: «Niewiém, jak upłynęły następne dni po śmierci matki: straciłam wszelką rachubę, wszelką pamięć piérwszych czasów mego sie-

roctwa; pomnę tylko ową chwilę okropną i uroczystą, kiedy nauczycielka zaprowadziła mnie do pokoju matki i jam ją ujrzała bladą i martwą w trumnie.... Stałam nieporuszona, łza nawet nie poszła mi z oka. Wówczas szanowna nauczycielka w łagodnych wyrazach przypomniała mi wszystkie cnoty ukochanéj méj matki, jéj pobożność, poddanie się losowi, jéj słodycz anielską, poświęcenie dla drugich; jéj pracowitość i rządność; w końcu rzekła: tu w obliczu Boga, w obec zwłok twéj matki, przyrzeknij mnie i sobie, że we wszystkiém naśladować ją będziesz, i życie całe na uczczenie jéj pamięci w ten sposób poświęcisz. Rzewnemi zalewając się łzami z głębi duszy powtórzyłem te słowa, martwą rękę matki w drżące ujęłam dłonie, — potém, potém, pamiętam jeszcze czarną suknię i grób głęboki, i odgłos ziemi, którą przytomni na trumnę rzucali.» Tak więc kończąc 12ty rok życia, Julia po zgonie ukochanéj matki nietylko jako najstarsza, zajęła się domowém gospodarstwem; ale oraz czworgiem młodszego rodzeństwa. Krewne i przyjaciółki matki pragnęły koniecznie, aby Julia i siostra jéj Emilka, kończyły rozpoczęte nauki; a gdy fundusze na to nie wystarczały, ułożyły się między sobą, i umieściły obie dziewczynki na pensyi Pani Szulke. Wdzięczność w sercu Julii dla swych dobroczyńców była nieograniczona, wonnym kwiatem kwitła, i dopiero powiew śmierci zgasić ją zdołał.

Pobyt na pensyi zupełną zmianę w życiu Julii zaprowadził. Poważna, choć młodziuchna, ze świéżą pamięcią nieodżałowanéj matki, nie mięszała się do pensyonarskiego gwaru; nie miały dla niéj uroku głośne zabawy towarzyszek, do których młodsza jéj siostra wkrótce należała; oddała się naukom; ale, jak sama powiada, nie tyle jeszcze z zamiłowania, ile z potrzeby zajęcia czynnego umysłu, w naukach znajdując lekarstwo na tęsknotę. Skutkiem tego zyskała żywe pochwały przełożonéj i nauczycieli, także nagrodę na pierwszym popisie i promocyą do klassy trzeciej.

Rok następny znaczną przyniósł zmianę w jéj charakterze. Smutek się złagodził po doznanéj stracie; chęć korzystania z nauk zrodziła nieustanną czynność oraz nieodstępne jéj zadowolenie i swobodę. Lękając się wzbudzić niechęć swych towarzyszek, zazdrosnych pochwał, jakie jéj dawano, zbliżyła się do nich, zaczęła należeć do ich zabaw, nie tyle podzielając je, jak trudniąc się ich urządzeniem; tu już widać nawykła myśléć zawsze o drugich, poświęcać drobne swe przyjemności, co w późniejszém życiu tak było jéj właściwém i naturalném. Ileż-to nocy nie dospać trzeba było, ileż przechadzek opuścić, aby w wolnych od nauk godzinach, uszyć, skleić, przygotować ubiory i ozdoby do teatrów, maskarad, obrazów, któremi się na pensyi bawiły jé towarzyszki.

Następny rok był jeszcze pomyślniejszym dla Julii naszéj pod względem nauk, niż poprzednie; żadnéj już nie spotykała trudności, mogła być pewną piérwszéj nagrody, ja jeźli pilniéj jeszcze pracowała, to już jedynie w chęci nabycia ukształcenia. W tym-to roku nowe ją dotknęło zmartwienie. Ojciec powtórnie się ożenił. Opis tego w jéj „*Wspomnieniach*“ tyle ma w sobie prawdy; uczucie tak w nim żywo odbite, że go tu w całości przytaczam: «Wywołano nas obie z klassy; bo ojciec życzył się z nami widzieć. Zaledwie znalazłam dość siły powitać, pewną będąc, że się dowiém o śmierci brata, który nam chorował. Drżąca weszłam do salonu. Ojciec siedział na krześle widocznie zmięszany. «Jasio!» zawołałam z wysileniem. — «Daleko zdrowszy» rzekł ojciec.... Ciężar spadł mi z serca, radośnie skoczyłam ku niemu; przecież uważałam, że ojciec ciągle był zmięszany i widocznie miał coś niemiłego powiedzieć. Nakoniec zaczął od tego, że mu smutno i tęskno żyć zupełnie samemu, daleko od wszystkich, których kocha. «Wszak to już nie długo, mój ojcze!» zawołałam, «za parę miesięcy

skończę nauki i wrócę do Ciebie.» — «Tak, moje dziécię; ale tymczasem mogę zachorować, a nie będzie przychylnéj ręki, którąby mi lekarstwo podała; nie będzie przyjaznego oka, któreby czuwało nademną, gdy choroba sił pozbawi lub przytomność odejmie.» — «Ojcze kochany! napisz słowo' a za godzin kilkanaście będę obok ciebie!» zawołałam z całém wylaniem młodocianego serca, z całym zapałem kochającéj córki. Nie pamiętam już w jakich wyrazach odpowiedział mi ojciec; lecz w końcu oświadczył, że ma się żenić! Ja, która nawet żartem nigdy o tém nie pomyślałam, rozśmiałam się głośno i szczérze. Ojciec zapytał, coby mój śmiech znaczył? «Ależ to niepodobna, to żart zapewne?» — «I owszem, szczéra prawda» odparł ojciec. Na to powtórne oświadczenie serce mi się ścisnęło; myśl z chwilowéj pustoty do zimnéj rzeczywistości wróciła: pojęłam, że to nie złudzenie, i poważnie, zimno prawie zapytałam: «A z kimże?» — «Z Panią**.» odrzekł ojciec. Nadto niespodziéwaną była ta wiadomość, abym w piérwszéj chwili więcéj, jak zdziwienie uczuć mogła; lecz gdy po skończonych lekcyach przychodnie uczennice się oddaliły, a pensyonarki rozprószyły się po innych pokojach, jam sama została w obszernéj naukowéj sali, i rozważać zaczęłam, com usłyszała od ojca, wówczas dopiéro boleść żywa ścisnęła serce i łzy obfite puściły się z oczu. Stanęły mi przed oczyma błogie dni mego dzieciństwa i ulatująca nad niemi święta postać ukochanéj matki, stanęły w myśli tylokrotne dowody jéj miłości i poświęcenia; brzmiał w uszach głos jéj wdzięczny i słodki, a obok tych lubych wspomnień stanęła obca kobieta, która zajmując jéj miejsce w sercu ojca, zażąda od nas świętego matki imienia! Noc cała zbiegła na podobnych myślach; piérwsza to była w mojém życiu, którą bez snu, we łzach spędziłam. Głęboka a przecież tłumiona boleść zagroziła memu zdrowiu. Początki tyfusu objawiać się

zaczęły; lecz spieszna pomoc troskliwych opiekunów, kilkudniowy pobyt w pięknym Ursynowie (*), prędko mię uzdrowiły. Wróciwszy na pensyą oddałam się całą duszą naukom, chcąc zapomnieć o smutku, i zastąpić chorą wnuczkę Pani Szulke, która dawała lekcye w pierwszéj klassie. Ze zbytniéj pracy dostałam mocnego bólu piersi. Zaledwie po téj powtórnéj słabości przyszłam do siebie, w miesiącu Wrześniu ojciec mój na ślub przyjechał. Gdy mię zapytał, jaką suknię mieć życzę? odpowiedziałam, że mamy porządne, i zbytkiem byłoby sprawiać nowe. Ojciec chciał je zobaczyć, a jam mu przyniosła ciemne perkalikowe, na lekką żałobę po matce kupione. Na ten widok łzy zabłysły w oczach ojca. «Kiedy tak,» mówił z żalem «to możesz «wcale nie być na ślubie; oszczędzisz i sobie przykrości i «mnie smutnego widoku.» Te łzy, te słowa ukochanego ojca ubodły mnie do żywego. Głos podobny do wyrzutu ozwał się w mém sercu: rzuciłam mu się na szyję, ucałowałam ręce i przyrzekłam, że wszystko zrobię, byle on się nie martwił, i dotrzymałam słowa. Powiedziałam sobie stale i niezmiennie, że odtąd wszystkich dołożę starań, aby nigdy z mojéj przyczyny najlżejszego nie doznał ojciec zmartwienia. W saméj rzeczy, przybrana matka nasza tak się okazała dobrą, tak przywiązaną do ojca, że w krótkim czasie znikł przymus z wzajemnych naszych stosunków: pokochałyśmy się serdecznie i jesteśmy dotąd bardzo dobrze z sobą; wszakże ani ona mnie jako córkę, ani ja ją jako matkę uważam, jest-to raczéj przyjaźń między osobami nierównego wieku."

W miesiąc po ożenieniu się ojca skończyła Julia najchlubniéj pensyonarskie nauki, zostawiając po sobie trwałe wspomnienie tak w sercach przełożonéj i nauczycieli, jak i towarzyszek. Wyszedłszy z pensyi, bawiła u Państwa J.

(*) Letnie mieszkanie przed Willanowem, dzierżawione wówczas przez Dra Malcza.

i pod ich opieką dnia 14 Października 1839, w 15tą rocznicę swoich urodzin, przyjętą została uroczyście w grono chrześcijan (*). Wzniosły obrzęd konfirmacyi wielkie wrażenie zrobił na umyśle Julii; bo też była chrześcijanką w całém tego słowa znaczeniu. Silna prawdziwą wiarą, podstawą czynnego życia będącą, pragnęła rozpocząć użyteczną działalność swoją. Państwo J. i nadal dom jéj swój ofiarowali; mając sami nader skromne utrzymanie i swoich dzieci pięcioro, przyjęli Julią za szóste. Rok czasu u nich przepędzony uważała Julia za najpiękniejszy w życiu swojem, za jedyny, w którym się czuła prawdziwie swobodną, prawdziwie młodą. Przyniósł on jéj wielkie korzyści pod względem ukształcenia; dzieliła bowiem ze starszą córką Państwa J. nauki ojca. Czerpiąc w nich prawdziwe światło, uzupełniała nabyte na pensyi wiadomości; a że dom Doktora filozofii J. spokrewnionym był z domem Dra Malcza i z małżonką Doktora prawa P.; przeto Julia ujrzała się naraz otoczoną wszelkiemi zasobami nauk i umiejętności, do wykształcenia swego pomocnemi. Mogła z nich korzystać tém obficiéj, iż język francuski i niemiecki gruntownie posiadała. Pod okiem Pani J. i Pani M., tych prawdziwych przyjaciółek matki swojéj, zbogacała się Julia przykładem cnót domowych, cnót prawdziwie chrześcijańskich, zbogacała rzetelném ocenieniem szczęścia, i zrozumieniem obowiązków Polki i obywatelki. A kiedy dom państwa J. odwiedziła z Krakowa Panna Łaniecka, Julia miała szczęście poznać tu

(*) U protestantów młodzież, lat 14 skończywszy, i pojąwszy należycie naukę religijną, ponawia publicznie w kościele wyznanie wiary i potwierdza przyrzeczenia rodziców chrzesnych, uczynione w jéj imieniu, przy chrzcie. Obrządek ten zowie się *zażegnaniem* albo *konfirmacyą*. Przezeń młodzież wstępuje stanowczo do grona gminy chrześcijańskiéj, i dopuszczoną jest do stołu Pańskiego. Julia *Unruh* konfirmowaną była w warszawskim kościele ewangelicko-reformowanym przez X. Pastora Spleszyńskiego.

tę zacną nauczycielkę i dla prac jéj i zasad największém przejęta była uwielbieniem.

Nareszcie przyszedł czas, aby nasza Julia o własnéj sile stanęła. Od Lutego 1841 przyjęła obowiązki nauczycielki w domu obywatelskim, na wsi, o mil kilkanaście od Warszawy. Naturalnie, iż położenie jéj całkiem zmienić się musiało. Przejścia takie zawsze są bolesne; tém bardziéj dla duszy tak czułéj, jaką była dusza Julii. Opisuje okolicznie to swoje wystąpienie na świat, a że wyrazy jéj mogą być igłą magnesową lub kotwicą dla niejednéj młodéj osoby, w podobném położeniu będącéj, przytaczam je tu dosłownie: «Niech sobie kto wyobrazi młodą dziewczynę, zaledwie lat 16 liczącą, z głębokiém uczuciem, gorącą chęcią do dobrego, ufną w własne siły i trwałość swych chęci, a przytém wierzącą drugim, jak sobie saméj; niech sobie kto wyobrazi taką biédną istotę, z czystém dziewiczém wyobrażeniem o świecie, silną wiarą w cnotę i prawość ludzi, — wydartą nagle z rodzinnego koła i pośród obcych rzuconą ludzi. Jak kwiat w gorących urodzony strefach, gwałtownem żywiołów wzburzeniem na mroźną północ rzucony, z ufnością i nadzieją miękkie listki rozwija do ożywiającego słońca, a zimne tylko spotkawszy lody, zwija się, tuli zwarzone listki do zimowego łona, zamyka równie wonny kielich, i nawet wówczas boi się go otworzyć, kiedy w przyjaźniejsze przeniesiony klima, — tak ja, młoda, z całém wylaniem, z całą wiarą młodzieńczéj duszy stanęłam śród ludzi; nie było w mém sercu uczucia, któregobym drugim objawić nie była gotowa; nie było w głowie myśli, któréjbym im nie udzieliła. Ale kiedym zamiast spodziewanego współczucia, obojętność, nieraz nawet szyderstwo spotkała, — kiedy szczére wyrazy, w prostocie niewinności wyrzeczone, przewrotnie tłomaczono sobie; — kiedy żywość, swobodę w postępowaniu, szczérą wesołość, z jaką przyjmowałam pochlebne słów-

ka i żartobliwe na nie odpowiedzi za lekkomyślność uważano, — kiedy z każdym dniem nikło jedno ze złudzeń moich, a uroczą zasłonę marzeń młodości, nie dłoń przychylna matki zwolna i lekko rozsuwała; lecz obojętna ręka zimno i bez przygotowania zdzierała; — kiedy oczy, dotychczas do łagodnego światła przywykłe, nagle rażący blask smutnéj, nagiéj rzeczywistości uderzył, — o! wówczas niewysłowiona boleść zraniła serce; nieufność i niechęć duszę owładły; biédne myśli, którym tak nielitościwie wyłamano skrzydła, błąkały się, i stanęłam olśniona, nieprzytomna sobie, nie wiedząc, w którą rzucić się stronę? co zrobić z sobą?— Atoli wkróce religia przyniosła pomoc i ulgę zbolałemu sercu, wróciła hart duszy, a rozsądek zwrócił mnie na prawdziwą drogę. Pojęłam, że z dotychczasowemi wyobrażeniami żyć mi niepodobna; że aby być spokojną i szczęśliwą, o wiele odmienić-by trzeba albo siebie albo ludzi. Piérwsze było trudném; drugie niepodobném; a jednak jedno zrobić koniecznie należało; wybór więc padł na piérwsze. Raz powziąwszy postanowienie, całą duszą wzięłam się do przekształcenia siebie. Zważywszy, że większa część cierpień pochodzi z zawodu na ludziach, zaczęłam od tego, żeby *bardzo mało* wymagać od nich pod względem własnéj ich doskonałości, *nic zupełnie* dla siebie. Potém równie ograniczyłam wymagania moje od *losu*; nakoniec powiedziałam sobie: „muszę być szczęśliwą i będę nią niezawodnie, skoro potrafię być czynną i użyteczną;“ — a od owéj chwili szczęście rzetelne uśmiechać się do mnie zaczęło i dotychczas mnie nie opuszcza. Bacząc na własną niedoskonałość, umiém być pobłażającą dla bliźnich, i dosyć mi jest, kiedy kładąc na szali dobre i złe własności człowieka, ujrzę, że dobra strona przeważa. Nie spodziewając się nigdy niczego od drugich dla siebie, często bardzo mam przyjemność miłego zdziwienia, odbiérając to, czego się wcale niespodzié-

wałam, i dziś powtarzam z głębokiem przekonaniem: ludzie dali i dają daleko więcéj, niż na to zasługuję. Los mój, jakikolwiek on jest lub być może, uważam jako pochodzący z wysokich rozporządzeń Boga, i szemrać na niego, uważam za bluźnierstwo; a przykrości do niego przywiązane, za nieodzowne ziemskiemu życiu towarzyszki; nie tylko nieuniknione, ale nawet potrzebne, zbawienne. Nakoniec szczęście moje zakładam na własném udoskonaleniu i przykładaniu się, o ile tylko mocy mam, do szczęścia bliźnich. Życie moje płynie mile, spokojnie, dzień każdy nowe przynosi mi prace, nowe przyjemności, a często i nowe troski. — Serce kochającedzielę między rodzinę, ojczyznę i przyjaciół. Wszystkie siły méj duszy obracam na ich pożytek; wszystkie życzenia moje do ich pomyślności zmierzają, a mając szlachetne uczucie dla serca, pożyteczną myśl dla głowy, czegóż mi więcéj potrzeba!» — I szczęście, jak Julia je pojmowała, trwało do końca jéj życia.

Siedm lat pracy nad drugimi i nad sobą postawiło Julią w rzędzie kobiét gruntownie ukształconych. Ile zyskała moralna jéj strona, wyrazić trudno; najmilszą jéj rozrywką było czytanie pism nigdy nieodżałowanéj Klementyny Hoffman, i pewno żadna z czytelniczek tyle z nich korzyści nie odniosła, co Julia nasza. Przewyższyła (śmiało tego wyrazu używam) wymagania ś. p. Klementyny: miła, słodka, swobodna, stała się wkrótce jakby należącą do rodziny domu, w którym bawiła. Wszystko w tym domu żywo ją zajmowało, zacząwszy od postępu naukowego uczennic do najdrobniejszéj rzeczy. Któż zliczyć potrafi tysiączne przysługi domowym i obcym czynione? Nie spuszczając oka z dwóch dziewczynek, jéj staraniu powierzonych, na wszystko czas znalazła. Zachorowała pani domu, Julia już nieodstępna, jak córka, przy jéj łóżku z tkliwą troskliwością doglądała choréj, smutne jéj chwile głośném czytaniem uprzyjemniając.

Wypadła potrzeba, po całych tygodniach chętnie wyręczała w gospodarstwie, wstając o trzeciéj godzinie rano; wszelkie trudy były dla niéj niczém. Znalazła się przy dworze jaka sierotka, Julia piérwsza otaczała ją swoją opieką, uczyła, obdarzała, czém mogła. Gdzie tylko stać się mogła użyteczną, gdziekolwiek odgadła potrzebę, biegła z czynną pomocą lub słowem współczucia. Młodsze rodzeństwo Julii znalazło w niéj, chociaż oddalonéj, straconą matkę: stała się onegoż opiekunką, zwierzchniczką, kochała ich nie tylko miłością siostry; lecz i miłością matki, w czynach dając téj miłości dowody. Wzajemnie doznawała od rodzeństwa swego czci i posłuszeństwa należnych matce. Zbawienne rady Julii wpływały korzystnie na wszystkich, co ich zasięgać chcieli; umiała je dawać z serdeczną prostotą, nikomu zdania swego nie narzucając.

W roku 1845 Julia *Unruh* złożyła w Warszawie examen i otrzymała patent na nauczycielkę prywatną. W tym samym czasie siostra jéj młodsza poszła za mąż. We „*Wspomnieniach*“ Julii następną wzmiankę o tém znajduję:« Obiedwie stanowczo obrałyśmy sobie powołanie. Oby Bóg Wszechmocny raczył każdéj z nas pobłogosławić, abyśmy u kresu odmiennych dróg naszych, znalazły spokojność i zadowolenie sumienia, to jest rzetelne szczęście téj ziemi!»

Niechaj mi wolno będzie przytoczyć tu jeszcze parę ustępów z tych samych „*Wspomnień*,“ lepszych nierównie od mego opowiadania: «Od dzieciństwa wielką miałam skłonność do naukowego życia, a dziś stało się óno dla mnie konieczną potrzebą, i nie wiém, czy kto może być szczęśliwszy, jak ja, kiedy w piękne dni wiosny i lata, wstawszy ze słońcem, otworzę okno mego samotnego pokoiku, a popatrzywszy chwilę na ten świat piękny, zajmę się czytaniem zajmującego dzieła, wyciągi z niego robię, kreślę myśli i uwagi moje, lub piszę którą z zaczętych ramot moich. Te

kilka godzin samotnéj pracy słodzą mi nieodstępne przykrości ziemskiego życia, dodają siły do całodziennéj, mozolniejszéj pracy, a darząc mnie zadowoleniem, milszą i pożyteczniejszą czynią.»

«W cichém, spokojném życiu mojém wielka może zajdzie zmiana. Od lat już kilku stały mam zamiar, poświęcić życie całe wychowaniu kobiét. Od lat kilku zbiéram myśli, układam plany, gromadzę wiadomości, żeby ten zamiar godnie do skutku doprowadzić. Atoli im więcéj w tym względzie rozmyślam, im jaśniéj widzę, jak się wziąść do tego, tém mocniéj także czuję, ile mi jeszcze nie dostaje, żebym skutecznie w tym zawodzie pracować mogła. Uznałam przeto za konieczne, poświęcić lat kilka własnemu udoskonaleniu, zanim drugich kształcić zacznę. Postanowiłam z pomocą nieocenionych mych opiekunów przenieść się do Warszawy na lat kilka, nazbiérać duchowych skarbów, postarać się o jakie takie materyalne zasoby, i za jakie lat 10...» i t. d.

«Już za tydzień wyjeżdżam do Warszawy. Zbyt roztargnioną jestem, ażebym sobie mogła zdać sprawę ze wszystkich myśli i wrażeń, które tak tłumnie do serca i głowy się cisną i kolejno napełniają mnie to radością i nadzieją, to trwogą i żalem, to znów słodką rozkoszą i nieodgadnioną tęsknotą. Bóg sam tylko wie, które z tych wrażeń wieszczem przeczuciem w przysłości się okaże..... Ja tylko wiém, iż mam szczére chęci, czyste zamiary, ufność w Boskiéj opiece i w pomocy ludzi szlachetnych, którzy mi dobroczynną podali rękę.»

«Otóż ziściły się i spełniły życzenia moje! Już od 3-ch miesięcy jestem w Warszawie. Już coś pewnego o powodzeniu mojém napisać mogę... M am utrzymanie skromne; więcéj czasu wolnego, i swobodę, skarb wielki, nieoceniony a nadewszystko jestem wśród swoich. Ileż-to szczęścia! ile dobrodziejstw razem połączonych! Bogu też za to serdecz-

ne składam dzięki! Bogu najwyższemu, który codzień, co godzina nowemi i niezasłużonemi obsypuje mnie dobrodziejstwy. O! zaprawdę, całe moje życie powinno być jedną dziękczynną modłą, jedném pasmem poświęcenia się dla bliźnich, którzy mi dali i dają nad zasługi moje! Najważniejszém też staraniem mojém jest, żeby się stać godną tych dobrodziejstw, nie zniszczyć tego szczęścia własną winą, i z dniem każdym postępować na téj drodze, która mnie powiedzie do marzonego od lat tylu celu mojéj ziemskiéj pielgrzymki. Tą drogą jest postęp, ciągłe doskonalenie się; tym celem czynna użyteczność bliźnim, wzorowe, zgodne z duchem czasu i dobrem ludzkości, wychowanie kobiét. Lecz obok téj pracy dla dalekiéj przyszłości i tych starań dla przyszłych pokoleń, powinnością jest moją, warunkiem mego rzetelnego szczęścia, i dziś już być użyteczną i dziś wywiązywać się z długu, jaki rodząc się zaciągnęłam względem Boga, ludzi i téj ziemi, która mnie swym chlebem karmiła, swą wodą poiła i swém ożywiała powietrzem! Na ten więc podwójny warunek mego bytu, kształcenia się dla dobra bliźnich w przyszłości, i starania o przynoszenie im pożytku w teraźniejszości, całą mą sumienną zwracać będę uwagę; o dopełnienie go usilnie i gorliwie starać się postanawiam, pracując ze wszyskich sił moich i wzywając ojcowskiéj Boga opieki!...»

Nie wiele mi już dodać zostaje. Półtora roku tylko Julia była z nami. Podobało się Bogu powołać do siebie czystą jéj duszę; nam pamięć straconych nadziei, próżnię w sercu, mogiłę na smętarzu zostawić.

Wkrótce po przybyciu do Warszawy, rozpoczęła życie pracy. Dawane lekcye wystarczały nie tylko na zupełne jéj utrzymanie się; ale jeszcze na opłacanie lekcyj, które sama brać zaczęła. Takie zajęcia trwać miały lat kilka lub dłużéj; potém chciała zwiedzić zagraniczne zakłady nauko-

we panien; zebrać, jak skrzętna pszczółka, najlepsze materyały, użyć ich i zastósować je do potrzeb kraju i wymagań wieku, tworząc zakład wychowania kobiét, któryby w zupełności odpowiedział piérwszym i drugim. Wychowanki jéj miały celować nie tylko *naukami*; ale chciała, by się odznaczały *wzorową moralnością* i *prawdziwém pojęciem swego posłannictwa*. Przy gruntownem oświecaniu umysłów, ćwiczeniu tych jedynie talentów, do którychby wychowanki z natury okazywały zdolność, chciała je obznajmić ze wszystkiemi gałęziami powinności kobiét, usposobić na zacne żony, matki, obywatelki, gospodynie. Oto wyjątek z dawnego listu Julii, w którym jest wzmianka o tych ostatnich obowiązkch, tak w dzisiejszém wychowaniu zaniedbanych: «Nie należę wcale do liczby tych kobiét, które zajęcie się gospodarstwem, kuchnią, rządem domu, uważają za konieczny wprawdzie; ale przykry obowiązek płci naszéj. Owszem, ja lubię bardzo tę poziomą cząstkę naszego powołania, i w mych marzeniach o przyszłości, małe, skromne, ale wzorowo urządzone gospodarstwo, wcale niepoślednią gra rolę; a jeźli Bóg pobłogosławić raczy mym planom, wychowanki moje muszą być doskonałemi gospodyniami, i to nie z musu; lecz z upodobania.»

Stósownie do takich dążności chciała Julia swój zakład urządzić. Nie pomijając strony fizycznéj, miała zamiar utrzymać ją w równowadze z moralną, w przekonaniu, że czérstwe zdrowie najdzielniéj dopomaga spełnieniu obowiązków, jakie z woli Boga każden ma człowiek. Wychowanie panienek w ten sposób, wymagałoby nieograniczonéj władzy nauczycielki nad każdą jéj staraniu powierzoną, i takie téż tylko Julia przyjmować myślała, których rodzice lub opiekunowie chętnie-by na ten warunek przystali. Wreszcie, urzeczywistniając myśl ś. p. Klementyny Hoffman, i naśladując Pannę Łaniecką, chciała utrzymywać ubogie przy boga-

tych, aby tym sposobem, staranne wychowanie uczynić przystępném wszystkim bez wyjątku, i dobroczynne światło rozszérzać jak najdaléj.

Obszerny, mozolny, z tysiącem przeciwności połączony i zupełnego poświęcenia się, zapomnienia siebie, wymagający plan Julii *Unruh*, zdawałby się niepodobnym do wykonania i nad siły jednéj kobiéty; a przecież ciągle o nim marzyła. Chęć szczéra, niezłomna wola, rozsądek i takt niepospolity, byłyby ułatwiały to dzieło, do którego zdawała się jedynie stworzoną. Z głęboką wiarą w życie przyszłe, z gorącą chęcią zasłużenia na nie, *dobrze czynić* stało się jéj konieczną potrzebą, *poświęcać się dla drugich* najprostszą rzeczą. Ufna w pomoc Najwyższego, przekonaną była, że dojdzie celu swego niezmordowaną pracą; nic jéj strwożyć nie mogło: w każdéj przykrości, w każdém nawet nieszczęściu łaskę Boga widziała, wznosząc myśl swoją do niego. Śmierć matki była jéj największém doznaném nieszczęściem, a jednak w ostatnich latach następne jéj słowa cóż dowodzą? «Gdyby matka moja żyła, otoczona jéj pieszczotami, kto wié, na co-bym wyrosła, a tak od jéj straty wiedziałam: że na nikogo oglądać się nie potrzeba; że powinnam nie tylko o sobie, lecz i o drugich myśleć. Jakiéj-że radości nie doznaję teraz, że mogę być użyteczną; żem sobie w znacznéj części winna dzisiejsze utrzymanie; że nikomu ciężarem nie jestem!»

Gdy przyszła dotkliwa i długa choroba, prócz cierpień fizycznych, bolesną była dla Julii ta przerwa w rozpoczętych jéj pracach. Pomimo tego: «jabym powinna Bogu dziękować za słabość moją (mówiła): *najprzód*, jest ona słuszną dla mnie karą; bo nie dość zdrowie moje szanować umiałam; *powtóre*, w chorobie mojéj przekonałam się dopiéro, ile życzliwych mam osób, a myśl ta jest wielką pociechą.»

Umiała Julia z pokorą i bez szemrania uchylić czoło przed wolą Wszechmocnego; umiała powtórzyć z serca wy-

razy Joba: *Bóg dał, Bóg wziął, niech się dzieje święta Jego wola!*

Przy skarbach serca i duszy, cóż znaczą powierzchowne zalety i wdzięki! Natura obdarzyła i niemi Julią naszą. Kiedy co mówić zaczynała, z rzadkim darem łatwego i pięknego wysłowienia, z zapałem, jaki jéj wewnętrzne dawało przekonanie, oczy jéj, i tak już pełne wyrazu, nabiérały wówczas niezwykłego blasku; urok jakiś poetyczny ją otaczał; stawała się piękną tą pięknością wyższą — nadziemską; — myślałby kto, że zawsze wśród niebian przebywa, a jednak nie wiém, czy jest kobiéta, któraby tyle, ile ona, do rzeczywistego, poziomego życia, stósować się umiała.

Rok jeden w Warszawie trwały prace Julii *Unruh*. Gwałtowna i od pierwszéj chwili grożąca widoczném niebezpieczeństwem choroba piersiowa, ciągnęła się od Lipca 1848, do wiosny roku następnego, niszcząc stopniowo swoją ofiarę. Zarody jéj okazywały się od lat dziecinnych przy każdém niemal zmartwieniu. Bóg może uznał Julią za zbyt doskonałą dla ziemi naszéj, i wcześnie niebo duszy Julii przeznaczył. Dzień 27 Kwietnia 1849 był ostatnim jéj życia, a piérwszym żalu pozostałych (*). «*Przeszła — dobrze czyniąc!*» Temi wyrazy kończę jéj wspomnienie. Całe, choć krótkie życie Julii, było *jedném* pasmem poświęceń, *jedną* zasługą przed Bogiem!

Ludwika z Drewnowskich **Młocka.**

(*) Zgasła w wieku lat 24, w domu ukochanego stryja swego, Henryka *Unruh*, w Warszawie. Pochowana na smętarzu ewangelicko-reformowanym, gdzie skromny jéj pomnik Stanisław Jachowicz ozdobił następującym nagrobkiem:

„Od *Boga* jest mój rozum, moim *hasłem* cnota,
„Mém *szczęściem* szczęście innych, *ozdobą* prostota."

Wyjątek z dramatu Göthe'go:

TORQUATO TASSO.

AKT II.

(Sala w pałacu Alfonsa II, księcia Ferrary).

SCENA I.

KSIĘŻNICZKA ELEONORA d'ESTE (siostra Alfonsa) i TASSO.

Księżniczka.

Wiek złoty minął wprawdzie, przyjacielu,
Lecz dobrzy ludzie przywrócić go mogą;
A jeśli prawdę mam wyznać, to mniemam
Że wiek ów złoty, o którym poeci
Marzą, którego kreślą nam powaby,
Nie istniał nigdy, tak jak nie istnieje;
A jeśli istniał, to nie był czém inném,
Jeno czém dzisiaj jeszcze zostać może.
Wszak dotąd krewne serca spotykamy,
I z niemi świata dzielimy użycie;
Tylko że w godle twojém *jedno* słowo
Się zmienia: «wolno robić, co *przystoi.*»

Tasso.

O! gdybyż z ludzi cnotliwych przynajmniéj
Złożono sądy, któreby rozstrzygły
Co jest godziwe! zamiast że dziś każdy
Za dozwolonę ma, co dlań korzystne.
Widzimy przecie, iż możnym i mądrym
Ze wszytkiém dobrze, wszystko im uchodzi.

Księżniczka.

Chcesz-li dokładnie wiedzieć, co przystoi?
To pytaj o to szlachetne niewiasty;
Bo one właśnie najwięcéjby rade,
Aby uczciwie wszystko się robiło.
Przyzwoitością, jak ochronnym murem,
Płeć się drażliwa i słaba otacza.
Gdzie skromność włada, tam one władają,
A gdzie rozpusta, tam one są niczém.
Obie płcie winny dbać każda o swoje:
Mąż o swobodę, o skromność niewiasta.

Tasso.

Ty nas dzikiemi robisz, nieczułemi?

Księżniczka.

Nie! Lecz wy myślą sięgacie daleko,
Więc gwałtowniejsze jest wasze dążenie.
Wy-byście chcieli działać dla wieczności,
Gdy my jedyne, skromne tylko dobro
Na ziemi posiąść i zatrzymać pragniem.
Nawet serc waszych, choćby najgoręcéj
Nam się oddały, jeszcześmy niepewne.
Piękność jest nikłą, a ją to zwykliście
Najwyżéj cenić. Reszta was nie nęci,
A co nie nęci, to dla was jest martwe.
Gdyby mężczyzni ocenić umieli
Serce niewieście, gdyby się poznali
Na onym skarbie miłości i wiary,
Jaki się w piersi kobiét przechowuje;
Gdyby wspomnienie pięknych chwil ubiegłych
W duszach się waszych żywo odtwarzało;
Gdyby się wzrok wasz, zwykle przenikliwy,
Przedrzeć potrafił przez zasłonę, którą
Zarzuca na nas starość lub choroba;

A posiadanie, zamiast uspokoić,
Gdyby na cudze was nie rozchciwiało:
Wtedyby dla nas zaświtał dzień błogi,
I miałybyśmy iście wiek swój złoty.

Tasso.

Wymawiasz słowa, które w piersi mojéj
Na wpół uśpione troski rozbudzają.

Księżniczka.

Jakież to troski, Tasso? mów otwarcie.

Tasso.

Dawno słyszałem, a nawet niesłysząc
Przeczućbym musiał, że zacni książęta
Pragną twéj ręki. Co jest przypuszczalne,
Tego się lękam i nad tém boleję.
Ty nas opuścisz prędzéj albo później,
Lecz jakże zniesiem rozłączenie z tobą?

Księżniczka.

Na teraz bądźcie spokojni, a nawet
Rzec mogę: bądźcie spokojni na zawsze.
Dobrze mi tutaj, i dotąd przynajmniéj
Nie znam stosunku, coby mnie pociągał.
Lecz, jeśli chcecie bym została z wami,
To żyjcie w zgodzie, i niech szczęście trwałe
Zakwitnie dla was, a przez was i dla mnie.

Tasso.

Naucz mnie, naucz, robić co możliwe!
Wszystkie dni moje tobie poświęcone.
Gdy w uwielbieniu czystém, w dziękczynieniu
Serce ku tobie się wyrywa, wtedy
Doznaję szczęścia, jakiego na ziemi
Doznawać można. Com poznał boskiego
W życia pielgrzymce, to tylko przez ciebie.
Jak Opatrzności wola często bywa

Niezgodną nawet z mędrców przypuszczeniem.
Tak się od innych ludzi odróżniają
Mocarze świata. Oni wiele rzeczy,
Gdy my widzimy piętrzące się wały,
Puszczają mimo, jakby lekkie fale,
Co im muskają stopy — nie posłyszą
Huczącéj burzy, która nas obala,
Ni błagań naszych, — dają nam wyrzekać
Ile zechcemy, jako my zwykliśmy
Czynić z żalami uprzykrzonych dzieci.
Tyś mnie w swéj łasce miała, ubóstwiana!
I jako słońce, osuszałaś wźrokiem
Rosę z mych powiek.

Księżniczka.

Słuszna, by niewiasty
Były dla ciebie łaskawe; twe pieśni
W niejednym względzie płeć ich uzacniają.
Skromne lub mężne, zawsze je umiałeś
Wystawiać w blasku szlachetności; nawet
Armida, chociaż godna nienawiści,
Jedna nas z sobą wdziękiem i miłością.

Tasso.

Cokolwiek w pieśni méj oddźwięknie, wszystko
Winienem jednéj. To nie twór marzenia,
Coby przed duchem moim się przesuwał
Już jaśniejący z blizka, już daleki.
Własném ja okiem cielesném ujrzałem
Pierwowzór wszelkiéj cnoty i piękności.
Com podług niego stworzył, będzie trwałe:
Tankreda męska miłość ku Chloryndzie,
Erminii wierność cicha, zapoznana,
Sofronii wielkość, niedola Olindy,
To nie są cienie ułudne: to wszystko

Na wieki istnieć będzie; bo istnieje.
A cóżby większe rościć mogło prawo
Do wpływu i do przetrwania stuleciów,
Jak tajemnica szlachetnéj miłości
W skromném milczeniu pieśni powierzona?

Księżniczka.

A mamże jednę jeszcze ci zaletę
Wymienić, którą pieśń twoja zyskuje?
Ona nas nęci, my się przysłuchujem,
I zdaje nam się, że ją rozumiémy;
Co rozumiémy, tego nie ganimy,
A tak nareszcie ta pieśń nas ujmuje.

Tasso.

O! jakież niebo rozkoszy otwierasz
Przedemną! Jeśli mnie blask nie oślepia,
To widzę szczęście wieczne, niespodziane
W złotych promieniach z niego zstępujące.

Księżniczka.

Wstrzymaj się, Tasso! Wiele spraw jest takich,
Których skwapliwie chwycić się potrzeba:
Ale są inne, co umiarkowaniem
Stać tylko mogą i powściągliwością.
Taką jest cnota, taką, powiadają,
Pokrewna cnocie miłość. Zważ to dobrze!

SCENA II.

TASSO.

Czyż się ośmielę, podnieść oczy, spojrzéć
W około siebie? Wszak jestem sam jeden;
Wszak te kolumny słów jéj nie słyszały,
Tych niemych świadków najwyższego szczęścia
Lękać się niémam powodu. Dziś wzeszło
Już dla mnie słońce nowego żywota,

Który na równi z dawnym stać nie może!
Zstępując z wyżyn, bogini ku sobie
Wznosi mieszkańca ziemi! Jakże świetna
Przed wzrokiem moim przyszłość się rozwija!
Jam śnił o szczęściu najwyższém, a jednak
To szczęście wszystkie sny moje przewyższa!
Niech urodzony ślepo grę kolorów
Wystawi sobie, jak zechce, to zawsze
Dzień, skoro przejrzy, będzie mu nowością!

Ludwik Jenike.

Do S. J.

Błogosławiony, kto w swym cichym progu
Łzy ubogiemu ociéra: —
Pewna mu pomoc w litościwym Bogu,
Gdy los pociski wywiéra.
Pan go od nieszczęść zasłoni i zbawi;
Na czoło jego zstąpi radość młoda,
Dniom jego wielki Bóg pobłogosławi,
W ręce go zemsty nie poda.
Opiekuńczém mu ramieniem
Łoże boleści okrąży,
I nie uciąży
Tęsknem, samotnem cierpieniem.
Takiego losu niech Ci Bóg dozwoli,
I nieśmiertelnym wieńczy Cię wawrzynem;
Bo nie jednę łzę niedoli
Otarłeś słowem i czynem!

Kalisz.

J. W.

Czł. R. O. S. O. U. D.

Wspomnienie Podola.

Nie tak ja dawniéj sobie marzyłem,
Gdym lekką nogą pchał smug zielony,
Biegł rozkochany, biegł zamyślony,
Lub pośród braci wesół gwarzyłem!
Napróżno dzisiaj wspominam czasy,
Napróżno marzę o mym aniele!
Czarne wy głazy! dzikie wy lasy,
Gdzie rzek rodzinnych woda się ściele!
Niegdyś, bywało, Selim zuchwały
Nosił mię kędyś z wiatry w przegony;
Dziecinną nogą darłem się na skały;
U stóp mych płynął Boh zasępiony,
I znów leciałem w wąskiéj głębinie
Pędziłem wiosłem: fale szumiały!
Na pół marzący o méj dziewczynie,
Co ją u boru oczy ujrzały!
Niémasz na świecie lilij, od niéj bielszych,
I niémasz ognia, jak blask jéj spojrzenia;
Ten wźrok wlał we mnie zapał myśli śmielszych,
Czystych, jak bóstwo mojego natchnienia!

Mohylów, nad Dnieprem.

Zygmunt Aurelian Lemnicki.

KRÓWKA.

(POCZĄTEK).

Poczciwego gospodarza,
Choć w wiadoméj dobrze drodze.
(Co się dosyć często zdarza
Dobréj głowie, pewnéj nodze)

Zbłąkała się w kniei krowa.
Otóż gratka drapieżnikom!
Krówka tłusta! krówka zdrowa!
Tak, jak pod nóż! lecz — rzeźnikom;
Bo nikt z dobrych gospodarzy
Nie rznie krówki dla sprzedaży.

Wojciech M. Bo.......ki.

Orate fratres!

«Módlmy się, bracia!» mówi u ołtarza
Kapłan, najświętszą składając ofiarę.
«Módlmy się!» prosty lud za nim powtarza,
Co w prawém sercu szczérą chowa wiarę.
«Módlmy się!» wzywa z wież kościelnych dzwonek
Czystemi dźwięki dążąc pod niebiosy;
«Módlmy się!» śpiéwa w poranku skowronek,
Lekkie skrzydełka otrząsając z rosy.
I my, choć zdala od świętych podwoi,
Z powszedniéj troski, od prostéj roboty,
Z ziemskiego życia codziennéj tęsknoty
Módlmy się z duszy! Bóg smutek ukoi!
Za tych, co czarną, drogą ziemię naszą
Potem oblani, uprawiają w ciszy,
I ciężką pracę rzewną piosnką kraszą,
Módlmy się! módlmy! Bóg głos nasz usłyszy.
Za tych, co jęczą w smutku i ucisku,
A przecięż trwają w nadziei i wierze;
Za tych, co giną w pośród mieczów błysku,
Módlmy się! Krew ich Pan przyjmie w ofierze!
Za tych, co ducha szlachetne poloty

W urocze słowa zdobią umiejętnie,
By nas przynęcić i podnieść do cnoty,
Módlmy się! módlmy, a słuchajmy chętnie!
Za tych, co w ciężkiej niedoli zamęcie
Na śliską drogę pokusy wtrąceni,
Stracili święte braterstwa pojęcie,
Módlmy się! Kąkol, niechaj Bóg wypleni.
Bo silnéj woli olbrzymia potęga
Kruszy opoki, kieruje falami;
Ale modlitwa pod niebiosa sięga,
Módlmy się zatém! a Bóg będzie z nami!

Paulina z Radziejowskich **Kraków.**

WYŻYNEK.

(OBRAZEK Z OKOLIC KRAKOWA).

Najprzód więc sołtys i radny,
Przywdziani w ubiór paradny,
Idą przede dwór z darami.
Za niemi znowu parami
Cztéry dzieweczki z wieńcami,
Najpiękniejsze, z rumieńcami,
Przez kumoszki prowadzone,
By wieńce nieuszkodzone
Oddać Pani. Więc pszeniczny
Jeden, drugi z żyta śliczny,
Trzeci z orzechów uwity,
Czwarty z jaj i jabłek zwity.
Za niemi skrzypek, basista,
A czasami i flecista.

Suto zaś strojni parobcy
Swojscy a nawet i obcy
Za muzyką postępują
I w takt sobie przytupują.
Nakoniec gromada kmieci,
Starcy, kobiéty i dzieci.
Gdy już przyjdą na dziedzieniec,
Ta sobie poprawi wieniec,
Druga piosnkę przysposobi,
Inna kwiatkiem się ozdobi;
Wreszcie śpiéwać zaczną społem
Przed gankiem stanąwszy kołem:

„Gospodarzu nasz!
„Wyżynek nam dasz!
„Bośmy żytko zeżeny,
„Do stodoły wożemy,
„I owiesek i żytko,
„I przeniczkę i wszystko!
„Gospodarzu nasz!
„Wyżynek nam dasz!“

A więc zaraz pan i pani,
Goście w tym celu zebrani,
Wychodzą na ganek razem,
By się cieszyć tym obrazem.
Tu się pląsy zaczynają:
Dziéwki wieńcowe śpiéwają,
Do pana, pani, panienki
Stosując swoje piosenki.
Obróciwszy się więc w koło
Tak śpiéwa jedna wesoło:
„U nasego pana, suknia po kolana
„A u sąsiedniego (1), kieby u barana!“
Obróciwszy się znów w koło,
Tak nóci druga wesoło:

„U naséj jéjmości okna malowane,
„A u sąsiadecki wiechciem zatykane!“
Obróciwszy się znów w koło,
Tak śpiewa trzecia wesoło:
„Skowronek ocko psymruza:
„Nasa panna, kieby róza!“
Obróciwszy się znów w koło
Tak śpiewa czwarta wesoło:
„Goniłeś nas, panie, po polu z basiorem (2):
„Wynieś-ze nam teraz wódecki z gąsiorem!“
Skończywszy już wszystkie śpiéwki
Niosą wieńce oddać dziéwki;
A ekonom i karbowy
Idą z wódką, toż polowy:
Piją wszyscy bez wyjątku,
Bo rozdają po porządku.
Muzyka też grać zaczyna!
Więc parobek i dziewczyna
Hasać zaraz zaczynają:
A jak pięknie się mijają!
Ona przed nim, — on ją goni,
Podkówkami sobie dzwoni, —
Ona z przed nosa mu zmyka; —
Parobczak niby utyka,
Przykucuje, przyśpiewuje, —
Ona przed nim wyskakuje
I w kółeczko się obraca, —
Nareszcie przecie się zwraca,
On ją łapie i całuje,
I czapkę przed nią zdejmuje!
Na tém kończą się te tany,
Taniec ten *mijanym* zwany. —
Występuje para druga;
Po skończeniu znowu mruga

Na parobeczka dziewczyna:
Para znów tańczyć zaczyna...
Gdy już wszyscy przetańcują,
To znowu się z wódką snują
I każdemu ją rozdają.
Potém znowu w pary stają
I Krakowiaka hulają!...
Tymczasem też postawiono
Stoły, i suto je zastawiono
Mięsem, chlebem, owocami.
Panicz wyszedłszy z darami
Rozdaje wstążki dzieweczkom
A koziczki parobeczkom.
Ustają więc tany, pienia,
A biorą się do jedzenia.
Zjadłszy smacznie i wesoło
I gdy kielich obszedł w koło,
Muzyka zaraz zaczyna!
Parobek więc i dziewczyna
Suną znowu mijanego, —
Następnie zaś co innego.
I znów wódką przeplatają
Aż do późna tak hulają.
A gdy pan odejść rozkaże
I poślе im wódki w darze,
Do karczmy zaraz odchodzą;
Ale pod sołtysa wodzą...

(1) Nazywając go od nazwiska wsi sąsiedniej.
(2) Stósując to do ekonoma.

Henryk Chrzanowski.

Do
ARTYSTY.

Posłańcze nieba, duszo artysty!
Kędyż myśl twoja ulata?
Kędyż ją zapał silny, ognisty
Zawsze unosi ze świata?
Gdzież są te źródła, co duszę twoją
Czarami raju spragnioną poją?
Z kąd bierze ogień twoja źrenica,
Gdy płonie żywym płomieniem?
Dla czego zwiędły blade twe lica,
I pierś zgnieciona westchnieniem?
Czemuż, jak polna krzewina, cicha,
Tak życie twoje coraz usycha?
Bo jest w twéj duszy wulkan ukryty,
Co serce pali i suszy,
Co-by roztopił twarde granity
Jedną iskierką twéj duszy.
Jednym powiewem ileż to razy
Ożyją chłodne dzikich skał głazy!
Bo czarodziejska myśli twych siła,
Kędy w niebieskim zachwycie
Ogniste swoje głoski wyryła,
Tam ogień, urok i życie,
Równie jak w piersi twojéj, zatleje
I pierś nie jedną chłodną ogrzeje.
Trawi twe życie wybuch wulkanu,
Tęsknoć i nudno na ziemi,
Ciemno i chłodno w kłębach tumanu,
W walkach z porywy rajskiemi;

Gdy duch twój w Bogu pełen pokory
Krusząc nie skruszy ziemskiéj zapory —
Łamiąc nie złamie twardéj czeluści,
I w ciężkiéj walki godzinie
Męstwo i zapał duch twój opuści
I czoło potem opłynie.
Starga się w myśli wątek uroczy
I kamień zimny pierś twą przytłoczy.
I zda się we krwi serca się nurza
I siła ducha się zmniejsza,
O! niech stokrotnie dwoi się burza,
Dusza artysty silniejsza;
Ni jéj przełamie pocisk poziomy,
Ni jéj pokruszą burze i gromy,
Jeśli się Bogu oddał artysta
Przyjmując słowo do łona,
Myśl jego wzniosła, potężna, czysta,
Wszystkie zawady pokona.
A po bolesnéj walk swych godzinie,
W wielkim objawie na świat wypłynie, —
A ta myśl wielka, ten ogień w duszy,
To *miłość Boga i ludzi.*
Paląc nie spali, grzejąc nie zsuszy,
I chłodząc nigdy nie studzi;
Lecz tli i błyska w duszy ukryta,
I w cudne raju barwy rozkwita.
O! to na ziemi wielki dar Boży,
Dla ludu jego, dla dzieci, —
Bo cudne kształty piękna wydroży
I światłem raju zaświeci.
Przypomni człeku, że mu cnót trzeba
I doń przemówi wyrazem nieba.
Teraz artysto! wiém, gdzie te zdroje,

Wiém, gdzie kraina szczęśliwa,
I z kąd wysokie pomysły twoje,
Jak rzéka cudów wypływa;
I gdzie twa dusza najczęściéj gości:
W *świetle* i w *prawdzie*, w *słowie*, w *miłości!*

Antoni Baranowski.

RÓŻNICA
MIĘDZY
DUSZĄ CZŁOWIECZĄ A DUSZĄ ŹWIÉRZĘCĄ.

Jakaż jest dusza źwiérzęca?

Namiętni łubownicy źwiérząt, unosząc się bez miary nad ich zmyślnością, zapędzają się aż w taką ostateczność, że utrzymują, iż między duszą człowieczą a źwiérzęcą niéma żadnéj różnicy; i zdaje się im, iż oddają sprawiedliwość człowiekowi, naznaczając mu piérwsze miejsce pomiędzy małpami, i mianując go rozumnêm źwiérzęciem, „*homo est animal rationale!*” Źwiérzęta mają wprawdzie właściwą sobie duszę; przecież z tąd nie wypływa bynajmniéj, aby dusze źwiérzęce posiadały te wszystkie władze i przymioty, jakiemi Stwórca dusze ludzkie obdarzył. Pomiędzy człowiekiem dzikim i najlichszym, a źwiérzęciem najwyborowszém, ta jest niezmierna różnica, że źwiérz nigdy ze swojéj źwierzęcości wyjść nie może, gdy tymczasem dziki człowiek ma w swojéj duszy zdolność wydźwignienia się z dzikości, i postępowego doskonalenia się; potrzebuje tylko, aby duch o-

święcony działał nań i obudził duszę jego przez naukę. A raz wsparty nauką i doświadczeniem, już potém może mniéj więcéj wszelkie prawdy pojmować, i z jednéj drugą wyprowadzić całkiem samodzielnie.

Uważajmy tylko każdą władzę duszy człowieczéj z osobna, i szukajmy jéj w źwiérzętach. I tak:

Niektóre źwiérzęta umieją wprawdzie rozpoznawać i porównywać przedmioty zewnętrzne; potrafią wybór czynić między wieloma rzeczami i osobami; zatém mogą mieć jednocześnie więcéj, niż jednéj rzeczy wyobrażenie. Atoli te ich wyobrażenia są *grubo-zmysłowe* i *bardzo ograniczone*. A co najważniejsza, nie mogą one pojąć żadnéj własności oderwanéj od swego przedmiotu, i stosującéj się do wielu innych rzeczy; np. źwiérzę widząc drzewo, nigdy się nie zastanawia nad jego naturą, rodzajem, gatunkiem, kształtem, pochodzeniem; nie umié uważać własności rzeczy oddzielnie od samych rzeczy. A zatém *władze abstrakcyi i głębszéj rozwagi*, co tak wielką grają rolę w duszach naszych, zupełnie obce są źwiérzętom. Nie mogą one przeto znać, ani ocenić istotnych różnic i wzajemnych między jestestwami stosunków. Pies, choć ma przywiązanie do swego pana; ale nic nie wié, czy pan jego jest machiną, czy osobą żyjącą. Możnaw nim wzbudzić taką samą przychylność i dla lalki; byleby ta lalka głaskała psa i dawała mu jeść, będzie się jéj podobnie przymilał i łasił, jakby człowiekowi. Oznaki więc psiego przywiązania nie wiele wartości mają.

Ponieważ źwiérzęta nie umieją sobie tworzyć wyobrażeń oderwanych, więc nie mogą rozumować, ani sądzić o niczém, a tém samém nie mogą nigdy dojść do rozleglejszych pojęć o rzeczach. Dla tego też nie są w stanie nabyć żadnych umiejętności ścisłych, ani sztuk pięknych. U nich miejsce rozumu zastępuje ów popęd wrodzony, wewnętrzny, który ich dowolne poruszenia i działania skierowuje zawsze

ku celom ziemskim jedynie i wyłącznie, to jest, ku zachowaniu ich życia organicznego, i rozmnożeniu, co nazywamy *instynktem.* Instynkt źwierzęcy różni się od rozumu ludzkiego dwiema własnościami: 1) jednostajnością działań, to jest: że wszystkie źwierzęta jednego gatunku, wszystko jednym i tym samym sposobem robią; 2) nieomylnością w dosięgnieniu swego celu, to jest: że każde źwierzę przed wszelkiém doświadczeniem, bez żadnéj nauki, robi to koniecznie i nieochybnie, do czego z natury jest przeznaczone. Ale *zdolność postępowego doskonalenia się*, tak droga i niewysłowiona, duszom naszym właściwa, nigdy nie może być własnością źwierząt. Bo, jak się codziennie przekonywamy. nie postąpiły one od 6,000 lat w niczém, ani na jotę. Bobry dzisiejsze budują sobie domki zupełnie tym samym sposobem, jakim je niegdyś stawiały w najdalszéj starożytności, i nigdy im na myśl nie przyjdzie wynaleźć inny środek zabezpieczenia siebie przed myśliwymi, którzy już na wskróś znają budowę ich domków, i wiedzą, jak i którędy je tam złapać. Małpa, bezwątpienia najzmyślniejsza ze źwierząt, choć sto razy widziała, jak ludzie uprawiają rolę, jednak, mimo swego talentu naśladowczego, nigdy ich w tém naśladować nie zabiéra się szczérze. A ileż to razy grzeje się przy ognisku dzikiego Indyanina; przecież ani pomyśli skrzesić sobie ognia lub utrzymać go przez dokładanie drzewa, choć tak lubi ogień i szuka go. Najmniejszéj przeto nie podpada wątpliwości, że źwierzęta niemają *rozsądku,* ani *rozumu.* Dla tego nawet w rzeczach najlichszych posunąć się daleko nie mogą. Nie mają nawet ciekawości, która jest wyłącznie człowiekowi właściwa. A tak nie mając wcale rozsądku, ani rozumu, nie mogą ani o Bogu, ani o porządku moralnym żadnego powziąć wyobrażenia; w postępkach swoich nie odnoszą się do stwórcy swego, ani miłują go, ani mu czci nie oddają. Modlitwa, to hasło życia wiecznego, nieznana jest źwierzętom.

Można więc stanowczo powiedzieć, że najgłówniejsza cecha, która najistotniéj człowieka odróżnia od źwiérząt, jest to, iż między wszystkiemi stworzeniami tylko sam człowiek jest istotą *religijną*. Sprawiedliwie mówi J. I. Kraszewski, iż ta jedna uwaga, że człowiek potrafił wznieść się rozumem swoim do pojęcia bytności Boga i że go poznał przez objawienie nadziemskie, każe go z dzielnicy źwiérząt zupełnie odłączyć i nad nią wywyższyć.

Co do *pamięci*, źwiérzęta mają tylko pamięć rzeczową; bo w ich pamięci tkwią tylko obrazy rzeczy dotykalnych, które się obiły o ich zmysły, i nic więcéj. Lecz nie mają one pamięci myśli, pamięci historycznéj, któréj porządne myślenie jest przedmiotem, która u nas zatrzymuje w logicznym związku mnóstwo przedmiotów i zmysłowych i nadzmysłowych, a świadoma przeszłości rozwija nam cały świat nabytych wyobrażeń. Takiéj pamięci nie posiadają źwiérzęta.

Co do *przeświadczenia o sobie* i *sumienia*: wszelkie postrzeżenia praktyczne utwierdzają nas w przekonaniu, że dusza źwiérzęca nie zastanawia się nigdy nad sobą samą, nie wchodzi w siebie, nie zagłębia się w sobie saméj, jak dusza człowieka; nie ocenia swoich własnych poruszeń i działań; nie przychodzi nigdy do uznania siebie saméj w swojém jestestwie; słowem, niéma przeświadczenia o sobie, ani sumienia. A zatém dusza źwiérzęca nie jest osobą.

Co do *wolnéj woli:* dochodząc przyczyny każdego poruszenia w źwiérzętach przekonamy się łatwo, że źwiérzęta nie mają wolnéj woli; że wola ich jest ściśle ograniczona chwilową potrzebą. Nawet kiedy źwiérzę działa przeciwko swym instynktom, kiedy się opiéra swym chuciom, nie przestaje być ich niewolnikiem. Niech kto psu zgłodniałemu położy kawał mięsa, i niech trzyma kij nad nim, ciągle mu grożąc, aby nie ruszył, — instynkt przyrodzony zaspokoje-

nia głodu pobudza psa rzucić się na mięso; lecz także przyrodzony instynkt uniknienia bólu od uderzenia kijem, silniejszy od tamtego, powstrzymuje psa. Źwiérzę, mając obierać między bólem a rozkoszą, między śmiercią a życiem, nigdy a nigdy nie obierze bólu, ani śmierci, jeżeli do tego przemocą lub gwałtem nie jest zmuglone; co przecież u ludzi nie koniecznie i nie zawsze następuje. Ludzie dla wiary, sumienia i cnoty pokonywają nieraz najmocniejsze czucia cielesne; częstokroć przekładają męczeństwo i śmierć nad życie i rozkosze. Nie jeden przez szlachetność i moc duszy poświęca się dla uratowania życia i dobra bliźnich. Tylko więc wola człowieka jest wolna i moralna rzeczywiście; bo może dla pobudek moralnych obrać cierpienie zamiast rozkoszy, nieszczęście zamiast dostatków i swobody; bo sama siebie rozumie, sama sobie cel obiéra, i do niego dąży. Źwiérzęta, chociaż mają ogromną siłę fizyczną; ale o niéj nie wiedzą, ani takowéj celu nadać nie umieją. Siła ich bez żadnego pozostaje użytku, dopóki wola człowieka jéj nie ujarzmi, nie sprzęgnie, i celu swego nie przeznaczy. Człowiek, lubo co do ciała od wielu źwiérząt mniejszy i słabszy, przecież ma władzę użycia wszelkich sposobów do pokonania, ujarzmienia, i obrócenia na swój użytek nawet najdzikszych i najsilniejszych źwiérząt. «Człowiek, co z Bożéj łaski rozum dostał w podział, zjadł wołu, wsiadł na konia, lwią skórą się odział.» Źwiérzęta więc żyją pod pewnym *fatalizmem*, pod *prawem niepokonalnéj konieczności*. Człowiek żyje pod *prawami moralnemi*.

Niemniéj co do *zmysłów* różnice są ogromne.

U ludzi wszystkie zmysły są delikatniejsze, mają więcéj jednostajności i równą moc, aby rozum łatwiéj niemi mógł rządzić. W człowieku z wrażeniami zmysłowemi łączą się uczucia moralne, które się stają dla niego źródłem wzniosłych myśli i niektórych sztuk pięknych, jako to: malar-

stwa, snycerstwa, architektury, muzyki. U źwierząt zmysły nigdy nie są tak delikatne, i nie mają między sobą proporcyi: zawsze jeden wygórowuje bystrością nad drugiemi; np. węch u psa, aby zwąchał i wytropił zająca; u dzika, aby przez grubą warstwę ziemi zasłyszał trufle; wźrok u orła, aby z pod obłoków odkrył żertwę na zaspokojenie swego głodu, słuch u zająca, kreta, niedoperza, a szczególniéj u ptaków nocnych, aby mogły podsłuchiwać zbliżanie się nieprzyjaciela albo słyszeć wśród ciemności poruszenie źwierząt, któremi się karmią. U niektórych źwierząt węch zastępuje miejsce wźroku i słuchu, a jednak wszystkie źwierzęta obojętne są na zapachy. Pies ze swym donośnym węchem ze sto razy przejdzie koło najwonniejszych kwiatów, i uwagi swéj na nie niezwróci. Smak także u ludzi jest nieporównanie delikatniejszy, czego niéma potrzeby dowodzić; bo któż nie widzi, jak wiele rzeczy dla nas niesmacznych i obrzydliwych źwierzęta pożerają żarłocznie. Słuch źwierzęcy obojętny jest na tony muzyki; dla wielu źwierząt najpiękniejsza harmonia bywa nieznośną; gdy ją posłyszą, skomlą, wyją, uciekają, jakby je bito. Wźrok źwierząt prawdziwego stosunku między rzeczami nigdy uchwycić nie może, i drobniejszych różnic, np. w literach pisanych lub drukowanych, niepostrzegają; a wszystkie widoki przyrody, co nam otwiérają duszę, rozwijają myśl, wstrząsają sercem rozkosznie, tysiące przedmiotów, które człowiek z zajęciem ogląda, źwierzęta mijają zimno to wszystko. Ziemia dla nich jest niczém więcéj, jak ogromném pastwiskiem, gdzie mają obfity żer ku nasyceniu swych chuci. Nawet *instynkt płciowy*, u źwierząt ślepy, niepohamowany, uszlachetnia się w ludziach nieokreślonéj miłości płomieniem i dusz spółczuciem. Nam piękna, cnotliwa dziewica anioła wyobrażać się zdaje, bez przystępu nawet myśli nieczystéj.

Tak bardzo podziwiana w źwierzętach *miłość dla dzieci*

nie jest żadnem uczuciem moralnem, jak u człowieka; ale tylko instynktem czyli koniecznym popędem, wrodzonym źwierzętom dla zachowania każdego rodzaju; czego najwyraźniej dowodzi ta okoliczność, że zwierzęta zawsze jednakowym sposobem pielęgnują swe dzieci, i jak tylko te mogą się już obejść bez ich pomocy, zaraz je opuszczczają i stają się dla nich zupełnie obcemi na zawsze. Gdybyśmy więc człowieka ze źwierzęty równali, poniżylibyśmy go przez to haniebnie i bez miary.

Nakoniec i pod względem *ciała* niegodzi się ludzi równać ze źwierzętami. Najbieglejsi bowiem anatomicy wyznają, że utwór organiczny ciała ludzkiego jest najdoskonalszym ze wszystkich stworzeń na ziemi, i obejmuje tajemnice do rozwiązania niepodobne: geometrya, statyka, mechanika są tam zastósowane najcudowniéj, i harmonia funkcyj organicznych, jakiéj niema w źwierzętach. Napróżno więc niektórzy utrzymują, jakoby dusze źwierząt dla tego były tak nieudolne; bo organizm źwierzęcy nie jest tak doskonały, jak w człowieku. Rzecz się ma całkiem przeciwnie: organizm źwierzęcy dla tego nie jest tak doskonały, jak u człowieka, ponieważ dusze źwierząt są bez porównania nieudolniejsze, pośledniejsze od ludzkich. Czyż się godzi przypuścić, aby mądrość przedwieczna obdarzyła dusze źwierząt temi samemi władzami, jak dusze ludzkie, a nie dała im takich samych organów, jak ludziom, jak gdyby umyślnie, aby nie mogły swych władz używać? Wszyscy wielcy badacze natury wykazują jak najdowodniéj tę prawdę: iż budowa fizyczna każdego jestestwa zastósowaną została do jego natury duchowéj, i właśnie dla tego organizm człowieka jest arcydziełem w swoim rodzaju; bo i dusza człowieka jest arcydziełem względem duszy źwierzęcéj. — Uważmy nadto co do źwierząt: że Opatrzność wypisała najwyraźniej wewnętrzny charakter każdego źwierzęcia na jego zewnę-

trznéj postaci, aby człowiek na rzut oka mógł poznać, które drapieżne, jadowite, a które pożyteczne dla niego. Żmije, krokodyle, lwy, tygrysy, orły, sępy przerażają oczyma, i całą swą zewnętrzną postacią, choć-byśmy ich duszy nie znali. Uszlachetniona postać konia i jelenia na piérwszy rzut oka świadczy o dobrych przymiotach i użyteczności tych źwiérząt. Otóż więc u źwiérząt, jaki organizm, jaka postać, taka dusza. Lecz co do ludzi, nikt z powierzchowności nie zdoła sądzić o ich duszy z taką samą łatwością i pewnością, jak z postaci o źwiérzętąch. Kto-by z budowy ciała sądził o duszy człowieka, brałby szatę za duszę. Iluż-to ludzi wielkich fizyognomia wcale takiemi nie zwiastowała! Nie jeden i nie jedna ma piękne i dzielne organa ciała, a jednak nie można wyrzec naprzód z niezachwianą pewnością, jaka w nich mieści się dusza? czy równie dzielna i piękna? Przeto przysłowie powszechne: «*fizyognomie mylą,*» zawsze będzie prawdziwe co do ludzkich fizyognomij; bo co do zwiérzęcych, te nie mylą nigdy.

* *
*

Mówiąc o różnicach między ludźmi a źwiérzętami pod względem psychologicznym, musimy jeszcze zbić przesąd o tak nazwanym stanie pierwotnéj dzikości, w którym piérwsi ludzie mieli żyć, jak źwiérzęta, bez używania rozumu, bez znajomości mowy, bez żadnych towarzyskich stósunków, dopóki po długich usilowaniach nie wzięli się do rozumowania, do wynalazku mowy, do zawiązania towarzystw.

Taki stan ludzi-źwiérząt nigdy nie istniał i istnieć nie mógł; bo gdyby to prawda była, już nigdy-by ludzie z takiego stanu wyjść nie zdołali; żadnym sposobem domyślić-by się nie mogli korzyści z używania rozumu, mowy i społeczności obywatelskiéj! wyniknąć mających, jako rzeczy wcale im obcych i nieznanych; podobnie jak orangutany

nigdy nad tém nie pracują i pracować nie będą, jakimby sposobem postąpić ze stanu źwiérzęcéj nieudolności i źwiérzęcego poniżenia do dziwów rozumu i mowy. W księgach rodzaju ludzkiego Mojżesz z objawienia boskiego naucza, iż Pan Bóg błogosławiąc piérwszą parę ludzi, rzekł im: «panujcie nad rybami morskiemi i ptastwem powietrznem i nad wszystkiemi źwiérzęty, które się ruszają na ziemi"; że wszelki źwiérz polny i wszelkie ptastwo powietrzne było przywiedzione do człowieka, aby obaczył, jakby je nazwać miał; aby nazwał każdą duszę tak, aby było imię jéj. Orzeczenie więc stworzeń, nadanie im nazwy, jest zrozumieniem ich istoty, oznaką wyższości i panowania duchowego nad niemi. Zgodnie z powyższą prawdą, Mojżeszowi objawioną, dzieje najdawniejszych narodów wzmiankują, że piérwsi ludzie żyli w stanie łaski i obcowania z Panem Bogiem; że wszystkie źwiérzęta były im uległe, dopókąd żyli w niewinności; co wszystko potém z własnéj winy utracili. Istnienie zatém niektórych dzikich ludów w téj lub owéj stronie świata, nie dowodzi wcale, iżby człowiek miał wyjść takim od początku z rąk stwórcy, dzikim i tułającym się po kniejach, jak źwiérz, lub niemym, jak ryba.

Czy dusza źwiérzęca jest znikomą, lub nie?

Nie przesadzajmy tylko wniosków jak ci, co z tąd wnoszą, że skoro źwiérzęta mają duszę, dusza ich powinna być podobnie nieśmiertelną, jak ludzka. Wprawdzie zniszczenie duszy źwiérzęcéj, jako jestestwa pojedynczego, niepodzielnego, które ożywiało organizm zwiérzęcia, nie jest koniecznem następstwem zniszczenia tegoż organizmu. Ale co Pan Bóg czyni z duszami źwiérząt? czy one zachowuje, czy niszczy? o tém nic nie wiémy i wiedzieć nie potrzebujemy wcale.

To jednak najwidoczniejsza prawda, że ponieważ źwierzęta nie posiadają rozsądku, rozumu, wiary, przeświadczenia o sobie, sumienia, ani woli moralnéj; przeto nie będą nigdy istotami *postępowemi, doskonalnemi, moralnemi*, a tém samém nie będą nigdy godnemi nieśmiertelności. Jakoż, wszystkie owe dowody i fakta, któreśmy w tomie II dzieła «O duszy człowieczéj" przywiedli, co tak silnie przekonywają o nowych losach, czekających je po śmierci ciała, nie stosują się do duszy źwiérzęcéj bynajmniéj. Źwiérzęta nie mogą nabyć prawa do nieśmiertelności; bo życie źwiérząt płynie, jak płyną wody, niewiedząc kędy i po co. Do czegóż źwiérzętom nieśmiertelność, kiedy one jéj nie szukają nie starają się o nią; nie pragną lepszéj przyszłości, i niczego więcéj nad to, co tu na ziemi znajdują? *O! curvae in terras animae et coelestium inanes!* Co więcéj, nieśmiertelność nie tylko na tém się zasadza, aby żyć bez przerwy, bez końca; lecz głównie na tém, aby *mieć oraz wiedzę o sobie samym, być wiecznie przeświadczonym o swéj osobistéj tożsamości.* Źwiérzęta zaś niémają samopoznania siebie samego, nie znają nigdy swéj duszy; żyją bez wewnętrznego przeświadczenia się o swéj istności, bez pamięci przeszłości, bez znajomości świata, na którym mieszkają, bez poznania i kochania Boga, który je stworzył, zgoła, bez żadnéj innéj myśli, prócz téj jedynie, aby swym obecnym chuciom zadość uczynić. Więc oczywiście niémają innego przeznaczenia, tylko pożyć do pewnego czasu i skończyć na téj ziemi. Wreszcie ta okoliczność, że źwiérzęta doświadczają także rozmaitych dolegliwości; że przechodzą przez różne cierpienia, — nie przemawia bynajmniéj za ich unieśmiertelnieniem. Bo sprawiedliwość boska nagradza w przyszłém życiu te tylko istoty, które znały i zachowały wyższy porządek czyli szereg praw moralnych. Strasznie niegodne miałby wyobrażenie o sprawiedliwości boskiéj, ktoby mniemał,

że mu się należy nagroda wiecznego życia za chorobę artrytyczną, lub podagrę, a nie raczéj za cnoty, za spełnienie sumienne obowiązków stanu i powołania. A właśnie to wszystko obcém jest dla źwiérząt. Nie umieją one czynić dobrze jedynie dla miłości dobra, nie zważając na materyalne korzyści. Moralne cierpienia, jakich my doznajemy na widok ciemnoty, przewrotności, zarozumiałéj niewiadomości i nieszczęść bliźnich naszych, są źwiérzętom wcale nie znane. A wszakże cierpienia moralne są najdolegliwsze i daleko trudniéj je wytrzymać, niż cielesne. Czułość źwiérząt na wrażenia i cierpienia fizyczne, jest niczém więcéj, tylko środkiem zachowawczym dla ich organizmu. Pan Bóg dla tego tylko obdarzył je czuciem bólu lub rozkoszy, pociągu lub wstrętu, aby mogły zachować całość swego jestestwa, aby to ich czucie ostrzegało je o niebezpieczeństwie, odwracało od ciosu śmiertelnego, budząc się w nich za najmniejszém dotknięciem, a nawet na sam widok każdego przedmiotu. A zatém co do źwiérząt nie można niczego więcéj żądać od Pana Boga. Wprawdzie ludzie za wierne źwiérząt usługi, czasem bez litości się z niemi obchodzą, tłuką, dręczą, mordują. Lecz tego, co one od *nas* cierpią, nie godzi się woli boskiéj przypisywać. Obwiniajmy raczéj siebie samych, jeżeliśmy tak pochopni do złego, że najmędrszy porządek od Boga ustanowiony, we wszystkiém zakłócamy, burzymy.

Alexander Łysiński.

STANISŁAWOWI JACHOWICZOWI.

Ja Ci ufam, zacny Panie, że wśród lśniących pawi
Przyjmiesz chętnie śpiew mój bratni, a śpiew to żurawi,
Co Ci wróży wieczną wiosnę; bo dla wiosny żyłeś,
I w tysiącznych wątłych kiełkach ziarno rozpleniłeś.

Dobrym jesteś ogrodnikiem; boć jeszcze w jesieni
Każdy krzewek, coś chodował, w kwiaty się promieni,
I pamięci wieńce zwija na Twoją pochwalę, —
I odemnie nieznanego przyjm stokrótki małe!...
Jakby pasy dawnych panów w lite złoto tkane,
Lecz tło u nich, choć pod złotem, to było wełniane;
Więc pod złotem drogich kwiatów tło będzie wełniste,
A choć proste; ale szczére, — bratnie i ojczyste.
Niechaj takim tłem do wieńców będą me piosenki,
Chociaż szorstkie, to mi przebacz; bo z pod chłopskiéj ręki,
To nie mogą być tak gładkie, jak to pany gładzą, —
Mówią pięknie — piszą piękniéj, a najpiękniéj radzą;
Lecz ja chłopek, jakoś tego nie wiele rozumiém,
Tylko pracę, poświęcenie, to ja kochać umiém!

Antek Niwka, rodem z pod Ojcowa.

URYWEK
Z WESELA KRAKOWSKIEGO.

Hejże wiara! każda para niech mi w koło stanie,
I naszego, a wściekłego! boć wa Krakowianie!
Zgasić światła! niechaj ciemność izbę zewsząd kryje!
A z nas każdy w tańcu tęgo niech w podkówki bije.
To i ogień się rozkrzesze, iskry zamigocą,
Wtenczas ściany do widności blaskiem się ozłocą.
A muzyka niech naszego wciąż nam rznie od ucha:
Każdy w taniec! co ma siły, co mu starczy ducha!
Dzisiaj trudy porwon katu! na bok myśl o pracy!
Niech-no ujrzą, jak my tańczym, dziarscy Krakowiacy.
Gdy Krakowiak dziéwkę ujmie, tak z nią w tańcu włada,
Aż drży ziemia pod nogami, ledwie nie rozpada!

Z pod podkówek skrami bryzga, jakby wicher z ognia,
A dziewucha przy nim w tańcu rzęśnie, jak pochodnia!
Każda iskra, co wybryzga, zaśkrzy w blask różowy
A tysiące spłoną w kole ogniem w pas wężowy.
Gdy się ogień z góry, z dołu, w jedną łunę zleje,
To Krakowiak z swoją dziéwką w płomieniu jaśnieje,
I zwija się, aż mu w pasie kółka w gwoździe brzęczą,
A dziewuchy warkocz w wstęgach migota się tęczą;
Tak się wichrzy, tak wykręca, z prawéj, z lewéj strony,
A hołupce rznie bótami, jak w burzę pioruny.
W Krakowiaku, kiedy tańczy, to pierś ogniem gorze,
A dziewuchy skrzy się buziak, jak o ranku zorze.
Muzyka nam dziarsko grzmiała, pary w takt waliły,
A jak w wielkie święta dzwony, tak okna dzwoniły,
Z sto par nas się zgromadziło i z szczeréj ochoty
W oczach lśniły błyskawice, w uszach biły grzmoty.
To nam życie, to swoboda, to dusza otwarta!
A moc w każdym, to tak straszna, jak kieby u czarta!

Antek Niwka, rodem z pod Ojcowa.

Objawienie.

Nie było-to marzenie, co za chwilę znika,
Nie złudzenie przelotne, co boleść wywoła;
Lecz wola Najwyższego, co duszę przenika,
Objawioną mi była przez Stróża-Anioła.
Wola ta, ocieniona przez senne widzenie,
Jakże błogie, jak święte przywodzi wspomnienie!

C. K.

WOJEWODZIC KANIOWSKI.

USTĘP III.

W Kaniowskiego zamku odległej komnacie,
Na łożu śpi młodzian, wybladły jak chusta;
Krew jeszcze na jego czerwieni się szacie
I imię swéj lubéj wymawiają usta.
Przy nim siedzi Julia, i czuwa troskliwie:
Córka Kaniowskiego jest-to wojewody,
Oczy jéj, w młodzieńcu utkwione trwożliwie,
Chcą poznać, czy rycerz spokojnie śpi młody.
A chory z pełnego marzeń snu się budzi,
Odpędza swą ręką widziadło zwodnicze,
Co w malignie jego wyobraźnię łudzi,
We śnie przedstawiało przeszłe mu się życie.
Julia leki do ust podaje rycerza,
On napój ożywczy natychmiast zażywa;
A gdy coś młodzieniec wymówić zamierza,
Ona swoją ręką usta mu zakrywa.
Wtém wchodzi w komnatę staruszek sędziwy,
Widząc stan młodzieńca, kilka łez uroni:
I on też jest bardzo o życie troskliwy
Tego, co dlań dzielnie używał swéj broni.
A młodzian w gorączce dziwnie jakoś gada,
Wyobraźnia dawne przywodzi wspomnienie,
Pot na jego czole gorący osiada,
I tak opowiedział snu swego marzenie:
Widział siebie dawno bardzo jeszcze małym,
Niańkę, co dla niego była zawsze miła,

Ojca, co na psoty był wyrozumiałym,
I matkę, co tak go namiętnie pieściła.
I przypomniał sobie, niegdy w ciemnej nocy
Jego matka nagle do pokoju wchodzi;
Ukrywać frasunek nie było w jéj mocy, —
Twarz jéj jakieś wielkie nieszczęście dowodzi.
Małego dziecinę w swe wzięła objęcia,
Ściska, całunkami rzewnemi okrywa;
Cicho sługi budzi, strzegąc się krzyknięcia,
I szybko wybiegła matka nieszczęśliwa.
Z dzieckiem w ręku weszła w sklepienie podziemne,
Kazała swéj służbie, by była zebrana,
Wyszukawszy miejsce, jak najbardziéj ciemne,
Ze łzami modląc się padły na kolana.
W zamku łoskot słyszeć daje się ponury,
Co w nim żyje, wszystko prędko się uzbraja,
Dzicy ludzie jacyś rwali się na mury,
Okrzyki tryumfu wydaje już zgraja.
I kroki się jakieś w podziemie zbliżają,
A w niém słychać tylko modlitwy nabożne,
I nagle gwarliwą napełnia się zgrają,
A pani i sługi coraz bardziéj trwożne.
I widział, jak zgraja ze srogą postacią
Z objęć kochającéj matki go wydarła,
Ona, co go z taką broniła rozpaczą,
Upadła od szabli, i oczy zawarła.
A okrutna zgraja nocną jeszcze dobą
Wyjeżdża z dziecięciem i niszczy zagony,
Znaczne łupy, brańce uwożąc ze sobą,
Czém prędzéj opuszcza nieszczęsne te strony.
Wtém polski uderza hufiec na pohańce.
Okropną rzeź sprawia, każdy cios śmierć niesie;
Zostawiając łupy, opuszczając brańce,

Barbarzyńcy w bliskim ukryli się lesie.
A Tatar, co jego na ręku swym nosił,
Rzucił go pospiesznie w lesie między drzewa
A łzami rzewnemi twarzyczkę on rosił,
Gdy w około niego wiatr chłodny powiewa.
I ludzie nieznani w lesie go znaleźli,
Litością ujęci, zabrali na konie,
Do zacnego pana z sobą go powieźli,
I tam wychowany został w dworzan gronie.
I przypomniał Marją, ach, Marją tak tkliwą, —
Marją, z którą razem był dotąd chowany
Coby kosztem życia widział ją szczęśliwą,
Która nim nie gardzi, mimo różne stany.
Kiedy tak Stanisław sen swój opowiada,
Wojewoda ręce oparł na nim drżące,
Pod myśli natłokiem, zdawało się, pada,
Wyobraźnią wspomnień przechodzi tysiące.
I on napad Tatar zbyt dobrze pamięta,
I bitwę pamięta: powód śmierci żony;
Wszak-to *syna* tłuszcza uwiozła zawzięta,
Po którym pozostał żal nieutulony.
Otrząsł się z myśli swych starzec zadumany,
Z rannego młodzieńca nie mógł zerwać oka;
Odsunąwszy rękaw, spostrzegł uradowany
Znak znajomy w kształcie jasnego obłoka.
Stanąwszy przed łożem ucałował *syna*
I twarz jego łzami skrapiał gorącemi;
Padłszy na kolana Najświętszą zaklina
I błaga, by zdrowym wróciła go ziemi.
Nagle się Stanisław z letargu ocucił,
Spoglądał w około wźrokiem zadziwionym...
Gdy na klęczącego rodzica wźrok zwrócił,
„Boże mój!“ zawołał „bądź błogosławionym!“

W kilka dni Stanisław dosiąść już mógł konia,
Odżył dla kochanki, odżył dla rodzica;
Codzień wolno jeździł na te piękne błonia,
Boć to wszak ojczysta była okolica!

Maxymilian Urbański.

Lilia i Powój.

W wiejskiém zaciszu, gdzie się dwa ogrody
Stykały z sobą kwieciem umajone,
Przy samym płotku wyrósł powój młody,
Gdzie lilia drugą zajmowała stronę.
Spokojnie wzrastał aż gdy doszedł płotka,
A gdy z za niego raz wychyli głowę,
W tém się wzrok jego z okiem lilii spotka,
I wnet zawrzało w nim uczucie nowe,
I już wyciąga ku niéj swe ramiona,
I główkę zwiesza na lilii stronę,
Jedynym celem myśli jego — ona,
Wszystkie marzenia ku niéj obrócone.
Raz — w dzień pogodny, kiedy rój motyli
Gdzieś się rozleciał, i gdy byli sami,
Młody powoik korzysta z téj chwili,
Ozwie się do niéj takiemi słowami:
„Kocham cię, lilio! kocham z całéj duszy,
Więcéj, niż wyrzec, niż wyrazić mogę;
Ale czyż miłość nawzajem nie wzruszy
Moją kochankę, moją lilią drogą!“
Zamilkł, a wzrok swój zatopił w jéj lice;
Chce z myśli wyrwać, co się z ust jéj dowié...
A lilii łezki zrosiły źrenice,
Smutno westchnęła, i tak mu odpowié:

„Co ci po lilii, mój powojku miły!
Patrz, jak jéj serce czarny robak toczy,
Jak jéj cierpienia listki poczerniły,
Jak jéj wźrok zawsze gorzka łezka mroczy.
Wszak koło siebie widzisz kwiatów krocie,
One ci dadzą szczęście i swobodę,
Patrz tu werbenki, tam widzisz stokrocie,
Tu świetne róże, tam fijołki młode.“
On nic nie słucha, ku niéj główkę skłania
I coś jéj szepcze, i wzdycha, a ona —
Zda się go słucha, mówić mu nie wzbrania,
Lecz stula listki, chwieje się... i kona.
Powój w rozpaczy gałązkami swemi
Obwija lilię, czułém słówkiem wzywa,
Lecz i on listki już spuszcza ku ziemi
I w jednéj chwili obok niej spoczywa.
Tak prędko zwiędły dwa kwiatki nadobne,
Szczątki ich dawno ziemią się pokryły,
A ponad niemi skabiozy żałobne
I niezabudki główki pochyliły.

J. S.

Bądź wola Twoja!

. . . Spraw, by cnotę wielbiono! ten był wielkim zwany,
Kto nad innych dla szczęścia swych bliźnich wylany,
Kto ich światłem, nauką lub przykładem darzy,
Twoje prawa wyjaśnia, wspólną miłość żarzy,
By się ludzie ocknęli z letargu ciemnoty,
Zbrodnia zbrodni nagrodę, cnota wzięła cnoty!
Słowem, by Twoja wola jedna między niemi
Tak, jak jest w niebie, była i na ziemi!

Romul Suchodolski.

O STANOWISKU POETYCKIÉM DANTEGO I ZNACZENIU „BOSKIÉJ KOMEDYI."

Poezya nie miałaby właściwego sobie uroku, nie byłaby sztuką tyle dla nas zadziwiającą, gdyby ją można chwytać, że tak powiem, na uczynku, wchodzić w jéj skrytości i tajemnice, i jéj istotę wynosić z pod zasłony, którą się jak każda inna sztuka zakrywa. Są cuda, które odczarować się nie dają; w dziełach geniuszu pozostaje dla badacza zaledwo dotykalniejsza część jego jestestwa, objawiająca się przez swe przyrodzone własności, kształty i charaktery. Pod tym tylko względem można odważyć się mówić o Dantem.

Poza geniuszem wielkiego człowieka stoi tuż przeszłość, przytomna tajemném uczestnictwem swego ducha, i rzucająca swój odblask na zakréślającą się sferę nowych pomysłów i widoków. Homer miał swoich rapsodów — *Cervantes* swych średniowiecznych rycerzy — Dante swoje legendy. Jakkolwiek twórczym był geniusz Dantego, nie wszystko przecież mogło być owocem jego myśli. Przyszedł on na świat w wieku,ktory uginał się już pod brzemieniem tradycyi. Wieki średnie, była-to mieszanina powstała ze składu różnorodnych żywiołów, kiedy szczątki oświaty rzymskiéj, jak reszty przedpotopowego świata, spłynęły w powodzi barbarzyństwa, i osiadły na gruncie nowéj cywilizacyi. Były-to dwa społeczeństwa, dwa światy w jeden złączone. Jeżeli wieki takie miały swego Homera, nie możemy go już pojmować w pierwotnéj, dziewiczéj, że tak powiém, czystości, omytego przez chrzest odrodzenia z swojéj pierworodnéj zma-

zy. Tworząc w myśli ideał nowego społeczeństwa, świeżej, feudalnej budowy, musiał on zarazem gościć wyobraźnią w owych starych przeszłości czasach, z kąd wiały jeszcze żywotne tchnienia dawnych nauk i wiary. Z drugiej strony połączyło się wtedy wiele żywiołów zdolnych stworzyć wielkiego poetę. Były-to wieki pełne wiary i zapału, — zapał i wiara czyniły je same przez się poetycznemi. Ten zapał, unoszący się ku przeszłości, ogarnąwszy w sobie ideę nowych czasów, zrodził dzieło zupełnie nowe, chociaż pod wpływem dawnych pojęć.

Dante jest-to uosobiony wiek średni we Włoszech, z całym zbiorem jego wyobrażeń, przesądów, umiejętności i poezyi. W nim, jak w źwierciedle odbija się ówczesna scholastyka, republikanizm feudalny (tak różny od starożytnego) i walki namiętne, zapalające pochodnię wojen domowych. Jest on tłumaczem dogmatu i prawa przyrodzonego, jak Orfej i Muzeusz, — wyobraża, jak śpiewak epopei, żywot i całkowity stan społeczeństwa, swój wiek i swą epokę. Dla tego gdy inni poeci mogą być pojęci i zrozumieni w każdym czasie, Dante miewa epoki jakby swego zaćmienia, upadku swojej wziętości.

To wielkie zagadnienie, które Eschyl zgłębiał o Prometeuszu, Szekspir wykładał w Hamlecie, które usiłowano w Fauście rozwiązać przez umiejętność, w *Don-Juan*'ie przez czyn występny, w Werterze nakoniec przez miłość, — walka między bytem znikomym a nieśmiertelnością człowieka — było także przedmiotem rozmyślań Dantego. Wyśpiewał on życia wewnętrznego szczęśliwość i ubłogosławienie. Zwyciężył tę sfinx tajemniczą, niedostępną dla wieku wkraczającego dopiero myślą w bezmierną przestrzeń ducha. Stawiwszy sobie za przedmiot własnej duszy historyą, upostacił poetycznie myśl czystą, ideę i spełnił najtrudniejsze zadanie nowoczesnej poezyi.

Dante ma w wielorakim względzie takie znaczenie u Włochów, jak dwoma wiekami późniejszy Luter w Niemczech, gdy podobnie, jak reformator niemiecki, wychodzi ze stanowiska religijnego i snuje swój wątek z systemu katolicyzmu. Od końca XII wieku, przewaga kościoła, rozerwanie państwa na drobne rzeczypospolite, były przyczyną, że panujący indziéj duch feudalności nie mógł się tu przyjąć, ani rozwinąć, ustąpiwszy przewagi duchowi religijnemu i przemysłowemu, przed którym zniknął dla Włochów ów troisty świat mitologii, z ideałem rycerstwa, fikcyą najpiękniejszą wieków średnich. Nie byli oni wcale twórcami tego systematu uczuć i wyobrażeń, które w czasach późniejszych natchnęły dwóch wielkich śpiewaków: Tassa i Aryosta. Pod tym względem Włosi w swojéj literaturze różnią się od innych ludów romańskich. Nie znajdziesz między trubadurami wieszcza z namaszczeniem proroczém wiary i pobożności. Jeżeli niekiedy religia zstępuje na ten dźwięczny bardon o złotych i biesiadniczych strunach, usłyszysz śpiéw do N. Panny, albo słabe naśladowanie hymnów łacińskiego brewiarza, a częściej dopatrzysz w takiéj pieśni ujmę świętości i powadze religijnego przedmiotu.

Piérwsze odrodzenie się nauk, wychodzące z Włoch, tego starożytnego ogniska cywilizacyi, objawiło się w nauce religijnéj. Przyjęła ona charakter scholastyczny, piérwéj sobie zupełnie obcy. Zjawili się wtedy mężowie, którzy wszystkę siłę i zapał gorejącego ducha zwrócili ku tajemnicom religii. Niebo, czyściec, piekło, były ciągle przytomne wyobraźni chrześcian, którzy je widzieli oczyma wiary; ale w postaciach zmysłowych i dotykalnych. Mędrcy kościoła usiłowali skreślić je w tak wyraźnych i szczegółowych obrazach, że się z nich wyrodziły z czasem uczone rozprawy o mękach piekielnych i chwale wybrańców nieba. Opowiadano, jak Bóg ojciec unosi się w niebie ognistém, oczyszcza-

nėm ruchem skrzydeł archaniołów i serafinów. Malowano różnobarwe sfery, w których się odbywały tajemnicze ewolucye duchów otaczających tron Najwyższego. W ojczyznie Dantego dawano nawet w pewnym dniu uroczystym sceniczne przedstawienie straszliwego obrazu piekła, które uderzyć mogło wyobraźnią poety, i zaronić w jego duszy iskrę eposowego natchnienia.

Przedmiot zatém wybrany przez Dantego, scena niewidzialnego świata, idealny obraz nieba, czyśca i piekła, był w jego czasach najpowszechniejszym i najwięcéj zajmującym przedmiotem; miał bowiem swoje źródło w wyobrażeniach religijnych, a łączył się dziejowo z wspomnieniami najrozmaitszych wypadków. Wszystkich ludzi znakomitych postaci, wywołane z grobów, miały na nowo ożyć na scenie poezyi. Samo życie Dantego, i towarzyszące mu przygody, wpłynęły na jego poetyczny utwór.

Wyobraźmy sobie tego genialnego człowieka, który, acz mieszający się z spółczesnymi, jest przecież między nimi jakby obcy i odosobniony: — Gwelf z uczucia patryotyzmu, Gibelin z uczucia zemsty; — nie pochlebia bynajmniéj panującym, ani oszczędza papiéżów: ale wszystkie potęgi zarówno strąca w tę otchłań potępienia, którą stworzyła jego wyobraźnia. W oczach ludu wydaje się on jakby istotą środkującą między człowiekiem a zaświatową marą; wié dobrze, co się dzieje w piekle, i zna wszystkie nazwiska potępieńców. Nie jest-to poeta piszący w domowéj ustroni, — ukazuje w sobie raczéj podobieństwo do owych wieszczów starożytności *(vates)*, a nawet w pewnym względzie ma nad nimi wyższość, gdy przepowiedzi jego nie ograniczają się zakresem ziemskiego życia: ale sięgają poza granice świata i doczesności. Gdy w nim zważymy ducha pobożnéj, zapału pełnéj wiary, owo mistyczne widzenie aniołów przytomnych wspomnieniem Beatryxy, skład różnobarwy

wyobrażeń pogańskich z obrazami katolicyzmu, snadno odkrywamy źródło natchnień śpiewaka Boskiéj komedyi. Rzecz widoczna, że ją nosił w samym sobie, w swych pojęciach, wyobrażeniach, nawet marzeniach i ułudach. Sama umiejętność była dla niego jednym z tych koniecznych pierwiastków, które złożyły scholastykę (że tak powiém) poezyi, jaką wiek jego pojmował. Był on wykarmiony razem księgami biblii i Arystotelesa, Wirgilego i scholastyków. Gdy wieszczą piersią zaczerpnął z tych obu źródeł żywiołu, gdy otechnął powietrzem wiejącém z tego dwoistego świata, napój umiejętności przesączył się w jego wyobraźnią, stanął w uroczu jéj świat nowych myśli, nowych kształtów, piękności i poezyi. Namiętność osobista i tkliwe dumania stworzyły naprzód w umyśle poety ideę owéj świętéj niewiasty, ukazującéj mu się w pośród chórów anielskich, z całym urokiem czystości i powabu. Ortodoxya i osnuta na niéj umiejętność przekształciła potém tę niewiastę w symbol teologii, który stał się odtąd dla niego godłem i przewodnią w jego zaziemskiéj podróży. Nie stracił przytém z oczu Dante poetycznéj modły starożytnych, która wskazała mu układ i sposób użycia tych nowych pomysłów.

Przedmiot poematu, przy swym charakterze religijnym, jest największy, najobfitszy i najwznioślejszy, jaki mógł kiedykolwiek utworzyć się w pojęciu ludzkiém. Trudności jego widział sam przed sobą Dante, — a nim do tworzenia dzieła przystąpił, usposobił się wprzódy już-to czytaniem ksiąg, już nadsłuchiwaniem różnego rodzaju podań, legend i powieści, przez które wmarzył się głęboko w ten świat tajemniczy, zaziemski, fantastyczny, utwór wiary i wyobraźni.

Miały średnie wieki legendę o czyścu S. Patrycyusza, która rozległa się była po całém chrześciaństwie, a która zdaje się przypominać mitologiczne podanie o jaskini *Trophonius*'a i podziemnéj wędrówce Tymarcha, opisanéj w Plu-

tarchu. Mógł i Wirgili pożyczyć jéj farb swoich z opisu piekła.

«Kiedy Patryk ś. opowiadał słowo Boże w Irlandyi, objawił mu się był widomie Chrystus, a zaprowadziwszy go na puszczę, ukazał mu ogromną głębinę, i powiedział przy niéj naukę o czyszczeniu grzechów. Wkrótce stanął w téj głębi kościół i klasztor osadzony mnichami. Tłumy ludu garnęły się ku temu miejscu; ale dopiéro po śmierci Patryka próbowano do niego wnijścia. Rycerz jeden, srodze utrapiony grzechami, postanowił udać się w głębią czyśca. Rzuca więc myśli światowe, spowiada się, modli, pości, a sprawiwszy sobie pogrzeb za życia, idzie odprowadzony processyą do otchłani, i zapada w ciemne podziemia. Nie opodal od wnijścia zamieszkałe w gmachu klasztornym postaci zakonne przyjmują rycerza z błogosławieństwem, a pokrzepiwszy go namaszczeniem ducha Bożego, odprawiają w dalszą drogę. Otoczyły go na wstępie straszniejsze od nocnych pomroki, w których zdawało się władać groźne bóstwo milczenia. Wraz rozejdzie się po przepaściach łoskot i huk okropny, jakby świat wszystek nadziemny runął z swojéj posady: z tą groźbą poczęły się złowieszcze próby szatańskie. Zawyły czarty z radości i żądzy pastwy około rycerza. Opanowany potém przez mocy piekielne, skrępowany i wystawiony na mękę ognia, wzywał imienia Jezus, i zaklęciem tego świętego słowa odganiał cierpienia ciała i złe duchy.»

Z dalszą powieścią obraz olbrzymieje do coraz większéj potęgi, przybiéra barwy coraz okropniejsze. «Widzieć tam pełznące węże-szatany, potworę ognistą smoka, potępieńców w obnażeniu i nędzy, wystawionych na pastwę i srogości, i kąsających ziemię z rozpaczy. Dusze zmazane ohydą grzechową rzucone są w szerokie naczynia, a w każdém wrą i kipią roztopione lawy ku ich męczeństwu. Jęki i płacze rozpiérają przestworze bezdenności Rycerz wzmaga się co

chwila duchem nadziei i wiary: nareszcie wicher straszliwy porywa go z gwałtownością, i rzuca w głębią zlodociałéj rzéki, — zkąd po nowéj męce wydobywszy się Owen, za przewodnictwem słupa ognistego zdąża w krainę przestronniejszą, widniejszą, i nieprzystępną już szatanom. Stawa w końcu u wrót wspaniałego przybytku, — dokąd gdy migocącą z dala zajrzał szczeliną, ukazał mu się świat nowy, świat jaśniejszy od zorzy słonecznéj. Był-to raj ziemski, — przejście z czyśca do nieba, zkąd zawiewała cudowna woń nieśmiertelności. Nie godziło się żywemu wnijść do tego siedliska błogosławionych: wrócił więc na świat żywych i opowiedział roskosze, jakich w nim zakosztował.»

Czytając tę legendę, znaną w literaturze francuskiéj z obszernego poematu *Marie de France*, zdajemy się odwiedzać ślady, po których chodził geniusz Dantego. Są, którzy widzenie Alberyka, mnicha z piérwszéj połowy XII wieku, uważają za piérwsze źródło natchnień śpiewaka Boskiéj komedyi. Podobieństwo wszakże leży tu tylko w głównym pomyśle: piękności właściwych temu dziełu dostarczyć mógł sam jedynie kunszt poety. Przyswoiwszy sobie wszystkie niemal wyobrażenia pogańskie, połączył on najświetniejsze barwy mitologii z obrazami katolicyzmu. Nie zamknął poezyi swojéj, jak Wirgili, w podziemiach; lecz ogarniając zarazem świat widomy, naturę i społeczność, pogodnieszych sięgał widoków, i wylatywał myślą ku krańcom niebieskiego światła.

Boska komedya oryginalna jest tak treścią jako i formą. Jeśli ją nazwiemy poematem eposowym, rozwinięciem czynności wielkiéj a razem prostéj, graniczącéj z niebem i ziemią, wyobrażającéj wiek właściwy, z całym zbiorem jego pojęć i wiadomości, wyznać potrzeba, że jest-to wzniosła, podziwienia godna i największa ze wszystkich epopei.

Oto treść i główny zarys poematu:

Dante zabłąkany w puszczy blisko Jerozolimy, zstępuje myślą w zagrobowe krainy cieniów. Wirgili, symbol poezyi, który przez swój opis piekła zdawał się być wtajemniczonym w ten ciemny świat skrytości, przewodniczy mu w jego zaziemskiéj podróży, — i dopiéro na szczycie góry, będącéj rajem ziemskim, opuszcza swego towarzysza, powierzając go skinieniom Beatryxy, niegdyś oblubienicy Dantego, która jest tu uosobieniem teologii. Symboliczna mara przebiega z nim niebiosa siedmiu planet; a w każdém niebie odpowiedziawszy na zapytanie poety, i objaśniwszy jego wątpliwości, prowadzi go wreszcie do trójgranu boskiego mieszkania, i znika w promiennym blasku, nieprzystępnym już dla oka śmiertelnika.

U starożytnych poetów świat zaziemski był krainą zamętu, nierozeznaną we mgle otaczającéj ją pomroki. Dante przedstawił go w obrazie żywym i wydatnym, który mocno rysuje się wyobraźni. Straszliwa przepaść rozpiéra wnętrze ziemi, i w coraz zapadlejszych otchłaniach zniża się aż do jéj środka, gdzie srogi władca piekieł, zanurzony ciałem do połowy w lodowéj topieli, i miotający olbrzymiemi skrzydły po zmarzłych falach oceanu, zadaje potępieńcom okropne męki, których jest wykonawcą razem i ofiarą. Długie przestworze prowadzi ze środka ziemi do krain używających jasności dziennéj, a kończących się u podnóża góry osadzonéj na przeciwległém nam półsferzu. Jest-to siedlisko pokutujących, miejsce oczyszczenia dusz z ziemskiéj zmazy, zwane czyścem. Na stopniach wznoszących się aż do szczytu góry są odosobnione mieszkania dusz pokutujących za grzechy, a aniołowie pilnują każdego przejścia i stopnia. Na samym szczycie osadzony jest raj ziemski. Ilekroć dusza uwolniona z więzów czyścowych zbliży się ku niebu, słychać rozlegające się śpiewy i dziękczynienia w tym pokutniczym, a nadzieją wybawienia opromienionym świecie. Raj

ziemski jest jakby przejściem połączającém ziemię z niebem, z kąd po wzniesieniach szczeblujących z sfery w sferę wstępuje się nakoniec do przybytku ostatecznych przeznaczeń, w podwoje Najwyższego i mieszkanie wiecznéj szczęśliwości. A tak geniusz Dantego stwarza i układa świat swój poetyczny niejako na wzór Wszechmocy i podobieństwo światotwórczych pomysłów nieśmiertelnego Dziełmistrza. Jakby mieszkaniec tego troistego świata, którego obraz przedstawia, raz powabny, świetny, uroczy, zdaje się występować w stroju i godności niebianina, — znowu ze zmianą scen i widoków posępny, tajemniczy, i jak przepaść głęboki, wprowadza czytelnika w zadumę, otacza się ciemnościami zamętu, przeraża trwogą, obudza grozę, albo gwałtownie wymierzonym ciosem tkliwe serca rozdziéra.

Podziwienia godna jest logika myśli, jaka w téj wielkiéj trylogii panuje. W czyścu odbrzmiewają echa jęków piekielnych, — i ten rozhuk głuchy, podobny do dudnienia przepaścistéj studni, który rozchodzi się po dziewięciu otchłaniach piekielnego podziemia, i w pieczarach góry, gdzie się dusze z doczesnych zmaz oczyszczają, miesza się jeszcze z harmonią sfer niebieskich i radosnemi śpiéwami błogosławionych.

Nie ginie tu nigdzie z przed oka cel moralny, który jest przewodnim geniuszem poety. Osoby wypełniające scenę tego mistycznego drammatu, postaci widome nieba, czyśca, a zwłaszczcza piekła, w którém Dante osadził wszystkich odrzuceńców społecznego świata i historyi, mieszczą w sobie naukę ogromnego znaczenia. Było-to główném zadaniem poety. Wpływać chciał na umysły spółczesnych, — ideał swój przenosił w świat rzeczywisty: bo poeta między swym ideałem a światem nie jak źwierciadło stanąć powinien; ale jak szkło palące, któreby serca, niby żagiew' słoneczna, płomiennym żarem zapalało.

Komedyą Dante nazwał swoje poema, w którém złożył całkowite swoje natchnienie, wszystek zapał, jakim się unosił w przywiązaniu do wiary, ojczyzny i Włoch, i w przeczuciu swojéj nieśmiertelności. Pojął on styl nowoczesny, który nie przywłaszcza charakteru ciągle utrzymywanéj godności, jak u starożytnych: położył więc śmieszność i ironią obok powagi, jak i w rzeczywistym świecie częstokroć komika łączy się z wzniosłością i tragicznością. W rzeczy saméj poema to z wyższego uważane stanowiska, przedstawia prawdziwy dramat życia, którego ostateczném rozwiązaniem nie tragiczna katastrofa, ale miłość, a w niéj upostaciowane najwyższe duszy pragnienia — prawdziwa w tém rozumieniu, wiecznie pogodna i uszczęśliwiająca komedya.

Rzecz godna uwagi, że Dante, zrodzony pod gorącém niebem Italii, w téj południowéj strefie, któréj mieszkańcy tak są zmysłowi i przywiązani do zewnętrznéj formy, idealizował w swéj poezyi najczystszą, platoniczną, niebiańską miłość, tak, iż wielu utrzymywało, że jego *Beatrice* była istotą urojoną. Przyczyną tego jest sam wiek i geniusz pisarza. Wszak podobnie pod pędzlem Rafaela Urbino przedmiot zdaje się zabywać wszelkiéj ziemskości, i ukazywać jedynie tę piękność idealną i mistyczną, która wprzódy widzialną była tylko oczom poety-filozofa.

Podróż Dantego nie jest bynajmniéj dramatyczném działaniem: najwięcéj przecież ożywia tę scenę obecność samego poety, który wszędzie tu jest przytomny. Obrazy nazbyt idealne, chociaż nawet i wzniosłe, snadno przesycają i nużą czytelnika. Jakże zajmującym jest w obrazie piekła i nieba Miltona, widok człowieka, a zwłaszcza samego poety, który opowiada swoje cierpienia. To zjawienie się istoty nam podobnéj w świecie wyobrażeń i cudowności poetyckiéj, pociąga nas i wzrusza, jak głos ludzki usłyszany niespodzianie w dzikim i malowniczym, ale bezludnym ostępie. Dra-

matycznie działają na umysł czytelnika te w ciągu całej podróży ciekawe zapytania, tkliwe obawy i uniesienia, to radości, jaką uczuwa na widok Beatryxy, zstępującéj z niebios w oliwnym wieńcu, to wzgardy i nienawiści, z którą na nieprzyjaciół swoich mściwe miota złorzeczenia, — poetycznie zajmują owi pyszni pokutnicy, krążący wedle góry niedostępnéj, i upadający pod brzemieniem ogromnego ciężaru, — owe ruchome jasności, pląsające około poety i jego towarzyszki, nakształt sfer wirujących w koło niebieskiego bieguna, — wreszcie ta wzrastająca stopniami piękność niebianki, w miarę zbliżania się jéj do swego boskiego początku, a w końcu zanurzenie się jéj w promiennym blasku i oblanie jasnością, nakształt drzewa rażonego ogniem piorunowym.

Dante, wzniosły w swoich pomysłach, pełen jest prawdy i prostoty w obrazach. Od czasów Homera, tego przedziwnego malarza przyrody i życia domowego, nie było poety aż do Dantego, któryby miał zarazem tyle twórczości i prawdy. Żaden z sztukmistrzów nie zdołał przedmiotów życia sielskiego z podobną wyrazić szczerotą, którą w literaturze uczonéj i kunsztownéj nazwanoby może płaskością, okazującą smak pisarza surowy i nieukształcony. W poetach, którzy usiłowali malować przyrodę, najczęściéj nic znajdujemy jéj wcale: Dante, malarz nadprzyrodzonego świata, wszędy najdokładniéj ją obrazuje. Ci ziemscy śpiewacy, którzy obiecują nam wierny wizerunek życia, nie znają go wcale, albo go zasłaniają swoim opisem, swoją mową: a ów poeta, mieszkający myślą poza granicą świata, śpiewak mistyczny i idealny, otoczony chórem aniołów, i z gwiazdy na gwiazdę unoszący się siłą attrakcyjną wiary i miłości, umié przedstawić nam żywe malowidło wieśniaka i pasterza italskiéj ziemi, w którém ci ludzie sami-by się poznali i odgadli. Jeżeli chce malować umysły z chciwą żądzą nęcące się ku słucha-

niu uroczych dźwięków *Casell'*i, i nawzajem rozpierzchające się na głos surowy Katona, przyrównywa je do gołębi, które gdy zlecą do kupki zbierać rozsypane po ziemi ziarno, jeżeli je co nagle spłoszy, natychmiast zrywają się i rozlatują w powietrzu. Droga czyścowa, tajemnicza i trudów pełna, którą przebywać trzeba z męczeńskiém wysileniem, przypomina mu niegościnne manowce po wąwozach Italii, ciasne drożyny i przejścia, które wieśniak staranny zasłania opłotkami z ciernia, kiedy winnica jego dojrzewa. Duchy czyścowe, występujące jedne po drugich na widok zbliżającego się poety, wiodą mu na myśl równie powabną scenę wiejską. «Tak (mówi) wychodzą z koszar otwartemi wroty owce: naprzód jedna — potém druga — a za nią trzecia, i inne koleją postępują lękliwie, z schyloną głową i oczyma spuszczonemi ku ziemi. Co piérwsza robi, to i drugie; jeżeli się zatrzyma, wszystkie się zatrzymają, proste i niewinne istoty, same nie wiedząc, dla czego?" — Oto tajemnicza sztuka artysty, który umie być nowym i poetycznym w użyciu prostych i najpospolitszych farb do swego obrazu.

Powtarzano nie raz z podziwieniem, że krytycy starożytni nie znajdowali w Homerze ani jednego wyrażenia płaskiego, chociaż twórca Iliady i Odyssei dwa tak obszerne ułożył poemata. Rzecz pewna, bo za czasów Homera, w wieku prostoty i bezpośredniego zbliżenia się do natury, nie było wcale wyrazów płaskich i nieprzyzwoitych. Homer przyrównywa Ajaxa, walczącego z ślepą zaciętością, do osła, którego wieśniacy nie mogą kijmi i łozami wypędzić z zarosłego ostami pastwiska. Podobnie Dante maluje w obrazie raju cisnące się ku niemu duchy błogosławione, przyrównywając je do rybek napełniających czystą i niezmąconą sadzawkę, kiedy do porzuconej im nęty plusną razem po wierzchu wody.

A tak, mimo nieskończoną różnicę, jaka zachodzi między

poetą starożytnym, pierwotnej i najodleglejszéj epoki, a poetą wieku średniego, Dante, za wskazówką i natchnieniem geniuszu, potrafił odszukać bogactwo 'przyrodzonych farb i obrazów, wdzięczną, ujmującą prostotę greckiéj poezyi. Takie obrazy nastręczają się szczególniéj czytelnikowi w ostatniéj części poematu, w któréj Dante wyśpiewał raj czyli niebo. Tu mistrz w sztuce obrazowania przedmiotów najczęściéj przywołuje na pomoc pęzel dzielmistrzyni przyrody. Można wystawić sobie w umyśle te długie próby, przez jakie przechodzą dusze pokutujące i oczyszczające się z zmazy grzechowéj: ale jak pojąć i ustanowić stopnie niebiańskiéj szczęśliwości? Wirgili zaledwie zdobył się na dwadzieścia wiérszy do skreślenia powabu pól elizejskich:

Devenere locos laetos et amoena vireta
Fortunatorum nemorum, sedesque beatas itd.

«Przyszli (mówi) do téj krainy radości i szczęścia, tych uśmiéchających się zielonością gajów, siedliska błogosławionych, kędy swobodniejsze powietrze powiewa po przestrzeniach objaśnionych światłem purpurowém. Mają te miejsca swoje słońce i swoje gwiazdy. Jedni zawodzą tu ucieszne igrzyska, mocują się w wesołych zapasach, i potykają po rycersku na piaszczystéj równinie. Inni bijąc stopami w ziemię, odmierzają muzyczne spadki choru i śpiéwają pieśni.”

Otóż cały raj Wirgilego. Kilka dusz wybranych, bohaterów, poległych za ojczyznę, i wynalazców rzeczy użytecznych, ukazuje jeszcze poeta na uzupełnienie tego obrazu. Te duchy, zacnością swoją uprzywilejowane, biesiadują skromnie, spoczywając na miękkiéj murawie:

Conspicit ecce alios dextra laevaque per herbam
Vescentes . . .

Jak obfitym i twórczym okazuje się tu geniusz Dantego, który z tego samego przedmiotu potrafił wysnuć zadziwia-

jący świat tylu piękności, utworzyć osobny i tak rozległy poemat! Wszyscy poeci, którzy odważali się malować przybytek błogosławionych, przedstawiali jedynie *elysium:* Dante sam odmalował nam niebo.

Ale przyznać potrzeba, że obfitszym daleko i szczęśliwszym był w kreśleniu odwrotnego obrazu, piekła. Wyobraźnia ludzka mniéj zazwyczaj rozwija potęgi w przedstawianiu szczęścia, niżeli cierpień i niedoli. Radzi wylewamy na świat ten kielich goryczy, który nie dozwala nam w cierpieniu usypiać tak bezwładnie, jak na miękkiém łonie roskoszy i swobody. W kreśleniu raju Dante wyczerpuje się rychło, i rzuca w objęcia scholastyki, którą wykłada wprawdzie z rzadkim i zadziwiającym talentem; ale (w końcu zwłaszcza poematu) staje się zimnym i nudnym. Ta uwaga jednakże jest tylko względną: dla nas samych takim wydaje się Dante. Rozprawiacz subtelny i mistyczny, nie był wcale zimnym i tęsknym dla spółczesnych. Owe zaciekłości scholastyczne, rozumowania S. Tomasza i S. Bonawentury, miały w swoim wieku ponętę, dziś dła nas obcą. Tradycye dawnego świata, umiejętność teologii, wyobraźnia i namiętność — oto żywioły i umysłowe zasoby Dantego: religia, miłość, polityka, a z niemi uczucie wzgardy i zemsty, cztery polygnotyczne farby, z których się składa Boska komedya.

Czytając to poema, spotykamy w niém podania starożytnych, ale ubrane w nowe szaty, i obok nowych występujące pomysłów. Tak minotaur, centaury, harpije, przebiegają w postaciach mitologicznych obszary piekła: ale obok nich widzimy zielone hydry i węże, właściwe wiekom średnim. Okropny-to i przez samego Dantego stworzony potwór, który czepia się *Brunelleschi*'ego, zlewa z jego ciałem, i w przerażające mieni straszydło. A jako niéma zdarzeń historycznych, któreby poecie były obce, tak i umiejętnych pojęć, z którychby pęzel jego nie korzystał. Zapatrując się

na naturę poetycznie, badał ją równie okiem filozofa. Postrzeżenia jego w fizyce są wielce zadziwiające. Naturaliści zapewniają, że znał rośliny skrytopłciowe, — w jedném z najpiękniejszych porównań mówi wyraźnie o śnie roślin. Niemniéj uderzają pomysły jego o tęczy, o wpływie światła na dojrzewanie owoców, o przyczynach koloryzacyi liści, o prawie ciążenia ciał, i porównania w kilku miejscach czynione do igły magnesowéj.

A tak dzieło boskie jest prawdziwą encyklopedyą wieku XIV, przedstawiającą jakby treść umiejętności przyrodzonych i metafizycznych swego czasu. Twórca najznakomitszy fantastycznego świata w wieku średnim, zmieścił w niém cały niejako świat rzeczywisty, wiedzę i naukę spółczesnych. Wiadomo, że gwiazdarstwa uczył się był od *Cecco d'Ascoli*; kosmograficzne wiadomości, myśli o własnościach i o prawach przyrody, powziął w znacznéj części od mistrza swego Brunetto Latini, którego z uwielbieniem wspomina. Według Brunetta, ponad ziemią unosił się firmament kryształowy, który miał być siedzibą aniołów, — a daléj niebiosa purpurowe, *empireum*, przybytek Bóstwa. Mogły i inne poetyczne utwory bliższych Dantemu czasów dostarczyć farb i obrazów śpiewakowi Boskiéj komedyi. Do takich należy: *Liber floreti* Jana *de Garlandia* (z XI podobno wieku) wktórym autor skreśla poetycznie treść i zasady religii chrześcijańskiéj, a następnie wprowadza rzecz o piekle, czyścu i raju. Opisawszy raj, przechodzi od piérwszego aż do dziesiątego nieba: naprzód ukazują się niebiosa siedmiu planet, daléj niebo gwiazd stałych, i niebo kryształowe czyli empirejskie, w którym króluje Bóg, jedyny w trzech osobach. z N. Panną, dziewięcią chórami aniołów, i wszystkiemi świętemi. Komuż tu nie przychodzi na myśl Dante? azali nie z tąd pochwycił iskrę piérwszą natchnienia? Dzieło *Floretus*, które tak wielkiéj używało wziętości jeszcze w wieku XVI, mogło być kiedyś i w ręku Dantego.

Słynny był równie *Sen o piekle* Rudolfa *de Hondan*, prawdziwa satyra, w której poeta opowiadając senną swoję podróż do piekła, miał sposobność uderzyć na panujące wiekn swego zdrożności i występki. U bram piekielnych spotyka naprzód *morderstwo*, *rozpacz* i *śmierć nagłą*. Potém ucztuje zażywając spoczynku, a wtedy Belzebub podaje mu do rąk księgę czarną, w któréj podróżny czyta życia potępieńców. Jest to więc ta sama księga, którą Dante oglądał w piekle, i umieścił w niéj imiona wiecznéj przekazane ohydzie. Wszystkie atoli tego rodzaju utwory, wywołane panującą myślą czasu, uważać można jak pojėdyncze rapsodye, z których jeden prawdziwy powstał Homer. Ani wzmianka o nich może uwłaczać geniuszowi Dantego. Ten twórczy duch wykształcił w sobie żywioły, z których nowoczesna powstała literatura. Dzieło *Comedia divina* nazwać można hymnem uroczystym, wyśpiewującym tryumf jéj odrodzenia. Jest-to największy, najgenialniejszy utwór, jakim szczyci się wiek nowożytny,—jedyny pomnik przeszłości, który się w żadném nie powtórzył dziele, i sam jeden pozostał w apoteozie swego czasu. Nikt nie odważył się naśladować Dantego—nikomu nie rzucił on swego proroczego płaszcza,— nię zrodził się żaden wieszcz z jego natchnienia. Cóż to więc za postać tak wzniosła i nieogarniona, że się raz tylko ukazała światu!

Znał sam poeta swoję wyższość, i złożył poniekąd ofiarę miłości własnéj w swém dziele, gdy myślą wyniesiony po za granice ziemskiego świata, mówi o swojéj chwale, tłumaczy swoje widoki i nadzieje. Na wstępie do otchłani czyścowéj, spotkawszy jednego z swoich niegdyś przyjaciół, muzyka, prosi go, aby dla uciechy mieszkańców tego świata zaśpiewał im jednę z pieśni *(canzone)* Dantego. A tak, jest on w miłém odurzeniu i przeczuciu nieśmierteluości, sam niejako śpiewakiem i prorokiem swojéj chwały.

Kraków. **Karol Mecherzyński.**

Ustępy z rękopisu dzieła:

KOBIÉTA

CZYLI

ŚMIÉCH I ŁZA.(*)

I.

...Kommunizm nawrócony, przyjąwszy znamię chrztu świętego, poczyna nam się przedstawiać w téj postaci, w jakiéj Zbawiciel nasz boski chciał, ażebyśmy go pojmowali i jako następstwo uważali chrześcijaństwa: pod imieniem *Socyalizmu* z góry na dół spływający w społeczeństwo przez prawa i instytucye krajowe, z korzyścią ogółu, przez filantropijne i inne pożyteczne korporacye; wreszcie przez poczucie się samowolne każdego do udziału i wpływów na losy drugiego, do podzielania z nim dobrowolnie, czego sam ma po dostatkiem, a tamtemu nie dostaje...

Socyalizm taki, nie z łona ziemi, jak wulkan wyrzucony; lecz płynący raczéj z nieba, mający religią za przewodniczkę, a za cel, istotne ustalenie spokojności społeczeńskiéj, — i kobiécie wielkie przyniósł korzyści, wskazując jéj stanowisko praktyczne, pożyteczne; lecz oraz i wzniosłe, zastósowane do jéj przeznaczenia i usposobienia; stanowisko czynu, ducha i serca, uwalniające ją od wielu słabości i krępucych ją przesądów.

(*) Dziełko to ogłoszone zostało przez 2 dzienniki Lwowskie, jako drukować się mające we Lwowie u Kornela Pillera.

Tą drogą idąc, byłby on już ludzkość nierównie daléj poprowadził w postępie ducha, gdyby nie zuchwały i zawistny mu potomek jego a wnuk kommunizmu: *Merkantyzm* bezwarunkowy, z płynącemi w żyłach swoich skłonnościami ś. p. dziadka: *chęcią użycia*, wszystko na wagę mierząc złota; cokolwiek zaś na tę wartość zredukować się nie da, bardzo małą, lub żadnéj w opinii jego niéma ceny.

Dla tego-to religia w oczach *merkantyzmu* jest rzeczą niepotrzebną, wymysłem ludzkim na ujarzmienie raczéj, niż podniesienie ducha; ideą, która z duchem czasu podnosi się, lub upada, i nic więcéj! Przy takich wyobrażeniach i zasadach, gdzie korzyść praktyczna jest *bogiem*, chęć użycia *natchnieniem*, zaspokojenie bezwarunkowe zachceń zmysłowych *wolnością ducha*, a pieniądz *zbawieniem*, — kobiéta prawa, jako istota serca i ducha, to istne *nic* w dziedzinie matematyki, olbrzymich wynalazków i machin, — wyszłaby na kompletne zero, gdyby jeszcze praktyczna strona jéj zawodu w społeczeństwie, jako zarządczyni wygód i potrzeb domowych nie utrzymała jéj choć przy najmłodszéj jednostce, dopóki i tego jéj nie odbiorą nowe machiny i odkrycia.

II.

Mężczyźni XIX wieku znękani czczością i błąkaniem się po pustym stepie pomysłów idealnych i z nich wynikłemi utopiami i zawodami, odepchnąwszy je ze wstrętem, rzucają się namiętnie w objęcia pomysłów praktycznych, w nich jedynie upatrując przyszłe zbawienie; gorączkowo zatapiają się w świat materyi, i usiłując podnieść ją do apoteozy, gardzą bezwarunkowo wszystkiém, co tylko z duchem, lub ideą jego ma stosunek. Jedni nie mogąc się go wyprzeć, ani stłumić w sobie całkiem, zmuszają się do tego gwałtem, mylném powodowani przekonaniem, (a radzi wmówić w siebie ten wstręt koniecznie), najmniejszemu odniesionemu zwycięstwu

materyi nad duchem przyklaskują mechanicznie za drugiemi, gdyby najęci klakierzy teatralni, niewiedząc często nawet dobrze, o co idzie? Drudzy, a tych niestety, niemała podobnoś jest liczba, czynią to z umysłu i z zasady, starając się zabijać ducha w jego najsłabszych pojawach, już w łonie ludzkości, a obudzać cześć dla materyi pod wszelkiemi jéj kształtami; bo ta od dawna była bóstwem ich wewnętrznném, a duch nieznośnym i niepotrzebnym wcale krytykiem, sędzią, i jakby ironią mimowolną ich uczuć i postępków. Ci-to mężowie mając się za apostołów zdrowego widzenia rzeczy, poczytują sobie za obowiązek, głoszenie swych zasad, jakby naczelnicy nowéj szkoły, któréj najpierwszemi uczniami (jeżeli są żonaci) chcą mieć swoje żony, późniéj i dziatki, niszcząc i wyszydzając w nich wszelką duchowość, jako wiodącą do nieznośnéj, podkopującéj zdrowie exaltacyi, wszelkie uczucie delikatne, jako nudną sentymentalność, osłabiającą nerwy kobiéty; wszelką estetykę, jako do niczego prowadzącą poezyą i t. d. Zaślepieni! niewiedzą, że kobiécie odebrać religię, to jest odebrać jéj cnotę, zabić w niéj ducha; jest-to zamienić ją w materyę samą; wyszydzić lub oziębić w niéj serce, jest-to obudzić w niéj próżność, zawiść, samolubstwo i pychę; słowem, oddać ją na pastwę przyrodzonych jéj słabości, temperamentu i obudzonych przez cześć dla materyi namiętności. A potém dziwią się sami, i wyrzekają na żon niepoczciwość, przypisując to duchowi czasu! . . .

...Wglądnąwszy zaś bliżéj i głębiej w tę szerzącą się z drugiéj strony antypatyą mężczyzn do towarzystwa kobiécego, wstręt wyraźny do objawu wszelkiego wyższego w niéj wykształcenia, dostrzega się z boleścią, że powodem téj muzułmanii, ogładzonéj cokolwiek jeszcze *fashionabl'*nym polorem zachodu, oprócz słusznego poniekąd uprzedzenia do kobiét, jest *uśpienie* zupełne w płci męskiéj *ducha*, i brak

delikatnego a zasadnego wykształcenia... Co dzień mniéj szczęśliwych lub zgodnych przynajmniéj małżeństw; co dzień mnożąca się z krzywdą ludzkości liczba nowego rodzaju anachoretów wśród świata, rozmyślnych celibatorów; sprowadzenie kobiéty z wytkniętéj jéj przez Stwórcę i naturę drogi, zwaśnienie jéj z jéj przeznaczeniem, z sobą samą, i uczynienie jéj zagadką dla siebie; stłumienie w niéj ducha i serca, zamiast kierowania jéj rozumnie za pomocą jednego i drugiego; zamienienie mężczyzny z jéj opiekuna i przewodnika, ledwo nie na jéj prześladowcę: otóż-to wpływy sensualizmu i kommuno-merkantycznéj szkoły naszego wieku; skutki proponowanéj emancypacyi kobiét, a w istocie emancypacyi materyi z pod władzy ducha!

W podobnym stanie rzeczy, wśród téj zimnéj prozy mężczyzn, kobiécie z duchem i sercem, kobiécie zasadnéj, cóż innego pozostaje nad zamknięcie się saméj w sobie? a że tak długo żyć jéj nie podobna, bez otwarcia prądu wznioślejszemu a zapoznanemu jéj uczuciu; z całém więc uczuć wylaniem, z całą serdecznością ucieka się do Tego, który je lepiéj zna i pojmuje od ludzi, który jest wznioślejszym nad wszystko, co ludzie wzniosłém być mienią, który przytula do ojcowskiego łona swego, ze *łzą* litości i udziału wszystko, co ludzie odepchnęli, *wyszydzili;* i oziębione mrozem świata ogrzewa Swą bez granic miłością! . .

III.

...Miłość prawdziwa wzniosła, chrześcijańska jest poświęceniem się i ciągłą ofiarą, jest cudnéj piękności mozaiką, składającą się z samych maleńkich krzyżyków owiniętych w kwiaty.

Miłość i poświęcenie się matki i żony Koryolana Rzym uratowały. Miłość i łzy Matki najświętszéj świat zbawiły. Miłość i łzy Magdaleny grzesznicę zamieniły w świętą.

Poświęcenie się i łzy Jadwigi zjednały krajowi królów Jagiellonów, pod którymi Polska była najszczęśliwszą. Moc wiary i poświęcenie się pasterki z *Dom Remi* ocaliło nieszczęśliwego króla i Francyą. Męstwo duszy i poświęcenie się Chrzanowskiej uratowało twierdzę i część kraju od zagłady a imię małżonka od hańby... A ileż-to jeszcze cichych, światu nieznanych poświęceń ze strony kobiét wpływa na szczęście, na ulepszenie ludzkości!

I dziś, gdziekolwiek miłość chrześcijańska uradzi nieść pomoc fizycznemu czy moralnemu niedostatkowi ludzkości, komuż wykonanie, komu straż świętą poruczają głównie, jeżeli nie kobiétom? Kto mieszkanie w pałacach zamienia dobrowolnie na pobyt w surowém i ponurém więzieniu, pełniąc tam i najcięższe obowiązki rodzinne z tą sumiennością i pogodném czołem, jakby w własnym i wygodnym domu? Kto porzuca złocone salony, pyszne cugi, zaszczyty, tytuły, albo luby własny domek biały, wonny ogród, błonia, rodzinę ukochaną, gaje, sierp, i zagon po dziadach odziedziczony, skazując się na tęsknotę, lub przebywając stepy piasku, bagniste puszcze, nieprzebyte góry, tuli niemowlę do swego łona lub wcale już martwe jego ciałko dźwiga na niesilnych barkach? i to bez słówka zniecierpliwienia się, bez zmarszczenia smutkiem czoła, dla pociechy w nieszczęściu i ulgi niedoli ukochanemu ojcu lub mężowi?...

Lecz nie sięgając li tak szczytnych i dalekich ofiar, zważmy równie owe w kilku ostatnich latach powstałe w Krakowie, Lublinie, Warszawie, Tarnowie i Lwowie Ochrony dla kalék, starców i siérot, szpitaliki, cérownie, domy poprawy, i żłobki dla niemowląt, tak szybko się mnożące, mimo trudnych czasów. Komuż winne są swe założenie, utrzymanie, i ustalenie, jeżeli nie poświęceniu się i szlachetnym uczuciom kobiét pojedynczych lub stowarzyszonych miłogierdziem i miłością chrześcijańską?

Któż jeszcze z stojącym u drzwi chaty żebrakiem, chwaląc Boga, dzieli ciężko zapracowany kawał czarnego chleba? lub odtrąconemu od podwoi skąpca, podaje przez okno kuchenki drobną dziesięcinę z swéj służebnéj płacy? Kto siedzi za bazarem ubogich, do każdego przychodzącego mile się uśmiecha, z każdym pomówi uprzejmie, jakby tam siedziała z powołania? kto w słotę, czy pogodę spieszy do domu siérot, szpitaliku, ochrony? Kto dobrowolnie wyrzeka się miękkości świata, wolności osobistéj i własnego pomieszkania, ażeby je podzielić z siérotami, chorymi, lub nawracającemi się grzesznicami? Kto wyprawia bale, koncerta z udziałem w nich osobistym i wesołością na czole, choćby serce płakało i siły ciała nie odpowiadały zabawie? Kto w dnie Wielkotygodniowe, w mróz, czy dészcz, brodzi po śniegu, czy błocie po zaułkach miasta, spina się pod strychy, i w podziemia nawet schodzi; dla złoconego salonu, jak dla warsztatu lub żelaznéj kielni równą uprzejmość mając na ustach? w dni pokuty siedzi u progów świątyń z pokorą żebraka, i zewsząd, jak nieźmordowana pszczoła miód, z wonnych kwiatów, czy polnych ziółek, znosi datki dobroczynne dla swych biédnych pupillów?... Kobiéta! wszędzie i zawsze kobiéta! — A jakież z tąd odnosi korzyści? Czy zyski pieniężne? czy może pochwały świata i zadowolenie próżności? Głośna chluba, próżna chwała, to dla kobiety chrześcijańskiéj za pozioma; za błaha moneta! Korzyścią jéj całą: *tajemna pociecha duszy* i *zadowolenie serca!...*

Hulcze, pod Bełzem, w powiecie Żółkiewskim, w Galicyi.

Julia Goczałkowska.

ROZMOWA.

Zgadało się o podróżach. Jedni wychwalali Włochy, Szwajcaryą; drudzy Londyn, Paryż, jako miejsca najgodniejsze widzenia.

«A ja» ozwałam się «pragnęłabym być w Palestynie, w téj ziemi świętéj, któréj dotykały stopy Zbawiciela.»

—«Niémasz tam nic do widzenia» odpowiedział sucho jeden z obecnych. A był-to mąż nader światły. Słowa jego zastanowiły mię mocno. Zadrżałam na myśl, że człowiek, którego tak wysoko w méj wyobraźni stawiałam, mógł niemieć wiary, owéj podstawy życia cnotliwego. Zaciekawiona zbliżyłam się do niego i prowadziłam daléj zaczętą rozmowę, a gdy mi w ciągu jéj dowodził, co jest prawdziwa religia, poznałam, jak pełen był miłości Boga i bliźniego, tych dwóch cnót stanowiących prawdziwego chrześcijanina. Poznałam, że im kto jest światlejszy, tém więcéj jest przejęty religią; ale nie tą religią, która zasadza się tylko na zachowywaniu form; lecz religią wyższą, prawdziwą, która prowadzi nas do pojęcia Boga samego; która przekonywając nas, że wszyscy częścią Bóstwa jesteśmy, w każdym bliźnim tego Boga czcić i kochać nam każe. Kto *tą* religią jest przejęty, ten i siebie samego kochając i szanując, nie dopuści się żadnego postępku, mogącego mu ten wewnętrzny, własny szacunek odebrać; ten strzeże się wszystkiego, co-by duszę jego skazić mogło; bo wie, że boskie tchnienie go ożywia, a uniesiony tą szczytną myślą z odwagą dąży do udoskonalenia się; korzysta ze zdolności, jakiemi go Stwórca obdarzył, korzysta z nich dla dobra swego i innych; staje się bliźnim swym użytecznym a tém samém szczęśliwym.

—«Sądzisz Pani» mówił «że ja jestem obojętny pod względem religijnym? o! jakże się mylisz! Usprawiedliwię się z zarzutu, jaki Pani mi czynisz. Ale najprzód wytłumacz mi Pani, na czém, podług Pani, zasadza się istotnie religia? Zmieszana tém zapytaniem zaledwie zdobyłam się na odpowiedź.

—«Dobrze» odpowiedział. „Ale chcąc Boga kochać i cześć należną mu oddawać, potrzeba go najprzód poznać. Cóż więc jest Bóg? — Bóg jest stwórcą *świata całego!* Wznieśmy myśl naszą nietylko do tych gwiazd, które oko nasze na sklepieniu niebieskiém dojrzeć może; ale i do tych, które choć niewidzialne słabym oczom naszym, od wieków jednak w niezmierzonéj krążą przestrzeni. Każda gwiazda daleko jest większą od ziemi naszéj, która nam tak wielką się być zdaje. Koło każdéj takiéj gwiazdy obracają się ziemie podobne naszéj i każda z nich stanowi doskonały systemat, najmądrzéj uregulowany, i stanowiący w ogólnéj całości najzupełniejszą harmonią. Liczba tych światów niéma końca; a przestrzeń, w któréj krążą, jest bez granic. Gdyby myśl człowieka, co jest tak szybka, że w mgnieniu oka przeleci odległość, która ziemię od innych ciał niebieskich oddziela, gdyby (mówię) myśl nasza tysiące lat tak biedz mogła, jeszcze-by krańców téj przestrzeni nie znalazła; wszak ogrom światów jest nieskończony i dla tego umysł człowieka objąć go nie zdoła."

„Owóż Istota, która tym światom ruch nadała, Istota najwyższa, która w tym niezmierzonym ogromie wieczną harmonią utrzymuje, któréj wszechwładna siła wszystkiemu życie nadaje, tą Istotą jest Bóg, równie jak świat przez niego stworzony wielki, nieskończony, niepojęty! I tę Istotę najwyższą mamyż sobie tak zdrobniałą wystawiać, żeby Jéj postać zmysłową nadawać. Nie! wzniosłszy tak wysoko umysł nasz, że wielkość téj Istoty pojąć zdołał, godnie cześć Jéj

oddajmy. Pod imieniem *Boga* czcimy wieczną siłę, której wszechmocność wszystko ożywia, która wszędzie w najmniéj widzialnym punkciku niezmierzonegu świata znajduje się, któréj wszystko podlega, bez któréj woli nic stać się nie może. Pod imieniem Boga czcimy Najwyższą mądrość, najwyższą sprawiedliwość, źródło wszelkiéj miłości i miłosierdzia. *Tego*-to Boga zarówno wielbi mieszkaniec Afryki i ucywilizowany chrześcijanin. *Téj*-to Istocie najwyższéj ludzie pokłon oddają, czy-to czcząc Ją pod imieniem Trójcy świętéj, Jehowy, Ałłaha lub innėm jeszcze. Brzmienie tu nic nie znaczy, miłość stworzenia ku swemu Stwórcy, jedynie miarę prawdziwéj czci jego stanowi, i czyni ją miłą Bogu, a może nieraz modlitwa człowieka, nad którego prostotą się litujemy, lepiéj jest przyjęta, niż wszystkie modły Faryzeuszów, którzy fałszywą pobożnością, przyozdabiając się w pychę egoizmu, niewdzięczność w głębi serca kryją. Bóg nie długich modłów; ale *miłości* po nas wymaga. A któż może lepiéj miłować go, czy ten, który nie rozumié, nie pojmuje wielkości Jego, czy ten, którego wiara oświeceńsza rozumnie, dając mu poznać wielkość i dobroć Stwórcy, tém samém większą wdzięcznością i miłością ku temu Stwórcy go przejmuje.

O! gdyby świętoszki, którzy się tak gorszą widząc człowieka rozumem się kierującego, gdyby, mówię, sami w siebie weszli, jakżeby zawstydzeni zostali! Poznaliby, że ich cała powierzchowna pobożność żadnéj ceny w oczach Boga niéma! On tylko na serca patrzy, a jedno westchnienie pochodzące z głębi duszy, pełnéj miłości ku niemu, przyjemniejsze mu jest, niż wszystkie powierzchowne obrządki i modlitwy. Jak wielka nauka zawiéra się w téj gminnéj przypowieści, w któréj ojciec, będący na łożu śmierci, mówi do syna: „Synu! nie żałuj mnie; bo ja niezawodnie pójdę do nieba: — gdyż przez 40 lat co dzień po 10 pacierzy odma-

wiam. Jeżeli mi nie wierzysz, idź do téj skrzyni, obaczysz ją pełną ziarnek grochu, bo za każdym pacierzem ziarko grochu do niéj rzucałem.“ Syn idzie, otwiéra skrzynię, i cóż w niéj znajduje? Nic, prócz *jednego* ziareczka, które leżąc na samym spodzie prawie niedostrzeżone było. To *jedno* ziarnko było oznaką *jedynego* pacierza, który ten człowiek z prawdziwą pobożnością w ciągu całego życia zmówił. Religia nie długich modłów od nas wymaga; ale wymaga, żeby człowiek *miłował* najwyższą Istotę miłując *bliźnich jak siebie samego*, i godnie wypełniając obowiązki, jakie Stwórca na niego włożył. Religia *dobrze zrozumiana* jest źródłem cnót wszystkich: ona prowadzi nas do szczęścia i doskonałości, przejmuje nas najwyższą radością; bo przekonywa o świętéj prawdzie, która wywyższa nas nad wszelkie nieszczęścia i niesprawiedliwości, a w najokropniejszych zmianach i prześladowaniach losu, słodką pociechę w serca nasze wléwa. Kto *prawdziwą* ma religią, ten pod ciężarem rozpaczy nie ulegnie, ten występkom nie da się zbliżyć do siebie, owszem wszystkie cnoty starannie pielęgnować będzie, a przepełniony miłością ku bliźnim, zdolności swe dla ich pożytku rozwinie. Religia przekonywa nas, że wszyscy częścią Bóstwa jesteśmy; że człowiek każdy jest cząstką Boską. Dowodem tego jest, że umysł nasz zdołał Stwórcę swego pojąć, i że człowiek śmiał szczytną myśl o boskiém swém pochodzeniu powziąść. Śmiał ją powziąść; bo czuje wewnętrzne przekonanie, że dusza jego jest boską, przedwieczną, nieśmiertelną, i to właśnie przekonanie boskiéj jéj natury, największym jest dowodem, że każdy z nas, w jakiéjkolwiek religii zrodzony, pochodzi od jednego Boga; każdy z nas przeszedłszy różne koleje, na łono jednego Boga wróci, to jest: dusza nasza, doszedłszy do doskonałości, złączy się napowrót z tą Istotą najwyższą, od któréj początek wzięła. Geniusz człowieka, idealne utwory pędzla, muzyka, poezya, która nas

w nadziemskie krainy unosi, czyż nie wskazują, że dusza nasza z tamtąd pochodzi, i że tam znowu wrócić musi? Tak; dusza nasza jest Bóstwem, dowodem tego zapał jéj do wszystkiego, co wzniosłe, szlachetne i piękne. Czyż widzielibyśmy przykłady heroizmu, poświęcenia, gdybyśmy tchnieniem Bóstwa ożywieni nie byli? Biada temu, który poddając się ułomnościom, ze słabosci natury człowieczéj wynikającym, boską iskrę w swéj duszy stłumia: namiętności, które dla niedościgłych przyczyn Bóg nieodłącznemi od natury ludzkiéj uczynił, biorą wtedy górę nad moralną jego istotą, nad tą częścią jego jestestwa, która jest Bóstwem. Wtedy staje na drodze występku, a dusza jego zostając jakby w odrętwieniu, już dawnego zapału do cnoty nie czuje. Ależ i wtedy, gdy zbrodniarz miarę występku przepełnił, wyrzuty sumienia czyż nie są dowodem, że iskra Bóstwa w duszy jego tleje? cóż to jest sumienie, jeżeli nie głos duszy naszéj, który wszystkiemu, co złe, jest przeciwny? Jestto głos Boga mieszkającego w nas, który nas ostrzega, co jest złém a co jest dobrém; idźmy za tym głosem a niezbłądzimy nigdy. Nie zatapiajmy się w czcze deklamacye nad powinnościami człowieka; ale zgłębmy serca nasze; tam są wyryte ustawy doskonalsze od wszelkich ustaw, najsławniejszych prawodawców; serce wskaże nam, że powinniśmy żyć tylko dla innych, a poniesione krzywdy dobrodziejstwem nagradzać. Zamiast stosów dzieł polemicznych czytajmy po prostu *ewangelią!* Tam znajdziemy wzór postępowania w prawodawcy naszym Jezusie Chrystusie. Jego naśladujmy, a godnie odpowiemy boskiemu pochodzeniu naszemu.“

Straszliwy nawał myśli cisnął mi się do głowy, nareszcie po chwili milczenia rzekłam: „Wszystko, co Pan mówisz, trafia do mego przekonania; ale z tego, com na początku naszéj rozmowy słyszała, zdaje mi się, że Pan w jednym z głównych punktów wiary naszéj różnisz się.“

—„Pani mnie, widzę, nie rozumiész: ja w każdym bliźnim Boga widzę. Tém bardziéj czczę i wielbię w Chrystusie Boga, gdyż słabości i wady przystępu do niego nie miały, a Boskość jego w ludzkiéj naturze skruszyła jarzmo, jakie namiętności na nas wkładają, i jedném tylko przejęta była uczuciem, uczuciem miłości. Chrystus do tego stopnia ludzkość miłował, że dla jéj oświecenia, dla jéj udoskonalenia i szczęścia dobrowolnie śmierć haniebną na krzyżu poniósł; bo wiedział, że przez to umocni ludzi w wierze, że z zapałem pójdą za taką nauką, dla któréj on na krzyżu umarł, i że ta nauka do szczęścia duszy ich doprowadzi.“

„Ach“ zawołałam „jabym nigdy nie była tak śmiała zagłębiać się w téj mierze.

—„I myślisz Pani“ odpowiedział „że ta ślepa wiara, to przytępienie rozumu jest zasługą przed najwyższą Istotą? Gdybyśmy się nie zastan wiali, nie rozwijali umysłu naszego, jakżebyśmy byli Boga poznali? niech rozum przekona nas o tém, czego wiara nas uczy, a będziemy wierzyć *niezachwianie.* Ot np. zaraz Pani powiém: Pani wierzysz w nieśmiertelność duszy, prawda?“

„Wierzę.“

—„Dla czego Pani wierzysz?“

„A jakże niémam wierzyć! wszak wszyscy wiémy, że dusza nasza jest nieśmiertelną: religia nas tego uczy.“

—„A więc dowiedź mi Pani, że dusza nasza zginąć nie może?“

Ja milczę.

—„Widzisz Pani, że mi nie możesz odpowiedzieć. Gdybyś się była nad tą prawdą zastanowiła, to-byś wiedziała, co mówię, i byłabyś mnie nie posądzała. Ale wróćmy do rzeczy. Ja Pani matematycznie dowiodę, że dusza nasza jest nieśmiertelną.“ Tu zacny mąż objaśnił mi zwięźle dowody *filozoficzne* nieśmiertelności duszy; zakończył słowami:

„Kiedy więc ciała nieczułe, nieżyjące, podległe władzy I. stoty od nich wyższéj, są wieczne, taż sama Istota, która je stworzyła, przez której wolą trwałość wieczną mają, czyż ta najwyższa Istota, mówię, miałaby w tym względzie być niższą od tworów swoich i mieć kiedyś koniec? Nie; bo żadne dzieło nie może być doskonalsze od twórcy swego. Kiedy więc najwyższa Istota jest nieśmiertelną, dusza nasza jest nią także; bo dowiedliśmy, że jest cząstką téj Istoty; że sama jest Bóstwem... A co, czy nie przekonałem Panią? Wszak widzisz, że moja wiara jest doskonalszą od twojéj; bo oparta na zasadach. Bądź Pani pewną: kto *taką* wiarą jest przejęty, ten niepotrzebuje chodzić do Jerozolimy. Człowiek prawdziwie religijny Jerozolimę we własném swém sercu nosi; on wszędzie znajdzie pobudki, wzbudzające go do miłości ku Stwórcy swemu, i wierzaj mi Pani, stokroć jest milsze Bogu dążenie nasze ku udoskonaleniu się, niż pielgrzymka do grobu Zbawiciela. Jezus nie próżnéj chwały; ale szczęścia ludzi pragnął. Uczyńmy zadość woli jego: przez cnotę stańmy się szczęśliwemi, rozpamiętywajmy nauki jego, wstępujmy w jego ślady, a z większą to będzie dla nas korzyścią, jak gdybyśmy zwiedzali miejsca, gdzie tyle dla nas wycierpiał... O! i bez pielgrzymek do Jerozolimy możemy Chrystusowi dać dowód naszéj miłości: czytujmy tylko *ewangelią*, i starajmy się, aby męki, które on za prawdę wycierpiał, nie były daremne! Odpowiadajmy woli jego, stając się takiemi, jakiemi nas chciał widzieć. Ale dzisiejsi chrześcijanie czyż idą za ustawami prawodawcy swego? czyż miłują się nawzajem? czyż wspomagają braci w nędzy zostających? czyż mają tę litość, to pobłażanie dla słabości innych, jakie Chrystus, żadnym grzechem nie skażony, dla największych miał grzeszników? Nie! egoizm opanował duszę naszą i najpiękniejsze w niéj zasady przytłumia: mocny gnębi słabego, jeden drugiemu chciałby

wszystko wydrzeć, brat brata oczernia, ażeby siebie wywyższyć. A ludzie chciwi, którzy dla trochy złota wszystkich występków się dopuszczają, fanatycy gotowi brata lub dobroczyńcę na śmierć poprowadzić, obłudnicy korzystajacy z niewiadomości ludzkiéj, aby się bogacić! Ci wszyscy czyż są godni *chrześcijanami* się nazywać? czy idą za ustawam Chrystusa? czyż on *tak* nas nauczał?... Pomimo to z liczby tych ludzi może nie jeden jest *nabożny*, to jest zachowuje *powierzchowne formy religii* naszéj. I cóż z tego, kiedy on jéj *w sercu* niéma, kiedy jéj nie pojmuje, kiedy się nad nią nawet nie zastanowił nigdy. Bo religia *prawdziwa* czegoś więcéj jeszcze od nas wymaga, jak pobożności. By wypełniać jéj przepisy, ileż odwagi, ile wytrwałości potrzeba!... Lecz jakże trudy nasze sowicie wynagrodzić umié! Postępując jedynię drogą, którą ona nam wskazuje, osiągniemy *rzeczywiste szczęście. Wtedy dopiéro* człowiek prawdziwie czuje, że jest istotą boską, gdy się nad wszystkie swe wady i słabości wywyższy, a wyszedłszy zwycięzcą z długiéj walki, jaką staczał, jakaż spokojność, jakie zadowolenie go przejmuje! godnie przetrwawszy tę próbę życia, z jakąż ufnością, z jakiémże utęsknieniem śpieszy na łono najwyższéj Istoty! Tu na ziemi zawsze mu było tęskno, zawsze czuł jakąś niespokojność, udręczenie; bo więzy ciała gnębiły duszę jego; ale tam ona uwolniona, swobodna, nieznanéj, niepojętéj dla nas doznawać będzie rozkoszy. Naprożno człowiek w czarownych kolorach życie wieczne sobie wystawia: ono przewyższy wszystko, co tylko wyobraźnia nasza utworzyć zdoła. Ach! i w mojéj duszy świat ten przyszły w najpiękniejszych maluje się barwach; do niego téż tęsknę, pragnąłbym go poznać jak najprędzéj, i dla tego ja śmierci się nie lękam. Z jakiegoż powodu miałbym się jéj obawiać? ona mnie wprowadzi na łono Boga, do ojczyzny duszy mojéj; ona obdarzy mnie życiem prawdziwém, gdzie już nic nie będzie dla mnie

ciemném, niepewném. Duch mój własną swą siłą wzniesie się, jedném spojrzeniem przedrze wszystkie zasłony przyrodzenia, przeniknie sprężyny, ogromy światów w ruch kierujące, pojmie przedwieczną wszystkich rzeczy przyczynę, a zaspokojony złączywszy się z najwyższą Istotą, razem z Nią na tronie wieczności spocznie i razem z Nią wiecznie królować będzie.“

„Szczęśliwy, kto jak Pan, jest zdolny tak pojmować życie przyszłe i Boga. Ale nie wszyscy mamy jednakowe pojęcia i jednakowe zdolności.“

—„O! bądź Pani przekonana, że dusza wszystkich ludzi żyjących, *jednakowemi* zdolnościami jest obdarzona. Dusze nasze *jednéj* natury, od *jednego* Boga pochodzące, nie mogą się różnić między sobą.“

„Jakto?“ zawołałam „zbrodniarz ma taką samą duszę, co i cnotliwy? dziki człowiek, co się nie różni w powierzchowności i pojęciu od małpy, — który jest ogniwem, że tak powiém, między ludźmi i źwierzętami, miałby mieć te same zdolności, co nie jeden sławny geniusz — poeta, naprzykład, obdarzony wyższém czuciem i rozumem, którego pisma unoszą nas w krainy ideałów? Nie; o tém mnie już Pan nie przekonasz!“

—„A właśnie to przekonanie, że wszyscy, bez wyłączenia żadnego, mamy duszę *jednakowéj* natury, jest najgłówniejszym punktem prawdziwej religii. Jeżeli Pani tém nie przejmiesz się, to pomimo wszystkich modłów i pacierzy, nigdy istotnie religijną nie będziesz. Sądząc z pozoru i powierzchownie dotykając rzeczy, ogromną widzimy różnicę w pojęciach ludzkich. Tego umysł jest bystry, zaś umysł tamtego z trudnością najłatwiejsze pojmuje przedmioty; ów najgłębsze prawdy przenika, tamten znowu, jako-to dziki człowiek, o najprostszych ruchach najmniejszego niéma wyobrażenia. Widzimy, że między *Newton*'em, co wykrył tajniki

natury, *Paganini*'m, co nas czarownemi unosi tony, a wieśniakiem, który niéma wyobrażenia o nauce i muzyce, niezmierzona jest różnica. Ale ta różnica jest tylko powierzchowną, sprawioną przez przyczyny fizyczne. Czyż myślisz Pani, że ten, który słysząc muzykę nie może rozróżnić tonów fałszywych!, ma *duszę* mniéj usposobioną do pojęcia muzyki, niż ów sławny wirtuoz? Nie; ale *organa słuchu* mniéj w nim wykształcone, nerwy zgrubiałe nie dozwalają boskim tonom przedrzéć się do duszy jego. Czyż ten,który wolniéj pojmuje od drugiego, ma dla tego duszę *mniéj* doskonałą od innego? Nie; krew wolniéj krążąc w żyłach, tamuje bystrość jego pojęcia; inaczéj utworzony mózg, w mniejszéj objętości, ścieśnia władze jego umysłowe; ale pomimo tego dusza jego równe ma zdolności, co dusza najpotężniejszych ludzi: ona tylko pod swoją znikomą powłoką zostając, jeszcze w letargu spoczywa; lecz niech się tylko z więzów ciała uwolni, a całą sprężystość i dzielność odzyska. Czyż dla tego, że dyament brudną ziemią okryty, nieoszlifowany, żadnego blasku nie wydaje, przestanie być drogim kamieniem? Mówisz Pani, że niéma różnicy między dzikim człowiekiem a małpą. Bardzo się mylisz: powierzchownéj, prawda, że niéma; są dzicy ludzie, którzy mówić nawet nie umieją. Ale weź Pani dzikiego człowieka i małpę. Małpę, pomimo najusilniejszych starań, niczego nauczyć nie można; ledwie zdoła, jak każde źwiérzę, kilka mechanicznych naśladować ruchów. A dziki człowiek, jeżeli muszkuły jego i nerwy przez wiek i dzikie życie zbyt jeszcze nie zesztywniały, dostawszy się między ludzi ucywilizowanych, wkrótce przez wychowanie zrówna się z niemi, a może i odznaczy. Wszak widzieliśmy tego przykłady. A co jeszcze Pani powiém, nie jeden człowiek może być fizycznie obdarzony wielkiemi zdolnościami; ale niéma sposobności ich rozwinąć.

Pomiędzy wieśniakami, którzy nic nie znają, ileż-by-to filozofów, poetów, malarzy się znalazło, gdyby wychowanie było ich zdolności rozwinęło. Zdarza się czasem, że jedna chwila natchnienia w oka mgnieniu rozwinie talent ukryty. I tak malarz *Correggio* ani wiedział o swoich zdolnościach, ani mu się śniło, że będzie kiedyś malarzem; w tém spostrzega obraz, jest nim zachwycony . . . chwyta za pędzel, i śmiałemi sztrychy tworzy arcydzieło sztuki, mówiąc z zapałem: „i ze mnie także malarz!“ Kto wie, gdyby w téj chwili natchnienia nie miał był pędzla i farb pod ręką, możeby nigdy talent jego nie był się rozwinął. A ileż-to jest ludzi na świecie, których taka szczęśliwa chwila chybiła! Zważ więc Pani, ile-to przyczyn wpływa na większe lub mniejsze rozwinięcie zdolności człowieka! ile-to przyczyn sprawia powierzchowną różnicę między pojęciami ludzi. Ale *dusze* nasze są sobie zupełnie równe; też same mają zdolności; bo mają jedną boską istotę. Co zaś do różnicy w charakterach ludzkich, tę Pani wyjaśnię. Niech Pani nie myśli, że natura człowieka jest złą; — to być nie może, gdyż człowieka ożywia boska dusza; dusza będąc cząstką Bóstwa, brzydzi się wszystkiém, co jest złe. Ale najwyższa Istota, dla przyczyn niewiadomych, każdemu człowiekowi mniéj więcéj dała *namiętności.* Z tych-to rodzą się wady i występki. Dusza nasza, któréj głosem jest czyste, nieprzekręcone sumienie, ciągle walczy z namiętnościami; a gdy te są zbyt silne i zupełnie głos duszy przytłumią, wtedy człowiek najokropniejszych dopuszcza się zdrożności. Pomimo tego jednak dusza największego przestępcy, boskiéj swéj natury nie zmieniła, tylko ona już nie rządzi jego czynnościami; lecz jęczy (że tak powiém) w więzach namiętności, i chociaż stłumiona, bezsilna, nie przestaje być Bóstwem. Czyż dla tego, że Samson pozbawiony swéj siły, poniżony w oczach wszystkich, jęczał w niewoli Filistynów, czyż dla

tego przestał być człowiekiem? — O! nie; wszyscy ludzie w jakimkolwiek bądź stanie, najcnotliwszy i oddający się najszkaradniejszym występkom, wszyscy mają *jednakową* duszę, która jest częścią Bóstwa!“

Ten, który mi to wszystko mówił, zgłębiwszy wszystkie prawdy religii i filozofii, najżywszą miłością ku Stwórcy swemu przejęty, życiem swojém godnie cześć Mu oddaje. O! jakże szczytną jest jego religia!—I ja tego człowieka mogłam o obojętność religijną obwiniać! ja go śmiałam sądzić! ja, co teraz przekonywam się, ile mnie w prawdziwéj pobożności przewyższa! Jedna ta jego rozmowa więcéj mi przyniosła korzyści, niż wszystkie mowy, jakie od dzieciństwa słyszałam; bo chociaż wiedziałam, że prawdziwa religia nie tylko na zachowywaniu form zewnętrznych zależy, przekonałam się, ile-to ona na nas wkłada obowiązków, nad któremi nigdy się nie zastanowiłam. A ten człowiek, którego ja miałam za niedowiarka, jakże godnie jéj zadość czyni! użyteczny społeczeństwu, wszystkie swe chwile cierpiącéj ludzkości poświęca, aby jéj przynieść ulgę; najpiękniejszą część życia strawił nad zgłębianiem nauk nieodłącznych od szczytnego powołania, które sobie obrał. A chociaż czuje wyższość swoją nad tą massą ludzi, która go otacza, najmniejszym niepogardza prostakiem; bo w każdym człowieku widzi obraz Boga, widzi brata, widzi siostrę swoją. Pamiętam, co raz mówił, gdy ktoś przez niego zapytany w pewnym przedmiocie, wymawiał się, że nie może odpowiedzieć. „A to dla czego?“ spytał. — „Nie śmiém; bo źle powiém“ odpowiedziano. „Co? przede mną nie śmieć? a to co znowu? wierzaj mi, że ja niczyjém zdaniem nie pogardzam, choćby błędne było. Wszyscy się mylić możemy, a czasem mylne zdanie na bardzo trafne nas naprowadzić może.“

Co za dobroć! co za pobłażanie! — Nigdy nie zapomnę, gdy mi dowodził, że dusza przestępcy jest *równą* duszy czło-

wieka cnotliwego; bo gdy zbrodniarz odniesie zwycięstwo nad samym sobą, wtedy tak, jak chory powstający z łoża boleści, w jednéj chwili odzyskuje siły, — tak i dusza przestępcy nagle dawną energię odzyskując głośno do niego przemawia, zrywa pęta namiętności, i na dobrą drogę żałującego prowadzi. Nie potępiajmy więc zbrodniarza; ale litujmy się nad nim; czcijmy zawsze w nim ukryte Bóstwo, to jest: duszę jego, gdyż ona nigdy nie przestała być boską; a śmierć dopiéro, ów kres działań człowieka, uwalniając z więzów ciało, uwalnia także i duszę od namiętności, z któremi tak długo walczyła; a ta w pełni swéj czystości śpieszy złączyć się z najwyższą Istotą, od któréj początek wzięła.

L. Ć.

POSŁANIEC NIEBA.

Dla Opiekuna serc naszych dziatek
I ja do Wieńca daję mój kwiatek.
Wprawdzie bez woni, krasy, znaczenia...
Lecz Bóg i chwastom dał moc leczenia.

Gdy lud się zebrał w świątyni Bożéj
Błagać, by Twórca nie karał gorzéj,
By wstrzymał klęskę, darował grzechy,
Posłaniec nieba, słowa pociechy,
Słowa nadziei zebranym głosi:
W imieniu Boga grozi i prosi.
„Jeżeli chcecie, by wiek był złoty,
Trza głodnych karmić, odziać siéroty!
By wiara, miłość zajęła serca,
Niechaj żałuje, kto jest oszczerca!
Niech wynagradza, kto skrzywdził braci!
Kto winien słudze, niech zaraz płaci!

Niechaj brat bratu serca nie truje,
To się i Stwórca dla nas zlituje!
Niech nie zazdrości biédny możnemu;
Niech bogacz będzie bratem biédnemu!
Niech się rodzeństwo z sobą nie kłóci,
To Bóg i klęskę od nas odwróci.
Niechaj zgorszénia nikt nie rozsiéwa,
Niech w piersiach naszych tkwi *miłość* żywa!“

Zaledwie zdążył zejść z kazalnicy,
Już Chrystusowi nań robotnicy
Czekają u drzwi, zalani łzami,
Dla wdów i siérot z swemi darami;
Każdy człek prawy z swojéj możności
Ofiarę serca składa ludzkości...

Ledwie upływa kilka tygodni,
Już wielu siérot, co byli głodni,
Co wyglądali śmierci, zniszczenia,
Mają przytułek, mają odzienia.
Już nasycona ta rzesza mała,
Pokarmem ducha, pokarmem ciała.

Posłaniec nieba do serc wciąż puka,
Wsparcia dla nędzy u możnych szuka,
Te téż nie próżne są kołatania:
Każdy człek prawy chętnie się skłania,
Łączą się wszyscy w opieki grona,
Z czego powstaje siérot Ochrona.

Piotr w okowach **D.**

ULUBIEŃCOWI WSZYSTKICH.

Kto tylko *sobie* budował,
Nic dla siebie nie zakłada;
Kto *świat* cały umiłował,
Ten i *cały świat* posiada.
Chwała przeto i wesele
Każdemu z bliźnich w podziele,
Co spólną bliźnich miłością ujęty,
Wspiéra ludzkości cel święty.

Kaź. Brodziński.

Ty pojąłeś zakon Pana:
Miłość! wielkie hasło Twoje!
W Twojém sercu są jéj zdroje,
Dusza Twa niepokalana!
Bo najdrobniejsza Twa praca,
Zdradza czyste Twe uczucie,
Prostota dźwięczy w Twéj nócie,
A Prawda wszystko ozłaca!

B. Pakajser.

NA ODJEZDNÉM

Z FONTAINEBLEAU.

Bywaj mi zdrowa! mała moja celko,
Gdzie mi się wiodło na lirze pastuszéj,
Kędy z niczego miałem radość wielką,
Z przędzy wysnutéj na pociechę duszy!..

Dziwna-to sprawa, czemu wśród niedoli
Człowiek nie czuje, że go serce boli,
Jeżeli kocha i jeżeli wierzy!
Wiedząc, że wszystko od Boga zależy,
I od natchnienia, jakie w serce poda,
Płynie przez życie spokojnie, jak woda! —
A jeśli czasem na piasków mieliznie,
Po wierzchu rzeki chmura się prześliznie,
I barwy niebios na chwilę poszarzy, —
Z cichą pokorą przyjmie, co Bóg zdarzy.
Bo i cóż robić, gdy tak Bóg przeznaczy,
Że żadną miarą nie można inaczéj!
Pracować szczérze i żywić nadzieje,
Że przecie ziarno nie próżno się sieje,
I że, da Pan Bóg, po biédzie latosiéj,
Pszenica nasza pięknie się wykłosi.
Ale siać trzeba, kmieciu, ty, Adamie!
Bo nie na próżno Pan Bóg dał ci ramię,
I nie na darmo różne dzieli dary
W miarę zasługi, i w miarę ofiary.

Przy tym okienku, za którém się słania
Płacząca wiérzba, drzewo pożegnania.
Jakież-to myśli snuły się o wierze;
Jasne w poczęciu, szare na papierze,
Bo gdzież to można sposoby ludzkiemi
Oddać po ziemsku, to, co nie ze ziemi!

A na ogrodzie, pod starą jabłonią,
Gdzie kwiaty pachną i pszczoły się gonią,
Czegom nie marzył za szczęsnym powrotem
O dużym dzbanie i o miodzie złotym,

O dobrych kmieciach i szlachcie poczciwéj,
Także o pewnéj Hannie urodziwéj,
Która szczęśliwa, jak-to każda młoda,
Lirence mojéj chętnie ucho poda,
I do napoju, co serce pociesza,
Jeszcze i uśmiech życzliwy domiesza!

Bywaj mi zdrowe, spokojne ustronie!
Szerokim światem znowu wiatr pogonię.
To, com ukochał za chwilę porzucę,
Zaczętéj nawet pieśni nie donucę,
Nutę serdeczną przerwałem w pół brzęku,
Lira kochanka wypadła mi z ręku —
A szemrząc w duszy niedograne słówko
Patrzy się na mnie z żałosną wymówką!

Zostań, lirenko moja, ty pieściwa!
Poranny wietrzyk niech na tobie grywa,
Poranny wietrzyk ojczystéj dąbrowy,
I ten szumiący, długi liść wierzbowy,
Którym znajome wszystkie moje troski,
Miłość ojczyzny, tęsknota do wioski,
I spokój, spokój, który miłość wlewa!
Zostań, lirenko, pod opieką drzewa...
A ja po czasie powrócę do ciebie,
By znowu śpiewać o Polsce i niebie!

Rzym.

Teofil Lenartowicz.

SKOCZEK KORONIASTY
(*Eupelix cuspidata*).

I.

Smutno biały z czarną koronką na czole, drobny lecz nie z najdrobniejszych, skoczek koroniasty jak trzaseczka jest suchy; na piasku żyje i tylko w jasne dni lata o południu wspina się do góry po źdźbłach rosnącéj tam trawy, jak on chudéj i spłowiałéj. Dnia 6 czerwca 1856 r. odwiedziłem naszą Saharę: te rozległe zaspy piasczyste za Pragą, bielejące zdaleka, których powierzchniom wiatr różne wyniesienia nadaje, bo tylko gdzieniegdzie niska sosenka lub pozioma wierzba, migdałową zwana, i trzcina piaskowa grunt ustalają. Piérwsze zaciągnienie czerpaka odkryło mi tego skoczka. A oglądając z radością już uwięzionego we flaszce, „otóż i ostatni, rzekłem, który niedostawał zbiorowi mojemu: jakże odmienny od wszystkich! jak wiele im przyda!“

„Nie w szklaném, w dyamentowém zamknięciu godny jesteś przybycia do mnie.“ I to mówiąc, zabrałem się do przepędzenia skoczka w inną z czyściejszego szkła flaszkę; lecz niestateczny więzień, zaledwie mu uchyliłem bramę warowni, nagle wyskoczył i zniknął. Nadaremnie aż do zachodu słońca ponawiałem zamachy czerpakiem, ażeby odszukać dotkliwą zgubę. Zmęczony wróciłem do domu nic nie przynosząc prócz żalu, a żal był jak po utraconém szczęściu.

Pobiegnę jutro szukać go, i już o świcie nazajutrz szedłem za Pragą: wydeptałem całą przestrzeń piasków od Żydowskiego cmentarza aż pod Pelcowiznę, i niosąc czerpak podarty, powróciłem o zmroku trudem znękany, zemdlony goryczą zawodu.

Tylko niepogody dni następnych mogły postawić czoło uporowi mojemu. Nie mam czego pragnę; zobojętniałem, stałem się niezdolny nawet do przeglądania zbioru mojego, niecierpliwiłem się czekając tych błogich godzin, w których czyste niebo wszystkie istoty z tajemniczego ukrycia na jaw wyprowadza. Wszystkie spotykałem, tylko koroniastego skoczka pomiędzy niemi nie było.

„Nie zajrzą oczy moje do zbioru, póki go nie znajdę... Czy ujrzę go kiedy?...

Taki czułem niepokój i tak postanowiłem, gdy postanowienie trzeba było zmienić: dla oczu Zosi otworzyć szuflady, dla małej Minerwy, która przybyła owoce trudów moich ocenić i wytrwałością w znoszeniu ich natchnąć. Czy dotykać i tych na których widok moja niespokojność wzrośnie? jabym je wtedy z dumą przeglądał, gdyby trapiąca myśl moja czuła w nich złożony uspokojenia zakład. Nim to nastąpi, nie będę pamiętał o nich: ona o skoczkach nie wié i nie mogą obchodzić jéj tak drobne. Gdy ich zbiór będzie zupełny a ja spokojny, wszystko co mam wywiodę przed jéj oczy zdziwione.

— „A gdzie tu skoczki? rzekła Zosia, pragnęłabym uszatego zobaczyć.“

Nowym niepokój uderzył mnie ciosem. Drżącą ręką wysunąłem i te szeregi owadów w mym zbiorze, pomiędzy któremi olbrzymem jest skoczek uszaty. A że dla Zosi nic skrytego nie mam, zwierzyłem się jéj z cierpienia, które dopóty trwać będzie, dopóki koroniasty w szereg z innemi nie stanie.

— „Już ja nie dopomogę go szukać: jutro do Różanki wracamy. Alebym szczęśliwą była, gdybym go zkądkolwiek powołać tu mogła.“ I uśmiechająca się odeszła, a ja ponury wróciłem do rozmowy, którą mi przerwała, z duchami samotności mojéj.

Rzuciłem się więc na miejsce w którém dumać zwykłem. Pogoda gotuje się na jutro. Mamże po raz dziesiąty wyjść za Pragę, po raz dziesiąty zawieść się i wrócić bez skutku?

DUCH USPOKOJENIA.

Nie pójdę, w domu wolę zostać. Tyle robót zalega . . .

DUCH NIEPOKOJU.

W świecie owadów tak zmieniają się sceny! Im go później znajdę, tém bardziéj skrzydełka zużyje. Odłóżmy raczéj roboty na późniéj.

DUCH USPOKOJENIA.

Zostanę: on sam się znajdzie, gdy koléj na znalezienie go przyjdzie.

DUCH NIEPOKOJU.

O ile działamy, o tyle przyśpieszamy skutek.

DUCH USPOKOJENIA.

Nie; moja namiętność zbyt pała. Nie doszedł nigdy celu, kto za gorąco działał.

DUCH NIEPOKOJU.

Szukajcie a znajdziecie . .

DUCH USPOKOJENIA.

Tyle razy a zawsze nadaremnie chodziłem! Po brukach! po piaskach!

DUCH NIEPOKOJU.

Tém szacowniejsza zdobycz z im większym trudem nabyta.

DUCH USPOKOJENIA.

Mam już tyle innych: wyobraźnia tonie w rozmaitości ich kształtów. Z tych których głowa w kształt radełka przedłuża się i płaszczy, ten jest najmniejszy, najmniéj znaczący.

DUCH NIEPOKOJU.

On tak odmienny od innych, a tak rzadki! Wstyd nie mieć któregokolwiek z okolic swoich.

DUCH USPOKOJENIA.

Iluż-to jeszcze nie mam i nie znam, a które są niewątpliwie u nas!

DUCH NIEPOKOJU.

Tego miałem już we flaszce.

DUCH USPOKOJENIA.

Jeślibym i wszystkie zebrał, cóż na rok następny zostaje?

DUCH NIEPOKOJU.

Może tu nie będę następnego lata.

DUCH USPOKOJENIA.

Skoczku! ty musiałeś jedyny tylko przybłąkać się w te strony.

DUCH NIEPOKOJU.

Gdzie jeden się ukazał, tam i więcéj być musi.

DUCH USPOKOJENIA.

Ja nie mam prawdziwego szczęścia w odkrywaniu rzadkości. Jeśli co kiedy odkryłem rzadkiego, zawsze to winien byłem szczęściu towarzyszącéj mi osoby.

DUCH NIEPOKOJU.

Szczęście Zosi wywoła go może.

Po takiéj walce wyszedłem nazajutrz i powróciłem, jak zwykle, z nowym żalem dnia straconego. Upływały tygodnie, mijały miesiące, a im daléj było od czerwca, tém spokojniéj poddawałem się przekonaniu, że już go nie będę miał w tym roku. Wkrótce i śnieg zaczął padać, a podobnie jak natura cała, i wszystkie troski moje w stan odrętwienia przeszły.

*

* *

Ty dziś spoczywasz pod grubą powłoką śniegową, skoczku koroniasty! Nie wyśledzi ciebie ni czynna mysz polna, ni tułający się zając wygrzebie. Sam nie wiész o sobie. Tylko ja wiem że jesteś, ale moja wiadomość wątpliwa jest i niepewna: nie ma cię w moim zbiorze, nie ma cię w towarzystwie tych, które u mnie żyją, życiem tak działającém, że niém mojego dopełnić mają. W nich ten mój skarb którego nikomu i za nic nie oddam. Ziomkowie moi długo

będą wspominali imię moje przy każdym, przy którym dusza moja była. Owady muszą mieć życie nasze: myślą, uważają, poznawają, działają, a jeżeli znikają, nędzne i słabe istoty, znikamy i my, i tylko w następstwie pokoleń utrzymuje się istnienie nasze.

II.

Piękny jest i każdego radujący widok, gdy anioł rodziny z dziécięcia stawszy się dziewicą, wszystkich umysły i serca zniewala ku domowi w którym go widzimy. A jeśli anioł taki zesłany jest w rodzinę zasługą wielowieczną i dziedzicznemi cnotami ubogaconą, wtedy dziewica na świat wstępująca równa się w cenie mężom, dla których rady całe pokolenie cześć zachowuje. Co oni powagą, ona natchnieniem sprawi.

Ona, gdy w progi domu mojego wstępuje, ten zaszczyt miły całéj ludzkości zapomnienie o mnie nadgradza: a gdy mnie wesołém obliczem powita, to słońce ranne wszystkie zachmurzenia duszy mojéj rozprasza, i wtedy jestem sobą, bom ujrzał naród, dla którego żyć postanowiłem.

Posłanko niebios! czegokolwiek mi niedostawało, miałem w twojém obliczu. Oby każda rodzina podobnego anioła mieć mogła, dla szczęścia narodu!

DUCH NIEPOKOJU.

Ale to może próżność moja wywyższa przedmiot, który uwielbiłem.

DUCH USPOKOJENIA.

Gdzie dusza do wdzięczności się poczuwa, tam dobrodziejstwo nie może być urojoném. Gdy radość czuję, musi być sprawca téj radości.

DUCH NIEPOKOJU.

Urojenie!.. Czy sprawiedliwa zasługi rodziny dziecku jéj przyznawać!

DUCH USPOKOJENIA.

Ziarno rzucone ręką siejącego, nie na każdym gruncie wschodzi z równą nadzieją plonu. Ta piękna płonka wpośród drzew wielkich, kiedyś jak i jéj drzewa wyrośnie; dziś ona je zdobi, one ją zasłaniają.

DUCH NIEPOKOJU.

Bywają krzywe nawet wśród gęstwiny drzewnéj . . .

DUCH USPOKOJENIA.

Piérwsze chwile życia rozstrzygają o dalszych. Kto dzieckiem będąc miłość i szacunek zjednywa, będzie do zgonu kochany i szanowany.

DUCH NIEPOKOJU.

Swiat zepsuje. Trzeba uznać kiedyś smutne prawa jego. Obudzi dumę, dobroci serca i wszelkich cnót tłumicielkę.

DUCH USPOKOJENIA.

Téj nie dopuści rozum nauką kształcony.

DUCH NIEPOKOJU.

Ogrom wiadomości młodzieńczą zatrzymywanych pamięcią, wcześnie nabywane przekonanie o wyższości wiedzy i żądza jéj wpojona, czy nie wprowadzą wyniosłości w duszę która pokorną być miała?

DUCH USPOKOJENIA.

Wiadomości bogacą, ale wychowuje przykład. Szczęśliwa córka, która w gronie rodziny swojéj ma same zaszczyty ludzkości! Ona być musi, jak ojciec i matka, godną, cnotliwą, pobożną, siéroty przytulającą do siebie, szczęściem ludzi żyjącą i umiejącą boleć nad ich cierpieniami. Lecz ktoby wyliczył zalety domu który jest świątynią czci dla cnoty, piękna i prawości! A jeśli odchodzisz na chwilę od domu twojego, Zosiu, wstępujesz pewno w progi innego, również twojego, i jesteś u stryjostwa, w drugim raju ziemskim. Tam cię powita ten mąż dostojny, największa gwiazda na niebie naszém; tak wzniesiony nad nas rozumem, tak zniżony do

nas sercem, że jest przedmiotem czci i miłości nas wszystkich. Tam przyjmie cię druga matka twoja: nieporównany wzór dobroci i rozpacz dla ubiegających się w dobrzeczynieniu innym. Ona tylko szczęściem siérot szczęśliwą być może: we wszystkich chwilach życia ona się dla nich trudzi. Cóż powiém o domu do którego cię wprowadza wuja i ciotki nazwisko? Co najtrudniejszém w przepisach życia znajdowałaś, tu znajdziesz w życie wcielonóm. Tu napotkasz dowód, że w naturę człowieka może się zamienić doskonałość jego. Ztąd się rozchodzi ozdoba dla domów bozkich, uszczęśliwienie dla ludzkich. Wszędzie wśród krewnych twoich znajdziesz ojca i matkę siérot, tu ojca i matkę wszystkich . . . .

DUCH NIEPOKOJU.

Tu i ja mieszkam . . .

DUCH USPOKOJENIA.

Tém wyraźniéj widzę, zbliżony. I jestem jakby w drugiém życiu, i postrzegam, że tylko tam mój rozum, gdzie ich rozumowi uległ: on targa się na dociekanie tajemnic przyrody całéj, a ich tajemnicy nie odgadł! Bo pojmuję jak prawdę polubić, ale nie pojmę jak się stać niewolnikiem prawdy. Pojmuję jak ból znosić, nie pojmuję jak nie czuć bólu. Pojmuję jak dobrze czynić dla drugich, nie pojmuję dobrzeczynienia dla niewdzięcznych. Pojmuję darowanie uraz, nie pojmuję ich zapomnienia. Pojmuję pokonanie odrazy, nie pojmuję miłowania mimo nią. Pojmuję hamowanie siebie, nie pojmuję zrzeczenia się siebie. O Zosiu, jak to poznasz, powiesz, że są niebianie na ziemi. Wiele od ciebie świat domagać się będzie, zazdroszczący ci rodzinnego prawa do nich.

DUCH NIEPOKOJU.

Coż ja dla nich czynię, że tyle od nich dobrodziejstw odbiéram?

DUCH USPOKOJENIA.

Te dni oddane troskom o wynalezienie skoczka koroniastego? .. Gdyby przynajmniej jeden z tym zapałem poświęcić dla nich!

DUCH NIEPOKOJU.

Dopóki nie wejdę na drogę ich życia, nie ma dla mnie ducha uspokojenia.

III.

Nie napróżno, Zosiu, nieba cię umieściły w rodzinie, której każdy członek jest pochodnią przyświecającą narodowi całemu: jeden jego dziejów świetność nam ukazuje, drugi mu zamożność i byt niezależny stwarza, inny jedna go z Bogiem i świętymi. Czy na ich sprawy poglądając, chcesz im i ty wydążyć w zasłudze? W tak młodocianym wieku poszanowania pełen zawód rozpoczynasz: nawet na moje prace oczy twe zwracasz i do nieustawania w nich zachęcasz, bo twoje oczy tę własność mają, że nawet martwe przedmioty okrywają światłem życia i blaskiem wartości. Tyle czynisz dzieckiem będąc: jakże zasługi twoje wzrosną w przyszłości, jakie nieporównane szczęście przyniesiesz dla tego, kto jak ja w szanownym domu twéj ciotki dzisiaj, uzyska w twoim kiedyś taki pełen zaszczytu przytułek, taką pełną anielskiéj dobroci opiekę.

Na takich marzeniach o Zosi i skoczku przeszła mi zima cała. Czasem cały dzień o Zosi a drugi cały o skoczku, czasem godzina o tamtéj a druga o tym, jednostajnie mi spływały.

I nakoniec wróciła się ciepła część roku. Wziąłem za czerpak, który całą zimę przysposabiałem do łowów moich. Poszedłem na Pragę.

Próżne-to jednak usiłowania były. Już i Zosia przyjechała z Różanki. Ja chodzę i chodzę za Pragę, a tylko z i-

dealem mojego owada wracam do domu. Musiałem przywyknąć do mniemania, że jeszcze i w tym roku mieć go nie będę. Porzuciłem szukanie skoczka koroniastego; a zająłem się tysiącem innych.

O świcie, dnia 3 czerwca r. 1857, uczułem tęskność nie wiedząc jéj przyczyny, i pobiegłem z czerpakiem w ulubione mi miejsca za Pragę. Przyszedł mi jeszcze do pamięci skoczek: byłem tam wtedy po 13ty raz od ukazania się jego. Za pierwszém zaciągnieniem po oczeretach piaskowych czerpaka, z nagłem zadrżeniem ujrzałem w nim więźnia. O radości! ty się nie dasz wyrazić: nie wierzę, że go mam po tylu zawodach. Nie śmiałem powtórnie spojrzeć na niego, aż pókim nie stanął w domu: ale owa radość pamiętna przybyła ze mną na to, ażeby ziścić powiedzenie mędrca: wielki smutek wysyła przed sobą niezwykłe wesele. Tego dnia dowiedziałem się, że zakończyła życie Zofia córka Augusta i Elfrydy z Tyzenhauzów Zamojskich. I zroszonemi łzą oczami, czytałem dni następnych wyrazy: *pod jéj drobną nóżką otworzył się nagle grób, aby na wieki i blask jéj cnoty i wdzięków, i wszystkie nadzieje pochłonąć.*

Antoni Wagn.

WALKA
ZE SMOKIEM.

Fryderyka Schiller'a.

I.

Co się tak tłoczy i spiesznie bieży
Śród długich ulic z hałasem lud?
Czy straszny pożar w Rodos się szerzy?

Oto już cały skupił się gród!
A nad tym tłumem ludu burzliwym
Wznosi się rycerz na koniu siwym.
Za nim, o dziwy! łudziż mnie wźrok?
Potworę jakąś wloką po ziemi
Z paszczą i zęby krokodylemi,
A z kształtu zda się, jakoby smok.
A lud zdziwiony wźrok swój wymierza
To na potwora, to na rycerza.

II.

Zewsząd wołają głosów tysiące:
„Oto skrzydlaty smok, który wciąż
„Pożerał trzody, ludzi na łące;
„Jego pogromcą *ten* oto mąż!
„Toć przecie przed nim mężów nie mało
„Ten bój olbrzymi wziąć przed się śmiało;
„Lecz któryż wrócił lub smoka zmógł?
„A więc składajmy cześć rycerzowi!“
I ciągnie orszak ku kościołowi,
Gdzie już krzyżowców, Chrystusa sług,
Braci szpitalnych świętego Jana,
Poważna rada nagle zebrana.

III.

I przed najwyższym swoim zwierzchnikięm
Skromny młodzieniec staje; a lud
Za nim się ciśnie, z dzikim okrzykiem,
Zalega stopnie, przysionki, wchód.
Młodzian w te słowa do mistrza rzecze:
„Jam o rycerskiej wierze miał pieczę:
Ot leży z moich poległy rąk
Niszczyciel kraju, potwora sroga.
Wędrowcom teraz otwarta droga,

Bezpiecznym pasterz z trzodą śród łąk;
Cudowny obraz na dzikiéj skale
Pątnik już zwiedza bezpiecznie wcale."

IV.

Lecz mistrz zwróciwszy nań wzrok surowy
Rzecze: „Rycerskim iście czyn twój,
Bo męstwem zdobi się mąż krzyżowy,
A męstwa dowiódł w tobie ten bój.
Lecz mów, co piérwsze stanowi prawo
Tym, co za Pana walczących sprawą
Ozdabia krzyża świętego znak?"
I wszyscy nagle zbledli w około;
Lecz on rumieniąc się schyla czoło,
Z zacną postawą odpowie tak:
„To posłuszeństwo; kto niém przejęty,
Ten tylko może nosić znak święty."

V.

„A tyś to święte, mój synu, prawo"
Rzekł mistrz „zuchwale zniweczyć śmiał,
„I zabronioną walkę ustawą
Stoczyć występny owładł cię szał."
— „Sądź, Panie, lecz wiedz wszystko" mistrzowi
Rycerz poważnie znowu odpowié —
„Jam tuszył sobie, żem odddał cześć
Należną prawom, spełnił ich wolę:
Nie nierozważniem wyciągnął w pole,
Ażeby walkę z potworem wieść.
Podstęp, przezorność raczéj niż męstwo
Mnie dopomogły odnieść zwycięstwo."

VI.

„Kiedy już pięciu szpitalnych braci,
Ozdoby wiary, zakonu cześć,

Ofiarą męstwa życie swe traci,
Ty zakazałeś ten bój nam wieść;
Jednak chęć walki i niepokoje
Bez przerwy serce nękały moje,
A i w śnie nocy spokojnych wszak
Jam się w téj walce widział zdyszany.
A kiedy znowu mię świt poranny
Z powodu nowych zasmucał plag,
To wtedy ciężkim smutkiem przejęty
Jam stoczyć pragnął ten bój zawzięty."

VII.

„I mnie na on czas głos jakiś powie:
Czém zdobny młodzian, uzacnion mąż?
Co dokonali bohatérowie,
O których sławie pieśni brzmią wciąż,
A których ciemne pogaństwo chciało
Porównać z bogów blaskiem i chwałą?
Toć od potworów czyścili świat,
Przechodząc śmiało różne przygody,
Z Minotaurami idąc w zawody,
W przeciągu świetnych żywota lat,
Biednym ofiarom chcąc wolność wrócić
Krew przelać, życie gotowi rzucić."

VIII.

„Godzien-że tylko Saracen zawdy,
By go wojował chrześciański miecz?
Walczyż on samych bogów nieprawdy?
Toć w świat on zbawcą posłan; więc przecz
Niéma w niédoli każdéj, w frasunku
Dłoń jego silna przynieść ratunku?
Lecz mądrość męstwa wodzem ma być:
Przezorność z siłą winna iść w parze.

Tak-em pomyślał: raz się odważę
Dośledzić, gdzie się potwór zwykł kryć.
Coś we mnie tchnęło, tam gdzie smok gości:
„Jam znalazł!“ krzykłem pełen radości.“

IX.

„I z temi słowy przed tobą staję,
Że do ojczyzny tęskno mi już;
Gwoli méj prośbie łaski doznaję,
Szczęśliwiem przebył przestrzenie mórz.
Ledwiem wszedł na brzeg rodzinnéj ziemi,
Mistrzowi'm kazał, aby biegłemi
Rękoma smoka potwora wzniósł.
I oto, z moim opisem wiernie,
Na krótkich nogach długi niezmiernie
Cielska ogromny wnet ciężar wzrósł:
Pancerz łuszczaty jego grzbiet zbroi,
Co wszelkim ciosom groźnie dostoi.“

X.

„I długą szyję wyciąga z ciała;
Jak wrota piekieł, straszna jak grób,
Paszcza olbrzymia rozwarta cała,
Zda się, że chciwie już chwyta łup;
A w niéj z czarnego głębi gardziela
Szereg kończatych zębów wystrzela;
Język spiczasty, ostry jak miecz,
Oczy błyskają na wszystkie strony,
A daléj w węża już zakończony;
Grzbiet się olbrzymi przedłuża precz,
Strasznie się kręci, w pierścieniach ginie:
Zda się, wnet jeźdźca z koniem obwinie.“

XI.

„Gdy już skończoną była robota,

Na wszystkom barwę szkaradną kładł.
Jak śród zgniłego zrodzony błota
Zdał się ten potwór — pół smok, pół gad.
Spełnieniem dzieła uradowany,
Wnet dwa wybrałem sobie brytany;
Silne, a lotne jak wiatru wiew,
Nawykłe walczyć z dzikiem zuchwałym,
Ich-to na smoka ja podszczuwałem,
Pragnąc w nich wściekły obudzić gniew,
By go śmiertelnym raziły ciosem.
One posłusznie szły za mym głosem.“

XII.

„A gdzie jest runo kałdonu białe,
Gdzie smok bezbronnym zdawał się być,
Tam, podszczuwając brytany śmiałe,
Ostre im zęby kazałem wpić.
Sam biorę kopię, i zbroję wkładam,
Na arabskiego rumaka siadam,
Co z sławnéj rasy zrodzony był.
Gdym go rozzłościł, widząc że pora,
Gwałtownie pędzę nim na potwora,
Dając ostrogą ze wszystkich sił;
Mierzę i silnie rzucam kopiję:
Zda się na wylot smoka przebiję.“

XIII.

„Chociaż koń zgrzyta, najéża grzywę
I pianę toczy i dęba dał;
Chociaż brytany wyją lękliwie,
Jam przyzwyczaić je gwałtem chciał.
I te ćwiczenia bez przerwy trwały,
Aż trzeci miesiąc upłynął cały.
Wtedym na okręt je z sobą wiódł;

Bo wszystko znały już należycie.
Dzisiaj dzień trzeci, jak-em o świcie
Skończył wędrówkę wśród morskich wód;
I do spoczynku chęć mię nie zdjęła,
Pókim wielkiego nie spełnił dzieła.“

XIV.

„A gdy się nowy żal w kraju szerzy,
Ciężki me serce ogarnął ból;
Bo znaleziono szczątki pasterzy,
Co się zbłąkali śród błot i pól;
Więc wziąłem przed się dzieło zagłady,
Od serca tylko żądając rady.
Wnet rozkaz dałem do wiernych sług;
A kiedy koń był już osiodłany,
Wziąłem dwa dzielne moje brytany,
I śród tajemnych, nieznanych dróg,
Gdzie może ludzka nie weszła noga,
Bez świadków śmiało idę na wroga.“

XV.

„Znana ci, Panie, owa kaplica,
Którą na szczycie najwyższych skał —
Z kąd cała widna jest okolica —
Jakiś mistrz sławny zbudować miał.
Zdaje się nędzną, ubogą, małą;
Lecz sławna cudem i Bożą chwałą:
Tu matka Boża i Chrystus też,
A przy nich Królów trzech tam się mieści.
Wchodzi przez stopni trzykroć trzydzieści
Pobożny pątnik na stronę wyż;
A gdy w zawrocie stanie na szczycie,
Bliską ojczyznę ujrzy w zachwycie.“

XVI.

„W skale, co dźwiga ową świątynię,
Wykuta grota natury grą;
Promień nie wpadnie w ciemną jaskinię,
Okrytą bagien sąsiednich mgłą.
Tu gniazdo smoka: u wejścia leży
Czekając nocą i dniem grabieży;
I jakby u wrót piekielnych, smok
U stóp świątyni stoi na straży.
A gdy się biedny pątnik odważy
Zwrócić w tę stronę pobożny krok,
To wróg z zasadzki wnet nań się rzuci,
Schwyci i zaraz na żer obróci.“

XVII.

„Oto na skałę wstępuję ninie
Zanim on ciężki rozpocznę bój;
I tu się boskiéj modlę dziecinie,
Skruchą z win żywot oczyszczam mój.
I przypasuję w świątyni Pańskiéj
Do boku lśniący miecz damaskański,
A potém kopią uzbrajam dłoń,
I już do walki zstępuję z góry,
Z daleka moje zostawiam ciury,
Nareszcie żwawo siadam na koń.
Dawszy rozkazy z kopyta ruszę,
Bogu w opieką oddając duszę.

XVIII.

„Schodzę, — tu grota, daléj równina;
W tém już psy wycia rozległy swe,
I koń trwożliwie dyszeć poczyna
I dęba daje, iść ani chce;
Bo oto blisko w kłęby zwinięty

Na słońcu grzeje się wróg zawzięty,
Leżąc na ziemi, co spieką wre.
Para brytanów doń pędzi śmiała;
Lecz nagle zwraca się jako strzała,
Kiedy oddechem trującym tchnie
Z rozwartéj paszczy straszydło owe,
Wydawszy wycie swe szakalowe.“

XIX.

„Wkrótce je krzepię, odwagę niecę:
Psy rozjuszone już biegną doń,
Ja sam na koniu na smoka lecę;
Już w lędźwie dzidę pcha dzielna dłoń;
Ale jak trzcina, łatwo się gnąca,
O pancerz z łusek wnet się odtrąca.
Zanim zdołałem ponowić raz,
Koń dęba daje, daléj ni kroku:
Bazyliszego uląkł się wźroku
I jadu, jakim smok zionął w nas,
I odskakuje w tył nieprzytomnie:
Wtedym pomyślał, że już jest po mnie.“

XX.

„Skoczyłem z konia nie tracąc chwili,
Dobywam z pochwy ostry mój miecz,
Próżno dłoń pancerz przebić się sili,
Choć dla zamachu cofam się wstecz;
A wtém z wściekłością ogona siłą
Na ziemię źwiérzę mię powaliło,
A roztworzywszy paszczękę swą
Już na mnie groźnie zęby wyszczerzy;
Wtém rozjuszonych psów para bieży,
Wpijają zęby w kałdón i rwą,
Aż potwór pośród bólów i męki
Wydał okropne wycia i jęki.“

XXI.

„Kiedy się źwiérzę z psami szarpało,
Ja z ziemi wstaję, dobywam sił,
Szukam, gdzie nagie u wroga ciało, —
Spostrzeglszy zaraz tamem miecz wbił
Nurzając ostrze do rękojeści!
Krwi czarnéj strumień z rany szeleści,
I zaraz potwór na ziemię padł,
I swém olbrzymiém przygniótł mię ciałem;
Wtedy-to zmysły ja postradałem.
Gdym się obudził i ujrzał świat;
To naprzód ciurów dostrzegły oczy,
A potém smoka, co we krwi broczy.“ —

XXII.

Zaledwie rycerz skończył swą powieść,
Dotąd tłumione oklaski grzmią!
Bo tém słuchacze pragną mu dowieść
Swe uwielbienie i wdzięczność swą.
Dźwięk pomieszanych głosów tysiąca
O strop odbity brzmi już bez końca. —
Bracia zakonni chcąc mu dać cześć,
Żądają wieńca gwiezdzie rycerzy,
A tłum z radością ku niemu bieży
Chcąc go w tryumfie po mieście wieść.
W tém mistrz surowo zmarszczywszy czoło,
Znakiem nakaże milczenie w koło.

XXIII.

I rzecze: „Wprawdzie groźnego wroga
Téj ziemi, dzielnąś prawicą zmógł;
Ale lud w tobie dziś widzi Boga,
A dla zakonu tyś odtąd wróg.
Stokroć gorszegoś stworzył potwora,

Niż ten, którego zabiłeś wczora.
Smokiem, co w serca swój leje jad,
Sieje niezgodę zawsze przebiegły,
Jest on duch krnąbrny i nieuległy,
Przeciw karności burzyć się rad.
On święty węzeł, co nas jednoczy,
Zrywa i świata spokojność toczy.“

XXIV.

„Wszak męstwo mają Mamelukowie;
Z pokory ma być chrześcianin znan;
To też, gdzie żyjąc, jak prostaczkowie,
Z tronu Wszechmocny zstąpił nasz Pan,
Pośród téj świętéj wybranéj strony
Przez ojców zakon ten założony,
By w uległości, pokorze żyć,
Chuci hamować; — inaczéj biada!
A gdy cię próżna sława owłada,
To z moich oczu precz sobie idź!
Kto się pod jarzmo Pana nie zniża,
Niegodzien dźwigać świętego krzyża.“

XXV.

Wtedy się groźne okrzyki wznoszą,
Hałas i wrzawa, nieład co krok,
Bracia pokornie o łaskę proszą,
A młodzian spuścił w milczeniu wźrok,
I już posłusznie suknię zdejmuje,
Surową rękę mistrza całuje, —
Idzie. Mistrz za nim wźrok zwraca swój,
I głosem miłym nad wsze pojęcie
Rzecze: „Pójdź, synu, w moje objęcie!
Bo ty najcięższy przetrwałeś bój.

Weź krzyż, pokory będzie ozdobą,
Co górę wzięła nad samą sobą.“

Bolesław Wiktor.

PRIMA APRILIS.

O wczesnéj wiośnie, bo piérwszego Kwietnia wieczorem. wyszedłem z domu, mógłbym powiedzieć bez celu; bom miał tylko chęć użycia świéżego powietrza. Ta chęć zawiedziona przez miejskie zgęszczone powietrze przypomniała mi dopiéro *prima Aprilis*, gdyż w tym dniu, mimo powszechnego zwyczaju, nikt mnie nie zwiódł, ani ja miałem czas myślić o zwiedzeniu kogo. Przypomniałem sobie czas szkolny, kiedy czcigodny Zwierzchnik a zarazem Nauczyciel języka polskiego, w ten dzień, przez jednego z współuczniów moich, niby ostrzeżony, że ma płaszcz rozdarty, zdjął go, obejrzał i przekonał się tylko o dziecinnym figlu chłopczyka. Nie wiém, czy się rozgniéwał o to, (co nie byłoby nic dziwnego); lecz dobre jego serce nie pozwoliło dać poznać chłopczykowi nieroztropny jego postępek. Korzystał owszem, jak zawsze, i z tego zdarzenia, i po uspokojeniu się niechętnych względem niegrzecznego młodszego kolegi, powiedział:

„Dzieci! kontent byłem z was dzisiaj, dla tego nie gniewam się za ten żarcik. Jest-to zabawka, jedna z mnóstwa podobnych zwyczajów kraju naszego. Jak nad każdym z takich zwyczajów tak i nad tym zastanawiając się, ludzie nie mogli dojść jego przyczyny; musi być więc bardzo dawnym zwyczaj zwodzenia. Domyślają się tylko, że wiosna, podług nauki astronomii zaczynająca się 21 Marca, w jednym z dawno upłynionych lat zaczęła się znacznie wcześniej, a ciepło i światło słoneczne pobudziło niektóre rośliny do wydania pączków i kwiatów, i zachęciło ludzi do przywdziania

lżéjszego odzienia. Gdy potém w Kwietniu łagodny i pogodny stan powietrza zmienił się na zimny i mokry — poważył rozkwitłe kwiaty i zmusił ludzi do przeproszenia zaniechanych ciepłych sukni; ludzie widzieli w tém żart wiosny, i w następnych latach, nie zważając na rozpoczęty Kwiecień i ciepło, nie chcieli porzucić zimowego odzienia: ale jedni drugich, na wzór wiosny nieszkodliwie zwodzili.“

„Bliskie z tém znaczenie i początek ma przysłowie: *nie dać wywieść się w pole;* bo kto pamięta o figlu wiosny i zwyczaju z tąd powstałym, ten w dniu 1 Kwietnia nie da się łatwo, jak ja dziś przez was, wywieść w pole.“

„Za to objaśnienie, jak również za to, że się nie gniéwam, pamiętajcie ani przedemną, ani przed nikim *nigdy nie kłamać;* żartem nieszkodliwym, podobnym dzisiejszemu, pozwalam wam *wzajemnie między sobą się bawić,* a to w dniu 1 Kwietnia każdego roku, byle tylko, powtarzam, żarty wasze nie miały na celu najmniejszéj przykrości dla tego, kogo zwodzicie. Z téj przestrogi wynika, jak to już rozsądniejsi z was pojęli, że osoby starsze mogą was nie zrozumieć i słusznie poczytać za niegrzecznych; dla tego do takich nie zwracajcie waszéj zabawki. Bywajcie zdrowi!“

W liczbie 40 około uczniów było kilkunastu, ktorych ta pamiętna chwila i łagodna przestroga uleczyła z piérwszych zarodów nałogowego kłamstwa. Więcéj było takich, których utwierdziła w cnocie prawdomówności — a ci wszyscy i sami dzisiaj nie kłamią, i na otaczających zbawiennym wpływem działają.

Czy do piérwszych lub drugich należałem wówczas, miło mi wspomnieć o tém, — i dziś nie będąc w możności okazalszego kwiatka przyłożyć do „Wieńca“ Temu, który prawdę ukochał, najskromniejszy ten listek, na przechadzce w *prima Aprilis* podjęty, przysyłam.

Antoni Gostyński.

AKT I[szy]

TRAGEDYI CHRZEŚCIJAŃSKIÉJ

MĘCZENNICY,

napisanéj po szwedzku przez Eryka Jana Stagnelius'a (*).

OSOBY AKTU I.

HILARIANUS, prokonsul Libii.
SYLWIUSZ, senator mający nadzór nad prowincyami.
GABINIUSZ, centuryon.
TEODORUS, chrześcijanin.
PERPETUA, córka Albanusa, rycérza rzymskiego, wdowa po rycerzu Flawiuszu.
FELICYTA, jéj przyjaciółka.
CRZEŚCIJANIE.

Rzecz dzieje się w Kartaginie i jéj okolicach, w początkach panowania césarza rzymskiego Septyma Sewera.

(Treść tragedyi stanowi jedna z najdawniejszych legend chrześcijańskich z roku 202 po narodzeniu Chrystusa).

SCENA PRZEDSTAWIA PLAC OTOCZONY DRZEWAMI.

TEODORUS, — WIELU CHRZEŚCIJAN.

Teodorus.

Tak, dzieci moje, zbliża się godzina próby; nadchodzą dni cierpień i prześladowania, podobne owym pochmurnym obłokom, co wśród upałów letnich unoszą się ponad bujnemi

---

(*) Eryk Jan Stagnelius, jeden z najulubieńszych poetów szwedzkich, ur. się roku 1793; umarł zbyt wcześnie r. 1823. Był kanclerzem królewskiéj kommissyi duchownej.

łany zboża i ponad spokojnemi morzami, na których kołyszą się okręta. Błyskawica zamigoce; straszliwy grad zniszczy radość naszę i zniszczy wszelkie nadzieje, jakieśmy sobie zakładali na tym padole. Stokroć szczęśliwy, kto nie szuka szczęścia w znikomych dobrach tego świata; bo taki posiada prawdziwie skarby w niebie!

Jeden z chrześcijan.

Ojcze, módl się za słabemi dziećmi twojemi. Oby wiara nasza nie zachwiała się w téj stanowczéj chwili doświadczenia!

Teodorus.

Modły moje towarzyszą wam zawsze i wszędzie. Dzieci moje, nie zbaczajcie z téj drogi prowadzącéj do nieba, postępujcie nią śmiało idąc za śladem Tego, co umarł za nas na krzyżu. Cierpieć dla prawdy, o! to los godzien zazdrości! Wszystkie mocy niebieskie z miłością zwracają swe wejrzenia na człowieka walczącego z niesprawiedliwością; aniołowie zstępują z nieba, aby biednemu męczennikowi podać kielich pociechy. A on przygląda im się w zachwyceniu, i widzi jak otoczeni olśniewającą światłością i uwieńczeni białemi różami ukazują się w ciemnych otchłaniach więzienia, aby zaświadczyć o jego cierpieniach. Dźwięki ich harf złotych tłumią boleśne jego okrzyki, na rany jego zlewają gojący balsam, a powiewem swych skrzydeł, które tchną Edeńską wonią, chłodzą gorączką rozpalone lica. O! bracia moi! zaklinam was przez te łzy święte, jakieście wylali; przez to słodkie zachwycenie, w którém rozpływały się serca wasze w owych błogich chwilach, kiedy po raz piérwszy wpośród cieniów nocy rozjaśniała wam gwiazda poranna i uczuliście się wolni od więzów grzechu; zaklinam was na ten krzyż, na którym Bóg objawił swą miłośc; na wszystko święte na ziemi i w niebie; nie zrzekajcie się téj wzniosłéj, świętéj korony czekającéj was przy końcu walki;

nie zamieniajcie dóbr niebieskich na znikome dobra téj ziemi; nie poświęcajcie wiekuistéj szczęśliwości dla kilku godzin doczesnego bytu na tym podsłonecznym świecie, gdzie człowiek stąpa na oślep, po stromych skałach życia.

Jeden z chrześcijan.

Ojcze! wierzymy niezachwianie, a wiara jestto córa niebios, która się ujarzmić nieda. Ani miecz tyrana, ani płomienie stosu pokonać jéj nie zdołają; wraca ona radośnie do swojéj niebieskiéj ojczyzny ze swą szatą niewinności i palmą zwycięstwa. Ale ty, którego Bóg zaliczył do rzędu wybranych, bo twój umysł proroczy czyta w niezbadanéj dla nas przyszłości, - powiedz nam, długoż jeszcze szlachetna krew męczenników płynąć będzie dla świętéj sprawy? długoż jeszcze arka kościoła miotaną będzie falami grzechu? Czy też wkrótce nie powróci do nas gołąbka niosąca pocieszającą gałązkę oliwną? Długóż jeszcze miotać się będzie bezkarnie straszna mara potworu o siedmiu głowach, którą natchniony apostoł widział wychodzącą z łona wód? A przybytek Boga, świetny jak kryształ i piękny jak oblubienica, nie przychyliż się niezadługo ku dzieciom Adama?

Teodorus.

Nie powodujmy się występną ciekawością, co każe nam zedrzéć zasłonę pokrywającą najwyższe tajemnice. Dość dla nas kiedy wiemy, że Ten, co umierając na krzyżu, pokonał duchy piekielne, wstąpił do nieba i tam wiekuiście piastować będzie berło świata. O! bądźcie pewni, że wźrok jego przenika wszystkie wieki. Wkrótce podda on pod swoje prawo miasto o siedmiu wzgórzach, tę pyszną królowę, co w ręku swoim trzyma czarę błędu.

A teraz rozłączmy się; nieprzyjaciele otaczają nas zewsząd. Okrutni ludzie śledzą nas, jak tygrysy Libii czy-

hają na zdobycz swoją, i sokolim wźrokiem pragną odkryć nasze schronienia. Rozejdźcie się, dzieci moje. Chrześcijanin nie lęka się niebezpieczeństwa; ale nie powinien zuchwale narażać się na nie. Idźcie, niech Bóg czuwa nad wami!

(Odchodzą).

HILARIANUS, SYLWIUSZ.

(zbliżają się zwolna).

Hilarianus.

Co za nieznośny upał. Spocznijmy nieco w cieniu tych drzew odwiecznych. Znów więc chcesz nas porzucić? jak słońce w dniach zimowych pokazujesz się i znikasz niebawem. Niestały człowieku! podobny do wędrownego ptaka, przebiegasz ziemię i morza, i nigdy i nigdzie ostać się nie możesz.

Sylwiusz.

Mylisz się. Znudziły mnie już podróże i przygody; teraz wracam do naszéj ukochanéj Romy, pędzić życie na łonie szczęścia i rozkoszy.

Hilarianus.

Najlepiéj zrobisz.

Sylwiusz.

Powiedz mi, proszę, co nowego w Rzymie, bo od 7miu miesięcy niémam żadnéj wiadomości, co się dzieje we Włoszech?

Hilarianus.

Niewiém, co będzie nowém dla ciebie. Czy wiadomo ci, że Didiusz Julianus został ścięty na górze Palatyńskiéj?

Sylwiusz.

Dawno już słyszałem o tém.

Hilarianus.

Niger zginął wraz z wojskiem swojém.

Sylwiusz.

Oglądałem pole bitwy, na którém poległ. Całe jest pokryte zbielonemi kośćmi, które przy blasku promieni słonecznych wyglądają jak pogrobowe liliie.

Hilarianus.

Wiész także niewątpliwie, że Sewer ujął wodze rządu. Odbył tryumfalny wjazd do Rzymu, gdzie go przyjmowano jako zwycięzcę. Hojnie wynagrodził wojsko, a ludowi dał chleba i liczne widowiska.

Sylwiusz.

W jakich-że-to żyjemy czasach! zawsze jedne wypadki, zawsze jedne i też same słowa odbijają ci się o strudzone uszy: cesarz zamordowany, berło sprzedane więcéj dającemu, wojna domowa, a na końcu tryumf i zwycięstwo.

Hilarianus.

Przeciwnie. Epoka nasza pełna jest dziwnych wypadków. Czémże są przemiany Owidyusza i Nikandra obok zadziwiających wydarzeń, których byliśmy i będziemy jeszcze świadkami. Stary świat kona, a Fenix nowy stos buduje. Inny Romulus, inna Roma powstaną z gruzów tego dogorywającego świata, i niezadługo nowi bogowie ciskać będą nowe gromy z wysokości Kapitolu. Już Parki snują na czarném wrzecionie tajemniczy wątek przyszłych wieków, a odważne dzieci Pyrry ustąpią miejsca innym. Ale nie sądź, że one zstąpią z niebios, o nie! podobne do roju szarańczy Egipskiéj, wychodzą z ciemnych lasów, z głębokich podziemi, obalając i niszcząc wszystko; i niezadługo zamienią świetne bóstwa pysznéj Romy w królestwo smutnych cieni.

Sylwiusz.

Lękasz się więc, aby to wszechwładne miasto nie upa-

dło w otchłań nicości wraz ze swemi bóstwami i bohaterskiemi wspomnieniami? Lękasz się, że ten wiek żelazny poprzedza wiek okropniejszy jeszcze, i że ci chrześcijanie....

Hilarianus.

O! nie jest to tylko płonna obawa! Wszystko na świecie zmienne i przemijające; a po dniu upłynionym zawsze i przez wszystkie wieki następuje noc gwieździsta. Dość długo rządzili światem bliźnięta wilczycy; dość długo pyszny Mars zakrwawiał karty historyi. Wkrótce nadejdą inne wieki, powstaną inne pokolenia. Wierzaj mi, Sylwiuszu; ci chrześcijanie tak biedni, tak słabi, tak prześladowani i pogardzeni, drżący przed światłem dziennem i kryjący się w ciemnych lasach i podziemiach, wierzaj mi, mówię, oni bogatsi od nas, starych Rzymian; bo ich dziedzictwem nowy świat i długie wieki.

Sylwiusz.

Prawda, że liczba ich bardzo znaczna.

Hilarianus.

To najmniejsza. Co wieczór miliardy owadów brzęczą po polach, jednak niech tylko zimny deszcz spadnie w nocy a wszystkie wyginą. Tu nie liczby lękać się trzeba; ale téj siły jedności łączącéj te różnorodne tłumy, co z najrozmaitszych cząstek jedno tworzy ciało; jedném słowem: ducha, ożywiającego tę sektę. *(Gabiniusz się zbliża).* Ale któż to nadchodzi? — Ach! centuryon Gabiniusz. Zaczekaj chwilę, a niebawem dowiesz się nowych w tym przedmiocie szczegółów.

GABINIUSZ, HILARIANUS, SYLWIUSZ.

Gabiniusz.

Prokonsulu, twe rozkazy zostały spełnione.

Hilarianus.

I cóż?

Gabiniusz.

Może powinienem czekać, aż będziemy sami.

Hilarianus.

Bynajmniéj. Senator Sylwiusz, przyjaciel cesarza jest, ſakby drugi ja.

Gabiniusz.

O jedenaście mil od wielkiéj drogi uczęszczanéj przez wieśniaków, udających się na targi miejskie w celu sprzedania swych trzód, mleka i owoców, jest ścieżka uboczna, podobna strumykowi, co z lekkim szmerem oddziela się od rzeki i ginie w pośród łąk zielonych. Ścieżka ta wije się nakształt węża w jałowéj i bezludnéj okolicy, w pośród skał, piasków i cierni. Prowadzi ona do pięknéj doliny, otoczonéj pięknemi skałami granitu, które tworzą jakby mur gruby, strzegący jéj od wściekłości wiatrów. Łagodne zefirki igrają na tém łożu Flory powiewając swemi lekkiemi skrzydły, głaszczą podróżnika swym wonnym oddechem. Na trawie dostrzegłem tu świeże ślady stóp ludzkich, co mi podało myśl, że dolina ta może służyć za miejsce zebrania; oczam *lynx*'a przepatrzyliśmy wszystkie zarośla i otwory skał, ale poszukiwania nasze były daremne.

Hilarianus.

Cóż daléj.

Gabiniusz.

Z drugiéj strony doliny odkryliśmy ukrytą ścieżkę, podobną Alfeuszowi, którego miłość dla nimfy Aretuzy powiodła aż do góry Olimpu (*), a skazany na wygnanie pod ziemię, dopiéro około Syrakuzy, w pośród wielkich łez potoków, mógł otworzyć swe błękitne, smutne i niespokojne oko. Udaliśmy się więc tą krętą i nieznaną ścieżką; po długiéj i uporczywéj walce z cierniami i komarami, doszliśmy

(*) Góra Arkadyi.

nareszcie do ciemnego lasu. Gęste liście stuletnich dębów, pozbawiają dobroczynnych słońca promieni, biedne, wątłe kwiaty u stóp ich rosnące. Zdawało nam się, że wstępujemy w progi królestwa ciemności. Cały las grobowe zaległo milczenie; słychać tylko śpiew ptaka i głuchy szmer kaskad, co z wierzchołka skał mchem porosłych spadają w przepaść bezdenną.

Hilarianus.

Nieco za długi prolog. Nieznośny upał dokucza, uśmierzmy pragnienie winem Falernejskiém. — No, mów daléj.

Gabiniusz.

Ścieżka ta doprowadziła nas do obszernéj groty na końcu lasu. Natura utworzyła ją w chwili, kiedy chaos wyłonił światy, wody rzuciły się w otchłanie, a zwycięski ogień wzniósł się w błękity nieba w postaci jaśniejącego globu. U wejścia stoją dwa drzewa oliwne, a cichy strumień, płynie w ich cieniu. Weszliśmy do téj pieczary przy świetle pochodni, przejęci jakimś tajemnym strachem, jak niegdyś Orfeusz w królestwie duchów zmarłych; jak niegdyś śmiertelnik poważył się wejść do jaskini Trofoniusza. U sklepienia wiszą trzy rzędy lamp zagaszonych, ale do połowy nalanych oliwą; w pośród stalaktytu umieszczono wiele kryształowych pochodni. W głębi groty wznosi się ołtarz a na nim stoi krzyż srebrny, który zajaśniał w ciemności od światła naszych pochodni. — Teraz, prokonsulu, wiesz wszystko. Spełniłem twe polecenie: czekam nagrody i nowych rozkazów.

Hilarianus.

Dobrze. — Słuchaj, Gabiniuszu, polegam zupełnie na twéj zręczności i poświęceniu. Wybierz z twéj centuryi trzydziestu do czterdziestu najodważniejszych ludzi, niechaj się przebiorą za chłopów lub strzelców; następnie każdy o innej godzinie i inną drogą opuści miasto, ukrywając broń

pod odzieniem. Dopókąd słońce błyszczéć będzie na niebios błękicie, niech się kryją w gęstwinie lasu, niedaleko groty i prowadzącéj doń ścieżki; ale jak tylko Febe ukaże się na swym srebrzystym wozie trzymając w ręku berło nocy, a miasto i wieś pogrążą się w zupełnéj ciszy, wtedy wpadną do pieczary, jakby dzikie źwiérzęta czyhające na swą zdobycz. Wszystkich tam obecnych okują w kajdany, i doprowadzą swą zdobycz do miejskiego więzienia. Taka jest moja wola; staraj się wykonać ją szybko i bez hałasu.

(Gabiniusz kłania się i odchodzi).

Sylwiusz.

Cóż potém zrobisz ze swymi więźniami?

Hilarianus.

Każę ich wydać na pastwę najokrutniejszych źwiérząt cyrku, aby się uraczyły ich ciałem i nasyciły ich krwią.

Sylwiusz.

Sądzisz więc, że tym sposobem zapewnisz zwycięstwo naszemu Olimpowi i grzmiącym bogom Kapitolu? Zdaje mi się, że się mylisz. Krew tych fanatycznych chrześcijan, jest jakby oliwa wylana na rozżarzone węgle, jakby rosa użyzniająca zasiewy. Miecz kata obcina tylko niepotrzebne gałązki z drzewa chrystyanizmu, a nie dozwalając mu wybujać zbytecznie, zwiększa jędrność i siłę pnia. Daj pokój temu drzewu; nie doczeka ono nigdy wieku dębu Dodony.

Hilarianus.

Łudzisz się, Sylwiuszu. Królestwo Chrystusa, — że tu użyję wyrażenia tych sektarzy, — było w początku wątłą tylko krzewiną, dziś już olbrzymie przybrało rozmiary. Cudowne, niewidzialne to drzewo, zapuściło swe korzenia w głębokościach ziemi, a szczyt swój wkrótce wzniesie tak wysoko, że pyszne jego gałęzie nawet biegowi gwiazd zapragną stanąć na przeszkodzie. Wtém jednak zupełną miałeś słu-

szność, że miecz ściąć go nie zdoła. Tak jest, Rzym daremną przedsięwziął walkę. Chrystyanizm jest to hydra straszniejsza od hydry Lernejskiéj; utnij jedną głowę, sto ich odrośnie w téj chwili. Chcąc pokonać chrześcijan, trzeba-by podburzyć przeciwko nim zajadłe Furye, te córy piekła; rozżartego psa, którego potrójna paszcza wyje u drzwi państwa ciemności, wszystkie dzieci Erebu i wszystkie czarodziejki Tessalii. Zdaje się, że ci ludzie nie są złożeni z ciała i krwi, jak wszyscy inni; są jakby niedotykalni. Wszystko, co dla nas jest marzeniem, jest rzeczywistością dla nich: lekceważą zaś wszystko, co my za rzeczywistość uważamy. Jakże ich ujarzmić? Wojna trwa w powietrzu, a idee walczą z sobą z zabójczym mieczem w ręku. Roma nie zdoła wytrzymać takiéj walki: czekając końca, śmiała ta Amazonka wojuje jedyną bronią, jaką posiada; ja wypełniam tylko wolę cesarza i senatu.

Ale chodźmy. Chciałbym jeszcze wychylić z tobą kilka czar starego wina pod cieniem pięknych zieleniejących myrtów, a potém dam ci zlecenie do Rzymu.

(Odchodzą).

PERPETUA, FELICYTA.

(zbliżają się rozmawiając cicho).

Perpetua.

Powiedz mi, Felicyto, jakie uczucie powstało w twéj duszy, kiedy z rozkoszą podniosłaś rozjaśnione czoło, po którém płynęła odradzająca woda chrztu? a podobna do porannéj gwiazdy, z wdzięcznością zwróciłaś oczy twoje słodkiemi zwilżone łzami, ku niebu, z którém połączyłaś się na wieki.

Felicyta.

Uczucie, jakiego doznaje motyl, kiedy po raz pierwszy próbując swych skrzydeł, w pośród rozkosznéj doliny ula-

tuje z kwiatu na kwiatek. Uczucie, jakiego doświadcza jaskułka, kiedy wyleciawszy z grot oceanu, świegotaniem swojém wiosenną zwiastuje porę. Tak, Perpetuo! oddychałam powietrzem tak czystém, jak to, w którém rozpływać się zdają gwiazdy firmamentu, a świat, co się rozwijał przedemną, wydawał mi się tak piękny, jak spokojne morze ozłocone promieniami słońca. Wszystko nową przybrało barwę: ziemia zdawała się cudnie odmłodzona; niebo otwierało się dla mnie.

Perpetua.

Czy dostrzegłaś mnie w tłumie, Felicyto? Z jednego źródła spłynęła na nas woda oczyszczenia. Obiedwie przez chrzest w jednéj odrodzone chwili, razém w nowe wstępujemy życie.

Felicyta.

Pytasz, czym cię widziała? możesz-że wątpić o tém? O wierzaj mi, Perpetuo, nie ziemia to zrodziła przyjaźń; płomienie stosu pochłonąć jéj nie zdołają; nie jest ona materyalną jak glina, z któréj ulepiono serce ludzkie. Cała przeszłość moja, wszelkie myśli ziemskie zatarły się całkiem w méj duszy; widziałam tylko, jakby w lekkim obłoku, majestat Boga, obraz Zbawiciela, aniołów pokoju otoczonych świetną aureolą, i ciebie, Perpetuo. Białą odziana szatą, uśmiechałaś się do znaku krzyża, a chociaż łzy zaćmiewały oczy twoje, jednak w ich spojrzeniach jaśniał tajemny urok przyjaźni, podobnie jak w kielichu śnieżnéj białości róży, przebijają żyłki purpurowe.

Perpetua.

Ach! Felicyto moja! ze wszystkich istot, które kochałam, ciebie jedną tylko widziałam w téj chwili. Zaledwie wzrok mój upojony spuścił się z niebiosów, szukał instynktowo i napotkał tę, którą serce moje tak silnie ukochało. Uśmiechnęłaś się tak słodko do twéj przyjaciółki, tym uśmiechem

xiężyca, co podczas wonnéj wiosennéj nocy, zarumieniony z łona chmur wychodzi. O! niewypowiedziana rozkoszy! dwie tak sciśle zjednoczone dusze, w dzień sądu ostatecznego zbudzą się w gaiku jasminowym, w którym, znużone próżnościami świata zasnęły, kolysane szmerem topoli i śpiewem słowika. Po śnie kilkowiecznym zbudzą się na dźwięk harfy aniołów, a poznawszy gorzkiemi zapłaczą łzami.

Felicyta.

A czy przypominasz sobie, Perpetuo, nasze błogie spotkanie po tym uroczystym akcie, którego samo tylko niebo było świadkiem? Z oczu naszych popłynęły łzy rozkosznego pokoju! o! żadnéj łzy takiéj nie oddałabym za wszystkie perły morza Czerwonego.

Perpetua.

Chwała Tobie, Panie! nie tylko hojnie obsypałeś nas skarby ziemskiemi; ale nadto dozwoliłeś nam zakosztować najwyższéj szczęśliwości, jaka tylko może być śmiertelnych udziałem, łącząc serca nasze świętéj przyjaźni ogniwem. Felicyto! pójdź w moje objęcia! Aniołowie! otoczcie nas i oddalajcie od nas wszelkie smutne i trapiące myśli. Ojcze światłości! z wysokości niebieskiego Twego przybytku zwróć swe spojrzenia na dzieci Twoje, i spuść na nie ożywczą rosę błogosławieństw Twoich.

Felicyta.

O! niechaj płoną nieustannie święte płomienie cnoty! Najwyższa Istność, którą uwielbiamy, odradza i upięknia wszystko. Zwróćmy oko na przeszłość. Czy przypominasz sobie ten wieczór, kiedy tłumiąc westchnienia i kryjąc łzy moje, kładłam na czoło twoje wieniec oblubienicy. Młode dziewice śpiewały wesołe pienia, a ja, z pochodnią hymenu w ręku, prowadziłam cię do małżeńskiego łoża. Wtedy już wielka była przyjaźń nasza, Perpetuo! lecz jakże słabą, jak

małą się wydaje obok téj, jaką dziś czujemy dla siebie; to jakby lilia rajska porównana z lilią téj ziemi.

Perpetua.

Po-cóż przyzywasz wspomnienia na zawsze zagrzebane w cieniach nocy? Wtedy jeszcze piekielne mocy trzymały nas pod swém haniebném jarzmem; wtedy jeszcze ja nie byłam Perpetuą, a ty Felicytą.

Felicyta.

O! ja nie zwracam w przeszłość spojrzenia boleści, ale spojrzenia tryumfu. Stojąc, jakby na wierzchołku wysokiéj góry, pod cieniem rozłożystych cedrów, z radością spuszczam wźrok mój na gwarne miasta i samotne doliny, jak sternik, co znalazłszy w porcie schronienie przed burzą, spokojnie pogląda z tamtąd na wściekłe bałwany rozhukanego morza.

Perpetua.

Felicyto! nasz okręt nie dopłynął jeszcze do portu; bo portem jego mogiła. Niestety! my tryumf nasz w niebie dopiero obchodzić będziem mogły! teraz zaś, powinnyśmy modlić się i czuwać! O Felicyto! nie dziw się łzom moim; jestem córką i matką. Jakże bolesną jest dla mnie ta myśl, że rodzice moi inną mają wiarę, inne żywią nadzieje! że może będę musiała opuścić ukochanego syna, wprzód nim zdołam zaszczepić w sercu jego miłość prawdy i cnoty.

Felicyta.

Wznieś ku niebu pełne ufności spojrzenie; od czasu, jak berło Chrystusa rządzi światem, cnota znajdzie tam zawsze pomoc i opiekę. Bądź przekonaną, Perpetuo, że prędzéj czy późniéj Bóg wysłucha pokornych modłów swoich dzieci.

Perpetua.

O! ja we wszystkiém spuszczam się na wolę Stworzyciela; bo dobroć Jego jest nieograniczona. Tajemne jakieś

przeczucie szepcze mi, że nie długo już walczyć będę z cierniami obowiązku. Tobie powierzam mojego Flawiusza, Ty wiesz, czego uczyć go potrzeba. Dziś zna on zaledwie pierwsze litery tego cudownego alfabetu, co nam daje poznanie wiekuistéj szczęśliwości.

Felicyta.

O! nie sądź, przyjaciółko moja, abym mogła przeżyć ciebie. Woda chrztu razem spłynęła na nasze czoła, razem także spróbujemy skrzydeł naszych i ku niebieskim uniesiem się strefom.

Perpetua.

A więc przestańmy wzdychać, przestańmy rozpaczliwym wźrokiem badać przyszłości pokrytéj tajemniczą zasłoną. Niech ten zgłębia ciemne otchłanie nocy, kto niéma w niebie ojca, ani obrońcy! niechaj ten drży przed zagadką świata, czyim Bogiem jest ślepe, niemiłosierne przeznaczenie! Niechaj bada dąb Dodony i wyrocznie Delfijskie! niechaj w locie i śpiewie ptaków szuka objawień przyszłości! Naszym Bogiem, jest miłość, a wiara nasza zaspokaja wszystkie nasze pragnienia. Teraz, bywaj mi zdrowa, przyjaciółko moja! Jak tylko piérwsza gwiazda zabłyśnie na niebie, spotkamy się na ciemnéj ścieżce prowadzącéj do naszéj świętéj groty.

Felicyta.

Jeszcze jeden pocałunek pożegnalny. Do widzenia wieczorem.

(Rozłączają się).

Joanna z Pomianowskich **Belejowska.**

POLSKI WIEŚNIAK.

Dziéwczę polskie z chłopakiem, gdy przed ołtarz stanie,
Śmiało mu wieczne przyrzeka kochanie.
Przyrzeka, — i dotrzyma, — bo u niéj jest wiara:
Wiara dawnych Polaków, niezachwiana, stara.
Zdrowa ziemia rodzinna zdrowe rodzi plemię,
Aby polską kolejno uprawiało ziemię; —
I co rok, chociaż o jednego syna
Zwiększa się mała rodzina.
A chata wszystko pomieści,
A matka wszystko upieści,
A ojciec wszystko wyżywi,
I nikt się temu nie dziwi.
Przy ciężkiéj pracy myśl odbiega płocha;
Ona mu wierna, i on ją kocha;
Bo z nim tygodnia wszystkie trudy dzieli,
Bo z nim się modli każdéj niedzieli.
Nawet od niego ścierpieć gotowa,
Chociażby do niéj nie ważył słowa...
Dla niéj jest trudów lżejsza połowa:
Ona mu dzieci piastuje i chowa,
Kiedy on w domu, ona przy kądzieli,
Len na odzienie przędzie i bieli.
Tak obojga znojna praca
Powoli domek zbogaca.
I wzrasta rodzina młoda,
Kwitną łąki, kwitnie zgoda;
Jeźli nie *to* szczęście w świecie,
To ja niewiém, czego chcecie.

Wy wieśniacy, i nie wiecie,
Co się tam dzieje na świecie.
Jak walczy rodak z rodakiem
O to, że słowem nie myślą jednakiem;
Jak potoki krwi się leją
Za marzeniem, za ideją! —
Czyjekolwiek nad światem będzie panowanie,
Dla was zawsze Bóg królem, prawem przykazanie.
Lecz gdy bliższy huk armat i pałaszy szczęki,
I on z wyższych rozkazów weźmie broń do ręki,
To tak ma śmiałą postać wojownika,
Że wrogów trwoga przenika.
Ten, co na wiejskiéj tylko jeździł szkapie,
Najognistszego rumaka złapie,
Tak go ujarzmi i tak go dosiada,
Jakby świadom potomków arabskiego stada.
I kto go uczył z powicia,
Téj filozofii, téj pogardy życia,
Że tak się nic nie obawia,
Że tak ranom i śmierci śmiało się nadstawia!
Że tak za pierwszym rozkazem,
Odważnie piersi zbroi żelazem
I broni panów, co w miastach siedzą,
O jego żonie, dzieciach nie wiedzą,
Czyli im za łaską nieba
Nie braknie szaty i chleba. —
Matka liczy niespokojnie
Dnie, co trawi mąż na wojnie.
We dnie pracuje i płacze:
„Czy ja go kiedy zobaczę!”
A gdy dzienne światło zgaśnie,
Modli się, póki nie zaśnie;
I gorącemi tak się modli słowy,

Że powróci mąż jéj zdrowy,
Wróci zdrowy i jednaki,
Tylko piersi ozdobi w honorowe znaki.
Wróci; ale nie téj chwili, —
Aż się wojny los przesili.
Tymczasem iskra wojennych pożarów,
Na słomiany dach doleci,
Pozbawi fortuny darów,
Rozprószy żonę i dzieci.

Gdy już z wojny uznojony,
Do domu wróci wojak, i do żony,
Co to znaczy? nie poznaje,
Że na własnéj roli staje...
I kiedy doszedł już z bliska,
Patrzy: tu tylko zwaliska!
Tylko jakiś ślad komina
Dawną chatę przypomina.
„Przez litość! niech kto oświeci,
Gdzie moja żona i dzieci!"
Ten opiekun, co wysoko,
Nad biedakami opatrzne ma oko,
Ten ich zachował; tylko że się biedzą.
Sąsiedzi o nich powiedzą.

Teraz będzie powitanie:
On ją do serca przyciska,
I głośne pocałowanie
Na licach żony wyciska.
A chłopcy nadstawiają rumiane twarzyczki,
I ogorzałe ojca głaskają policzki.
Choć z tak szczęśliwą godziną,
Jakże łzy rzęsisto płyną!
Bo to tak z serca człowieka

Żal i radość łzami ziecka.
„Jak się macie? jakże zdrowie?“
Każdy żale swe wypowie.
„Patrzaj, mężu, dom w popiele;
Z naszej chudoby nie zostało wiele!
Cóż pomoże nam szlochanie?
Niech się Boska wola stanie!“
— „Niech się stanie!“ mąż odrzeka
„Byle nam jego została opieka.“

Leona Krysińska.

MORZE, STEPY I RODZINNA CHATA.

Widziałem morze — gdy groźne bałwany
Z szumem miotało na pobrzeżne skały,
Na skale stałem smutny, zadumany,
I w duszy takie myśli mi powstały:

Morze i Serce — ach! to jedno znaczy,
Gdy morze w burzy, a serce w rozpaczy.

Widziałem stepu rozległe obszary,
Po dzikim stepie tylko wiatr szeleści;
Gdy brak miłości, nadziei i wiary,
Taka pustynia i w sercu się mieści.

Stepy i Serce — to jedno być może,
Gdy kto w niedoli zapomniał Cię, Boże!

Od morskiéj burzy, od stepów pustyni
Zwróciłem oczy w mą rodzinną stronę,
I rzekłem z duszy: Najszczęśliwszym czyni
W chacie mych ojców życie przepędzone.

Na morzu burza, stepem wicher miota,
W téj chacie mieszka i praca i cnota!

J. Badowski.

DO GĘŚLARZA POLSKIEGO.

Tyś w serca nasze wśpiéwał w słodkiej nócie,
Co, póki życia, w duszy zachowamy;
Ty zaszczepiłeś w nas to święte czucie
Słodkiéj miłosci dla *Taty* i *Mamy!*
Tyś nam otworzył świat piękny, świat nowy,
Krainę prawdy, jak blask słońca jasną,
A Twe bajeczki i źwiérząt rozmowy
W sercach dziateczek nigdy nie wygasną!
Przetrwałeś trudy, boleści i znoje
W chlubnym zawodzie Gęślarza polskiego,
Teraz się zacznie odpocznienie Twoje,
Z błogosławieństwem Ojca niebieskiego;
Bo kto pracował dla dobra młodzieży,
Stargał swe siły nauczając cnoty,
Ten już nietylko do mety dobieży;
Lecz wart u kresu znaleść *wieniec złoty!*

Alexander i Ludwik Kra.

POGLĄD STATYSTYCZNY
NA LUDNOŚĆ
w Królestwie Polskiém.

Królestwo Polskie składające się z 5 gubernij, 39 powiatów i 77 okręgów, zawiérające powierzchni 2,320 mil □, posiadało w roku 1855 ludności ogólnéj głów 4,673869, co wynosi na 1 milę □ 2,014 głów. W roku zaś 1816 ludność ta wynosiła 2,717,287, co czyni na 1 milę □ 1,214 mieszkańców.

Powiększenie więc ludności w przeciągu lat 39, wynosi głów 1,956,582, czyli na milę □ 843 głów, a na każde 100 poprzédniéj ludności 73, 8 głów. To powiększenie się ludności krajowéj nie następowało każdorocznie w *jednym* stosunku; przeziwnie nawet: niektórych lat ludność się zmniejszała zamiast powiększać.

I tak: w roku 1829 ludność wynosiła głów 4,137,631; w r. 1832 3,914,666. Ludność więc się zmniejszyła o głów 222,965, skutkiem bez wątpienia dwóch klęsk niszczących ludność, to jest: wojny i panującéj epidemii. W roku 1846 ludność wynosiła głów 4,867,129, a w roku 1848 głów 4,790,061. Zatém ludność zmniejszyła się o 77,068 głów. Również w r. 1854 ludność wynosiła głów 4,797,845, a w r. 1855 4,673,860. Ubytek więc w ludności wynosił gł. 123,976.

Podzieliwszy epokę od r. 1816 do 1855, lat 39 wynoszącą, na dwa nierówne okresy rokiem 1829, przekonamy się, w którym okresie ludność krajowa silniéj się zwiększała. W piérwszym okresie: roku 1829 ludność wynosiła głów 4,137,634; roku 1816 2,717,287. Przybytek więc ludności za lat 13 wynosi 1,420,347. W drugim okresie: roku 1855 liczono ludności, głów 4,673,869, roku 1829 4,137,634; przybytek więc przez lat 26 wynosił 536,235. Okazuje się zatém, że od roku 1816 do 1829 przez lat tylko 13, przybytek w ludności był dwa razy większy, aniżeli od r. 1829 do 1855go przez lat 26. Czyli, mając wzgląd na liczbę lat, przybytek piérwszy byl 4 razy większy od przybytku drugiego.

Z poglądu powyższego okazuje się, że ludność w królestwie polskiém w ogóle wzrasta. Zachodzi więc pytanie, jakiego rodzaju ludność w większym i jakim mianowicie stosunku wzrasta? Wiadomo bowiem, że ludność ta składa się głównie z chrześcijan i niechrześcijan. Ludność zaś niechrześcijańską składają starozakonni, mahometanie i cyganie. Lecz ludność dwóch ostatnich niechrześcijańskich

wyznań, jest tak małoznaczącą (bo zaledwie kilkaset głów wynosi), że ją oddzielnie brać niéma potrzeby; ale razem z starozakonnemi pod nazwą *niechrześcijan* liczyć, i wnioski z tąd wynikłe głównie do starozakonnych odnosić można. Ludność więc krajową tylko w dwóch działach: chrześcijan i niechrześcijan pod uwagę brać będę.

Dla wykazania, jaki jest przyrost w tych dwóch rodzajach ludności, wziąłem pod uwagę epokę ostatnich lat 15tu od 1840 do 1855 roku, w któréj przyrost uważać można za niski; gdyż epoka ta zawiéra w sobie lata po większéj części krytyczne, tak z powodu panujących chorób, jak i wydarzonych kilkoletnich nieurodzajów, jak dwukrotny ubytek ludności ogólnéj, w téj epoce wyżéj wykazany, dostatecznie przekonywa. I tak: w r. 1855 według wykazów statystycznych urzędowych była ludność: chrześcijan 4,107,498, — niechrześcijan 566,371, — razem 4,673,869; w roku 1840 ludność ta wynosiła: chrześcijan 4,013,080, — niechrześcijan 474,929 — razem 4,488,009. Przyrost więc wynosi: chrześcijan 94,418, — niechrześcijan 91,442, — razem 185,860. Przyrost ten w ludności chrześcijańskiéj wynosi na każde 100 po 2,35 głów. W ludności zaś niechrześcijańskiéj na każde 100 po 19,25 głów. Czyli stosunek przyrostu téj ostatniéj ludności jest blisko 9 razy większy, aniżeli w ludności chrześcijańskiéj; chociaż obie te ludności żyły w jednakowych okolicznościach pod względem klimatu, panujących chorób i nieurodzajów. To pochodzi głównie z tąd, że zawieranie małżeństw u starozakonnych, uważane za obowiązek religijny, jest zawsze wcześniejsze i stosunkowo liczniejsze, aniżeli u chrześcijan, gdzie wiele osób żyje w bezżeństwie już-to dobrowolnie, już z powodu stanu duchownego, już nakoniec oczekując odpowiednich funduszów na zaspokojenie potrzeb przyszłéj rodziny.

Przypuściwszy, że i w dalszych podobnych epokach lu-

dność krajowa w tym samym stosunku wzrastać będzie, rzecz widoczna, że wzrastać będzie w stosunku kapitału składanego z procentem. A ponieważ procent czyli przyrost ludności niechrześcijańskiéj jest tak znakomicie większy; przeto wynika wniosek, że przyjść musi epoka, w któréj ludność niechrześcijańska wyrówna chrześcijańskiéj, a następnie takową przewyższy. Ludność niechrześcijańska w roku 1840 stanowiła 8mą część chrześcijańskiéj, czyli wypadał 1 niechrześcijanin na 8 chrześcijan. W roku 1855 już wypadał 1 na 7miu. Licząc zaś na przyszłość podług tego stosunku wzrost ludności, wypadałoby: w roku 1885 jeden na 5 chrześcijan; w roku 1915 jeden na 4; w roku 1975 jeden na 2 chrześcijan; w roku 2,050 jeden na jednego, czyli obie te ludności zrównałyby się, a w roku 2,065 już o 1 milion ludność niechrześcijańska przewyższyłaby chrześcijańską.

Przypuściwszy zaś zaludnienie ogólne kraju w przyszłości zgodne z rachunkiem wyżéj umieszczonym, tedy w roku 2,005 wynosiłoby 8,475,542 głów to jest 3,653 na 1 milę □. To-by nie przenosiło stósunku obecnego zaludnienia w królestwie pruskiém, bawarskiém, sardyńskiém i césarstwie francuskiém. Zaludnienie zaś w roku 2,065 wynosiłoby głów 12,348,014, co wynosi 5,322 na 1 milę □, który-to stosunek odpowiada obecnemu zaludnieniu królestwa angielskiego, hollenderskiego i wirtemberskiego, a niedochodzi jeszcze stosunku zaludnienia królestwa belgijskiego, gdzie na 1 milę □ wypada ludności przeszło 8,000 głów.

Łukasz Włodarkiewicz.

KOŚCIÓŁ W KRASNYMBORZE.

(WYJĄTEK).

Jeźli kto chce widzieć estetycznie piękne krajobrazy swojskie, niech zwiedzi gubernię Augustowską; tam znajdzie wie-

le ciekawych i pięknych przedmiotów, których żadne pióro jeszcze nie opisało, ani też artystyczny pędzel malarza nie wyobraził. Jeden z takich obrazów chcę tu naszkicować.

Dojechawszy drogą bitą warszawsko-kowieńską do miasta Rajgroda, słynnego z posiadania w swym obrębie szczątków zamku Trojdena, księcia litewskiego, oraz z jeziora i rzeki Łek, dostarczających smaczne węgorze, zwróćmy się na wschód ku pięknemu kanałowi augustowskiemu, i przeprawiwszy się przez szluzę Sosnową, daléj przez lasy, podążym do Sztabina, gdzie widzieć możemy zakłady fabryczne i gospodarstwo wiejskie wzorowe, oraz telegraf, przez hr. Brzostowskiego, b. dziedzica tych dóbr urządzone. Daléj traktem, do miasta Grodna prowadzącym, gdy się udamy na północo-wschód, znowu przez lasy, ujrzymy po prawéj stronie drogi na wzniosłéj górze, groblą półtora-wiorstową od traktu oddzielonéj, kościołek niewielki, murowany, którego styl budowy przypomina bardzo odległe czasy.

Kiedy? i kto tę budowę wystawił? powłoka niepamięci tę wiadomość pokrywa. Dość, że istniał za czasów króla Jana Kazimiérza, to jest w półowie wieku XVII, i wówczasto, w czasie grasującéj w kraju epidemii, cała ludność téj osady do szczętu wymarła, a z nią i tradycya założenia tak osady, jak i kościoła zaginęła.

Gdy po ustaniu morowego powietrza ten kościół wśród puszczy grodzieńskiéj przypadkowo odkryty został, przywędrowały tu z Grodna Bazylianki. Lecz, ponieważ Unitom za daleko było uczęszczać do tego kościoła, odstąpili go Bernardynom, którzy także nie znalazłszy dostatecznego funduszu do utrzymania się, rychło to ustronie opuścili, udając się do Tykocina. Tedy Konstancya z książąt Dulskich Chreptowiczowa, fundowała tu roku 1684 klasztor Dominikanów, obok którego kościół parafialny z drzewa zbudowano.

Roku 1824 Dominikanów zniesiono; klasztor przeisto-

czony został na probostwo, a kościół ich stał się kościołem parafialnym. Z kościoła zaś starego parafialnego hr. Brzostowski wystawił roku 1834 filią w Sztabinie.

Kościół krasnoborski stoi śród głuchego boru. Kształt pięknéj jego budowy jest krzyżowy w rotundę, z wieżą nad kruchtą, na 3 kondygnacye wzniesioną. Wszystko, na co tu w koło spojrzysz, jest cudem Boga i pięknością nacechowane; zasługuje więc i to miejsce, aby zajęło należyte stanowisko pomiędzy osobliwościami téj ziemi, godnemi uwagi ziomków i turystów cudzoziemskich.

Antoni Połujański.

PSALM 136.

Super Flumina Babiloniæ (*).

(POCZĄTEK).

U wód Babilońskich brzegu
  Siedzieliśmy i płakali,
  Gdyśmy Syon wspominali;
Po wierzbach, wśród rzeki biegu,

(*) Wyjątek z listu Józefa z Ojcowa, pisanego ze Lwowa dnia 1 kwietnia 1857: „W tych czasach zjawiły się różne przekłady tego psalmu. Ja wyczytawszy w biblii Radziwiłłowskiéj dawnego wydania, przepolszczenie dziwnie piękne, jestem zdania, że niémamy potrzeby kusić się o nowy przekład wierszem . . . Atoli, gdy ten wzniosły przedmiot zgadza się z usiłowaniami religijnemi i moralnemi Jachowicza, składam do jego „Wieńca“ tę szczérą ofiarę.“

Prozą wyborne tłumaczenie wyszło w Warszawie r. 1854: *„Psalmy Dawida, przełożone dosłownie z osnowy języka hebrajskiego na język polski,“* przez Radcę Pawła Byczewskiego, Członka Kollegium Kościelnego Warszawskiej Gminy Ewangelicko-Reformowanej, (nakładem tłómacza).

*Tam*eśmy lutnie wieszali:
Tam się bowiem nas pytali
Ci, co nas w jeństwo przygnali,
O pieśń naszego zakonu.
Ci, co nas wiedli, wołali:
„Hymny śpiewajcie nam wasze,
Z hymnów waszego Syonu!”
— „Jakże będziem śpiewać nasze
Pieśni, na cześć Panów Pana,
W téj ziemi, co nam nieznana?!”—
Jeśli, Jeruzalem, Ciebie
W niepamięć puszczę od siebie,
Niech będzie w niepamięć dana
I moja ręka prawica!
Niech mi język przylgnie w krtanie,
Jeśli kiedy będę w stanie
Zapomnieć Cię, Jeruzalem!
Jeśli mnie kiedy zachwyca
Radość jaka, przed Twym żalem! itd....

Lwów.

Józef z Ojcowa.

CZŁOWIEK I NATURA.

Wszystko, co jest, pochodzi od tego, który jest. Myśl (idea) najwyższa, jako *twierdzenie*, nadaje formę *przeczeniu*, czyli materyi. Myśl poświęca (ukrywa) się, aby się objawić formą, — aby się *słowo* stało *ciałem:* bo forma pojmuje tylko formę, zmysł znajduje tylko rzeczy zmysłowe; lecz Bóg, jako *duch*, pojmuje się tylko *duchem*. Dla tego duch gubi

się (poświęca się) dla świata zmysłowego, aby się wynalazł w duchu, aby się poznał w człowieku; materya, jako bierna, zaciemnia (ukrywa) odnosząc wszystko do siebie; zaś duch rozjaśnia wszystko, odnosząc siebie do wszystkiego. Z tąd rozum źwierzęcy (ludzki) i rozum boski: pierwszy zasadza się na miłości własnéj, drugi na miłości wszystkich (poświęcaniu się). Myśl boska w objawieniu rozświeciła materyę życiem, nadając jéj formę, i ujęła to rozświecenie jednem ogniwem, którém jest *poznanie* w człowieku. Myśl boska rozradowała się myślą człowieka, i człowiek dał świadectwo o wielkości Boga; bo myśl objawiona w świecie szuka drogi do poznania się za pośrednictwem myśli objawionéj w człowieku. Ztąd człowiek łączy w sobie pierwiastki świata; bo, aby poznał świat, powinien sam być treścią świata, — małym światem.

Człowiek jest-to pochodnia, przy któréj piękność świata pojmuje i ocenia się. Bez człowieka byłaby ziemia niedokończoną, myśl byłaby zatraconą (ukrytą) w materyi bez wynalezienia się.

Myśl boska w objawieniu natrafia na warstwy materyalizmu, z którego coraz bardziéj oczyszcza się, gdy zacząwszy od kształcenia ciał nieżywotnych przechodzi stopniowo kształcąc długi łańcuch jestestw organicznych. Siła życia coraz więcéj przewagi nad materyą odnosi; aby się nareszcie zatrzymać w człowieku dla pokonywania w nim dopóty grubych warstw materyalizmu, dopóki go nie wyrobi na istotę moralną, duchową, aby ta, jako wizerunek, jako iskra myśli boskiéj odniosła tryumf nad materyą i wróciła zwycięsko do swego źródła (Wniebowzięcie). Człowiek, jako duch, nosi w sobie obraz nieśmiertelnego Boga.

Materya jest: 1) nieożywcza, czyli zaprzeczająca, będąca wyłączną własnością ziemi. 2) ożywcza czyli twierdząca, mająca swe źródło w słońcu. Obiedwie te materye mają

3) w myśli (w idei) boskiéj podstawę (prototyp) swego działania.

Człowiek co do swojéj formy składa się: 1) z materyi ziemskiéj nieożywczéj, któréj zasadą jest linia czyli powierzchnia prosta, jako nieodnosząca się do żadnego punktu (ogniska) odśrodkowego. (Bóg utworzył z gliny człowieka). 2) Osadzony między roślinami (w raju) otrzymuje w drugim postępie życie wewnętrzne roślin, które zasadza się na przyswajaniu sobie zewnętrznéj materyi i zamienianiu jéj wewnątrz na własną substancyę za pośrednictwem własności wewnętrznéj czyli funkcyi wciągania płynów z ziemi i powietrza (Smak i powonienie). Zaród życia rozpromieniając się w jestestwach organicznych od jednego punktu wewnętrznego stanowi powierzchnią krzywą, to jest walcowatą lub kolistą. Wychodząc z téj zasady możnaby dowieść przyczynę okrągłego obiegu ziemi na około słońca, będącego zarodem jéj życia, i z tego obiegu pochodzącéj kulistości naszéj ziemi. 3) Jako odwrotna czyli oddziaływająca roślina pozyskuje człowiek naturę źwiérzęcą (utraca niewinność bierną). Materya ożywcza przeważa w nim i staje się twierdzeniem względem przeczącéj a zatém więżącéj ją materyi, z tąd oderwanie się jego od ziemi. Kiedy życie roślinne objawia się od zewnątrz na wewnątrz (bierne), życie zmysłowe odwraca się oddziaływaniem od wewnątrz na zewnątrz (czynne), i jak piérwsze wyrzuca z siebie materyę ożywczą, tak drugie zatrzymuje ją w sobie odrzucając nieożywczą.

Wźrok i słuch są-to zmysły skierowane od wewnątrz na zewnątrz ku materyi ożywczéj światła i powietrza, z tąd ich wyższość nad innemi zmysłami, ich możność wykształcenia się posunięta do nieskończoności. Działaniom tych zmysłów stawia opór tylko materya nieożywcza; czynność ich nieogranicza się na przytykających przedmiotach, jak innych zmysłów, gdyż sięgają powietrza i światła wznoszących się nad obręb ziemi.

Przedmioty nie ulegają przez działanie na te zmysły zużywaniu się; wrażenia ich ograniczają się tylko przestrzenią miejsca lub czasu, a nie ilością indywiduów: są-to funkcye czynne; zaś smak i powonienie funkcye bierne. Czucie zewnętrzne środkuje między niemi i ma za przedmiot materyę nieożywczą lub mieszaną. Zmysły bierne niweczą — zmieniają wszystko, na co ich działalność przechodzi; gdy tymczasem wzrok i słuch, nie uszkodziwszy swych przedmiotów, podnoszą ich wartość dając świadectwo o piękności i harmonii spostrzeżeń. Czucie jest zbiorem —ześrodkowaniem wrażeń zmysłowych i nadzmysłowych.

Człowiek łączy w sobie materyę nieożywczą *(Siwe)* z funkcyami biernemi natury roślinnéj *(Wisznu)*, materyę ożywczą z funkcyami czynnemi natury źwierzęcéj *(Brama)*, która swój pierwiastek od słońca otrzymuje *(Oziris)*. Nad jego naturą źwierzęcą promienieje *Duch*, mający swe źródło w Bogu (Jehowa).

Duch jest, aby był takim, jakim *jest*, a materya jest, aby raz owładnięta duchem, była taką, jaką *nie jest.* Z tąd niezachwiane wytrwanie ducha, a rozmaite przemiany materyi ożywionéj — jedność gatunków a rozmaitość indywiduów — życie i śmierć, twierdzenie i przeczenie.

Człowiek, jako materya nieożywiona, jest ciężarem natury, jest-to uosobiona nieczułość, istota anti-postępowa. Natura pragnie go usunąć wprawiając w ruch rozbiorowy, aby jéj niezawadzał, nie zalegał sobą miejsca. *(Quietysta)*.

Człowiek *natury roślinnéj* (roślino-lud) jest-to drzewo przykute do jednego położenia, jestestwo niepostępowe, pracujące bez myśli i bez celu, zdające się na los przeznaczenia (Fatalizm). Zadawalnia się pokarmem nieżywotnym, a odrzuca żywotny z powodu wewnętrznéj ślepoty; usta jego, jak liście, poruszają się mechanicznie nie kierowane żadną myślą; nagina się i pochyla na wszystkie strony. Usposobie-

nie z niestrawnych żywiołów (duszy) naciągnięte, przytępia w nim wszelką pojętność; korzyść lub strata jest mu obojętną: uosobione lenistwo, istota bierna, dobrowolna ofiara złośliwości.

Człowiek *natury zwiérzęcéj* (źwierzo-lud) ma się w stosunku odwrotnym do roślino-luda. Jego żarłocznéj chciwości nic się oprzeć nie może. Ze zmyślnością pająka łączy w sobie jego krwiożerczą złośliwość, nieoszczędzającą nawet własnego rodu. Przemyślny jak bóbr, pracowity jak mrówka, posiada cały zbiór przymiotów źwierząt. Dla tego też każde indywiduum wszędzie pragnie zostawiać swoje ślady, wszystko nacechować swoją sobistością. Postępują krętemi ścieżkami do celu, którym jest zysk materyalny, i dla tego reprezentujące go złoto, ubóstwiają — kłaniają się złotemu cielcowi. Pragną powszechnéj ciemnoty mniemając, że ją blask złota lub interes własny rozświeci.

Całe pokolenia anti-chrześcijańskie składa się pospolicie z wymienionych roślino-ludów i źwierzo-ludów. Tylko pojedyncze indywidua, oderwawszy się od ogółu, torują sobie nową drogę, i uważając swą wolę za przeznaczenie, stępują naprzód, a za niemi całe tłumy. Człowiek występuje w zaczepnéj postawie przeciwko człowiekowi, — przeciwko bratu, i — Kain zabija Abla.

Człowiek *rozdwaja się z sobą* i w tém rozdwojeniu poznaje dwoistość swojéj natury. (Materyalizm i duchowność). Jak w początku ulegając materyi zagłusza w sobie głos Bóstwa i utraca raj, tak późniéj chwieje się między ideą i materyalizmem, a chcąc przebłagać obrażone Bóstwo, szuka ofiary. Wtedy głos tajemny odzywa się w nim, że tą jest zaparcie się samego siebie dla dobra ogółu, i przybiera postawę błagającego pokutnika (Modlitwa).

Duchowość bierze górę nad materyalizmem, a kiedy *Syn człowieka* dla dobra *ogółu* zapiera się samego siebie czyniąc

ofiarę ze swojej własnej indywidualności, kiedy Chrystus poświęca się dla uratowania nas, mówiąc: kto chce być zbawionym, niech dźwiga swój krzyż, niech się zaprze samego siebie! — niebo odnosi tryumf nad piekłem. Ofiara przyjęta — krew niewinnego oczyściła winnego, zgładziła grzech pierworodny i ugruntowała na skale jedności nowe przymierze — połączenie rozdwojonych rodów, świątynię wiary, nadziei i miłości, której odtąd moc piekła nie zachwieje.

Chryzmatem ofiary oczyszczeni, ewangelią oświeceni, odradzamy się nowem życiem — życiem nieśmiertelnego ducha; — jednamy się z Bogiem, a zbliżając się do niego cnotą chrześcijańską, wywyższamy się nad życie roślinne i źwierzęce.

Łódź. **Wiktor Dłużniewski.**

Komu ten Wieniec.

Przyjacielowi dzieci ta nagroda!
Jemu ta miłość, ta wdzięczność rodzinna:
Jego pokojem oddycha pierś młoda,
O Jego zdrowie modlitwa niewinna!
Bo któż zna lepiéj, czém *ludzkości* cnota?
Kto więcéj poniósł *poświęceń* i *trudu?*
Kto lepiéj pojął, co święta *prostota*
Tych biédnych dziatek kochanego ludu?

Julia Kwaśniewska.

Do Natalci.

Skowronku! gwiazdo! lilijko biała!
Krzyża nad Tobą kreślę ja znamię:
Rośnij, błyszcz cnotą, Natalciu mała,
Niechaj Cię krzyża prowadzi ramię!

Józefa K.

WSPOMNIENIA.

Od narodzin mych daleko?
A do grobu jak też wiele?
Tam wspomnienia płyną rzeką;
Tu nadzieja w kwiat się ściele.
O! nadzieje, to wesołe
Małe dzieci, co przed szkołę
Wyszły zerwać kwiatków parę
Dla żywota na ofiarę.
A wspomnienia? Smętne dzieci!
Jak wędrowiec, co na ławie
Siądzie chwilkę w brzóz oprawie,
I daleko znów odleci.
Próżno gonisz, chwytasz w locie,
Jak rozpierzchłe ptaszki nocą,
Co w dziecięcych rajów złocie
Skrzydełkami gdzieś trzepocą.
Stójcie ptaszki, stój wspomnienie!
Ja cię widzę za mgły siatką,
Jak się snujesz pod drzew cienie
Z starą ojców moich chatką.
A w téj chaty jasnéj ramie
Bracia, siostry i rodzice;
Jedno z drugiém chléb rozłamie,
I do nieba dwie źrenice
Śle, jak święta, jasno, pięknie
Malowana w gwiazd postaci;
Przed ten obraz ojców, braci,
Człek w wspomnieniach zawsze klęknie.
Nad kołyską dziecka jaśniéj

Żywot z kwiatów się uplata,
Z czarodziejskich dziwów świata
Zaklętego w nianiek baśni.
W dziwnym raju czarów, szału,
Co w rozwartą pierś anioła
Sypie piasek z bram kościoła
I zasiéwa kwiat zapału.
Z pod tych baśni, z pod tych pieśni
Życie patrzy niewyraźnie...
Nieraz dumam, czy się nie śni,
Czy nie złudy? wyobraźnie?..
Jednak widzę stare wrota,
Przy nich ława do spocznienia,
Dwie jedliny, gęsto cienia,
I od słońca ziemia złota.
Dziad wędrowny siadł na ławie
Blade czoło i jagody
Z siwych włosów, z siwéj brody
Świécą, jak w śrébrnéj oprawie.
Dziécię w dzbanku niosło wodę,
W oczkach jego radość złota.
Staje, patrzy w długą brodę.....
„Dziadku, z kąd wracasz?“—„Z żywota.
Żyłem długo za górami;
Już mi góry się sprzykrzyły:
Dziś powracam, spocznę z wami,
Potém — w drogę do mogiły.“
„Z życia wracasz!“ łzy błyskają,
„Pokaż torbę: niech zobaczę,
Co tam w życiu ludziom dają
Za ich trudy, za ich płacze.“
Dziécię rękę w torbę wkłada,
Chciwie zbiéra paproch suchy;

Smutny uśmiéch w ustach dziada,
I łza spływa na okruchy.
„Co to?“—„Chléb razowy: praca
Takim chlebem się opłaca.
Jest i pieniądz: czasem ludzie
Milion takich zbiorą w trudzie.“
„A to?“—„Listek: widzisz ranę
Tu na piersiach? już się goi.
Za twe piersi rozorane
Lud cię w taki liść ustroi.
Widzisz jeszcze trochę złota,
Czarną krepę po żałobie,
Kwiatek, rwany liść na grobie, —
To okruchy są żywota.“ —
I dziad rzucił proch przed bramą,
Dziécię klękło u drzwi, w progu:
„Mam iść w życie po to samo?
Matko, zwróć mnie lepiej Bogu!“ —
Dziadek smutnie wstrząsnął głową:
—„Dziécię! próżno składasz dłonie:
Już nie zacząć ci na nowo
Dni anioła w niebios łonie.
Ale podnieś oczy młode,
Patrz z modlitwą — tam w błękicie
W rozpostarte w niebo życie...“
Dziécię patrzy — widać wodę,
A nad wodą obca droga,
Co się w górę, w górę wspina:
Od narodzin się zaczyna,
I prowadzi aż do Boga.
Na téj drodze z blaskiem w twarzy,
Mąż poważny stał na straży;
A w około dziatek pełno,

Jak baranków z białą wełną.
Mąż do nieba wiódł te dzieci:
Czasem które w bok odleci,
Chce się błąkać: on da chleba,
Zwabia nowym wynalazkiem
Piosnką, bajką lub obrazkiem,
Byle tylko szły do nieba.
Przeszła chwila jedna, druga...
Wreszcie obraz w chmury wzleci...
—„Mąż ten, chłopcze, to *zasługa*,
A *niewinność* — są te dzieci.
Dwie potęgi święte, wielkie,
Niewinności kwietnie sploty,
I *zasługi* pierścień złoty,
W trwalszą zleją się kropelkę.
Z dni żywota w stronę Bożą
One jedne raj otworzą;
Nie zostaną w torbie twojéj,
Błysną w niebie, jak stal zbroi....
Dziécię wstało cicho z progu;
Świat przebłyska mu weseléj,
W aniołowéj sukni z bieli;
I podniosłszy dłoń ku Bogu,
Biegnie wysnuć z nici złota,
Z nici życia w pierś złożoną,
Najcudniejszy dar żywota:
Skarb zasługi z łez koroną.
Z torby dziada, z torby staréj
Wzięto w drogę w kraj do nieba
Tylko okruch swego chleba,
I pomięty listek szary,
Bohaterski liść uroczy...
Co w dzień skwarny, spłomieniony,

Wrzósł dla piersi rozkrwawionéj,
I gajami ją otoczy.

Antonina Machczyńska.

W DZIEŃ ŚLUBU,
OD OJCA DO NOWOZAŚLUBIONYCH.

Już kochankowie zaprzysięgli wiarę;
Kapłan czcigodny przed Boga obliczem
Małżeństwa węzłem złączył młodą parę —
Już się ten związek nie da zerwać niczem.
Życzeniem krewnych i przyjaciół grona:
Niech żyje w szczęściu para połączona!
Niech jéj w pożyciu zgoda przewodniczy,
Ufność wzajemna i uprzejmość tkliwa!
Bo gdzie tych niéma, tam niéma słodyczy;
Nawet miłości kruszą się ogniwa.
A że do życzeń coś dodać się godzi,
Przyjmcie od ojca radę, — jako młodzi.
Piękna jest miłość, póki trwa wiek młody,
Ale że z czasem stygnie i kochanie,
A na wiek dalszy potrzebne wygody,
Dobrze jest wcześniéj zapracować na nie.
Weźcie za godło: *oszczędność i praca!*
To wam da szczęście, *to* tylko wzbogaca.
Gdy wszelkie dobro pochodzi od Boga,
Co na nas patrzy, choć zda się daleki,
Aby wam przyszłość mogła jaśnieć błoga,
Jego we wszystkiém wzywajcie opieki;

A gdy będziecie i rządni, i prawi,
Poczciwéj pracy Bóg pobłogosławi.
Różne człek w życiu przechodzi koleje,
Nie zawsze samo szczęście się uśmiecha;
Czasem, wśród troski, odbiega pociecha,
Gdy nas zwodnicze omylą nadzieje.
Szczęśliwym ten jest, kto przygotowany
Stałym umysłem znosić losów zmiany.
Niech lada nowość nigdy was nie drażni;
Coś przędsięwziąwszy, wytrwajcie w tym stale;
W miłości wierność, a stałość w przyjaźni
Gdy dochowacie, nie zbłądzicie wcale.
Pomnijcie na to: że człowiek nie stały
I bez korzyści kończy, i bez chwały.
Gdy piękniejszego nic niéma od zgody,
Żyjcie z familią, na wszelkie wypadki,
Jak żyć powinny dzieci jednéj matki;
Niezgoda w przepaść pogrąża narody.
Jednością silny ród nie łatwo ginie;
Zbawczym zaszczytem jest: zgoda w rodzinie.
W jakim bądź losy umieszczą was stanie,
Niech dobre imię celem życia będzie,
A doprowadzi do tego staranie,
Aby poczciwość na piérwszym mieć względzie;
Do czci u ludzi, a łaski u Boga
Zjedna wam przystęp poczciwości droga.
Dzieci kochane! stojący nad grobem
Te czuły ojciec rady wam udziela;
Idźcie za niemi — tym tylko sposobem
Uczcicie pamięć ojca-przyjaciela.
Opatrzność względów nikomu nie skąpi,
Bądźcie dobremi, Bóg was nie odstąpi.

Feliks Homicki.

SŁÓWKO
O SERCU (*).

Postęp... oświata... nauka... są dziś w ustach każdego człowieka mniéj więcéj wykształconego; powtarzają to wszyscy na wszystkie strony świata. O ludzkości, braterstwie, miłości dobra powszechnego i t. p. rozprawia dzisiaj, kto tylko żyje; frazesami temi przepełnione są wszystkie dzieła, pisma peryodyczne, najmniejsze nawet artykuły. Zarówno na ławach publicznych zgromadzeń, jak i w poufnych domowych zebraniach krzyczą na całe gardło o zachowaniu prawa Chrystusa. Kto tylko pisać umie, bierze pióro do ręki, i wskazuje *innym* drogę życia. Ale cóż z tego? kiedy to tylko czcze słowa i nic więcéj. „Niech żyje wszechstronny rozwój ludzkości!“ *wołają* wszyscy i wszędzie. „Niech żyje spekulacya! Precz z sercem!“ mówią *czyny* nasze. Nigdy nie było tak wielkiéj różnicy między *teoryą* a *praktyką* życia, jak w wieku XIX, zwanym powszechnie wiekiem oświaty i postępu. Dziś po większej części składamy się z 3ch odmiennych istot, to jest: z *myślącéj*, *rozprawiającéj* i *czyniącéj*. Chociaż części te wchodzą w skład jednego i tegoż samego jestestwa, jednak tak są do siebie podobne, jak niebo do ziemi, światłość do ciemności, cnota do zbrodni. Piérwsze z porównanych dopiero przedmiotów cechują mowę naszą; drugie zaś są podstawą żywota. Dzisiaj — po większéj części — każdy mówi, *jak należy*; robi *jak mu*

(*) Z okoliczności serdecznéj przemowy, jaką w Wzdóle (Gub. Radom.) miał X. Eustachy Pinczowski, pleban filiału Suchedniowskiego,

dogodniéj i korzystniéj; a jak myśli? to już Bogu samemu wiadomo. To też ile ludzi na świecie, tyle różnorodnych wyobrażeń i przekonań, tyle zasad życia; bo tylko *prawda* jest jedną i nigdy nieodmienną, wszelki zaś fałsz lub nakręcenie prawdy nie może mieć stałej podstawy, i krzyżować się z sobą musi. Z tego-to względu głównem znamieniem dzisiejszéj epoki jest *zmienność, niestateczność, dotychczasowość, brak wszelkiéj zasady i celu;* słowem: jakaś *nieoznaczoność.* Błąkamy się po tym świecie, jak po jakim labiryncie, nie mogąc trafić do celu. Brak nam gwiazdy przewodniczącéj, brak nam mitologicznéj nici, z kłębka prawdy początek biorącéj, coby krokami naszemi kierowały. Tą zaś gwiazdą, tym kłębem prawdy, z którego wysnuwają się nieprzerwane *nici życia* jest **serce**, — owa podstawa wielkiéj nauki Chrystusa. Dziś zaś serce tylko na ustach mamy, słodko i mile o niém rozprawiamy; ale brak go zupełny w naszém życiu. Materyalizm i wszechwładny duch spekulacyjny zachodu, ten ohydny potwór ludzkości, wyziębiły w nas najszlachetniejsze i najgorętsze uczucia. Sztuka robienia majątku i ciągłego pomnażania go jest dziś zasadą wiary społecznéj, a zysk i pieniądz bożkiem czci najwyższéj. Kto się nie odznaczył żadnym wynalazkiem, ani też szczególną biegłością w jakim przemyśle lub kunszcie, tego prześwietne oświecenie XIX wieku nie chce przyjąć w poczet swego obywatelstwa. Bez wątpienia, świat ciągle postępuje, rozwija się i doskonali; bo to jest odwieczném jego przeznaczeniem, bo w tém jedynie celu przez Najwyższą Istność stworzonym został. Jednakże w tym wielkim rozwoju i doskonaleniu się społeczności, mierzącém się całemi wiekami, bywają lata a nawet dłuższe peryody przejścia, w których ludzkość *cofa się wstecz* dla tém *potężniejszego pójścia późniéj naprzód.* Są-to epoki moralnego *przesilenia się* ludzkości, wprowadzenia w życie postępowych idei, przejścia z cho-

robliwego do normalnego stanu. Epoki te nacechowane są zwykle rozstrojeniem całéj społeczności, gwałtowną moralną gorączką, nienasyconemi różnemi żądzami i namiętnościami, na wzór choroby pojedyńczego człowieka, dla którego najokropniejszą jest *crisis* czyli przejście do życia lub śmierci. Według tych samych praw żyje i rozwija się każdy z nas, co i całe społeczeństwo, z tą tylko ważną różnicą, że: dla człowieka, jako *jednostki*, *crisis* może spowodować przywrócenie organizmowi ciała, stanu normalnego lub też zupełne jego rozwiązanie (życie albo śmierć); człowiek zaś *zbiorowy* czyli ludzkość, jako wiecznie odradzająca się, *umrzeć* nie może, dopóki nie dojdzie do wskazanéj mety, i dla tego po każdém wstrząśnieniu moralném z tém większą siłą dąży drogą postępu. Otóż wiek, w którym żyjemy, jest właśnie tą epoką *przejścia*. Stworzyliśmy sobie życie sztuczne na mgłéj i niecnéj zasadzie; bo tylko na zaspokajaniu potrzeb ciała oparte, i dla tego życie to jest raczéj *letargiem*. A jak w letargu fizycznym pojedyńczego człowieka lekarz ciała używa wszelkich środków do przywrócenia życia, tak i w moralnym pół-śnie ludzkości toż samo czynić winni lekarze dusz i serc naszych. Któż zaś jest najpiérwszym moralnym naszym lekarzem? — *Kapłani!* To też ci słowy i czynem (*wiara bez uczynków martwą jest*) zachęcać powinni ludzi do wyjścia z téj sztucznéj, że tak powiém, wegetacyi, wskazując im drogę *istotnego życia*. Zaiste! wielkie-to i bardzo wielkie powołanie!

Juliusz Zwierkowski.

KILKA SŁÓW

Z POWODU NAJNOWSZYCH NASZYCH POWIEŚCI OBYCZAJOWYCH.

Literatura jest odbiciem życia narodu. Pewnik-to niepotrzebujący dowodzenia. Stan pismiennictwa w pewnéj

danéj epoce jest miarą moralnéj wartości społeczeństwa. Dzieje narodów i historye literatur przekonywają nas o tém. Pojedynczy pisarz może się maskować w swych utworach; ale ogół piszących powoduje się zawsze panującemi opiniami, wyobrażeniami i dążeniami. To téż w nowoczesnéj literaturze europejskiéj maluje się wybitnie stanowisko moralne narodów, ich wiara społeczna. Wszechwładny duch spekulacyjny *zachodu*, żądza wzbogacenia się i wyniesienia materyalnego cechuje literaturę tych krajów. Pełno tam dzieł sztywnych i zimnych, zadziwiających pomysłami; ale nie przemawiających do serca.

Inaczéj się rzecz ma z naszą literaturą. Tradycyonalna szlachetność i poczciwość szczepu naszego, owa święta miłość bliźniego, kierująca życiem ludu naszego, jest zarazem główném znamieniem naszéj literatury. Wprawdzie i tu są pojedynczy pisarze usiłujący wprowadzić do naszego życia obce żywioły; ale to tylko wyjątki, które bodajby nigdy miejsca nie miały. Szczęściem, dzieła podobnego rodzaju nie przechodzą w krew i życie ogółu czytelników, podziwiających w nich nieraz talent; ale niesympatyzujących z autorem. Wiele tam często dowcipu; ale brak serca i szlachetnego celu, tych niezbędnych warunków dobréj obyczajowéj powieści. Jednak powtarzamy, są-to tylko niefortunne wyjątki. Dzieła zaś mistrzów naszych odznaczają się swojskością, owém ciepłem domowém, które w sercach czytelników rozgrzéwa święte uczucia. Powieść nasza, i poezya, owa nadobna córa rodzimych pól i lasów, zajęły obecnie wysokie stanowisko nietylko w naszém; ale i w europejskiém pismiennictwie.

Z tém wszystkiém niektóre z dotychczasowych naszych powieści, przy wielkiéj z kąd inąd wartości i najpiękniejszych dążeniach, nie odnosiły pożądanego celu i nie wywierały stósownego wpływu na ogół; bo brak w nich było

praktyczności (*); bo wskazywały oderwane tylko zasady moralności, nie stosując ich do życia czynnego; bo przedstawione w nich typy i charaktery nie były wzięte z życia *codziennego*. Pomimo zaś wszelkich dowodzeń o znikomościach rzeczy ziemskich, mimo największego uduchowienia się i wzniesienia nad materyalizm, zawsze *żyć trzeba*, i z pod tego prawa nikt się wyłamać nie może. Najważniejszą i najtrudniejszą ze wszystkich umiejętności jest *sztuka życia*, czyli należytego użycia wrodzonych sił i zdolności, rozsądnego wychodzenia z ludźmi i umiejętnego na nich oddziaływania

(*) Praktyczność jest dwojaka: 1) *czysto-materyalna*, zmierzająca jedynie do zapewnienia fizycznego bytu i osiągnienia z życia największych materyalnych korzyści, biorąc je za główny cel wszystkich starań i zabiegów; 2) *wzniosło-moralna*, czyli nacechowana najpiękniejszemi chęciami i dążeniami, usiłująca najumiejętniéj i najrozsądniéj korzystać z wrodzonych *sił* i *zdolności*, rozwijająca zasady moralności *czynnie* w praktyczném życiu i na polu ciągłéj użytecznéj *działalności*, ażeby z *czynów* tych wyniknęły dla bliźnich *istotne* i *widoczne* korzyści. *Piérwsza* jest symbolem zmateryalizowanych i spekulacyjnych narodów, w których miejsce szlachetnych uczuć zajęły niepohamowane żądze wzbogacenia się i znaczenia. Praktyczność ta jest ujemną stroną naszego wieku i prawdziwą plagą społeczeństwa. A niestety! wkrada się ona i do nas z obcych *oświéconych* krajów, przetapiając najgorętsze i najwznioślejsze uczucia na złoty kruszec. Słusznie téż bardzo powstał przeciwko niéj Pan A. Z. W. z Odessy, w „Uwagach nad zdaniem Pana M. Grabowskiego o powieści i Kraszewskim“ (Gazeta Warszawska, z r. 1857 No. 38, 39 i 40). Lecz nie tę bynajmniéj praktyczność miałem powyżéj na względzie; boć i tak (na nieszczęście) o niéj prawie wyłącznie rozprawiają w całym świecie; ale *praktyczność duchową*: ku szlachetnym celom zmierzającą.

Wiémy bardzo dobrze, że *czyn* jest główném naszém znamieniem. Na nic się nie przydadzą poetyczne uczucia i zapały, jeźli tych pięknych zasad nie umiémy rozwinąć w *praktyce* życia; jeżeli nie potrafimy żyć z ludźmi, i zamiast wywierania na nich należytego a korzystnego dla ich dobra wpływu, wystawiamy się tylko przez swe *dziwactwo* na szykanę, a z tąd zniechęcamy się do świata. Czyn więcéj nierównie znaczy, niż papiér i słowa. Przytém pamiętajmy zawsze o tém, że na ziemi naszéj niéma bynajmniéj *eterycznych istot*; lecz ludzie *zwyczajni*, z ducha i z ciała składający się, i że z tego skła-

używając zawsze na *dobre* swojego wpływu. Z fałszywego pojęcia zasad życia powstają owi *pedanci* i różne *moralne oryginały*. Ten zakopany jedynie w martwych książkach, obojętnym jest zupełnie na prawa księgi życia; nic go to nie obchodzi, choćby się cały świat do góry nogami przewrócił, byleby tylko on rozwiązał swoją kwestyę filologiczną lub formułkę matematyczną. Drugi, czytając niby z księgi przyrody, bada tylko podrzędniejsze jéj utwory, nie zajmując się bynajmniéj królem stworzenia, człowiekiem; więcéj on kocha swą roślinę lub owad, aniżeli całe plemię ludz-

---

du wynikają dwojakiego rodzaju *niezbędne* potrzeby, t. j. *duchowe* i *cielesne* czyli *moralne* i *materyalne*, które są nierozdzielne, i zawsze z sobą w parze iść muszą. Kiedy kto jest głodnym, nie zechce bynajmniéj słuchać naszych rozpraw o *miłości* i *poświęceniu się*, tylko przedewszystkiém o chléb wołać będzie; człowiek w zimie źle przyodziany, nie pójdzie na *naukę* do kościoła; bo-by umarzł w drodze. Jeżeli więc ten, *co tysiące czetwiertni pszenicy sprzedaje w Odessie* (słowa wyjęte z przytoczonych powyżéj uwag Pana A. Z. W. z Odessy), otrzymanych ze sprzedaży pieniędzy użyje na polepszenie moralnego i materyalnego bytu swych włościan przez urządzenie dla nich stósownych szkółek moralno-praktycznych i danie odpowiednich zapomóg do należytego zagospodarowania się; jeżeli zapobiegnie tym sposobem okropnéj nędzy kmiotków w czasie przednówku i biorącym z niéj początek różnym występkom, bezwątpienia lepiéj zasłuży się ludzkości, aniżeli *poeta* rozpaczający nad samolubstwem światowém i materyalnemi tegoczesnemi dążeniami. Tamten (gospodarz) *czynnie* i *skutecznie* zapobiega złemu; słowa zaś poety są głosem wołającego na puszczy: zaklina on ludzi i prosi o poprawę, a tymczasem tysiące biednych umiéra z głodu. Jeszcze jedno porównanie. Pewnego razu zdarzyło się, że czuły i tkliwy poeta, człowiek *wiary* i *serca*, przechodząc koło stawu, zobaczył, że jakiś nieszczęśliwy topi się w nim, a ludzie nad brzegiem stojący nie dają mu pomocy. Widok ten przejął boleścią szlachetne jego serce, zaczął lamentować nad biednym topielcem i gromić ludzi niedających ratunku nieszczęśliwemu. Ludzie ci odpowiadają mu na to: „A to ty go ratuj.“ Poczciwy poeta, w piérwszym zapale, chciał rozebrać się i rzucić w wodę; ale przypomniawszy sobie, że pływać nie umié, i że sam utopiłby się a tamtego nie wyratował, zaniechał swego zamiaru. Tymczasem biédny topielec coraz głębiéj tonie i parę chwil tylko a już byłoby po nim.

kie. Tamtemu zdaje się, że dla zostania prawdziwym filozofem należy być zupełnie obojętnym na wszelkie kwestye materyalne, a zatém: nie zważać bynajmniéj na żadne formy przyzwoitości powierzchownéj; nigdy się prawie nie myć i nie czesać; broń Boże tańczyć, a w dodatku chodzić w okularach i w dziurawych bótach. Inny znów, obrawszy sobie za cel życia źle zrozumiane prawo miłości bliźniego, głosi przy każdéj sposobności, że nic nie znaczy rozum, żadnéj nie mają wartości nauki, że serce i *tylko* serce jest oznaką porządnego człowieka; skutkiem zaś téj bezwzględnéj

---

Wtém nadchodzi człowiek praktyczno-szlachetny, a ujrzawszy nieszczęśliwego topielca, bez żadnych skarg i lamentów rzuca się natychmiast w wodę w całém ubraniu i umiejętném postąpieniem wydziéra ofiarę z objęć śmierci. Pytam się teraz, który z tych dwóch: *poeta* czy *praktyk*, lepiéj zasłużył się ludzkości?

A ileż to mamy w świecie podobnych zdarzeń! Co-by się zrobiło ze społeczeństwem złożoném z samych czułych i tkliwych poetów? Wszyscy poumiéraliby z głodu, boć nie można *żyć li tylko* chlebem duchowym. Tymczasem niech-no ci poeci będą zarazem ludźmi rozsądnemi i szlachetno-*praktycznemi*, niech mają na piérwszym względzie dobro duchowe; ale też przytém nie spuszczają z uwagi i fizycznych a *niezbędnych* w życiu potrzeb; niechaj dbają o to, ażeby wszyscy byli moralni i poczciwi a zarazem, żeby mieli co *jeść* i czém *przyodziać się*, wówczas pewno królestwo niebieskie zamieszka na ziemi.

Naturalny zdrowy rozsądek i *takt* — czyli jednem słowem: *praktycsność* grają w naszém życiu wielką rolę. Ludzie nieposiadający tych przymiotów, przy najpiękniejszych nawet uczuciach i chęciach, zwykle znajdują się w odosobnieniu i są bez wpływu na ogół.

Nie powstawajmy więc *bezwarunkowo* na praktyczność, bo ta, jeźli tylko ma szlachetne pobudki i cele, użyteczniejszą jest dla dobra bliźnich naszych, aniżeli wybujałe marzenia i uniesienia poetyczne.

Zastrzegam sobie na później bliższe zastanowienie się nad tym ważnym przedmiotem; tymczasem uważałem za stósowne rzucić chociaż pobieżnie parę powyższych uwag w skutek bezwzględnego potępienia praktyczności przez szanownego Pana A. Z. W. z Odessy.

dobroci, niekierowanéj zdrowym rozsądkiem, całą duszą wylany jest i uczynny dla drugich (często nawet z krzywdą swéj własnéj rodziny) bez względu, czy oni godni tego lub nie; a w nagrodę swego poświęcenia odbiéra tylko uśmiéch politowania z tytułem *dobrego człeczyska* od tych właśnie, co z jego poczciwego serca najwięcéj korzystali. Takie-to i tym podobne są skutki źle pojętych zasad życia. Z tąd wielkie jest zadanie *zdrowéj* filozofii, jako rozbiérającéj warunki życia, i powieści obyczajowéj, jako przedstawiającéj toż życie. Żeby powieść odpowiedziała należycie swemu celowi powinna być *moralno-praktyczną*, to jest: winna wskazywać czytelnikom godziwé i szlachetne a zarazem do ogólnych potrzeb zastósowane kierunki życia, określając należycie wzajemne oddziaływanie dwóch głównych jego źródeł: *serca* i *zdrowego rozsądku.* Szlachetność i moralność szczepu naszego, połączona z praktyczną oświatą zachodu, stanowią prawdziwą istotę życia a tém samém i źródło obyczajowéj powieści. Naturalny zdrowy rozsądek, wsparty gruntowną nauką a kierowany sercem, jest najwyższą doskonałością człowieka, prawdziwie żywotną jego filozofią. Takiego-to rodzaju typy powieść przedstawiać winna. Nam potrzeba koniecznie *jądra żywota:* po ziemi chodzących, zdrowo myślących i żyć umiejących bohatérów.

Lubienia **Juliusz Zwierkowski.**

O D J A Z D.

(IMPROWIZACYA),

Gdyśmy jękiem w świata dzwonie, Każdéj chwili życia stratni,
Dajmyż sobie w uścisk bratni Na rozstanek bratnie dłonie!
Ten całunek—w znak pieczęci, Że się będziem mieć w pamięci
Póki życia, w każdéj dobie, A daj Boże! i po grobie!

Z pism pozostałych po **Janie Nep. Kamińskim.**

WYJĄTKI ZE SZTUKI:

KONSULAT I CÉSARSTWO,

PRZEZ

Fabrycego Labrousse i Albert'a (*).

Obraz drugi.

Teatr przedstawia obóz armii rezerwowéj w *Dijon* (między Paryżem a *Lyon*).

SCENA V.

ŻOŁNIÉRZE różnéj broni, pomiędzy niemi LATOUR d'AUVERGNE, oraz młody ochotnik MARCELIN.

Latour d'Auvergne. Ja mam zostać chrzesnym ojcem tego ochotnika? Dobrze. Niech i tak będzie! *(do Marcelin'a)* Słuchaj, mój chłopcze! *(Marcelin przybliża się; żołniérze tworzą półkole)*. Być żołniérzem, jest-to bronić i opiekować się swoją matką; bo ojczyzna jest wspólną matką nas wszyst-

---

(*) Francuzi wynaleźli najłatwiejszy sposób uczenia ludu historyi. Jest nim wierne na teatrze przedstawienie wypadków jakiéj epoki. Nie są-to drammata; jest-to prosty szereg obrazów drammatycznych, przedstawiających najgłówniejsze wypadki, najważniejsze działania najznakomitszych ludzi. Jest-to wierne zportretowanie ich postaci, charakterów, czynów, słów nawet.

Takim szeregiem 22 obrazów, przedstawiających główne dzieje Francyi od roku 1799 do 1806 jest sztuka powyższa, przedstawiona w Paryżu, w teatrze césarskim *du Cirque* po raz piérwszy dnia 1 Sierpnia 1853, i grana niezliczone razy z niesłychanemi oklaskami. Scenom niemym towarzyszy muzyka Pana *Fessy*. (Ob. o tym sposobie uczenia widzów historyi, projekt podany w tomie IIgim dzieła: „Podróże, przejazdki i przechadzki po Europie, zebrał Doktor prawa *Ludwik Pietrusiński*," wydaném jeszcze roku 1843 i 1845, w 4 tomach, w Warszawie).

kich. (*Żołnierze słuchają w milczeniu pełnêm uszanowania. — Bonaparte wchodzi z Generałami Lannes i Duroc i kilkuma officerami; zatrzymuje się postrzegając osoby, na przedzie sceny stojące; daje znak tym, którzy z nim przyszli, aby milczeli, i zbliża się do półkola*). Kto zostaje żołnierzem, przyjmuje za najwyższe prawo *obowiązek,* a za przewodnika *honor.* Bądź odważny, mój chłopcze! Stań się godnym munduru, który przywdziejesz; nie zapomnij, że w takiéj armii, jak nasza, równe ma obowiązki ten, który nosi szlify wełniane, jak ten który nosi złote; bo sztandar Francyi uszlachetnia zarówno żołnierzy i generałów, co walczą dla jéj sławy. Bądź nieustraszonym w boju, a wspaniałomyślnym dla zwyciężonych. Prawdziwą waleczność cechuje uczucie ludzkości! Podziękuj Bogu, jeźli ci pozwoli umrzéć w dniu zwycięstwa. Jeżeli zaś po bojach wrócisz pod rodzinną strzechę, ozdobiony bliznami, podziękuj Bogu, żeś szlachetnie wypłacił się z długu téj wspólnéj naszéj matce, o któréj ci dopiero co mówiłem: ojczyznie!

Bonaparte (*zdejmuje kapelusz i zbliża się*). Dziękuję ci, *Latour d'Auvergne!*

Wszyscy. Piérwszy konsul!

SCENA VI.

CIŻ SAMI, BONAPARTE, LANNES, DUROC, OFFICEROWIE.

Bonaparte. Tak jest, dziękuję ci, że do tych żołnierzy, do tego młodzieńca przemawiasz słowami, które w twoich ustach przybiérają cechę cnót starożytnych!

Latour d'Auvergne. Generale.

Bonaparte. Mówiłem dziś rano *Berthier*'owi o zleceniu, które ci chcę dać: *Latour d'Auvergne* jest człowiekiem z Plutarcha, wzorem armij naszych.

Latour d'Auvergne. Generale, jestem tylko żołniérzem, starym żołniérzem.

Bonaparte. Tak jest, i nie chciałeś nigdy przyjąć ża-

dnych tytułów, które byłbyś osobą swoją uczcił... Jest jednak jeden tytuł, który spodziéwam się, przyjmiesz, i który ci nadam w téj chwili.

Latour d'Auvergne. Przebacz, Generale; ale wolę pozostać w szeregach, do których wróciłem. Nie życzę sobie kommenderować... ja...

Bonaparte *(uśmiéchając się).* No, no, nie bój się; tytuł, który ci nadam, nie zmieni w niczém twych skromnych nawyknień. Godność tę utworzyłem umyślnie dla ciebie . . . Niech wojsko stanie pod bronią!.. *(słychać bębny; szeregi się formują).* Niech zabębnią, jak do ogłoszenia awansu na generała dywizyi! *(po ustaniu bębnów). Latour d'Auvergne!* wystąp z szeregu! Officerowie, podofficerowie i żołnierze! mianuję Bogumiła *Malocoret de Latour d'Auvergne* piérwszym grenadyerem Francyi!.. Przystąp, niech cię uściskam, nowy *Bayard*'zie, o którym także można powiedzieć: „Jest bez zarzutu i bez trwogi!" *(Okrzyki).*

Latour d'Auvergne. Ach! Generale! tytuł, który mi nadajesz, przewyższa wszystkie rangi, których przyjąć nie chciałem!

Bonaparte. Żołniérze! naśladujcie zawsze ten wzór waleczności i poświęcenia się.

Wszyscy. Niech żyje *Latour d'Auvergne!*

SCENA VII.

CI SAMI. ADJUTANT.

(Adjutant oddaje Generałowi Bonaparte depeszę. General roztwiéra ją i przegląda).

Bonaparte *(na stronie).* Dobrze! *(obracając się do officerów).* Panowie! nadeszła chwila, w któréj mogę wam oznajmić prawdziwy cel wyprawy, do któréj należeć macie.. Idziemy się bić nie do Niemiec; ale do Włoch!

Wszyscy Generałowie. Do Włoch!

Bonaparte. Tak jest., przejdziemy górę Ś. Bernarda.

Wszyscy. Górę Ś. Bernarda!

Bonaparte. Jest-to przedsięwzięcie zuchwałe: przerzució tak armią przez groźne kolosy śniegu i lodu, a do tego w téj porze wiosennéj. Ale *Gassendi* i *Marescot* są zdania, że jeżeli zamiar ten jest trudnym, nie jest do wykonania niepodobnym; a to powinno być dla nas dostateczném.

Lannes. Z resztą, czyliż tę góry śniegowe, te skały z lodu, te lawiny kryją większe niebezpieczeństwa, niż były te, którym stawialiśmy mężnie czoło w Egipcie? Niczém-że były te wiry piasków, to słońce palące, te puszcze niezmierzone? Żołniérze nasi odpowiedzieli godnie zadaniu swemu. To samo i tu będzie. Możemy z nimi pójść na koniec świata,

Bonaparte. Pobytem naszym w *Dijon* wprowadziliśmy Europę w błąd. Wyprowadźmyż ją z tego błędu grzmotem armat! *(słychać bębny; wojsko stawa pod bronią. Bonaparte do wojska).* Żołniérze! przejdziemy przez górę Ś. Bernarda! Będziecie musieli walczyć z przeszkodami prawie niezwyciężonemi; ale jestem pewny, że je tak zwalczycie, jak zwykliście na polu bitwy łamać szeregi nieprzyjacielskie. Niechaj tę naszą wyprawę przez Alpy, historya postawi obok sławnéj wyprawy Hannibala. Śmiało więc naprzód! żołniérze! Ja liczę na was, a cała Francya na was spogląda! *(okrzyki; wojsko wyrusza).*

Wszyscy. Niech żyje Bonaparte!

Obraz trzeci.

U stóp góry Ś. Bernarda. Wąwóz, przez który wojsko francuskie przechodzi. (Bonaparte przeszedłszy z wojskiem Genewę, *Lausanne*, *Villeneuve*, przybył do *Martigny*, w kantonie Wallis).

Obraz czwarty.

Wielka góra Ś. Bernarda. (Wypadki od 15 do włącznie 20 Maja 1800). Gęsty śniég pada. Żołniérze różnéj broni rozbiérają działa i numerują części rozebra-

nych lawet. Ci ciągną jaszczyki, tamci zdejmnją armaty z lawet. Sapery wydrążają pnie drzew siekierami i kładą w nie armaty z lawet zdjęte. Jedni kują, drudzy piłują; ci zbijają gwoździami paki z żywnością, tamci ładują je na konie. Generałowie i officerowie wszelkich stopni kierują temi rozmaitemi robotami. Wszędzie ruch i praca. Bębnią do marszu. Wojsko zaczyna wchodzić na górę Ś. Bernarda. Artyllerzyści zaprzęgają się do armat i ciągną je. Kawallerya idzie pieszo: każdy artyllerzysta prowadzi swego konia. Piechota luzuje zmęczonych artyllerzystów. Officerowie pomagają i dodają odwagi żołnierzom, którzy utrudzeni, muszą się od czasu do czasu zatrzymywać, aby wypocząć.

Przybywa Bonaparte. Aby podniecić odwagę wojska, każe grać muzyce melodye, przypominające dawne zwycięstwa. Zaraz ze wszystkich stron wznoszą się okrzyki, i na nowo wołają wszyscy „Naprzód! naprzód!“ Marsz się na nowo rozpoczyna. Kiedy wojsko dochodzi już do pewnéj wysokości teatru, wtedy na dole pochód wojska trwa ciągle i oddział po oddziale przeciąga przez scenę; po nad górnemi zaś oddziałami, które już tylko maszerują na miejscu, dekoracya ruchoma rozwija się i przedstawia kolejno różne widoki góry Ś. Bernarda. Nakoniec na najwyższym szczycie ukazuje się klasztor. Bonaparte pokazuje go żołnierzom. Zapał się podwaja, wszystko natęża swe siły i pnie się do góry przy okrzykach: „Niech żyje Francya!“

Obraz piąty.

Klasztor Ś. Bernarda. Dnia 21 Maja 1800. Przedsionek w arkady. Jest zupełnie otwarty, i przez okna w głębi widać spadzistość góry Ś. Bernarda. Dzwon klasztorny dzwoni.

SCENA I.

PRZEŁOŻONY KLASZTORU, ZAKONNICY.

Najprzód wchodzą dwaj zakonnicy, trzymający dwóch psów na smyczy. Przybywszy na środek sceny, i usłyszawszy z obocznéj kaplicy śpiéw następujący, klękają.

Chór zakonników *(za sceną)*:

Śród tych samotnych pustyń i zawiei,
Pełni obawy i pełni nadziei,
Na odgłos dzwonu, padłszy na kolana,
Wielbmy łaskawość Wszechmocnego Pana!

Daj nam wytrwałość, pokrzep nasze siły:
Niechaj zwątpienie w te serca nie wkroczy!
Choć nas od świata lody oddzieliły,
Ty na nas zawsze zwrócone masz oczy!

Przełożony (*wchodząc z zakonnikami*). Teraz, kiedyśmy wznieśli myśli nasze do Boga, śpieszmy do obowiązków naszych. Napełnijcie wasze torby, weźcie kije żelazem okute, i idźcie na drogę. (*Czterech zakonników przygotowuje się do wyjścia. Przełożony głaszcząc psa*). Mój ty poczciwy Fidelu! kiedy przeszłego tygodnia podróżny wpadł w przepaść, tyś się w nią rzucił i go uratował! Śmiało, mój dobry psie, zawsze śmiało! bądź czujnym... szukaj starannie... a jak wrócisz, czeka cię nagroda. (*Czterech zakonników wychodzi. Przełożony do innego zakonnika*) Czyś też dopilnował, aby officerowie francuscy, którzy tu u nas wczoraj stanęli, mieli wszystkie wygody.

Zakonnik. Tak jest, mój ojcze, rozkazy twe wykonane. Dziś o samym świcie poszli obejrzeć górę S. Bernarda. Otóż i wracają. (*Widać w głębi Bonapartego, Duroc'a i Bourienn'a. Bonaparte ma na sobie surdut szaraczkowy, zapięty; dwaj drudzy także w surdutach zapiętych i najskromniéj ubrani. Zatrzymują się w głębi i rozmawiają wszyscy trzej po cichu*).

Przełożony (*do zakonników*). Idźcie, bracia, do zwykłych waszych zatrudnień. (*Zakonnicy oddalają się*).

SCENA II.

PRZEŁOŻONY, BONAPARTE, BOURIENNE, DUROC.

Bonaparte (*wchodząc na przód sceny*). Przejście wojska odbyło się szczęśliwiéj, niż się spodziéwałem. Teraz, jeźli General *Lannes* potrafi wyjść z doliny Aosty bez przeszkody, jeźli mu się uda opanować fortecę Bardo, i skierować

szybko artylleryą na Iwreę (*), wyprawa nasza udała się. Nim się puścimy w drogę, i nim nadejdą depesze, które mi *Berthier* i *Lannes* mają tu nadesłać, wykonajcie śpiesznie moje zlecenia. (*Bourienne i Duroc siadają i piszą*).

Przełożony (*do Bonapartego*). Witam cię, mój gościu!

Bonaparte. I ty, mój ojcze, przyjmij moje podziękowanie za dobre przyjęcie, któregośmy w klasztorze doznali.

Przełożony. Dopełniliśmy tylko reguły naszego zakonu.

Bonaparte. Tak, ale obowiązki, które na siebie bierzecie, wymagają cnót, jakich nieposiadają tylko wzniosłe charaktery. Wygnani, by tak powiedzieć, ze świata, ciągle w walce z nieprzyjaźnemi żywiołami... bliscy śmierci, któréj co krok, mężnie stawiacie czoło, prowadzicie życie, będące ciągłém i odważném wyrzeczeniem się samego siebie... Jesteście prawdziwemi żołniérzami Chrystusa!

Przełożony. Chwalisz nas nad nasze słabe zasługi.

Bonaparte. Nie, mój ojcze, wy święcie prowadzicie daléj dzieło waszego fundatora, Bernarda *de Menthon*.

Przełożony. Był-to jeden z najzacniejszych Duchownych.

Bonaparte. On wam przekazał (tak jak wy waszym następcom przekażecie) owego ducha miłości chrześcijańskiéj, który go natchnął do utworzenia tego przybytku ludzi poświęcających się wyszukiwaniu podróżnych, co się w drodze zabłąkali, albo pod zaspami śniegu leżą zagrzebani! (**)

Przełożony. Jakże jesteśmy szczęśliwi, iż możemy nieść

(*) Jak *Saint-Maurice*, *Martigny* i *Saint-Pierre*, w szwajcarskim kantonie *Wallis*, są na północ od góry Ś. Bernarda, tak *Aosta*, *Bardo* i *Ivrea* są na południe onéjże, na drodze do Turynu i Medyolanu.

(**) Droga przez Wielką górę Ś. Bernarda jest najbliższą z Szwajcaryi do Piemontu, i w półroczu letniém ciągle ubogim ludem, pieszo lub na mułach jadącym, napełniona.

niejaką pomoc tym nieszczęśliwym. Jakże miło jest módz sobie powiedzieć przy zawarciu na wieki powiek: „I ja też w świecie na coś się przydałem.“ My należymy do kościoła *walczącego*; obowiązkiem naszym jest walczyć w obronie ludzkości, przeciw tym rozhukanym uraganom, i téj naturze Alpejskiéj, która, równie, jak ocean, ma swoje rozbitki.

Bonaparte. Tak jest. Bohatérstwo, śród samotności, jest wzniosłém, jest piękném. Niezawodnie lepiéj sypiacie, niż zdobywcy! Klasztor wasz posiadał niegdyś dochody dosyć znaczne; ale dobroczynność wasza wyczerpała je... Gościnność wasza jest zawsze bezpłatną; łatwo kiedyś w dopełnianiu obowiązków waszego powołania możecie z tego powodu doznać przerwy.

Przełożony (*wskazując na skarbonę*). Oto kassa ubogich... każdy dobrowolnie wkłada tam swoją ofiarę... Bóg czuwa nad nami, a my w Nim zupełną ufność pokładamy!..

Bonaparte. Podaj mi rękę, mój ojcze... Uściśnienie ręki takiego, jak ty, człowieka, musi nieść szczęście!

Przełożony. Niech cię Bóg ma w swojéj opiece, mój bracie!

SCENA III.

CI SAMI. GIACCOMO (Dżakomo, Jakub).

Giaccomo. Z przeproszeniem, mój ojcze, i Pan także niech wybaczy, Wielmożny officerze.

Przełożony. Jak-eś dziś wcześnie przybył, *Giaccomo*.

Giaccomo. Jestem w klasztorze od wczoraj wieczór. mój ojcze; przenocowałem w stajni przy moich mułach. To ja przyprowadziłem tych oto tu Panów... i przychodzę się dowiedzieć, czy nie myślą wracać przed godziną roztopu. Teraz byłaby właśnie najlepsza chwila.

Bonaparte. Aby od podnóża góry S. Bernarda przybyć tu do klasztoru, potrzebowaliśmy 8 godzin; ale do zejścia na dół, zdaje mi się, iż daleko mniej czasu wystarczy.

Giaccomo *(kiwając głową)*. Ho! ho! droga jest przykra... daleko przykrzejsza, niż idąc do góry... szczególniéj téż dla mułów. Potrzeba ich ciągle wstrzymywać, i to silnie!

Bonaparte. A sankami?

Giaccomo. Można stanąć o parę godzin prędzéj, to prawda. Ale ja Panom nie radzę wystawiać się na niebezpieczeństwo; w téj porze roku jest to bardzo niebezpieczném. Niémasz tygodnia, jak jakiś podróżny Anglik uparł się jechać sankami, i wleciał téż z niemi w głąb przepaści. Gdyby nie Fidel, byłoby już było po nim. Wierzcie mi Panowie, sto razy lepiéj zatrzymać moje muły i nadłożyć parę godzin, niźli puszczać się sankami.

Bonaparte. Zdaje mi się, że ty się nie tyle obawiasz grożącego niebezpieczeństwa, ile utraty tego, cobyś zarobił gdybyś nam jeszcze daléj służył za przewodnika.

Giaccomo. A! Najświętsza Panno! Nie jestem ja tak chciwy zarobku, jakby kto mniemał. Pewnie Panu przyszła ta myśl z tego powodu, iż idąc do góry, opowiadałem w zaufaniu o tym domku z polem, który jest do sprzedania w *Saint-Pierre*. Mówiłem o tém ot tak, aby nie iść w milczeniu; przecież nie jestem tak głupi, abym miał myśleć o tém, że mógłbym kiedyś domek ten kupić. Na to potrzeba-by pracować przynajmniéj lat 20, i nie wydawać ani grosza z zarobku, a to jest zupełném niepodobieństwem; bo ja mam do utrzymania chorego ojca, i poczciwą matkę, staruszkę... A to u mnie najpiérwsze: ojciec i matka!... Ten dom z polem to mi prawdziwie tak tylko, ni z tąd ni z owąd wleciał do głowy; i jak wleciał, tak i wyleciał. Dosyć o tém. Już mi się nawet nigdy nie przyśni.

Bonaparte. Jednak, może to źle, że go sobie z głowy wybijasz.

Giaccomo. Źle? że się wyrzekam myśleć o tém, czego nigdy mieć nie mogę!... O! z przeproszeniem; było-by to

arcy-głupstwem; a głupstwa przecież nikt mi doradzać nie zechce.

Bonaparte. Ha, kto wié? wszystko na świecie być może! *(Duroc i Bourienne wstają od stołu, przy którym siedzieli, i oddają Bonapartemu papiéry).*

Giaccomo *(na stronie).* On jest przedziwny ze swojém: „być może.“ Właśnie téż! O! gdyby szło o kamień, z któregobym kark skręcił, to nie mówię... to choćby tylko jeden taki był w Alpach, pewnie-bym na niego stąpił. Ale co domek z polem.... ho, ho, ho!... Niéma o czém mowić. *(Podczas tych ostatnich słów Giaccom'a, Bonaparte mówi coś po cichu do Bourienn'a).*

Bonaparte *(do Bourienn'a głośno).* Rozumiész? napisz więc. *(Słychać szczekanie psów, najprzód w oddaleniu, potém coraz bliżéj, co raz bliżéj. Dzwonek klasztorny dzwoni na znak nieszczęścia. Dwaj zakonnicy, którzy byli wyszli na początku aktu, wnoszą zemdlałego Marcelin'a, obwiniętego w swe płaszcze. Wszyscy skupiają się koło niego; Fidel wyje i liże Marcelin'a).*

SCENA IV.

CI SAMI. MARCELIN, ZAKONNICY.

Bonaparte. Trębacz od huzarów?

Przełożony. Biédny młodzieniec! *(Fidel kładzie się na Marcelin'ie, ogrzéwa go sobą, i stara się otrzéźwić go).*

Bonaparte *(ze wzruszeniem).* Co za zmyślność!

Przełożony *(do psa).* Poczekaj-no, mój ty poczciwy psie, połóż się na nim; ale zostaw mu głowę wolną. *(Pies robi wszystko, co mu rozkazują. Jeden zakonnik podaje Przełożonemu puzdro z flaszeczkami. Przełożony bierze jedną z nich, nalewa sobie płyn na dłoń i zaczyna trzéć skronie i twarz Marcelin'a. Potém bierze drugą flaszeczkę i przybliża ją do ust młodzieńca.)*

Bonaparte. Czy jest nadzieja, żeby odżył? mój ojcze.

Przełożony. Już wraca do życia, już przychodzi do sie-

bie. *(Pies szczeka i patrząc na Marcelin'a daje oznaki najżywszéj radości. Przełożony do dwóch zakonników).* Gdzieście znaleźli tego młodego żołniérza?

Zakonnik. Na skręcie ścieżki przy krzyżu.

Marcelin *(przychodząc powoli do siebie).* Ratujcie! ratujcie!... Śnieg mnie zasypuje! śnieg mię pochłania!

Przełożony. Uspokój się! uspokój się! niebezpieczeństwo już minęło! jesteś uratowany!

Marcelin *(wpatrując się po kolei w tych, co go otaczają).* Gdzież jestem?

Przełożony. U najlepszych przyjaciół, w klasztorze Ś. Bernarda.

Marcelin. W klasztorze? *(podnosząc rękę do czoła i kłaniając się po wojskowemu).* O! witam was... witam... moi Ojcowie.... A on? a on? *(patrzy na wszystkie strony)* Gdzież on jest? czy uratowany?

Bonaparte. Kto taki?

Marcelin. Mój wuj.

Bonaparte. Któż jest twoim wujem?

Marcelin. Brygadyer szwadronu, do którego należę.

Bonaparte. Byliście w tylnéj straży?

Marcelin. Nie.

Bonaparte. Jakim-że więc sposobem pozostaliście obydwa w górach?

Marcelin. Mój wuj otrzymał rozkaz, i wziął mię ze sobą.

Bonaparte. Co za rozkaz?

Marcelin. Polecieć z depeszą.

Bonaparte. Do kogo?

Marcelin. Nie wiém.

Bonaparte. No, i gdzież twój wuj?

Marcelin. Pewnie go spotkało nieszczęście. O! śpieszcie mu, śpieszcie na ratunek!

Przełożony. Uspokój się. Natychmiast posyłam szukać go... Natychmiast każę go wyśledzić... *(Giaccomo i zakonnicy wybiegają).*

Bonaparte. Ale powiedz-że, co się stało?

Marcelin. Wyjechaliśmy o zmroku z doliny Aosty, aby stósownie do rozkazu danego wujowi, oddać depeszę w klasztorze S. Bernarda... tutaj... Jechaliśmy co tylko konie wydążyć mogły; trzymając się ścieżek wydeptanych przez wojsko: ale nagle zaczął padać śnieg tak gęsty, żeśmy na dwa kroki przed sobą nic widzieć nie mogli... Byliśmy wtenczas mniéj więcéj w półowie drogi. Wuj powiada: „Zatrzymajmy się, może się śnieg zmniéjszy; to się będziemy mogli zoryentować...“ Ale, gdzież tam? Śnieg zaczyna walić dwa razy większy; wicher świszczy, grad bębni! a my stoimy na miejscu, jak przykuci nie mogąc się ruszyć ani o krok naprzód, ani w tył... Nagle huk przeraźliwy! Była-to ławina śniegu lecąca na dół z bryłami lodu... z kawałami skał... z drzewami, które z korzeniami powyrywała... Konie przestraszone wyrywają się... lecą na oślep, ani sposób utrzymać ich. Koń mój, unosząc mię długo po śniegach i lodach, zrzuca mnie; chociaż nieprzytomny, podnoszę się, wołam o ratunek; ale głos mój ginie w huku burzy!.. Tedy idę na los szczęścia mówiąc sam do siebie: „może i zajdę!“.. I w rzeczy saméj... już słyszałem dzwonek klasztorny... i szczekania psów... już tylko byłem oddalony o kilka kroków... kiedy mię siły zupełnie opuszczają... czuję, że marznę... śmierć mi w oczach stanęła... Padłem!

Przełożony. Ale Bóg czuwał nad tobą, i zesłał ci nas na ratunek.

Marcelin. Ah! niechże także uratuje mego wuja!... mego biédnego wuja! On mię tak kocha.... on taki dobry, on taki dla mnie wylany! Jużem teraz siły odzyskał; więc natychmiast polecę także szukać go.

Przełożony, Ani podobna; sam widzisz, że sił niémasz!

Marcelin. Odwaga mnie wesprze... będę się czołgał jeźli potrzeba... Pozwólcie mi tylko wyjść! proszę was... na miłość boską... *(postępuje kilka kroków w głąb sceny, chwiejąc się).*

Bonaparte *(do Bourienn'a i Duroc'a).* Odważny chłopiec! *(słychać głos Baptist'a za sceną).*

Baptiste. Uratowany! uratowany! powiadacie? on jest uratowany!

Marcelin *(z radością).* To jego głos! to on! to on!

SCENA V.

CI SAMI. BAPTISTE, GIACCOMO, ZAKONNICY.

Baptiste *(cały okryty śniegiem; w mundurze zabłoconym i podartym).* Gdzież on jest? Gdzież on jest? Marcelin?...

Marcelin *(biegnąc ku niemu).* Mój wuju!...

Baptiste *(ściskając go).* Jaż cię znów widzę, jaż cię znów znajduję! żywym! Już byłem stracił nadzieję! *(spostrzegając Bonapartego, który idzie ku niemu, i kłaniając mu się po wojskowemu).* Mój Gene....

Bonaparte *(przerywając mu).* Cicho, nie wydawaj mię!..

Baptiste. Dobrze, mój gen....

Bonaparte. Masz depeszę?

Baptiste *(oddając mu ją).* Oto jest. *(Bonaparte bierze depeszę, i odpieczętowawszy otwiera ją z pośpiechem. Do Marcelin'a i do zakonników, podczas kiedy Bonaparte przebiega oczyma depeszę).* Biedny chłopcze, miałem cię za straconego na zawsze, dalibóg! Ah! poczciwi też to ci kapucyni! o jedno tylko proszę Pana Boga: oto, żeby mi dał odwdzięczyć się wam za radość, któréj w téj chwili doznaję. Dzień ten, widzicie, jest dla mnie, jakem huzar, najpiękniejszym dniem w życiu. *(Bonaparte, Duroc i Bourienne stają razem po prawéj stronie, a Przełożony, Baptiste, Marcelin i wszyscy inni na lewéj. Podczas kiedy Bonaparte zajęty jest depeszą*

z Durokiem i Bourienne'm, mimika osób na lewo, powinna dać do zrozumienia publiczności, że jedna z nich opowiada Baptistowi, jakim sposobem Marcelin'a uratowano. Baptiste ze swojéj strony powinien dać do zrozumienia, że opowiada, co on ze swéj strony czynił).

Bonaparte. Czy oni poszaleli! Ba jeszcze czego! nigdy! nigdy!

Duroc. Cóż to? Generale.

Bonaparte. *Berthier i Lannes* donoszą, że forteczka Bardo wstrzymuje przednią straż naszą; że niepodobieństwem jest przeprowadzić artylleryą pod ogniem téj fortecy; że w obawie, aby się droga wojskiem nie zapchała, wstrzymali pochód wojska i bagażów. Wreszcie radzą mi, abym się cofnął, i żebym zmienił mój plan attaku.

Duroc. A to-by był nieszczęśliwy początek... Straciłbyś wszelką korzyść na czasie, którą zyskałeś.

Bonaparte. Przeszkoda nie może być tak wielka, jak oni ją sobie wystawiają... Zresztą dołączyli do depeszy plan położenia. Zobaczmy *(roztwiéra plan i kładzie go na stole; wszyscy trzej nachylają się na stół i przypatrują).*

Baptiste *(do Marcelin'a).* Uściskaj mię jeszcze raz... Płaczę, jak dziecko, gdy go matka od piersi odłączy!

Marcelin. Mój kochany wuju!

Duroc *(do Bonapartego).* W rzeczy saméj, położenie jest groźne.

Bonaparte. Tak. W ciasnym wąwozie, między drogą a rzeką stoi forteczka, jakby na głowie cukru. Strzały jéj padają na drogę prawie prostopadle.

Duroc. Spadzistość góry, nie pozwala wziąć fortecy szturmem... a niémasz żadnegosposobu usypania batteryi dla zrobienia wyłomu.

Bonaparte *(wstając).* Przecież nie dla tego mi się udało przebyć jednę z najwyższych gór świata, żebym miał być

zatrzymanym przez prostą skałę. O! nie! nie! Gdybym mógł jakim zręcznym i śmiałym wybiegiem... *(kładzie rękę na czole, jak człowiek szukający myśli. Potém żywo).* Tak, tym sposobem może mi się udać. Uda mi się!.. *(głośno).* Jedźmy, jedźmy!

Giaccomo *(przybliżając się).* Czy osiodłać muły?

Bonaparte *(żywo).* Nie... sanek! sanek!

Giaccomo *(zdziwiony).* Sanek?

Bonaparte *(do Przełożonego).* Mój ojcze, jeszcze raz składam ci dzięki moje. *(bierze ze stołu dwa papiéry, które Bourienne napisał, i podpisuje je szybko).*

Baptiste *(do zakonników podając im rękę).* Moi poczciwi Kapucyni! jestem wasz do śmierci.

Marcelin. Nie zapomnnę nigdy, coście dla mnie uczynili. *(wychodzą).*

Bonaparte *(oddając papiéry Giaccomo'wi).* Masz... Chodźmy! *(Bonaparte, Duroc i Bourienne wychodzą).*

Giaccomo *(czytając jeden papiér, który mu oddał Bonaparte).* „Rozkazuję kassyerowi wojska wypłacić przewodni- „kowi *Giaccomo*'wi summę potrzebną do kupienia pola i do- „mu, które są wystawione na sprzedaż w miasteczku *Saint-* „*Pierre!*" podpisano: „Bo...bo...na...na... Bonaparte!"

Przełożony. Bonaparte!.. to on!..

Giaccomo *(otwiéra drugi papiér i przebiega go oczami, potém przybliżając się do Przełożonego).* Ten papiér jest dla ciebie, mój ojcze! dla ciebie... Patrz!

Przełożony *(bierze papiér i czyta).* „Rozkaz wypłacenia „Przełożonemu zakonników góry S. Bernarda, do wolnego „jego rozrządzenia, summy 50,000 franków."

Giaccomo. Oto mi sumka!

Przełożony. Przeznaczam ją całą dla ubogich, którzy będą błogosławić jéj dawcę.

Giaccomo. Daléj, mój ojcze, biegnijmy oświadczyć mu...

Przełożony *(idąc do okna w głębi).* Już za późno, sanki jego już poleciały.

Giaccomo *(wywijając swoim kapeluszem).* Niech żyje Bonaparte!

Przełożony *(wznosząc ręce do nieba).* Boże, czuwaj nad nim! *(wychodzą).*

Obraz szósty.

Wzięcie Iwrei. Teatr przedstawia główną basztę cytadelli Iwrejskiéj. Przy podniesieniu zasłony Generał kroacki, otoczony swoim sztabem, patrzy w oddalenie przez perspektywę.

GENERAŁ, PÓŁKOWNIK, OFFICEROWIE, potém OTT.

Oreilly *(patrząc).* Nadaremnie upiérasz się, pólkowniku: to nie jest dywizya generała *Haddick*'a, którą spostrzegam tam daleko na równinie; to nie austryacka chorągiew powiéwa! Zresztą, w krótce się przekonamy.

Ott *(wchodząc).* Generale, Francuzi przebyli dolinę Aosty... idą na Iwreę.

Oreilly. A cóż ja mówiłem! *(do Otta).* A więc forteca Bardo kapitulowała?

Ott. Nie, Generale; trzyma się jeszcze; ale Francuzi z niesłychaném wysileniem wykuli sobie drogę w skałach Albaredo i omijając Bardo, ruszyli w bok, po za ten wąwóz. Kommendant więc fortecy nie mógł przeszkodzić ich przejściu!

Oreilly. Oh! ten Bonaparte! ten Bonaparte! A Generał *Haddick?*

Ott. Zbity na głowę przez Generała *Lannes:* wojsko jego w rozsypce, 1500 ludzi dostało się do niewoli. *(Officerowie i żołniérze przybiegają wołając: „Francuzi! Francuzi!" Słychać strzały armatnie).*

Oreilly. Do broni! *(Bitwa się rozpoczyna. Kroaci zmuszeni są ustąpić. Francuzi na czele Generała Lannes ścigają ich).*

Obraz siódmy.

Słychać gwałtowny wybuch. Dekoracya w głębi odsuwa się, i widać otwarty wyłom, w którym Francuzi walczą z Kroatami.

Lannes *(porywa za chorągiew i prowadząc ich)*. Naprzód! bracia, naprzód!... kto mnie kocha, idzie za mną! *(Twierdza zdobyta; Kroaci broń składają)*. Iwrea jest naszą! Zwycięstwo! Niech żyje Francya!

Obraz ósmy.

Stradella (na południe Medyolanu, naprzeciw ujścia *Ticin*'a do rzeki Po).
Izba.

SCENA I.

DUROC, SEKRETARZE.

Duroc *(wchodząc, do sekretarzy)*. Połóżcie, Panowie, wszystkie depesze na tym stole; przedstawię je do podpisu pierwszemu konsulowi. *(Do jednego sekretarza)*. Zredaguj Pan spiesznie notę szczegółową o tém, co się działo u nas i w około nas, od wczoraj, 8 czerwca, kiedyśmy opuścili Medyolan, aby tu przybyć do Stradelli... *(do innego sekretarza)*. Pan zakończ opis przerwany tego, co się działo w Medyolanie... *(do innego)*. A Pan przygotuj zbiór dekretów i rozporządzeń wydanych przez pierwszego konsula. Otóż i on...

SCENA II.

DUROC, BONAPARTE, ADJUTANCI, GENERAŁOWIE.

Bonaparte *(do adjutantów)*. Panowie, przypominam wam instrukcye, które wam dałem; ażeby się co nie zapomniało. *(Do jednego adjutanta)*. Powiedz Pan Generałowi *Lannes*, że trochę za daleko wysunął się naprzód od Stradelli; ale że się to naprawi przez dywizye *Chambarlhac*, *Gardanne*,

Monnier, i *Boudet*, które się do niego zbliżyły; oraz przez nowe posiłki, które mu posłałem. Jeżeli jeszcze nie przyszło do bitwy, niech Generał nie idzie daléj dla stoczenia jéj; ale niech czeka na nieprzyjaciela koło *Casteggio* i Montebello... (*Adjutant wychodzi*). Dzień dobry, *Duroc!*

Duroc (*kłaniając się*). Generale!..

SCENA III.

BONAPARTE. DUROC, GENERAŁOWIE.

Bonaparte (*do Generałów*). Czy wiécie, Panowie, co się stanie, co się może już stało w téj chwili? Oto, lada chwila, a *Lannes* nam doniesie o zwycięstwie; on niezawodnie zetknie się z Austryakami i zbije ich na głowę.

Duroc. Generale!...

Bonaparte. No cóż? mów! — założę się, że mi masz uczynić jaką uwagę nad memi teraźniejszemi rozkazami!

Duroc. Tak jest.

Bonaparte. No jaką?

Duroc. Zawsześ aż dotąd skupiał siły swoje w obec nieprzyjaciela; dziś je rozdrabniasz.

Bonaparte. Ah! odpowiém ci na to zwycięsko... Tak jest; zwykłą moją taktyką było: działać massami; ale każda taktyka musi czasem uledz niejakiéj zmianie. — Stary Melas jest przebiegłym; potrzeba mi go często w pole wyprowadzić. — Słuchajcie, Panowie, chciałbym stoczyć batalią stanowczą, jedną z tych wielkich bitew, które rozwiązują od razu rzecz stanowczo, bezwarunkowo! Zaciągam więc w koło nieprzyjaciela sieć dosyć mocną, aby go wstrzymać. Gdy się to stanie, powrócę natychmiast do mojéj zwykłéj zasady, do koncentracyi. Tymczasem używam podstępu... bawię się w strategią (*uśmiéchając się*). Jestem trochę lisem, nim wyciągnę pazury i rzucę się na moją zdobycz, jak lew.

Duroc. Teraz rozumiém.

Bonaparte *(siadając)*. Chciałbym też wiedzieć, mój *Duroc*, co tam mówi wojsko?

Duroc. Mówi, że ta kampania będzie daleko krótszą, niż piérwsza kampania włoska.

Bonaparte. A spodziéwam się. Śpieszy mi się do Paryża; nie trzeba, żeby mnie tam zapomniano.

Duroc. Generale, zwycięstwa twoje dają stolicy dosyć do mówienia o tobie.

Bonaparte. O! zwycięstwa moje! Zastanów się tylko dobrze nad rapportami, które otrzymujemy, a zobaczysz, czyli za piérwszém niepowodzeniem, za piérwszą wiadomością, rozsianą przez źle myślących, cała zgraja, którą u nóg moich powaliłem, nie podniosłaby się na nowo, jak wąż źle zgnieciony! *(przerzucając depesze)*. Napiszesz do *Fouché*'go' że nie widzi naszych prawdziwych nieprzyjaciół tam, gdzie właśnie są; do *Talleyrand*'a, że jestem kontent z instrukcyj, które dał naszym agentom dyplomatycznym. — Zburcz w kilku słowach *Cambacéres*'a: niesprawiedliwie skassowano jednego sędziego pokoju w *Morbihan*, i dano napomnienie sędziemu trybunału cywilnego w *Montpellier:* rozpoznałem obie te sprawy, porównałem papiery i dowody, i osądziłem, że oba ci urzędnicy działali tak, jak byli powinni; należy im się więc zadosyć uczynienie, i to natychmiast! — Roboty około budowli publicznych idą leniwo; potrzeba dodać bodźca budowniczym rządowym; niech im zagrożą moim gniewem, gdy wrócę. *(Do Generałów)*. Mówiliśmy właśnie o mojéj taktyce teraźniejszéj; wiécie, kogobym sobie życzył mieć teraz przy sobie? Oto Generała *Desaix!* O! gdyby *Desaix* nie był w Egipcie, o! gdyby *Desaix* był tutaj!.. Jak on by mi był przydatnym w téj kampanii; a potém, zrobiłbym go ministrem wojny! księciem, gdybym mógł! *(Adjutant wchodzi)*. Cóż tam?

Adjutant. Członkowie Rządu tymczasowego Lombardyi proszą o wprowadzenie ich do Pierwszego Konsula...

Bonaparte. Niech wejdą! niech wejdą!

SCENA IV.

CIŻ SAMI, P. DE MELZI, CZŁONKOWIE RZĄDU TYMCZASOWEGO I INNI.

De Melzi. Generale, Rząd tymczasowy, któryś utworzył, i którego prezesem mianować mię raczyłeś, staje przed tobą, aby ci oświadczyć w imieniu własném i w imieniu miasta Medyolanu, hołd wdzięczności i uszanowania... Zrobiłeś nas, Generale, narodem; zrobiłeś ojczyznę naszą sprzymierzoną, siostrą Francyi. Życzenia nasze będą ci towarzyszyć wszędzie, i będziemy prosić Boga, aby zwycięstwo towarzyszyło zawsze téj chorągwi trójkolorowéj, która przechodzi świat, jako hasło niezawisłości, sławy i odrodzenia się.

Bonaparte. Panie *de Melzi*, dziękuję Panu... nie mogłem znaleść godniejszego urzędnika, aby go postawić na czele rządu, i Medyolańczykowie nie mogli wybrać posłannika, któryby mi był milszym. Przy pomocy Boskiéj zmiotę z ziemi waszéj nieprzyjaciela. Dam krajowi waszemu popęd samoistny i wzniosły, który mu wróci dawne miejsce tak na karcie narodów, jak w księdze historyi, któréj stronnice ozdabiał tak długo zwycięstwami oręża swego, jak arcydziełami geniuszu sztuk pięknych.

De Melzi. Generale, dosyć jednego takiego człowieka, jak ty, aby obudzić naród uśpiony, aby wskrzesić przyszłość naszą! Wynurzając ci naszą wdzięczność, pragnęliśmy ci zaraz złożyć jéj dowód... Wszystkie skarby świata nie wystarczyłyby na jéj oznakę... Jednakże...

Bonaparte *(przerywając mu)*. Panie *de Melzi*, umiem cenić twoje postępowanie; ale nie posuwaj je daléj... Dowodzę żołnierzami, którzy często walczyli boso, i o głodzie... Ja nie ubiegam się za tą fortuną, która się tłumaczy złotem.

De Melzi. Generale, wiémy, że jedną z głównych cnót twoich jest bezinteressowność; wyraz naszéj wdzięczności nie mógł mieć téj cechy, którą jéj nadajesz. Objawiła się ona w formie godniejszéj ciebie i nas samych... Oto jest, co ci ofiarujemy, Generale! *(do członków rządu).* Rozstąpcie się, Panowie. *(Rozstępują się, i widać za niemi kilkunastu mężczyzn).*

Bonaparte. Cóż-to za jedni?

De Melzi. Są-to najznakomitsi z tych naszych współziomków, dla których na głos twój otworzyły się drzwi więzień politycznych, i którzy teraz powrócili na łono swych rodzin, błogosławiących cię, żeś łzy ich osuszył.

Bonaparte *(do osób sobie przedstawionych, zdejmując kapelusz).* Panowie, witam was z uszanowaniem; bo nieszczęście na cześć zasługuje! *(słychać hałas za sceną).* Cóż to jest?

Duroc. Officerowie i żołnierze tłoczą się w około jakiegoś Generała, który tu prosto idzie... Zdaje mi się, że go poznaję... ale nie, mylę się... nie, to nie podobna!... to *Desaix!*

Bonaparte. *Desaix?* Co ty mówisz? *Desaix!* Ach! cóż-to dla mnie za dzień szczęśliwy! *(do Włochów, którzy odchodzą).* Zostańcie, Panowie, zostańcie! Ujrzycie z bliska jednego z tych ludzi, którzy są chlubą narodu, do którego należą, i wojsk, które ich cenią jak *Bayard*'a, *Turenn*'a, *Duguesclin*'a.

SCENA V.

CIŻ SAMI, DESAIX.

Desaix *(wchodząc).* Generale!...

Bonaparte. Niechże cię uściskam, *Desaix!* mój przyjacielu! ty, którego kocham jak *Duroc*'a, jak kochałem nieszczęśliwego *Muiron*'a, któregośmy stracili!... Widok twój bardziéj serce moje uradował, jak gdybym odniósł wielkie zwycięstwo,

Desaix. Bonaparte! przybywam do ciebie uniesiony pociągiem prawdziwie braterskim! Ujrzéć znów Francyą i ciebie, to było ciągłą myślą moją, kiedym płynął tém samém morzem Śródziemném, przez które, 2 lata temu, płynęliśmy razem na zawojowanie Egiptu!

Bonaparte. Ach! Egipt! ten już dla nas stracony, nie prawdaż? Odstąpiono od celu, który byłem wytknął. Dobrześ zrobił, *Desaix*, żeś wrócił! Będziesz z nami należał i do walki, i do zwycięstwa! Już mi dziś nie jest tak niemiłą ta konwencya zawarta w El-Arysz; ponieważ wam otworzyła drogę do Europy, i mi wróciła przyjaciela... a wojsku jednego z najdzielniejszych generałów!

Desaix. Konwencya z El-Arysz została zgwałconą... Wracając, już byłem bliski brzegów Francyi, kiedy, naprzeciw Liworna, eskadra nieprzyjacielska otacza lekki statek, na którym płynę... Biorą mię do niewoli, i Lord *Keith*, przekraczając zapewne rozkazy Rządu swego, wtrąca mię do więzienia, gdzie protestacye stają się niepodobnemi. Czyn ten oburza ministeryum angielskie, które rozkazuje wypuścić mię... Ale téj saméj chwili poprzysiągłem protestować na polu bitwy, oparty tak na świętych obowiązkach sprawiedliwości, jak na orężu moim...

Bonaparte. *Desaix!* pojmuję całe oburzenie twojéj wzniosłéj i szlachetnéj duszy!... Daję ci dowództwo nad dywizyami *Monnier* i *Boudet*, razem połączonemi!...

Desaix. Dziękuję ci, Generale; ale ci będę jeszcze bardziéj wdzięczen, jeżeli mię śpiesznie poślesz gdzie na pole bitwy!

Adjutant *(wchodząc)*. Generale, przybył brygadyer od huzarów, z korpusu Generała *Lannes*, i żąda mówić z tobą.

Bonaparte. Niech wejdzie! *(Adjutant wychodzi)*. Huzar... nie adjutant! Cóż to znaczy?

SCENA VI.

CIŻ SAMI, BAPTISTE.

Bonaparte. Cóż tam? Czego chcesz? Mów-że!

Baptiste. Z przeproszeniem, Generale: Generałowi łatwo jest mówić. Ale się człowiek trochę zadyszy, kiedy leci milę, jak jaki piechur; bo ubito konia podemną...

Bonaparte. Cóż tedy masz mi donieść?

Baptiste. Nowe zwycięstwo, odniesione w trzech czwartych częściach, kiedym odjeżdżał, a w téj chwili już zupełne, jak najzupełniejsze wesele...

Bonaparte. A Generał *Lannes?*

Baptiste. Generał *Lannes* minąwszy Stradellę, napadł niespodzianie na Austryaków.

Bonaparte. Na korpus *Oreill*'ego i *Gottesheim*'a?

Baptiste. Tak jest.

Bonaparte. Koło *Casteggio* i Montebello?

Baptiste. Tak jest.

Bonaparte. I cóż daléj?

Baptiste. Daléj? Jak ich kropnie! do stu piorunów! Każdy wié, że Generał *Lannes* nie umié żartować. Co do césarskich, należy być sprawiedliwym: stali jak mur, i do ich powalenia potrzeba było nie małéj porcyi strzałów; pałaszów i bagnetów.

Bonaparte. Byłeś w ogniu?

Baptiste *(pokazując szramę na czole).* A przecież znać, Generale.

Bonaparte. Bitwa była zażarta?

Baptiste. Okropna; jakby wszyscy diabli w piekle ze sobą wojowali. Ogień na prawo, ogień na lewo, ogień z przodu i z tyłu! Na wzgórku trochę się nasi chwiać zaczęli!... już mi się zdawało, że nas tam z wszelkiemi honorami wojennemi 'pochowają... Co prawda, to nie grzéch!... Kiedy w tém przybywa dywizya *Chambarlhac*'a; 113ta pół-brygada

czyna się wdzierać do nas... Ach! zaczęła się też rzeź, że aż dreszcze przez cały grzbiet przelatują, a wszystkie włosy na głowie powstają! Krótko mówiąc... kiedym odjeżdżał, zwycięstwo mizdrzyło się do nas na całéj linii bojowéj, a Generał *Watrin* wkraczał już był w sam środek Austryaków, jak gdyby kto nieprzyjaciela szablą na wylot przeszywał.

Bonaparte. Któż cię tu przysłał?

Baptiste. Eskortowałem z trzema huzarami adjutanta, któregoś, Generale, posłał do Generała *Lannes*. Aby prędzéj wrócić, lecieliśmy środkiem tyrajllerów nieprzyjacielskich; ci nas zaczynają witać swemi karabinami i rym! spada nam z konia jeden huzar; buch! potém dwaj drudzy; nareszcie pada i sam adjutant, który mnie zlecenie swe powierza... aż tu i podemną koń pada. Biédny mój kasztan... którego serdecznie uściskałem, i który się ostatni raz na mnie tak żałośnie spojrzał... jak przyjaciel opuszczczający przyjaciela na zawsze *(obciérając łzę)*. Nareszcie przybyłem...

Bonaparte. No, dobrze! będę o tobie pamiętał!... Teraz: *naprzód!* Może przybędziemy jeszcze w sam czas na zakończenie batalii. *(Do Włochów)* Wkrótce, Panowie, znowu się zobaczymy! *(Do wszystkich innych osób)* Za mną! *(wychodzą)*.

Obraz dziewiąty.

Wieś *San Guiliano* (Dżuliano). (Dnia 14 Czerwca 1800). W głębi sceny domy, zakrywające równiny Marengo (pomiędzy Tortoną a Alessandryą). Na prawo széroka, krzywa ulica. Na lewo i w głąb sceny dwie inne ulice. Generałowie austryaccy wjeżdżają konno, zsiadają z koni i tworzą radęwojenną...

Ott. Żołnierze! to są Francuzi! Rozpocząć ogień na nowo!

Bitwa się rozpoczyna. Po żywéj utarczce z ręcznéj broni, Francuzi wdziérają się do wsi, i z bagnetem w ręku ścielą nieprzyjaciela trupem. Po wyjściu Austryaków i Francuzów ze wsi, słychać armaty na całéj linii bojowéj, na równinie Marengo.

SCENA II.

BONAPARTE, DUROC, ADJUTANCI, MARCELIN, PATROL HUZARÓW.

(Bonaparte wlatuje galopem na scenę, staje wprost ulicy, w głąb sceny wiodącéj i patrzy przez lunetę na równinę).

Bonaparte *(do swych Adjutantów)*. Walka zażarta, okropna!... Jedź, powiédz Generałowi *Victor*, który broni wsi Marengo z Generałami *Gardanne* i *Chambarlhac*, żeby natychmiast zajął głęboki potok Fontanone. *(Jeden z adjutantów odlatuje)*. Leć do Generała *Desaix!* jesteś już szóstym, którego do niego posyłam! Niech jak najspieszniéj przybywa! i powiédz mu, że się właśnie bijemy z armią nieprzyjacielską, na któréj spotkanie on poszedł gościńcem Genueńskim. *(Adjutant odjeżdża galopem. Bonaparte zsiada z konia)*. Potrzeba mi zucha, któryby przez grad kul i kartaczów dostał się aż do Generała *Lannes*.

Marcelin. Ja się podejmuję, Generale...

Bonaparte. Ty?...

Marcelin. Tak jest; ręczę, że...

Bonaparte. A więc leć do Generała *Lannes*, i powiédz mu, żeby się cofnął tu ku wsi.

Duroc. Generale, Melas manewruje, aby nam tył zabrać... Czy mam uderzyć na czele mych brygad?...

Bonaparte. Jeszcze nie! czekaj!

Duroc. Stać tu bezczynnie!

Bonaparte. Wszak i ja tu jestem! *(do Duroc'a)* *Teraz* niech wyrusza gwardya konsularna! *(Gwardya konsularna przechodzi przez wieś krokiem do attaku)*.

Duroc. Dywizya austryacka przebywa Fontanone, i wdziéra się na drugi brzeg potoku. To pewnie *Lattermann* z swemi grenadyerami.

Bonaparte. Otóż teraz chwila!... *Duroc!*... naprzód! *(Duroc i Bonaparte odchodzą)*.

Desaix *(za sceną)*. Bonaparte, Bonaparte! *(wchodzi z trzema adjutantami)*.

SCENA III.

DESAIX, ADJUTANCI.

Desaix. Już go tu niema! *(do jednego z adjutantów)*. Kapitanie, leć! leć oznajmić generałowi Bonaparte, żem przybył! *(do dwóch innych)*. Wy, Panowie, lećcie, aby przyspieszyć przybycie moich dywizyj! *(adjutanci odjeżdżają w galopie)*. Ah! jakąż ja miałem szczęśliwą myśl, żem nie poszedł daléj gościńcem! jakżem dobrze zrobił, żem się wrócił! *(patrząc w ulicę na prawo)*. Ale, cóż to!... Nasi cofają się przed nieprzyjacielem! to więc Austryacy zwyciężają!... *(Żołnierze, cofając się, wchodzą tłumnie na scenę)*.

SCENA IV.

LANNES, DESAIX, ŻOŁNIERZE.

Lannes *(do adjutanta)*. Prędko, leć z tym rozkazem do *Dupont*'a.

Desaix. *Lannes!*

Lannes. *Desaix!*... A więc jeszcze wszystko nie jest stracone! jeszcze nie!

Desaix. Stracone?

Lannes. Tak jest, cofamy się!

Desaix. Jak to?

Lannes. Kiedy jest trzęsienie ziemi, można przecież trochę się zachwiać!

Desaix. A Bonaparte?

Lannes. Stanął na czele 72giéj półbrygady i wspiéra lewe skrzydło moje. Tymczasem *Dupont* zbiéra w tyle korpus *Victor*'a. Wszak rozpoczniemy bitwę na nowo! nieprawdaż? Ty nam przyprowadzasz świéże wojsko. Robiliśmy, cośmy mogli; ale nieprzyjaciel zalał nas swoją liczbą przemagającą! Melas pojął, że nas zgnieść niemoże, tylko całą

swoją armią i dla tego zebrał całe swe wojsko, i uderzył na nas, podczas kiedy my ścisnęliśmy nasze szeregi, aby wedrzeć się w massy nieprzyjacielskie jak kula armatnia, wpadająca do czworoboku. *Desaix!* od rana trwa walka zacięta bez wypoczynku, bez przerwy!... Wieś Marengo, ten główny punkt dla obydwóch armij walczących, została zabraną przez Austryaków; potém myśmy ją wzięli; potém znowu ją wzięli Austryacy! W moich oczach *Watrin* wyszedł z Marengo i wrzucił bagnetem żołnierzy Kaima w Fontanone; gdy tymczasem Bonaparte, na czele gwardyi konsularnéj, zapalał odwagę naszych żołnierzy ogniem swego geniuszu i swéj nieustraszoności! Ruszyłem z 40tą i 28mą półbrygadą na Austryaków, i cała równina zadrżała od starcia się walczących. *Gardanne* chce odzyskać Marengo; ja zaś maszeruję ku potokowi, który już wprzódy tak dla nas był pomocnym; pomiędzy mojemi żołnierzami a kolumnami naszego *Carra Saint Cyr*, które weszły do piérwszych domów *Castel-Ceriol*'a, grenadyerowie i gwardya konsularna szli ciągle naprzód, w czworoboku, jak cytadella żyjąca! Piękny to był widok, *Desaix!* czuliśmy w sobie ten zapał, który z rzeczy nawet niepodobnych, czyni możliwe!... 80 armat obrzucało nas gradem kul! Nareszcie potrzeba było ustąpić z miejsca. Ustąpiłem; ale się tego nie rumienię! Cofnąłem się w skutku olbrzymich wysileń tego uraganu; miałem 4 półbrygady, na które cała armia nieprzyjacielska napadała, które gniotła i kartaczami dziesiątkowała! Co krok zatrzymywaliśmy się, a gdy cała nasza artyllerya była zdemontowaną, szliśmy na bagnety, podczas kiedy Austryacy walili do nas, jak do muru fortecznego, dla zrobienia w nim wyłomu... Pod takim ogniem przebyliśmy połowę równiny, zamienionéj w rozległe jezioro krwi; téj równiny, na któréj wypadnie umrzeć, jeżeli chorągiew nasza nie stanie się na nowo straszną dla orła austryackiego, już się z niéj naigrawającego.

(Słychać na całéj linii bębny jako znak do cofnięcia się. — Nowe wojsko wchodzi tłumnie na scenę.

SCENA V.

CIŻ SAMI, DUROC, BONAPARTE, GENERAŁOWIE OFFICEROWIE.

Bonaparte. Wstrzymać się!.. Czekać na moje rozkazy! *Desaix! Desaix!*

Desaix *(przybliżając się).* Jestem, Generale.

Bonaparte. A twoje dywizye?

Desaix *(pokazując ulicę na lewo).* Właśnie maszerują na równinę, Generale..... Usłyszawszy z daleka strzały armatne od strony Bormidy, domyśliłem się, że Austryacy, na których spotkanie szedłem gościńcem genueńskim, są w Marengo, i uderzają na ciebie wszystkiemi siłami. Wtenczas, Generale, będąc pewnym, że niemam przed sobą żadnego nieprzyjaciela, zawróciłem się. W 5 godzinach uszliśmy 10 mil, ale.. jak widzę, wypadki szły spieszniejszym od nas krokiem... przybywamy za późno!

Bonaparte. Nie, *Desaix!* ciebie natchnęło szczęśliwe przeczucie. *(obracając się do Generała Lannes).* A ty *Lannes,* widziałem, coś zdziałał! Francya powinna być dumną, iż ma takich, jak ty, żołniérzy! *(do Generałów).* Panowie! przybycie Generała *Desaix* zmienia całą postać rzeczy.

Duroc. Generale, możeby lepiéj było cofnąć się z chwałą i przygotować się do nowéj bitwy.

Lannes. O nie! wszystko byłoby stracone... trzeba natychmiast odzyskać zwycięstwo!

Bonaparte. Cóż *ty* na to, *Desaix?*

Desaix. Generale, bitwa jest przegrana. *(Wyjmując zégarek)* Ale dopiero 3cia: mamy jeszcze czas do wygrania drugiéj batalii!

Bonaparte. Geniusz wojny natchnął cię! Jeżeliśmy się cofnęli chwilowo, cofnęliśmy się jak lew, ażeby z tém

większą siłą rzucić się na zdobycz naszą. *(Biją w bębny. — Żołnierze zapełniają cały teatr)* Żołnierze naprzód! pamiętajcie, że jestem przyzwyczajony nocować na polu bitwy!

Wszyscy. Naprzód! *(okrzyki, bicie w bębny, muzyka).*

Obraz dziesiąty.

Bitwa pod Marengo. Bitwa wre równocześnie na równinie i we wsi Marengo. — Przy podniesieniu zasłony, Francuzi wpadają do wsi. — Piechota francuska wypędza Austryaków. Jazda austryacka chce odciąć piechotę francuską. — Walka dwóch kawaleryj. — *Desaix* raniony śmiertelnie. — Francuzi po zajadłej walce zwyciężają na wszystkich punktach.

BONAPARTE, LANNES, DESAIX, KELLERMANN, OFFICEROWIE, ADJUTANCI, CHIRURG, MARCELIN, BAPTISTE, WYŻSI OFFICEROWIE AUSTRYACCY W NIEWOLĄ WZIĘCI, ŻOŁNIERZE I KAWALERZYŚCI FRANCUSCY.

Bonaparte *(wchodząc). Desaix!* mój przyjacielu... mój towarzyszu broni...

Desaix. Bonaparte!... Umieram z żalem, żem nie dosyć uczynił dla potomności. Ah! ah! *(podnosi się i upada wołając)* Niech żyje... Niech żyje Francya! *(umiéra).*

Bonaparte. Umarł!... On umarł!... *(Żołnierze wnoszą chorągwie zdobyte na Austryakach).* Schylcie te chorągwie na uczczenie bohatera, którego Francya utraciła. Umarł WALCZĄC ZA OJCZYZNĘ! Cześć Generałowi *Desaix!...*

Wszyscy. Cześć Generałowi *Desaix! (Muzyka wojskowa. — Obraz).* (*)

Przetłumaczyła

L.

(*) *Desaix* pochowany w kościele klasztornym na górze S. Bernarda.

DZIEŃ PIĘTNASTY

MAJA

W URSYNOWIE. (*)

(W 10tą rocznicę ślubu) (**).

Oto wiosna! ta dla was dzwoni w tym obłoku,
W téj zieleni dolinie, w tym mruczy potoku!
Kleist'a Wiosna, tłum: Stoczkiewicza

Pośród wichrów jęczących na śnieżystéj bieli,
Kiedy natura w martwéj spoczywa pościeli,
Rodzi się kilkochwilny dzień *Nowego Roku:*
Jako niemowlę pośród łez potoku.
Ale wnet *zapust* nadchodzą ochoty
Z maską na twarzy, z dzwonkami na głowie:
Są-to dziecinnych igraszek pustoty.
Tańczącéj dziatwie rzępolą skrzypkowie,
Póki *popielec* z *suchodniówką* smutną
Pasma dziecinnych rozkoszy nie utną.
Wówczas modlitwa, nauka i praca
Pęd lekkomyślnéj młodości hamuje:
Duch rozerwany ku sobie się zwraca,
I, jak słońce się posuwa,
Trawka z pod śniegu wykłuwa, —

(*) Ob. wyżéj str. 247.
(**) Roku 1834.

Tak łuskę płochą zrzucając,
W tęczę światła poglądając
Umysł poziomy do góry wzlatuje.

Piérwszy ten podlot mało jeszcze znaczny.
Dopiéro młoty korzyści i klęski,
I *Marzec* ostry i *Kwiecień* dziwaczny
Z giętkiéj młodości hartują wiek męski.
Ileż *demonów* nie kusi na puszczy?
Ileż *złych duchów* nie trza wygnać wprzódy?
Chroń się kamieni rozjątrzonéj tłuszczy,
Karm *pięcią chleby* zgromadzone ludy (1),
Odmów *w ogrójcu* pełne skruchy psalmy,
Zrób *kalwaryjską* wędrówkę ciernistą,
Wtenczas dopiéro słać ci będą *palmy*,
I ujrzysz w *Emaus* światłość promienistą.
Nakoniec niebo postać swą odmienia.
Po nawałnicach i wściekłych burz pędzie
Podczas *dniowego* w Marcu *przesilenia*,
Po téj powodzi, rwiącéj ziem krawędzie,
Wicher niemieje, morze bałwany swe pęta:
I nastaje cisza święta!

I na rozkosznéj wiosny pieszczotliwém łonie,
Patrz! majowa jutrzenka w kwiecistéj koronie,
Zwiastuje, śrebrem swojém połyskując mile,
Łagodnego pokoju uśmiechliwe chwile!
I jak daleko źrenica dosięga,
Sama *zieloność* tonąca w *białości*,
Nad którą wieje *lazurowa* wstęga:
Barwa nadziei, kolor niewinności!

Urok czarodziejski
Ten przybytek wiejski

(1) Te 4 wiersze odnoszą się do ewangelij czterech niedziel w poście.

Mocą swego tchnienia
W ziemski raj zamienia.
Dopiéro co rola
I gaik i pola
Stały otrętwiałe;
Dzisiaj przyrodzenie całe
W gęstą majową strojąc się osłonę,
Zielonawe, zieleńsze, zieliste, zielone!

Tu zefir z drzewa
Kwiateczki zwiewa;
Kwiecie spadając,
W locie bujając,
Wonią swą miłą
Świat napełniło!
I trawka,
I ławka,
Rosy kropelki srebrzyste,
I krynice przeźroczyste,
I firanki
U altanki,
Wszystko to *zbielało*...
Wszędzie *biało!*

A zdroju nurty mruczące
Kwiatu listki spadające
To wciągną w siebie, to w górę podnoszą;
Zda się, że perlista woda,
(Jak w dzień ślubu Panna młoda),
Rajską przejęta rozkoszą,
Pod milutkiém swém brzemieniem,
Wonnego puchu odzieniem,
Pijąc z słodyczy kielicha,
Piersią dziewiczą oddycha!

Nie zostały bez świadka te błogie uściski:
Z pod bzu modrego krzewiny pobliskiej,
Gdzie w lip rosłych cieniu grubym
Gniazdko swoje ściele,
Wypatrzyła ich z swym lubym
Miła *filomele* (1).
Ach, któż opisze téj pary pieszczoty?
Dźwięczne słowika zaloty?
Jak głosikiem swoim głaszcze,
Przymila się, ćwierka, płaszcze,
I szczebiocze,
I świergocze,
Wita,
Wita;
A gdy luba się oddali,
Na nieczułość jéj się żali,
Wabi,
Kwili,
Słabiéj...
Miléj...
I znów się gubiąc w głośnych pieszczot toni,
Jak najdźwięczniejszym dzwóneczkiem zadzwoni!

Ustał; — i umysł w lubości uśpiony
Budzą łagodnie niesłyszane tony:
Jakieś dźwięki śrebrzyste, jak arfy niebianek
Lub *Memnona* posągu, gdy wschodzi poranek (2):
Tony pełne, tony wolne,
Co głazy poruszyć zdolne.

(1) *Filomele* po grecku; po polsku: słowik.

(2) Aż do wieku IV rachuby chrześcijańskiéj istniał koło Teb w Egipcie, olbrzymi posąg *Memnona* (syna Aurory), który-to posąg, gdy padały na niego promienie wchodzącego słońca, wydawać miał sam przez się najdźwięczniejsze tony.

Bo gdy sztuką drzącéj ręki
Strona wdzięczne daje dźwięki,
Gdy *serca* maluje czucie,
Któż się tkliwéj oprze nócie?...

Co punktem źrenicy
Lotem błyskawicy
Do głębi serca niespodzianie padnie,
To, jak jad srogi,
Lub balsam drogi,
Przechodzi rzędem czułych nitek składnie,
I milczkiem godząc,
Radość lub ból rodząc,
Pnie się kryjomo, wszystkie fibry śledzi,
Póki w milczeniu
Lub osłupieniu
Lic nie zczerwieni, lub jagód nie zbledzi.
Ale gdy martwe kostki klawiszowe
Do strón drgających przywiązane rzędu,
Wpiją się w obie dłonie narcysowe,
Ssąc każdy palec śród sztucznego pędu,
Wtenczas z skalistéj opoki
Strumień uczucia wytryska,
I wolnym pędem, jak świat jest szeroki,
Szuka dla siebie łożyska.
I jak Wisła z Karpat szczytu
Do Bałtyckich wód błękitu
Niewstrzymane toczy fale,
Tak głęboko, tak wspaniale,
Tak silnym pędem czucie się przeléwa
I mimowolnie ze sobą porywa.

Jakoż słuchajcie! W chór zebrane głosy
Wtórując z lekka czarującym dźwiękom,

Jak woń kadzidła wznoszą się w niebiosy
I hołd sładają *Mądrości* i *Wdziękom.*
I ton po tonie
Z powagą, powoli,
W radości łonie,
Na łódce niedoli,
Żegluje życia ziemskiego koleją
Pomiędzy szczęściem, smutkiem i nadzieją, —
Aż przybije do kraju
Upragnionego raju,
Gdzie się zmienia w hymn błagalny,
W hymn żegnalny,
Który w sfery nadziemskie uprowadza ducha,
Gdzie grono aniołów słucha!

Z kądże pochodzą, co znaczą te pienia?
Wyrwijcież mię z omamienia!
Czy może duch mój ulata
W krainy przyszłego świata?

I ciszéj. — Umilkły śpiewy; —
I zapłonęły pagórki i krzewy
Ogniem, którym obrząd święty
Wieńcami strojne rozjaśnił ołtarze.
Słychać śpiew łkaniem przecięty:
„Ojcze! błogosław połączonéj parze!"

Był to dzień właśnie, którego patronką
Naród pobożny MĄDROŚĆ ustanowił (1).
Śle więc i do niéj prośby lube gronko,
I chór błagalny dźwięcznie się ponowił.
I brzękły dzwony; razem z wonią kwiatów
Śpiew niebu miły gwiazd się uniósł torem,

(1) *Sofia* po grecku; po polsku: Mądrość.

I opuszczając ten widokrąg światów,
Znalazł niebiosa otworem!

Przenajświętsza Mądrości! Ty, któréj zamiary
Niedościgłe, — jak chyba okiem jasnéj wiary;
Coś równie słabéj mrówce, jak światom gwieździstym
Nadała przeznaczenie wyrokiem wieczystym!
Tyś obok lwów krwiożerczych, hyen groźnych życiu,
Człowieka w niemowlęcém stworzyła powiciu,
Ażeby w matki łono wlać troskliwość wszelką,
I wdzięcznością połączyć dziecię z rodzicielką!
Tyś dla tego swe dary między płci rozlała,
I Ewie piękność, słodycz, przenikliwość dała,
Zaś Adama w odwagę i moc uzbroiła,
Ażebyś przez ten podział ludzi nauczyła,
Że dopiéro w złączeniu dwóch ciał w jedno ciało
Człowiek stać się istotą może doskonałą!
Spuść więc łaskawie swe oczy,
Rzuć jasności promień złoty
Na związek, co dziś jednoczy
Kochające się Istoty:
By (gdy po Maju rozkosznych porankach
Lipcowe skwary południa nastaną,
Kiedy po wiosny fijołkowych wiankach
Lody okryją murawę zdeptaną),
Ich mirtu nigdy nie zwiędły gałązki,
Kwiat ich bukietu nie opadł puszasty,
Mrozem nie tknięte dojrzały zawiązki,
I ciągle kwitł im *Dzień Maja piętnasty!*

Ojciec niebieski prośby te wysłuchał:
I dziesięć razy *Rok* się *Nowy* rodził,
Dziesięć kroć *Marzec* śnieżną barwę zdmuchał,
I *Kwiecień* niebios czoło wypogodził,

Gdy dziś *to grono* radością napaja
Po raz *dziesiąty* dzień *piętnasty Maja!*
To wierne grono prawdziwych przyjaciół,
Coraz szczuplejsze od godów wesela!
Jednych czas srogi kosą swoją zaciął,
Drugich okrutny los od nas oddziela...
Lecz... obok owéj Nowożeńców Pary,
Ponawiających dziękczynne ofiary,
Jakież to klęczą Trzy Nowe Istoty? — —
Ojca to chluba, matki to klejnoty!

O Stanisławie! Zofio jedyna!
Ileż chwil tęsknych, ileż chwil słodyczy
Dzień Wam *piętnasty Maja* przypomina!
Któż te przeznaczeń odmiany wyliczy?
W trudnym zawodzie niemylnéj nauki,
Tyś, Stanisławie! pracując bez przerwy,
Zgłębił tajniki Archimeda sztuki,
Uzyskał wieniec w świątyni Minerwy;
Ale nie syty umiejętnych plonów
Chwytasz skwapliwie za kij wędrowniczy,
I zwiedzasz ziemię Franków, Teutonów,
Chciwy dla kraju korzystnéj zdobyczy.
Zapał twój niczém oziębić się nie da,
Ani go morze wstrzymuje w zapędzie:
Śród pierworodnych synów Archimeda,
Chcesz w Albionie (1) widzieć i być wszędzie.
Ile dodrodziejstw ojczyznie przynoszą
Płomienie światła, któreś Ty rozniecił,
Wdzięczne to kiedyś prawnuki ogłoszą,
Którycheś ojców wykształcił, oświecił.

---

(1) Anglia.

Wracasz nareszcie. Ach, jak serce bije! —
Wykrzyk radosny przywitał Cię w progu:
Luba Małżonka rzuca się na szyję,
I łzawém okiem dzięki składa Bogu!
I dłoń ściskając prowadzi Cię szybko,
Gdzie drzymie nowo przybyła Halunia,
A Ludek pnąc się nad siostry kolébką,
Ręce swojego całuje Tatunia!

Po dwuletniéj podróży, z jakążeś uciechą
Spoczął nareszcie znowu pod ojczystą strzechą!
Spoczął, tuląc do łona swą małżonkę drogą!
Ach! rodzinném powietrzem oddychać jest błogo!
«Jakże się wam tu wiodło? Czyś bardzo tęskniła?
«Czyli mię kochasz jeszcze, moja Zosiu miła?
«Pewnie jasne twe oko łza zaćmiła nieraz!»

Jak wtenczas zapytałeś, zapytaj i teraz!
Po téj dziesięcioletniéj podróży zapytaj,
I w tychże samych oczach odpowiedź wyczytaj!

Ach, skarb jedyny znalazł ten śmiertelny,
Któremu *Hymen* przed ołtarz weselny
Przywiódł, pod skromną postacią ziemianki,
Istotę, wieńcem ozdobną niebianki!
Przed krasném jego podwoi obliczem
Pola Elizu (1), niebios brama, niczem!

I któż te dziatki na ręku piastował?
Kto je wykarmił piersi swoich mlekiem?
Kto w niemowlęctwie od zguby zachował,
Kto czuwa nad ich młodocianym wiekiem?

Ona-to łez swoich zdrojem,
Dziennym, nocnym niepokojem

---

(1) Pola elizejskie.

Wątłe dni milutkiéj Mani
Wyrwała z śmierci otchłani:
Jéj-to uśmiéch Halkę zdobi,
Jéj-to wźrok Ludka sposobi!
Nócąc piosnkę pokoju u dzieci kolebki
Jest ich aniołem stróżem małżonka troskliwa;
Ona lejąc w ich usta pieszczot swych ulepki,
Piérwszy nieźrzałéj myśli wyraz z nich dobywa;
Ona swą rączką klejąc drobne ich rączęta
Uczy, co bojaźń Boża, co powinność święta!

Na téj macierzystéj rączce,
W ślubnéj, błyszczącéj obrączce
Wyciśnij, Stanisławie, w dzisiejszą rocznicę
Całus, jakim'eś witał był Oblubienicę!
Przytul do łona swego Halunię kochaną,
Niech do stóp Matki swojéj Ludek Twój się rzuci!
Malenką Manię podnieś na kolano,
Ona Ci lubą piosneczkę zanóci!
Taka postawa dzisiaj Ci przystoi!
Niechaj Maj, co dziś rozkwita,
W barwę szczęścia ziemię stroi,
Tak Cię powita!

Szczęśliwa paro! Czém dziś obok Ciebie
Są władcy ziemi, pany możnowładne?
Wyższéj swobody niémasz, chyba w niebie:
Waszemu szczęściu nie wyrówna żadne!

I znów zefirek z drzewa
Kwiat woniejący zwiewa;
I znowu słowik kwili,
I dzwoni jak najmiléj;

I znów ręka czuciem tchnąca
Srebrzyste strony potrąca,
A chór *wybranych* przyjaźnemi głosy
Hymny błagalne wznosi pod niebiosy.
I wasza Mania
Główeczkę skłania;
Na kolana pada,
Drobne rączki składa,
A potém oczka do góry podnosi:
Za matkę,
Za tatkę,
Bozię prosi!

O! cóż tego anioła modlitwa nie zdoła?! —
Cały błękit niebiosów iskrzy się do koła,
I na obłoku różanym,
I gwiazdami wykładanym,
Modlitwę lubéj Mani
Aniołowie dobrani
Przed źródło wieczne Wszechmocności niosą,
Która ją — skrapia swą rosą!
A do rozwartéj na jasnym obłoku
Księgi przeznaczeń wpisał wyrok boski
Anioł-Stróż ludzki, siedzący na boku;
Wpisał na wieki złocistemi głoski!

Czemuż w téj chwili nie jestem *Pindarem!*
Czemuż méj żądzy uniesiony warem,
Jak *Adam* śmiały, *Seweryn* wyniosły,
Nie mogę wznieść się skrzydlistemi wiosły?!
Że lotu orła niebo mi nie dało!
Bym nad obłoki mógł się rzucić śmiało,
I słabą źrenicą
Zajrzał w tę księgę, co losów skarbnicą?!

Lecz — ciszéj! — *Jestem*, gdzie te błękity! —
Patrzę — za tęczy sierpem ukryty! —
I czytam, zdobną w niebieską wstęgę,
Otwartą księgę!

Słuchajcie! — *Cztéry* razy jeszcze na tym świecie
Takie, jak dziś, rocznice obchodzić będziecie.

Świéższa od tego poranka,
Wonniejsza od tego wianka,
Bogatsza w cnoty, niż niebo w gwiazdeczki,
Jak te majowe, niewinna, kwiateczki,
W lubém pożyciu naśladując matkę,
Stanie Helena, okryta rumieńcem,
I ze łzawym uśmiéchem żegnając tę chatkę,
Padnie wam do nóg z swym oblubieńcem:
W jéj wźroku Wasza utonie źrenica, —
To będzie *druga* dziesiąta rocznica!

W *trzeciéj* ujrzycie męża wspaniałéj postawy:
Blask czoło jego otacza jaskrawy;
Gdzie badającém okiem swém potoczy,
Zawiłość znika, sprzeczność się jednoczy;
Służąc ludzkości i swemu krajowi
Mówi, jak myśli, i działa, co powié,
A piórem wsławion i dzielnemi czyny,
Skronie mu zdobią podwójne wawrzyny!
Jest-to wasz Ludek! co pełnego wdzięku
Stasia, syna swojego, piastując na ręku,
Wam go daje, Kmotrzy mili,
Byście mu *chrzestnemi* byli!

Kiedy od dzisiaj minie lat *trzydzieści*,
Ujrzy *Ursynów* rodzinę zebraną,

I *dwie* gosposie
Obiedwie *Zosie!*
Jedną, oto! *dzisiejszą*, jak swą wnuczkę pieści;
Drugą *piętnastoletnią*, właśnie co żegnaną (1)!
I gdzie lipa się zieleni,
Grono przyjaciół, i krewnych, i braci:
Dziś obecni, oddaleni,
Spodziéwani,
I nieznani,
Któremi się dopiéro *Ursynów* zbogaci,
Wszyscy w to święto imienia
Składają obom życzenia. —
A w tém Mania swoją córkę
Przyprowadza do Babuni,
I téj śliczną miniaturkę
Wiesza u szyi swojéj Zosiuni
Mówiąc: „Obyś, moja miła,
„Taką, jak twa Babka była!“

Wreszcie w *piątą* rocznicę: Ujrzycie, jak czwarte —
Lecz tu przewrócić wypada mi kartę — —
W tém jakiś Not, czy Zefir o obłok się potknął!
Może księgi — nie wolno, żeby się kto dotknął! — —
Noc czarna wzrok mi kryje — może i na wieki! — —

Lecz — nie żałuję, choćbym i powieki
Już na zawsze miał zamrużyć,
Kiedym Wam zdołał *tę* przyszłość wywróżyć! —
Wspomnijcie o mnie, drodzy przyjaciele,
Gdy *złote* święcić będziecie wesele!

* * *

---

(1) Ob. wyżéj, str. 248.

WSPOMNIENIE
o
Teofilu Janikowskim.

Lat temu kilkanaście głośne było w Warszawie imię Teofila Janikowskiego, nie dla rodu, nie dla majątku, nie dla wysokiego w towarzystwie stanowiska; lecz dla tego, że się odznaczył pospolitą bardzo, każdemu przystępną, a pomimo to wielką cnotą: *miłością bliźniego*. Dziś, gdy go już kryje mogiła, mało kto wspomina o nim, oprócz krewnych i kilku przyjaciół, a jednak winni jesteśmy odpłacić mu przynajmniej pamięcią za to, co dobrego zrobił w krótkiém życiu swojém.

Urodził on się w Pilznie, obwodzie Tarnowskim, w Galicyi, d. 6 Grudnia 1801. Przebywszy lata dziecinne w domu rodzicielskim, gdzie przedewszystkiém przykład bogobojnéj, pełnéj cnót chrzescijańskich matki zaszczepił w nim najszlachetniejsze uczucia, kształcił się następnie w naukach szkolnych w Jaśle, w Tarnowie i w Krakowie, poczém wyuczył się kupiectwa, które odtąd było głównem jego zajęciem.

W Warszawie rozpoczął zawód ten roku 1818 i odznaczał się w nim ciągle pracowitością, rzetelnością i prawością, przez co zjednał sobie miłość i szacunek równie pomiędzy kolegami, jak i w publiczności, tak dalece, iż po dwakroć t. j. roku 1831 i 1836 obranym był Zastępcą Sędziego Trybunału handlowego, roku 1838 został Członkiem Komitetu reprezentantów zgromadzenia kupców warszawskich, a w r. 1839 uzyskał nominacyę na Radcę w Dyrekcyi Głównéj Towarzystwa Ogniowego.

Nie to jednak stanowi najpiękniejszą życia jego stronę;

nie to go ulubieńcem, że tak powiem, Warszawian zrobiło. Skłonny od dzieciństwa do czynienia każdemu dobrze, pozostawił on po sobie przykład, jak obok obowiązków powołania swego, można spełniać i te, których od nas ludzkość wymaga. Wezwany roku 1832 przez Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności na Opiekuna Cyrkułowego, następnie zaś na Kassyera, miał sposobność przyjrzeć się z bliska nędzy i cierpieniom roboczéj klassy mieszkańców; wtedy-to postanowił użyć wszelkich sił swoich ku wspieraniu nieszczęśliwych, i nie rozłączył się z tą myślą aż do ostatka życia. Ona go zajmowała ciągle, a przedewszystkiém w chwilach wypoczynku od pracy; ona naprowadziła go na liczne źródła powiększenia majątku ubogich przez zachęcenie bogatych, częstokroć swoim własnym przykładem, do dzielenia się z niemi, przez urządzenie coraz nowych na ten cel zabaw publicznych, i przez inne podobne sposoby. Pamiętna, pomiędzy innemi, będzie na długi czas zabawa roku 1839 w Wielkim Teatrze, złożona z teatru amatorskiego i z obrazów żywych, w któréj przyjęły udział najznakomitsze osoby. Każdy, do kogo tylko odezwał się Teofil Janikowski w interesie Towarzystwa Dobroczynności, chętnie mu szedł w pomoc; bo Janikowski miał w obejściu się swojém, co większa, w rysach nawet twarzy, coś takiego, gdy przemawiał za biednemi, że niepodobna mu było odmówić, że najoszczędniejsza nawet dłoń hojnie częstokroć i z chęcią dawała. Na dowód tego dosyć tu będzie przytoczyć, że gdy roku 1839 mieszkańcy nadwiślanscy nadzwyczajną klęską powodzi dotknięci zostali, Komitet Towarzystwa Dobroczynności pod przewodnictwem Teofila Janikowskiego utworzony, zebrał dla niesienia pomocy tym nieszczęśliwym summę złp. 81,450 tak, iż nietylko z niej opędzono główne potrzeby zalanych Wisłą; ale nadto, znaczną jéj część obrócono na wybudowanie domu dla sierot na Nowym-Swiecie.

Kiedy tym sposobem przy pomocy Teofila Janikowskiego wzrastała kassa Towarzystwa Dobroczynności, przemyśliwał on zarazem i nad tém, w jakiby sposób najlepiéj użyć tych darów dobroczynnych. Zwrócono przed nim uwagę na starców i kaleki, na pozbawionych sposobu zarobkowania przez chorobę lub inne nieszczęścia, na siéroty, pozostające bez wszelkiéj opieki. Ale Teofil Janikowski był piérwszym w Warszawie, który pomyślał o *małych dziatkach ubogiéj klassy społeczeństwa*, podwójnie nieszczęśliwych: bo nietylko doznających braku piérwszych potrzeb życia; ale zarazem, przy całodzienném zajęciu rodziców zarobkiem, zaniedbanych pod względem moralnym, wtedy właśnie, gdy najłatwiéj zasiać w nich nasiona dobrego i rozwinąć uczucia religijne, mogące późniéj posłużyć im za tarczę przeciw skłonnościom, wiodącym do złego i za najlepszą pociechę w niedoli.

Nie wiedząc nic o tém, że go w téj mierze uprzedzono gdzie indziéj (najpiérwszą bowiem Ochronę założyła księżna Lippe-Detmold jeszcze w roku 1802, a potém naśladowano ją w Anglii, w Stanach Zjednoczonych Ameryki, w Niemczech, we Francyi, w Szwajcaryi) powziął Teofil Janikowski roku 1838 zamiar urządzenia u nas tak zwanych *Sal Ochrony*, a Bóg pobłogosławił téj jego myśli; bo tegoż samego roku, przy współdziałaniu Dra Malcza, Stanisława Jachowicza, Ludwika Pietrusińskiego, Hr. Piotra Łubieńskiego, i innych, równie gorliwych jak on, przyjaciół ludzkości, ujrzał ją urzeczywistnioną na łonie Towarzystwa Dobroczynności; gdy i Rząd opiekuńczy przychylnie ją przyjął i publiczność Warszawska za piérwszém odezwaniem się do niéj, hojną ręką przyłożyła się do jéj rozwinięcia.

Członek Towarzystwa Teofil Nowosielski udał się za granicę, aby się tam praktycznie z instytucyą tą obeznał i przeszczepił ją na ziemię naszą. Zaraz za jego powrotem urządzono r. 1839 wzorową Salę Ochrony w gmachu Towarzystwa

Dobroczynności, któréj on był piérwszym Przełożonym, a Ludwik Pietrusiński piérwszym Opiekunem. Następnie szybkim krokiem wzrastała ta zbawienna instytucya, do tego stopnia, iż dziś Warszawa liczy 7 Sal Ochron, do których uczęszcza w przecięciu 400 dzieci dziennie, a nawet zaprowadzono Ochrony w innych miejscach kraju naszego: między innemi w Willanowie, gdzie Ochronę utrzymuje swoim kosztem Hr. Augustowa Potocka. Roku 1856 fundusze sal ochron Warszawskich wynosiły rś. 14,392 kop. 50, a wydatki ich rś. 5,114 kop. 85. Dzieło pod tytułem: „*Wykład praktyczny prowadzenia dzieci małych w Ochronie, przez Jana Swobodę,*“ które wyszło roku 1840, przełożył z czeskiego Teofil Nowosielski na dochód Ochron, i przypisał je Teofilowi Janikowskiemu „za piérwszy pomysł wprowadzenia Ochron do naszego kraju.“

Nie długo potém zgasł Teofil Janikowski; ale jeszcze przed zgonem swoim widział nieocenione z Ochron korzyści dla biédnych. Nie mało to słodziło cierpienia jego fizyczne w ostatnich latach doznawane, które nareszcie przecięły pasmo życia jego dnia 12 października 1840 z największym żalem żony (z którą przeżył lat 13 w przykładnéj zgodzie i miłości małżeńskiéj), syna, dwóch córek, krewnych, przyjaciół i tych wszystkich, co go znali, lub tylko o nim słyszeli.

Stanisław Jachowicz, przyjaciel dzieci, a tém samém jeden z najżyczliwszych przyjaciół Teofila Janikowskiego, pięknie i czule skréślił obraz życia jego w następujących czterech wiérszach, które zdobią kamień jego grobowy, na cmentarzu Powązkowskim:

Płacze go żona z dziećmi, i ludzkość strapiona;
Jemu winna początek dziateczek Ochrona.
Wszystko biédnym poświęcił i samego siebie,
Cześć Jemu tu na ziemi, a nagroda w niebie! (*)

A. J.

(*) W czasie wezbrania Wisły, dnia 30 Sierpnia 1839, Towarzystwo Dobroczynności obrało Janikowskiego Prezydującym Komitetu Nadwiślańskiego, z 40 członków złożonego, i tu Janikowski rozwinął cały dar swój *organizowania*. Powódź przewyższała srogością i trwaniem swojém, nawet ów wylew z r. 1813. Była zaś tak nagłą, iż ani można było pomyśleć o należytych środkach ratowania się, a przedewszystkiém o łodziach. Część więc ludności dolnéj Warszawy, oraz cała Praga i Saska kępa, koczowały na pół nago i o głodzie na strychach lub na dachach, i to przez tyle dni i nocy, z dziećmi i chorymi. Oto wyjątek z listu ówczesnego: „Nie umiém ci opisać działalności Janikowskiego i poświęcenia się członków Dobroczynności. Ci na łódkach rozwożą chleb, sól, słoninę, wódkę, i bosakami podają ją starcom kobietom i płaczącym dzieciom, do dymników. Tamci wyszukują po strychach opuszczonych chorych i kaleki. Gwałtowność pędu Wisły okropna. Praga zamieniła się w szczupłą wysepkę. Z Saskiéj kępy wyglądają tylko wierzchołki drzew i dachy domów. Przystęp do tamecznych mieszkańców tem niebezpieczniejszy, iż łódź płynąc, co moment potyka się o gałęzie drzew, koły płotów, i dachy parkanów, zupełnie wodą pokryte. Wysłani tam *Scholze* i Pietrusiński znaleźli na stogach siana ludzi, od dwóch dni bez kawałka chleba zostających, i przywieźli z Kępy dwie osoby, śmiertelną chorobą dotkniete. Doktorowie Klecki, Janikowski i Malcz niosą Nadwiślańcom pomoc lekarską od świtu do nocy. X. Brodzki, Hann, Jędrzejewicz, Kassyanowicz, Łącki, Szabrański, Fr. Wołowski i inni opiekunowie cyrkułowi wspierają sercem i duszą niezmordowanego Janikowskiego. Hr. Łubieńscy odstąpili gmach swój przy ulicy Królewskiéj, gdzie siostra Agnieszka“ (Kościukowska) „codziennie obiady dla tysiąca osób rozdaje. Dmuszewski z swoim Kuryerem dzielnie dopomaga do wzrostu funduszów. Hr. Zofia Ożarowska przygotowuje widowisko w Wielkim Teatrze, w którym, mimo swego zniszczonego zdrowia, wiérsz Jachowicza „Nadwiślanie“ sama deklamować będzie.“

Na widok tylu poświęceń, rzuciła się też Warszawa z całym zapałem do ofiar i składek, tak, iż w końcu po obdzieleniu Nadwiślańców summą 45,000 zp., zostało jeszcze 36,00 złp. Towarzystwo Dobroczynności, na wniosek Janikowskiego, przeznaczyło te 36,000 złp. wiecznemi czasy dla dziatwy Nadwiślańców, i przyłączyło je do funduszu, przez Jachowicza na dom siérot zebranego, i tym-to sposobem stanął na Nowym Świecie „Dom siérot i Ochrona małych dzieci“ (Nadwiślańców).

S. J.

O CZECHACH
I
POLSCE
W WIEKU XIV, XV I XVI.

(UŁAMKI).

Z angielskiego ś. p. Waleryana Hr. Krasińskiego.

Nadaremne są wszystkie usiłowania wasze napisania historyi polskiéj wieku XV, XVI i XVII, dopóki nie zgłębicie jak najdokładniéj ówczesnych dziejów wielkiego narodu czeskiego, i nie zrozumiécie należycie zasad reformacyi, która w Czechach, a w wieku XVI, Zygmuntowskim, i w całéj Polsce, rej wodziła. *J. U. N.*

Czechy.

Religia chrześcijańska miała dojść do Czech za czasów césarza rzymsko-niemieckiego Karola Wielkiego, który z Czechami wojny prowadził, i zmusił ich do płacenia haraczu (1). Czesi uwolnili się przecież od jarzma następców Karola W. i udali się pod opiekę Swiatopluka, króla Wielkiéj Morawii, gdzie religia chrześcijańska wprowadzoną została przez prace apostolskie Metodyusza i Cyryla (2). Książę czeski, Borzy-

---

(1) Karol W. umarł r. 814 po Chrystusie. *(Przyp. tłum.)*.

(2) Cyryl i Metodyusz byli Grekami z Macedonii. Cyryl czyli Kiryl wynalazł alfabet słowiański, zwany Kirylicą, przetłumaczył część pisma świętego

wój, ochrzczony został przez Metodyusza, i zaprowadzono w Czechach organizacyą kościelną, podobną do Morawskiéj.

Po zniszczeniu królestwą Wielkiéj Morawii (1) wpływ Niemiec na Czechy wzmagał się coraz bardziéj. W miejsce nabożeństwa w języku słowiańskim i obrządków kościoła wschodniego wprowadzano coraz bardziéj liturgią łacińską i obrządki kościoła zachodniego (rzymskiego) aż do roku 1094. W tym roku klasztor w Sącawie, ostatnie schronienie nabożeństwa w języku słowiańskim, skassowano z rozkazu władzy kościelnéj, a książki słowiańskie, które tam były zachowywane, zniszczono. Pomimo tego, chociaż kościoły narodowe były w Czechach publicznie zniesione, jest rzeczą prawie niewątpliwą, że jeszcze przez dość długi czas istniały potajemnie pomiędzy ludem, przywiązanym z takiém poświęceniem się do wszystkiego, co jest swojskiém.

* * *

Tak protestanccy, jak katoliccy autorowie zgadzają się na to, że Waldensowie, prześladowani we Francyi, szukali schronienia w Czechach i w Polsce. *De Thou* utrzymuje, że wielki reformator Lyoński, Piotr *Valdo* (w XII wieku), zwiedziwszy kraje słowiańskie, osiadł w Czechach; a uczony *Perrin* potwierdza ten czyn. Stransky, Czech, powiada, że roku 1176, przybyli do Czech różni pobożni uczniowie Piotra *Valdo*, odznaczający się, przez swą znajomość pisma świętego, a wygnani z Francyi i Niemiec. Osiedli w miastach Żatec (po niem. *Saatz*) i Launy, przyłączyli się do tamecznych zwolen-

na język słowiański i zaprowadził pomiędzy Słowianami całe nabożeństwo w języku słowiańskim. Umarł około r. 870; brat zaś jego, Metodyusz, dożył do roku 910. *(P. t.)*.

(1) Przez césarzów rzymsko-niemieckich, i przez Madziarów, którzy, pochodząc z Azyi, roku 894 do Węgier wtargnęli. Już w rok potém, książęta czescy na sejmie w *Regensburg*'u wcielili kraj swój do césarstwa niemieckiego, i odtąd Czechy stanowiły część Niemiec. *(P. t.)*.

ników obrządku wschodniego, i zmienili według pisma świętego, ówczasowe nabożeństwo. Frankowicz, lepiej znany pod imieniem *Flaccius Illiricus*, donosi nam, że posiadał opis postępowania inkwizycyi świętéj w Polsce i Czechach z roku 1330, w którym-to opisie stoi wyraźnie, że w krajach tych robiono składki i posyłano zebrane pieniądze Waldensom włoskim, i że należący do składek uważali ich za swych braci i nauczycieli. Dodaje, że różni Czesi odwiedzali tych Waldensów, i jeździli do nich dla uczenia się teologii. Hagek powiada, że roku 1341 tak zwani „Mieszkańcy Jaskiń" dostali się na nowo do Czech; że osiedli po miastach a osobliwie w Pradze, gdzie im łatwo było ukryć się, i że kazania swe miewali potajemnie w różnych domach. — *Aeneas Sylvius*, który późniéj został papieżem pod imieniem Piusa II, dowodzi, że Husyci czescy byli gałęzią Waldensów. Nie ulega więc wątpliwości, że nauki Waldensów były już upowszechnione w Czechach, kiedy Hus zaczął swe życie publiczne.

* *
*

Dynastya narodowa (1), która zajmowała tron czeski przed zaprowadzeniem chrześcijaństwa w Czechach, wygasła roku 1306 z Wacławem II, i korona przeszła w dom Luxemburski, przez ożenienie się Jana, księcia Luxemburskiego, (syna césarza rzymsko-niemieckiego Henryka VII) z Elżbietą, córką ostatniego króla czeskiego. Jan znany jest w historyi ze swych wypraw wojennych, a osobliwie przez swą śmierć rycerską na polu bitwy pod *Cressy*, do której należał jedynie z ochoty uganiania się za przypadkami (2).

* *
*

Syn jego i następca, Karol, był zupełnie odmiennego

(1) Przemysławów. (2) roku 1346. *(P. t.)*.

charakteru. Wychowany na uniwersytecie paryskim, pod kierunkiem najznakomitszych professorów i doktorów, stał się jednym z najpiérwszych uczonych wieku swego. Karol I, jako król czeski, bardziéj jest znanym w Europie zachodniéj pod imieniem Karola IV, césarza rzysmsko-niemieckiego. Sławnym też jest przez swą bullę złotą czyli porządek wyboru césarzów; przez udział, jaki miał w wypadkach Rzymu podczas krótkiego istnienia tamże rzeczypospolitéj za sławnego trybuna *Cola de Rienzi*, i przez stosunki, które przy téj sposobności zawiązał z Petrarką. Był bardzo miernym césarzem w Niemczech, ale wielkim królem w Czechach. Kiedy wstąpił na tron, znalazł kraj ten wyniszczony przez ustawiczne wojny, które ojciec jego prowadził. Za panowania tego ostatniego zakradły się ogrome nadużycia. Karol przedsięwziął wytępić je, i chwalebne jego usiłowania, połączone z wytrwałością, uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem. Słaby doznawał pomocy przeciw możnemu. Swobody municypalne miast wzrosły, co sprzyjało ich zaludnieniu, handlowi i przemysłowi; wreszcie przywiódł Karol rolnictwo do stanu nader kwitnącego. Pragnąc polepszyć stan oświaty narodu swego, założył roku 1348 uniwersytet Praski, urządzony na wzór uniwersytetów w Bolonii i Paryżu (1), kazał obsadzić katedry najznakomitszymi uczonymi, i hojnie zakład ten uposażył. Ale co jest najbardziéj uwagi godném z pomiędzy szlachetnych usiłowań Karola ku oświeceniu Czechów: co, według mego zdania, stawia Karola wysoko po nad jego współczesnych, oto: iż on był może piérwszym monarchą, który pojął, że prawdzi-

(1) Kazimiérz W. (którego Karol IV późniéj wnuczkę zaślubił), założył akademią krakowską r. 1347; ale Papież zatwierdził ją dopiéro r. 1400. Akademia praska nietylko więc była pierwszą w całej Słowiańszczyznie; ale wyprzedziła wszystkie uniwersytety niemieckie, z których pierwszy w Wiedniu założony został dopiéro r. 1365, a drugi w *Heidelberg*'u r. 1386. *(P. t.)*

wym środkiem do dźwignienia postępu w narodzie, jest, bez żadnego zaprzeczenia, uprawa i rozwinięcie jego języka, jego literatury narodowéj. Z zapałem zajmował się tym przedmiotem, biorąc pod swą opiekę wszystkich autorów, którzy pisali po czesku (1). Czechy wzrosły w bogactwo, w oświatę, a mieszkańcy nabyli uczucia narodowości. To było, jak mniemam, źródło owéj energii, którą rozwinęli potém w obronie swojéj; energii, która, nie waham się powiedzieć, *niéma sobie równéj w historyi nowoczesnéj*. Zgłębianie historyi czeskiéj w dawnych kronikach, połączone z wpływem Waldensów w téjże epoce, t. j. w 14m wieku, musiało ożywić przywiązanie Słowian do ich nabożeństwa narodowego. Jakoż, już kilkanaście lat przed Husem, pobożni i uczeni Duchowni, jak Stiekna, Milicz, Janowa i t. d. starali się obznajamiać Czechów z pismem świętém i obrządkami pierwotnego kościoła chrześcijańskiego.

* *
*

Jan Hus urodził się w miasteczku: Husincc (2). Był synem rolnika. Wsławił się przez swą naukę i swe cnoty, którym nawet najgwaltowniejsi jego nieprzyjaciele sprawiedliwość oddają. Jezuita Balbinus mowi o nim: „Bardziéj był przenikliwym, niż wymownym. Ale skromność jego, powaga, życie wstrzemięźliwe, obyczaje nienaganne, twarz blada i chuda, słodycz charakteru, i uprzejmość równa dla wszystkich, przekonywały skuteczniej, niż-by to był uczynił naj-

(1) Karol IV wychowany był w Paryżu, na dworze ciotki swojéj, małżonki króla francuskiego Karola IV; niesprzyjał bardzo Niemcom, a mając w Niemczech, jako obrany cesarz, władzę nader ograniczoną, poświęcił się całkiem dziedzicznemu swemu królestwu czeskiemu i pokochał Czechów całém sercem. Zamek królewski, Hradszin, ta ozdoba Pragi, jest także jego budowy. Od niego też Karlowe Wary *(Karlsbad)* noszą swe nazwisko. *(P. t.)*

(2) W Czechach zachodnio-południowych, blisko miasta Prachatic; dnia 6 Czerwca 1373. *(P. t.)*.

większy dar wymowy.“ Hus odznaczał się i w uniwersytecie i w kościele. Roku 1393 otrzymał stopień bakalaureusza i magistra, a roku 1401 dziekana wydziału teologicznego. Roku 1400 został spowiednikiem królowej, nad którą miał wielką przewagę. Roku 1403 zaczął miewać kazania w języku czeskim (1); ale dopiero roku 1409 wygłaszał nowe swoje zasady. Wielkie przywiązanie, jakiem Hus pałał dla narodu swego, zjednało mu popularność pomiędzy ziomkami. Ta powiększyła się przez nowe uorganizowanie uniwersytetu Praskiego.

* *
*

Ponieważ uczona ta instytucya była roku 1347 założoną przez Karola IV na wzór uniwersytetów Paryskiego i Bolońskiego; przeto przyjęto w niéj ustawy i zwyczaje tych dwóch akademij. Podług tych ustaw, cudzoziemcy powinni byli mieć we wszystkich interesach akademii *jeden* głos (zbiorowy) a krajowcy *trzy*. Ale przy otwarciu uniwersytetu Praskiego znalazło się w nim nierównie więcéj uczonych i doktorów Niemców, niż Czechów, tak, że piérwszym dano 3 głosy, a drugim tylko 1. Przez to urządzenie, większa część dostojeństw i korzyści, udzielanych przez uniwersytet, dostawała się Niemcom, co obudzało przeciw nim niechęć i zazdrość Czechów. Hus wraz z Hieronimem z Pragi i innym patryotą, Janem z Zwinkowic, postanowił znieść to nadużycie. Rozumowanie jego w téj mierze było następujące: Prawda, że kiedy Karol IV zakładał ten uniwersytet, rozporządził, aby *czasowo* uczeni niemieccy mieli przy wyborze rektora i dygnitarzy akademickich 3 głosy, a Czesi tylko 1; ale przepis ten wydany był z powodu małéj liczby naszych współrodaków, którzy wówczas posiadali stopień doktorski albo magistrowski. Kiedy zaś dzisiaj, z łaski Bo-

(1) Co wtedy było największą nowością. *(P. t,)*

żéj, znaczna już liczba Czechów stopnie te pozyskała, słuszną jest rzeczą, abyś-my mieli 3 głosy, a wy, Niemcy, abyście mieli tylko 1.“ Rzecz ta wywołała żywe rozprawy pomiędzy stronami. Nareszcie, przez wpływ swój, Hus otrzymał od króla czeskiego, Wacława, postanowienie téj treści: „Chociaż należy kochać wszystkich ludzi; wszelako miłość powinna być zastósowaną do stopni pokrewieństwa. Zważając więc, że naród niemiecki, obcy krajowi naszemu, przywłaszczył sobie w działaniach uniwersytetu Praskiego 3 głosy, gdy tymczasem naród czeski, prawy dziedzic tego królestwa, niéma jak tylko 1 głos; zważając oraz, iż dziwném jest, aby cudzoziemcy używali takich przywilejów z ujmą krajowców, rozkazujemy pismem niniejszém, pod karą naszéj niełaski, aby naród czeski wszedł bezzwłocznie w używanie przywileju *3 głosów* we wszystkich naradach, sądach, wyborach, działaniach i rozporządzeniach akademickich; tak jak to jest zwyczajem w uniwersytecie Paryskim oraz w uniwersytach Lombardzkich i włoskich.“

* *
*

Niemcy usiłowali wszelkiemi sposobami zachować swe przywileje, i różni pisarze donoszą, iż na zgromadzeniu, które mieli przed ogłoszeniem ustawy wyżéj wspomnionéj, postanowili, że jeźli im się nie uda cofnąć ją, opuszczą w massie uniwersytet Praski, a ci, którzyby się temu postanowieniu nie poddali, skazani będą na utratę dwóch palców. Jestto rys charakterystyczny niechęci narodowych, dowodzący, że nawet zatrudnienia naukowe nie przygaszają ich.

Skoro nowe rozporządzenie zostało ogłoszone, Niemcy prawie wszyscy wykonali swe postanowienie: opuścili Pragę i udali się do Niemiec w liczbie 5,000, jak świadczy *Aeneas Sylvius*. Ta olbrzymia emigracya dała początek do założenia uniwersytetu w Lipsku, a późniéj i innych zakła-

dów tego rodzaju, w Niemczech. Nazwisko Jana Husa, jako głównego sprawcy téj nagłéj zmiany, stało się dla Niemców przedmiotem powszechnej nienawiści. Ten sam powód zjednał mu miłość i podziwienie u Czechów, i popularność jego w kraju wzrosła jeszcze bardziéj. Okoliczność ta przyczyniła się niezmiernie do nagłego rozszérzenia się jego nauki w Czechach i w krajach słowiańskich. Łatwo zaś każdy zrozumié, dla czego ta sama nauka nie znalazła wcale żadnego przystępu u Niemców, u których dopiero w 100 lat później reformacya, opowiadana przez Lutra, tak szybko i łatwo się rozszérzyła (1). Zdarzenie, którem właśnie opowiedział, miało miejsce roku 1409. Zaraz potém Hus został Rektorem uniwersytetu, i zaczął otwarcie występować przeciw nadużyciom duchowieństwa i wygłaszać swoje zdania religijne.

* *
*

Chociaż Czechy znacznie są oddalone od Anglii, i chociaż drogi w wieku XIV i XV były prawie nie do przebycia, szczególna okoliczność zawiązała pomiędzy temi dwoma krajami węzeł duchowy i wprowadziła zdania plebana z *Lutterworth*'u w mury Pragi. Ryszard II, król angielski, ożenił się był z Anną, córką Karola IV. Księżniczka ta zabrała ze sobą do Anglii wielu Czechów, którzy po jéj śmierci wrócili do ojczyzny, przywożąc ze sobą pisma *Wickleff*'a. Różni téż Czesi udali się byli na sławny już wówczas uniwersytet Oxfordzki. Hieronim z Pragi bawił tam przez czas niejaki i wrócił przejęty naukami reformatora angielskiego. Donoszą także, że dwóch Anglików, *James* i Konrad z *Canterbury* przybyli do Pragi i przywieźli Husowi książki przez

(1) Cóż więc powiedzieć o tych, którzy reformacyą nazywają wymysłem *niemieckim*, religią *niemiecką? (P. t).*

Wickleff'a wydane. Książki te niepodobały się z początku Husowi, ale zgłębiwszy treść ich, nabrał innego przekonania. Powiadają także, że Anglicy ci prosili Husa o pozwolenie wymalowania w głównéj sali domu jego, dwóch obrazów treści religijnéj, na których oglądanie zbiegała się cała Praga.

* *

*

Hus przetłumaczył był różne pisma *Wickleff*'a i rozsyłał je znakomitszéj szlachcie Czeskiéj i Morawskiéj. Rozszérzały się one i daléj, aż do Polski, gdzie znalazły zapalonych wielbicieli. Jest zaś rzeczą prawie pewną, że chociaż Czechy były już wtedy obznajomione z zasadami reformacyi, ta ostatnia byłaby bez Husa tylko cząstkową, i nie byłaby nigdy przyjęła tego charakteru narodowego, który był najgłówniejszą przyczyną szybkości, z jaką się rozszérzyła w całym kraju, i energii, którą rozwinęli jéj zwolennicy podczas walki, w następstwie jéj rozpoczętéj. Gdyby Hus był ograniczył działalność swoją na rozprawach teologicznych, gdyby nie był się stał uosobistnieniem narodowości czeskiéj, działania jego byłyby ograniczyły się na małém kółku zwolenników; gdy tymczasem słową jego zapaliły serce i umysł całego narodu. Okoliczność ta nie uszła uwagi nawet Jezuity Balbinusa, który opisawszy silne wrążenie, jakie robiły kazania czeskie Husa w kaplicy, zwanéj Betlemską, kończy swój opis wierszem Wirgilego:

Hic illius arma, hic currus fuit.

Podczas, kiedy w innych krajach reformacya religijna przyśpieszyła rozwinięcie się języka narodowego przez tłumaczenie pisma świętego i innych pism, które reformatorowie pomiędzy ludem rozpowszechniali; w Czechach przeciwnie, rozwinięcie się mowy i literatury ojczystéj przygotowało właśnie reformacyą religijną.

Polska.

Zdaje się, że chrześcijaństwo doszło do Polski przez państwo Wielkiéj Morawii, w wieku IX, i stało się już przeważném w wieku X; bo Mieczysław I. przyjął chrzest ś. roku 965 nie w skutku usiłowań zagranicznych missyonarzy, wysłanych do nawrócenia jego i kraju całego; ale za wpływem chrześcijan Polaków. W tymże czasie ożenił się z córką chrześcijańskiego władcy Czech, i ochrzczony został przez duchownego czeskiego. Zdawało się rzeczą naturalną, że narodowy kościół słowiański, zaprowadzony w Czechach staraniem Metodyusza i Cyryla, rozszérzy się aż do Polski, gdzie już liczył wielu zwolenników, z pomiędzy chrześcijan morawskich, którzy się tam schronili w czasie podbicia Morawii przez hordy Madziarów, nie znających jeszcze chrześcijaństwa. Atoli ścisły związek istniejący wówczas pomiędzy monarchami polskimi a césarstwem niemieckiém, dał w Polsce górę kościołowi niemieckiemu. Piérwszy biskup polski, Poznański, poddany został pod duchowną jurysdykcyą Arcybiskupa Mogunckiego *(Mainz)*, a późniéj Magdeburskiego. Benedyktyni z *Cluny* (1) założyli w Polsce piérwszy klasztor. Duchowni zakonni i świeccy przybywali w znacznéj liczbie z Włoch, Francyi, a osobliwie z Niemiec, i byli przez bardzo długi przeciąg czasu w posiadaniu wszystkich urzędów duchownych. Napływ duchowieństwa niemieckiego stał się tak wielkim, iż nietylko zapełniło klasztory, ale oraz liczne zajęło probostwa. Ci przybysze, zamiast zajmowania się religijném kształceniem Polaków, myśleli tylko o przysporzeniu korzyści swoim spólrodakom. Założyli nawet w samym środku Polski klasztory, których wszyscy zakon-

(1) *Cluny,* w Burgundyi, która roku 1032 wcieloną została do césarstwa niemieckiego. *(P. t.)*.

nicy byli Niemcami, i których reguła wykluczała zakonników wszelkiéj innéj narodowości. Mamy listy pasterskie biskupów polskich, pisane w wieku XIII, które nakazują duchowieństwu parafialnemu miéwać kazania w języku polskim, a nie w niemieckim, którego zgromadzony lud nierozumié (1), i zakazują wyznaczać do kościołów parafialnych księży, którzyby nie umieli języka krajowego. Rzeczą było naturalną, że duchowieństwo cudzoziemskie broniło jak najsilniéj rytuału czysto rzymskiego przeciw kościołom narodowym, które wszelako utrzymywały się aż do wieku XIV. Takie przynajmniéj jest zdanie najuczeńszych badaczy starożytności polskich, z pomiędzy których powołuję X. Juszyńskiego, duchownego rzymsko-katolickiego, znanego z gruntownych wiadomości i światłéj krytyki. Twierdzi on, oparty na powagach niezaprzeczonych, że reformatorowie polscy XVI wieku przyjęli dla swych zborów wiele pieśni kościelnych z dawnych kościołów narodowych polskich: co dowodzi, że pieśni te były jeszcze w świeżéj pamięci. Uczony ten twierdzi również, że brewiarze polskie były jeszcze bardzo używane do końca wieku XV.

* *

*

Polska zostawała w owych czasach w ścisłych związkach z Czechami, ponieważ obadwa narody wówczas prawie jednym i tym samym językiem mówiły. Młodzież polska kształciła się po większéj części na akademii Praskiéj, gdzie królowa polska, Jadwiga, oddzielne *collegium* dla niéj była ufundowała. Hus był w Polsce bardzo poważany. — Hieronim z Pragi, towarzysz Husa, bawił przez niejaki czas w Polsce, dokąd powołany był roku 1410, aby urządzić u-

(1) Pamięć o tém zachowała się w przysłowiu ludowém: „Siedzieć, jak na niemieckiém kazaniu.“ *(Przyp. autora).*

niwersytet krakowski. Wszystkie te okoliczności przyczyniły się do szybkiego rozszérzenia w Polsce wszelkich zdań, które Czechy wykołysały (1).

Czechy.

Stosunki polityczne Czech nader sprzyjały rozszérzaniu się reformacyi. Na tronie czeskim siedział wówczas Wacław, syn Karola IV, który roku 1378 objął po ojcu swoim tak

---

(1). Rok 1400, t. j. założenia akademii krakowskiéj, był dopiéro rokiem 14m od czasu przyjęcia religii chrześcijańskiéj przez króla Władysława Jagiełłę, braci jego i Litwę. Wiara przodków ich była zupełnie inną. W ciągłych krwawych walkach z Niemcami, będącymi zakonnikami rzymsko-katolickimi, t. j. z Krzyżakami w Prusiech, Kurlandyi i Inflantach, — Jagiełło, Witold i Litwini nie mogli być przejęci czcią dla duchowieństwa, które za wiedzą Rzymu i wsparte przez césarza, zebrało z całych Niemiec wojsko celem podbicia Polski i Litwy i zamienienia ich w prowincyą niemiecką, i byłoby celu swego dopięło, gdyby roku 1410 połączone siły Polaków i Litwinów pod dowództwem Jagiełły i Witolda, nie były pod Gierzwałdem i Stembarkiem (Grunwald i Tannenberg) 60,000 trupem ich położyły. Litwini, nie mówiący ani po łacinie, ani po niemiecku, nazywali wyznanie rzymsko-katolickie wprost *wiarą niemiecką*. (Ob. Szajnochy: „Jadwiga i Jagiełło," tom II, str. 335). Uczony Józef Łukaszewicz w szacowném dziele swojem: „O kościołach Braci Czeskich w dawnéj Wielkiéj-Polsce" (Poznań, 1835, na str. 9) pisze: „Na końcu XIVgo wieku Jadwiga, królowa polska, wyznaczyła znaczny fundusz na utrzymanie pewnéj liczby młodzieży polskiéj i litewskiéj na uniwersytecie w Pradze. Było to właśnie w czasie, w którym Hus i przyjaciel jego a późniéj towarzysz niedoli, Hieronim z Pragi, uczyli na wspomnionym uniwersytecie. Młodzież polska nie zaniedbała korzystać z dobrodziejstwa cnotliwéj królowéj Jadwigi; nadto, wielu młodych Polaków udawało się własnym nakładem na uniwersytet Praski. Hieronim z Pragi wezwany został od króla Władysława Jagiełły do Krakowa (r. 1410), aby nowo-założony uniwersytet w tém mieście urządził. Hieronim przyjął wezwanie, przybył z kilku innymi uczonymi Czechami do Krakowa, urządził uniwersytet i uczył w nim sam czas niejaki. Tym sposobem nauka Husa rozeszła się przez młodzież, czer-

cesarstwo rzymsko-niemieckie, jak królestwo czeskie; ale nie odziedziczył ani cnót jego, ani zdolności. Umysł Wacława ograniczony, charakter gwałtowny, obyczaje rozwiązłe, czyniły rząd jego znienawidzonym. Złożony z tronu, odzyskał go na nowo za pomocą swych krewnych; ale go na nowo utracił (1). Brat jego, Zygmunt, król węgierski, schwytał go przez zdradę i uwięził najprzód w Pradze, a potém w Wiédniu. Po 18 miesiącach udało się Wacławowi uciec, i wrócić do Pragi, któréj mieszczanie, będąc tymczasem przez Zygmunta bardzo uciemiężani, z radością go przyjęli. Było-to roku 1403, i Wacław wstąpił po raz trzeci na tron czeski; ale tą razą zmienił całe dotychczasowe swoje postępowanie. Umysł jego złagodniał, a w miejsce gwałtowności (2) opanował Wacława rodzaj obojętności i gnuśności.

---

pającą ją na dwóch uniwersytetach w oka mgnieniu po całéj Polsce. Nie dość na tém; nauka Husa znalazła przystep na samym dworze królewskim. Podobała się, zwłaszcza królowéj (Jadwidze), liturgia w ojczystym języku; na jéj rozkaz przełożoną została biblia na język polski; dla niéj sprowadzeni w roku 1394 do Krakowa duchowni z Czech, odprawiali obyczajem wyznawców Husa wszelkie obrządki religijne w języku polskim, w kościele Ś. Krzyża na Kleparzu. Sam Władysław Jagiełło sprowadził z Czech Duchownego wyznania Husa i z nim potajemnie rozmawiał o rzeczach wiary. Nadto rozsiéwali po Polsce naukę Husa ludzie rozmaitych stanów, jakoto: kupcy, rzemieślnicy i t. p., z Czech do Polski przybywający. Jan Żiżka walczył w szeregach polskich pod Grunwaldem (1410 r.) przeciw wiarołomnemu zakonowi Krzyżaków." *(P. t.).*

(1) W Niemczech wodziło rej 7 Elektorów, z pomiędzy których jednym był dziedziczny król czeski. Césarza każdą razą obierano. Władza jego była dożywotnia i nader ograniczona. Wacław nie wrócił już do tronu césarskiego; ale r. 1400 obrano cesarzem Ruprechta, księcia *von der Pfalz*, a gdy ten umarł, obrano r. 1410, młodszego brata Wacława: Zygmunta, który, zaślubiwszy siostrę naszéj Jadwigi, był królem węgierskim. *(P. t.).*

(2) On-to roku 1383 kazał był zrzucić z mostu Praskiego do Mołdawy X. Jana z Nepomuk (Nepomucena). *(P. t.).*

Nie zajmował się niczém, oddając się tylko rozkoszom zmysłowym, i Czechy, w miejsce dawniejszego rządu okrutnego, rządzone były zupełnie niedołężnie. Gdy Wacław nie lubił duchownych, przeto cieszył się widząc władzę Rzymu zachwianą kazaniami Husa; żartował sobie z ich zażaleń w téj mierze, a usiłowania władzy kościelnéj ku wstrzymaniu postępów reformacyi, nie znajdowały żadnego poparcia ze strony władzy świeckiéj.

* *
*

Nowy papież Jan XXIII ogłosił krucyatę przeciw Władysławowi, królowi neapolitańskiemu, przyrzekając zupełny odpust wszystkim, którzy w niéj udział mieć będą, bądź osobiście, bądź dając na nią składki pieniężne. Legat wysłany umyślnie w tym celu, przybył do Czech, i wybiérał znaczne summy. Hus zaczął kazać przeciw temu. Wyższe duchowieństwo i mieszczanie niemieccy Pragi, którzy tworzyli silną korporacyą i zajmowali najcelniejsze posady municypalne Starego Miasta, oświadczyli się za legatem. Czesi przeciwnie, obstawali, po większéj części z wielkim zapałem, za zdaniem Husa.

* *
*

Znaleźli oni silną podporę w osobie Hieronima z Pragi. Był on rodem z Pragi, pochodzenia szlacheckiego, ale nie zamożnego. Z Husem zaprzyjaźnił się jeszcze będąc kolegą jego akademickim. Zwiedziwszy kilka uniwersytetów zagranicznych, a między innemi Oxfordzki, odbył pielgrzymkę do ziemi świętéj. Późniéj należał w Krakowie do urządzenia tamecznéj akademii, i pracował, jako missyonarz na Litwie. Był-to mąż nietylko głębokich wiadomości; ale oraz wielkiego doświadczenia. Charakter jego żywy i wymowa

zachwycająca wywierały na Czechach często silniejsze jeszcze wrażenie, niż słowa samego Husa.

* *
*

Hus został przez legata papieskiego exkommunikowany. Król Wacław wywołał z kraju kilku zwolenników legata, a Husowi polecił opuścić Pragę. Udał się więc Hus na prowincyą, gdzie nie przestawał miewać kazań do ludu, i ogłaszać pisma swoje w języku czeskim.

Césarz Zygmunt wyjednawszy u papieża Jana XXIII zwołanie ogólnego soboru w Konstancyi (1) na dzień 1 Listopada 1414, pisał do Husa wzywając go, aby, opatrzony listem żelaznym, przybył na tenże sobór i osobiście bronił swéj sprawy. Hus odpisał natychmiast, że będzie posłuszny temu poleceniu, a późniéj ponowił swoje przyrzeczenie prosząc césarza, aby mu wyjednał publiczną dysputę w obec soboru. Césarz przyrzekł, iż sprawiedliwemu temu żądaniu zadość się stanie, i zgodnie z królem Wacławem, wyznaczył trzech znakomitéj szlachty czeskiéj, aby Husowi na sobór towarzyszyli (2). Podróż Husa przez Czechy była prawdziwym pochodem tryumfalnym; wszędzie tłumy niezliczone zbiegały się na powitanie go, i towarzyszyły mu, błagając niebo o błogosławieństwo dla wielkiego spółrodaka, a zarazem okazując mu wszelkiemi sposobami, cześć i uwielbienie. Kiedy przybył na granicę Czech, zwrócił konia, i rzucając z wysokości „Lasu Czeskiego" wźrok daleko na ukochaną ójczyznę, polecił w gorącéj modlitwie kraj swój opiece Najwyższego. Przybył do Konstancyi dnia 3 Listopada 1414,

---

(1) *Kostnitz, Constanz,* Kostnica, nad jeziorem Bodeńskiém *(Bodensee)*; dziś w W. Księstwie Badeńskiém. *(P. t.)*.

(2) Byli nimi: Jan ze Chlumu Slawata, Wacław z Dubé a na Lesztnie, i Andrzéj ze Chlumu na Lacemboku. *(P. t.)*.

gdzie pomimo listu żelaznego dnia 28 Listopada uwięziony i w kajdany okuty został.

* *

*

W sam dzień Narodzenia Zbawiciela, przybył césarz do Konstancyi, i żądał uwolnienia Husa; ponieważ wiedział dobrze, jaki skutek uwięzienie onegoż sprawi w Czechach, których korona po śmierci Wacława, miała spaść na Zygmunta. Po kilku groźbach, iż się z soboru oddali, wyjechał z Konstancyi. Ale deputacya kardynałów udała się do niego z przedstawieniem, że sobór ma prawo obchodzić się z kacerzami, jak mu się podoba; że nikt nie jest obowiązany dotrzymywać słowa kacerzowi, i że ojcowie postanowili, na przypadek, gdyby césarz nie wrócił do Konstancyi, rozwiązać natychmiast sobór, a tak, wszelkie usiłowanie poprawy kościoła spełznie na niczém (1). Ta groźba wymogła na Zygmuncie, iż na posiedzeniu zboru z dnia 1 Marca 1415, przyrzekł nie mięszać się do sprawy Husa.

* *

*

Uwięzienie Husa i srogie z nim obchodzenie się, wywołało w Czechach ogólne oburzenie: zgromadzano się publicznie dla naradzania się nad środkami zniweczenia niebezpieczeństwa grożącego ulubieńcowi narodu. Szlachta czeska podała protestacyą do césarza, jako do przyszłego króla czeskiego, żądając, aby Hus był, jak należy, przesłuchany, dla uratowania honoru narodu czeskiego, który podobne postę-

(1) Było wtedy równocześnie aż 3 obranych papieżów, i właśnie dla tego césarz zwołał ten powszechny sobór, na który przybyło ze 2,400 duchownych (po największéj części Niemców, Włochów i Francuzów), wszyscy książęta Elektorowie niemieccy, posłowie wszystkich prawie mocarstw europejskich i przeszło 150,000 widzów. *(P. t.)*.

powanie uważał za krzywdę w obliczu całego świata sobie wyrządzoną. Szlachta czeska i polska, która była wówczas w Konstancyi (1), podała do soboru silne przedstawienie przeciw obejściu się z Husem, a magnat czeski, Wacław z Dubé a na Lesztnie odznaczył się taką gorliwością, że sam Hus go nazwał *intrepidus et zelosus veritatis defensor*.

To, co cały sobór najbardziéj przeciw Husowi pobudzało, było twierdzenie jego, że: najwyższa powaga w rzeczach religijnych nie należy się nikomu, tylko wyłącznie samemu pismu świętemu (2). Hus oświadczał, iż gotów jest bronić zdań swoich i odwołać wszelki błąd, któryby mu z pisma świętego wykazano. Żądano, aby się bezwarunkowo poddał soborowi, a gdy Hus domagał się, aby zarzuty mu czynione, były udowodnione, césarz obecny na posiedzeniu powstał i oświadczył, iż ojcowie soboru objaśnili go, że list żelazny dany kacerzowi niéma żadnego znaczenia; że więc on cofa opiekę udzieloną Husowi i napomina go, aby się poddał woli soboru.

* *
*

Odczytano Husowi postanowienie, aby publicznie wyznał, iż nauki zawarte w 44 artykułach, przeciw niemu przytoczonych, są fałszywe; aby się nauk tych odprzysiągł i wyparł, a uwierzył i nauczał nauk przeciwnych. Hus odpowiedział, że nie może odprzysięgać się nauk, których nigdy nie wyznawał, a co do tych, których nauczał, iż sumienie jego zabrania mu wypiérać się ich dopóty, dopóki go kto

(1) Palacky wymienia obu posłów króla Władysława Jagiełły: Hanusza z Tuliskowa, kasztelana kaliskiego, i Zawiszę Czarnego, z Garbowa; oraz Borotę, Donina i Balickiego. (Diejiny narodu czeskeho. Praga, 1850, tom III, zeszyt 1, str. 180). *(P. t.)*.

(2) Jest-to najpierwsza i najgłówniejsza zasada reformacyi, jednocząca do dziś dnia wszystkich protestantów czyli ewangelików wszelkich wyznań. *(P. t.)*.

nie przekona, że są fałszywe. Wszyscy członkowie obecni nalegali na niego, aby soborowi bezwarunkowo uległ, i przyrzekano mu, że formuła odwołania ułożoną będzie w wyrazach najumiarkowańszych. Hus oświadczył, że BÓG będzie sędzią między nim a soborem. Żądał dowodów, wyjętych z pisma świętego, lub opartych na zdrowym rozumie.

* *
*

Zdaje się, że wielka popularność Husa, nie tylko u Czechów, ale i w Polsce, przestraszyła césarza Zygmunta. Bądź co bądź, radził on teraz kardynałom, aby Husowi wcale nie ufali, chociaż-by i odprzysiągł się zdań swoich; ale aby go skazali, jako kacerza; bo gdyby wrócił do Czech, kraj ten, równie, jak Polska, byłby stracony dla Rzymu; aby więc nie zwlekali jego exekucyi, i okazali podobną surowość dla Hieronima z Pragi, najzdolniejszego i najgorliwszego ucznia Husa. Słowa te, które kardynałów bardzo uradowały, słyszeli szlachta czescy, towarzyszący Husowi w Konstancyi, i Piotr z Mladenowic, uczeń Husa, który go nie odstępując, był świadkiem jego sprawy i śmierci, i pozostawił tych wypadków opis, z którego niniejsze opowiadanie nasze po większéj części wyjęliśmy.

* *
*

Kiedy znikła wszelka nadzieja, aby Hus odwołał, sobór postanowił, że exekucya odbędzie się dnia 6 Lipca 1415. Zwołano na ten dzień wszystkich książąt i panów, tak duchownych, jak świeckich na Zgromadzenie ogólne, pod prezydencyą césarza, do katedry Konstancyjskiéj (1).

---

(1) Józef Łukaszewicz w powołaném wyżéj (na str. 452) dziele tak pisze o soborze Konstancyjskim (str. 11): „Od króla i duchowieństwa polskiego posłany nań został Andrzej Laskary z Gosławic, biskup Poznański, z kilku innymi duchownymi. Sprawa Husa na tym soborze roztrząsana, była tak

Tak zginął wielki reformator słowiański, który chociaż nie występował przeciw dogmatom Rzymu w taki sposób, jak reformatorowie XVI wieku, *położył zasadę fundamentalną protestantyzmu:* odwoływanie się w rzeczach religijnych wyłącznie do samego pisma świętego.

* *
*

Pomimo zakazu Husa, Hieronim z Pragi przybył do Konstancyi dnia 4 Kwietnia 1415 i dnia 7 przylepić kazał na drzwiach ratusza oraz na wszystkich drzwiach kościelnych prośbę w 3ch językach (łacińskim, niemieckim i czeskim) do soboru i do césarza, o list żelazny, aby mógł przyjaciela swego, Husa, wspiérać w jego procesie. Sobór odpowiedział, że Hieronima bronić gotów przeciw gwałtom; ale nie przeciw sprawiedliwości, i że przeciw niemu również proces wytoczony będzie. Ta odpowiedź sprawiła, iż się Hieronim z Konstancyi oddalił; ale blisko granicy czeskiéj przytrzymano go i przywieziono do Konstancyi, gdzie go wtrącono do więzienia i w ciężkie okuto kajdany. To srogie postępowanie, oraz trwoga o los przyjaciela i swój własny, wpędziły Hieronima w ciężką chorobę. W takim-to smutnym stanie, znękany cierpieniem, zgodził się w Wrześniu 1515

ważną dla wielu Polaków, że się nań w znacznéj liczbie udali. Na 5téj sessyi tego soboru wniósł Andrzéj Laskary z Gosławic, poseł polski, aby w sprawie Husa *osobna kommissya* ustanowioną była. To dowodzi, że on i koledzy jego, jeźli Husowi *widocznie* nie sprzyjali, to przynajmniéj umieli zachować umiarkowanie, dalekie od wszelkiego fanatyzmu religijnego. Ale inni Polacy, znajdujący się na ten czas w Konstancyi, uczynili dla Husa więcéj. Usiłowali oni ocalić go wszelkiemi sposoby, a gdy ich zabiegi w téj mierze były nadaremne, opuścili Konstancyą, wyrzucając na oczy podłość tym, którzy dane Husowi słowo złamali."

Wiadomo, iż w dniu (wyżéj wspomnionym) 6 Lipca 1415 Hus został, za miastem, na stosie żywcem spalony, i popioły jego do jeziora Bodeńskiego wrzucono. *(P. t.)*.

na odwołanie zdań swoich. Ojcowie mówili już o jego uwolnieniu. Ale duchowieństwo z Czech sprzeciwiło się. Oskarżono Hieronima, że błędy *Wickleff*'a rozsiał po Szląsku, Polsce, Litwie i Węgrzech, podczas podróży swoich do tych krajów. Hieronim bronił się na ogólném posiedzeniu soboru z dnia 26 Maja 1416. Ale kiedy od niego zażądano powtórnego odwołania, skreślił z całym urokiem krasomówstwa charakter przyjaciela swego Husa, ogłosił go niewinnym, bo prawie męczennikiem, a potém wystąpiwszy z gorzkiemi wyrzutami przeciw Niemcom, oskarżył ich, iż są najzapalczywszemi nieprzyjajciołmi Czechów; i że się sprzysięgli na jego zgubę, tak jak na zgubę Husa, ponieważ on i Hus przyczynili się do odjęcia im niesprawiedliwego przywileju w uniwersytecie Praskim; że więc teraz nie wzdrygają się przed żadnym krokiem, aby tylko zadość uczynić nienasyconéj zemście swojéj. Wreszcie oświadczył, iż zdania przyjaciela swego, Jana Husa, z całéj duszy podziela, i że gotów jest znieść za nie wszelkie męczarnie.

Wrażenie, jakie niespodziéwana ta mowa sprawiła na słuchaczach, łatwiéj można wyobrazić sobie, niż opisać. Hieronim z Pragi spalony został dnia 30 Maja 1416, na tém samém miejscu, gdzie Hus. Śród płomieni słyszano go śpiéwającego nabożną pieśń czeską.

* *
*

Na wiadomość o śmierci Husa, całe Czechy głębokim okryły się smutkiem, i powstało ogólne oburzenie. Czesi wszelkich stanów uważali śmierć Husa za obelgę wyrządzoną narodowi czeskiemu w człowieku najpopularniejszym w kraju. Uniwersytet Praski ogłosił manifest do całego chrześcijańskiego świata. Ukazały się różne pisma w tym samym przedmiocie. Bito medal na cześć Husa, i w kalendarzach umieszczono dzień 6 Lipca, jako poświęcony pa-

miątce śmierci jego. Bo też uważano go za męczennika religii i narodowości, którego nienawiść Niemców zgubiła za przywrócenie jego do ojczyzny. Liczba zwolenników jego tém bardziéj wzrastała; różne kościoły zaprowadziły u siebie wieczerzę Pańską dla wszystkich chlebem i winem, i nabożeństwo w języku czeskim. Zwolennicy Husa przybrali nazwisko Husytów. Ci z nich, którzy żądali *większych* reform, nazywali się Taborytami (1); ci, którzy *mniejszych*, Kalixtynami (2). Reformacya Husa upowszechniająca się pomiędzy wszystkiemi klassami narodu czeskiego, znalazła opór w duchowieństwie, oraz w różnych magnatach, i bogatych mieszczanach, osobliwie tych, którzy byli pochodzenia niemieckiego. Cały lud wiejski był za reformacyą.

* *
*

Jan Trocnowski znany jest pod nazwiskiem: Żiżka (jedno-oki) (3). Talenta jego wojskowe i dzika energia *niémają może w nowszéj historyi nic równego.* Żiżka, szlachcic czeski, urodził się ku końcu wieku XIV w Trocnowie (4), dziedzicznéj wsi ojca swego. Był paziem césarza Karola IV, a poświęciwszy się potém sztuce wojennéj, służył długo w wojsku polskiém, i tam się odznaczał w wielu sposobnościach, osobliwie w owéj bitwie pod Gierzwałdem i Stembarkiem roku 1410, w któréj krzyżacy niemieccy na głowę pobici zostali. Wróciwszy do kraju, Żiżka został szambelanem kró-

---

(1) Tabor, miasto wówczas warowne, założone przez Żiżkę, w środku Czech południowych. *(P. t.).*

(2) *Calix* po łacinie, po polsku: kielich. Był on godłem *wszystkich* Husytów. Ale ci, którzy głównie na tém poprzestawali, aby tylko, obyczajem piérwotnych chrześcijan, wieczerza Pańska udzielaną była wszystkim tak chlebem, jak winem *(sub utraque specie)*, nosili nazwisko Kalixtynów albo *Utraqu'*istów. *(P. t.).*

(3) Mylnie piszą cudzoziemcy: *Ziska, Zischka, Zizka*, Żyszka. *(P. t.).*

(4) Na wschód od Budiejowic *(Budweis)*, w Czechach wschodnio-południowych. *(P. t.).*

la Wacława. Nie był już młodym, kiedy Husa w Konstancyi spalono. Wiadomość o tém zrobiła na umyśle Żiżki silne wrażenie: dworak lekkich obyczajów, zapomniał nagle w rozkoszach biesiad wesołych. Widziano go samotnie, z rękami założonemi, w głębokiém zamyśleniu, błądzącego po długich korytarzach zamku królewskiego. Król zastawszy raz swego szambelana w tém dziwném usposobieniu, rzekł do niego: „Janku! cóż ci to?“ — „Nie mogę“ odpowiedział Żiżka „znieść zniewagi, któréj Czechy doznały w Konstancyi przez śmierć Jana Husa.“ Król odpowiedział: „Ani ty, ani ja, nie jesteśmy w stanie odpłacić się za tę zniewagę; ale gdybyś do tego miał środki, upoważniłbym cię do użycia ich.“ Żiżka chciwie chwycił się téj myśli. Król Wacław nie miał dzieci, któreby po nim na tron wstąpiły; nie cierpiał brata swego, césarza Zygmunta, a sposób jego myślenia można wyrazić słowami: „Po mojéj śmierci, mniejsza, choćby był i potop świata.“

* *
*

Posiedzenia soboru Konstancyjskiego skończyły się dnia 22 kwietnia 1418. Nowy papież Marcin V wysłał do Czech, jako legata, Kardynała *Dominici* z Raguzy. Ten przybywszy do Czech, kazał w miasteczku Slanem, spalić dwóch Husytów (1). Czyn ten sprawił w całym kraju oburzenie tak silne i powszechne, że kardynał Czechy opuścił. Wacław wydał rozkaz, aby Prażanie broń oddali (t. j. aby byli rozbrojeni). Żiżka na czele mieszczan przybył do króla i rzekł: „N. Panie, zażądałeś od nas broni; oto stajemy

---

(1) Slane, po niem. *Schlan*, kilka mil na zachód od Pragi. — W Pradze spalony został Wacław Hochta, obywatel tameczny; w Wrocławiu dnia 14 Marca 1420 Jan Krasa, kupiec Praski, i t. d. Roku 1421 wrzucono mnóstwo Taborytów w opuszczone szyby Kutnych Hor (Kuttenbergu). Prześladowanie rozpoczęło się w całym kraju. *(P. t.)*.

wszyscy uzbrojeni na twoje usługi; wskaż nam nieprzyjaciela, przeciw któremu broni użyć mamy.“ To dowcipne znalezienie się podobało się królowi. Pochwalił postępek mieszczan Praskich i pożegnał się z nimi jak najgrzeczniéj. Odtąd wszyscy przekonali się, jak wielkie względy Żiżka ma u dworu, i wpływ jego na lud nader się powiększył. Połączył się wtedy Żiżka z Mikołajem z Husinca, bogatym obywatelem, z którego posiadłości Hus był rodem, i który był gorliwym jego zwolennikiem. Wybrał też Żiżka w górach silne stanowisko, które nazwał Taborem, i które bardzo zręcznie obwarował.

* * *

Piérwsze zetknięcie się miało miejsce r. 1419. Około 400 Husytów, mężczyzn i kobiét, którzy szli z miasteczka Austi na zgromadzenie nabożne do Pragi, zostali koło Knina (1) przez oddział wojska césarskiego napadnięci i pobici; ale zbrojni mieszczanie miasta Knina i innych, śpieszący pielgrzymom na pomoc, tak dobrze się bronili, że *Sternberg*, dowódzca césarskich, zmuszony został cofnąć się do Hor Kutnych (Kuttenberg). Okazuje się więc, że Husyci nie byli piérwszymi sprawcami strasznej wojny, która w skutku tego wypadku nastąpiła. Po tém zwycięstwie przepędzili dzień na na tém miejscu, gdzie pielgrzymi z Aust napadnięci zostali: pochowali umarłych, duchowni ich odprawili nabożeństwo, i wszyscy ruszyli potém ku Pradze. Żiżka ogłosił odezwę, na któréj się podpisał „Żiżka, z kielicha (2), pełen ufności w Bogu, Naczelnik Taborytów,“ i stanął na czele włościan, którzy ze wszystkich stron kraju zbiegali się pod jego chorągwie. Króla Wacława tak mocno wypadki te dotknęły, że umarł w skutek apoplexyi. — Żiżka stracił przy oblężeniu miasteczka

(1) 5 mil na południe od Pragi. *(P. t.)*.

(2) Tyle, co: Husyta. Ob. na str. 461, notkę (2). *(P. t.)*.

Rabi (1) jedyne oko, które mu pozostawało; lecz właśnie po tym wypadku, który go zupełnie wźroku pozbawił, rozwinął nadzwyczajne, najbardziéj zdumiewające talenta wojskowe. Césarz Zygmunt ruszył przeciw Pradze z armią liczącą więcéj, niż 100,000 ludzi. Jednak olbrzymie to wojsko zostało pobite przez Husytów, pomimo, iż ci musieli walczyć nie tylko przeciw oblegającym; ale oraz z załogą zamku Praskiego. Drugi napad na Pragę, który césarz w tym samym roku (1420) uczynił, nie odniósł innego skutku. — Pochód Husytów odbywał się zwykle w tym porządku, że naprzód szli ich duchowni, niosący kielichy, czasem i drewniane, gdyż często udzielali wszystkim wieczerzę Pańską, używając do niéj i chleba i wina. Za duchownymi szli wojownicy śpiéwając w marszu psalmy. Na końcu postępowały kobiéty, których obowiązkiem było: pomagać przy sypaniu szańców, i pielęgnować rannych.

* *
*

Sejm czeski zebrał się w mieście Czaslawic (2). Niektórzy chcieli zachować tron dla Zygmunta. Prażanie, mieszczanie innych miast i wielka liczba włościan Kalixtynów, pragnęli innego króla; Taboryci zaś i Żiżka na ich czele, nie życzyli sobie wcale żadnego monarchy. Prażanie i ich zwolennicy podali wniosek ofiarowania korony czeskiéj królowi polskiemu, a potrzeba bronienia się przeciw Zygmuntowi, który rozrządzał siłami i Węgier i Niemiec, skłoniła wszystkich Husytów do zgody i zjednoczenia się, aby sobie zapewnić pomoc sąsiedniego narodu. Posłowie wybrani ze wszystkich stronnictw, a pomiędzy nimi i Anglik Piotr *Payne*, jako delegowany Taborytów, wysyłani byli kilkakrotnie do Polski.

---

(1) W Czechach południowo-zachodnich. *(P. t.)*.

(2) Między Pragą a Ołomuńcem. *(P. t.)*.

Polska.

Władysław Jagiełło, W. Książę litewski, przyjął był chrzest święty w czasie ślubu swego z Jadwigą, królową polską, r. 1386. Był teraz już w podeszłym wieku, a charakteru wahającego się. Czesi ofiarowali mu koronę pod warunkiem, aby przyjął 4 artykuły, uchwalone przez sejm w Czasławie, i wspierali swój wniosek silném rozumowaniem. Odwołali się do wspólności rodu i do podobieństwa języka, które ich łączą z Polakami; przedstawili ogromne korzyści, któreby spłynęły dla obu krajów z zjednoczenia dwóch koron na jednéj głowie; a mianowicie, iżby tym sposobem utworzyło się silne państwo słowiańskie, rozciągające się od Elby do Morza Czarnego i aż do Kaługi (1). Upatrywali w tém zjednoczeniu jeszcze i tę korzyść, że się położy skuteczna tama nienawiści niemieckiéj, która trapi Polskę, szcze-

---

(1) Granice Litwy, zjednoczonéj z Polską po wstąpieniu Jagiełły na tron polski, rozciągały się w XV wieku, na wschód aż do rzeki Ugry, nie daleko Kaługi, i obejmowały miasto Wiazmę. Ku południowi granica ta sięgała Morza Czarnego, pomiędzy ujściem Dniepru i Dniestru. *(Przyp. autora).*

Prócz tego, zaledwie Jagiełło osiadł na tronie polskim, uciekła się pod skrzydła Polski i Litwy sąsiednia Wołoszczyzna. Święcki w tak szacownym „Opisie starożytnéj Polski,“ (Warszawa, 1816, w tomie II, na str. 282) tak o tém wspomina: „Posuwanie się oręża tureckiego do Europy, a szczególniéj przejście Hellespontu przez Amurata Sułtana i pomyślny jego postęp, skłoniły Piotra, wojewodę wołoskiego, iż zapomniawszy urazy do Polaków wsparcia od nich szukać zaczął, i w roku 1386 we Lwowie przed królem Władysławem Jagiełłą hołd poddańczy wraz z bojarami swemi złożył. Po śmierci Piotra synowie jego, Alexander i Roman, hołd temuż królowi wraz z bojarami swemi złożyli, i stawić się na wszelkich wojnach z pomocą obowiązali się. Trwali ci rządcy w posłuszeństwie i wierności dla królów polskich, a gdy Władysław Jagiełło zjechał do Sniatyna, przybył tam do niego Alexander, wojewoda wołoski z bojarami swemi, gdzie osobiście, zwyczajem owych wieków, chorągiew pod nogi królewskie składając, hołd powtórzył, i upominki bogate złożył królowi.“ *(P. t.).*

gólniéj ze strony zakonu krzyżaków niemieckich, wspiéranych ciągle przez césarzów. Posłowie czescy przyjęci zostali z największą uprzejmością; ale król wahał się, co ma uczynić. Przełożenia Czechów były zbyt korzystnemi, aby je do razu odrzucić; lecz były i wielkie trudności w przyjęciu ich. Duchowieństwo bowiem, którego wpływ w senacie był wielki, sprzeciwiało się, a myśl postawienia się na czele reformacyi, przestraszyła starego monarchę, chociaż wcale nie był nabożnisiem. Nakoniec odpowiedział, że względem tak ważnego przedmiotu naradzić się musi z bratem swoim, Witoldem, W. Księciem Litewkim. Wysłał więc do niego posłów w towarzystwie dwóch członków poselstwa czeskiego. Reszta tych członków, która w Polsce pozostała, przyjmowaną była nader uprzejmie; atoli wyznaczono im mieszkanie oddzielne; albowiem władza kościelna, zagroziła interdyktem każdemu miastu, któreby w swych murach Husytów przenocowało.

* *

*

Witold był charakteru zupełnie od Jagiełły przeciwnego. Śmiały, dumny, szybki w przedsięwzięciach, nie miał najmniejszéj chęci zaniechać powiększenie państwa dla odcieni religijnych, których, jak sam otwarcie przyznawał, wcale nie rozumiał. Chociaż Litwą rządził tylko w imieniu Jagiełły, przecież panował w niéj zupełnie nieograniczenie, i działał zupełnie niepodlegle tak co do stósunków wewnętrznych, jak i zewnętrznych kraju. Pomimo podeszłego wieku byłby bez najmniejszéj wątpliwości przyjął koronę, którą wtedy posłowie husyccy i jemu ofiarowali, gdyby odległość Litwy od Czech nie była stanowiła przeszkody w przedsięwzięciu potrzebnych środków ku zapewnieniu sobie posiadania kraju tego. Byłby to uczynił tém chętniéj, że większa część jego poddanych, należała nie do kościoła rzymskiego; ale do greckiego.

Zdaje się, iż Witold odradził Jagielle przyjęcie korony mu ofiarowanéj, z powodu trudności, jakieby spotkał w duchowieństwie rzymsko-katolickiém. Wszelako postanowili nie opuszczać Czechów, i posłali im na pomoc Zygmunta Korybuta, bratańca królewskiego, z 5,000 jazdy i znaczną summą pieniężną.

* * *

Korybut przybył do Pragi na czele swoich wojowników, i został z wielką radością przyjęty. Wojsko, które przywiódł, nie było liczne; ale w czasach, kiedy jeszcze nie znano wojsk stałych, mogło być uważane za dosyć znaczne, a zresztą dawało sprawie Husytów wielką podporę moralną. Byli oni do ówczas celem ogólnéj nienawiści ze strony niemieckich i węgierskich swych sąsiadów, którym ich przedstawiano jako „nieprzyjaciół Boskich.“ Ten więc dowód życzliwości, dany im przez potężny pobratymczy naród, którego monarcha, chociaż katolik, prawa ich uznawał, napełniał ich nadzieją, że sprawa ich stanie się nareszcie sprawą jego własną. Jakoż rzeczywiście Polacy byli wówczas jedynym narodem, skłonnym do wspiérania Husytów przeciw siłom zjednoczonym Rzymu i Niemiec; ponieważ znaczna liczba wojowników polskich, jeszcze nawet przed przybyciem Korybuta, pośpieszyła stanąć pod chorągwiami Žižki, swego dawnego towarzysza broni (1).

(1) „Nie chcieli Czesi po śmierci Wacława, chytrego césarza Zygmunta przyjąć za króla, a ujęci łagodnością rządu polskiego, zupełną u nas dla zdań religijnych tolerancyą, ofiarowali czeskie berło Władysławowi Jagielle. Nie było dogodniejszéj chwili pomszczenia się na Zygmuncie za tylokrotne wiary złamanie, a co więcéj połączenia pod jedno berło dwóch bratnich narodów. Nie uderzyły tak wielkie korzyści niewyniosłego Jagiełły umysłu: wrodzone w nim poleganie na radzie drugich, zabiegi Zygmunta, bojaźń Polaków, by połączenie dwóch państw pod jednę koronę nie powróciło nieszczęść, za króla

Czechy.

Silne stronnictwo pragnęło Korybuta obwołać królem czeskim; ale książę ten nie posiadał talentów, potrzebnych człowiekowi, któryby się mógł utrzymać na czele kraju tak wzburzonego, jakim wtedy były Czechy. Wkrótce po przybyciu Korybuta, liczna armia niemiecka do Czech wtargnęła. Ale znowu została zupełnie pobitą. Żiżka, który wszędzie i zawsze gromił wojsko cesarskie, nie zgodził się na to, aby Korybutowi ofiarować koronę. To dało powód do nieporozumienia pomiędzy nim a miastami. Przyszło do krwawéj rozprawy, i Żiżka szedł już na zdobycie Pragi; ale żołnierze jego nie mieli wcale ochoty strzélać na swą stolicę: poje-

---

Ludwika doznanych, nienawiść duchowieństwa przeciw Husytom, sprawiły, iż podziękowano posłom za ich ofiarę, z przyrzeczeniem łożenia starań, by Czechów z Zygmuntem pogodzić. Śmielszy Witold wysłał Zygmunta Korybuta, synowca królewskiego, by czeską objął koronę." *(J. U. N.)*

Łukaszewicz w dziele wyżéj (na str. 452) powołaném, tak pisze (str. 11): „Śmierć Husa i Hieronima z Pragi nie zapobiegła bynajmniéj szerzeniu się ich nauki w Polsce. Dowiedziawszy się o tém Marcin V, papież, wydał *Breve* do arcybiskupa gnieźnieńskiego, biskupów poznańskiego, krakowskiego i płockiego (r. 1422)... Duchowieństwo polskie wymogło na Władysławie Jagielle surową ustawę przeciw Husytom i im sprzyjającym, wydaną w Wieluniu 1424 roku... Nie zapomniało także duchowieństwo o wznowieniu inkwizycyi świętéj. Z tém wszystkiém nauka Husa tak już była rozgałęziona w Polsce; z tylu stron do niéj wpływała, i tyle okoliczności jéj wzrostowi sprzyjało, że zabiegi duchowieństwa polskiego pomyślny skutek uwieńczyć nie mógł. Wśród tych okoliczności, ułatwiających szerzenie się Husytyzmu w Polsce, powstały kłótnie pomiędzy arcybiskupem gnieźnieńskim a Wielkopolanami o dziesięciny z nowin (1334 r.). Kłótnie te zagodzone wprawdzie zostały na zjeździe w Piotrkowie 1335 r.; ale zostawiły głęboko utkwioną niechęć stanu świeckiego ku duchownym, którą stronnicy Husytyzmu podżegać nie zaniedbali. Ci ostatni pomnażali się w Polsce z dniem każdym. Wzrostowi ich takowemu sprzyjały nadewszystko ówczesne stosunki polityczne Polski." *(P. t.)*.

dnano się więc. Żiżka wjechał do Pragi, jako swój, i uznał Korybuta Regentem Czech. Poczém obadwaj udali się razem ku Morawii, któréj część obsadzona była przez cesarskich; gdy wtém Żiżka tknięty morowém powietrzem, umarł dnia 11 Października 1424, niedaleko miasta Przibislawa (1).

* *
*

Nie mogę opisać szczegółowo ani bitew, które ten nadzwyczajny człowiek stoczył, ani dowodów odwagi i zdolności wojskowéj, jakie rozwinął w okolicznościach najtrudniejszych, a to wszystko pomimo zupełnéj swojéj ślepoty. Jeden z głównych jego nieprzyjaciół, uważa go jednak za największego generała, jaki kiedykolwiek żył na świecie; ponieważ pomimo utraty wzroku, wygrał liczne bitwy, a nie przegrał ani jednéj, i nauczył sztuki wojennéj chłopów, którzy do ówczas nigdy jeszcze broni nie nosili. Współczesny pisarz, *Aeneas Sylvius*, wykłada nam całą nową taktykę, którą Żiżka wynalazł, i która zasadzała się na wystawieniu przeciw nstarciu ciężkiéj kawaleryi niemieckiéj, muru ruchomego, złożonego z wozów; taktykę, przez którą Czesi odnieśli nie jedno zwycięstwo, nie tylko pod jego dowództwem; ale jeszcze i po jego śmierci. Tego sposobu obrony używali często Polacy, którzy zapewnie przejęli go od Tatarów. Zdaje się być prawdopodobném, że Żiżka, który długo służył był w Polsce, tam się nauczył użytku tego przyrządu wojennego. Wielki ten wojownik zostawił także po sobie kodex wojskowy.

O ile Żiżka był srogim dla nieprzyjaciół, o tyle był dobrym dla swych żołnierzy, których nazywał swoimi braćmi, i którzy do niego udawali się, jak do brata. Dzielił pomiędzy nich wszelką zdobycz, która często była bardzo znaczna. Jeszcze będąc młodym, stracił był oko przypadkiem, w grze

(1) W Czechach, na północ od morawskiéj Igławy (*Iglau*). (*P. t.*).

z kolegami. Kiedy na wojnie utracił i drugie, kazał się zawsze nosić lub wieść na wozie przy głównej chorągwi armii swojéj. Położenie miejsca, siły i stanowisko nieprzyjaciela opisywali mu officerowie, których-byśmy nazwali dziś adjutantami (1). Wówczas, stósownie do tych objaśnień, wydawał rozkazy, i potrzeba się dziwić, iż pomimo tak wielkiego kalectwa, wykonywał najzręczniejsze ruchy strategiczne i w miejscowościach najtrudniejszych, z szybkością i ze skutkiem, *które niémają przykładu w historyi wojen nowoczesnych.* Podług portretu miał być Žižka wzrostu średniego, silnie zbudowanym, piersi i barki miał szerokie, głowę okrągłą, nos orli. Nosił się po polsku; wąs starannie był utrzymywany, głowa golona z pozostawieniem czuba ciemnych włosów, zupełnie według sposobu używanego w Polsce, gdzie, jak już mówiłem, służył był w wojsku przez lat kilka. Žižka pochowany jest w katedrze miasta Czasława, gdzie mu wzniesiono pomnik marmurowy z jego wizerunkiem i wierszami łacińskiemi. Że Žižka, stósownie do nauki Husa, uważał używanie nie tylko chleba; ale i wina za istotnie do wieczerzy Pańskiéj dla wszystkich potrzebne, okazuje się z tego, iż przyjął kielich za godło swe, że go kazał wyobrażać na swych chorągwiach, i że podpisywał się zawsze ze wzmianką o kielichu, wyrazami: „Bratr Jan, z kalicha.“ (Brat Jan, z kielicha).

* *

*

Wojsko Žižki rozdzieliło się po jego śmierci na 3 części. Jedni zachowali nazwisko Taborytów i obrali sobie wodzem Prokopa. Drudzy wybrali sobie innego wodza i od góry Horeb, gdzie się po raz pierwszy zgromadzili, nazwali się Orebitami. Trzeci oświadczyli, iż żaden człowiek na świe-

(1) Nikt pewnie od Žižki nie znał lepiéj miejscowości całego kraju (*P. t.*).

cie nie jest w stanie zastąpić im Żiżki, i przybrali nazwisko „Sierot“ (po czesku: Sirotci). Ale kiedy potrzeba było bronić kraju, wszyscy Husyci zawsze się łączyli.

Prokop nie jest tak slawnym jak Żiżka, a przecież zasługuje w historyi, według mego zdania, na jeszcze wyższe miejsce, niż ten straszny, ociemniały wojownik. Równy swemu poprzednikowi w odwadze i umiejętności sztuki wojennéj, zajmował Prokop oprócz tego, znakomite miejsce w świecie uczonym; ale co go stawia daleko wyżéj po nad Żiżkę, oto: iż Żiżka miał na celu głównie zemstę, i jeszcze na łożu śmiertelném polecał ją Prokopowi (1); Prokop zaś, chociaż ciągle zwycięski, dążył zawsze do przywrócenia pokoju w swojéj ojczyznie.

Prokop był synem podupadłego szlachcica. Adoptował go wuj, który mu dał naukowe wychowanie, i wysłał do Włoch, Francyi, Hiszpanii i Palestyny. Kiedy wrócił, wuj skłonił go, jak mówią, do wstąpienia do stanu duchownego. Z tąd pochodzi jego przezwisko Holy (z głową wygoloną). Kiedy wybuchła wojna husycka wstąpił do wojska i przywiązał się do Żiżki. Zwycięstwa Prokopa wkrótce zjedały mu imię Wielkiego.

* *
*

Przedstawienia papieża i starania duchowieństwa sprawiły, że król polski odwołał bratańca swego z Czech (2). Ale Korybut wkrótce wrócił znów do Pragi, gdzie miał silne

(1) Ostatnia wola Żiżki miała być: aby gdy umrze, skórę z niego zdarto i na bęben rozpięto; a gdy na bębnie tym zabębnią, aby co żyje krwi czeskiéj, ruszyło do boju. (Zapewne tu mowa o skórze łosiowéj, którą ówcześni wojownicy zawsze na sobie pod zbroją nosili.) *(P. t).*

(2) Césarz Zygmunt, zwabiwszy Jagiełłę do Kiesmarku, obłudą i fałszywemi obietnicami tylo na łatwowiernym wymógł monarsze, iż synowca z Czech odwołał *(J. U. N.)*

stronnictwo. Aby dowieść, że brataniec działa wbrew woli królewskiéj, król wysłał 5,000 wojska na pomoc césarskim; ale ci obawiając się, aby Polacy, zamiast bić się z Husytami, z nimi się nie połączyli, odesłali wojsko to do Polski, nim jeszcze na miejsce przeznaczenia przybyło.

Niemcy zebrali armią około 100,000 ludzi i wkroczyli do Czech. Husyci wszelkich odcieni połączyli się dla odparcia niebezpieczeństwa. Prokop Wielki dowodził Taborytami i Siérotami, Korybut Kalixtynami. Pod Austiem (1) na granicy krajów słowiańskich i niemieckich, spotkały się dwie armie, reprezentujące nietylko dwie religie, ale oraz dwie narodowości sobie nieprzyjaźne. Czechom dopomagały oddziały Polaków. Było to dnia 16 Czerwca 1426. Czesi odnieśli najświetniejsze zwycięstwo, zyskali przezwisko *niezwyciężonych*, i wkroczyli potém do Austryi i do innych prowincyj césarskich.

* *
*

Wkrótce potém Kalixtynowie odebrali Korybutowi Regencyą królestwa (2), i nawet go w Pradze do wieży zamknęli. Ale go uwolnili Taboryci i Siéroty, z których pełnomocnikami udał się do Krakowa, aby stryja swego, króla polskiego, skłonić do ujęcia się za Husytami. Delegowani mieli względem różnych punktów religijnych publiczne dysputy z teologami uniwersytetu krakowskiego; ale biskup krakowski nakazał, aby wszelkie nabożeństwo w Krakowie było wstrzymane, dopóki różnowiercy bawić będą w murach miasta, co tak rozgniéwało Korybuta, że w obec stryja groził biskupowi zemstą swoją.

Korybut pozostał, jak się zdaje, w Polsce; ale odwiedził znów Czechy roku 1430 i przyłączył się do Siérot, z które-

(1) Austi, po niem: *Aussig*, nad Elbą, na wschód od Teplic. *(P. t.)*.

(2) Widząc, że podziela zdania religijne Taborytów. *(P. t.)*.

mi odbył kilka wypraw do Szląska i Luzacyi. Nareszcie wrócił do Polski, i od niego pochodzi rodzina książęca Wiszniowieckich, z któréj książę Michał, obrany był roku 1669 królem polskim.

* * *

Papież, straciwszy nadzieję, aby w Niemczech znaleść wodza zdolnego do zbicia Husytów, zwrócił wźrok swój na Anglią, i wybrał Henryka *Beaufort*, sławnego biskupa z *Winchester*, kardynała. Biskup ten (z domu *Plantagenet*) ogłosił krucyatę przeciw Czechom. Od czasu okrzyku: „Bóg tego chce!“, którym 3 wieki wprzódy zabrzmiał *Clermont*, żadna może odezwa większego skutku w Niemczech nie odniosła. Cały kraj niemiecki powstał na głos kardynała. Tłumy uzbrojone z nad brzegów Renu i z nad Elby, bogaci mieszczanie miast anzeatyckich, i śmiali górale z Alp, wszyscy zbiegli się, aby stanąć pod chorągwią kościoła wojującego, rozwiniętą przez swego obrońcę angielskiego. *Beaufort* ujrzał się wkrótce na czele wojska liczącego, według pisarzy współczesnych, do 90,000 jazdy i prawie tyleż piechoty. Olbrzymia ta armia, którą pod naczelném dowództwem kardynała dowodziło 3 książąt Elektorów, wkroczyła do Czech w Czerwcu 1427.

Siły połączone Czechów, którémi dowodził Prokop, nie wyrównywały w liczbie nieprzyjacielowi, który zaczął od oblężenia miasta Strzibra (1). Wyruszyli przeciw nim Husyci; lecz zaledwie stanęli nad rzeczką Mies, odzielającą ich od wojska niemieckiego, sam widok Husytów taki rzucił postrach na nieprzyjaciela, iż cała armia niemiecka, nawet nie biwszy się, uciekła. Nadaremnie *Beaufort* usiłował wstrzymać uciekających; Czesi poszli w pogoń za nieprzyjacielem, i nie poniosłszy sami wcale żadnéj straty, jednych zabili, drugich

(1) Po niem. *Mies*, między Maryenbadem a Pilznią *(Pilsen)*.

w niewolą pojmali. Papież upominał kardynała, aby powtórnie wyprawę przeciw Czechom przedsięwziął. Ale wojowniczy prałat angielski zupełnie wszelką chęć do tego utracił. Nastąpiło zawieszenie broni.

* * *

Césarz Zygmunt usiłował na nowo pozyskać przez układy to, czego nie miał nadziei otrzymać siłą broni. Wysłał r. 1428 posłów do Taborytów i Siérot. Nawzajem Prokop udał się osobiście do Austryi, aby się porozumiéć z samym césarzem i przybył na dwór césarski; ale césarz niechciał w niczém ustąpić. Roku 1429 po sejmie w Pradze rozpoczęły się układy, i césarz zwołał sejm do Presburga; dokąd udała się deputacya czeska, mająca Prokopa na czele. Ale projekt układów został przez sejm Praski odrzucony, i Husyci wszelkich stronnictw przyjęli z zapałem wniosek Prokopa wpadnięcia do Niemiec.

Prokop wkroczył do kraju tego i niszczył Saxonią aż do bram Magdeburga, potém Brandenburg i Luzacyą, i wrócił do Czech z ogromną zdobyczą. W następnym roku 1430 zebrał na równinach Bily Hory (pod Pragą) armią z 52.000 piechoty, 20,000 jazdy i 3,000 wozów, każdy ciągniony przez 12 do 14 koni. Na czele téj armii niszczył Saxonią i Frankonią aż do brzegów Menu. Około 100 miast lub zamków zamieniono w gruzy, a wozy wyprawy nie mogły objąć całéj zdobyczy. Oprócz tego zebrali Czesi znaczne summy pieniężne, któremi się im opłacali książęta, biskupi i miasta, aby się ocalić od zniszczenia.

Te straszliwe najazdy Husytów rzuciły postrach na Rzym i Niemcy. Papież kazał swemu legatowi, sławnemu kardynałowi Julianowi *Cesarini*, ogłosić krucyatę przeciw różnowiercom. Bulla ogłoszona z tego powodu udzielała zupełny odpust wszystkim, którzy wezmą krzyż, i tym, którzyby żoł-

nierzy swoim kosztem wysłali. Opuszczała 60 dni czyśca tym, którzy się będą modlić i pościć za pomyślność wyprawy. Wszyscy, którzy uczynili byli ślub pielgrzymki do Rzymu albo do *Compostell'*i, zostali od ślubu tego zwolnieni, byle pieniądze, któreby byli wydali na pielgrzymkę, ofiarowali na koszta krucyaty. Ponętę tych korzyści duchowych powiększała nadzieja opanowania olbrzymiéj zdobyczy, które niepomyślne napady niemieckie na Czechy, w kraju tym pozostawiły, lub które Czesi z wypraw swoich do Niemiec zgromadzili. Krucyata więc przeciw Czechom dawała Niemcom wszystkich stanów, od księcia aż do żebraka wyborną sposobność pozbycia się nędzy tak duchowéj, jak materyalnéj. Użyto jeszcze innéj dźwigni dla wzbudzenia zapału. Plama, którą zwycięstwa Czechów rzuciły na naród niemiecki, wymagała, aby ją starto; i wszystkie serca szlachetne Niemiec pragnęły widzieć przywróconą dawną sławę oręża niemieckiego.

* *
*

Armia pod rozkazami *Cesarini*'ego wynosiła 90,000 piechoty i 40,000 jazdy. Wkroczyła do Czech przez „Las czeski,“ i obległa miasto Domażlice (1). Ale skoro jéj tylko ukazał się Prokop na czele swych Taborytów i Siérot, rozpierzchła się. Zebrała się znowu pod *Riesenberg*. W tém wojsko *Cesarini*'ego dowiaduje się, że Husyci nie są bynajmniéj pomiędzy sobą w niezgodzie; ale przeciwnie, łączą się ze wszystkich stron przeciw nieprzyjacielowi. Nagle więc, na księcia Bawarskiego i na elektora Brandenburskiego a potém i na całą armią taki strach pada, że jedynym człowiekiem, który na miejscu pozostał, był sam kardynał. Zajął on na nowo warownię *Riesenberg*; ale zaledwie jego krzyżacy ujrzeli Husytów, taki ich znowu przestrach ogarnął, że już *Ce-*

(1) Po niem. Tauss; między Pilznią a granicą Bawarską. *(P. t.)*

sarini nie mógł ich wstrzymać, i musiał razem z niemi ucieczką się ratować. Dziejopisarze donoszą, iż 11,000 Niemców zginęło w tym odwrocie, a tylko 700 wzięto w niewolą. 240 wozów, z których niektóre napełnione były złotem i śrebrem, a inne wybornem winem, wpadły w ręce Czechów, którzy też zabrali artylleryą z 50 armat złożoną. *Cesarini* utracił w téj klęsce nawet swój ubiór i kapelusz kardynalski, krzyż, dzwonek, i bullę papieską, ogłaszającą krucyatę.

* *
*

Nieszczęśliwy koniec krucyaty *Cesarini*'ego zapobiegł wszelkim dalszym napadom na Czechy; ale Taboryci i Siéroty czynili ciągle wyprawy do prowincyj césarskich, i obadwaj Prokopowie (1) wkraczali do Węgier. Tedy césarz i sobór, zebrany wówczas w Bazylei, postanowili ustąpić. Césarz i kardynał *Cesarini* pisali do Husytów listy w wyrazach najczulszych, z zaproszeniem, aby przybyli do Bazylei, zapewniając im wolność odbywania nabożeństwa, według swych obrządków, przez cały czas pobytu ich w tém mieście. Husyci przyjęli zaproszenie i wysłali do Bazylei deputacyą złożoną z duchownych wszystkich mniemań swoich, a wybranych przez rektora uniwersytetu Praskiego. Mianowano oraz kilku delegowanych świeckich, na których czele stanął sam Prokop Wielki.

Towarzyszył im poseł polski, i ten nowy dowód życzliwości narodu bratniego, wynikający bez wątpienia z poselstw husyckich do Polski roku 1431 i 1432, umiał Prokop należycie ocenić. Deputacya czeska, złożona z 300 osób, wjechała do Bazylei dnia 6 stycznia 1433, i żądała przyzwolenia na (wyżéj wspomnione) 4 artykuły sejmu Czaslawskiego.

(1) Oprócz Prokopa Wielkiego, walczył w szeregach Husytów inny jeszcze Prokop, jeden z dowódców Siérot, zwany Prokopem Małym albo Prokopkiem. *(P. t.)*.

Pierwszy, tyczący się swobodnego opowiadania ewangelii (w Czechach i Morawii), broniony był przez husyckiego księdza Ulryka Znojemskiego; drugiego, tyczącego się używania przy wieczerzy Pańskiéj chleba i wina dla wszystkich, bronił Jan z Rokycan; trzeci, pozbawiający duchowieństwa wszelkiego bogactwa, wyłuszczał Anglik Piotr *Payne*, a obrońcą czwartego: żeby zbrodnie karane były bez żadnego względu na osoby (duchowne), był ksiądz Mikołaj Pelhrzimowsky. Kardynał *Cesarini* należał także czasem do tych rozpraw, i znalazł w ogóle przeciwnika w Prokopie, który przy téj sposobności tak zręcznie i skutecznie walczył słowem, jak wprzódy orężem.

Po 3 miesiącach pobytu w Bazylei delegowani husyccy znużeni, opuścili sobór i wrócili do Czech, nie dopiąwszy celu swego poselstwa. Sobór wysłał posłów do Pragi, aby tam na nowo rozpocząć układy, które w Bazylei spełzły na niczém. Zebrał się sejm w Pradze. Układy, jakie rozpoczął z delegowanemi soboru miały ten skutek, że Kalixtyni (1), do których należała wyższa szlachta i główniejsze miasta zgodzili się na przyjęcie 4 artykułów zmienionych, czyli, jak się wyrażano, *wytłumaczonych* przez sobór, który je uroczyście potwierdził, pod nazwiskiem *compactata*. Po ich przyjęciu uznano césarza Zygmunta krolem czeskim. Traktat zawarli Kalixtyni z soborem Bazylejskim i z césarzem.

Taboryci zaś, Orebici i Siéroty, wszyscy połączeni pod Prokopem, oświadczyli się przeciw tym *compactat*'om. Delegowani soboru usiłowali pobudzić stronników *compactat*'ów przeciw Taborytom i ich sprzymierzeńcom. Związek szlachty Kalixtyńskiéj z katolikami opanował łatwo Stare Miasto w Pradze, bo mieszkańcy podzielali ich zdanie, i dnia 6 Maja 1434 wyparował z Nowego Miasta (Pragi) Taborytów,

(1) Ob. wyżéj na str. 461.

którémi dowodził Prokop Mały i Kerzsky. Ci ostatni udali się do obozu Prokopa Wielkiego.

Ten na czele 36,000 wojska udał się w pochód ku Pradze, aby Nowe Miasto napowrót odebrać; ale Związek stawił naprzeciw niemu siły nierównie większe od jego, i wzmocnił się nawet kilku dawniejszemi jego sprzymierzeńcami. Obustronne wojska spotkały się na równinie, Lipan, między Czeskim Brodem *(Boehmisch Brod)* a Kaurzimem, 4 mile a wschód Pragi. Tu Czapek zdradził Prokopa, i z swoją jazdą opuścił pole bitwy. Prokop, na czele najlepszych wojsk swoich rzucił się na nieprzyjaciela. Długo ważyło się zwycięstwo. Nareszcie przemogła liczba. Prokop padł, i został zabity. Zginął téż i Prokop Mały, walczący dzielnie przy boku piérwszego.

Taki był koniec wielkiego wodza czeskiego, którego samo imię napełniało nieprzyjaciela przestrachem. *Aeneas Sylvius*, (późniejszy papież Pius II) pisze o nim, iż „padł raczéj znużony zwycięstwami, niż zwyciężony.“ (1).

* *
*

Bitwa pod Lipanami może być uważana za koniec wojny husyckiéj. Wojna ta była bez żadnego zaprzeczenia, *jednym z najrzadszych ustępów w dziejach nowoczesnych*; zwłaszcza, jeżeli się zważy, że kraj tak mały, jak Czechy, nie otrzymujący zewnątrz od nikogo żadnéj pomocy, jak tylko od Polaków, wytrzymał przez blisko 15 lat napady całych Niemiec i Węgier. W ciągu tak nierównéj walki, Czesi rozwinęli nie tylko waleczność niezmordowaną; ale oraz energią charakteru, *któréj równéj trudno-by było znaleść w historyi.*

Śród chrzęstu broni, nie tylko uniwersytet Praski nie

---

(1) Kalixtynami dowodził w téj bitwie *Meinhard von Neuhaus.* Dotąd Czesi okazują na polu groby obydwóch swych Prokopów. *(P. t.).*

przerywał zwyczajnych kursów nauk i udzielał stopnie akademickie; ale oświata ludu upowszechniła się pomiędzy Husytami. Istnieją książki treści religijnéj, napisane w owych czasach przez prostych rzemieślników, odznaczających się talentami i przejętych prawdziwym zapałem religijnym. *Aeneas Sylvius* pisze, że wszystkie kobiety Taborytów znały dokładnie pismo święte.

Nie myślę (1), żeby cała Europa zachodnia posiadała w owéj epoce aby jednego człowieka, któryby, jak Prokop Wielki, był łączył w sobie tak gruntowne doświadczenie wojskowe z tak głęboką nauką, dozwalającą mu zbijać w Bazylei rozumownia doktorów kościoła z takim pomyślnym skutkiem, z jakim gromił ich wojska na placu bitwy.

* *
*

Kalixtyni i katolicy czescy przyjęli césarza Zygmunta za prawego swego monarchę. Przysiągł zachować *compactata* i swobody kraju. Niektórych Taborytów stracono. Ale co do reszty, był césarz Zygmunt tyle roztropnym, iż ich nie prześladował; lecz im dozwolił pozostać w mieście Tabor, i tam odprawiać nabożeństwo według swego obrządku. — Kalixtyni czyli Husyci umiarkowani tworzyli nierówną większość mieszkańców Czech. Skoro tylko Zygmunt zapewnił sobie tron czeski, zaraz otwarcie oświadczył, iż chce przywrócić dawny porządek kościelny (wyznanie rzymsko-katolickie). Oświadczenie to byłoby zapewnie wywołało nową wojnę z Czechami; ale umarł roku 1437.

Polska.

Jeszcze soborowi Konstancyjskiemu Paweł Władymir Dołęga, doktor prawa, rektor uniwersytetu krakowskiego i kanonik

(1) Waleryan Hr. Krasiński był wyznania ewangelicko-reformowanego. *(P. t).*

katedralny przedstawił publicznie pismo, które zbijało zasadę wyznawaną i wykonywaną przez zakon krzyżaków niemieckich: „że chrześcijanie mają prawo nawracać niewiernych siłą broni, i że kraje niewiernych należą prawnie do chrześcijan.“ Na téj-to właśnie zasadzie Rzym udzielił był tym krzyżakom posiadanie Prus, zamieszkałych przez ludność pogańską; na mocy téj-to inwestytury zakon niemiecki chrzcił ją, ujarzmiając ją, i poddając najsroższéj niewoli. Marcin Trąba, arcybiskup gnieźnieński, prymas polski, chociaż stronnik soboru Konstancyjskiego, kazał księgi liturgiczne przetłumaczyć na język polski (1).

Długosz donosi, iż rozprawy, roku 1431 w Krakowie, pomiędzy Delegowanymi husyckimi a professorami akademii krakowskiéj odbywały się w obec króla i senatu, i to prawie zawsze w języku polskim.

Inne poselstwo husyckie przybyło do Polski roku 1432, dla zawarcia przymierza przeciw zakonowi niemieckiemu w Prusiech. Biskup krakowski (2) zawiesił wszelkie nabożeństwo w Krakowie tak długo, dopóki Husyci bawić będą w mieście. Jagiełło, który żądał zawrzeć przymierze z Husytami, tak był rozgniewany, że chciał biskupa śmiercią ukarać; ale go odwiedziono od takiéj gwałtowności. Przymierze nie przyszło do skutku; lecz wysłano posła polskiego do Bazylei, ażeby popiérał sprawę Husytów.

Podczas układów pomiędzy sejmem Praskim a soborem Bazylejskim, Czapek, wódz Siérot, ofiarował usługi swoje królowi polskiemu, który wtedy prowadził wojnę przeciw zakonowi krzyżaków niemieckich. Pomimo sprzeciwiania się duchowieństwa, pomoc Husytów została przez króla i senat polski z największą uprzejmością przyjęta. Siéroty i niektórzy Taboryci, tworząc armią z 8,000 piechoty, 800 jazdy

(1) Rękopism tego tłumaczenia był w bibliotece Załuskich. *(Przyp. autora).*

(2) Zbigniew Oleśnicki. *(P. t.).*

i 380 wozów złożoną, przybyli do Polski i przyłączyli się do wojska polskiego. Wkroczyli w posiadłości zakonu niemieckiego i zabrali 12 miast warownych. Sam widok tych surowych wojowników napełniał przestrachem, i na wieść o zbliżaniu się Husytów, wszystko pierzchało. Doszli oni aż do brzegów morza Baltyckiego, i napełnili tam flaszki swe wodą morską, aby ją zawieść do swéj ojczyzny, jako dowód, że oręż czeski utorował sobie drogę aż do brzegów dalekiego morza.

Nie dziw, że te stosunki przyjaźne i ciągłe z Husytami rozszérzały naukę ich w Polsce; co téż dowodzą rozporządzenia ogłaszane przy różnych sposobnościach, przez duchowieństwo katolickie przeciw postępowi tego wyznania (1)

Czechy.

Zygmunt niémając syna, mianował następcą swoim w Węgrzech i Czechach, Albrechta, arcy-xięcia Austryackiego, zięcia swego. Uznano go bez trudności królem węgierskim, i obrano césarzem niemieckim; ale niechęć jego ku *compactat*'om nadała w Czechach inny obrót rzeczy. Katolicy czescy ukoronowali go w Pradze. Husyci zaś obrali królem Kazimiérza, brata króla polskiego (2), a syna Władysława Jagiełły. Sejm polski w Korczynie zatwierdził ten wybór,

(1) „Kiedy Władysław Jagiełło, niezmordowany w dawaniu się oszukiwać przez Zygmunta, (z państw swoich szkodą) największą czyni mu przysługę, niewdzięczny Zygmunt pobudza przeciw niemu Witolda, i namawia, by się królem litewskim ogłosił. Schwytani przez Jana Czarnkowskiego Genueńczyk Cygała i Jan Rot, posłowie césarscy do Witolda z listami, w których mu Zygmunt innych posłów z koroną królewską przysłać obiecywał. Umarł Witold w Trokach, w r. 1430. Zakończył Władysław Jagiełło życie w Gródku, na Podlasiu, w r. 1434." *(J. U. Niemcewicz.)*

(2) Władysława III. Warneńczyka. *(P. t.)*.

pomimo gwałtownego sprzeciwiania się duchowieństwa i jego stronników, i wysłał armią na pomoc Husytom. Kazimiérz mający dopiéro 13 lat wieku, wkroczył z tém wojskiem do Czech, i wsparty przez Husytów, otrzymał znaczne korzyści nad stronnictwem césarskim, które się broniło wojskiem niemieckiém i węgierskiém. Na nieszczęście stanowczemu zwycięstwu przeszkodziła zdrada Hr. *Cilley* (magnata niemieckiego, szwagra zmarłego césarza Zygmunta, który był przyjął wyznanie husyckie), zaraza dziesiątkująca wojsko Kazimiérza, i nieporozumienia pomiędzy Husytami. Udało się soborowi Bazylejskiemu wyjednać zawieszenie broni, i otworzono kongres w Wrocławiu. Delegowani polscy uczynili wniosek, aby obadwaj, Kazimiérz i Albrecht, zrzekli się tronu Czech, i poddali swe prawa roztrząśnieniu sejmu czeskiego, któryby swobodnie pomiędzy dwuma kandydatami wybór uczynił. Oświadczyli, iż wnoszą to ze względu, iż Kazimiérz „nie przyjął tronu powodowany dumą albo chciwością; ale współczuciem dla narodu, który mówi tym samym, co Polacy, językiem, i dla dobra chrześcijaństwa.“ Wniosku tego, na który się zgadzali Czesi wszystkich stronnictw, nie przyjął césarz, który się obawiał, aby stronnictwo Kazimiérza, wspiérane przez Husytów; nie wzięło góry nad jego stronnictwem, składającém się jedynie z rzymskich katolików. Atoli wkrótce potém Albrecht w Węgrzech życia dokonał.

* *
*

Po śmierci Albrecha Węgrzy obrali sobie królem naszego Władysława III (Warneńczyka). Brat zaś jego, Kazimiérz, mając sobie powierzony zarząd Litwy, nie pragnął już wcale korony czeskiéj. Albrecht nie zostawił był dzieci; ale żona jego była przy nadziei. Powiła syna, Władysława Pogrobowca. Węgrzy nie uznali praw jego do koro-

ny; ale (jak wspomniałem) zaprosili na tron swój króla polskiego. Przeciwnie Czesi przyjęli go za prawego monarchę, i na czas jego małoletności mianowany został Regentem królestwa Jérzy Podiebrad, szlachcic husycki, odznaczający się charakterem i wielkiemi zdolnościami, i mający wielki wpływ w kraju. Césarz Fryderyk III umiał cenić szlachetne jego zamiary, i chociaż Rzym przeciwny był *compactat*'om, kościół Kalixtyński zachował swe prawa przez cały czas rządów Podiebrada.

* *
*

Około roku 1450 Husyci Taboryci zmienili swe nazwisko i zaczęli się zwać *Braćmi czeskimi (1)*.

* *
*

Władysław Pogrobowiec objął w roku 1456 sam rządy królestwa; lecz w rok potém (1457) umarł. Sejm Praski oddał koronę Jérzemu Podiebradowi. Césarz uznał go królem, i Podiebrad przysiągł posłuszeństwo papieżowi pod warunkiem przyjęcia *compactat*'ów. Ale Pius II, ten sam *Aeneas Sylvius*, który był sekretarzem soboru w Bazylei, uznał je za nieważne, i roku 1463 exkommunikował Podiebrada. Następca Piusa, Paweł II oświadczył, że „chociaż prawda, iż sobór Bazylejski, który chciał sobie przywłaszczyć władzę nad papieżami, zezwolił na *compactata*; przecież akowe nigdy przez papieża potwierdzone nie były.“ Podiebrad przedstawiał, że Turcy dobywszy roku 1453 Konstantynopol, posuwają się naprzód i zagrażają całemu chrześcijaństwu; ofiarował wojsko, pieniądze i osobę swoją, aby łącznie z innymi, walczyć przeciw wspólnemu nieprzyjacie-

(1) Odnosi się to do słów Chrystusa: „Ale wy nie zowcie się Rabbi; albowiem *jeden* jest nauczyciel wasz, a wy wszyscy jesteście *bracia*. (Ewang. Mateusza, rozdział 23, wiérsz 8).

lowi. Rzym w odpowiedzi na ten wniosek żądał na sejmie w Norymberdze, aby „wojsko césarskie i krucyata skierowane były raczéj przeciw czeskim kacerzom, niż przeciw Turkom.“

* *
*

Bracia czescy (1) doznali roku 1458 ciężkich prześladowań ze strony katolików i Kalixtynów. Jeszcze srożéj prześladowano ich roku 1466. Ale to nie osłabiło ani ich gorliwości, ani ich odwagi. Zebrali się w Lhocie (2), i wybrali tam, na wzór piérwszych chrześcijan, Starszych gminy; a duchownych ich wyświęcał Szczepan, biskup waldeński w *Vienne* (3). Ten piérwszy kościół słowiański, prawdziwie już protestancki, zmuszony był odbywać swe synody i nabożeństwa w jaskiniach i lasach (4).

* *
*

Ciągłe usiłowania Rzymu sprawiły nareszcie, że césarz Fryderyk III, dotychczas przyjaciel Podiebrada, wystąpił przeciw niemu, i że Maciéj *Corvinus*, ów wielki król węgierski a zięć Podiebrada, także się do nieprzyjaciół jego przyłączył. Wkroczyli do Czech, i starali się odwieść od niego poddanych jego katolickich. Skrytobójcy zagrażali nawet życiu Podiebrada. Ale ten pokonał swych nieprzyjaciół. Sam otoczył wojsko króla węgierskiego i zmusił go do zawarcia pokoju, a syn jego, Wiktoryn, pobił césarza i dyktował mu warunki pokoju pod murami samego Wiédnia.

---

(1) Tak odtąd nazywać będziemy ciągle Husytów Taborytow. *(P. t.)*.

(2) Gdzie leży ta Lhota? Czy-to miasteczko koło Strakonic, w Czechach zachodnio-południowych? *(P. t.)*.

(3) We Francyi, w *Dauphiné*. *(P. t.)*.

(4) Według dziejopisów przedstawiano Podiebradowi, że przez prześladowanie Braci Czeskich zjedna sobie przychylność Rzymu, i wyjedna, iż go Rzym uzna królem, i potwierdzi *compactata*. *(P. t.)*.

* *
*

Chociaż synowie Podiebrada byli obadwaj obdarzeni wielkiemi i świetnemi przymiotami (Henryk pisał wiérsze w języku czeskim); przecież Podiebrad wiedział, że gdyby koronę czeską któremu z synów zostawił, tenże nie mógł-by się utrzymać na tronie, jak poświęcając i swój własny interes, i godność kraju całego. Starał się więc o następcę, któryby sobie mógł zapewnić pomoc z kąd inąd i był dosyć silnym do stawienia czoła swoim nieprzyjaciołom. Pomocy takiéj nie można się było spodziéwać od Niemiec, ani od Węgier; ale od bratniego narodu, którego-by związki krwi brały górę nad różnicą wyznań religijnych; od narodu, który często walczył w obronie Husytów a nigdy przeciw nim. Podiebrad rozpoczął roku 1460 układy o przymierze z Kazimiérzem IV, królem polskim, którego (jak wyżéj nadmieniono) Husyci jeszcze roku 1439 obrali byli królem czeskim. Przymierze to zawarte zostało w czasie osobistego zjazdu obydwóch monarchów w Głogowie, roku 1462. Postanowiono, że syn Kazimiérza IV zaślubi córkę Podiebrada, a ten wyjedna dla zięcia tron czeski. Stronnictwo Rzymu usiłowało złamać to przymierze, ofiarując samemu Kazimiérzowi IV koronę czeską a Polsce kilka prowincyj, byle Kazimiérz, zamiast wspiérania Podiebrada, obrócił siły swe przeciwko niemu. Ale Kazimiérz odrzucił ofiarę i oświadczył się być gotowym do wspiérania Podiebrada, pomimo wyrzutów Rzymu, jakoby działał w brew dobru chrześcijaństwa, łącząc się z kacerzem. Zabronił surowo ogłaszanie w Polsce krucyaty, którą w innych krajach przeciw Podiebradowi ogłaszano.

* *
*

Ciągłe trudy i wysilenia podkopały nareszcie zdrowie Podiebrada. Przeczuwając bliski swój zgon, zwołał sejm,

i przedstawił wniosek, aby następcą jego obrany był Władysław, starszy syn króla polskiego. Sejm czeski przyjął ten wniosek, który też potwierdzony został przez sejm polski, pomimo gwałtownego oporu duchowieństwa.

Podiebrad umarł roku 1471 w 51m roku życia. Był królem prawdziwie narodowym i kraj swój kochającym; posiadał wielkie zdolności polityczne i wojskowe, a charakter jego odznaczał się szlachetnością i dzielnością. Jedynie nieszczęśliwe okoliczności, przeciw którym walczyć musiał, nie dozwoliły mu uszczęśliwić Czech rządami swemi tak, jak były szczęśliwe pod rządem césarza Karola IV.

* *
*

Władysław Jagiellończyk objął tron czeski roku 1471 i potwierdził *compactata*. Ale papież Syxtus IV oświadczył się przeciw niemu, i wsparł pretensye Macieja Korwina do tronu czeskiego. Powstała wojna, w której Polacy bronili praw Władysława. Atoli niebezpieczeństwo, grożące obydwom stronom od Turków, skłoniło je do zawieszenia sporu a potém do pokoju.

Panowanie Władysława było dosyć mało znaczącém. Roku 1480 obrano go królem węgierskim, po śmierci Macieja Korwina. — Umarł roku 1516 i obiedwie korony zostawił małoletniemu synowi, Ludwikowi, który zginął roku 1526 w bitwie pod Mohaczem (1) przeciw Turkom.

* *
*

Pod tymi dwuma królami tak Husyci, jak rzymscy katolicy równych praw używali.

W szczególności co do Braci Czeskich, Władysław Jagiellończyk nadał im zaraz za wstąpieniem swojém na tron

(1) W południowych Węgrzech nad odnogą Dunaju. *(P. t.)*.

czeski, zupełną wolność religijną. Roku 1500 liczyli już w Czechach do 100 miejsc, w których się nabożeństwo ich wyznania odprawiało. Kiedy roku 1503 zostali wyłączeni od urzędów publicznych, król Władysław, na ich przedstawienie, kazał zawiesić wykonanie téj uchwały. Roku 1506 wyszło w Wenecyi czeskie tłumaczenie pisma świętego, przez tychże Braci Czeskich dokonane.

Polska.

Rzym utracił w XV wieku szybko przewagę swoją nad umysłami w Polsce. Akademia krakowska przyczyniła się wiele do duchowego postępu Polski w wieku XV, który-to wiek był zarazem epoką rozwinięcia się ustawy rządowéj królestwa polskiego.

Chociaż duchowieństwo wpływem swoim wyjednało u władzy świeckiéj surowe ustawy przeciw różnowiercom; wszelako dzieje z téj epoki donoszą nam jeden tylko przykład prześladowania religijnego. Biskup Poznański, zebrawszy 900 ludzi, obległ roku 1439 Zbąszyn (1) i zmusił mieszkańców do wydania sobie 5 kaznodziei husyckich, których spalił.

Wiele możnych rodzin sprzyjało otwarcie nauce Husa, i te pod kierunkiem Spytka z Melsztyna, potężnego magnata, były bliskie zwycięstwa, kiedy Spytek w bitwie zabity został.

Jest też uwagi godném, że najdawniejszą poezyą polską, po himnie „Bogarodzica,“ jest wiersz na cześć *Wickleff*'a napisany w środku wieku XV przez Andrzeja Gałka Dob-

(1) Po niem. *Bentschen*, w Wielkiéj Polsce, w powiecie Międzyrzeckim. *(P. t.)*.

szyńskiego, który także napisał łaciński kommentarz do dzieł metafizycznych tegoż reformatora (1).

Wielkim dowodem rozwinięcia umysłowego w Polsce był projekt, przedstawiony roku 1459 sejmowi przez Jana Ostroroga, wojewodę Poznańskiego: „*Pro reipublicae ordinatione.*“ Odkrywał on otwarcie nadużycia w rzeczach kościelnych i projektował reformy tak stanowcze, iż przyjęcie ich byłoby spowodowało zupełny rozbrat z Rzymem, może nawet

(1) Od roku 1434 do 1444 panował u nas Władysław III (Warneńczyk), obrany także królem węgierskim r. 1439. Co do Multan i Wołoszczyzny, Święcki w „Opisie Starożytnéj Polski“ (Warszawa 1816, tom II, str. 284). donosi, iż spory pomiędzy synami wojewody Alexandra, Władysław III w ten sposób roku 1435 umiarkował, iż jedną część kraju przyznał Stefanowi, drugą Eliaszowi; i dodaje: „Odebrał król ten hołd od obudwóch tych wojewodów, a najprzód od Eliasza publicznie na wystawionym tronie w mieście Lwowie, gdzie zaraz tenże wszelkie posłuszeństwo i powinność stawienia się na wojnach zaprzysiągł, oraz roczną daninę... przystawiać zobowiązał się.“ Chciał Władysław uderzyć na Turków; ale zawarty i zaprzysiężony był pokój z nimi na lat 10. „Legat *Cesarini*, imieniem papiéża, uwolnił go od téj przysięgi. Gdy ta jedna zapora przełamaną została, rzucił się młody wojownik w otwarte już szranki,.... ruszyły wojska węgierskie i polskie; lecz papiéż podnieciwszy do bojów, nie wspiérał ich mieczem; nie przyszły przyrzeczone z Europy i Azyi posiłki. Szczupłe dosyć chrześcijan siły napotkały pod Warną całą ottomańską potęgę... Władysław... zuchwale wpada na tłumy Janczarów; gdy koń zwija się pod nim, wtenczas obskoczony i rozsiekany od Turków (r. 1444).“ *(J. U. Niemcewicz.)*

Dziejopisarze donoszą, że kiedy w Węgrzech kardynał Julian *(Cesarini)* namawiał 21-letniego króla do zerwania z Turkami pokoju, X. Grzegorz z Sanoka i X. Mikołaj Lasocki obstawali za dotrzymaniem, acz niewiernym, przysięgi; a gdy kardynał skłonił nareszcie króla do zaprzysiężenia zobowiązania się do wyprawy, i wieść o tém doszła do Polski, „smutek i żal opanowały cały naród. Władysław wszczepiony pomiędzy dwie przeciwne sobie przysięgi, rozpoczął pochód; ale z cierpką zgryzotą, że nieraz aż łzami się zaléwał. Z panów polskich mało który chciał należeć.—Turcy przed stanowiskiem swojém zatknęli na drągu akt pokoju, z królem zawartego, na ewangelią poprzysiężonego, a przecież złamanego.“ (Moraczewski, Dzieje rzeczp. polskiéj. Poznań, 1844, t. II, str. 278 i 282). *(P. t.)*.

prędszy, niżby to były uczyniły najśmielsze zarzuty jakiego reformatora dogmatycznego.

Roku 1504 wyszły z druku w Krakowie dwa dzieła: *De vero cultu Dei,*" i „*De matrimonio sacerdotum,*" które zawiérały zdania, dotychczasowym zupełnie przeciwne.

Za króla Władysława zjawił się w Niemczech ważny wynalazek Jana Gutenberga druku: ruchomemi literami.

Po Władysławie III nastąpił Kazimiérz IV (panujący od 1447 do 1492). Krzyżacy niemieccy tak się niegodziwie obchodzili z Prusami Staremi, że roku 1454 całe Prusy Zachodnie z Gdańskiem i Toruniem (nawet przez Niemców zamieszkałe) poddały się *dobrowolnie* królestwu polskiemu. Święcki (tamże, w tomie I, str. 370) wyraża się: „Stany pruskie nie mogąc znieść rozpusty i ucisków krzyżackich (gdyż, jak skarga publiczna świadczy, od tych rozwiązłych mnichów, córki ich i żony, osoby i majątki bezpiecznemi nie były) na dniu 14 Lutego 1454 zjechały się do Torunia i posłuszeństwo W. Mistrzowi krzyżackiemu wypowiedziały oraz poselstwo z uchwałą poddania się, do króla polskiego wyprawiły... Nieomieszkali krzyżacy intrygować u dworu polskiego, aby żebrana przez Prusaków protekcya odmówioną im była, i tym końcem, jak świadczy *Schütz*, Podskarbiego z 50,000 czerwonych złotych dla przekupienia zdań senatu do Krakowa wysłali. Nie dał sięułudzić blaskiem kruszcu staropolski senat, interes ojczyzny nadewszystko przenoszący, a po dojrzałém namyśleniu się, postanowiono dać pomoc Prusakom i ich poddanie się przyjąć." Rzadki-to, jeżli nie jedyny w historyi przykład dobrowolnego przyłączenia się jednego narodu do drugiego. Dowodem jest uroku, jaki ówczesna łagodność i mądrość rządu polskiego nawet na obcych wywiérała. Wojna z tego powodu między zakonem krzyżaków niemieckich a Polską wybuchła, zakończyła się r. 1466 traktatem Toruńskim, w którym piękne te prowincye wraz z Warmią (Ermeland), w środku Prus Wschodnich położoną, przyłączone zostały do Polski. (Zostawały przy niéj aż do roku 1772 i 1793). Krzyżacy pozostali tylko przy posiadaniu Prus Wschodnich „z obowiązkiem jednak," jak pisze Święcki (t. I, str. 372) „poddaństwa i hołdu królowi polskiemu, tak, iż każdy nowy W. Mistrz, w pół roku po wstąpieniu na ten urząd, przysięgę wierności królowi polskiemu wykonać powinien był, i pewną liczbę ludzi w każdéj potrzebie przeciw nieprzyjacielowi Polski stawić." Za czasów Kazimiérza IV Turcy zdobyli Konstantynopol (1453). Za niego ujrzał świat piérwsze księgi drukowane (1456 w Moguncyi), i za niego urodził się Kopernik (1473). Kiedy Bajazet, sułtan turecki, wpadł z wielkiém

Roku 1515, a zatém na 2 lata przed piérwszém wystąpieniem Lutra z jego 95 twierdzeniami, ujrzał Kraków: „List Bernarda z Lublina do Symona z Krakowa,“ który otwarcie wygłaszał fundamentalną zasadę reformacyi: «Iż wypada wierzyć wyłącznie w pismo święte“ (1).

wojskiem na Wołoszczyznę, Stefan, wojewoda, błagał pomocy Kazimiérza IV. Król udał się roku 1485 do Lwowa, przeszedł Dniestr i w obozie pod Kołomyją, jak pisze Święcki w „Opisie Starożytnej Polski“ „Stefan wojewoda, otoczony assystencyą bojarów swoich przybywszy, przed siedzącym na wzniesionym pod namiotem tronie królem Polskim, na kolana upadł i chorągiew na znak poddaństwa złożył, przysięgę hołdu i wierności wraz z bojarami swemi wykonał.“ Turcy zostali pobici, i hołdująca Polsce Wołoszczyzna od niszczącego pohańców najazdu szczęśliwie obronioną została.

(1) Trzej synowie Kazimiérza IV panowali kolejno w Polsce: Jan Albrecht do r. 1500, Alexander do r. 1506, Zygmunt I do r. 1548. Czwarty, Władysław, panował w Czechach i Węgrzech do r. 1516.

Łukaszewicz, w dziele wyżéj (na str. 452) powołaném, mówi: „Po śmierci cesarza Zygmunta (1438 r.), niechętnego Polakom, ofiarowali Taboryci osiérocony tron czeski Kazimiérzowi, synowi Władysława Jagiełły. Władysław Warneńczyk posłał przed swoim bratem do Czech wojsko, złożone w większéj części z Wielkopolanów pod dowództwem Sędziwoja Ostroroga, wojewody poznańskiego i Jana Tenczyńskiego, wojewody sandomiérskiego. Wyprawa ta nie powiodła się wprawdzie; ale pomnożyła znacznie liczbę Husytów w Polsce... Należeli do Husytów: Sędziwój Ostroróg, Stanisław Ostroróg, wojewoda Kaliski... Szerzyła się bez przeszkody nauka Husa po całéj Wielkopolsce.“ Opowiada daléj Łukaszewicz rzecz o (wyżéj wspomnioném) spaleniu 5 duchownych husyckich w Poznaniu, i dodaje: „Okrucieństwo to... rzuciło wprawdzie powszechny postrach na stronników tego wyznania w Wielkiéj Polsce; ale nie zapobiegło bynajmniéj szérzeniu się potajemnie jego nauki w téj stronie. Nie większe wydała owoce uchwała sejmu Korczyńskiego (1438 r.) przeciw Husytom... Wojna Kazimiérza Jagiellończyka z krzyżakami, przeniewiercze postępowanie legatów Rzymu w zatargach tych z wiarołomnym zakonem, stronność samych papiéży dla zakonu, nareszcie osłabiona podczas kilkunastoletniéj wojny powaga duchowieństwa, wszystko to ośmielało Husytów polskich do występowania jawnie. Więcéj jeszcze śmiałości dodało im wstąpienie na tron czeski Władysława, syna Kazimiérza Jagiellończyka, roku 1471. Od téj epoki nie rzadkie są ślady w historykach naszych i w archi-

Czechy.

Ludwik Jagiellończyk umarł bezdzietnie (1526). Po nim na tronie Węgier i Czech zasiadł Ferdynand, arcy książę Austryacki (brat césarza Karola V), który miał za sobą siostrę Ludwika (Jagiellończyka) (1). Był-to monarcha zabobonny i samowolny. Nauka Lutra znalazła już była echo pomiędzy Kalixtynami za panowania poprzedzającego króla, i protestantyzm tak się rozszérzył w Czechach za rządów Ferdynanda, że Czesi nie chcieli iść do boju przeciw związkowi protestanckiemu, zawartemu w *Schmalkalden*, i utworzyli zjednoczenie ku obronie swobód narodowych i religijnych, zagrożonych przez Ferdynanda (2).

---

wach krajowych rozgałęzionego po całej Polsce Husytyzmu." Tu Łukaszewicz wylicza różne wypadki, tyczące się duchownych, za Husytyzm okrutnie ukaranych, oraz zgromadzeń i żądań szlachty Wielkopolskiéj, i kończy słowami: „Tak wielka liczba była Husytów w Wielkiéj Polsce na lat kilkanaście przed reformacyą Marcina Lutra!... Umysły usposobione były do wielkich zmian w rzeczach wiary." *(P. t).*

(1) „Węgrzy ofiarują koronę Zygmuntowi (I); lecz Pan ten, jak już był po dwakroć berło szwedzkie odmówił, tak i wegierskiego przyjąć nie chciał."
(J. U. Niemcewicz.)

Wygaśnięcie dynastyi Jagiellońskiéj na tronach czeskim i węgierskim, i przejście koron tych państw, przez Jagiellonkę, w dom austryacki, wywarło późniéj stanowczy wpływ na losy nie tylko Polski; ale i Europy. *(P. t.).*

(2) Marcin *Luther*, syn górnika z *Eisleben*, w Saxonii, urodził się roku 1483. Będąc zakonnikiem, Augustyaninem w Erfurcie, został professorem w nowoutworzonym uniwersytecie Wittenberg (nad Elbą) i odbył podróż do Rzymu. Roku 1517 ogłosił twierdzenia swe przeciw opowiadanym wówczas po całych Niemczech odpustom. Gdy go exkommunikowano, spalił roku 1520 uroczyście bullę i prawo kanoniczne za miastem. Roku 1521 bronił zdań swoich w obec césarza Karola V, na sejmie niemieckim w Worms (za Renem, teraz w *Hessen-Darmstadt*). Wróciwszy z tamtąd tłumaczył na niemieckie pismo święte, ukryty w zamku górskim *die Wartburg* pod *Eisenach*, a roku 1524 urządził w nowy sposób kościoły saskie, i zaślubił pannę Katarzynę Bora.

Zwycięstwo Karola V nad protestantami pod *Mühlberg*'em, (1547) sprowadziło okrutną reakcyą w Czechach. Różni naczelnicy zjednoczenia zostali straceni, inni uwięzieni, albo

¹ Gdy roku 1526 na sejmie w *Speier* (za Renem, teraz w Bawaryi nadreńskiéj) stany niemieckie dozwoliły swobody religijnéj protestantom, a we 3 lata potém cofnęły ją, 5 xiążąt rzeszy niemieckiej i 14 miast niemieckich protestowało dnia 19 Kwietnia 1529 w *Speier* przeciw świéżo tamże zapadłéj uchwale sejmowéj. Z tąd potém wszystkich zwolenników reformacyi czyli Ewangelików nazwano Protestantami. Punkta, w których się różnią zwolennicy Lutra od katolików przedstawił sejmowi niemieckiemu roku 1530 Filip *Melanchthon* w Augsburgu i z tąd wyznanie luterskie nazwano *Ewangelicko-augsburskiém*. Luter umarł roku 1546 w rodzinném mieście swojém, a nauka jego rozwinęła się głównie w północnych Niemczech, w miastach Wielkopolskich, w Starych Prusach, Kurlandyi i Inflantach, Szwecyi, Norwegii i Danii, wschodniéj Francyi, zachodnio-południowych Niemczech, pomiędzy Czechami, Szlązakami, Morawianami, i Słowakami (w północnych Węgrzech), u Niemców w Węgrzech i Siedmiogrodzie, a dawniéj i u Słowian w Illiryi.

Ulryk *Zwingli*, Szwajcar, urodził się w Wildhaus, kantonie *Sanct-Gallen* roku 1484. Odbywszy nauki w Wiédniu, Bazylei i Bern, został kapelanem wojskowym ochotników szwajcarskich, odbył kampanie we Włoszech, i późniéj został kanonikiem i prosboszczem w *Zürch*. Od dnia 1 Stycznia 1519 zaczął w *Zürch* ogłaszać ewangelią. Już roku 1523 wyjednał u władz kantonu potwierdzenie zmian kościelnych, sięgających dalej, niż te, które Luter przedsięwziął. Roku 1524 zaślubił wdowę Annę *Reinhard;* odbył r. 1529 konferencyą z Lutrem w zamku *Marburg* (między *Cassel* a Frankfurtem), wyruszył r. 1531, jako kaznodzieja wojskowy z wojskiem kantonu *Zürch*, napadniętego przez katolickie kantony *Luzern, Schwyz, Uri, Unterwalden* i *Zug*) i poległ w bitwie pod *Cappel* (między *Zürch* a *Zug*), śród porażki Zurychanów.

Po jego śmierci poparł reformacyą w Szwajcaryi głównie Jan *Chauvin*, po łacinie *Calvinus*, Francuz, rodem z *Noyon* w północnéj Francyi, osiadły w Genewie. Zwolennicy Niemca Zwinglego i Francuza Kalwina, nie podawali żadnemu sejmowi artykułów wyznania swego; lecz pracowali i pracują dotąd ciągle nad przywróceniem chrześcijaństwu piérwotnéj czystości, jaką jaśniało za życia Chrystusa, jego apostołów i ewangelistów. Dla tego zowią się *Ewangelikami Reformowanemi*. Niektórzy *przezywają* ich Kalwinami.

wygnani; dobra wielu szlachty skonfiskowano; miasta musiały płacić znaczne kary pieniężne, odebrano im ich przywileje, i nałożono na nie nowe podatki. Wszystko to wykonywano za pomocą żołnierzy niemieckich, hiszpańskich i węgierskich, i potwierdzono przez zgromadzenie, znane pod imieniem *sejmu krwawego.* Duchowieństwo otrzymało cenzurę książek (1547). I wkrótce potém zaprowadzono w Czechach Jezuitów (1).

Przywileje Kalixtynów nie były skassowane, i Ferdynand, który po zrzeczeniu się tronu césarskiego przez Karola V otrzymał berło césarstwa rzymsko-niemieckiego, okazywał w ostatnich latach panowania swego, nieco mniéj surowości i samowolności w swoim charakterze, który był u niego raczéj skutkiem hiszpańskiego wychowania, pod kierunkiem ponurego kardynała *Ximenes*, niż usposobieniem na-

---

Wyznanie ich rozszérzyło się w Szwajcaryi, Francyi, Anglii, Szkocyi, Hollandyi, w niektórych krajach Niemieckich, w Polsce, pomiędzy Madziarami w Węgrzech i Siedmiogrodzie, a z drugiéj strony oceanu: we wszystkich osadach angielskich i w północnéj Ameryce. Nasze *volumina legum* zowią to wyznanie *helweckiém*, czyli *szwajcarskiém* a różni pisarze *genewskiém.*

Że zaś reformacya, rozpoczęta przez Husa na ziemi słowiańskiéj, tak szybko rozszérzyła się po świecie, gdy ją Luter, *Zwingli* i *Chauvin* przeszło w 100 lat późniéj opowiadać zaczęli, przyczyny tego szukać nie należy ani w większych zdolnościach reformatorów niemieckich i francuskiego, ani w większéj ich od Czechów gorliwości; ale głównie w zdobyciu roku 1453 Konstantynopola przez Turków i schronieniu się uczonych z Konstantynopola z skarbami literatury greckiéj i rzymskiéj do Włoch i zachodniéj Europy, oraz w wynalazku sztuki drukarskiéj (około r. 1438 — 1456), która naraz, jakby cudem, i pismo święte i klassyczne dzieła Greków i Rzymian, w milionowych exemplarzach upowszechniać zaczęła. Piérwszą księgą drukowaną była biblia łacińska, drugą Psałterz Dawida (1457). Podobnież i głos reformatorów w wieku XVI rozlatywał się za pomocą druku w mgnieniu oka, od morza do morza. *(P. t.).*

(1) Zakon ten, założony przez Ignacego *Loyola,* Hiszpana, potwierdzony przez Papiéża Pawła IV roku 1540. W Czechach i Węgrzech wprowadził go Ferdynand r. 1561 za namową znanego kardynała *Hosen*'a (Hozyusza) *(P. t)*.

turalném. Umarł r. 1564, i, jak mówią, szczérze żałował uciemiężenia, którego się względem poddanych swych czeskich dopuścił.

* * *

Następcą jego był syn jego, Maxymilian II, (césarz niemiecki), monarcha szlachetnego sposobu myślenia, i daleki od prześladowań religijnych, co było powodem do mniemania, że sam się skłaniał do protestantyzmu. Nadał on protestantom zupełną wolność religijną, i umarł r. 1576 zostawując po sobie imię czczone przez wszystkich.

* * *

Césarz Rudolf, syn Maxymiliana, wychowany był na dworze krewnego swego, Filipa II, króla hiszpańskiego. Naturalnie, iż musiał być przeciwny protestantyzmowi; ale reformacya tak już była upowszechnioną w Czechach i w Austryi, iż ani można było myśleć, aby ją wprost wytępić. Chwycono się różnych ubocznych środków, aby dojść do tego celu i ograniczyć swobody protestantów na owe 4 artykuły *compactat*'ów. Z tém wszystkiem był Rudolf za nadto zajęty astrologią i alchymią, aby mógł był czynnie popierać jaką myśl polityczną, czy złą czy dobrą. Środki projektowane przeciw protestantom nie weszły w wykonanie, a obawa, aby nieutracił tronu, czém mu groził brat jego, Maciéj, skłoniła Rudolfa do podpisania r. 1609 przywileju, znanego pod nazwiskiem Patentu césarskiego *(Majestäts-Brief)*. Była to karta królewska dozwalająca protestantom zupełnéj wolności religijnéj i oddająca im na powrót uniwersytet Praski (1).

---

(1) Szafarzik (w *Geschichte der slavischen Sprache und Literatur*; *Ofen, 1826*,“ na str. 333) powiada: „Język czeski doszedł był wtenczas do swego złotego wieku. Z wzrastającą liczbą autorów wzrastała liczba drukarń, a

Polska.

Nauka Lutra rozszérzyła się nader szybko po miastach Prus polskich (królewskich). W Gdańsku, głównéın mieście téj prowincyi, reformacya takie postępy uczyniła, że roku 1524 oddano 5 kościołów zwolennikom Lutra. Atoli nowa rada miejska posunęła się tak daleko, że nie w drodze prze-

---

z liczbą drukarń ilość czytelników i przyjaciół literatury. Wszystko uczyło się w języku ojczystym swobodnie myśléć i pisać. Stał on się u wszystkich władz językiem urzędowym Rudolf szczególniej był jego orędownikiem" (Rezydował stale w Pradze). „Wszystko cisnęło się z dziełmi czeskiemi do tronu jego; liczono za jego czasów około 200 czeskich autorów. Panowie i damy pierwszego rzędu pisali poezye czeskie, i zasadzali miłość swą do kraju na uprawie języka narodowego. Z greckiego i łacińskiego tłumaczono niérównie więcéj, jak w poprzedniéj epoce.. Najwięcéj język czeski w tym czasie zawdzięczał, bez żadnego zaprzeczenia, Braciom Czeskim. Mając silnych orędowników na czele, starali się oni z szczególną troskliwością język czeski, w którym nabożeństwo swe odbywali, pielęgnować, wykształcić i rozszérzyć. Nieśmiertelną sławę zjednali sobie w téj mierze Baronowie Jan i Karol (Starszy) z Żerotina, ojciec i syn, jako najwięksi mecenasi i rozkrzewiciele naukowego światła w swéj ojczyznie; przy ich silnéj ochronie i bezprzykładnéj hojności, przemienili Bracia Czescy całą Morawią w wielką pracownią literatury narodowéj. Wydane za staraniem Braci Czeskich tłumaczenie całego pisma świętego wraz z kommentarzem (r. 1579 do 1593) i dzieła Komeńskiego *(Comenius'a)* tworzą ostatni kamień 1,000-letniego języka i literatury czeskiéj, i wskazują stopień oświaty, który taż do owego czasu osiągnęła. W saméj Pradze było 18 drukarni; a oprócz tego drukowano po czesku w następujących miejscach: Kutne Hory (Kuttenberg) Pilzeń, Mlada Boleslaw *(Jung-Bunzlau)*, Litomierzyce *(Leitmeritz)*, Kralowé Hradec *(Königgrätz)*, Prostiejow (Prossnitz), Namiest, Ołomuniec, Mezerzice, Ostrow (Ostrau), Kralice, Jeszkowice, a po za granicami Czech, w Norymberdze, Lesznie, Amsterdamie, Lipsku, Wittenbergu, Dreznie, i t. d." Za arcydzieło języka uważa Szafarzik wydaną, w zamku Kralickim Barona Żerotina, wyżéj wspomnioną „Biblią czeską," i dodaje, iż w niéj na 200 lat wprzódy znaleść można większą część tego, co uczeni (niemieccy) teologowie, jako swój wielki wynalazek światu objawiają, a świat (niemiecki) z uwielbieniem i zadziwieniem wysławia." *(P. t.)*.

konania, ale gwałtownym sposobem zniosła obrządki katolickie w całém mieście, zamknęła klasztory i ogłosiła majątek kościelny za własność publiczną. Król Zygmunt I był to monarcha charakteru szlachetnego, umysłu wzniosłego i światłego. Na skargi do siebie zaniesione, król kazał stawić się sprawcom zmian, a gdy niestawili się, i sejm na nich banicyą wyrzekl, król udał się osobiście do Gdańska, gdzie rzeczy do dawnego stanu przywrócił; sprawcy zaś zostali osądzeni i ukarani. Czyn ten Zygmunta I był czysto politycznym i żadną miarą niemoże być uważanym za prześladowanie religijne. Wszakże żadnego prześladowania niedoznali zwolennicy reformy, którzy się wtedy po rozmaitych częściach królestwa rozszerzali; a nawet w samym Gdańsku, nauka Lutra w kilka lat późniéj na nowo swobodnie była opowiadaną, aż się tam nareście upowszechniła. Tolerancyą swoją objawił Zygmunt w liście do Jana *Eck* (namawiającego go do prześladowania różnowierców na wzór Henryka VIII, króla angielskiego) a to dając mu odpowiedź: „Niechaj Henryk, jeźli mu się podoba, pisze przeciw Lutrowi; co do mnie, ja będę tym samym królem dla owiec, jak i dla kozłów (2).

---

(1) Udało się wprawdzie duchowieństwu wyjednać u króla roku 1523 ustanowienie cenzury duchownéj na książki. Co większa, udało się biskupowi Gamratowi spalić w Krakowie r. 1539 mieszczankę krakowską Katarzynę z Zalaszowskich *Vogel,* a biskupowi Zebrzydowskiemu umorzyć głodem X. Mikołaja Kurowskiego. (Adryan Krzyżanowski, Dawna Polska, Warszawa, 1844, str. 364, i Łukaszewicz, Dzieje wyzn helweckiego w d. Małéj Polsce. Poznań, 1853, str. 13). Atoli pojedyncze te, jakby konwulsyjne objawy fanatyzmu, wzniecily powszechne oburzenie i przyczyniły się raczéj do tém większego rozszérzenia się protestantyzmu. *(P. t.).*

(2) Właśnie wtedy był Albrecht, margrabia Brandenburski, siostrzeniec Zygmuta I, Wielkim Mistrzem zakonu krzyżaków niemieckich. Ten wraz z swoim zakonem i ludem w Prusach Wschodnich przyjął wyznanie ewangelicko-augsburskie (luterskie). Tym sposobem zakon ustał w Prusiech i pozostał tylko w Inflantach i w Niemczech. Zakonnicy stali się panami świeckiemi i Albrecht ożenił się (1524) z królewną duńską. Zygmunt I nietylko

* *
*

Rozwinięcie wykształcenia umysłowego w Polsce sprzyjało bardzo krzewieniu się reformacyi; bo żaden może kraj nie doznawał wtedy w Europie tak wielkiéj swobody (1). Prawda, że swoboda ta nie rozciągała się daléj, jak na stan szlachecki; ale nie można porównywać ówczesnéj szlachty polskiéj do szlachty zachodniéj Europy. Piérwsza tworzyła rodzaj kasty wojskowéj, która obejmowała prawie $^1/_{10}$ część całéj ludności kraju. Tak więc do praw obywatelskich do-

niemiał nic przeciw temu; ale, jak się wyraża Święcki (w tomie I, str. 399) „w roku 1525 Prusy" (Wschodnie), które po ustaniu zakonu prawem dziedzictwa do korony wróciły" Zygmunt oddał „w lenność Albrechtowi, dozwając jego braciom dotknąć się chorągwi na znak, że aż dopiero po wygaśnieniu ich z linii męskiéj potomków, do korony polskiéj powracać ten kraj będzie — i na ten koniec tenże Albrecht przed tronem, na rynku w Krakowie, przysięgę wykonał publicznie, chorągiew i inwestyturę odebrał, z warunkiem hołdu uległości królom polskim, jako najwyższym panom, na znak którego, 30,000 czerw. złotych corocznie, a w przypadku potrzeby, drugie tyle wypłacenie daniny, — oraz utrzymania 4 okrętów dla zapewnienia brzegów morza Baltyckiego, niemniéj dostawienia pewnéj liczby ludzi w przypadku, gdy w wojnę jaką królestwo polskie wplątane będzie, nowy feudalny książę przyjął obowiązek. Appellacya od spraw pruskich, do sądów zadwornych królewskich iść była powinna, a Stany Prus książęcych należytą przysięgę wierności każdemu królowi polskiemu wykonywać. Książętom pruskim piérwsze miejsce w senacie; lecz tylko w czasie obchodów uroczystych dozwolono. Domagali się niekiedy i głosu na elekcyach królów; lecz tego im odmówiono." *(P. t.)*.

(1) To też zaczął się u nas wiek złoty literatury. Mikołaj Kopernik objawił światu swój system słoneczny roku 1543. Rej z Nagłowic (1507 — 1568), Jan Kochanowski (1530 — 1584), Łukasz Górnicki (1535 — 1591) kwitnęli w literaturze. — W Szwecyi, pod rządem dzielnego Gustawa Wazy, sobór narodowy przyjął już roku 1530 reformacyą w całym kraju, a roku 1542 stany uchwaliły dziedziczność tronu. W Danii ogłosił r. 1537 Chrystyan III wyznanie ewangelicko-augsburskie religią państwa. W Niemczech sobór Trydencki, w mieście Tyrolskiém *Trient*, rozpoczął roku 1545 obrady swoje, które trwały do r. 1563. *(P. t.)*.

puszczoną była nierównie większa liczba mieszkańców, niż np. kiedykolwiek we Francyi do końca roku 1847. Wiele rodzin téj kasty posiadało taki wpływ w kraju, jak najpotężniejsi baronowie Anglii feudalnéj; podczas kiedy znów inni szlachta sami uprawiali swe role; co jednak nie przeszkadzało, aby wszyscy nie mieli być równymi w obliczu prawa. Ustawa sejmowa «*Neminem captivabimus*» (z r. 1431) była polskim *Habeas corpus*-aktem. Nie był też stan szlachecki mniéj zazdrosnym na wdziéranie się w jego prawa duchowieństwa, jak władzy królewskiéj. I ta więc okoliczność ułatwiała zaprowadzenie nowych zdań w przedmiotach religijnych. Miasta, z których wiele w owych czasach było w stanie kwitnącym, rządziły się prawem miejskiém magdeburskiém lub chełmińskiém, co z nich robiło małe rzeczypospolite, z których każda rządziła się przez urzędników obieralnych, wymierzających sprawiedliwość tak cywilną, jak karną.

* *
*

Współczesny autor, Modrzewski, opowiada, że dzieła Lutra sprzedawane były publicznie w akademii krakowskiéj, i że, gdy się ukazały, teologowie polscy nie ganili ich. Co większa, jedną z najpiérwszych książek, w języku polskim drukowanych, było właśnie (r. 1536) tłumaczenie katechizmu Lutra w Krakowie. Grono najświatlejszych ludzi owego czasu, duchownych i świeckich, zgromadzało się tak w Krakowie, jak w okolicach jego, dla rozbiérania pytań religijnych, a szczególniéj najnowszych pism reformatorów, które się zjawiały w różnych krajach Europy (1). Te otrzymywali za

---

(1) Łukaszewicz w „Dziejach kościołów wyznania helweckiego w dawnéj Małéj Polsce“ (Poznań. 1851, na str. 7) wylicza, pomiędzy tymi zwolennikami reformacyi: Bonarów, Oleśnickiego, Stadnickiego, Mikołaja Reja z Nagłowic (tego sławnego poetę), Firlejów, Myszkowskich, Trzecieskiego, i se-

pośrednictwem Lismaniniego, uczonego zakonnika włoskiego i spowiednika królowéj Bony z domu *Sforza*, małżonki Zygmunta I. Na jedném z tych posiedzeń X. Pastoris, Belgijczyk, obznajomił ich z dziełami hiszpańskiego lekarza *Served*'a (1). Zwolenników tego ostatniego, do których w Polsce należał późniéj także Leliusz i Faustus *Sozzino* (Socyno), nazwano potém niewłaściwie «Socynianami» (2).

Sejm z roku 1538 zabronił duchowieństwu polskiemu pod surową karą przyjmować jakie bądź dostojeństwo w Rzymie, i zakaz ten późniéj często był powtarzany. Roku 1539 rozporządzenie królewskie przywróciło swobodę druku. Annaty (3) zostały zniesione; a roku 1544 poddano dobra duchowne powszechnemu podatkowi gruntowemu.

* *
*

Uniwersytet Królewiecki przyczynił się także wiele do rozszérzenia znajomości pisma świętego w Polsce. Piérwsze wydania ewangelij i piérwsze dzieła protestanckie, napisane w języku polskim, drukowane były pod kierunkiem téj uczonéj instytucyi. Założył ją był, roku 1544, Albrecht, książę pruski, w celu rozkrzewienia zasad reformacyi i upo-

---

kretarza Zygmunta I, Justusa Dycza *(Decius*'a*)*, w którego Woli Justowskiéj, pod Krakowem, odbywało się piérwsze nabożeństwo ewang.-reformowane dla Krakowian. *(P. t.)*.

(1) Michał *Servede* czyli *Servet*, rodem z *Villanuera* w Aragonii, który roku 1531 w Strasburgu dzieło swe teologiczne przeciw trójcy ś. wydrukował, został przejeżdżając przez Genewę, na oskarżenie Kalwina uwięziony i przez sąd na spalenie skazany. Poniósł śmierć tę w Genewie dnia 27 Października 1553 r. *(P. t.)*.

(2) Zwano ich także Socyanami, Aryanami, albo Anti-trinitarzami; sami zaś nazwali się „Braćmi Polskimi“ *(Fratres Poloni)*. *(P. t.)*.

(3) Obowiązek duchownych przesyłania do Rzymu pierwszo-rocznego dochodu nowo-otrzymanych beneficyów kościelnych. *(P. t.)*.

wszechnienia oświaty pomiędzy niemiecką, polską i litewską ludnością Prus. A gdy ani papież, ani césarz nie chcieli temu uniwersytetowi udzielić potwierdzającego przywileju, zatwierdził go później król polski, jako lenny pan Prus książęcych (1).

* *

*

Podczas gdy ruch religijny ożywiał w ten sposób klassy wyższe, wywarło silniejszy jeszcze wpływ na massę ludności: przybycie do Wielkiéj Polski Braci Czeskich (Husytów Taborytów). Wygnani przez césarza Ferdynanda I, króla czeskiego, roku 1548 z swéj ojczyzny, przenieśli się do Prus Starych, gdzie im książę Albrecht, gorliwy reformowany, ofiarował schronienie. Kiedy w liczbie około 1,000 przybyli do Poznania, Andrzéj Górka, magnat polski, wyznania protestanckiego, przyjął ich najuprzejmiéj, i przez dłuższy czas podejmował. Wielu roku 1549 wróciło z Prus do Wielkiéj Polski. Leszczyńscy, Ostrorogowie i inne najpiérwsze rodziny przyjęły ich wyznanie, tak, iż wkrótce w samej Wielkiéj Polsce liczyli około 80 kościołów.

* *

*

(1) Roku 1548 zstąpił 82-letni Zygmunt I do grobu, i tron po nim objął syn jego, Zygmunt August, ożeniony potajemnie z Barbarą Radziwiłłówną, wdową po Gastoldzie, Wojewodzie Trockim. J. U. Niemcewicz tak o nim pisze: „Pan ten do 17go roku przez matkę, królowę Bonę, w towarzystwie samych kobiét trzymany, nie nabył w niém wojennego ducha; wrodzona atoli zdatność, pilność rodziców w wyborze nauczycieli, uczyniły go biegłym w umiejętnościach i językach. Lubił język polski i rozkrzewiał go w Litwie; kochał nauki, krasomówstwo, poezyą, nadobne kunszta. Pozostały nam do dnia dzisiejszego głos jego na sejmie uniowym, świadczy jego przywiązanie do Polski, jego wymowę, umysł szlachetny i od wszelkich wolen przesądów. Zachęcał uczonych i uczeni pod berłem jego kwitnęli.“ *(P. t.)*.

W tym samym czasie okoliczność trafunkowa przyśpieszyła znacznie upowszechnienie się zasad protestantyzmu w całéj Polsce. Studenci krakowscy, czując się obrażonymi przez służących rektora uniwersytetu, będącego dygnitarzem kościoła, i nie otrzymując zadość uczynienia, opuścili w massie akademią krakowską i udali się do uniwersytetów zagranicznych, szczególniéj do Goldberga (na Szląsku) i do Królewca. Większa ich część wróciła potém do kraju mocno przesiąkła zdaniami protestanckiemi (1).

* *
*

Kiedy Stadnicki w Dubiecku (2) urządził nabożeństwo według wyznania ewangelicko-reformowanego, i biskup za to skazał go zaocznie na śmierć cywilną i utratę dóbr, wzmógł się w całéj Polsce krzyk oburzenia i sejm roku 1552 uchwalił, że wprawdzie duchowieństwo może stanowić: czyli nauka jaka jest prawowierna lub nie? ale że nie może wymierzać żadnéj kary świeckiéj, na tych, których-by zdania potępiło. Została więc u nas wolność religijna prawnie ustanowiona wtedy właśnie, kiedy w innych krajach, nawet protestanckich, nie cierpiano, oprócz religii panującéj, żadnéj innéj.

* *
*

Król Zygmunt August, monarcha światły i przejęty zasadami tolerancyi, dawał do zrozumienia, iż sprzyja nauce reformatorów. Pisma Kalwina czytał mu i tłumaczył Lismanini. Przyjmował nader życzliwie listy, które Kalwin

---

(1) Kto dopiéro temu wypadkowi przypisuje reformacyą w Polsce myli się w rachubie o blisko lat 150. *(P. t.)*.

(2) Teraz w Galicyi, nad Sanem, w obwodzie Sanockim. Miejsce urodzenia naszego Krasickiego. *(P. t.)*.

do niego pisywał, i otoczony był protestantami lub mężami sprzyjającemi reformie kościoła. Do tych ostatnich należeli między innemi: Andrzej Frycz Modrzewski, i Franciszek Krasiński, który był razem z królem wychowanym, odbył nauki pod *Melanchthon*'em i został biskupem krakowskim.

List, który papież Paweł IV r. 1556 posłał do Zygmunta Augusta przez Lippomaniego, zawiéra pomiędzy wieloma innemi wyrzutami, i te: «Mianowałeś bez potwierdzenia stolicy apostolskiéj biskupa z Chełmna biskupem Kujawskim, chociaż tenże jest zarażony najobrzydliwszemi błędami. Wojewoda Wileński (książę Radziwiłł), heretyk, obrońca i naczelnik herezyi, obsypany jest przez Ciebie najpiérwszemi dostojeństwami w kraju. Jest kanclerzem litewskim, wojewodą wileńskim, najściślejszym przyjacielem królewskim w publiczném i prywatném pożyciu, i można go uważać niejako za Regenta królestwa, za drugiego monarchę. Obaliłeś jurysdykcyą kościoła, i przez uchwalę sejmu, pozwoliłeś każdemu mieć kaznodzieję i nabożeństwo, jakie sobie wybierze. Jan Łaski (1) i *Vergerio* przybyli na Twój rozkaz do kraju. Dałeś mieszkańcom Elbląga i Gdańska upoważnienie do zniesienia u nich religii rzymsko-katolickiéj.» i t. d.

* *

*

Zwołany przez Lippomaniego synod rzymsko-katolicki do Łowicza (1556) skazał na spalenie Dorotę Łazecką, młodą dziewczynę, i żydów, którym ona miała sprzedać hostyą.

(1) Jan Łaski, brataniec Arcybiskupa gnieźnieńskiego, kanclerza W. koronnego i wydawcy „Statutu Łaskiego," zostawszy protestantem, urządzał kościoły reformowane w Fryzyi i w Anglii, gdzie dotąd pamięć jego wielce jest czczona. Roku 1556 wrócił do Polski, został Seniorem, i był jednym z głównych tłumaczów sławnej biblii Radziwiłłowskiéj. Pracę tę podzielali z nim Trzecieski, Krowicki, Jakub z Lublina, Blandrata, i inni. *(P t.)*.

Wyrok ten nie mógł być wykonanym bez potwierdzenia królewskiego. Biskup Przerębski, podkanclerzy koronny, przedstawił królowi rzecz w takiém świetle, że Myszkowski, jeden z piérwszych dygnitarzy korony, który był protestantem, tylko obecnością króla wstrzymał się od wybuchu oburzenia. Wykazał on całą niesprawiedliwość i niedorzeczność skargi. Król wydał rozkaz do starosty Sochaczewskiego, aby oskarżonych uwolniono. Ale podkanclerzy przyłożył bez wiedzy monarchy pieczęć, i posłał rozkaz natychmiastowego wykonania wyroku synodalnego. Król dowiedziawszy się o tém, wysłał kuryera, aby zapobiedz nieszczęściu; ale już było za późno. Zgroza cały kraj przejęła, i Lippomani, widząc nawet życie swe w niebezpieczeństwie, Polskę opuścił.

* *

*

Mikołaj Radziwiłł Czarny, był-to człowiek genialny, którego zdolności umysłowe rozwinęło staranne wychowanie a wzbogaciły długie podróże. Kiedy król Zygmunt August zaślubił jego stryjeczną siostrę, Barbarę Radziwiłłównę, zawiązały się pomiędzy nim a Zygmuntem najpoufalsze stosunki. Był Radziwiłł kilka razy ambassadorem do cesarzów Karola V i Ferdynanda I. Piérwszy nadał mu godność książęcą. Zawdzięczał to Prażanom, iż około r. 1553 przyjął wyznanie ewangelicko-reformowane. Wpływ jego na Litwę był ogromny; użył go na upowszechnienie reformacyi. Prawie cała szlachta i najpiérwsze familie kraju nawróciły się massami na wyznanie ewangelicko-reformowane (1). Na

---

(1) Łukaszewicz w „Dziejach kościołów wyznania helweckiego w Litwie,“ (Poznań, 1842, tom I, str. 15) pisze: „Zapał do reformacyi rozszérzył się z Litwy właściwéj po Białej Rusi, Polesiu i Żmudzi. Wszystka niemal szlachta katolicka w Litwie i bardzo wielka część szlachty, trzymającej się nauki kościoła wschodniego, zmieniła wiarę. Takowemu rozgałęzieniu nagle-

Żmudzi nie pozostało, jak tylko 8 księży katolickich (1). I miasta różne przyjęły reformacyą. Radziwiłł wybudował w Wilnie *collegium* reformowane i wspaniały kościół; wspaniałomyślnie otworzył kassę swoją dla różnych uczonych protestanckich, i kazał swoim kosztem przetłumaczyć i w Brześciu litewskim (2) roku 1563 wydrukować piérwszą biblią protestancką w języku polskim i inne dzieła religijne.

Radziwiłł byłby, jak się zdaje, wpływem swoim skłonił Zygmunta Augusta do przyjęcia protestantyzmu; atoli, nieszczęściem, umarł w sile wieku, dnia 28 Maja 1565.

* *
*

Śmierć Radziwiłła była stratą niewynagrodzoną dla sprawy reformacyi na Litwie. Ta ostatnia znalazła jednak obrońcę w jego stryjecznym bracie a rodzonym bracie zmarłéj królowéj Barbary. Był nim Mikołaj Radziwiłł, zwany Rudym, dla odróżnienia go od Radziwiłła poprzedniego, którego, dla włosów czarnych, zwano Czarnym. Radziwiłł Rudy był Hetmanem polnym litewskim i odznaczał się znajomością sztuki wojennéj. Po śmierci stryjecznego brata został wojewodą wileńskim. Nawrócony przez niego na wyznanie ewangelicko-reformowane, okazał się godnym brata, fundując kościoły i szkoły, i uposażając je nadaniami wieczystemi. Potomkowie Radziwiłła Rudego pozostali wszyscy protestantami aż do wygaśnięcia ich linii (3).

---

mu kalwinizmu po Litwie sprzyjał bardzo pobyt w Wilnie, w r. 1552, Zygmunta Augusta."

(1) „Ledwie część 10ta całéj Litwy trwała w obrządku łacińskim." (Bandtkie, Dzieje królestwa polskiego. Wrocław, 1820, t. II, str. 203).

(2) Radziwiłł będąc starostą Brzeskim, sprowadził tu umyślnie Bernarda Wojewódkę, drukarza z Krakowa, poniósł koszta druku 10,000 (teraźniejszych około 100,000) złp. i przepyszne wydanie ofiarował Zygmuntowi Augustowi. *(P. t.)*.

(3) Tu wypada wspomnieć o wcieleniu się Inflant do Polski. Zakon rycerski Mieczowców, zjednoczony od dawna z zakonem krzyżaków niemiec-

*

Duchowieństwo chciało, aby osoby, klątwą kościelną dotknięte, uważane były za cywilnie umarłe. Ale uchwały z r. 1562, 1563, 1565 postanowiły, że wyklęci niémają doznawać żadnego uszczerbku w cywilnych prawach swoich.

Jeszcze na sejmie z r. 1559 Ossoliński uczynił był wniosek, aby biskupi przestali być członkami senatu, ponieważ przysięga wierności, którą wykonywają Rzymowi, nie daje

---

kich, ciągle się w Inflantach jeszcze utrzymywał. Ale wkrótce po przejściu Prus Wschodnich na wyznanie ewangelickie, nauka ta i tu rozszérzać się zaczęła. Święcki (w tomie II, na str. 252) pisze: „Zagrożony od 130,000 Rossyan Gotard Ketler, Mistrz“ (krzyżaków Inflanckich) „udał się do Krakowa i tam traktat zawarł... Stany polskie nie życzyły sobie wplątać się w wojnę z Rossyą i nie bardzo chętnie na przyłączenie Inflant patrzały. Król Zygmunt August siłami saméj Litwy przedsięwziął zamiar swój do skutku doprowadzić... Rozlegał się już széroko oręż rossyjski po Inflantach, Szwedzi zajęli Rewel i Estonią. Postanowił więc Gotard Ketler, Mistrz, w roku 1561 dnia 28 Listopada w Wilnie zdziałać akt ostatecznego poddania się Inflant Królowi polskiemu i W. Książęciu litewskiemu Zygmuntowi Augustowi, pod temi warunkami: 1) Król Polski żadnéj odmiany w wyznaniu augsburskiém, w Inflantach kwitnącém, nie zdziała; 2) urzędników narodowych i język niemiecki zachowa; 3) szlachcie wszelkie przywileje potwierdzi i dobra lenne w dziedziczne przemieni; 4) Mistrz krzyżacki Gotard Ketler stan swój duchowny odmieni; Kurlandyą i Semigalią z tytułem lennego księstwa, hołdującego królestwu polskiemu, tak jak Prusy, dla siebie i potomków swoich, obejmie, a tymczasowo tylko, rząd Inflant otrzyma.“ i t. d. „W moc więc takowéj umowy zjechał z polecenia królewskiego na początku roku 1562 do miasta Rygi Mikołaj książę Radziwiłł na objęcie Inflant; tam publicznie na zamku Gotard Ketler, ostatni Mistrz, w zabranym głosie Inflantczyków od posłuszeństwa swego uwolnił. Habit krzyżacki, płaszcz biały, togę złotą, krzyż złoty, pieczęć wielką, i inne dostojeństwa ozdoby, dyploma cesarskie, archiwa rycerstwa krzyżackiego i szlachty Inflanckiéj, nakoniec klucze od miasta Rygi na ręce pełnomocnika polskiego złożył. Książę Radziwiłł, imieniem królewskiém, mianował go książęciem Kurlandyi i Semigalii, i przyjął przysięgę dla króla polskiego od wszystkich stanów Inflanckich.“ *(P. t.)*.

się pogodzić z ich obowiązkami względem kraju. Wniosku tego nie przyjęto; bo spodziewano się, że przyjdzie do ogólnéj poprawy kościoła. Sejm z roku 1563 postanowił rzeczywiście zwołanie w kraju synodu generalnego, na którymby wszystkie wyznania religijne całéj Polski były reprezentowane. Przeszkodził temu kardynał *Commendoni*.

Przywiózł on dekreta soboru Trydenckiego do Polski i starał się sejm z roku 1564 do przyjęcia ich nakłonić. Arcybiskup Uchański miał mowę, w któréj radził, aby książkę przez kardynała ofiarowaną z uprzejmością przyjąć, ale nie udzielać żadnéj stanowczéj odpowiedzi, dopóki jéj król z radą swą nie przeczyta i nie roztrząśnie. Po żywéj rozprawie nie nastąpiła żadna decyzya; lecz tylko kanclerz doniósł kardynałowi, że król dekreta *co do swojéj osoby* przyjął i im się podda (1); ale senat nigdy podobnego oświadczenia nie uczynił, a w izbie poselskiéj dekreta soboru nawet przedstawiane nie były.

Kiedy roku 1564 protestant Erazm Otwinowski oskarżony został o publiczne ubliżenie w Lublinie obrządkom i duchowieństwu katolickiemu, obronił go przed sądem sławny poeta Rej z Nagłowic, gorliwy Reformowany, i tylko wydano ustawę zabraniającą przeszkadzać nabożeństwu, czy-to katolickiemu, czy protestanckiemu. Roku zaś 1565 postanowiono, że duchowny, któryby się zbrodni dopuścił, stawionym być ma przed zwyczajne sądy świeckie, a nie duchowne.

* *
*

Protestanci czyli ewangelicy polscy byli (z początku)

---

(1) „Król podobno przystał na to przyjęcie w nadziei, że kardynał rozwód jego popierać będzie z Katarzyną austryacką. Żadna konstytucya sejmowa uchwał soboru Trydenckiego nie potwierdziła. (J. S. Bandtkie, Dzieje kr. pol. Wrocław, 1820. t. II, str. 168). (*P. t.*).

trojakiego wyznania: jedni należeli do wyznania Braci czeskich(1), drudzy byli Ewangelicy Reformowani, trzeci wyznania ewangelicko-augsburskiego. Bracia czescy, którzy byli najliczniejsi w Wielkiéj Polsce, połączyli się roku 1555 na synodzie w Koźminku (2) z Ewangelikami reformowanemi (przezwanemi Kalwinami) (3), których liczba przeważała na Litwie i w Małéj Polsce, i którzy liczyli w gronie swojém najznaczniejsze rodziny kraju (4). Trudniejsze było zjednoczenie się

(1) Ob. str. 483.

(2) 3 mile na wschód od Kalisza. Zjednoczenie to wzmocniono na synodzie w Wodzisławiu (wówczas Lanckorońskich) r. 1557; potém na synodzie w Xiążu (wówczas Bonarów) r. 1560, gdzie się i Reformowani litewscy z koronnymi połączyli. *(P. t.)*.

(3) Ani Zwingli, ani Luter, ani Kalwin nie tworzyli żadnéj *nowéj religii*, żadnéj *nowéj wiary*. Wiara, religia u wszystkich Protestantów jest jedna: *nauka Chrystusowa według ewangelii*; dla tego téż wszystkich zowią także *Ewangelikami*. Dopiéro w tłumaczeniu i zastósowaniu słów i zasad ewangelii, jedni jak *Luther*, bliżéj, drudzy jak *Zwingli* i Kalwin daléj od Rzymu się odsunęli. Są więc *różne wyznania* jednéj i téj saméj religii Chrystusowéj. Jednych wyznanie, przedstawione na sejmie w Augsburgu, zostało późniéj przez cesarza przyjęte; lecz zarazem w dalszém rozwinięciu na długi czas zatamowane. Inni swoich badań ewangelii tyle nie krępowali, i liczne wyznania ich są tylko świadectwem, jak daleko w czasie wyjścia tych konfessyj, badanie i zastósowanie ewangelii były się już u tych Protestantów posunęły. Ci więc, którzy usiłowali na téj drodze ciągle daléj postępować, otrzymali, z piérwszeństwem przed innymi Protestantami nazwę „*Reformowani.*“ A gdy pierwszym ich nauczycielem był *Zwingli*, nie Kalwin; gdy ani do napisania 1go wyznania helweckiego z r. 1536, ani drugiego z r. 1566, Kalwin wcale nie należał; gdy Kalwin zajął się wprawdzie uorganizowaniem zewnętrznem wyznania ew.-reformowanego, lecz nie pojął głownéj zasady nauki ewangelicznéj i protestantyzmu, jak postąpienie jego z *Servet*'em dowodzi: przeto zupełnie niewłaściwie jest nazywać Ewangelików reformowanych *Kalwinami*, i słusznie na to uwagę J. Łukaszewicza zwrócono. To, co o wyznaniu ew.-reformowaném napisał *Bossuet*, nie stósowało się już do Ewangelików reformowanych wieku XVII; tém mniéj może się stósować do Reformowanych teraźniejszych. *(P. t.)*.

(4) „Zasady reformacyi rozszerzyły się już niezmiernie po całym kraju

tych dwóch połączonych wyznań z Ewangelikami augsburskimi, którzy oprócz rodzin Górków, Zborowskich, i innych, mieli najwięcéj współwyznawców w miastach, pomiędzy mieszkańcami pochodzenia niemieckiego.

---

pomiędzy szlachtą i możnowładzcami, mało ważącymi sobie stan duchowny, który się także tu i owdzie z skłonnością swoją ku nowościom religijnym nie taił. Do tego sam Zygmunt August chwiał się coraz bardziéj w wierze, wiedziony ku temu od polubieńców swoich książąt Radziwiłłów, od Modrzewskiego, Lismanina, a nawet od podkanclerzego Przerębskiego, którego biskupi polscy nie nadaremnie o sprzyjanie różnowiercom winili.“ (Łukaszewicz, Dzieje k. wyzn. helw. w d. Mał. Pol. str. 16). „Nowe te zbory w Małéj Polsce, do któréj w rozleglejszém znaczeniu, Ruś Czerwoną, Podole, Ukrainę i Wołyń liczono, powstawały nie tylko z kościołów katolickich; ale nawet z cerkwi prawosławnych“ (unii wówczas jeszcze nie znano), „jak to powiada Benedykt Herbest w „Chrześcijańskiéj Odpowiedzi“ wydanéj r. 1567.“ (tamże str. 20). „Nowych tych zborów namnożyło się najwięcéj około 1560 r.; albowiem około tegoż samego czasu rozszérzył się najbardziéj i protestantyzm po całéj Polsce i Litwie. Kalwini małopolscy odpowiadając Kromerowi na jego „Mnicha“ — cieszą się i chełpią z tego, że ich światło ewangelii świętéj rozlało się po wszystkich zakątkach kraju.“ (tamże str. 20). W szczególności o Pinczowie (między Kielcami a Wiślicą) Święcki (t. I, str. 180) pisze, iż tu Mikołaj Oleśnicki dał schronienie sławnemu *Stancar*'owi, przez biskupa krakowskiego w zamku Lipowcu uwięzionemu. „Oleśnicki ośmielił się z klasztoru miejsce schadzki dla nowowprowadzających sektę założyć. Zapozwany został o to przed trybunał królewski na naleganie biskupa, i zaledwo poważnem zdaniem wielkiego Tarnowskiego obroniony. Tenże Oleśnicki 1550 r. kościół dla nowéj sekty tu zbudował i przytułek wszystkim pod ten czas uczonym, za nowemi zdaniami idącym, dał. Tu więc Jan Łaski, Jérzy Blandrata, Franciszek Lismanini, Grzegorz Pauli, Trzecieski Andrzéj i inni liczni uczeni składali „Ateny Sarmackie.“ Tu psalmy i himny dla ludu ułożone. Tu pismo święte piérwszy raz przez to zgromadzenie na język polski wyłożone, które Mikołaj Radziwiłł Czarny, założywszy drukarnią w Brześciu litewskim i przełożywszy nad nią Wojewódkę z Krakowa“ (1563) „wydrukować swym kosztem kazał.“ (str. 181). — Drugie tłumaczenie pisma świętego uskutecznił Marcin Janicki. Piérwszą postyllę ewangelicką polską wydał sławny nasz poeta Rej z Nagłowic (wsi między Kielcami a Szczekocinami), który także psalmy Dawida przetłumaczył. *(P. t.)*.

* * *

Do powyższych 3 wyznań protestanckich, znanych i za granicą, przybyło w Polsce jeszcze czwarte: Anti-trinitaryuszów (Unitaryuszów).

Dzieła *Servet*'a (1) miały tu bardzo wiele czytelników. Leliusz *Sozzino (2)*, który roku 1551 po Polsce podróżował, był zasiał nasiona téj nauki, a *Stancari*, uczony Włoch i professor akademii krakowskiéj, pracował w tym samym duchu. Ale piérwszy, który z zdaniem anti-trynitarskiém publicznie wystąpił, był Piotr z Goniądza czyli Goniądzki (3). Już na synodzie ewang. reformowanym roku 1556 w Seceminie (4) twierdził on, że, według jego zdania, nauka o trzech osobach w Bogu nie jest oparta na ewangelii, i nie przyjmował Atanazyjskiego wyznania wiary. Synod nakazał mu milczenie; ale Goniądzki znalazł zwolenników swojéj nauki, z których najgorliwszym był Jan Kiszka z Ciechanowca, ogromnie bogaty i wielki wpływ mający magnat litewski (5). Ten czynnie zajmował się zakładaniem zborów Anti-trinitarskich, i Goniądzkiego na kaznodzieję zboru (6) w mieście swojém Węgrowie (7) powołał. Goniądzki w twierdzeniach swoich przeszedł *Arius*'a i *Servet*'a. Wkrótce zdania jego religijne podzielali różni mężowie odznaczający się talentem i stanowiskiem, w społeczeństwie zajmowaném, jak np. Mar-

(1) Ob. notę na str. 499.

(2) Wymawia się: Socyno. Włoch z Florencyi. *(P. t.)*.

(3) Goniądz, miasteczko między Łomżą a Grodnem, w Białostockim. *(P. t.)*.

(4) Secemin, miasteczko między Kielcami a Częstochową. *(P. t.)*.

(5) Spokrewniony z Radziwiłłami; zięć Konstantego księcia Ostrogskiego. *(P. t.)*.

(6) Wyraz „zbór“ wzięty z „Dziejów Apostolskich,“ oznacza razem kościół i gminę chrześcijańską. *(P. t.)*.

(7) Węgrów, miasto w Podlaskiém, na północ od Siedlec. *(P. t.)*.

cin Czechowicz, Piotr Stoiński, Jérzy Blandrata (1), i nowa nauka rozszérzyła się z taką szybkością, że wkrótce zagrażała upadkiem wyznaniu helweckiemu (2).

Po roku 1562, w którym na synodzie reformowanym w Piotrkowie, Grzegorz Pauli, Stanisław Lutomirski i inni zupełnie się odłączyli, Zbór ewang. reformowany w Pinczowie przyjął zasady Anti-trinitaryuszów. Na synod 1563 w Mordach, na Podlasiu (3), przybyło już 42 duchownych tegoż wyznania. Roku 1565 «kościół *mniejszy* reformowany polski» już się uorganizował (4). Miał oddzielne swe synody, szkoły i urządzenia kościelne. Dla zapobieżenia wybujaniu ich nauki, napisał Andrzéj Frycz Modrzewski, na rozkaz króla Zygmunta, dzieło swe «*Sylvae*» (1568). W Sączu (5) Stanisław Farnowski miał liczną gminę, i sławną szkolę, pod opieką starosty Mężyńskiego. Wojewoda podolski, Jan Sieniński, ewangelik reformowany, założył był r. 1569 miasto Raków, które z powodu swobody religijnéj wkrótce tak się wzmogło, iż się stało jedném z najznakomitszych w Polsce (6).

* * *

---

(1) Włoch z Piemontu. Poseł Batorego do Polski, w czasie wyboru króla tego. Główny rozkrzewiciel Anti-trynitaryzmu w Siedmiogrodzkiéj ziemi. *(P. t.)*.

(2) „Ślady téj nauki znajdujemy na Litwie już około 1558 r. — Mogła nawet być produktem *krajowym*. Rozszérzyła się w oka mgnieniu po Litwie... i przyległych prowincyach. W Litwie najbardziéj się rozszérzyła w Nowogrodzkiém i Brzesko-litewskiém województwie.“ (Łukaszewicz, Dzieje k. wyzn. helw. w Litwie, t. I, str. 26, 27, 31). *(P. t.)*.

(3) Mordy, 2 mile na wschód od Siedlec.

(4) Nowi wyznawcy nazywali się sami „Bracią Polską, albo Unitaryuszami.“ (Bandtkie, t. II, str. 166). *(P. t.)*.

(5) Nowy Sącz (Sandec), miasto obwodowe, pod Karpatami, nad Dunajcem, na południe od Bochni.

(6) I główném siedliskiem „Braci polskich.“ Raków, pomiędzy Kielcami a Sandomierzem. *(P. t.)*.

Roku 1569 nastąpiło na sejmie Lubelskim owo sławne zjednoczenie Korony z Litwą; Zygmunt August zrzekł się dziedziczności tronu na Litwie, i oba narody otrzymały wspólny sejm, z wyborem monarchy dla obu krajów. Kiedy więc wtedy Zygmunt August objawił życzenie połączenia się wyznań protestankich, nastąpiło nareszcie na synodzie w Sandomiérzu dnia 14 Kwietnia 1570 owo polityczne zjednoczenie się trzech wyznań: reformowanego, Braci czeskich i augsburskiego, znane w dziejach reformacyi pod nazwiskiem *Consensus Sandomiriensis* (1).

* *
*

Wpływ magnatów protestanckich sprawił, iż król Zygmunt August w dniu 8 Sierpnia 1569 udzielił pozwolenie wybudowania kościoła reformowanego w samym Krakowie, a to wraz z szkołą, szpitalem i cmentarzem.

Kościoły ewangelicko-reformowane dzieliły się na 8 powiatów: Krakowski, Sandomiérski, Zatorski i Oświecimski, Lubelski i Chełmski, Rusi czerwonéj i Podola, Bełski, Wołyński i Kijowski. Niepodobna jest podać liczby kościołów reformowanych w Małéj Polsce w najświetniejszym ich czasie; musiała atoli być znaczną, bo np. cała szlachta w obszérnych powiatach Xiąskim i Proszowickim była wyznania ewangelicko-reformowanego tak dalece, że rzéka Srzeniawa

---

(1) Zgoda Sandomiérska. Na zgodzie téj są podpisani: Stanisław Myszkowski, wojewoda krakowski; Piotr Zborowski, wojewoda sandomiérski, Stanisław Bniński, imieniem Łukasza Górki, wojewody poznańskiego i Jana Tomickiego, kasztelana gnieźnieńskiego; Stanisław Chrząstowski, Zygmunt Myszkowski, Erazm i Mikołaj Glicznerowie, Andrzéj Prażmowski, Szymon Teofil Turnowski (którego gorliwością głównie Zgoda sandomiérska przyszła do skutku), Stanisław Sarnicki, Paweł Gilowski, Stanisław Karmiński, Walenty Brzozowski, Piotr Tarnowski, Prokop Broniewski, i inni tak duchowni, jak świeccy. *(P. t.)*.

która tamtędy płynie (1), zwaną była «Rzéką Protestancką.» Jezuita Skarga twierdzi stanowczo, że protestanci polscy (wszelkich wyznań) odjęli kościołowi katolickiemu 2,000 kościołów; a mianowicie 600 w dyecezyi krakowskiéj, blisko 500 w dyecezyi wileńskiéj, i ogromną liczbę w innych prowincyach. Gminy kościelne składały się prawie wyłącznie ze szlachty. Zaniedbała ona włościan swoich uczyć wyznania protestanckiego; i to zaniedbanie jest główną przyczyną upadku protestantyzmu w Polsce. Kościoły reformowane na Litwie podzielone były na 6 powiatów: Wilno, Nowogródek, Zawilejka, Podlesie, Żmudź i Biała Ruś.

W Wielkiéj Polsce kościołów reformowanych najwięcéj było w Kujawach. Ale powoli wcieliły się wszystkie do gmin Braci czeskich, którzy (jak nadmieniłem) mieli w Wielkiéj Polsce do 80 kościołów (2).

* *

*

Najznakomitsze rodziny Polski, które w wieku XVI stały się protestanckiemi, i które wszystkie zajmowały najpierwsze dostojeństwa w kraju, są: Radziwiłłowie, Zamojscy (3),

---

(1) Leżą na niéj: Miechów, Słomniki, Proszowice.

(2) Prusy Królewskie po większéj części, a Inflanty prawie całe przeszły na wyznanie ewangelicko-augsburskie. *(P. t.).*

(3) Łukaszewicz w dziele, na str. 496 powołaném pisze (na str. 433), że Stanisław Zamojski, Łowczy ziemi chełmskiéj, a ojciec slawnego Jana Zamojskiego, będąc wyznania ewangelicko-reformowanego, około roku 1551 kościół reformowany w Starym Zamościu założył. Święcki (t. I, str. 24) donosi o Wielkim Janie Zamojskim, iż tenże „jak świadczy Węgierski, protestantem“ (r. 1541) „urodził się, i wyjeżdżając za granicę 18-letni młodzieniec przez ojca swego, Stanisława Zamojskiego, Łowczego chełmskiego, na synod do Bychawy“ (na zachód od Krasnego Stawu) „1560 r. przywiedziony, miał tamże wyborną mowę; i dopiéro w Padwie, we Włoszech, wyznanie odmienił.“ *(P. t.).*

Potoccy (1), Leszczyńscy (2), Sapiehowie, Ostrorogowie, Oleśniccy, Sienińscy, Szafrańcowie, Tenczyńscy, Ossolińscy, Jordanowie, Zborowscy, Górkowie, Mieleccy, Łascy, Chodkiewicze, Melsztyńscy, Dembińscy, Bonarowie, Firlejowie, Tarłowie, Lubomirscy, Działyńscy, Sieniawscy, Zarembowie, Małachowscy, Bnińscy, Wielopolscy, itd. itd. (3).

---

(1) „W Kamieńcu podolskim Mikołaj Potocki, generał ziem podolskich, starosta kamieniecki, żarliwy zwolennik nauki Kalwina, założył na zamku zbór Kalwiński.“ (Łukaszewicz, w dziele na str. 496 powołaném, str. 343). „Paniowce, wieś w województwie dawném Podolskiém, własność w XVI wieku Jana Potockiego, wojewody bracławskiego, żarliwego zwolennika nauki Jana Kalwina, który we wsi téj nietylko zbór swego wyznania; ale i szkołę i drukarnią założył“ (tamże, str. 391). Oprócz tego Potoccy założyli kościoły ew.-reformowane w Goździcu, Kobielanach, Potoku, i t. d. (tamże, str. 336, 345, 397).

(2) Rafał Leszczyński, kasztelan przemętski, potomek owego Wacława na Lesztnie, który bronił Husa (ob. wyżéj na str. 457), założył miasto Leszno (Lissa) w Wielkiéj Polsce, przyjął wyznanie Braci Czeskich, i odtąd stało się Leszno główném siedliskiem protestantów Wielko-polskich, gdzie mieli szkołę, drukarnią i seminaryum. *(P. t.)*.

(3) Łukaszewicz w dziele powołaném na str. 452 poświęca 9 stronnic rozdziału XIV Spisowi alfabetycznemu ówczesnéj szlachty Wielkopolskiéj wyznania Braci czeskich lub téż helweckiego, dodając, iż spis ten obejmuje małą tylko jéj cząstkę. Są tam między innemi: Bielscy, Borzęccy, Bronikowscy, Czaccy, Dąbrowscy, Dąbscy, Dębowscy, Drzewieccy, Goreccy, Grabowscy, Grothusy, Jarochowscy, Karczewscy, Kurnatowscy, Łaszczyńscy, Łąccy, Łęscy, Masłowscy, Mycielscy, Niemojewscy, Noskowscy, Ostrowscy, Orzelscy, Pawłowscy, Rogozińscy, Romiszewscy, Rostworowscy, Rusoccy, Rybińscy, Sierakowscy, Skarbkowie (herbu Habdank), Trepkowie, Węgierscy, Wielowiejscy, Wiesiołowscy, Zajączkowie, Ziemięccy, Zychlińscy, itd. itd.

W dziele Łukaszewicza, na str. 496 powołaném, czytamy pomiędzy Ewangelikami reformowanemi w Małéj Polsce, wymienionych (oprócz tylu innych): Bobrownickich, Brzezińskich, Buczackich, Duninów, Gołuchowskich, Janickich, Jazłowieckich, Lanckorońskich, Maciejowskich, Myszkowskich, Orzechowskich, Petroselinów, Pileckich, Prażmowskich, Rejów (sławny poeta Mikołaj Rej z Nagłowic, założył kościoły ew.-reformowane w Nagłowicach,

* *
*

Rodziny te założyły wiele szkół i znaczną liczbę drukarń (1). Duchowe obudzenie się, będąc skutkiem reformacyi, wzmogło silnie uprawę nauk i umiejętności. Oprócz

---

koło Jędrzejowa, w Oksy i w Rejowcu), Rożyckich, Russeckich, Sarnickich, Sieniawskich (Mikołaj Sieniawski, wojewoda ruski, założył kościół ew.-reformowany we Lwowie), Stadnickich, Suchodolskich, Szydłowieckich, Tomickich, Turskich, Trzecieskich, Wieległowskich, Wielowiejskich, Zaborowskich, Żeleńskich, Żółkiewskich (Ojciec hetmana, Stanisław Żółkiewski, wojewoda ruski, zostawszy Ewangelikiem reformowanym, oddał kościół w Żółkwi temuż wyznaniu), itd.

Co do Litwy, powołane na str. 503 dzieło Łukaszewicza, objaśnia (t. I, str. 16), iż do najznakomitszych rodzin litewskich, które zostawszy ewang: reformowanemi, nadały w téj stronie nowemu wyznaniu swemu przewagę, należą (oprócz Radziwiłłów): Kiszkowie, Chodkiewiczowie, Chlebowiczowie, Sapiehowie, Sluszkowie, Zawiszowie, Wiśniowieccy, Wojnowie, Pacowie, Wołłowiczowie, Ogińscy, Zienowiczowie, Książęta Pruńscy, Hołowczyńscy, Naruszewiczowie, Talwoszowie, Drohostajscy, Puzynowie, Szemiotowie, Grużewscy, Górscy, itd. Z sławniejszych uczonych tego wyznania na Litwie wylicza Łukaszewicz: Andrzeja Wolana, Jana Łasickiego, Piotra Kochlewskiego i Mikołaja Paca. A z licznego szeregu imion litewskich Reformowanych, przytaczamy: Grabowskich, Krasińskich, Stryjeńskich, Bronikowskich, Goluchowskich, Lipińskich, Kępińskich, Mikuliczów, Konarskich, Estków, Hubów, Mackiewiczów, Petroselinów, itd. *(P. t.)*.

(2) Łukaszewicz w dziele, na str. 503 powołaném (t. II, str. 156) powiada: „Protestantyzm, wynikły z wskrzeszonéj i upowszechnionéj oświaty, niemógl zaniedbywać wychowania młodzieży; jakoż w każdym kraju, do którego się tylko przedarł, zakładał natychmiast szkoły. Podobnież robił i w Litwie. Tu już w r. 1539 A. Kulwa, pierwszy apostoł reformacyi w tym kraju, otworzył w Wilnie szkołę na 50 uczniów. — Do najznamienitszych szkół należały: w Wilnie, Kiejdanach, Słucku, Birzach, Brześcin litewskim, Nieświeżu, Siemiatyczach, Szydłowie i Zabłudowie.“ Święcki (t. I, str. 23) wylicza drukarnie polskich protestantów w całym kraju, od Wschowy do Zasławia, Słucka i Paniowiec. (Ob. oraz Józefa Łukaszewicza: „Historya szkół w Koronie i W. X. litewskiém. 4 tomy. Poznań. 1849“). *(P. t)*.

łaciny, zgłębiano i greczyznę (1). To wszystko wywarło szczęśliwy wpływ na literaturę narodową, która nadzwyczajnie wzrosła i wydała znaczną liczbę dzieł we wszystkich rodzajach nauk, tak w języku polskim, jak i łacińskim. Swoboda religijna, korzyści handlowe i obszérne pole, jakie wtedy u nas otwiérało się dla talentów wszelkiego rodzaju, sprowadziły do Polski mnóstwo cudzoziemców, uciekających z swéj ojczyzny, z powodu prześladowań religijnych (2).

---

(1) Oryginał nowego testamentu jest (jak wiadomo) napisany po grecku. Tylko ewangelia Mateusza jest w języku hebrajskim. *(P. t.)*.

(2) Dnia 10 Lipca 1571 na sejmie Warszawskim ogłosił Zygmunt August. iż żadnego pozwu *pro hæresi*, albo *de religione* znać i przyjmować nie chce, Wiekopomna ta ustawa nastąpiła w 50 lat od listu, którym Ferdynand *Cortez*, co odkrył Mexyk, doniósł był o podbiciu tego kraju césarzowi Karolowi V w słowach: „Dzięki niech będą Bogu Najwyższemu, wymordowaliśmy 100,000 tych pogan, Mexykanów.“ Było to lat 13 od śmierci Maryi, królowéj angielskiéj (1558), która wprowadzając na powrót w całym kraju katolicyzm, przez 5 lat poddanych swych, za radą *Commendoni*'ego, paliła i ścinała. Było-to we 4 lata po tém, jak w Szkocyi Marya *Stuart* chorego męża swego *Darnley*'a, prochem w powietrze wysadzić dozwoliła (1567) i zaraz mordercy jego, *Bothwell*'owi, rękę swoją oddała. Było-to we 3 lata po tém, jak Jan, ojciec naszego Zygmnnta III, strącił z tronu okrutnego brata swego Eryka IV (1568) i uwięził go, aby go następnie trucizną zgładzić ze świata. Było-to za rządów Filipa II, który własnego syna, *Don Carlos*'a, skazał na śmierć (1568), i za którego tysiące ofiar inkwizycyi ś. w Hiszpanii i Portugalii, a nawet w Indyach i Ameryce jęczało w wiecznych więzieniach, lub gorzało na stosach. Była-to właśnie epoka tych 5ciu lat (1568 — 1573), w których okrutny wódz Filipa II, książę Alba, po ścięciu w Bruxelli Hr. Egmonta i *Hoorn*'a, mieczem i ogniem nawracał niderlandzkich protestantów, których, jak się sam potém chwalił, 18,000 na rusztowaniu stracić kazał. Było-to tylko na rok przed rzezią w jutrznią ś. Bartłomieja (24 Sierpnia 1572), która w Paryżu przez króla Karola IX i matkę jego, Katarzynę *de Medici*, morderstwem zacnego Admirała *Coligny* rozpoczęta, trwara przeszło miesiąc w całéj Francyi, i skończyła się wymordowaniem mało 100,000 Reformowanych (zwanych tam Hugonotami). Anglia pod Elżbietą (1558 — 1603) przyjmując na powrót wyznanie protestanckie, powoli wra-

* *
*

Stanisław *Hosen* (po łacinie *Hosius*) urodził się roku 1504 w Krakowie; rodzina jego, rodu niemieckiego, doszła do znacznego majątku. Wychowany był w kraju, a potém wysłany do Padwy, do Bolonii, gdzie został doktorem praw. Za powrotem, biskup krakowski, Tomicki, polecił go królowéj Bonie, która go wzięła pod swoją protekcyą. Zygmunt I mianował go kanonikiem krakowskim, biskupem w Chełmnie, wreszcie biskupem Warmińskim. Bezowocnie walczył tu *Hosen* przeciw szérzeniu się nauki Lutra, która pomimo wszelkich jego usiłowań, szybko się w Prusach polskich rozszérzyła i wnet stała się wyznaniem większości. Żaden prałat katolicki nie walczył przeciw reformacyi z takim zapałem, jak *Hosen* (Hozyusz). Rozwinął on w téj walce czynność i talent, równe swéj gorliwości. Z jednakową łatwością pisał po łacinie, po niemiecku i po polsku, i najzręczniéj zastósowywał styl swój do smaku swoich czytelników (1). Nie robił sobie żadnego skrupułu powtarzać ró-

cała do siebie. W Niemczech umysły religijną nienawiścią wzburzone, hamował tylko strach przed Turkami, którzy już *Szigeth*'u w Węgrzech szturmem dobyli. Śród takich okropności, jedna tylko ludna i rozległa Polska jaśniała światłem i pokojem, a co większa, wzrastała w cnoty chrześcijańskie. *(P. t.)*

(1) Jezuita Balbinus czyni uwagę, iż śmierć Prokopa (ob. wyżéj na str. 478) sprawdziła słowa cesarza Zygmunta: „Że Czesi nie mogą być pokonani, jak tylko przez Czechów." Podobnego zdania był Hozyusz, kiedy wróciwszy roku 1564 z soboru Trydenckiego, zakończonego potrójnym okrzykiem: „Przeklęci wszyscy heretycy!", odradził Zygmuntowi Augustowi wykonanie uchwały sejmowéj z tegoż roku 1564, wywołującéj Aryanów t. j. „Braci Polskich" z kraju. Czacki w dziele „O litewskich i polskich prawach" (t. I, str. 303) tak się w téj mierze wyraża: „Hozyusz wniósł, aby *wszystkich* różnowierców wypędzić; a jeżeli to być nie może, żeby *zostawić* Aryanów, dając za przyczynę, iż heretycy, między sobą się kłócąc, *sami siebie* niszczyć będą."

żnemi czasy, że nikt nie jest obowiązany dotrzymywać zobowiązań zaciągniętych względem heretyków, i że nie potrzeba wcale zbijać ich argumentami; ale raczej powagą sądów. Zupełne wyznanie zasad swoich w téj mierze uczynił w liście, który pisał do sławnego kardynała *Guise*, księcia *de Lorraine (1)* z powodu morderstwa *Coligni*'ego, o którém wiadomość napełniła go (jak się wyraził) niewysłowioną radością; że więc dziękuje Bogu za niezmierne dobrodziejstwo, jakie wyświadczył Francyi dając jéj rzeź Ś. Bartłomieja, i że błaga Najwyższego, aby podobną łaskę i Polsce wyświadczyć raczył. *Hosen* przejęty był największą gorliwością dla swego wyznania. Papież Pius IV mianował go roku 1561 kardynałem, i *Hosen* (Hozyusz) został prezesem soboru Trydenckiego (2). Wywiązał się z włożonego na siebie obowiązku z zupełném zadowoleniem papieża. *Rescius (3)* zapewnia, że roku 1570 *Hosen* wymógł na Zygmuncie Auguście stałe przyrzeczenie, niezostania protestantem. Mianowany Wielkim Pokutnikiem kościoła, przepędził *Hosen* ostatnie lata życia w Rzymie, gdzie umarł r. 1579, licząc lat 75.

* *

* *

Hosen (Hozyusz) utrzymywał, że poddani monarchy niemają żadnych praw względem niego; ale że winni mu są ślepe posłuszeństwo; on zaś za żaden czyn swój nie jest odpowiedzialnym, i nikt, bez popełnienia zbrodni, sądzić go nie może (4).

---

(1) *Hosii opera*, str. 340. *(Przyp. autora).*

(2) Długie jego bawienie w Rzymie sprawiło, że go ojciec święty uważał jako Włocha, a nie jako Polaka. (Bandtkie, t. II, str. 168). *(P. t.).*

(3) Reszka, biograf *Hosen*'a. *(P. t.).*

(4) *Hosii opera* str. 640. *(Przyp. autora).*

Takim był człowiek, który widząc, że wszelkie jego usiłowania ku zwalczeniu reformacyi w Polsce są bezowocne, chwycił się innego środka. Wezwał ku swojej pomocy nowo-utworzony zakon Jezuitów, któremu dziwną jego organizacyą, gorliwością i czynnością, a nadewszystko bezwarunkową pogardą wszelkich zasad, które mu w dopięciu celu jego przeszkadzały, udało się uratować katolicyzm od bliskiego upadku w całéj Europie, a nawet przywrócić panowanie jego w różnych miejscach, gdzie już był zniknął.

Wróciwszy roku 1564 z Tryentu *Hosen* (Hozyusz) nader się zmartwił, widząc, jakie postępy protestantyzm uczynił w jego dyecezyi, i prosił sławnego generała Jezuitów *Lainez*, aby mu przysłał kilku członków zakonu. *Lainez* wysłał natychmiast kilku Jezuitów z Rzymu i rozkazał innym, znajdującym się w Niemczech, aby zaraz udali się za nimi. *Hosen* zainstallował tych pożądanych gości w Braunsbergu (1), miasteczku swojéj dyecezyi, i uposażył hojnie zakład nowo-utworzony, który wkrótce miał rozciągnąć korzenie swe po całéj Polsce (2). Próbowano roku 1567 wprowadzić Jezuitów do Elbląga; ale protestanci miasta tego sprzeciwili się tak żywo przypuszczeniu zakonu, przybyłego w jawnym celu wytępienia reformacyi, że *Hosen*, pomimo, iż ubolewał nad zaślepieniem miasta, które tak odrzucało własne swe zbawienie, zmuszony był odstąpić od swego przedsięwzięcia. Jezuici nie czynili z początku szybkich postępów, i dopiero w 6 lat po ich przybyciu do Polski biskup Poznański (Konarski) na naleganie legata papieskiego, usadowił ich w Poznaniu (1572) (3). Starali się oni pozyskać łaski królewnéj

(1) Pomiędzy Królewcem a Elblągiem, w Warmii, r. 1566. *(P. t.)*.

(2) „Byli-to Niemcy, którzy gorliwie pracy się jęli.“ (Michał Wiszniewski „Historya literatury polskiéj“ Kraków, 1844 (t. VI, str. 89). *(P. t.)*.

(3) W Wilnie biskup Protaszewicz oddał im kościół archiprezbyteryalny r. 1570. Do Krakowa dostali się dopiero po śmierci biskupa krakowskiego, Franciszka Krasińskiego (1579). *(P. t)*.

Anny Jagiellonki, siostry Zygmunta Augusta, i ta użyła całego wpływu swego na ich usługę.

* *

*

Zygmunt August, którego jawna przychylność dla reformacyi dawała protestantom nadzieję (jak się zdawało) nie płonną, że pomimo wrodzonéj słabości charakteru, oświadczy się nareszcie za ustanowieniem kościoła narodowego reformowanego, umarł roku 1572.

Piérwszą żoną jego była Elżbieta, córka césarza Ferdynanda I, która umarła roku 1545; drugą była Barbara z ks. Radziwiłłów wdowa po Gastoldzie, zmarła roku 1551. Za namową matki (Bony) Zygmunt otrzymawszy dyspensę z Rzymu, zaślubił Katarzynę, siostrę piérwszéj swéj żony. Ale ta cierpiała chorobę Ś. Walentego i nie umiała pozyskać sobie życzliwości męża. Prymas Uchański był za rozwodem. *Commendoni* sprzeciwił się temu. Tak z śmiercią Zygmunta wygasła dynastya Jagiellonów, która przez 2 wieki w Polsce panowała.

* *

*

Na czele protestantów stał wtedy Jan Firlej, wojewoda krakowski i W. Marszałek koronny. Był gorliwym zwolennikiem wyznania ewangelicko-reformowanego, i jako W. Marszałek, piérwszym urzędnikiem królestwa. Stanowisko jego i popularność nadawały mu wielki wpływ, z czego wielu mniemało, że ma zamiar ubiegać się o koronę polską; i zaiste, byłby mógł skutecznie starać się o nią. Atoli zabiegi kardynała *Commendoni*'ego sprawiły, że potężne rodziny Zborowskich i Górków (będące wyznania ewangelicko-augsburskiego) oświadczyły się przeciw Firlejowi.

* *
*

Sejm konwokacyjny (1) zebrał się w Warszawie w Styczniu 1573. Duchowieństwo katolickie nie myślało już wcale o przytłumieniu protestantyzmu; ale tylko o zachowaniu swego własnego stanowiska. Karnkowski, biskup kujawski, zaprojektował ustawę, która stanowiąc *zupełną równość praw wszystkich wyznań chrześcijańskich w Polsce*, zapewniała biskupom rzymsko-katolickim ich godności i przywileje; znosiła wszelako obowiązek kollatorów dawania beneficyów samym tylko duchownym katolickim. Wniosek ten (2) został przez sejm skonfederowany (3) zaraz przyjęty. Ale *Commendoni* skłonił wkrótce biskupów do protestowania przeciw uchwale, którą sami zaprojektowali. Jakoż odmówili podpisać ją. Jeden tylko Franciszek Krasiński, biskup krakowski i podkanclerzy koronny, przeniósł dobro kraju nad

---

(1) Zbierający się po śmierci monarchy, celem wyznaczenia dnia i miejsca do wyboru nowego króla. *(Przyp. autora.)*

(2) Kiedy w państwach niemieckich, w kantonach szwajcarskich, w Szwecyi, Danii, Anglii, Hollandyi, stanowiono, że cały kraj przechodzi na wyznanie protestanckie, wtedy i kościoły i całe mienie duchowieństwa rzymsko-katolickiego, przechodziły na własność już-to nowego wyznania, już-to narodu (rządu). Zdaje się, iż duchowieństwo polskie obawiało się podobnego postanowienia w Polsce. Z drugiéj strony, rzeź Ś. Bartłomieja w Paryżu, nastąpiła w 7 tygodni po śmierci Zygmunta Augusta (w Knyszynie, na Litwie) 7 Lipca 1572). „Firlej zatém“ (są słowa Dominika Szulca w pismie: „O źródle wiedzy tegoczesnéj. Warszawa, 1851,“ str. 48) „Marszałek W. koronny, Siennicki, Modrzewski, tudzież większość zjazdu, nie chcąc narazić kraju na wypadki podobne, postanowili zabezpieczyć go *uchwałą uroczystą*, przecinającą stanowczo wszelkie prześladowania.“ — „*Pax inter dissidentes de religione*“ znaczyło i znaczy: „Spokój pomiędzy różniącemi się pod względem religii.“ Później wyrazom „*Dissidentes*“ i „*de religione*“ zupełnie inne znaczenie mylnie nadano. *(P. t).*

(3) Obiedwie izby łącznie obradujące. *(P. t).*

interes Rzymu i podpisał uchwałę, przyjętą przez sejm dnia 28 Stycznia 1573 (1). Za czyn ten otrzymał z Rzymu surową naganę.

*   *
*

Ten sam sejm wyznaczył nowy zjazd na dzień 7 Kwietnia 1573 we wsi Kamień (2), celem wyboru króla.

Kilku kandydatów ubiegało się o tron opróżniony; ale było tylko dwóch takich, którzy do niego rzeczywiście nadzieję mieć mogli: Arcy-książę Ernest austryacki (syn cé-

---

(1) Ob. tę sławną uchwałę wyżéj na str. 116. Wiszniewski wswojéj „Historyi lit. pol."(t. VI, str. 87) powiada: „Takim sposobem tolerancya, *piérwszy raz na świecie prawem* ogłoszona i utwierdzona, jest nieomylném wyższości Polaków w oświeceniu świadectwem;" a Dom. Szulc (str. 50) dodaje: „Takie prawa, niezaprzeczenie *jedyne w całéj Europie*, zrodziły powszechną u obcych ufność. Powtarzano zatém, że tylko nad Wisłą samoistnie myślano i mówiono: „*ubi sentire, quæ velles, et quæ sentires, dicere licebat;*" że tu lepiej zrozumiano interes krajowy, niż tam, gdzie krew własną przelewali; zgoła uważano Polskę za ostatnie schronienie wszystkich myślicieli. Na odgłos prawa zapewniającego wolność przekonania i rozbioru, zbiegli się do Polski uczeni szukający dla siebie przytułku, mianowicie Włosi, ścigani przez rzeczpospolitę Wenecką. I inne kraje dostarczyły nam nie mało uczonych." (Autor wymienia Włochów, Niderlandczyków, Niemców, Francuzów, Węgrów). „Z tych jedni, jak *Sozzino*, Dudycz, Krell, przez związki małżeńskie połączyli się z rodzinami Morsztynów, Zborowskich, Tarnowskich; inni wyniesieni zostali na wysokie dostojeństwa, jak Blandrata za Batorego. Jeżeli z zagranicy zaszło kiedy żądanie wydania którego z nich, sejm zwykle przypuszczał poszukiwanych do indygenatu, jak to uczynił z Dudyczem w Piotrkowie 1565. *Occhino* przypisywał dzieła Zygmuntowi Augustowi." (Dom. Szulc, str. 51).

Słusznie więc uchwałą generalnéj konfederacyi z r. 1573 chlubi się ta sama Warszawa, w któréj, nim r. 1526 wraz z księstwem Mazowieckiém wcieloną została do Królestwa Polskiego, Janusz, książę Mazowiecki r. 1525 zabronił heretykom nawet pobytu, pod utratą życia i majątku. *(Vol. leg.* t. I, str. 140). *(P. t.).*

(2) 1½ mili na południe od Pragi; milę od Grochowa. *(P. t.).*

sarza Maxymiliana II), i Henryk *de Valois* (Walezyusz), książę *d'Anjou (2)*. Stronnictwo arcy-księcia, na czele którego stał *Commendoni*, było z początku bardzo liczne i silne; ale wkrótce straciło ogromnie, gdy wykazano, jaką klęskę rząd cesarski zadał swobodom Czechów. Oburzenie wzrosło tak dalece, że *Commendoni*, uważając wybór arcy-księcia zupełnie niepodobnym, przeniósł wpływ swój do stronnictwa księcia francuskiego. Dwór zaś francuski usiłował dowieść, że rzeź Ś. Bartłomieja miała powód swój w polityce, a nie w religii; i książę *d'Anjou* w pismie do sejmu polskiego wyparł się wszelkiego udziału w okropnościach Paryskich.

Ewangelicy reformowani nie mieli żadnego księcia zagranicznego, swego wyznania, któregoby mogli podać na kandydata do tronu. Byliby pragnęli oddać koronę któremu z swych rodaków; ale zazdrość stronnictwa Zborowskich i Górków czyniła rzecz tę niepodobną. Przystali więc na Henryka; ale zażądali obszernych rękojmi dla praw swego wyznania tak w Polsce, jak we Francyi. Firlej przedstawił warunki, które poseł francuski musiał podpisać, jeźli nie chciał, aby spełzł wybór jego kandydata. Podług tych warunków, podpisanych (w Płocku) dnia 4 Maja 1573, król francuski obowiązany był udzielić zupełną amnestyą protestantom francuskim, i nadać zupełną swobodę religijną. Wszystkim tym, którzyby sobie życzyli wynieść się z Francyi, miało być wolno sprzedać swą własność, albo ciągnąć z niej dochody, byle tylko nie udawali się do kraju nieprzyjacielskiego. Wychodźcom zapewniony był wolny powrót do ojczyzny. Wszelkie poszukiwania przeciw osobom oskarżonym o zdradę, powinny być unieważnione; skazanym miała być powrócona ich dobra sława i majątek; a dzieciom zamordowanych powinno być dane wynagrodzenie. Każdy

---

(1) Brat króla francuskiego, Karola IX. *(P. t).*

protestant, który skazany był na wygnanie albo zmuszony był uciec z powodu prześladowania, powinien być przywróconym do używania swego majątku i godności i t. d. Król obowiązany był wyznaczyć Reformowanym w każdéj prowincyi miasta, gdzieby swobodnie nabożeństwo swoje publicznie odbywać mogli, i t. d. (1), Mając wzgląd na ówczesną przewagę polityczną Polski, i na gorliwość, którą protestanci polscy okazywali przy każdéj sposobności celem podtrzymywania swych braci zagranicznych, niepodobna jest wątpić, żeby zwycięstwo protestantyzmu w Polsce było zapewniło ten sam skutek w całéj Europie.

* *

*

Poselstwo, złożone z 12 panów, pomiędzy którymi było kilku protestantów (2), udało się do Paryża, aby księciu *d'Anjou* oznajmić, iż jest obrany królem polskim. Wyjazd ich do Francyi przyniósł ważną usługę sprawie protestantów francuskich. Odstąpiono od oblężenia miasta *Santerre*, i pro-

---

(1) „I kogoż powołała Opatrzność“ (powiada Adryan Krzyżanowski, na str. 78) „aby wstrzymał ten rozlew krwi ludzkiéj, pełen zgrozy i Boskiéj obrazy, gdy się zdawało, że go nic przerwać nie zdoła? Oto Polskę; natchnąwszy ją, aby swój tron osiérocony... ofiarowała jednemu z głównych przewódców krwawéj jutrzni S. Bartłomieja.“ A na str. XVIII: „Niekatolicka szlachta polska zamyślała do tronu powołać króla nie-katolika; i dla tego jedynie obrała katolika, aby wstrzymała miecz katów francuskich, wytępiający jéj spółwierców, Hugonotów; zaprzysiągłszy — społem z katolicką swą bracią, iż dla różnicy wyznań nigdy krwi ludzkiéj nie przeleje.“

(2) „Jan Firlej, wojewoda krakowski; Jan Zborowski, starosta odolanowski; Jan Tomicki, kasztelan gnieźnieński; Andrzéj Górka, kasztelan międzyrzecki i inni.“ (Łukaszewicz, w dziele na str. 452 wspomnioném (str. 122). Także Alexander książę Pruński, Reformowany. (Łukaszewicz, Dzieje kośc. w. helw. w Litwie, t. I, str. 42).

testanci tameczni otrzymali warunki korzystniejsze (1). Chociaż dwór francuski obawiał się narazić sobie stronnictwo katolickie, przeważające we Francyi, i dla tego nie mógł protestantom udzielić wszelkich tych praw, które był przyrzekł poseł francuski; wszelako uczynił im przez edykt z Lipca 1573 różne ważne przyzwolenia... I tak zabroniono wszelkich oskarżeń i paszkwilów, przeciw nim ogłaszanych. Publiczne wykonywanie obrządków religijnych protestanckich dozwolone zostało w miastach *Montauban*, *La Rochelle* i *Nimes*, a nabożeństwa prywatnego dozwolono im w całej Francyi, wyjąwszy okrąg dwu-milowy na około Paryża. Wreszcie ogłoszono, że życie i majątki protestantów są nienaruszalne.

* *
*

Podczas kiedy posłowie byli w drodze do Paryża, stronnictwo rzymskie próbowało, czyliby nie można zniszczyć rękojmi, danych przez sejm swobodzie religijnej w Polsce. *Hosen* (Hozyusz) utrzymywał, że prawo z dnia 28 Stycznia 1573 jest zbrodniczém sprzysiężeniem się przeciw Bogu, i dla tego powinno być przez nowego króla zniesioném. Nastawał na arcybiskupa gnieźnieńskiego i na sławnego kardynała *de Lorraine*, aby nie dopuszczali zaprzysiężenia przez króla swobody religijnej w Polsce, a kiedy Henryk przysięgę wykonał, *Hosen* namawiał go otwarcie do złamania jéj, zapewniając, że przysięga wykonana heretykom, może być bez skrupułu pominiętą, i nawet do tego nie potrzeba żadnéj absolucyi. List *Hosen*'a do króla, z dnia 13 Październiika 1573, przesłany przez powiernika kardynalskiego Reszkę,

(1) Współczesny dziejopis francuski, *de Popelinière*, czyni przy tej okoliczności uwagę, że mieszkańcy *Santerr*'u, do ostateczności przywiedzeni, winni byli ocalenie swoje narodowi, żyjącemu bardzo daleko od nich; podczas gdy ich sąsiedzi żadnego usiłowania ku pomocy ich nie czynili. *(Przyp. autora).*

zawiéra między innemi: że król nie powinien naśladować Heroda; ale Dawida, który ku wielkiéj swéj sławie nie dotrzymał tego, co nierozważnie był zaprzysiągł. Iż w obecnym przypadku nie idzie o jednego Nabala, ale o tysiące dusz, któreby były uwolnione od mocy szatana. Król zgrzészył, jak ś. Piotr; powinien więc jak on, naprawić błąd swój, przyznać się do grzéchu swego, i rozważyć, że przysięga nie może być węzłem nieprawości; iż nie widzi, dla czegoby potrzebném było, aby król dał się uwolnić od przysięgi, ponieważ, podług najprostszego prawa, rzecz nierozważnie uczyniona, nie może obowiązywać i niéma żadnego znaczenia.

Prałat Solikowski udzielił Henrykowi jeszcze inną radę. Dał mu do zrozumienia, żeby uległ konieczności, i celem zapobieżenia wojnie domowéj i religijnéj, przyrzekł wszystko, czego od niego żądają; lecz że zasiadłszy raz na tronie, będzie miał w ręku wszystkie środki ku wytępieniu różnowierstwa, nie uciekając się nawet do gwałtowności.

* *
*

Uchwała sejmu, którą Henryka powołano do tronu, została mu przedstawiona uroczyście dnia 10 Września 1573 w kościele *Notre-Dame* w Paryżu. Biskup Konarski, członek poselstwa polskiego, zaprotestował na początku ceremonii ten ustęp przysięgi, który zapewniał w Polsce wolność religijną. To sprawiło niejakie zamieszanie; bo protestant Zborowski (1) przerwał ceremonią i rzekł do króla: «N. Panie! gdyby posłowie twoi nie byli przyjęli warunku swobody religijnéj dla różniących się wyznań; bylibyśmy się tak oparli, że nie byłbyś obrany królem; jakoż, jeźli tych warunków nie potwierdzisz, nie będziesz królem naszym.» Po

(1) Jan Zborowski. *(P. t.).*

tych słowach członkowie poselstwa otoczyli nowego monarchę, i Herburt, katolik, odczytał formułę przysięgi, tak jak ją był sejm napisał, a Henryk powtórzył ją bez żadnego wzdragania się. Konarski, ktory tymczasem usiadł był na stronie, przybliżył się wtedy do króla, i żądał, aby swoboda, zapewniona przysięgą, nie przynosiła szkody powadze kościoła. Król wydał mu na pismie świadectwo, przychylające się do téj protestacyi (1).

* *
*

Henryk przybył do Polski dopiéro w Lutym 1574. *Gratiani*, sekretarz *Commendoni*'ego, spotkał Henryka w Saxonii, i oświadczył mu, że Henryk ma prawo panować w Polsce, jak monarcha nieograniczony;-zarazem przedstawił mu plan do zupełnego zniesienia swobód politycznych i religijnych. Wkrótce dowiedziano się o argumentach Hozyusza, któremi dowodził monarsze, że przysięga na korzyść heretyków nieobowiązuje; oraz o listach jego do duchowieństwa polskiego, w których je wzywa, aby unieważniło uchwałę z dnia 28 Stycznia 1573, i zapewnia, iż to, co król w Paryżu różnowiercom obiecał, było tylko udaniem. Biskupi okazywali otwarcie zamiar zmienienia formuły przysięgi, wykonanéj

(1) Tymczasem magnaci i szlachta ew.-reformowana, złożyli w kraju synod w samym Krakowie dnia 29 Września 1573. Łukaszewicz („O kościołach braci czeskich, str. 124) oddaje sprawiedliwość temu synodowi, na którym, między innemi, względem ludu wiejskiego uchwalono: „Na poddane przełożeni mają mieć baczenie, iżby po nich i urzędnikach ich, poddani miłości chrześcijańskiej i ludzkości powinnéj doznawali. Praca a robota od nich 2 albo najwięcéj 3 dni w tydzień niechaj wyciągnioną będzie. Czynsze i insze podatki sprawiedliwie niechaj bez obciążenia wybiérane będą. I owszem *niechaj się panowie przeciwko poddanym swoim zachowują, jakichby sobie panów, kiedyby byli na miejscu tych bliźnich swoich, życzyli.* W niedziele niémają panowie żadnemi robotami, ani powozami poddanych obciążać.“ *(P. t.)*.

w Paryżu, a legat papieski zachęcał swoje stronnictwo do pominięcia warunków onejże.

* *
*

Kiedy odbywała się ceremonia koronacyi (1) i w końcu miano włożyć koronę na skronie monarchy, Firlej, który nadaremnie oczekiwał warunku przysięgi na rzecz protestantów, przerwał uroczystość, i oświadczył, że jeźli opuszczone będą rękojmie, dane jego współwyznawcom, nie dopuści dokończenia koronacyi. Łącznie z Dembińskim, kanclerzem W. Koronnym, i także protestantem, przybliżył się do monarchy, klęczącego u stopni ołtarza, i okazał mu pargamin, na którym napisana była przysięga, wykonana przez niego w Paryżu. Otaczający króla oniemieli z zadziwienia; ale Firlej wziął koronę i rzekł do Henryka głośno i wyraźnie: «*Si non jurabis, non regnabis*» (jeźli nie przysiężesz, nie będziesz panował). Powstało ogólne zamieszanie. Stronnicy Rzymu, ztrwożeni, nie śmieli przybliżyć się do odważnego Firleja. Król powtórzył słowo w słowo przysięgę złożoną w Paryżu, i tak W. Marszałek koronny uratował swobodę religijną w kraju, i zapobiegł wybuchowi wojny domowéj. To przymuszone przyzwolenie nie mogło zaspokoić obawy i podejrzenia protestantów. Śmierć Firleja (2), którą przypisywano otruciu, powiększała jeszcze obawę. Szczęściem nagła ucieczka króla, położyła koniec temu stanowi rzeczy.

* *
*

Skoro tylko Henryk dowiedział się, że umarł we Francyi brat jego Karol IX, którego był następcą tronu, natychmiast potajemnie opuścił Polskę i udał się do Francyi. Po-

---

(1) Dnia 21 Lutego 1574 w katedrze na zamku krakowskim. *(P. t).*

(2) Wkrótce po koronacyi. *(P. t).*

lacy, czekawszy blisko rok na powrót jego, ogłosili tron za opróżniony i Stefan Batory, książę siedmiogrodzki, który z prostego szlachcica węgierskiego, doszedł téj godności, obrany został królem (1). Batory wybór swój zawdzięczał jedynie swéj zasłudze, a dobre imię jego tak go czyniło popularnym, że chociaż był protestantem (2), duchowieństwo nie śmiało sprzeciwić się wyborowi. Wysłało do niego X. Solikowskiego, o którym wyżéj była mowa. Zlecenie, którego się podjął ten prałat, nie było łatwe do spełnienia; bo deputacya *z 13 członków złożona*, która udała się do Batorego, aby mu oznajmić, iż został królem obrany, *złożona była*, prócz jednego wyjątku, *z samych protestantów (3)*. Ci posłowie

---

(1) Wszyscy biskupi (prócz jednego) głosowali za cesarzem niemieckim, Maxymilianem II, i prymas Uchański ustąpiwszy z placu elekcyi, mianował go królem. Aby Niemiec nie objął berła polskiego, Zamojski sprawił, iż we 2 dni późniéj część senatorów i rycerstwo obrało Annę Jagiellonkę, ostatnią siostrę Zygmunta Augusta, naznaczając jéj za małżonka Stefana Batorego (14 Grudnia 1575). *Pacta conventa* zaprzysięgli natychmiast pełnomocnicy Batorego: Jérzy Blandrata i Marcin *Bereviczy*, obadwaj protestanci. *(P. t.)*.

(2) Prawie wszyscy historycy donoszą, że Batory był katolikiem, i tylko skłaniał się do zasad reformacyi. Mylność tego zdania okazuje się z rękopismu współczesnego Świętosława Orzelskiego, znajdującego się w bibliotece dawniéj Załuskich. *(Przyp. autora.)*

Rękopism ten przełożył z łacińskiego na polskie Włodzimiérz Spasowicz, i tłumaczenie wyszło z druku r. 1856 w Petersburgu i Mohylewie: „Bezkrólewia ksiąg 8ro, czyli Dzieje Polski od zgonu Zygmunta Augusta r. 1572, aż do r. 1576, skreślone przez Świętosława z Borzejowic Orzelskiego, starostę Radziejowskiego.“ *(P t.)*.

(3) „Byli zaś: Jan Tarło, wojewoda lubelski; Jerzy Mniszech, krajczy koronny; Wojciech Starzechowski, Mikołaj Jazłowiecki Lwowski, Jan Ostroróg, Marcin Ostroróg Lwowski, Jan Płaza, Jérzy Niemsta, Adam Gorajski, Stanisław Łaszcz, Stanisław Pstrokoński, Jan Bełdowski, i Jan Radziejowski.“ (Panowanie Henryka Walezyusza i Stefana Batorego, królów polskich, z rękopismów Albertrandego, podług wydania Ż. Onacewicza. W Krakowie, 1849, str. 52). *(P. t.)*.

czuwali starannie, aby Solikowski nie mógł mieć żadnego osobnego posłuchania u nowego monarchy; ale on omylił ich czujność i uzyskał w nocy widzenie się z Batorym; widzenie się zgubne dla sprawy protestantyzmu w Polsce. Udało się bowiem Solikowskiemu przekonać Batorego, że niéma żadnéj nadziei utrzymania się na tronie, na który został powołany, jeźli nie uczyni publicznego wyznania wiary rzymsko-katolickiéj. Solikowski poparł rozumowania swe uwagą, że królewna Anna, siostra Zygmunta Augusta, była żarliwą katoliczką; że małżeństwo z tą królewną było warunkiem wyboru Batorego, i że według wszelkiego prawdopodobieństwa, ona nigdyby nie poszła za protestanta. Batory nie był dość silnym, aby się oprzéć naleganiom, i posłowie polscy nie małego doznali zawodu, kiedy nazajutrz ujrzeli księcia słuchającego mszy klęczący (1).

(1) Szczegółowo opisuje to sam Solikowski w pismie: „Jana Dymitra Solikowskiego Krótki Pamiętnik rzeczy polskich od zgonu Zygmunta Augusta — do r. 1590. Przełożył z łacińskiego i życiorysem autora poprzedził Władysław Syrokomla. Petersburg i Mohylew. Nakładem B. M. Wolffa. 1855.“ (w „Zbiorze Dziejopisów krajowych“). Było-to w Śniatynie nad Prutem (na drodze ze Stanisławowa do Czerniowiec), piérwszém miasteczku dawnej Polski na granicy Bukowiny, która wtedy część Multan stanowiła. Zjechał się tu Batory, jadący z Siedmiogrodu do Krakowa, z posłami na przeciw niego jadącemi „którzy wszyscy, oprócz jednego, byli heretykami“ (str. 25). Ponieważ w Śniatynie nie było kościoła katolickiego, tylko kościoły wyznania greckiego, przeto nazajutrz (w niedzielę) miał mszę kapłan Solikowskiego w pokojach Batorego. „Posłów wtedy nie było, a domyślając się, że się msza u króla odbywa, mówili: Oto księża wdarli się w posiadanie króla“ (str. 25). Aby tak nagłe przejście Batorego z wyznania protestanckiego na katolickie, Polski reformowanéj nie tyle uderzało, objaśniono je w ten sam sposób, jak to w swym Pamiętniku uczynił Solikowski (str. 25). „Wiele“ (pisze on) „mówiono o odszczepieństwie w Transylwanii, o małéj liczbie katolików, o ojcach Towarzystwa Jezusowego, których tam Fabjusz Dalmata sprowadził. Batory, pomimo, że znakomitsi i mniejsi w Węgrzech zarażeni byli heretyckiemi błędami, sam wyznawał wiarę katolicką, i pod po-

* *
*

Batory przystał bez wahania się na warunki, których żądali protestanci różnych wyznań (1). Stale był przeciwny prześladowaniom religijnym, i nagradzał zasługę bez względu na różnicę wyznań. Wielki ten monarcha, którego 10-letnie panowanie było jedną z najświetniejszych epok w dziejach Polski, przyniósł jednak ogromną szkodę krajowi, sprzyjając usadowieniu się w nim Jezuitów. Opowiedziałem już, jak *Hosen* (Hozyusz) był ich wprowadził, i jak zyskali przychylność królewnéj Anny, która zaślubiła Batorego. Będąc pod opieką królowéj, wkradli się nieznacznie w łaski jéj królewskiego małżonka, a to głównie przez zajmowanie się naukami i umiejętnościami, których Batory gorliwym był obrońcą. Udało im się wzbudzić w nim mniemanie, że od nich samych zawisło szybkie upowszechnienie oświaty i dobrego wychowania. W tym-to celu założył Batory dla Je-

---

zorem polowania, często wybiegając do pewnego starego mnicha, odbywał spowiedź i uczęszczał do sakramentu ołtarza. Jako żołniérz, znał tylko przedniejsze zasady wiary katolickiéj; lecz chętnym umysłem słuchając i przyjmując to wszystko, co się ściągało do zbawienia jego duszy i rzeczypospolitéj, obrony i ozdoby kościoła, dobrze się od biskupa" (Solikowskiego) „nauczyć przyrzekał." *(P. t.)*.

(1) Zaprzysiągł on w *pacta*'ch *conventa*'ch ten sam warunek spokoju pomiędzy różniącemi się pod względem wiary, co i Henryk Walezyusz. „Z sejmu Warszawskiego (r. 1578) pisali Protestanci polscy do księcia elektora Augusta Saskiego, do księcia elektora Jana Jérzego Brandenburskiego, i do księcia elektora Ludwika *von der Pfalz*, i zaprosili kościoły krajów ich do podobnego" (jak Zgoda Sandomiérska) „połączenia się, doradzając w tym celu zebranie się generalnego synodu kościołów ewangelickich w Niemczech. Wszyscy ci książęta odpowiedzieli w wyrazach nader uprzejmych, i życzyli polskiemu kościołowi szczęścia do zgody jego, ubolewając nad nieszczęśliwą niezgodą wojującego kościoła w Niemczech." *(G. W. T. Fischer, Versuch einer Geschichte der Reformation in Polen. Grätz* (Grodzisk, w W. K. Poznańskiém). *Streisand*, 1855, t. I, str. 232). *(P. t.)*.

zuitów akademią Wileńską, *collegium* w Połocku i kilka innych zakładów, pomimo sprzeciwiania się różnych protestantów, wpływ w rządzie mających (1). Jan Zamojski, któ-

(1) Solikowski w Pamiętniku (na str. 529 powołanym) przytacza, że do przygotowanego i przez króla podpisanego przywileju na akademią Jezuicką w Wilnie (r. 1579) ani Mikołaj Radziwiłł (Rudy), wojewoda wileński i kanclerz litewski, ani Eustachy Wołłowicz, podkanclerzy litewski, pieczęci przyłożyć nie chcieli; bo senatorowie litewscy przedstawiali królowi, iż akademia taka sprzeciwiałaby się swobodzie wyznań. Wówczas Batory rzekł do Wołłowicza. „Dziwią mię prawdziwie te wasze swobody, które wam zakazują uczyć się i oświecać. Albo mi Waszmość wraz przywilej ten opieczętujesz, albo, jeźli nie chcesz, daj pieczęć, ja go sam zapieczętuję; lecz pieczęci téj nie wrócę ci więcéj.“ Strwożony podkanclerzy uczynił, co król rozkazał.“

(J. U. Niemcewicz).

Przykład Batorego wielu magnatów i szlachty za sobą pociągnął. Zaczęli z protestantyzmu przechodzić na katolicyzm, i wkrótce wszyscy 3 synowie Radziwiłła Czarnego stali się gorliwymi katolikami, a jeden z nich Jérzy, nawet biskupem. Na usprawiedliwienie Batorego, przytaczają, iż zakon Jezuicki, z początku istnienia swego, nie był jeszcze tém, czém się stał później; iż Jezuici gorliwie uprawiali język i literaturę łacińską, w których Batory był arcy biegły, i które za podstawę całego wychowania uważał; że jako żołniérz nie znał się wcale na zdaniach religijnych, jak to sam Solikowskiemu wyznał; że (tak, jak przyjaciel jego Jan Zamojski) był nowonawróconym katolikiem, musiał więc pod różnemi względami ulegać duchowieństwu; że ciągle zajęty wyprawami wojennemi dzielny ten bohatér nie miał czasu obeznania się z duchem wszystkich klass oświeconych w narodzie; że wreszcie dając otuchę Jezuitom, dogadzał żonie swéj, o 10 lat starszéj od siebie, któréj berło swe był winien a do któréj nie miał żadnego pociągu. Zawsze prawdą jest, że Batory dalekim był od wszelkiego prześladowania religijnego i wiecznie pamiętną powinna być odpowiedź jego dana tym, którzy go namawiali, aby innowierców do wyznania katolickiego przynaglał: „Ja panuję nad ludem, a BÓG nad sumieniami.“ (Albertrandy, str. 300). A kiedy w r. 1585 Rodecki, drukarz Rakowski, zapozwanym został o odbicie dzieła wychodźcy *Frank*'a, Batory, po obronie Taszyckiego, wyrzekł, że wcale nie myśli za zdania prześladować; bo gdyby nawet nie chciał pamiętać na wykonaną przysięgę przy ugodzie zawartej z krajem, sam rozsądek i stan rzeczypospolitéj nie dozwoliłyby mu tego uczynić.“ (Dom. Szulc, str. 49).

ry był wychowany w wyznaniu ewangelicko-reformowaném; później zaś, w czasie pobytu swego we Włoszech, przeszedł na wyznanie katolickie, był gorliwym obrońcą swobody religijnéj.

* *
*

Przewaga Jezuitów wpłynęła na politykę zewnętrzną Polski za czasów Batorego. Król kilkakrotnie odniósł zwycięstwo nad wojskami wschodniego swego sąsiada, i wkroczył do jego kraju. Skutek tych zwycięstw przerwany został przez pokój z r. 1582, zawarty za wpływem sławnego Jezuity *Possevin*'a, którego Rzym wysłał był do Batorego, aby zatamował dalsze jego postępy (1).

---

(1) Albertrandy, w dziele na str. 528 powołaném, pisze (na str. 163): „Wysłał téż (Iwan Bazylewicz) posłów do Rudolfa césarza, którzy od niego do Rzymu do papiéża udali się. Posłowie ci obiecywali papiéżowi pomoc chrześcijaństwu przeciw Turkom, oraz uskarżali się na krzywdy, od króla polskiego ich panu wyrządzone, żądając, aby papiéż swoją się powagą wdał w zaspokojenie tych kłótni. Papiéż wyznaczył X. Antoniego Possewina, Jezuitę, któryby z posłami temi do Moskwy jechał.“

Stanisław Hr. Plater dodaje: „Głównym jego poleceniem było: zaprowadzić rozejm między walczącemi, nakłonić Iwana do połączenia się z kościołem łacińskim, i zawiązać przymierze między Iwanem a katolickiemi państwami dla pokonania połączonemi siłami grożącéj Turków potęgi. W początku roku 1581 odbył, jako posłaniec papieski, solenny wjazd do Moskwy.“

Kiedy po zwycięstwie Batorego pod Wielkiemi Łukami zajęte zostały Inflanty, a Zamojski posunął się aż pod Psków, i takowy oblegał, Stefan zjechał na sejm do Warszawy. „Tu od powracającego z Moskwy Antoniego Possewina, Jezuity i wysłańca papiéża Grzegorza XIII, namówiony został Stefan do zawarcia rozejmu z Carem na lat 10.“ (Stan. Hr. Plater). Przez traktat ten Inflanty przy królu polskim pozostały; odstąpił zaś od oblężenia Pskowa, i oddał zdobyte: Wielkie Łuki, Zawołocie, Ostrów, Newel, Hełm, Krasne, Krasnohorod, Woroniec i Wielią. (Ob. Albertrandego, str. 204).

Po zawartym traktacie Batory przybył do Rygi (1582), gdzie z namowy duchownych zażądał od miasta, prawie zupełnie protestanckiego, zwrotu kościo-

* *
*

Stefan Batory umarł roku 1586. Nastąpił po nim Zygmunt III, syn Jana, króla szwedzkiego i Katarzyny Jagiellonki), siostry Zygmunta Augusta. Sprzyjała wyborowi jego ta okoliczność, iż przez matkę był ostatnim potomkiem dynastyi Jagiellonów, którą naród tak był pokochał. Matka

ła dawniéj katolickiego. Gdy mieszczanie wahali się, Batory (według *Hilzen*'a) miał rzec do swych dworzan: „*Ite, et dicite istis bestiis, me hoc die non commesturum, donec templum, quod volo, ingrediar*;“ a gdy Jezuici wymawiali się objąć kościół bez pozwolenia Starszych, król im rzekł: „*Ego vobis loco Provincialis ero.*“ (Święcki, t. II, str. 261.

Jezuici w Rydze zaraz *collegium* swoje założyli. Gubernatorem Inflant mianował król biskupa wileńskiego, Jerzego Radziwiłła. Znany nam Solikowski został administratorem nowo-utworzonego biskupstwa Ryskiego. Od tąd zaczęło się nawracanie Inflant na wyznanie katolickie przez księży niemieckich. Sam Solikowski w Pamiętniku na str. 529 powołanym, mówi (na str. 62): „Tymczasem wiara katolicka, począwszy się krzewić w Wendenie i Wolmarze, za sprawą Solikowskiego rozeszła się i po innych stronach. Sowite było żniwo Pańskie niektórych kapłanów, przysłanych z Prus przez króla i Marcina Kromera, biskupa Warmińskiego. Okrom Rygi, gdzie byli: Piotr Skarga, Jan i inni ojcowie; krom Derptu“ (Dorpatu) „gdzie był przełożonym od samego króla Tomasz Łamkowicz, w przeciągu nie całego roku, w 7 powiatach, cały lud Inflancki gorliwie i pobożnie wiarę katolicką przyjął. Tak się naród“ (lud wiejski, litewski) „miał życzliwie ku Solikowskiemu, że lubo nieświadom języka niemieckiego, którym mówili kapłani, przychodził się spowiadać przez tłumaczów litewskich, ku temu ustanowionych.“ Albertrandy donosi (na str. 241), że Andrzéj Batory, najmłodszy z 3ch synowców króla „do stanu duchownego przeciw skłonności swojéj nieszczęśliwie od króla był przeznaczony.“ Roku 1584 został koadjutorem biskupa Warmińskiego, sławnego Kromera. Wkrótce potém papież i jego i Jerzego Radziwiłła mianował kardynałami, a król Solikowskiego Arcybiskupem Lwowskim

Dla czego zaś w Polsce w wieku XVI, pomimo tak upowszechnionej reformacyi, duchowieństwo rzymsko-katolickie przy takim wpływie i takiéj sile pozostało, możeby mógł objaśnić „Spis wsi i dymów w królestwie polskiém (bez Litwy) z roku 1582,“ umieszczony u Albertrandego (na str. 392). We-

Zygmunta była gorliwą katoliczką, i kierowali nią zupełnie Jezuici. Mąż jéj, syn Wielkiego Gustawa Wazy, był wyznania ew. augsburskiego; ale dozwolił, aby syna jego, Zygmunta, chowano w wyznaniu katolickiém; czego późniéj żałował (1).

Przez całe tak długie (45-letnie) panowanie Zygmunta III jedyną dążnością polityki jego było: służyć Rzymowi we wszystkich sprawach wewnętrznych i zewnętrznych Polski, i nie robił sobie wcale żadnego skrupułu poświęcać téj polityce dobro narodu. Chlubił się nazwiskiem «króla Jezuitów,» które mu nadali jego przeciwnicy, i wkrótce stał się prostém narzędziem w ręku uczniów *Loyoli*, którzy wszystkiemi jego czynnościami kierowali (2).

---

dług bowiem tego (acz nie poświadczonego) Spisu „Summa wsi królewskich i szlacheckich“ wynosiła wówczas 90,000, a „summa wsi duchownych 160,559“! Czy podobna?

Taka przewaga własności nieruchomej czyniłaby prawdopodobną wiadomość, udzieloną przez Adryana Krzyżanowskiego (na str. 98), że wyżéj wspomniony kardynał Jérzy „Radziwiłł, udawszy się potém do Rzymu, tam roku 1585 byłby został papiéżem po śmierci Grzegorza XIII, gdyby *Sixtus V*, jego spółkandydat, nie był swojemi przebiegami zapewnił sobie większości głosów kardynalskich.“ Może więc nawet być, że Batory spodziéwał się, iż synowiec jego zostanie papieżem.

Do tego nowego papieża Batory wysłał tak synowca swego, kardynała, jak Arcybiskupa Solikowskiego. Nim powrócili, dzielny bohatér śród gorzkich zawodów oraz planów do nowych wojen, w Grodnie dnia 12 Grudnia 1586 niespodzianie, bo nawet nie opatrzony sakramentami, żyć przestał. Zaledwie zawarł oczy, korzystano z bezkrólewia w ten sposób, iż w stolicy królestwa, w Krakowie, z wojska ogołoconym, motłoch podburzony w dniu 8 Maja 1587 kościół ew.-reformowany ze swawoli zburzył i spalił. (Ob. Woj. Węgierskiego Kronikę zboru ew. krak.). *(P. t.)*.

(1) Dziejopisowie donoszą, że zaledwie Jan ożenił się z Katarzyną, siostrą Zygmunta Augusta, wpadł u brata swego, Eryka IV, króla szwedzkiego w podejrzenie, i został w zamku *Gripsholm* uwięziony. W ciągu tego 6cioletniego więzienia, które z nim żona podzielała, urodził mu się syn, (późniejszy nasz Zygmunt III). *(P. t.)*.

(2) Adr. Krzyżanowski pisze (str. XLV): „Większe, niż w Italii, czekało

---

Jezuitów żniwo w Czechach i Teutonii, a największe w Polsce; bo Polska swoją oświatą i rozległością ziem swoich przodkowała wówczas innym europejskim ludom, a różnowierców (w stanowiącéj naród szlachcie) *więcéj*, niż katolików liczyła.“ A na str. XVIII: „Przy wstąpieniu Zygmunta III na tron, *2 tylko katolików* siadało na ławie izby senatorskiéj (na 124 senatorów świeckich). „Zastawszy,“ jak świadczy Piasecki, a za nim Święcki (t. I, str. 33) w senacie polskim „oprócz biskupów, *dwóch tylko katolików*,“ Zygmunt III „tchnął tylko zapałem nawracania, i pragnął, aby pomimo wszelkich polityki prawideł całe królestwo *katolickiém* było.“ Tymczasem Polska ówczesna była zjednoczeniem prawie dobrowolném kilkunastu milionów ludzi różnego wyznania, którym wszystkim swobodę religijną, jak Henryk Walezyusz i Batory, tak i on w tę samą rotę zaprzysiągł. Prócz tego Inflanty i Kurlandya miały wyżéj wspomnionym aktem ich przyłączenia się z r. 1562, zapewnioną swobodę wyznania ew.-augsburskiego. Na Rusi Białéj, Czarnéj, Czerwonéj, na Polesiu, Wołyniu, Podolu, Ukrainie i u Kozaków, z resztą w Multanach i na Wołoszczyznie, istniało od wieków, bo od czasu zaprowadzenia chrześcijaństwa, wyznanie greckie (słowiańskie, wschodnie). Na Litwie, w Wielkiéj i Małéj Polsce, oraz w Prusach królewskich górował pomiędzy szlachtą a po części i w miastach protestantyzm. Tak więc ¾ części ludności ówczasowego królestwa polskiego, nie ulegały władzy Rzymu. Szwecya cała była protestancką. Polska nie lubiła Niemców i cesarza. Zamojski właśnie dla tego tylko popierał wybór Zygmunta III; dla tego zgromił Maxymiliana, arcyksięcia austryackiego pod Byczyną i wziął go w niewolą, aby tron polski nie dostał się Niemcowi. — Joachim Lelewel powiada: „Rozerwana była podówczas Europa straszliwym sposobem. Walczyły z sobą po królestwach fakcye i opinie religijne, a w całym ogromie szczepiło się chrześcijaństwo na dwie stronie: z *jednéj* dom austryacki stał na czele wiernie Rzymu trzymających się; *inna*, czas jakiś bez przewodców, znajdowała takich w Anglii i Szwecyi. Austrya wikłała małżeństwami tron Polski, podniecając w okół niechęci i nieprzyjaciół... nieprzestawała wzdychać do zagarnięcia pod swe berło narodu, którego się przyjacielem być uznawała; wojnę jego o Inflanty zamieniła w wojnę o interes Rzymu, i plątała weń raz na raz Polskę, która tym sposobem wmieszana w sprawę zwaśnionego chrześcijaństwa, w wielkiéj części dolegliwie znosząc działania strony rzymskiéj, staje przecie przy niéj, ubijając się rzeczywiście o ujarzmienie Czech i Węgier, ściąga na siebie ciężkie wojny w interesie domu, który na nią ciosy zaostrzał, dla swoich widoków przyprawił ją o cierpienia, do zguby po-

pychał.“ Od czasu césarza Karola IV ciągle już papieże najściśléj zjednoczeni byli z césarzami niemieckimi, a césarze niemieccy z papiéżami. Jak papiéża (władzę duchowną) uważano za „słonce,“ tak césarza (władzę święcką) za „księżyc świata chrześcijańskiego.“

Zaślubienie Zygmunta III z Anną, arcyksiężniczką austryacką, pomimo woli i rady stanów, dopełniło miary wielu przeciw niemu niechęci... Kilku Jezuitów Niemców, Andrzéj Bobola,“ i t. d. „składali poufałe towarzystwo królewskie. Niemiłe mu były i obyczaje i strój polski; karał nawet młodego królewica Władysława za to, że ubiór narodowy nad niemiecki przekładał. Nie dziw, że wady, zbyt smutna niedołężność rządu, ślepe do Austryi przywiązanie zniechęciły mu serca mieszkańców... Zimna dla Zamojskiego obojętność, odkryte przez Leśniowolskiego tajemne z Austryą korrespondencye i układy sprawiły... r. 1592... sejm, „inkwizycyjnym“ nazwany. Z wyznania Leśniowolskiego, z okazanych listów królewskich, własną jego ręką podpisanych, zdawało się być dowiedzioném, że król z domem austryackim w szkodliwe a przynajmniej nieprawne względem ustąpienia berła, wchodził układy.“ *(J. U. Niemcewicz).*

Kiedy we 2 lata po objęciu rządów, Zygmunt III zjechał się z ojcem swoim, królem Szwedzkim, w Rewlu, twierdzono, iż „na tajemnych między ojcem i synem umowach, ugodzonėm zostało, że Zygmunt miał odstąpić korony polskiéj arcyksięciu Ernestowi; że ten Annę, siostrę jego, pojąć miał w małżeństwo; że za prawo dziedziczne do Litwy zapłacić 30,000 czerw. zł., ustąpić mu summ neapolitańskich, że pomagać w uspokojeniu Szwecyi, dawać posiłki przeciw (Rossyi), nakoniec pewnéj liczbie wymienionych od Zygmunta osób, przedniejsze w Polsce nadać starostwa.“ *(J. U. Niemcewicz).*

„*Heidenstein,* sekretarz Zamojskiego, a potém królewski pisze, iż Malaspina, nuncyusz papieski, niezawodnie go o tém upewnił, że swemi oczyma widział u podkanclerzego Tarnowskiego dyploma Zygmunta, ustępujące tronu polskiego arcyksięciu Ernestowi“ (synowi césarza niemieckiego Maxymiliana II). *(J. U. Niemcewicz).*

„Jak świadczy Piasecki, za Zygmunta III, połączonego przez związki małżeńskie z domem austryackim, zaczęto zaprowadzać — germanizm, zwyczaje niemieckie.“ (Święcki, t. II, str. 333).

„Zygmunt III lubił życie niemieckie tak dalece, iż późniéj gwałtem nawet i chłostą syna swego Władysława do stroju niemieckiego przymuszał. Cały dwór jego składał się z Niemców, i dla tych osobne było nabożeństwo w kościele Ś. Benona. Ta przychylność ku Niemcom odraziła od króla serca

* *
*

Ciekawą jest rzeczą, że królewna Anna, siostra Zygmunta III, była gorliwą protestantką. Wreszcie usiłowania monarchy tego, który ją bardzo kochał, do nawrócenia jéj na wyznanie katolickie, były bezowocne (1).

Polaków... Gdy zatém Zygmunt III bardziej urząd missyonarza, niż króla sprawował, wydarł mu berło w Szwecyi, stryj jego Karol, książę Sudermanii." (Bandtkie, t. II, str. 234).

„Jeszcze bardziéj nie lubiono Zygmunta III w Inflantach, jak w Polsce; bo tameczny lud, do wiary luterskiéj przywiązany, uważał go raczéj za błahe Jezuitów igrzysko, niż za pana." (Bandtkie, t. II, str. 239).

„Zaraz po śmierci piérwszéj żony (1598).. „ułożył sobie król Zygmunt III wstąpić w powtórne małżeństwo z rodzoną jéj siostrą, Konstancyą, z którą go teściowa swatała... Papież względny na Austryą obiecał dyspensę Atoli gdy czas do wesela nadchodził, obruszył się — prawie cały naród — a na czele — stanął — Jan Zamojski... Odwlekł się powtórny króla ślub aż do śmierci Zamojskiego" (1605). (Bandtkie, t. II, str. 241).

Według Adr. Krzyżanowskiego (str. 114) byli spowiednikami Zygmunta III Jezuici: Gołyński, *Bartsch, Bekan, Markwart;* kaznodziejami nadwornymi, Jezuici: Skarga, *Bembus, Fabrycy,* a nauczycielami 12ga dzieci Zygmunta III, Jezuici: Lesiowski, *Berent, Klinger,* Rudnicki i *Leyer.*

Jakich sposobów użył Zygmunt III do służenia razem Rzymowi i cesarzowi niemieckiemu, to wyjaśniają dzieła J. Łukaszewicza, wymienione na str. 452, 465 i 496.

(1) „Mimo gorliwości Zygmunta Wazy nie udało mu się nawrócenie siostry swojéj, Anny Wazównéj, która przeszedłszy do wiary protestanckiéj, ciągle już w niéj wytrwała. Przemieszkiwałą niejaki czas na dworze brata. W ostatnich zaś leciech w Brodnicy" *(Strasburg)* „w Prusiech, gdzie 7 lat przed bratem umarła." (Stanisław Hr. Plater). Ale mało było takich Anien Wazównien.

Roku 1591 został Zbór ew.-reformowany w Krakowie powtórnie przez motłoch podburzony napadnięty i zniszczony.

Podczas, kiedy większa część protestantów polskich przechodziła na wyznanie rzymsko-katolickie, mniejsza ich liczba garnęła się tém bardziéj do wyznania „Braci polskich" czyli Unitaryuszów, których świetne czasy przypadają pomiędzy rokiem 1585 a 1638. *(P. t.).*

* *
*

Wyznanie «Braci polskich» ogłoszone r. 1574 przekonywa, że co do wieczerzy Pańskiéj kościół ten nie różnił się od wyznania helweckiego. Różne były z resztą różnych wyobrażenia (1). Marcin Czechowicz (2) rozwinął naukę swą głównie w dziele «Rozmowy chrześcijańskie;» Grzegorz Pauli (3) posunął się jeszcze daléj. Przeszedł ich Szymon Budny (4), mąż nader uczony, który przetłumaczył pismo święte na język polski, i wydał je roku 1572 w Zasławiu (5). Tłumaczenie to uważają «Bracia polscy» za arcydzieło.

* *
*

Roku 1579 przybył z Siedmiogrodu Faustus *Sozzino* (Socyno), synowiec Leliusza Socyna, (który r. 1552 zwiedził był Polskę). Faustus był potomkiem domu *Piccolomini,* i rodzina jego należała do najznakomitszych w *Sienie* (6). Wykształciwszy się na dziełach swego stryja, tudzież Bernarda *Occhin*'a, przybył z Florencyi (gdzie u Franciszka księcia *Medici* w wielkiém był poważaniu), na Bazyleję i Siedmiogród do Krakowa. Osiadł w Pawlikowicach (pod Wieliczką), dobrach Krzysztofa Morsztyna, z którego córką wkrótce potém ożenił się. To małżeństwo, przez które się połączył z najpiérwszemi rodzinami królestwa, przyczyniło się bardzo do rozkrzewienia zdań jego w wyższych warstwach towarzystwa, i przy-

(1) Zdania dopiéro ucierać i ustalać się zaczynały, i dla tego nieraz i na dziwacznych nie zbywało. *(P. t.)*.

(2) Kaznodzieja Lubelski, tłumacz nowego testamentu. *(P. t.)*.

(3) Kaznodzieja Rakowski. *(P. t.)*.

(4) Kaznodzieja w Łosku, na Litwie (między Wilnem a Mińskiem). *(P. t.)*.

(5) Na Wołyniu, między Dubnem a Żytomierzem.

(6) W Toskanii. „Pod względem na swych przodków, był połączony z królami, książętami, papieżami i kardynałami.“ (Adr. Krzyżanowski, str. 403). *(P. t.)*.

gotowało nadzwyczajny wpływ, który miał póżniej na wszystkie zgromadzenia Braci polskich; a w szczególności roku 1584 na synodzie w Węgrowie, potém na synodzie w Chmielniku, a r. 1588 na synodzie w Brześciu litewskim.

Starał się on zjednoczyć różne systematy Anti-trinitarzy, i tym sposobem usiłował zaprowadzić jedność w ich kościołach. Gdy za czasów Zygmunta III, wydrukował jedno z pism swoich, został r. 1598 w Krakowie przez podburzony motłoch w domu napadniętym; ale przez trzech członków akademii krakowskiéj (duchownych katolickich) ocalonym. Utraciwszy w tym napadzie swój księgozbiór i rękopisma, przeniósł się Lukławic, wsi Adama Błońskiego (1). Srodze go dotknęła śmierć żony, którą kochał nad życie, i umarł tamże wkrótce po niéj, dnia 3 Marca 1604. Córkę Socyna zaślubił Litwin Stanisław Wiszowaty. Jest ona matką sławnego autora tegoż nazwiska.

* *

*

Skoro syn założyciela Rakowa, Jakub Sieniński, przyjął r. 1600 wyznanie Braci polskich, Raków stał się głównem siedliskiem tego wyznania i źródłem nauki onegoż nie tylko dla Polski; ale dla całéj Europy, tak, że go zwano „Rzymem Unitaryuszów". Szkoła założona przez Sienińskiego w Rakowie r. 1602, wkrótce głośną się stała. Posiadała nauczycieli sławy europejskiéj, jak Lubienieckiego, Stoińskiego, *Smalcius'*a, Wiszowatego, itd., nawiedzaną była nie tylko przez „Braci polskich"; ale oraz przez innych protestantów a nawet przez katolików, i liczyła do 1000 uczniów (1). Z drukarń Rakowskich wyszły nietylko pisma teologiczne „Braci polskich"; ale oraz różne inne dzieła naukowe.

---

(1) Między Tarnowem a Nowym Sączem, nad Dunajcem, naprzeciw Zakluczyna. *(P. t.)*.

* *
*

Socyn nie był autorem katechizmu wyznania, które (niewłaściwie) nosiło jego nazwisko. Ułożył go Hieronim Moskorzewski, bogaty i uczony obywatel (2), oraz Walenty *Smalcius*. Katechizm ten jest rozwinięciem wyznania z r. 1574, i znany w świecie naukowym pod nazwiskiem «Katechizmu Rakowskiego»; ponieważ drukowany był r. 1605 (po polsku i po łacinie) w Rakowie. Tłumaczenie angielskie wyszło r. 1652 w Amsterdamie.

* *
*

Oprócz Rakowa były najznakomitsze Zbory «Braci polskich» w Pinczowie i Lublinie. Ten ostatni przeniesiony został potém do Piasków i do Siedliszczek; i należały do niego najznakomitsze rodziny téj części kraju. W województwie krakowskiém odznaczały się Zbory „Braci polskich" w Nowym Sączu i w Lukławicach. Do szkoły w Sączu uczęszczali nawet uczniowie z Siedmiogrodu (3). Zbór Lukławicki był fundacyi Taszyckiego, i nie dawno tam odkryto grób Fausta Socyna. Na Wołyniu za główne siedziby Uni-

(1) Święcki (t. I, str. 183) pisze: „Wychodzili z niéj wielcy i senatorską godnością zaszczyceni ludzie, jakoto: Leszczyńscy, Tarłowie, Niezabitowscy, i inni, a pomimo niezrównanéj nauczycielów troskliwości w naukach, starano się tu jeszcze — najbardziéj *w dobrych obyczajach* ćwiczyć młodzież. Te-to szkoły okryte były świetném imieniem „Aten Polskich," a piękna drukarnia Rodeckiego, a potém Sterneckiego przetrwała do r. 1638."

(2) Dziedzic Czarkowa, zięć głośnego Andrzeja Dudycza. *(P. t.)*.

(3) Jedyny kraj, w którym wówczas, oprócz Polski, wyznanie Unitaryuszów prawami było dozwoloném. A jednak i tu Franciszek *Davidis* za zdania religijne uwięziony, w więzieniu życie zakończył. (Ob. Adr. Krzyżanowskiego, str. 399). *(P. t.)*.

taryuszów uważano Kisielin (1), który miał wyborną szkołę, i Beresteczko (2). W województwie kijowskiém wspiérała wyznanie „Braci polskich“ szczególniéj bogata rodzina Niemiéryczów, a na Litwie przodował zbór w Nowogródku (3). W Wielkiéj Polsce mieli „Bracia polscy“ zbór w Szmiglu (4) Arciszewskich.

* * *

Zbory te wydały nie mało uczonych i autorów religijnych. Zbiór dzieł teologów „Braci polskich,“ znany w świecie naukowym pod nazwiskiem „*Bibliotheca fratrum polonorum*“, zajmuje ważne miejsce pomiędzy dziełami teologicznemi, i jest przedmiotem badań protestantów wszelkich wyznań (5).

---

(1) Na północny wschód od Starego Konstantynowa. *(P. t)*.

(2 Na północ od Brodów. *(P. t.)*.

(3) Między Grodnem a Mińskiem. *(P. t)*.

(4) Między Poznaniem a Lesznem. — Adryan Krzyżanowski wylicza mnóstwo rodzin, wyznania „Braci polskich“, pomiędzy któremi (oprócz już wymienionych) znajdujemy nazwiska: Alcyatów, Arciszewskich, Chełmskich, Cichowskich, Czaplickich, Filipowskich, Ligęzów, Lubienieckich (spokrewnionych z Zamojskimi, Sobieskimi i Niemojewskimi), Mierzwińskich, Morsztynów, Moskorzewskich, Niemojewskich (Jan był żarliwym obrońcą swego wyznania), Orzechowskich, Ostrowskich, Otwinowskich, Petroselinów, Preussów, Sierakowskich, Trzecieskich, Wężyków Widawskich, Wiszowatych (Stanisław był zięciem, Andrzéj wnukiem Fausta Socyna) itd. itd.

Z pomiędzy drukarń „Braci polskich“ w wieku XVI i XVII wylicza Święcki (t. I, str. 24) drukarnie w Lubeczu (nad Niemnem), Lublinie, Lukławicach, Łosku, Pinczowie, Rakowie, Węgrowie, Wilnie i Zasławiu. W téj ostatniéj „założył był tłocznią Maciéj Kawieczyński, z któréj, pod zarządem Daniela z Łęczycy, wyszła biblia polska Szymona Budnego.“ (Adr. Krzyżanowski, str. 415). *(P. t.)*.

(5) Zawiera w języku łacińskim pisma Fausta Socyna, Samuela Przypkowskiego, Jana *Crellius*'a (zpowinowaconego z Tarnowskimi) i innych krajowych i zagranicznych pisarzy. Drukowana w Amsterdamie od r. 1656. „Ogromne

Aczkolwiek zaś wyznanie Braci polskich, wówczas ciągle dopiéro kształcące się, ostro przez różnych było oceniane i potępiane, moralność tych protestantów powszechnie była znaną z swojéj surowości (1). Pomimo, iż r. 1638 szkoła w Rakowie przez sejm zniesioną, a r. 1658 wyznanie Unitaryuszów z kraju wywołaném zostało; przecież „Bracia polscy“ nie zaginęli; ale przeciwnie, wyznanie ich, pod nazwiskiem „Unitaryzmu“ dotąd w dalekich krajach istnieje, a nawet w nowszych czasach coraz bardziéj wzrasta (2).

* * *

---

to dzieło, w 8 tomach z dodatkami, jest zbiorem kommentarzów na nowy testament. Do jego wydania najwięcéj się przyłożył Andrzéj Wiszowaty.“ (Adr. Krzyżanowski, str. 336). *(P. t.)*.

(1) Niechętny wyznaniu temu Adr. Krzyżanowski udziela mu jednak następujące świadectwo (str. 27): „Sekta Braci polskich... odznaczała się temi wzorowemi obyczajami, pismami i nauką, które zniewoliły dla zgasłéj (?) pamięć i cześć potomnych.“ *(P. t.)*.

(2) „Bracia Polscy“ przenieśli się jedni do Siedmiogrodu, drudzy do Hollandyi i Anglii; pozostali w kraju przyłączyli się do wyznania ewangelicko-reformowanego. Dziś wyznanie Unitaryuszów wzrasta coraz bardziéj w Anglii, Szkocyi i Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj, a nawet w niektórych krajach Niemiec północnych. Jakoż najpiérwszy teolog niemiecki, Karol Bogumił *Bretschneider* (zmarły 1848 r. w *Gotha*), podzielał w zupełności wyznanie wiary *New-York*'skiego kaznodziei Unitaryuszów Wilhelma *(Ellery) Channing*'a. W Wielkiéj Brytanii i Irlandyi liczono 1856 roku 282 kościołów i kaplic Unitaryuszów, 37 towarzystw religijnych tegoż wyznania, 9 missyj domowych, liczne fundacye, i 4 pisma peryodyczne religijne. W Stanach Zjednoczonych ma być przeszło 250 kościołów. Tomasz *Rees* wydał 1818 w Londynie angielskie tłumaczenie katechizmu Rakowskiego *„Catechism of the churches of Poland,“* na którego czele jest rys historyi Unitaryuszów w Polsce. Oprócz W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych mają Unitaryusze prawami zapewnione wolne wyznanie w Siedmiogrodzie, gdzie ogół ich podany jest (1857) na 50,000. Są-to wyłącznie Madziarowie a w małéj cząstce Wołosi; i mają Superintendenta w *Kolosvar* (*Klausenburg*'u), 3 kursa teologiczne, 8 archidyakonów i 106 parafij.—W końcu dodać należy, że w przeciągu lat 300, badania słów i ducha ewangelii Chrystusowéj uczyniły we wszystkich prawie wy-

Zygmunt III (panujący od r. 1587 do 1632) dokazał tego, że nieporównanie większa część protestantow polskich została katolikami, i że r. 1596 przez Unią w Brześciu Lit. kilka milionów Rusinów Polski uznało papieża za głowę kościoła. (Unici). Atoli ostatecznemi skutkami rządów Zygmunta III i jego pomocników, były: utrata tronu szwedzkiego (r. 1602), rokosz Zebrzydowskiego na czele 100,000 szlachty (r. 1606), utrata na zawsze Multan i Wołoszczyzny (r. 1620), utrata Inflant i części Prus królewskich (r.1660), 60-letnie napady Szwedów na Polskę, i 100-letnie bunty kozackie.

* *

*

---

znaniach protestanckich takie postępy, iż mnóstwo różnic pomiędzy niemi już znikło, i że (pomimo usiłowań świętoszków i obłudników) większość dąży widocznie do jedności w „duchu i prawdzie.“ W 247 lat od „Zgody Sandomiérskiéj“, Ewangelicy augsburscy i Reformowani księstwa *Nassau* zjednoczyli się r. 1817 na synodzie w *Wiesbaden.* Tegoż roku w dniu 30 i 31 Października nastąpiło podobne zjednoczenie się w Berlinie i całych Prusiech. Unia ta rozszérzyła się w r. 1818 do Bawaryi Nadreńskiéj, w r. 1821 do W. Księstwa Badeńskiego, r. 1822 do części Hessyi, r. 1827 do królestwa Wirtemberskiego, itd. i dziś w znacznéj części Niemiec Protestanci nie dzielą się już wcale na augsburskich i reformowanych; ale zowią się wprost „*Ewangelikami*“ *bez żadnego dodatku*, i stanowią *jeden „kościół ewangelicko-chrześcijański.“ (P. t.).*

UWAGA. *Oprócz cytacyj z pism Bandtkiego, Orzelskiego i Fischer'a, wszystkie inne cytacye w notkach do powyższego wolnego przekładu, wyjęte są z dzieł autorów wyznania rzymsko-katolickiego.*

PIÉRWSZY MAJ.

Pod nieba namiotem
Strumyczek się spieszy,
A Flory powrotem
Przyroda się cieszy!

Narcysy złociste
Hołd róży składają!
Gdzie drzewka cieniste,
Słowiki spiéwają!

Co tylko się rusza,
Oddycha i czuje,
I ciało i dusza
Dzisiaj się raduje!

Jasło. **Józef M.**

BĄDŹ PEWIEN.

Póki w szczęśliwych pozostaniesz rzędzie,
Grono przyjaciół otaczać Cię będzie;
Ale gdy gwiazda szczęścia Twego zajdzie...
Nikt Cię nie znajdzie.

Jasło. **Józef M.**

Piérwsza cecha prawego człowieka.

Choćby promień nauki zaświecił Ci jasno,
Choćbyć się uśmiéchnęły: szczęście i swoboda,
Wszystkie wnet te płomienie zciemnieją, zagasną,
Jeźli w sercu Twém *Wdzięczność* życia im nie doda.
Wdzięczność jest *piérwszą* cechą prawego człowieka,
Od niewdzięcznika niebo i ziemia ucieka,
To niech Ci tkwi w pamięci do zawarcia powiek:
„Podlejszym od bydlęcia jest niewdzięczny człowiek.“
Okaż się wdzięcznym Bogu, rodzinie, ojczyznie,
Inaczéjś *cudzoziemcem*: wśród swoich — w *obczyznie!*

Jasło. **Józef M.**

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

TREŚĆ TOMU II.

Uwaga.

Na str. 181, w wiérszu 4, czytać wypada:
Wtém napotkał na drodze, z swą wróżką Sybillą,

Na str. 184 po wiérszu: «Bolę późniéj zbuduje z cegieł i kamienia,» potrzeba dodać wiérsz:

Gdzie dotąd były łyka, budy i szałasy;

Na str. 192 w piosnce „Dźwięk-Wdzięk,“ wiérsz 6 ma być taki:
Kraju miłość, wdowi grosz,

a wiérsz 19:
Złoto błoto marnie znika,

Na str. 442 w wiérszu 8, czytać wypada: Sazawa.

Na str. 444 w wiérszu 4 od dołu, powinno być:
Akademią krakowską na Kaźmiérzu r. 1364; ale papież zatwierdził ją dopiéro, za wstawieniem się królowéj Jadwigi, r. 1397; po śmierci zaś Jadwigi, Jagiełło akademią przeniósł z Kaźmiérza do gmachu przy ulicy Ś. Anny r. 1400.

Na str. 472, w wiérszu 9 czytać: Austi.

Na str. 490 po słowach: «obronioną została,» należy dodać: (t. II, str. 288).

Na str. 498 w wiérszu 3 od dołu, ma być: 1853.
